

BEN KANE



SREBRNY ORZEŁ

W szaleństwie wojny, w obliczu zdrady
żołnierze Zapomnianego Legionu
walczą o swoje życie

HORYZONT
znak

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

BEN KANE
SREBRNY
ORZEŁ

Przekład Arkadiusz Romanek
Znak Horyzont
Kraków 2015

*Mojej niesamowitej żonie Sair
– bez jej miłości, wsparcia i tolerancji
wszystko byłoby o wiele trudniejsze.
Ta książka jest dla Ciebie.*

EURAZJA W PIĄTYM WIEKU PRZED CHRYSZTUSEM



Rozdział I

Mitreum



Wschodnia Margiana, zima 53/52 r. p.n.e.

Partowie zatrzymali się wreszcie dobrą milę od fortu. Gdy ucichły odgłosy marszu – skrzypienie skórzanych butów i sandałów, chrzęst zmrożonego śniegu – zapadła przytłaczająca cisza. Nie słychać już było tłumionych pokasywań i pobrzękiwania elementów zbroi. Wszystkie dźwięki, jak gdyby onieśmiałone tą ciszą, gubiły się teraz i rozplływały w lodowatym powietrzu. Ciemność nie zawładnęła jeszcze ziemią i w szarości zmierzchu Romulus mógł przyjrzeć się miejscu, ku któremu zmierzali. Jego oczom ukazała się zupełnie zwyczajna, niemal pionowa ściana szaroburych skał, wieńcząca koniec niskiego pasma wzniesień. Mimo że młody żołnierz mocno wytężył wzrok, w gęstniejącym mroku nie dostrzegał jakichś szczególnych znaków czy śladów świadczących o wyjątkowości tego zakątka. Co ich tu przywiodło? W pobliżu nie było żadnych budynków ani charakterystycznych obiektów, a kręta ścieżka, którą pokonali, zdawała się prowadzić w ślepy zaułek. Stali wszak u podnóża skalnego urwiska. Romulus uniósł pytająco brwi i spojrzał na Brennusa, swojego przyjaciela i człowieka będącego dla niego niczym ojciec, którego nigdy nie poznał.

– Na Jowisza! Co my tu robimy?

– Tarkwiniusz na pewno wie więcej niż my – mruknął okryty grubym wojskowym płaszczem Brennus. Gal objął się wielkimi ramionami, żeby zachować jak najwięcej ciepła. – Jak zwykle zresztą...

– Co z tego? I tak nic nam nie powie! – Romulus złożył ręce i chuchnął w nie, starając się ogrzać nieco twarz i palce, które z zimna zaczynały mu już drętwieć. Swojego orlego nosa nie czuł już od dłuższego czasu.

– Pędzej czy później wszystkiego się dowiemy – odpowiedział spokojnie Gal. Roześmiał się cicho, potrząsając splecionymi w warkoczyki włosami.

Romulus już nic nie mówił.

Żadne protesty czy marudzenia i tak na nic się zdadzą. Ani niczego nie przyspieszą. Cierpliwości – pomyślał.

Obaj przyjaciele nosili kaftany z tkaniny. Bezpośrednio na nie założyli standardowe kolczugi. Choć *lorica hamata* dobrze chroniła przed ostrzami, ciężka plecionka z rzędów metalowych pierścieni pozbawiała wszelkiego ciepła zgromadzonego w organizmie. Niewiele pomagały wełniane płaszcze, szale i specjalne wkładki pod czubatymi hełmami z brązu, bo rdzawe spodnie sięgające łydek i ciężkie nabijane ćwiekami *caligae* odsłaniały zbyt wiele ciała, żeby zapewniać noszącemu je jakiś komfort cieplny.

– Idź i go zapytaj – zachęcał Brennus, odsłaniając w uśmiechu białe zęby. – Zanim odmrozimy sobie jaja...

Romulus odwzajemnił uśmiech.

Gdy jakiś czas temu haruspik z Etrurii pojawił się w ich zatęchłym baraku legionu, próbowali wyciągnąć z niego jakieś informacje. Tarkwiniusz nigdy nie mówił dużo. I tym razem rzucił tylko, że mają do wykonania zadanie specjalne, zlecone im przez dowodzącego Pakorusa i może dzięki temu uda mu się dowiedzieć, czy istnieje szansa wydostania się z Margiany. Przyjaciele nie chcieli pozwolić, aby Tarkwiniusz szedł sam, ale i cieszyli się na myśl o zdobyciu jakichś nowych wiadomości.

Przez kilka ostatnich miesięcy cieszyli się zasłużonym odpoczynkiem po trwających niemal nieprzerwanie od dwóch lat walkach. Mijały kolejne dni, a życie obozowe w rzymskim forcie przemieniało się w coraz nudniejszą rutynę. Brakowało im zmuszających do wysiłku fizycznego ekscytujących akcji i walki. Musieli zadowolić się teraz służbą wartowniczą. Zamiast parad i defilad po zwycięstwach mieli zajmować się naprawą sprzętu. Sporadyczne wyprawy zwiadowcze nie dawały im wielkiej satysfakcji. Ponadto plemiona, które regularnie najeżdżały Margianę, zimą w ogóle nie prowadziły działań wojennych. Dlatego propozycja Tarkwiniusza spadała im jak z nieba.

Tego wieczora Romulus nie szukał jednak tylko sposobu na zabicie nudy.

Desperacko pragnął usłyszeć coś, cokolwiek, poznać fragment wizji Tarkwiniusza, w której znalazłaby się wzmianka o Rzymie. Miasto na siedmiu wzgórzach, w którym się urodził, znajdowało się na drugim końcu świata. Żeby tam wrócić, musiałby pokonać tysiące mil niegościnnych krain, zamieszkiwanych przez nieprzyjaźnie nastawione do Republiki ludy. Czy istnieje jakaś szansa, że któregoś dnia wróci do tego miasta? Romulus marzył o tym każdego dnia na jawie i we śnie, zresztą podobnie jak prawie wszyscy jego towarzysze. W miejscu, w którym się znaleźli – gdzieś na krańcach znanego Rzymianom świata – pozostawało im tylko kurczowe trzymanie się tej myśli. Marzenia. A nietypowa wieczorna eskapada z Tarkwiniuszem pozwalała podsycić mały płomyczek nadziei.

– Poczekam – odparł w końcu. – Przecież sami chcieliśmy z nim iść. – Romulus przestąpił zrezygnowany z nogi na nogę. Zawieszona na skórzanym pasku na jego ramieniu podłużna tarcza zachybotwała niepewnie. – Zresztą widziałeś, w jakim nastroju jest Pakorus. Gotowy za takie pytanie pozbawić mnie przyrodzenia. To już wolę marznąć.

Brennus zaniósł się niskim, gardłowym śmiechem.

Oddziałem dowodził niewysoki, śniadoskóry mężczyzna o imieniu Pakorus. Ubrany był w bogato zdobiony kaftan, spodnie i nosił buty przykrywające kostki. Miał typową dla Partów stożkową czapkę i płaszcz z futra niedźwiedzia, który dobrze chronił go przed chłodem. Spod niego od czasu do czasu ukazywał się misternie zdobiony złotem pas, na którym wisiały dwa zakrzywione sztylety i miecz z dużym klejnotem w rękojeści. Ten odważny, ale i bezwzględny mężczyzna dowodził Zapomnianym Legionem, złożonym z rzymskich jeńców, którzy przeżyli klęskę, jaką ogromna armia Krassusa poniosła poprzedniego lata pod Carrhae, gdzie starła się z jazdą Sureny. Tarkwiniusz i dwaj jego przyjaciele stanowili zaledwie mały ułamek procenta pojmanyh wówczas szeregowych legionistów.

Klęska pod Carrhae sprawiła, że Romulus utracił świeżo odzyskaną wolność.

Jest w tym jakaś ironia – pomyślał Romulus. – *Przeżyję swoje życie, wymieniając jednego pana na drugiego.* Najpierw zginał kark przed Gemellusem, brutalnym kupcem, do którego należała cała rodzina chłopca – Welwinna, jego matka, oraz Fabiola, siostra bliźniaczka. Gdy Gemellus stracił wiele pieniędzy na nietrafionych inwestycjach, sprzedał trzynastoletniego Romulusa Memorowi, laniście z *Ludus Magnus*, największej rzymskiej szkoły gladiatorów. Chociaż Memor nie był tak okrutny jak Gemellus, zależało mu jedynie na tym, aby należący do niego niewolnicy lub trafiający do szkoły kryminaliści dostarczali publiczności jak najwięcej rozrywki. Walczyli

i umierali na arenie, zapewniając zabawę gawiedzi. Życie ludzkie nie miało dla niego żadnego znaczenia. Romulus splunął, krzywiąc się na wspomnienie spędzonych w *ludus* miesięcy. Aby przetrwać, musiał zabić. Więcej niż raz. *Zabij lub gin* – dewiza powtarzana przez Brennusa dzwoniła mu w uszach.

Romulus sprawdził, czy jego krótki obosieczny miecz łatwo wychodzi z pochwy, a sztylet z kościaną rękojeścią wisi u pasa w zasięgu ręki. Te rutynowe gesty stały się już jego drugą naturą. Uśmiechnął się, gdy zauważył, że Brennus robi to samo. Obaj zabrali ze sobą dwa oszczepy zwane *pila*, zakończone długimi żelźcami – standardowe wyposażenie każdego rzymskiego legionisty. Towarzyszący im tego wieczora wojownicy partyjscy wybrani do straży przybocznej Pakorusa wyraźnie się od nich różnili. I to zarówno pod względem ubioru – mimo że nie mieli na sobie futer, takich jak to Pakorusa, ale cieńsze wełniane płaszcze – jak i uzbrojenia. Każdy z nich uzbrojony był w długi nóż, a z prawych bioder wojowników zwisały wąskie pakunki, kryjące refleksyjny łuk kompozytowy i kołczan z zapasem strzał. Choć biegle posługiwali się różną bronią, Partowie byli przede wszystkim doskonałymi łucznikami. *Całe szczęście, że nie musiałem walczyć z żadnym z nich na arenie* – pomyślał Romulus. Każdy partyjski wojownik potrafił wypuścić pół tuzina strzał, zanim przeciwnik zdołał pokonać odległość stu kroków. I każda strzała bezbłędnie trafiała w cel.

Bogowie byli dla niego łaskawi. W szkole gladiatorów poznał Brennusa. Romulus rzucił teraz przyjacielowi pełne wdzięczności spojrzenie. Bez niego, zmuszony do radzenia sobie samotnie z przeciwnościami losu, z pewnością szybko straciłby życie. Tymczasem minęły dwa lata, a on żył. Przetrwał. Odnosił tylko jedną ciężką ranę. I wtedy, któreś nocy, głupia sprzeczka pod drzwiami Lupanaru sprawiła, że przyjaciele musieli uciekać z Rzymu. Zaciągnęli się do wojska jako najemnicy i generał Krassus został ich nowym panem. Polityk, krezus i członek trzęsącego Republiką triumwiratu desperacko pragnął zwycięstw militarnych, aby dorównać Juliuszowi Cezarowi i Pompejuszowi. *Arogancki głupiec* – pomyślał Romulus. – *Gdyby miał w sobie choć odrobinę geniuszu militarnego Cezara, wszyscy dawno byłibyśmy już w domu.* Zamiast po chwałę i sławę Krassus poprowadził armię na pustynię i zgotował trzydziestu pięciu tysiącom legionistów krwawą łaźnię pod Carrhae. Dawno Rzym nie poniósł tak haniebnej klęski. Ocaleni z rzezi – mniej więcej jedna trzecia armii – zostali więźniami Partów, których brutalność nie mogła się równać nawet z okrucieństwem Memora. Dano im wybór: mogli umrzeć na krzyżach, czyli zginąć od razu, albo udać się na niespokojną wschodnią granicę królestwa. Naturalnie

wybrali to drugie rozwiązanie.

Romulus westchnął. Teraz wcale nie był już przekonany, że podjęli właściwą decyzję. Wyglądało na to, że spędzą resztę życia, walcząc z odwiecznymi wrogami Partów: dzikimi koczowniczymi plemionami z Sogdiany, Baktrii i Scytii.

Postanowił tego wieczora towarzyszyć Tarkwiniuszowi, bo chciał dowiedzieć się, czy mimo wszystko jest dla nich jakaś nadzieja.

Tarkwiniusz wodził ciemnymi oczyma po skale.

Wyteżał wzrok. Ani śladu.

Wyróżniał się spośród uczestników tej dziwnej ekspedycji długimi włosami, układającymi się w fale. Związywał je zazwyczaj tkaninową opaską. Odślaniał wtedy szczupłą twarz, wystające kości policzkowe i złoty kolczyk w prawym uchu. Nosił też charakterystyczny napierśnik, pokryty drobnymi, połączonymi pierścieniami z brązu. Całości dopełniał *balteus* ze skórzanymi paskami, zazwyczaj noszony przez centurionów. Tarkwiniusz miał na plecach mały, zużyty plecak. Z jego lewego ramienia zwiślał labrys – topór bojowy o dwóch ostrzach. W przeciwieństwie do towarzyszy haruspik wzgardził płaszczem. Nie chciał, aby coś tłumilo jego zmysły.

– No i co? – Pakorus nie wytrzymał. – Widzisz wejście?

Tarkwiniusz zmarszczył brwi i nie odpowiedział. Długie lata szkolenia pod skrzydłami Olenusa, jego mentora, nauczyły go wielkiej cierpliwości. Inni ludzie często błędnie interpretowali jego zachowanie, biorąc opanowanie za zbyt dużą pewność siebie.

Dowódca legionu zerknął w prawo.

Tarkwiniusz rozmyślnie spojrział w przeciwną stronę. *Wielki Mitro! Pokaż mi swoją świątynię.*

Pakorus robił się coraz bardziej niecierpliwy.

– Jest nie dalej niż trzydzieści kroków od nas – wyraźnie się z nim drażnił.

Kilku mężczyzn z jego straży przybocznej zaśmiało się cicho.

Tarkwiniusz niby przypadkiem skierował wzrok tam, gdzie wcześniej patrzył Pakorus. Długo wpatrywał się w ścianę urwiska, ale nadal nie dostrzegał niczego szczególnego w poszarpanej grani.

– Jesteś tylko szarlatanem. Zawsze to wiedziałem – warknął Pakorus. – Awansowanie cię na centuriona było błędem.

Jakby nie chciał pamiętać, że Zapomniany Legion używa broni, która pozwoliła żołnierzom wygrać

niejedną bitwę – pomyślał gorzko haruspik. Za rubin podarowany mu przez Olenusa wiele lat temu kupili bele jedwabiu, który w dalszym ciągu pokrywa tarcze ponad pięć tysięcy żołnierzy. To dzięki niemu mogli przetrzymać nawałnicę strzał z łuków refleksyjnych, przebijających wcześniej wszystkie rzymskie *scuta*. To przecież jego pomysłem było przygotowanie tysięcy długich włóczni, których kute żeleźce pozwoliły im powstrzymać szarżę każdej jazdy. To dzięki niemu udało się rozbić wielką armię sogdyjską, która zrównała z ziemią wiele osad w Margianie. Ponadto jego wiedza medyczna pozwoliła uratować wielu rannych żołnierzy. Został centurionem w uznaniu zasług. Awansował dzięki temu, że zdobył szacunek żołnierzy. A jednak wciąż jeszcze nie miał odwagi przeciwstawić się otwarcie Pakorusowi.

Partyjski dowódca był panem życia i śmierci żołnierzy. Do tej pory od tortur i śmierci chronił Tarkwiniusza – oraz w pewnym stopniu także Romulusa i Brennusa – lęk Parta przed jego niezwykłymi zdolnościami. Przed proroczymi wizjami i umiejętnością przepowiadania przyszłości. Teraz jednak po raz pierwszy w życiu Tarkwiniusza te talenty zaczęły go zawodzić.

Strach – nowy rodzaj emocji – stał się jego nieodstępującym na krok towarzyszem.

Przez wiele miesięcy ratował się tylko sprytem, ponieważ nie dostrzegał żadnych istotnych znaków. Przyglądał się każdej chmurze, szukał informacji w każdym podmuchu wiatru, w każdym ptaku i w każdym zwierzęciu. Nic. Składał ofiary z kur i jagniąt, co zwykle sprowadzało jakieś wizje przyszłości. Ostatnio wszelkie próby kończyły się niepowodzeniem. Purpurowe wątroby zwierząt, najbogatsze źródło informacji w każdej formie haruspicii, teraz nie zawierały żadnych wskazówek. Tarkwiniusz nie potrafił tego zrozumieć. *Zajmuję się przepowiadaniem przyszłości od prawie dwudziestu lat – myślał gorzko. – I jeszcze nigdy nie spotkałem się z taką sytuacją. Żadnych wizji? Bogowie naprawdę muszą się na mnie złościć.* Obawiał się, że Charon, etruski demon władający podziemiem, kiedyś wyłoni się ze swojego świata, żeby ich wszystkich pożreć. Ta straszna istota o niebieskiej skórze i czerwonych włosach zawsze znajdowała się w cieniu Pakorusa, szczerząc ostre zębiska. Gotowa rozerwać Tarkwiniusza na strzępy, gdy cierpliwość dowódcy legionu się wyczerpie. Nie będzie musiał długo czekać. *Nie trzeba być haruspikiem, aby odczytać, co mówi język ciała Pakorusa* – skonstatował ze znużeniem Tarkwiniusz. Dowódca od dłuższego czasu był mocno podminowany, niczym napięta do granic możliwości struna gotowa pęknąć w każdej chwili.

– Na wszystkie świętości! – zachnął się złowrogo Pakorus. – Pozwól, że cię oświecę. – Chwycił od najbliższego strażnika pochodnię i ruszył do przodu, prowadząc resztę. Zatrzymał się po zaledwie dwudziestu krokach. – Spójrz! – wyciągnął pochodnię przed siebie.

Tarkwiniusz otworzył szeroko oczy ze zdumienia. Dostrzegł łuk starannie dopasowanych kamieni, otaczających duży, wykonany przez człowieka otwór w ziemi. Ciężkie płyty skalne zostały ułożone tak, żeby zabezpieczyć kwadratowe wejście. Na ich wytartych powierzchniach znajdowały się jakieś ryty. Tarkwiniusz podszedł bliżej, aby dokładniej przyjrzeć się wyrzeźbionym kształtom. Rozpoznał kruka, przyczajonego byka i zdobioną koronę z odchodzącymi od niej siedmioma promieniami. *Czy to nie jest czapka frygijska? Przypomina zakończony tępym szpicem nakrycia głowy noszone od wieków przez haruspików.* Czuł dreszcz podekscytowania. Ten drobny szczegół był intrygujący, bo w jakiś sposób wiązał się z pełnymi tajemnic opowieściami o pochodzeniu Etrusków.

Etruskowie, którzy skolonizowali środkową Italię przed wieloma wiekami, prawdopodobnie przybyli na półwysep ze Wschodu. Ślady ich cywilizacji można znaleźć w Azji Mniejszej, ale są i tacy, którzy twierdzą, że źródła ich kultury należałoby szukać o wiele dalej. Podobnie jak źródła kultu Mitry. Niewiele rzeczy ekscytowało Tarkwiniusza, ale ta pieczara z pewnością była dla niego fascynująca. Przez wiele lat szukał śladów przeszłości Etrusków. Bez większego powodzenia. Być może tutaj, daleko na Wschodzie, nieprzenikniona mgła niewiedzy wreszcie opadnie. Olenus miał rację. Po raz kolejny. Staruszek przewidział, że dowie się czegoś więcej, gdy uda się do Partii i dalej, ku granicom z Indiami.

– Zwykle dostęp do tego świętego miejsca mają tylko wyznawcy – odezwał się Pakorus. – Karą za wtargnięcie do mitreum bez pozwolenia jest śmierć.

Tarkwiniusz skrzywił się, czując, jak jego ekscytacja szybko ustępuje miejsca lękowi. Zdobycie wiedzy na temat kultu Mitry nie było warte utraty życia.

– Otrzymujesz specjalną zgodę na wejście tylko w celu przepowiedzenia przyszłości mojej i Zapomnianego Legionu – oświadczył Pakorus. – Jeśli twoje słowa nie będą przekonujące, umrzesz.

Tarkwiniusz próbował zachować spokój i spojrzał na Parta pewnym wzrokiem. Ale ten jeszcze nie skończył.

– Jednak zanim pożegnasz się z życiem – ciągnął złowieszczo dowódca legionu, przesuając wzrokiem po twarzach Romulusa i Brennusa – zginą też twoi przyjaciele. Będą umierać długo i w cierpieniach. A ty będziesz na to patrzył.

Tarkwiniusz wbił w Pakorusa pełne wściekłości spojrzenie. Part pierwszy odwrócił wzrok. *Wciąż jeszcze mam na niego jakiś wpływ* – pomyślał haruspik. Jednak ta refleksja smakowała jak popiół w suchych ustach. To Pakorus trzymał bicz. Nie on. Jeśli bogowie nie zesłą mu w mitreum dorzecznym wizji, wszyscy zginą. Tu, na miejscu.

Dlaczego nalegał, aby jego przyjaciele byli z nim dzisiejszej nocy? Żaden głos nie podpowiadał mu, żeby ich o to nie prosić. Tarkwiniusz nie martwił się o siebie, narastało w nim poczucie winy. Muskularny, odważny Brennus i Romulus, młody chłopak, którego pokochał jak syna, mogą zapłacić za jego błędy. Poznali się tuż po zaciągnięciu się do armii Krassusa. Całą trójkę łączyła bliska przyjaźń. Dzięki sprawdzającym się przepowiedniom Tarkwiniusza zaufali mu całkowicie również inni legionieści. Pod Carrhae, mimo że mogli uciec pod osłoną ciemności, zdecydowali się zostać z nim. I w ten sposób ślepo związali swój los z jego losem. Obaj patrzyli na niego *pewnym wzrokiem, licząc na wsparcie. To nie może się tak skończyć* – pomyślał Tarkwiniusz, zaciskając zęby. *Po prostu nie może.*

– Niech tak się stanie – zawołał głośno, chcąc zawrzeć w tych słowach najlepsze proroctwo. – Mitra da mi znak.

Romulus i Brennus spojrzeli po sobie. Tarkwiniusz dostrzegł błysk nadziei w ich oczach. Zwłaszcza twarz Romulusa rozjaśniła się pewnością co do jego możliwości.

Czując, że młodzieniec mu ufa, Tarkwiniusz poczuł się lepiej. Czekał.

Pakorus wyszczerzył zęby zniecierpliwiony.

– Chodź za mną – powiedział, stawiając stopę na pierwszym stopniu schodów prowadzących do groty.

Nie wahając się ani chwili, Tarkwiniusz ruszył za nim.

Towarzyszył im tylko dobrze zbudowany wojownik, członek straży przybocznej Pakorusa. Schodził w dół z obnażonym sztyletem w prawej dłoni.

Strażnicy rozproszyli się, ustawiając pochodnie w specjalnie przygotowanych otworach w podłodze wokół wejścia do świątyni. Wypełniony popiołem z ogniska okrąg był dowodem, że albo oni, albo inni, podobni do nich, bywali już tu wcześniej. I też na coś czekali. Romulus wciąż nie mógł nadziwić się, jak to się stało, że Pakorus i Tarkwiniusz tak szybko zniknęli w czeluściach pieczary. Widział duże płyty skalne, ale nie zdawał sobie sprawy z tego, że okalają wejście do podziemi. Teraz, gdy miejsce to zostało dość dobrze oświetlone, dostrzegł wyrzeźbione

rysunki po obu stronach otworu. Podekscytowany uznał, że zaczyna rozumieć, czemu miała służyć ta dziwna eskapada. Zmierzała do świątyni Mitry!

Wyglądało na to, że Tarkwiniusz sądził, iż ofiara złożona w tej kaplicy przyniesie mu jakieś objawienie.

Koniecznym było poznać szczegóły wizji, ale gdy tylko ruszył, aby pójść w ślady haruspika, na jego drodze stanęło pół tuzina Partów.

– Nikt więcej tam nie zejdzie – warknął jeden z nich. – Mitreum jest świętą ziemią. Śmieci takie jak wy nie mają tam wstępu.

– Wszyscy jesteśmy równi w oczach Mitry – Romulus sprzeciwił się żywiołowo, przypominając sobie, czego uczył go Tarkwiniusz. – Jestem żołnierzem. Tak jak wy.

Part był jednak nieugięty.

– Dowódca decyduje o tym, kto może wejść. O was nic nie mówił.

– Więc mamy po prostu stać tu i czekać? – zapytał Romulus, podnosząc głos.

– Właśnie tak – odpowiedział wojownik. Zrobił krok do przodu. Kilku Partów zrobiło to samo, sięgając jednocześnie po broń. – Wszyscy czekamy tu aż do czasu, gdy Pakorus zadecyduje inaczej. Jasne?

Mierzyli się wzrokiem. Chociaż wiele razy walczyli ramię w ramię ze wspólnymi wrogami, wciąż nie darzyli się sympatią. Rzymianie nigdy nie potrafiliby zaprzyjaźnić się z tymi, którzy odebrali im wolność. Romulus nie był wyjątkiem. Ci ludzie zgotowali im rzeź pod Carrhae, której nie przeżyło wielu jego towarzyszy.

Nagle chłopak poczuł na ramieniu dłoń Brennusa.

– Daj spokój – powiedział Gal spokojnym głosem. – To nie jest właściwy moment.

Interwencja Brennusa była naturalną reakcją obronną. Po czterech latach traktował Romulusa jak syna. Gdy tylko skrzyżowały się ich ścieżki, Gal stwierdził, że jego życie przestało być pasmem cierpienia. Romulus dał mu powód, aby nie pragnąć śmierci. Dzięki uporowi Brennusa i twardej szkole siedemnastolatek stał się teraz silnym, sprawnym wojownikiem. Tarkwiniusz postarał się również o to, aby Romulus zdobył sporą wiedzę. Nauczył go nawet czytać i pisać. Zdarzało się jednak czasami, że sprowokowany chłopak pozwalał, aby jego temperament brał górę nad rozsądkiem. *Kiedyś byłem taki jak on* – myślał Brennus.

Romulus wciągnął głęboko powietrze i zrobił kilka kroków do tyłu, odstępując od uśmiechających się teraz triumfująco Partów. Nienawidził sytuacji, w których musiał się wycofywać. Zwłaszcza że mógł być świadkiem ważnego wydarzenia. Tak

jak zwykle, wycofanie oznaczało wybór bezpieczniejszego rozwiązania.

– Dlaczego Tarkwiniusz w ogóle nas ze sobą zabrał?

– Jako wsparcie.

– W walce z kim? Z tymi parszywymi psami? – Romulus wskazał głową Partów i pokiwał z niedowierzaniem. – Ich jest dwudziestu. I mają łuki.

– Mają przewagę, to prawda – Gal wzruszył ramionami – ale Tarkwiniusz nie mógł zwrócić się do nikogo innego.

– Musi chodzić o coś więcej. Jakiś inny powód. Mamy tu być razem z nim.

Brennus pokręcił głową, potrząsając włosami, i rozejrzał się uważnie po pustkowiu. W zapadającym zmroku trudno już było dostrzec jakieś szczegóły otoczenia.

– Nie wiem... To miejsce wygląda na zapomniane przez bogów. Nic, tylko piasek i skały.

Romulus miał właśnie zgodzić się ze stwierdzeniem przyjaciela, ale jego uwagę przykuły dwie plamki, w których odbijał się blask pochodni. Zamarł. Zmrużył oczy. W końcu dostrzegł niewyraźny zarys. Szakał. Siedział bez ruchu i obserwował ich. Tylko błyszczące punkciki jego ślepiów świadczyły o tym, że mają do czynienia z żywym zwierzęciem, a nie z rzeźbą lub nietypowo ukształtowaną skałą.

– Nie jesteśmy sami – odezwał się cicho, zadowolony. – Tam. Zobacz!

Brennus ucieszył się w duchu, dumny, że Romulus jest tak świetnym obserwatorem. Sam był przecież przede wszystkim łowcą, ekspertem od łowów, a mimo to nie zauważył małego drapieżnika. Coraz częściej zdarzało się, że chłopak przerastał swojego mistrza. Radził sobie coraz lepiej i potrafił rozpoznać zwierzęce tropy nawet na nagiej skale. Wyciągał trafne wnioski na podstawie mało znaczących szczegółów. Jakaś mała gałązka nie na swoim miejscu, zgięte w dwóch miejscach źdźbło trawy, zmiana głębokości tropów rannej zwierzyny – niewielu ludzi dysponowało takim talentem.

Brac był jednym z nich.

Poddał się fali wspomnień i dobrze znanych emocji. Czuł wielki żal, że jego młody kuzyn nie może stać obok niego tej mroźnej nocy. Brac odszedł. Tak samo jak jego żona, małe dziecko i całe plemię Allobrogów. Zostali zmasakrowani przez Rzymian przed ośmiu laty. Brac byłby teraz w wieku Romulusa. Chcąc wyrwać się z uścisku wszechogarniającego smutku, który wbijał w jego ciało ostre pazury, Brennus napiął mięśnie, po czym rozluźnił muskuły na potężnych ramionach, powtarzając cicho pod nosem słowa Ultana. Słowa proroctwa, które dotyczyło tylko

jego, a które jakimś sposobem poznał Tarkwiniusz.

Czeka cię podróż do miejsc, do których nigdy nie dotarł żaden z Allobrogów. I nigdy nie dotrze.

Znalazł się na wschodniej granicy Margiany, cztery miesiące marszu na wschód od Carrhae i ponad trzy tysiące mil od Galii. Dotarł naprawdę daleko. Czas pokaże, jak i kiedy zakończy się jego podróż. Brennus wrócił do rzeczywistości, gdyż Romulus szybko wyciągnął rękę, wskazując szakala.

– Na Belenusa w niebiosach! – Brennus wciągnął powietrze. – Zachowuje się jak pies. Widzisz?

O dziwo, szakal usiadł na zadzie niczym pies myśliwski, który spogląda na swojego pana.

– To sprawka bogów – mruknął Romulus, zastanawiając się, jakie wnioski wyciągnęłyby Tarkwiniusz. – Muszą maczać w tym palce.

– Możesz mieć rację – zgodził się zaniepokojony Brennus. – Czego tu szuka? Szakale są przecież padlinożercami. Żywią się tylko mięsem martwych stworzeń.

Mężczyźni spojrzeli po sobie.

– Dziś w nocy śmierć zbierze swoje żniwo. Czuję to – Brennus zdrzął.

– Możliwe... – powiedział Romulus w zamyśleniu – ale ja myślę, że to dobry znak.

– Jak to?

– Nie umiem tego wytłumaczyć... – Romulus zamilkł. Próbował połączyć w jedną całość skrawki informacji przekazywanych mu przez Tarkwiniusza. Skoncentrował się na uspokojeniu oddechu i wpatrywał się z uwagą w połyskujące punkciki oczu szakala. Próbował też wyczytać coś z nocnego nieba. Szukał śladów, znaków, których w pierwszej chwili nie potrafił dostrzec. Zamarł w bezruchu. Wydychane powietrze otoczyło jego głowę gęstą, szarą mgiełką.

Brennus postanowił mu nie przeszkadzać.

Partowie wyraźnie ich ignorowali. Zajmowali się teraz przygotowaniem ogniska.

W końcu Romulus odwrócił się do Brennusa. Gal dostrzegł w jego oczach rozczarowanie.

Spojrzał na szakala, który nie ruszył się z miejsca.

– Nic nie widziałeś?

Romulus pokręcił głową ze smutkiem.

– Jest tutaj, żeby nad nami czuwać, ale nie wiem dlaczego. Tarkwiniusz wiedziałby o co w tym wszystkim chodzi.

– Nie martw się – powiedział Gal, poklepując go po ramieniu. – Przynajmniej teraz jest nas czterech przeciwko dwudziestu.

Romulus nie mógł się nie uśmiechnąć na taką uwagę.

Tam, gdzie stali, było znacznie zimniej, ale obaj czuli silniejszy związek z szakalem niż z ludźmi Pakorusa. Zamiast szukać ciepła przy ognisku, siedzieli przytuleni do siebie z dala od niego, opierając się o duży głaz.

W perspektywie przyszłych wydarzeń można stwierdzić, że ta decyzja zapewne uratowała im życie.

Gdy schodzili coraz niżej po wyciosanych w ubitej ziemi schodach, Tarkwiniusz czuł, że jego serce przyspiesza. Pochodnia, którą trzymał Pakorus, rzucała pod nogi nieco światła, dzięki któremu Etrusk zorientował się, że wąski korytarz został wydrążony wprost w ziemi i zabezpieczony drewnianymi belkami stropowymi. Nikt nie odzywał się ani słowem, co bardzo mu pasowało. Wykorzystał ten czas, żeby pomodlić się do Tinii, najpotężniejszego z etruskich bogów. Zmówił też modlitwę do Mitry. Pierwszy raz w życiu. Tajemnicza, nieznana mu religia fascynowała go od czasu, gdy usłyszał o niej w Rzymie. Wyznawcy mitraizmu pojawili się na półwyspie zaledwie dekadę wcześniej wraz z legionistami, którzy brali udział w kampanii w Azji Mniejszej. Choć wyznawcy musieli zachowywać wszystkie szczegóły w tajemnicy, Tarkwiniusz słyszał, że cenili przede wszystkim klasyczne wartości: prawdę, honor i odwagę. Aby przejść na wyższy poziom wtajemniczenia, musieli uczestniczyć w misteriach wielkiego cierpienia. I to było wszystko, co wiedział haruspik.

Oczywiście trudno było uznać za dziwne istnienie świątyni wojowniczego boga tu, w Margianie. To przecież w tych krainach znajdowało się najwięcej wyznawców kultu. Może nawet stąd wywodził się mitraizm.

Tylko czy naprawdę musiał dowiadywać się o tym w tak niesprzyjających okolicznościach? Na tę myśl Tarkwiniusz uśmiechnął się zimno pod nosem. Groziło im – jemu i jego przyjaciółom – że nie pożyją za długo. Cóż mu pozostało? Odwaga. Śmiałość. Przy odrobinie szczęścia Mitra nie poczuje się urażony prośbą niewtajemniczonego gościa, niewyznawcy, który pojawi się w mitreum w dość nietypowych okolicznościach. *Przecież nie jestem tylko haruspikiem* – pomyślał, prostując plecy. – *Jestem też wojownikiem.*

O wielki Mitro! Przychodzę jako pokorny sługa, by się tobie pokłonić. Błagam cię o dowód twojej łaski. O coś, co uspokoi twojego wyznawcę, Pakorusa. Zawahał się. Po chwili dodał odważnie:

Muszę również prosić o wskazówkę. Pomóż mi znaleźć drogę do Rzymu.

Tarkwiniusz włożył w modlitwę całą wiarę, na jaką było go stać.

Odpowiedziała mu głucha cisza.

Starał się zignorować wrażenie rozczarowania. Bez powodzenia.

Po pokonaniu osiemdziesięciu czterech stopni znaleźli się na samym dnie pieczary.

Tunel wypełniony był stęchłym powietrzem, z dominującym zapachem mieszaniny męskiego potu, kadzidła i spalonego drewna. Nozdrza Tarkwiniusza zadrgały, a na jego ramionach pojawiła się gęsia skórka. Niemal namacalnie czuł zgromadzoną w tym miejscu energię. Jeśli ten bóg będzie w dobrym nastroju, być może jego umiejętności przepowiadania przyszłości naprawdę zostaną tu reaktywowane.

Pakorus obrócił się przez ramię z uśmiechem. Zauważył jego reakcję.

– Mitra naprawdę ma wielką moc. A ja będę wiedział, czy kłamiesz.

Tarkwiniusz spojrzał mu prosto w oczy, wytrzymując jego spojrzenie.

– Będziesz zadowolony – odrzekł cicho.

Pakorus chciał coś jeszcze powiedzieć, ale zrezygnował. Na początku czuł się onieśmielony zdolnościami Tarkwiniusza, który z łatwością przewidywał przyszłość i znał rozwiązanie każdego problemu. Choć nie chciał się do tego przyznać otwarcie, początkowe sukcesy Zapomnianego Legionu, któremu udało się rozproszyć grasujące na granicy grupy nomadów, odnieśli niemal wyłącznie dzięki haruspikowi. Jednak od kilku miesięcy zamiast bardzo konkretnych wskazówek słyszał od Tarkwiniusza tylko niejasne, ogólne komentarze. Na początku Pakorus się tym nie przejmował, ale z czasem stawał się coraz bardziej podejrzliwy. Potrzebował proroctw Etruska, ponieważ jego pozycja jako dowódcy sił na wschodniej flance Królestwa Partów wiązała się nie tylko z korzyściami, ale miała swoje wady. Awans wiązał się również z wielkimi oczekiwaniami wobec niego ze strony władcy. Pakorus potrzebował boskiej interwencji po to, żeby przeżyć.

Od jakiegoś czasu ziemie Partów były atakowane przez agresywnych sąsiadów. Przyczyna tego stanu rzeczy była dla wszystkich jasna. W oczekiwaniu na inwazję Krassusa partyjski władca ponad rok wcześniej przetrzebił wszystkie lokalne garnizony. Król Orodes chciał zebrać możliwie największą armię na zachodzie, pozostawiając obszar nadgraniczny prawie niebronionym. Koczownicze plemiona szybko zwietrzyły okazję i rozpoczęły działania wojenne, atakując, niszcząc i plądrując osady nadgraniczne. Pierwsze sukcesy ośmieliły je na tyle, że wkrótce

Margiana stała się celem kolejnych najazdów.

Orodes powierzył Pakorusowi prostą misję: zniszczyć wrogów i przywrócić pokój w regionie. Szybko. To pierwsze zadanie udało się wykonać. Jednak – jak na ironię – odniesiony sukces mógł przysporzyć mu innych kłopotów. Król nie ufał żadnemu dowódcy, który działał zbyt skutecznie. Nawet generał Surena, który odniósł oszałamiające zwycięstwo pod Carrhae, nie mógł czuć się bezpieczny. Zaniepokojony dużą popularnością Sureny Orodes niedługo po bitwie nakazał jego egzekucję. Dowódcy podobni do Pakorusa żyli w ciągłej niepewności. Chcieli zadowolić władcę, ale jednocześnie byli niepewni co do sposobów postępowania. Rozpaczliwie potrzebowali wskazówek z takich źródeł jak wizje Tarkwiniusza.

Strach Pakorusa to moja ostatnia psychologiczna przewaga nad nim – pomyślał haruspik. Tylko że powoli tracił i tę przewagę. Nagle poczuł ogromne znużenie. Jeśli Mitra nie okaże się łaskawy, będzie musiał wymyślić coś wiarygodnego, co przekona bezwzględne Parta. Jednak po kilku miesiącach wodzenia Pakorusa za nos Tarkwiniusz zaczął wątpić w swoją bujną wyobraźnię.

Szli w milczeniu korytarzem zbudowanym w taki sam sposób jak schody. Ten w końcu doprowadził ich do wąskiego, niskiego i długiego pomieszczenia.

Pakorus ruszył wzdłuż ściany, zapalając lampy oliwne, które znajdowały się w niewielkich wnękach po lewej i prawej stronie.

Oczom Tarkwiniusza ukazały się w pełnej okazałości malowidła na ścianach tej podziemnej groty. Zauważył niskie siedziska ustawione wzdłuż obu ścian i grube drewniane słupy wspierające niski strop. Nieuchronnie jednak jego wzrok przyciągała najdalsza ściana mitreum, gdzie nad trzema ołtarzami znajdował się obraz przedstawiający kilka postaci zastygłych w bezruchu. Centralne miejsce zajmowała podobizna mężczyzny we frygijskiej czapce, pochylonego nad powalonym bykiem. Mężczyzna zagłębiał długi nóż w piersi bestii. Mitra. Na jego ciemnozielonym płaszczu lśniły gwiazdy. Po obu stronach stały tajemnicze postaci z płonącymi pochodniami.

– Tauroktonia – wyszeptał Pakorus, pochylając z szacunkiem głowę. – Zabijając świętego byka, Mitra dał początek życiu na świecie.

Tarkwiniusz wyczuł, że drugi Part również pochyla się przed ołtarzami. Zrobił to samo.

Pakorus ruszył powoli w kierunku ściany z ołtarzami. Mrucząc cicho pod nosem krótką modlitwę, znów się skłonił.

– Bóg jest obecny – powiedział, odsuwając się na bok. – Miejmy nadzieję, że

ześle ci jakąś wartościową wizję.

Tarkwiniusz zamknął oczy i zebrał energię. Ze zdumieniem stwierdził, że pocą mu się dłonie. To była dla niego nowość. Jeszcze nigdy tak bardzo nie potrzebował pomocy. Wiele razy zdarzało mu się przewidywać przyszłość. Ot tak, bez zastanowienia. Jednak nigdy nie czynił tego pod groźbą natychmiastowej egzekucji. Tymczasem w tej grocie nie było ani wiatru, ani chmur, ani ptaków, które można by obserwować. Nie mógł też złożyć w ofierze żadnego zwierzęcia. *Jestem całkiem sam. Tylko ja i bóg* – pomyślał harusplik. Instykt podpowiedział mu, że lepiej będzie, jeśli uklęknie. – *Wielki Mitro, pomóż mi!*

Przyglądał się szczegółom wyobrażenia Mitry na naskalnym malowidle. Z jego głęboko osadzonych oczu wзираła wiedza. Wydawały się pytać: Co możesz mi zaoferować? Tarkwiniusz nie miał niczego, co mógłby poświęcić. Chyba że samego siebie. *Będę twoim wiernym sługą.*

Długo czekał na jakiś znak.

Nic się nie działo.

– I jak? – odezwał się wreszcie surowym tonem Pakorus. Jego głos odbijał się echem w zamkniętej przestrzeni.

Tarkwiniusz jeszcze nigdy nie czuł się taki samotny i opuszczony. Jego umysł był kompletnie pusty.

Pakorus wypowiedział kilka gniewnych słów do strażnika, który zbliżył się do Tarkwiniusza.

To koniec – pomyślał Tarkwiniusz, nie mogąc pozbyć się złości. – *Olenus w jednym nie miał racji. Nie wróć już z Margiany. Wyzionę ducha w tym mitreum. W samotności. Romulus i Brennus podzielą mój los. Zmarnowałem swoje życie.*

I wtedy, zupełnie niespodziewanie, zobaczył migotliwy obraz, który rzucał niewyraźny cień na siatkówkę jego oka.

Prawie stu uzbrojonych mężczyzn skradało się w ciemnościach nocy, zmierzając w stronę ogniska rozpalonego przez partyjskich wojowników. Tarkwiniusz poczuł, jak cierpnie mu skóra. Partowie rozmawiali ze sobą, zupełnie nieświadomi grożącego im niebezpieczeństwa.

– Wróg! – krzyknął i skoczył na równe nogi. – Zbliża się niebezpieczeństwo.

Członek straży przybocznej Pakorusa zamarł w pół kroku z nożem w wyciągniętej ręce.

– Skąd? – zapytał Pakorus. – Sogdiana? Baktريا?

– Nie rozumiesz! – zawołał haruspik. – Tutaj! Teraz!

Pakorus uniósł z niedowierzaniem brwi.

– Musimy ich ostrzec – przekonywał Tarkwiniusz. – Wrócić do fortu, zanim będzie za późno.

– Jest noc. Środek zimy – odezwał się Pakorus ze zwątpieniem w głosie. – Wejścia pilnuje dwudziestu najlepszych synów Partii. I twoi przyjaciele. Dziewięć tysięcy moich żołnierzy stacjonuje zaledwie milę stąd. Co może nam grozić?

Strażnik łypnął na niego niepewnie.

– Zaraz zostaną zaatakowani – odpowiedział Tarkwiniusz krótko. – Dosłownie za chwilę.

– Co? W ten sposób chcesz ukryć swoją niekompetencję? Jesteś cholernym kłamcą! – Pakorus podniósł głos.

Zamiast zaprzeczać, Tarkwiniusz zamknął oczy i wrócił do obrazu, który jeszcze przed chwilą miał tuż pod powiekami. Jakimś sposobem udało mu się nie spanikować. *Potrzebuję czegoś więcej, wielki Mitro.*

– Skończ z nim – usłyszał słowa Pakorusa.

Tarkwiniusz wyczuł ruch dłoni uzbrojonej w nóż, ale nie ruszył się z miejsca. To miał być ostateczny sprawdzian jego proroczych zdolności. Nic innego nie mógł zrobić. Nie mógł inaczej przekonać boga. Poczul na szyi podmuch chłodnego powietrza, gdy strażnik wzniosł do ciosu uzbrojoną rękę. Myślał o swoich niewinnych przyjaciółach, którzy zostali na powierzchni. *Wybaczone mi.*

W tej chwili usłyszeli krzyk mężczyzny.

Na twarzy Pakorusa pojawiło się niedowierzanie. Dowódca legionu szybko jednak odzyskał pewność siebie.

– Ty zdradziecki psie! Kazałeś swoim przyjaciołom odegrać tę scenę, co?

Tarkwiniusz pokręcił głową przecząco.

Minęła dłuższa chwila, zanim z tunelu dobiegły do nich echa mrozących krew w żyłach wrzasków. To nie były dźwięki wydawane tylko przez dwóch mężczyzn...

Pakorus zbladł. Zawahał się przez chwilę, po czym odwrócił się i wybiegł z komnaty. Jego przyboczny ruszył za nim.

Tarkwiniusz miał właśnie podążyć w ich ślady, gdy poczuł nagły przypływ mocy. To nie był koniec wizji, jaką zesłał na niego Mitra.

A jego przyjaciele znajdowali się w śmiertelnym niebezpieczeństwie!

Poczucie winy mieszało się z gniewem i pragnieniem wiedzy. Przyklęknął. Miał

jeszcze trochę czasu, zanim sprawy przybiorą naprawdę zły obrót.

Ale nie za wiele...

Minęło dobre pół godziny. Temperatura, która przez cały dzień utrzymywała się na poziomie kilku stopni poniżej zera, teraz gwałtownie spadała. Partowie rozpalili duże ognisko, korzystając z zapasu drewna w tym celu zebranego przed wejściem do mitreum. Podsycali ogień tak długo, aż wkrótce płomień sięgał wysokości ludzi. Podczas gdy kilku wojowników zajęło pozycje na obwodzie w odległości około trzydziestu kroków od ogniska, pozostali zbili się w grupę przy źródle ciepła. Zgarbieni cicho rozmawiali. Mało który zerkał w stronę Romulusa i Brennusa. Obcych. Intruzów.

Dwaj przyjaciele tupali nogami w daremnych próbach rozgrzania się. Wciąż jednak nie bardzo uśmiechało im się przyłączenie do Partów, których stosunek do Rzymian można było w najlepszym razie nazwać pogardliwym. Brennus zadumał się. Zastanawiał się, co przyniesie im przyszłość. Tymczasem Romulus dalej wpatrywał się w szakala, usiłując zrozumieć, z czym wiąże się jego pojawienie. Na próżno. Wreszcie drapieżnik wstał, zakręcił się powoli wokół własnej osi i ruszył na południe. Od razu stracił go z oczu.

Później Romulus będzie wspominał tę chwilę z mieszaniną lęku i trwogi.

– Bogowie! – odezwał się Brennus, szcękając zębami. – Mam nadzieję, że Tarkwiniusz zaraz wróci, bo inaczej będziemy musieli dołączyć do tych drani przy ognisku.

– Już niedługo – odpowiedział pewnie Romulus. – Pakorus jest już chyba u kresu wytrzymałości. Coraz trudniej przychodzi mu tolerowanie Tarkwiniusza.

Wszyscy żołnierze Zapomnianego Legionu dobrze wiedzieli, że gdy ich dowódca traci nad sobą kontrolę, giną ludzie.

– Ten kutas dziś naprawdę wydawał się wyjątkowo nerwowy – zgodził się Brennus, po raz kolejny licząc Partów siedzących przy ognisku. Znów uznał, że jest ich za dużo. – Prawdopodobnie każe też zabić i nas. Szkoda, że szakal nie został z nami, żeby pomóc choć odrobinę, co?

Romulus miał właśnie mu odpowiedzieć, gdy kątem oka dostrzegł coś. Nad najdalej wysuniętymi wartownikami nagle pojawiły się zakapturzone postaci z długimi nożami w rękach. Zmrużył oczy. Przez jedno mgnienie nie mógł uwierzyć, że to dzieje się naprawdę. Otworzył usta, aby ostrzec ich krzykiem. Ale było już za

późno. Wartownicy zniknęli, zraszając skały strumieniem krwi tryskającej z głęboko przeciętych gardeł.

Żaden z ich towarzyszy siedzących przy ognisku niczego nie zauważył.

– Do broni! – ryknął Romulus. – Wróg od wschodu!

Pozostali wojownicy Partów szybko poderwali się i sięgnęli po broń. Próbowali przeniknąć wzrokiem otaczającą ich ciemność.

Teraz zmrożone powietrze wypełniły przerażające okrzyki.

Brennus w jednej chwili stanął przy Romulusie.

– Czekaj... – złapał go za ramię. – Jeszcze nie czas.

– Na tle ogniska stanowią łatwy cel – Romulus od razu zrozumiał powagę sytuacji.

– Głupcy... – mruknął Brennus.

W tej samej chwili w kierunku Partów poleciały ze świstem pierwsze strzały. Wypuszczone z łuków strzelców, których nie można było dostrzec w mroku, przeorały oddział gęstym, śmiertelnym deszczem. Zasadzka doskonała. Miała w sobie jakieś dzikie piękno. Ponad połowa Partów zginęła na miejscu, a kilku innych zostało rannych. Pozostali gorączkowo chwycili za łuki i poczęli szyc strzałami na oślep, próbując odpowiedzieć napastnikom.

Romulus uniósł pokrytą jedwabiem *scutum* i już miał skoczyć do przodu, ale znów powstrzymała go wielka dłoń Brennusa.

– Ale Tarkwiniusz... – zaprotestował.

– W tej chwili jest bezpieczny pod ziemią.

Romulus trochę się uspokoił.

– Zaraz uderzą – powiedział Gal, gdy przerażające krzyki stały się jeszcze głośniejsze. – A gdy tak się stanie, będziemy mieli dla nich małą niespodziankę.

Brennus się nie mylił. Zaskoczyła ich jednak liczba atakujących.

Najpierw na Partów spadła jeszcze jedna seria strzał, a za chwilę w świetle ogniska pojawili się pierwsi napastnicy. Dziesiątki mężczyzn uzbrojonych w łuki, jakich używali Partowie. Teraz zarzucili je przez ramię, chwytając w dłonie miecze, noże i groźnie wyglądające krótkie topory. Na głowach mieli filcowe czapki. Wyróżniały ich zdobione zbroje łuskowe i wysokie buty z cholewami. Nie było wątpliwości, skąd pochodzą ci śniadoskórzy wojownicy. Ze Scytii. Romulus i Brennus mieli już okazję ścierać się z tymi nieustępliwymi koczownikami w kilku potyczkach na granicy. Chociaż imperium Scytów najlepsze lata świetności miało już za sobą, wciąż

powszechnie lękano się tych niezwykle groźnych wojowników. Jednym z powodów było to, że Scytowie pokrywali zakończone zadziarami groty strzał śmiertelną trucizną nazywaną *scythicon*. Najmniejsze zadrapanie i trucizna dostawała się do krwiobiegu, a ranny umierał w męczarniach.

Brennus zaklął cicho, a Romulus poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła.

Tarkwiniusz wciąż jeszcze znajdował się w mitreum i nie mogli go tak po prostu zostawić. Gdyby jednak teraz spróbowali ratować haruspika, wszystkich spotkałaby śmierć. Już wiedzieli, że Scytów jest co najmniej pięćdziesięciu, a wciąż pojawiali się nowi. Romulus czuł narastającą gorycz w ustach. Życiem rządzi przypadek. Myśl o powrocie do Rzymu teraz wydawała się absolutnie nierealna.

– Nie mogli nie usłyszeć tego hałasu – szepnął Brennus. – Pakorus nie jest tchórzem. Może pojawić się z okrzykiem na ustach w każdej chwili. I jest tylko jeden sposób, żeby z tej opresji wyszli cało.

– Musimy ich zaatakować. Szybko i zachowując jak największą ciszę – powiedział Romulus.

Zadowolony Brennus skinął głową.

– Uderzymy na tych, którzy będą blokować wejście do świątyni. Wyrąbimy drogę ucieczki Tarkwiniuszowi i pozostałym. A potem się wycofamy.

Romulus wiedział, że to jedyny sposób. Wierzył, że im się uda.

Ruszyli biegiem, czując ból w obciążonych teraz wysiłkiem zmrożonych mięśniach. Na szczęście adrenalina szybko zadziałała i zwiększyli tempo. Z oszczepami w prawych rękach odchylił się w ruchu mocno do tyłu, gotowi do rzutu, gdy nadejdzie właściwa chwila. Zajętym walką z ocalałymi Partami Scytom nawet nie przyszło do głowy, żeby patrzeć za siebie. Otoczyli swoich wrogów i zacieśniali krąg.

Gdybyśmy mieli tu naszą centurię – pomyślał Romulus tęsknie – *roznieślibyśmy ich na strzepy*. Teraz jednak pozostało im liczyć, że Tarkwiniusz pojawi się za chwilę i będą mogli wycofać się pod osłoną ciemności. Nikła nadzieja.

Niczym dwa duchy zemsty zbliżali się do zewnętrznej granicy kręgu światła od strony wejścia do mitreum.

Nikt ich do tej pory nie zauważył.

Gdy ostatni stojący jeszcze na nogach Partowie zdali sobie sprawę, że ich los jest przypieczętowany, powietrze wypełniły okrzyki pełne trwogi.

Oddalony o kilka kroków od wejścia do świątyni Romulus zaczął wierzyć, że

naprawdę może im się udać. Jednak w tej samej chwili jakiś szczupły Scyt podniósł się znad leżącego bez ruchu Parta. Otarł ostrze miecza o jego ubranie. Gdy zobaczył pędzących Rzymian, w niedowierzaniu otworzył usta i zamknął je, nie wydając głosu. Po chwili jednak rzucił rozkaz i ruszył w ich kierunku. Za nim podążyło dziewięciu mężczyzn, którzy szybko schowali swoje miecze do pochew i chwycili za łuki.

– Idź, poszukaj Tarkwiniusza – odezwał się Romulus, gdy znaleźli się tuż przy otworze prowadzącym do tunelu. – Ja ich zatrzymam.

Brennus ufał przyjacielowi bezgranicznie. Rzucił mu po nogi swoje *pila*. Następnie sięgnął po pochodnię leżącą na ziemi i ruszył w kierunku schodów.

– Zaraz wracam! – krzyknął.

– Jeśli się nie pospieszysz, będę martwy. – Romulus zamknął jedno oko z ponurą miną. Wycelował. Rzucił pierwszym oszczepem z łatwością, którą zawdzięczał wielomiesięcznym ćwiczeniom. Pocisk wzbił się w powietrze, po czym opadł po niskim łuku, zmierzając prosto w najbliższego Scyta, znajdującego się dwadzieścia kroków przed nim. *Pilum* przebiło zbroję łuskową, a żelźce zagłębiło się w jego pierś. Napastnik padł na ziemię bez życia, bezwładny niczym muł, któremu obcięto głowę toporem.

Jego towarzysze zatrzymali się – ale tylko na krótką chwilę.

Drugi oszczep Romulusa trafił w brzuch innego, krępego Scyta, eliminując go z walki. Trzeci nie znalazł drogi do celu, ale czwarty przebił gardło wojownika wyróżniającego się długą, czarną brodą. Scytowie poczuli się teraz nieco mniej pewnie i zwolnili, sięgając do kołczanów i nasadzając strzały na cięciwy łuków. Czterech jednak ruszyło jeszcze szybciej z myślą, aby czym prędzej skrócić dystans.

Zostało siedmiu skurwysynów – pomyślał Romulus. Serce waliło mu mocno, napędzane strachem i świadomością niewielkich szans w tym nierównym pojedynku. – *Strzały z trucizną. Niedobrze. Co robić?* Nagle Romulus przypomniał sobie o Cotcie, swoim nauczycielu z *ludus*. Jeśli wszystko inne zawiedzie, zaatakuj nieprzygotowanego do obrony wroga. Element zaskoczenia jest bezcenny. Nic innego nie przychodziło Romulusowi do głowy, a po Brennusie i Tarkwiniuszu nadal nie było śladu.

Ryknął na cały głos i zebrał się do biegu.

Scytowie stanęli, nie dowierzając własnym oczom. Lekkomyślny szaleniec. Kolejny głupiec, którego trzeba zabić.

Gdy zwarł się z pierwszym przeciwnikiem, wykorzystał klasyczny sposób „na dwa”, tak często ćwiczony w armii rzymskiej. Uderzył metalowym okuciem tarczy, po

czym pchnął z dołu gladiusem. Udało się. Odrywając się od wroga, usłyszał, jak strzała wbija się z impetem w jego *scutum*. Po niej kolejna. Na szczęście jedwab i tym razem spełnił swoją rolę i pocisk nie przebił tarczy. Trzecia strzała świsnęła mu tuż obok ucha. Świadomy, że ma tylko chwilę, zanim polecą w jego kierunku kolejne strzały, Romulus wyjrzał zza żelaznej krawędzi tarczy. Dwaj Scytowie znajdowali się już tuż przy nim, a trzeci został nieco z tyłu. Trzej strzelcy przygotowywali się do wypuszczenia kolejnej serii.

Chłopak poczuł suchość w ustach.

I w tej chwili usłyszał znajomy okrzyk wojenny, który wypełnił jego duszę radością.

Scytowie zawahali się. Romulus zaryzykował spojrzenie przez ramię. Wielki jak niedźwiedź Brennus pędził od strony wejścia do świątyni. Zdążył już zrobić z pół tuzina kroków w jego kierunku.

Za nim z otworu tunelu wypadł Pakorus z wściekłym okrzykiem. Zaraz po nim pojawił się olbrzymi wojownik z jego straży przybocznej, który wymachiwał nad głową długim nożem.

Nie było śladu Tarkwiniusza.

Romulus nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Odwrócił się akurat we właściwej chwili i zdążył sparować potężny cios jednego ze Scytów. W odpowiedzi pchnął mieczem. Chybił. Kolejny cios wymierzył towarzysz pierwszego Scyta. Mało brakowało, a oddzieliłby jego rękę od ciała ukośnym cięciem ogromnego miecza. Gdy jego ostrze, krzesząc iskry, przerysowało płyty chodnika, Romulus wyprowadził krótkie, szybkie pchnięcie. Przeciwnik włożył za dużo siły w swój zamach i nie był w stanie na czas go wyhamować, odsłaniając szyję. Romulus wyrzucił rękę do przodu i trafił gladiusem pomiędzy końcówkę filcowej czapki na szyi a krawędź zbroi. Przeciął skórę i mięśnie, a ostrze łatwo doszło aż do kości klatki piersiowej, przecinając większość najważniejszych naczyń krwionośnych. Scyt był trupem, zanim Romulus wyrwał ostrze. Mimo że na towarzyszu pierwszego Scyta śmierć ta zrobiła ogromne wrażenie, zachował na tyle przytomny umysł, aby zniżyć prawy bark i uderzyć w lewy bok Romulusa, pozbawiając go równowagi.

Młody żołnierz upadł nieporadnie na zamarzniętą ziemię. Uderzenie pozbawiło go powietrza. Zdumiewające, ale wciąż trzymał w dłoniach rękojeść gladiusa tkwiącego w ciele pierwszego przeciwnika. Pociągnął go do siebie rozpaczliwie, czując, jak ostrze ociera się o obojczyk martwego wroga. Wychodziło o wiele za wolno. Nie miał jak się obronić.

Scyt rozciągnął usta w grymasie zadowolenia i zrobił kilka drobnych kroków. Stanął tuż nad Romulusem. Uniósł prawą rękę, żeby zadać śmiertelny cios.

Co dziwne, myśli Romulusa popędziły w tym momencie do Tarkwiniusza. Gdzie był Etrusk? Czy jego wizja zawierała jakieś mogące się przydać wskazówki?

W tej samej chwili Scyt wydał z siebie dźwięk, w którym dominował ból. Zaskoczony Romulus uniósł wzrok. Z lewego oczodołu napastnika wystawał nóż z trzonkiem, który wydał mu się znajomy. Niemal krzyknął z radości. Nóż Brennusa! Gal uratował mu życie.

Romulus obalił Scyta potężnym kopniakiem. Chłopak wyciągnął szyję, żeby zorientować się w sytuacji. Brennus i Pakorus walczyli ramię w ramię. Niestety, Part ze straży dowódcy leżał już rozciągnięty bezradnie na ziemi z dwiema strzałami wystającymi z brzucha.

Pojawiła się jednak szansa.

Romulus odszukał wzrokiem swoją tarczę, chwycił ją i usiadł, osłaniając się przed strzałami.

Jedna z nich niemal od razu wbiła się w *scutum* z głośnym tąpnięciem, ale chłopak mógł teraz uważniej rozejrzeć się po polu bitwy.

Trio łuczników nie zamierzało dać im ani chwili spokoju.

I co najmniej kilkunastu Scytów z drugiej grupy pędziło już w ich kierunku, żeby przyłączyć się do walki. Osłaniając się tarczą i uchylając przed strzałami, Romulus zdołał zbliżyć się do Brennusa.

– Daj mi swoją tarczę – usłyszał rozkaz Pakorusa.

Romulus wlepił wzrok w dowódcę legionu. Zastanawiał się. *Moje życie czy jego? Śmierć teraz czy później?*

– Tak jest – powiedział powoli, nie czyniąc jednak żadnego ruchu. – Oczywiście.

– Teraz! – krzyknął Pakorus.

Łucznicy jak na rozkaz naciągnęli cięciwy i wypuścili jedną, idealnie zsynchronizowaną falę strzał. Trzy pociski przeorały powietrze jakby w poszukiwaniu miękkiego ludzkiego mięsa. Pakorus został trafiony w klatkę piersiową, ramię i lewą nogę.

Runął na ziemię, rycząc z bólu.

– Przeklęty! Już po mnie.

Kolejne strzały przecięły powietrze z furkotem.

– Gdzie jest Tarkwiniusz? – krzyknął Romulus.

– Jeszcze w mitreum. Wyglądał, jakby się modlił. – Brennus skrzywił się. – Chcesz się teraz wycofać?

Romulus pokręcił przecząco głową.

– Nie ma mowy.

– I tu się zgadzam...

W tej samej chwili ustawili się w stronę nacierających Scytów, powtarzając swoje ruchy, jakby stanowili jeden organizm.

Rozdział II

Scewola



Okolice Pompei, zima 53/52 r. p.n.e.

Pani? Zaskoczona Fabiola otworzyła szeroko oczy. Odwróciła się, żeby stwierdzić, że za jej plecami stoi kobieta w średnim wieku, o miłym wyrazie twarzy, ubrana w prostą suknię i zwykłe skórzane sandały. Uśmiechnęła się. Docilosa była jej jedyną prawdziwą przyjaciółką i wiernym sojusznikiem. Kimś, na kim zawsze mogła polegać i komu gotowa była powierzyć swoje życie.

– Prosiłam cię, żebyś się do mnie tak nie zwracała...

Usta Dociloso drgnęły lekko. W swoim czasie była niewolnicą, ale uzyskała wolność w tym samym czasie co jej nowa... pani. Niełatwo przychodziło jej oduczanie się starych nawyków.

– Tak, Fabiolo... – powiedziała niepewnie.

– Co się stało? – zapytała dziewczyna, wstając na równe nogi. Była oszałamiająco piękna. Szczupła, kruczowłosa, ubrana w prostą, ale wykonaną z drogiego jedwabiu i lnu szatę. Jej szyję i ramiona zdobiła kunsztownie wykończona złota i srebrna biżuteria. – Dociloso?

Starsza kobieta milczała przez chwilę.

– Dotarły wieści z północy... – znów zamilkła – ...od Brutusa.

Fabiola poczuła, że zalewa ją fala radości, która jednak po chwili przemieniła się w falę strachu. Przecież tego właśnie pragnęła! Chciała usłyszeć nowiny od swojego kochanka. Modliła się o to dwa razy dziennie przed ołtarzem w niszy przy głównym dziedzińcu willi. Jowisz wreszcie odpowiedział na jej prośby. Tylko czy to były dobre wieści? Fabiola przyglądała się twarzy Dociloso w poszukiwaniu jakichś wskazówek.

Brutus od wielu tygodni przebywał w Rawennie. Pełnił służbę w sztabie Cezara, generała, który planował powrót do Rzymu. Miasto to, położone dogodnie między stolicą Republiki a granicą z Galią Zaalpejską, było ulubioną zimową kwaterą legionów Cezara. Mógł stamtąd obserwować sytuację polityczną, ciesząc się bezpieczeństwem, jaką dawała mu jego armia. Nie musiał rozpuszczać żołnierzy legionów do domów, dopóki nie przekroczył Rubikonu. Przejście rzeki bez złożenia komendy zostałyby uznane za akt zdrady. Z drugiej strony rozwiązanie jednostek przed udaniem się do Italii oznaczałoby pojawienie się w Rzymie właściwie bezbronnym. Tak więc każdej zimy Cezar czekał i obserwował. Senat nie mógł nic z tym zrobić, a Pompejusz, jedyny człowiek obdarzony militarnymi talentami porównywalnymi z talentami Cezara, wciąż jeszcze nie opowiedział się po żadnej ze stron. Sytuacja zmieniała się codziennie, ale jedno było pewne.

Nadchodziły trudne lata dla Republiki.

Fabiola, spodziewająca się Brutusa łąda dzień, została zaskoczona wiadomościami, które przyniosła Docilosa.

– W Galii Zaalpejskiej wybuchła rebelia. W wielu miejscach toczą się ciężkie walki. Podobno rzymscy osadnicy i kupcy w zbuntowanych miastach są masakrowani.

Dziewczyna walczyła z paniką i powoli wypuściła powietrze z płuc. Jej Brutusowi groziło niebezpieczeństwo! Próbowwała się uspokoić. *Pamiętaj, przez co przeszłaś. Bywało gorzej niż teraz.* W wieku trzynastu lat Fabiola została sprzedana do drogiego domu rozkoszy. Była wówczas jeszcze dziewczicą. Sprawcą tego nieszczęścia był jej ówczesny okrutny właściciel o imieniu Gemellus. Co więcej, ten sam człowiek sprzedał jej brata Romulusa do szkoły gladiatorów. Serce Fabioli zabiło mocniej na myśl o bracie. Spędziła w Lupanarze cztery lata, oddając innym swoje ciało. *Wtedy nie straciłam nadziei.* Fabiola spojrzała w kierunku statuetki na ołtarzu. *I Jowisz wybawił mnie od życia, którym tak gardziłam.* Jej wybawcą został Brutus, od początku jeden z najbardziej oddanych jej kochanków. Wykupił ją od Jowiny, właścicielki burdelu. Cena, jaką za nią zapłacił, nie była niska. *Niemżliwe zawsze jest możliwe* – myślała Fabiola, uspokajając się. Brutus będzie bezpieczny.

– Myślałam, że Cezar ujarzmił całą Galię.

– Tak się wydawało... – mruknęła Docilosa.

– A mimo to wciąż wybuchają tam jakieś zamieszki. – Wspomagany przez Brutusa, wyróżniający się niezwykle śmiałością generał tłumił coraz to nowe bunty, mimo że jego krwawa kampania zakończyła się stosunkowo niedawno. – Kto tym

razem?

– Wódz o imieniu Wercyngetoryks zażądał przysięgi lojalności od plemion galijskich. I otrzymał ją. Zebrał pod swoimi sztandarami dziesiątki tysięcy wojowników.

Fabiola zmarszczyła brwi. Nie takich wieści oczekiwała. Ponieważ większość sił rzymskich stacjonowała w kwaterach zimowych w Galii Zaalpejskiej, Cezar może mieć prawdziwe kłopoty. Galowie byli zaciętymi wojownikami, którzy bardzo skutecznie opierali się Rzymowi i ponieśli klęskę tylko dlatego, że wyjątkowo zdyscyplinowane legiony prowadził niezwykle uzdolniony taktyk. Jeśli plemiona galijskie naprawdę zdążyły połączyć siły, może to mieć katastrofalne skutki.

– To nie wszystko – kontynuowała Docilosa. – W górach na granicy spadło dużo śniegu...

Fabiola zacisnęła usta. Brutus w swoim ostatnim liście pisał, że wkrótce się zobaczą. Wygląda na to, że nie stanie się to zbyt szybko.

A jeśli Cezar nie dotrze do swoich żołnierzy na czas i nie stłumi buntu w zarodku, wiosną, gdy powstanie rozprzestrzeni się na większe tereny, sytuacja może stać się naprawdę poważna. Wercyngetoryks wiedział, co robi, i wybrał właściwy czas. Dziewczyna zmarszczyła brwi. Jeśli to powstanie się powiedzie, wszystkie jej misterne plany obrócą się w proch. Bez wątplenia tysiące ludzi straci życie podczas walk, ale nie miała innego wyjścia, jak zignorować myśl o tych nieszczęśnikach. Niezależnie od jej pragnień ci ludzie i tak zginą. Szybkie zwycięstwo odniesione przez Cezara paradoksalnie oznaczałoby mniejszy rozlew krwi. Fabiola rozpaczliwie pragnęła właśnie takiego zakończenia buntu, ponieważ wówczas Brutus, oddany jej mężczyzna, powróci w glorii chwały. *Jednak nie chodzi tylko o to* – myślała szczerza do bólu. – *Jeśli Cezar odniesie sukces, będzie to oznaczać również, że i ja sama poprawię swoją pozycję społeczną.*

Fabiola poczuła ukłucie poczucia winy, że nie myśli przede wszystkim o bezpieczeństwie Brutusa. Oficer liczący na karierę w armii był również bardzo odważny. Może zostać ranny lub nawet zabity! *To miałoby poważne konsekwencje* – pomyślała, ofiarując dodatkową modlitwę bogom. Choć nigdy nie pozwoliła sobie na obdarzenie jakiegoś mężczyzny prawdziwą, szczerą miłością, Fabiola tak naprawdę bardzo lubiła Brutusa. Zawsze był dla niej łagodny i miły, nawet wtedy, gdy zabierał jej dziewictwo. Potem przecież kupił jej wolność. Decyzja Fabioli o obdarzeniu właśnie jego swoimi względami od początku była trafiona.

Wcześniej Fabiola przyjmowała wielu klientów, w większości wpływowych

arystokratów, których opieka mogła zagwarantować jej dostęp do wyższych sfer rzymskiego społeczeństwa. Skupionej na swoim celu prostytutce jakoś udało się zapomnieć o tym, jak poniżającą pracę wykonywała. Chociaż oddawała swoje ciało, brała od mężczyzn to, czego potrzebowała. Mogło chodzić o złoto, informacje lub coś, co miało największe znaczenie: wpływy. Od początku jednak Brutus różnił się od większości jej klientów, co sprawiało, że dzielenie z nim łóża stało się trochę łatwiejsze. Szalę przechyliła świadomość tego, że był blisko Cezara, polityka, który wzbudzał zainteresowanie Fabioli, podsłuchującej rozmowy arystokratów odpoczywających w łaźni Lupanaru. Z informacji, jakie wyciągała od swoich rozluźnionych i zadowolonych klientów, wynikało, że Cezar jest naprawdę obiecującym liderem. *Może to sam Jowisz sprawił, że Brutus stał się moim pierwszym mężczyzną* – myślała Fabiola. Gdy kiedyś zabrał ją na ucztę w domu zamożnego arystokraty, zauważyła posąg Cezara, który wydał jej się uderzająco podobny do Romulusa. Tego dnia w umyśle Fabioli zostało zasiane ziarno podejrzeń.

Dźwięk głosu Dociloso sprawił, że wróciła do rzeczywistości.

– Gdy wieści o buncie Wercyngetoryksa dotarły do Rzymu, optymaci wydali wielką ucztę. Ich gościem honorowym został Pompejusz.

– Bogowie... – odezwała się Fabiola. – Coś jeszcze?

Cezar miał wielu wrogów. Zwłaszcza w stolicy. Triumwirat, który w praktyce rządził Republiką, po śmierci Krassusa składał się już tylko z dwóch osób i od tego czasu Pompejusz nie do końca wiedział, jak zniwelować talenty militarne Cezara. To akurat Cezara specjalnie nie martwiło. Jednak sprzeciwiający się mu politycy teraz próbowali przypodobać się Pompejuszowi, jedynemu poważnemu rywalowi dowódcy Brutusa. Cezar wciąż jeszcze mógł zdobyć władzę, ale mogło to się stać tylko wtedy, jeśli powstanie Wercyngetoryksa zostanie stłumione i jeśli uda mu się zachować wystarczające poparcie w senacie. Nagle Fabiola poczuła się wystawiona na ciosy. W Lupanarze była dużą rybą w małym stawie. Jako wolna kobieta poza tym „stawem” znaczyła niewiele. Jeśli Cezar poniesie porażkę, przegra też Brutus. A bez jego wsparcia... jakie ma szanse osiągnąć swoje cele? Pozostawało też inne rozwiązanie. Mogła oddać się innemu mężczyźnie i wykorzystać jego wpływy. Na myśl o takiej możliwości Fabiola poczuła się niedobrze. Cztery lata w Lupanarze wystarczyły, żeby znieawidzić życie, jakie tam wiodła.

A zatem konieczne było podjęcie trudnych decyzji.

– Muszę wybrać się do świątyni na Kapitolu – oświadczyła Fabiola – żeby złożyć ofiarę i modlić się o szybkie stłumienie rebelii przez Cezara.

Docilosa z trudem ukryła zaskoczenie.

– Podróż do Rzymu potrwa co najmniej tydzień. Dłużej, jeśli pogoda na morzu nie dopisze.

Z twarzy Fabioli bił spokój.

– Wtedy będziemy podróżować lądem.

Teraz starsza kobieta naprawdę się zaniepokoiła.

– Skończy się tak, że ktoś nas zgwałci i zamorduje! Na drogach jest pełno bandytów.

– Nie więcej niż na ulicach Rzymu – odpowiedziała cierpko Fabiola. – Poza tym możemy zabrać ze sobą trzech strażników, których zostawił Brutus. Zapewnią nam bezpieczeństwo. *Chociaż nie są tak dobrzy, jak Benignusz lub Wettiusz* – pomyślała, czule wspominając potężnych ochroniarzy Lupanaru. Pomimo oddania Fabioli obaj byli zbyt cenni dla Jowiny, żeby właścicielka domu publicznego zgodziła się ich sprzedać. *Gdy wrócę do stolicy, będzie można jeszcze raz spróbować. Te wielkoludy by mi się przydały.*

– Co powie Brutus, gdy się o tym dowie?

– Zrozumie – Fabiola odpowiedziała pogodnym głosem. – Robię to dla niego.

Docilosa westchnęła. Wiedziała, że nie wygra. A ich pobyt w niemal pustej willi nie obfitował w atrakcje, jeśli nie liczyć wizyt w łaźni lub na rynku w mieście. Wizyta w Rzymie może okazać się przyjemna. Stolica zawsze przecież oferuje więcej rozrywek.

– Kiedy chcesz wyjechać?

– Jutro. Wyślij wiadomość do portu, żeby kapitan przygotował okręt.

Brutus po dotarciu do kwater armii na północy odesłał okręt z powrotem do Pompei, oddając go do dyspozycji swojej miłości. Liburna, napędzana siłą rzędu wiosł obsłużanych przez stu niewolników, niewielka jednostka o niskich burtach, była najszybszym typem okrętów budowanych przez Rzymian. „Ajax” cumował w porcie w Pompejach, czekając, aż będzie potrzebny, a wcześniej Fabiola nie zamierzała z niego korzystać przed nastaniem wiosny. Teraz jednak wszystko się zmieniło.

Docilosa ukloniła się i wyszła z pomieszczenia, zostawiając Fabiolę pogrążoną w myślach.

Wizyta w świątyni będzie również dla niej okazją do zapytania Jowisza o to, kto zgwałcił jej matkę. Welwinna wspominała o tym zdarzeniu tylko przelotnie, ale z oczywistych względów nigdy nie potrafiła wymazać tego zdarzenia z pamięci i nie

zapomniała o swojej krzywdzie. Odkrycie tożsamości ojca stało się celem życia Fabioli. A kiedy już uzyska pewność, jej zemsta będzie słodka.

Musiała poznać prawdę. Niezależnie od ceny.

Przejęcie odpowiedzialności za prowadzenie latyfundium pod nieobecność Brutusa wydawało się Fabioli niezwykle wymagającym zadaniem. Jednocześnie prowadzenie gospodarstwa sprawiało jej wiele satysfakcji. Posiadanie dużej nieruchomości było dla Fabioli dowodem tego, że jej oprawca i poprzedni właściciel latyfundium, Gemellus, poniósł zasłużoną karę. Dlatego też od początku stwierdziła, że poświęci się temu zadaniu z odpowiednim zaangażowaniem. Po pierwszym obejrzeniu domu utwierdziła się w swojej opinii, że podobnie jak w rezydencji kupca w Rzymie także i tu wiele można było zarzucić smakowi i zmysłowi artystycznemu Gemellusa, który w wystroju wnętrz preferował surowość i tanią krzykliwość. Z niezwykłą przyjemnością odnawiała i wyposażała pomieszczenie po pomieszczeniu: sypialnię, salę bankietową i biura. Wszystkie posągi Priapa z rzucającym się w oczy masywnym członkiem rozbito, przypominały bowiem Fabioli, jak wielkiego cierpienia Welwinny, męczonej przez Gemellusa, była świadkiem. Mozaiki na podłodze zostały odsłonięte spod grubej warstwy piachu i śmieci. Fontanny oczyszczono, a z basenów usunięto suche liście. Nawet zaniedbane rośliny na podwórku zostały wymienione. Wszystkie ściany ogrzewanej łaźni przydomowej zostały odmalowane i pojawiły się na nich jasne obrazy bogów, mitycznych stworzeń morskich i ryb, co wyjątkowo cieszyło dziewczynę. Jednym z niezapomnianych wspomnień z pierwszego dnia w Lupanarze była wizyta w łaźni. Obiecała sobie wtedy, że kiedyś stanie się właścicielką domu z równie piękną łaźnią. Teraz jej marzenie się spełniło.

Tego samego jeszcze dnia powróciło do niej poczucie winy. Podczas gdy jej nie brakowało niczego, Romulus prawdopodobnie musiał znosić wielkie niewygody lub już od dawna jego kości bieleły na piasku pustyni. W kąciakach oczu Fabioli zebrały się łzy. Gdy pracowała w Lupanarze, zrobiła wszystko, co było w jej mocy, aby odnaleźć brata. Po ponad roku odkryła, że jej brat żyje. Nawet w barbarzyńskim świecie areny gladiatorów Jowisz go ochronił. Wieść o tym, że Romulus zaciągnął się do legionów Krassusa, nie mogła osłabić jej wiary w przychylność bogów. Jednak potem doszło do prawdziwej katastrofy... Przed kilkoma miesiącami do Rzymu dotarły druzgocące wieści o rozbięciu armii rzymskiej w bitwie pod Carrhae. I wtedy Fabiola całkowicie straciła nadzieję, że kiedykolwiek zobaczy Romulusa

żywego. Wyrwanie się ze szkoły gladiatorów po to, żeby dokonać żywota na jakiejś pustyni, wydało się jej wręcz niewiarygodnym okrucieństwem. Brutus pomagał jej, jak mógł, próbując dowiedzieć się jak najwięcej o losach żołnierzy pokonanej armii, ale nie miał dla Fabioli dobrych wiadomości. Wyprawa na Wschód zakończyła się jedną z największych w historii klęsk poniesionych przez Republikę. Rzym stracił ogromną liczbę doświadczonych żołnierzy. Fabiola wiedziała już, że Romulusa nie było wśród żołnierzy ocalałego z pogromu legionu, wyprowadzonego spod Carrhae przez legata Kasjusza Longinusa. Brutus wydał mnóstwo pieniędzy, żeby zdobyć informacje od weteranów Legionu VIII. Niestety, Romulusa nie było wśród ocalałych. Fabiola westchnęła ze smutkiem. Wysuszone do białości przez słońce kości jej brata z pewnością leżały gdzieś w piasku, tam, gdzie padł pod ciosami nieprzyjaciół. Albo zginął, albo Partowie uprowadzili go na koniec świata, do jakiejś zapomnianej przez bogów krainy, zwanej Margianą, gdzie podobno trafiło dziesięć tysięcy rzymskich jeńców.

Jak dotąd żaden z nich stamtąd nie powrócił.

Kilka łez potoczyło się powoli po policzkach Fabioli. Jeśli jest choćby najmniejsza szansa, że Romulus wciąż żyje, nie może rozpaczać. Teraz jednak przemawiał przez nią upór, a nie wiara. *Iuppiter Optimus Maximus, wysłuchaj mnie, proszę... Niech mój brat żyje. Jakimś cudem...* Zdeterminowana, żeby panować nad emocjami, Fabiola otarła oczy i poszła poszukać Korbulona, starszego vilicusa jej latyfundium. Znalazła go jak zwykle zajętego nadzorowaniem pracy niewolników. Fabiola nigdy wcześniej nie mieszkała na wsi i niewiele wiedziała na temat prowadzenia gospodarstwa czy ogólnie rolnictwa, więc większość dni w majątku spędzała, ucząc się od Korbulona wszystkiego, co powinna wiedzieć. Wieści z Galii tego nie zmieniają. Odpowiadała za to latyfundium.

Dowiedziała się Korbulona, że sytuacja rolników, obywateli Rzymu, którzy pracowali na własnych gospodarstwach, pogarszała się z roku na rok w związku z powiększającym się importem taniego ziarna z Sycylii i Egiptu. Przez czas dłuższy niż jedno pokolenie na obszarze Italii zaszły spore zmiany, a miejsce małych gospodarstw zajęły wielkie latyfundia arystokratów, wystarczająco bogatych, aby kupić grunty i korzystać z taniej siły roboczej niewolników. Czerpali oni korzyści z imperialistycznych zapędów Republiki, która prowadząc niekończące się wojny, dostarczała coraz większe rzesze niewolników ze wszystkich zakątków świata. Ludzie ci pracowali dla bogaczy, powiększając ich fortuny. Historia dawnego majątku Gemellusa nie różniła się jakoś specjalnie od historii innych mniejszych

gospodarstw.

Jako świeżo upieczony wyzwolieniec Fabiola nienawidziła wszystkiego, co przypominało jej o tym, że była niewolnicą. Na początku mocno doskwierało jej to, że przyjmując wolność z rąk Brutusa, automatycznie stała się właścicielką kilkuset osób – mężczyzn, kobiet i dzieci. Ale co mogła zrobić? Uwolnienie Greków, Libijczyków, Galów i Gotów pracujących w jej gospodarstwie doprowadziłoby je jedynie do bankructwa. Postanowiła skupić się na wzmocnieniu swojej pozycji jako wybranki Brutusa poprzez możliwie jak najlepsze pielęgnowanie swoich relacji ze znajomymi wywodzącymi się z arystokracji i odkryciu tożsamości ojca. Być może w przyszłości, z pomocą Romulusa, będzie w stanie zrobić dla tych niewolników coś więcej. Pamiętała, jak jej brat opowiadał o powstaniu Spartakusa, trackiego gladiatora, odpowiedzialnego za wybuch buntu niewolników, który pokolenie wcześniej zachwiał fundamentami Rzymu.

To wspomnienie wywołało uśmiech na twarzy Fabioli, która rozmyślając o tym, dotarła do dużego dziedzińca na tyłach willi. W tym miejscu znajdowały się nędzne, zawilgocone chatki niewolników, które smutno kontrastowały z solidnymi pomieszczeniami magazynów. Na tyłach willi zlokalizowano także stajnie, dwukondygnacyjny młyn oraz liczne kamienne szopy. Te ostatnie stały na ceglanych fundamentach, które umożliwiały ciągły przepływ powietrza pod podłogą i jednocześnie utrudniały dostęp do zgromadzonych w środku zapasów wszelakim gryzoniom. Jedne wypełniono aż po sufit zebrany zbożem i owsem, w kolejnych przechowywano inne produkty i plody rolne. Uszczelnione żywicą amfory z oliwą z oliwek ustawiono w stabilne konstrukcje. W jeszcze innych składach zebrano beczułki z *garum*, popularną i bardzo cenioną pastą rybną, którą magazynowano obok beczek solonych barwen i glinianych garnców pełnych całych oliwek. Przygotowane do użycia w czasie zimy jabłka, pigwy i gruszki starannie ułożono w rzędach na pokrytych słomą stołach. Obok znajdowały się małe piramidki z pękatych warkoczy czosnku. Na krokwiach rozwieszono suszone szynki i pęczki marchewek, cykorii oraz bukietów ziół: szałwii, kopru, mięty i tymianku.

Wino, jeden z najważniejszych produktów wytwarzanych w gospodarstwie, przygotowywano i przechowywano w specjalnych piwnicach w jeszcze innym budynku. Podczas produkcji sok z częściowo rozgniecionych winogron najpierw fermentował w *dolia*, ogromnych pojemnikach z gliny, pokrytych warstwą paku i zakopanych częściowo w ziemi, po czym przelewano go do innych naczyń, zamykano i odstawiano do starzenia. Tylko najlepsze roczniki zdekantowano do

amfor i przenoszono do głównego budynku, gdzie leżakowały pod dachem nad jednym z głównych palenisk.

Fabiola lubiła przechadzać się po tych magazynach. Cały czas dziwiła się, jak to możliwe, że należy do niej tyle produktów spożywczych. Jako dziecko ciągle była głodna. Teraz miała tyle jedzenia, że nie skonsumowałaby go przez całe życie. Ta ironia losu dała jej wiele do myślenia, dlatego zawsze dbała o to, aby jej niewolnicy byli dobrze karmieni. Większość właścicieli ziemskich oszczędzała na pożywieniu dla niewolników, dając im tylko tyle, ile wystarczało im do przetrwania, nie mówiąc już o przeżyciu kilkunastu lat do osiągnięcia wieku średniego. Może nie da im wolności, ale chciała być uważana za humanitarną. Czasami trzeba było użyć siły, żeby wymusić posłuszeństwo, ale starała się, aby to zdarzało się tylko wtedy, gdy naprawdę nie było innego wyjścia.

W tym roku żniwa mieli już za sobą. Dzisiaj niewolnicy skupili się na bardziej przyziemnych zadaniach, ale na dziedzińcu zawsze wiele się działo. Korbulon przechadzał się po podwórku, wykrzykując polecenia. Fabiola zauważyła, że kilku ludzi pracowało nad przekuciem złamanego pługą i naprawą zużytych uprzęży dla wołów. Obok nich kobiety i dzieci zajęły się opróżnianiem wozów z ostatnimi warzywami, takimi jak cebula, buraki i słynna pompejańska kapusta. Inni pracowali w grupach przy przygotowywaniu wełny, która została zebrana latem z przyszyżonych owiec. Teraz była gręplowana – czesana i myta przed przekazaniem jej do przędzenia.

Korbulon skłonił się głęboko, gdy tylko dostrzegł Fabiolę.

– Pani?

Dziewczyna skinęła głową z powagą. Wciąż z trudem przyzwyczajała się do swojej roli i władzy.

Zarządca nie wyróżniał się jakoś specjalnie posturą. Miał okrągłą twarz i brązowe włosy, przetkane tu i ówdzie lekką siwizną. Trochę się garbił. Nie nosił żadnych zwracających uwagę ubrań. Tylko bicz na długiej rączce i srebrny amulet na rzemieniu zawieszonym na szyi mówiły o tym, że nie jest zwykłym niewolnikiem. Trafił do niewoli jeszcze jako dziecko gdzieś na wybrzeżu Afryki Północnej. Całe swoje dorosłe życie spędził w majątku.

To, że gospodarstwo należało teraz do młodej kobiety, sprawiało starymu zarządcy nieco kłopotów. Brutus zresztą postarał się przed wyjazdem, aby wszyscy zrozumieli, że w czasie jego nieobecności Fabiola jest panią domu. Korbulon cieszył się jednak z tego, że wreszcie ma kogoś, kto mówi mu, co ma robić. Od kilku lat

bowiem gospodarstwo podupadało.

– Jak idzie praca?

– Pilnuję, żeby się nie nudzili, pani – Korbulon wskazał najbliższą grupę niewolników. – Wciąż jeszcze jest wiele do zrobienia i mam czym ich zająć.

Fabiola powoli przyzwyczajała się do codziennego życia latyfundiów. Jakoś jednak nie bardzo potrafiła wyobrazić sobie, żeby jej wcześniejszy właściciel zachowywał się podobnie.

– Czy Gemellus w ogóle interesował się majątkiem?

– Gdy kupił gospodarstwo – odpowiedział Korbulon – przyjeżdżał tu co kilka miesięcy.

Fabiola ukryła zaskoczenie.

– Sprowadził nowe drzewa oliwne z Grecji i nakazał wykopanie stawów dla ryb. Wybrał nawet stoki wzgórz, na których miał sadzić winorośl.

Fabioli nie spodobała się myśl o tym, że jej były właściciel przejawiał jakąś kreatywność. W rzymskiej willi, w której dorastała z Romulusem, pokazywał głównie swoją drugą, brutalną twarz.

– Co stało się potem?

Zarządca wzruszył ramionami.

– Interesy szły coraz gorzej. Zaczęło się od straty towarów z Egiptu. Pamiętam, jak dowiedział się, że dwanaście statków z jego transportem zatонуło w czasie wielkiej burzy – pomarszczona twarz Korbulona wydawała się wyrażać udrękę. – Trudno było w to uwierzyć...

Fabiola westchnęła głośno, okazując pozorną empatię. W rzeczywistości zastanawiała się, jak taki człowiek jak Korbulon mógł martwić się tym, że jego właściciel ma kłopoty. Gdy Brutus opowiedział jej o okolicznościach sprzedaży przez Gemellusa tej willi, była wprost zachwycona. Wyglądało na to, że identyfikowanie się niewolników z ich właścicielami było w pewnym sensie nieuniknione. Fabiola dobrze pamiętała, jak dumny był Romulus, gdy udało mu się bezpiecznie dostarczyć wiadomość Gemellusa do Krassusa i wrócić z odpowiedzią, grając na nosie osiłkom nasłanym przez lichwiarzy, którzy zawsze pilnowali bramy wejściowej. A przecież jej brat nienawidził Gemellusa tak samo mocno jak ona. Nawet niewolnicy mogą czuć dumę. Postanowiła więc, że nie będzie oceniać Korbulona. Mimo że pracował dla Gemellusa od ponad dwudziestu lat, do tej pory *vilius* okazywał się wiernym, solidnym i pracowitym człowiekiem.

W tej samej chwili, jakby na potwierdzenie wniosków Fabioli, Korbulon krzyknął na mężczyznę, który ostrzył kosę powolnymi, obojętnymi ruchami.

– Włóżże trochę serca w to, co robisz, głupcze! – poklepał ręką bat wiszący u pasa. – Albo poczujesz, jak cierpną ci całe plecy!

Niewolnik schylił się szybko nad zakrzywionym żelaznym ostrzem, prowadząc teraz osełkę tam i z powrotem wzdłuż całej jego długości.

Fabiola uśmiechnęła się z aprobatą. Choć Korbulon nie był człowiekiem brutalnym, nie bał się używać siły. Jeśli groźba wystarczała, to był dobry znak.

– Myślałam, że Gemellus miał naprawdę duży majątek – powiedziała sondująco, licząc, że zdobędzie więcej informacji.

– Tak było – Korbulon westchnął. – Jednak bogowie się od niego odwrócili. Wkrótce wszystko, czego się dotknął, obracało się w proch. Zaczął pożyczać pieniądze bez nadziei na ich spłatę.

Fabiola pamiętała, że *domus* Gemellusa był pilnowany dniem i nocą, a pod murem zawsze czekały jakieś bandziory. W kuchni, gdzie zbierali się niewolnicy, plotkowano o kłopotach kupca.

– Brutus wspominał, że nietrafione przedsięwzięcie ze sprowadzeniem dzikich zwierząt na arenę było kroplą, która przelała czarę.

Korbulon niechętnie skinął głową.

– Tak, pani. Ta inwestycja powinna była przynieść mu wielkie pieniądze. Zainwestował jedną trzecią udziałów w wyprawie bestiariusza po dzikie zwierzęta w południowym Egipcie.

Fabiola odwróciła się, żeby ukryć uśmiech. Romulus często udawał bestiariusza, lecz został gladiatorem. Poczula ogromny smutek, ale nie dała po sobie poznać zmiany nastroju i Korbulon niczego nie zauważył. W Lupanarze dobrze nauczyła się ukrywać emocje przed wszystkimi. Nawet przed Brutusem.

Nagle w jej głowie pojawił się obraz z przeszłości. Przypomniała sobie, że niedługo przed tym, jak zostali z Romulusem sprzedani, jej brat podsłuchiwał rozmowę Gemellusa z księgowym. Dotyczyła właśnie wyprawy w celu schwytania dzikich zwierząt, na których można byłoby zarobić, pokazując je gawiedzi w cyrku. To przedsięwzięcie mogło mu przynieść ogromne zyski. Bliźniacy byli mocno zdziwieni, że kupiec nie mógł pozwolić sobie na poniesienie kosztów inwestycji. Biednym niewolnikom bogactwo właściciela zawsze wydawało się niezmierzone.

– Zyski powinny były pozwolić mu na spłatę wszystkich długów – powiedziała spokojnie.

– Tyle tylko, że statki ze zwierzętami zatonęły – stwierdził Korbulon. – Znowu.

– Wszystkie?

– Co do jednego – odpowiedział *vilicus* ponuro. – Poszły na dno w czasie wielkiego sztormu.

– Prawdziwy pech... – Fabiola wciągnęła powietrze.

– Coś więcej niż pech. Pewien haruspik stwierdził, że to z powodu wściekłości samego Neptuna. – Korbulon zaklął siarczyście. Natychmiast zrobił się czerwony na twarzy, bo przypomniał sobie, z kim rozmawia. – Przepraszam, pani – mruknął.

Fabiola nagle postanowiła zadbać o swój autorytet w oczach niewolników. Brutus często tak robił, twierdząc, że niewolnicy powinni go szanować, a odrobina strachu i respektu nigdy nikomu nie zaszkodziła.

– Pamiętaj, kim jestem! – warknęła.

Korbulon od razu pochylił kark i czekał na karę. Może jego nowa, młoda pani nie różniła się od Gemellusa?

Tak naprawdę Fabiola słyszała w Lupanarze o wiele gorsze przekleństwa, ale przecież Korbulon nie mógł o tym wiedzieć. Wciąż jeszcze onieśmielona podczas wydawania rozkazów Fabiola poczuła, że reakcja zarządcy zwiększyła jej pewność siebie.

– Kontynuuj... – odezwała się łagodniejszym tonem.

Vilicus skinął głową wdzięczny, że nie zamierzała go ukarać.

– Gemellus nigdy nie wierzył w prorocтва, ale na krótko przed tym, jak stracił statki z ładunkiem, wspomniał o jednej przepowiedni...

Fabiola wyduła wargi.

– Haruspikowie karmią ludzi kłamstwami – wiele dziewcząt z Lupanaru wydawało znaczną część swoich skromnych oszczędności na wizyty u wróżbitów z nadzieją na jakiś znak od bogów, że któregoś dnia będą mogły porzucić swoje uwłaczające zajęcie. Fabiola nie знаła wielu przepowiedni, które się sprawdziły. A jeśli już tak się stało, zwykle nie miały one wielkiego znaczenia. Była przekonana, że nie powinna polegać na nikim innym oprócz siebie. I wierzyć w dobrą wolę Jowisza, który w końcu odpowiedział na jej modlitwy o odzyskanie wolności.

– To prawda, pani. Gemellus mówił to samo. Ale wtedy kupiec nie zapłacił za usługi jakiegoś oszusta, jednego z tych, których mnóstwo kręci się w pobliżu wielkiej świątyni. Ofiarę celebrował nieznamy haruspik z gladiuszem, który zgodził się na to tylko w drodze wyjątku – mężczyzna zamilkł nagle, po czym dokończył

szybko. – I właściwie wszystko się spełniło.

To wzbudziło jej ciekawość. Wróżbici nie nosili broni.

– Wyjaśnij – zażądała.

– Ten człowiek przewidział, że Krassus opuści Rzym i już nigdy nie wróci.

Fabiola otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. Wszyscy wiedzieli, że trzeci członek triumwiratu pragnął odnieść sukces militarny, aby zdobyć względy zwykłych obywateli. Wybór Krassusa na namiestnika Syrii był czymś więcej niż tylko sprzyjającą okazją do inwazji na Partię. Jednak kto mógł zakładać, że wyjazd do Syrii będzie jego ostatnim wyjazdem? Chyba tylko prawdziwy harusplik. Ktoś, kto może powiedzieć jej coś więcej na temat losów Romulusa.

– Co jeszcze powiedział? – spytała cicho.

Vilicus z trudem przełknął ślinę.

– Że sztorm zatopi jego statki i straci zwierzęta.

– To wszystko?

Korbulon nie patrzył jej w oczy. Unikając jej spojrzenia, zerkał to w prawo, to w lewo.

– Było jeszcze coś – przyznał zdenerwowany. – *Gemellus* wspomniał o tym tylko raz, gdy widziałem go po raz ostatni.

Fabiola nie zamierzała odpuścić.

– O co chodziło?

– Harusplik powiedział, że pewnego dnia jakiś człowiek stanie pod jego drzwiami.

Zamarła. *Romulus*?

– Wydawało mi się, że ta sprawa nie dawała mu spokoju – podsumował Korbulon.

– Nie gladiator?

– Nie, pani...

Nadzieja zniknęła tak szybko, jak się pojawiła.

– Żołnierz.

Serce niemal wyskoczyło jej z klatki piersiowej z radości.

Zdziwiony jej zainteresowaniem Korbulon spojrział niepewnie na dziewczynę.

Zobaczył jednak tylko nic nie znaczący, spokojny uśmiech. Z twarzy Fabioli niczego nie dało się wyczytać.

Nie gladiator! – przez głowę przelatowały jej szaleńcze myśli. – *Żołnierz! Przecież Romulus po ucieczce z Rzymu zaciągnął się do armii.* *Gemellus* wiedział, że *Romulus* go nienawidzi. Perspektywa spotkania się z nim oko w oko musiała wydawać się mu

przerażająca. Teraz wizyta w świątyni Jowisza stała się dwa razy ważniejsza niż wcześniej. Gdyby tylko mogła odnaleźć tamtego tajemniczego haruspika, może mogłaby zapytać go o losy Romulusa. To była tylko iskierka nadziei, ale Fabiola już dawno nauczyła się, że nigdy nie wolno się poddawać.

Ta właśnie niezachwiana wiara i pragnienie zemsty utrzymywały ją przy życiu.

Nagle zza murów okalających dziedziniec dobiegło ujadanie psów. Od czasu przyjazdu do Pompei Fabiola słyszała ten hałas już kilka razy, ale zwykle dochodził z oddali. W miarę jak stawał się coraz głośniejszy, zauważyła, że coraz większa liczba niewolników zerka ze strachem w oczach w kierunku, z którego dochodził.

– Co się dzieje?

– Psy. I *fugitivarii*, pani. – Gdy Fabiola spojrzała na niego nierozumiejącym wzrokiem, zarządca wyjaśnił. – Łowcy nagród. Ścigają uciekiniera.

Dziewczyna poczuła szybsze bicie serca, ale nie wpadła w panikę. *Jestem wolna. Nikt mnie nie ściga.*

W poszukiwaniu źródła dźwięku wyszli na rozległe płaskie pole otaczające willę. Każde takie pole dzielił od sąsiedniego mały murek z kamieni, rząd nagich drzew lub niski żywopłot. Wokół majątku rozciągały się pasy żyznej ziemi, które o tej porze roku leżały ugięte. Dwa tygodnie wcześniej pola zostały zaorane, żeby ziemia mogła odetchnąć, zanim zostanie obsadzona na wiosnę. Na części rosła jednak ozima pszenica, która zresztą już prawie dojrzała do zbiorów.

Fabiola lubiła spacerować wokół willi i podziwiać okolice. O tej porze roku krajobraz był raczej surowy, ale uwielbiała przyglądać się hałaśliwym wronom spieszącym do gniazd, wdychać rześkie powietrze, cieszyć się samotnością, wolnością i przestrzenią. Na ulicach Rzymu zawsze panował tłok. Życie w ciągle pełnym krzątaniu Lupanarze było zupełnie inne. Latyfundium dawało jej możliwość ucieczki od brutalnej rzeczywistości świata.

Jednak wkrótce i ten spokój miał się okazać iluzoryczny.

Korbulon pierwszy zauważył ruch.

– Tam! – wskazał na coś na polu.

Fabiola po chwili również dostrzegła postać, która pojawiała się i znikła w lukach żywopłotu jakieś dwieście kroków dalej. Korbulon miał rację. Uciekinierem był młody mężczyzna w poszarpanych łachmanach. Niewolnik. Wydawał się wyczerpany. Dolna część jego ciała pokryta była grubą warstwą błota, a na twarzy rysowała się desperacja.

– Pewnie chciał oszukać pościg i ukrył się w rzece – stwierdził *vilicus*.

Fabiola wielokrotnie spacerowała wzdłuż brzegu małej rzeczki, która oddzielała jej gospodarstwo od majątku najbliższego sąsiada. To miejsce już nigdy nie będzie dla niej takie samo.

Korbulon się skrzywił.

– To nigdy się nie udaje. *Fugitivarii* zawsze sprawdzają brzegi rzeki za pomocą długich tyczek. A jeśli ktoś nie próbuje skryć się w rzece, psy od razu naprowadzą ścigających na ślad.

Kobieta nie mogła oderwać oczu od uciekiniera, który nie przerywając biegu, rzucał spojrzenia za plecy.

– Dlaczego oni na niego polują? – spytała głucho, choć tak naprawdę znała odpowiedź.

– Bo jest niewolnikiem. A niewolnik jest własnością swojego pana.

Fabiola dobrze wiedziała, jak wygląda okrutna rzeczywistość. Wychodząc z tego samego założenia, Gemellus wielokrotnie gwałcił jej matkę. Sprzedał ją i Romulusa. I pozbawił życia Jubę, wielkiego Nubijczyka, który uczył jej brata, jak używać miecza. Właściciele niewolników mogli z nimi robić wszystko, co tylko chcieli. Byli panami ich życia i decydowali o śmierci. Rzymski system prawny – system, z którego dumni byli wszyscy obywatele – wspierał niewolnictwo i nie przewidywał żadnej kary za torturowanie czy zabicie własnego niewolnika.

Z najbliższego gaju wyskoczyła nagle wataha wielkich psów gończych, które na przemian wachały ziemię i wciągały powietrze, szukając zapachu zbiega.

Fabiola usłyszała, jak młody mężczyzna jęknął z przerażenia. To był okropny dźwięk.

Obserwowali rozgrywający się przed ich oczyma spektakl w milczeniu.

Na polu pojawiła się teraz grupa uzbrojonych mężczyzn, zachęcających psy okrzykami i gwizdami. Gdy ludzie ci dostrzegli wyczerpanego niewolnika, rozległy się ich radosne krzyki.

– Skąd on jest?

Vilius wzruszył ramionami.

– Kto to wie? Mógł uciekać wiele dni. Jest młody i silny. Słyszałem o pościgach, które trwały ponad tydzień – powiedział Korbulon niemal współczująco. – Ale te sukinsyny nigdy się nie poddają. A nikt nie może biec bez końca o pustym żołądku.

Fabiola westchnęła. Nikt nie nakarmi uciekiniera ani nie udzieli mu pomocy. Dlaczego ktoś miałby to robić? Rzym stawał się imperium, które wznosiło się na

fundamentach z wojny i niewolnictwa. Jego obywatele nie mieli powodu, aby pomagać tym, którzy chcieli pozbyć się krępujących ich pęt. Nikt nie zastanawiał się, że niewolnicy muszą znosić srogie kary, straszne warunki życia i głód. Oczywiście nie każdy niewolnik miał aż tak źle, ale to nie zmieniało faktu, że byli oni końmi roboczymi Republiki. To dzięki niewolnikom powstawały wspaniałe budynki, to oni pracowali w warsztatach i przy zbiorach. Rzym potrzebował niewolników. *Nie mają wielkiego wyboru* – myślała gorzko Fabiola. Karą za udzielenie pomocy uciekinierowi była śmierć. A kto chciałby umrzeć na krzyżu?

Dramat miał właśnie osiągnąć punkt kulminacyjny. Młody mężczyzna zdążył zbliżyć się do nich na pięćdziesiąt kroków, ale wyczerpany padł na kolana na wilgotną ziemię. Uniósł ręce w niemym błaganu. Fabiola musiała zamknąć oczy. Próba przeszkodzenia ścigającym, którzy wykonywali zlecenie zgodnie z prawem, nie byłaby dobrym pomysłem. Jeśli nie chciała ryzykować pozwu właściciela niewolnika, nie mogła nic zrobić.

Po chwili psy dopadły chłopaka.

Gdy specjalnie szkolone zwierzęta zaczęły brutalnie szarpać uciekiniera, jakby był szmacianą lalką, powietrze przeszyły jego straszliwe krzyki. Fabiola obserwowała wszystko z przerażeniem. Mogła odetchnąć dopiero po kilku chwilach, gdy jeden ze ścigających odciągnął zwierzęta. Wkrótce pojawili się pozostali *fugitivarii*. Na cały zespół składało się kilkunastu, wyglądających na twardzieli, mężczyzn, ubranych w ciemne szaty, uzbrojonych w łuki, włócznie i miecze. Spod wełnianych płaszczy widać było miejscami błyszczący pancerz. Otoczyli uciekiniera ze wszystkich stron, śmiejąc się z głębokich ran od ugryzień na jego rękach i nogach. Widać, że dobrze się bawili. Jak zawsze.

Fabiola próbowała się powstrzymać. Co innego mogłaby zrobić?

Ciesząc się swoją zdobyczą, *fugitivarii* wydawali się nie zwracać zupełnie uwagi na obserwatorów. Moręgowate psy warowały na ziemi z wywieszonymi czerwonymi językami, zwisającymi z szerokich paszcz pełnych ostrych zębów. Podobne zwierzęta pilnowały willi Fabioli. Na noc spuszczano je z łańcuchów, żeby broniły domu przed niepożądanymi gośćmi. Te jednak były o wiele lepiej umięśnione i wyglądały jeszcze bardziej złowrogo.

Leżący na ziemi niewolnik przyjął pozycję embrionalną. Teraz jęczał już tylko cicho, a krzyczał, gdy któryś z oprawców go uderzył. Potem coś się zmieniło. Najbliższy z mężczyzn pastwiących się nad chłopakiem wreszcie zauważył Fabiolę i Korbulona. Gdy dostrzegł dobrze ubraną kobietę, noszącą biżuterię, wycedził tylko

cicho kilka słów, zwracając się w kierunku krępego mężczyzny, który wydawał się dowódcą grupy. Ten, zamiast odpowiedzieć, wymierzył potężnego kopniaka w pierś niewolnika.

Chłopak wydał stłumiony krzyk.

Fabiola nie mogła uwierzyć w to, co widzi. Kopnięcie było tak mocne, że mogło złamać żebra.

– Zostaw go w spokoju – krzyknęła. – Jest ciężko ranny.

Stojący obok niej Korbulon chrząknął niepewnie.

W kręgu oprawców pojawiła się luka. Twarde, bezlitosne twarze obróciły się w stronę atrakcyjnej kobiety i zarządcy. Gdy mężczyźni przyglądali się czarnowłosej piękności, ich twarze zniekształciły żądze, a kilku pozwoliło sobie nawet na sprośne uwagi, choć na razie wypowiedane cicho. Zamożni ludzie budzili szacunek.

Fabiola zignorowała te głosy. Korbulon obserwował mężczyzn niepewnie.

Tymczasem oprawcy pozwolili niewolnikowi wstać. Jeden z *fugitivarii* dobył miecza i szturchnął chłopaka, sugerując, że może iść przed siebie, z dala od nich, w kierunku Fabioli. Zdezorientowany niewolnik nie wiedział jednak, czego od niego oczekują. Kolejne dźgnięcie ostrzem miecza wystarczyło, żeby znów zaczął szlochać. Tym razem jednak zrozumiał sugestię i zrobił kilka niepewnych kroków w kierunku willi. Zachwiał się, co zostało przyjęte drwinami i śmiechem. Kilku mężczyzn zaczęło rzucać w niego bryłkami ziemi. Chłopak przyspieszył tempa.

– Co oni robią? – zapytała przerażona Fabiola.

– Bawią się nim. I z nami. Czas wracać do domu, pani – Korbulon mruknął, a na jego twarzy pojawił się blady odcień szarości. – Zanim sprawy wymkną się spod kontroli.

Stopy Fabioli tkwiły w ziemi, jakby zapuściła korzenie.

Niewolnik znalazł się już całkiem blisko. Teraz zauważyła, że całe jego ciało było jedną wielką raną, na którą nie składały się tylko ugryzienia psów. Pod starą, poszarpaną tuniką widać było sączące się rozcięcia, które tworzyły brzydką kratownicę. Nie miała wątpliwości, że to efekt okładania batem na rozkaz jakiegoś brutalnego właściciela. Czy to dlatego uciekł? Niewolnik był młody. Fabiola oceniła, że nie może mieć więcej niż piętnaście lat. To był jeszcze chłopiec. Pot i spływające łzy tworzyły ciemne smugi na jego szczupłej twarzy. Był wychudzony i pewnie głodny. Z jego oczu wyzierała rozpacz.

– Pani... – Korbulon odezwał się nalegającym głosem. – To nie jest bezpieczne.

Fabiola nie mogła jednak oderwać wzroku od uciekiniera, który nie odważył się nawet na nią spojrzeć.

Minął ich jak w transie i ruszył dalej w stronę dziedzińca. Jak mysz raniona przez kota nie miał szans uciec zbyt daleko.

Fugitiviarii ruszyli za nim, a żołądek podszedł Fabioli do gardła. Rozejrzała się, ale żadnego z jej strażników nie było w zasięgu wzroku. Do tej pory rzadko zdarzało się, żeby byli potrzebni, i zwykle kręcili się gdzieś w pobliżu kuchennego pieca. Spędzali czas przy stole na opowiadaniu sprośnych dowcipów. Nawet niewolnicy znajdujący się na podwórku nie zauważyli, że dzieje się coś niedobrego.

Strach Korbulona stał się niemal namacalny. Zarządca zaczął nawet delikatnie ciągnąć Fabiolę za rękaw.

W tym momencie kobieta poczuła, że musi pomóc chłopakowi. Obróciła twarz w kierunku zbliżających się mężczyzn. Chociaż się bała, nie miała zamiaru chować się w willi, żeby uniknąć konfrontacji z tymi łajdakami.

A oni nieubłaganie zmierzali w jej kierunku. Zbliżyli się. Cisi. Z niecznymi zamiarami.

– Kto tu dowodzi? – wykrzyczała pytanie, składając dłonie, żeby powstrzymać ich drżenie.

– Pewnie chodzi o mnie, pani. Nazywam się Scewola, najstarszy *fugitivarius* – wycedził lider, bezczelnie składając się w półukłoncie. Potężnie zbudowany mężczyzna miał krótkie brązowe włosy i głęboko osadzone oczy. Nosił kolczugę legionisty, która osłaniała go od szyi do połowy ud, gladius w bogato zdobionej pochwie i sztylet na pasie. Jego nadgarstki zdobiły grube srebrne bransolety, które były też oznaką jego statusu. Wydawało się, że polowanie na uciekinierów było opłacalnym zajęciem. – Jestem do usług...

Jego oddanie się do dyspozycji było bardzo wieloznaczne. I takie miało być. Wyzywające. Pełne niedopowiedzeń.

Pozostali mężczyźni dobrze wiedzieli, o co chodzi. Zarechotali z zadowoleniem.

Fabiola zdawała sobie sprawę, że tak naprawdę jest bezbronna. A mimo to odezwała się pewnym, nieznoszącym sprzeciwu głosem.

– Wyjaśnij, co robisz na mojej ziemi.

– Na twojej ziemi? – Scewola zmrużył oczy. – Gdzie jest Gemellus?

Fabiola nie odpowiedziała.

Mężczyzna chwycił się jedynej szansy.

– Jesteś jego ostatnią kurwą?

Tym razem jego ludzie nie kryli się ze śmiechem.

Fabiola rzuciła mu lodowate spojrzenie.

– Ten zdegenerowany tłuścioch już nie jest właścicielem majątku. Teraz ja jestem tu panią i masz mi odpowiedzieć!

Scewola wyglądał na zaskoczonego.

– Nie wiedziałem – przyznał. – Od miesiący przebywaliśmy daleko na północy. Mieliśmy dobre łowy. Mnóstwo plemiennych szumowin ucieka z Galii.

– Cóż za szkoda, że wróciłeś na południe.

– Po prostu wykonujemy swoją pracę – odpowiedział *fugitivarius*. – Ścigaliśmy tego niewolnika przez trzy dni. Czy nie tak, chłopcy? Ale nikt nie ucieknie staremu Scewoli i jego ludziom!

– Czy sprawia ci przyjemność torturowanie niewolników, których złapiesz? – zapytała Fabiola cierpko.

Scewola uśmiechnął się, odsłaniając ostre zęby.

– Dzięki temu moi chłopcy są szczęśliwi. I ja też.

Mężczyźni zaśmiali się nieprzyjemnie.

Fabiola rzuciła mu miazdzące spojrzenie.

– Ten brudas miałby więcej powodów do krzyku, gdyby nie było tak cholernie zimno – Scewola zwierzył się niemal przyjaznym głosem. – Muszę rozpalić porządne ognisko, żeby dobrze rozgrzać moje żelaza! Ale poradzimy sobie z tym później. W obozie.

Teraz Fabiola poczuła przepętniającą ją wściekłość. Wiedziała doskonale, co Scewola ma na myśli. Jedną z najczęstszych kar, jakie wymierzano uciekinierom, było wypalanie im na czołach litery *F* jak *fugitivus*. To miało być ostrzeżenie dla innych niewolników. A jeśli tak ukarany niewolnik podjął drugą próbę ucieczki, najczęściej kończył swoje życie na krzyżu. To może tłumaczyć, dlaczego większość niewolników godziła się ze swoim losem. *Ale to nie dotyczy mnie* – pomyślała Fabiola – *ani Romulusa*.

– Znikaj stąd – wskazała tam, skąd przyszli. – Natychmiast!

– A kto mnie zmusi, pani? – Scewola spytał szyderczo i wskazał głową Korbulona. – Ten stary głupiec?

Jego ludzie sięgnęli po broń.

Vilicus zbłądł jak ściana.

– Pani... – wyszeptał – ... musimy wrócić do willi.

Fabiola wzięła głęboki oddech, uspokajając szybko bijące serce. Podjęła decyzję o konfrontacji ze Scewolą i teraz nie miała już innego wyjścia, chyba że poddać się i pogodzić z upokorzeniem.

– Jestem wybranką Decimusa Brutusa – oznajmiła głośno i wyraźnie. – Czy wiesz, kim on jest, ty szcurze kanałowy? – na twarzy Scewoli pojawiła się zimna maska wyrachowania. – Jednym z najbliższych współpracowników Juliusza Cezara – ciągnęła z dumą – i wysokim stopniem oficerem legionów. – Spojrzała na *fugitivarii*. Żaden z nich nie miał dość odwagi, aby odwzajemnić jej twarde spojrzenie. Żaden, z wyjątkiem Scewoli. – Jeśli coś mi się stanie, Brutus gotów jest zejść do Hadesu, żeby znaleźć i odpłacić się odpowiedzialnej za to szumowinie.

Przez chwilę wydawało się, że słowa Fabioli zrobiły na nich wrażenie. Odwróciła się, żeby odejść.

– Jesteś kurwą jednego ze sługusów Cezara, co? – odezwał się Scewola, przeciągając sylaby. – Policzki Fabioli zapłonęły, ale nie miała szansy zareagować. – W Rzymie są ludzie, którzy dobrze płacą za to, żeby zwolenników Cezara... – mężczyzna uśmiechnął się, sprawiając, że jego słowa zmroziły krew w żyłach – ... usuwać z równania.

Jego ludzie natychmiast okazali zainteresowanie.

Za to serce Fabioli fiknęło koziołka. Ludzie w Pompejach przekazywali sobie plotki o brutalnych morderstwach wielu mniej wpływowych sojuszników Cezara. Takich, których nie pilnowało zbyt wielu strażników. A Fabiola miała tylko trzech.

– Spodziewasz się Brutusa? – Fabiola nie odpowiedziała. W brzuchu poczuła pierwsze macki zimnego strachu. – Nie martw się – Scewola oblizwał wargi – ty nam wystarczysz. Chłopcy?

Fugitivarii przesunęli się do przodu, jakby byli jednym organizmem.

Przeżrana Fabiola spojrzała na Korbulona. Ten zachował się, jak na mężczyznę przystało. Ściskając bat w prawej ręce, zrobił pół kroku i stanął tak, żeby ją osłonić.

Scewola zaczął się śmiać głębokim, nieprzyjemnym śmiechem.

– Zabijcie tego głupiego starucha – rozkazał – ale sukę chcę mieć całą i żywą. Jest moja.

Jowiszu, największy i najlepszy – pomyślała zrozpaczona Fabiola – *po raz kolejny potrzebuję twojej pomocy.*

Usłyszała tylko syk mieczy wyciąganych z pochew. Korbulon wyprostował się

i zrobił jeszcze jeden krok naprzód.

Fabiola poczuła dumę wypełniającą jej serce na myśl o tym męznym, acz zupełnie beznadziejnym akcie odwagi. Potem spojrzała na zbliżających się oprychów. Żołądek podchodził jej do gardła. Umrą. Bez wątplenia ona zostanie najpierw zgwałcona. A nie ma nawet pod ręką żadnej broni.

Jednak *fugitivarii* zatrzymali się nagle zaledwie kilka kroków od zarządcy.

Twarz Scewoli zrobiła się fioletowa ze złości.

Fabiola i Korbulon wymienili zdziwione spojrzenia, a potem poczuli za plecami jakiś ruch.

Fabiola obróciła głowę i zobaczyła, jak w ich kierunku pędzili niemal wszyscy niewolnicy z podwórka. Ściskali w rękach kosa, młotki, siekiery, a nawet zwykłe deski. Było ich co najmniej czterdziestu. Nie ulega wątpliwości, że zostali zaalarmowani przez uciekiniera, który pojawił się na podwórzu willi, i spontanicznie podjęli decyzję, aby bronić swojej pani. Chociaż żaden z nich nie wiedział, jak walczyć z *fugitivarii*. Na myśl o tym, jakie ryzyko podejmują, w gardle Fabioli uformowała się wielka gula.

Gdy dotarli na miejsce, stanęli w szerokim półokręgu.

Zbiry Scewoli nie wyglądały na zbyt szczęśliwych. Uzbrojeni czy nie, teraz ich przeciwnicy mieli przewagę liczebną. A po buncie Spartakusa dwadzieścia lat wcześniej wszyscy wiedzieli, że niewolnicy też potrafią walczyć.

Fabiola spojrzała prosto w oczy Scewoli.

– Opuść moje latyfundium – nakazała. – Natychmiast.

– Nie odejdę bez uciekiniera – Scewola warknęła. – Przekaż mi go.

Korbulon pochylił głowę i posłusznie ruszył w stronę podwórka.

– Stój!

Vilicus zatrzymał się w miejscu.

– Nie dostaniesz tego nieszczęśnika – powiedziała spokojnie. – Zostaje tu.

Korbulon był wstrząśnięty.

Scewola uniósł brwi.

– Co powiedziałaś?

– Słyszałeś – odrzekła cicho Fabiola.

– Ten skurwysyn należy do Sekstusa Roscjusza. Nie do ciebie – ryknęła *fugitivarius*.

– To, co robisz, jest pogwałceniem prawa.

– Tak samo jak twoja napaść na obywatela. Ale nad tym się nie zastanawiałaś –

odpowiedziała impulsywnie Fabiola. – Zapytaj tego kupca, ile chce za chłopca. Natychmiast wysłę mu pieniądze.

Wściekły Scewola zacisnął pięści, najwyraźniej nieprzyzwyczajony do tego, że mu się odmawia ani do przegranych gier, które mogły doprowadzić do utraty twarzy.

Przyglądali się sobie przez dłuższą chwilę.

– To jeszcze nie koniec – *fugitivarius* mruknął przez zaciśnięte zęby. – Nikt, zwłaszcza taka wywyższająca się suka jak ty nie wchodzi w drogę Scewoli bez konsekwencji. Słyszysz? – Fabiola nie odpowiedziała. – Mam nadzieję, że ty i twój kochanek macie w drzwiach dobre zamki – w jego prawej ręce pojawił się nagle nóż. – I pół kohorty strażników. Będziecie potrzebowali jednego i drugiego.

Jego towarzysze zaśmiali się nieprzyjemnie, a Fabiola zadrżała.

Wsparty na duchu pewnością siebie właścicielki majątku Korbulon wykonał drobny gest. Niewolnicy ruszyli kilka kroków do przodu z uniesioną bronią.

Scewola zmierzył ich wzrokiem pełnym pogardy.

– Wrócimy tu.

Zebrał swoich ludzi i wycofał się po swoich śladach prosto przez błotniste pole.

Psy posłusznie podążyły za nimi.

Vilicus powoli wypuścił powietrze z płuc i odetchnął z ulgą.

Fabiola stała sztywna, obserwując *fugitivarii* dopóty, dopóki nie znaleźli się poza zasięgiem wzroku. Wewnątrz była strzępką nerwów. *Co ja zrobiłam? Powinam pozwolić im zabrać chłopca.* Jednak ta druga Fabiola, bardziej ludzka, cieszyła się. Czas pokaże, czy jej decyzja była mądra, czy nie.

– Pani?

Odwróciła się do *vilicusa*.

– Scewola jest bardzo niebezpiecznym człowiekiem – Korbulon ważył słowa. – I opląca go Pompejusz. – Fabiola posłała mu wdzięczny uśmiech i stary *vilicus* poddał się całkowicie jej urokowi. – Co więcej, ten parszywy pies naprawdę nie żartuje. Jego wrogowie po prostu znikają. Ci ludzie... – wskazał niewolników zgromadzonych wokół nich – ...następnym razem nie wystarczą.

– Wiem – odpowiedziała poważnie Fabiola, żałując po raz kolejny, że Brutusa nie ma przy niej.

Zrobiła sobie prawdziwego wroga.

Podróż do Rzymu zyskała teraz nowy wymiar i stała się o wiele pilniejsza.

Rozdział III

Vahram



Wschodnia Margiana, zima 53/52 r. p.n.e.

Scytowie rzucili się na nich na oślep, dziko krzycząc.

Brennus chwycił łuk jednego z martwych Partów i zdążył już wyeliminować czterech przeciwników, w tym trzech łuczników, którzy zranili Pakorusa.

To jednak i tak nie zmieniło ogólnego układu sił. Wróg wciąż posiadał miążdzącą przewagę liczebną i na każdego z Rzymian przypadało co najmniej dziewięciu Scytów. *Nie mamy szans* – pomyślał Romulus, trzeźwo oceniając sytuację. – *Jest ich za dużo*. Zacisnął zęby, przygotowując się na to, co wydawało się nieuniknione.

Brennus starał się dobrze wykorzystać wszystkie strzały z kołczanu i wysyłał w stronę wrogów jeden pocisk za drugim. Potem jednak zaklął i odrzucił łuk, żeby chwycić gladius.

Wtedy przyjaciele ruszyli w stronę przeciwnika ramię przy ramieniu.

Romulus otworzył usta ze zdziwienia, gdy zobaczył nad swoją głową szybującą w stronę Scytów jasną kulę ognia, oświetlającą miejsce walki wręcz magicznym blaskiem. Za nią poleciała kolejna. Pierwsza wylądowała przed najbliższym szeregiem Scytów. Wysoka ściana ognia natychmiast oddzieliła ich od przerażonych przeciwników. Druga kula rozbiła się na ramieniu jednego ze scytyjskich wojowników, podpalając jego ubranie. Płomienie wspięły się po ciele Scyta, z niesamowitą szybkością docierając do jego szyi i twarzy. Mężczyzna wył z bólu. Kilku jego towarzyszy rzuciło mu się na pomoc, ale wkrótce także w ich stronę poleciały kolejne płonące pociski. Atak Scytów załamał się.

– Lampy z oliwą – zawołał Romulus, który nagle zrozumiał, co się dzieje.

– Tarkwiniusz – powiedział Brennus, który znów chwycił za łuk i już zakładał

kolejną strzałę na cięciwę.

Uradowany widokiem swojego przyjaciela Romulus odwrócił się i stwierdził, że haruspik znajduje się zaledwie kilka kroków za nimi.

– Co tak długo?

– Widziałem drogę do Rzymu. Jeśli uda nam się stąd wydostać, jest nadzieja, że wrócimy.

Romulus poczuł, że jego serce z radości omal nie wyskoczy z piersi. Brennus roześmiał się głośno.

– Co widziałeś?

Tarkwiniusz zignorował jednak to pytanie.

– Podnieś Pakorusa – powiedział. – Szybko!

– Jak to? – Romulus sprzeciwił się nieśmiało. – Ten drań i tak umrze. Uciekajmy, nie oglądając się na niego.

– Nie – odpowiedział twardo Tarkwiniusz. Rzucił dwie ostatnie lampy oliwne. – Zginiemy, jeśli ruszymy na południe w tych warunkach. Musimy wrócić do fortu.

Gdy ogniste pociski trafiały w cele, słyszeli wrzaski płonących żywcem Scytów.

– Te były ostatnie.

Musieli ruszać. Romulus chwycił Pakorusa za nogi. Zaklął pod nosem. Brennus stanął po drugiej stronie i złapał Parta pod pachami. Unieśli go do pionu tak delikatnie, jak tylko się dało, i po chwili Pakorus zwiślał bezwładnie na ramionach Gala. Był miękki i bezsilny, niczym szmaciana lalka. Krew płynąca z jego ran wsiąkała w płaszcz Brennusa. Jako że Gal zdecydowanie górował nad pozostałą dwójką siłą fizyczną, tylko on mógł pokonać odległość dzielącą ich od fortu z takim ciężarem na plecach.

– Którędy? – Romulus rozejrzał się. Za plecami mieli skalną ścianę, zatem mogli skierować się na północ, na południe lub na wschód.

Tarkwiniusz pokazał ręką kierunek.

Północ. Mieli tak wielkie zaufanie do haruspika, że nikt nie zamierzał oponować. Ruszyli bez wahania w ciemność, zostawiając za plecami chaos ognia i śmierci.

Na szczęście pogoda im sprzyjała. Z nieba sypał gęsty śnieg, który bardzo ograniczał widoczność i zacierał ich ślady. Nikt nie próbował ich ścigać. Romulus doszedł do wniosku, że Scytowie wiedzieli, iż rzymski fort znajduje się niedaleko. Jego świetna orientacja w terenie została jakoś dziwnie zaburzona, chociaż też

wiedział, że nie może dzielić ich od fortu długa droga. Dlatego był wielce rad, że Tarkwiniusz zdawał się dokładnie wiedzieć, jak dojść do obozu. Gdy stale padający śnieg zbierał się w coraz większe zasy, temperatura spadła do wyjątkowo niskiego poziomu. Gdyby w takich warunkach zgubili drogę, mieliby nikłe szanse odnalezienia fortu. Otaczało ich pustkowie, a jedynymi obiektami stworzonymi przez człowieka w tej okolicy był właśnie rzymski fort oraz w jego pobliżu kilka chat, wzniesionych z glinianych cegieł wysuszonych w słońcu. Królestwo Partii było słabo zaludnione, a przy wschodniej rubieży żyła zaledwie jedna dziesiąta populacji. Niewielu ludzi świadomie wybierało do życia właśnie tę krainę, często byli to jeńcy wojenni lub żołnierze służący w garnizonach, którzy nie mieli wyboru.

Trójka przyjaciół przedzierała się przez śnieżną zasłonę w milczeniu. Zatrzymywali się od czasu do czasu, aby sprawdzić, czy na pewno nikt za nimi nie podąża. W końcu z mroku wyłonił się znajomy prostokątny kształt. Dotarli do fortu.

Romulusowi wyrwało się ciche westchnienie ulgi. Chyba nigdy wcześniej tak nie przemarzył. Może gdy znajdą się za murami i trochę rozgrzeją, Tarkwiniusz podzieli się z nimi swoją wizją. Tylko myśl o ucieczce utrzymywała go ostatnio przy życiu.

Brennus również wyglądał na zadowolonego. Nawet on marzył już tylko o tym, żeby odpocząć.

Po obu stronach masywnych skrzydeł bramy wznosiły się drewniane wieże strażnicze. Takie same znajdowały się na każdym z rogów budowli. Pomiędzy nimi na murze można było dostrzec kilka mniejszych stanowisk obserwacyjnych. Ściany fortu wykonano z mocno ubitej ziemi, która została zebrana podczas kopania trzech głębokich rowów, otaczających fortalicję. Wypełnione żelaznymi kolczatkami *fossae* znajdowały się również w zasięgu pocisków wystrzeliwanych przez obrońców zajmujących pozycje na drewnianych podestach, biegnących wzdłuż murów. Do bram na każdym z boków fortu można było dostać się tylko po utwardzonej, nieosłoniętej drodze.

Spodziewali się, że w każdej chwili usłyszą wezwanie wartowników.

Co ciekawe, rzymski fort nie był konstrukcją obronną, którą wykorzystywano by podczas bitew. Legioniści zazwyczaj, jeśli tylko mieli jakiś wybór, nie chowali się za murami. Budowla stanowiła osłonę tylko w przypadku niespodziewanego ataku. Gdy wróg pojawiał się w zasięgu wzroku, oficerowie zbierali swoich ludzi na *intervallum*, czyli za bezpiecznymi ścianami fortu, po czym maszerowali na zewnątrz, gotowi do walki. Ciężka piechota legionowa nie miała sobie równych podczas walki w otwartym terenie. *A dzięki zastosowaniu taktyki opracowanej przez Tarkwiniusza i odpowiedniemu*

szkoleniu – stwierdził z dumą Romulus – *Zapomniany Legion był w stanie teraz wytrzymać każde uderzenie, szarżę jazdy czy atak spieszonych wojowników.*

Zapomniany Legion mógł dać odpór każdemu wrogowi.

– Zatrzymajcie się na chwilę... – maszerujący obok Brennusa Tarkwiniusz sprawdził puls Pakorusa.

– Żyje jeszcze? – zapytał Gal.

– Ledwo, ledwo – odpowiedział Tarkwiniusz, marszcząc brwi. – Musimy się spieszyć.

Gdy Romulus spojrział na bladą twarz Pakorusa, zrozumiał powagę sytuacji. Minęło już wystarczająco dużo czasu, żeby *scythicon* zatruł cały organizm Parta. Dowódca legionu z pewnością wkrótce umrze, a oni, jako że byli jedynymi, którym udało się wydostać z zasadzki, zostaną zapewne pociągnięci do odpowiedzialności. Żaden szanujący się oficer partyjski nie oszczędzi ludzi, którzy do tego dopuścili. Uciekli Scytom, ale teraz czeka ich pewna egzekucja.

Tymczasem Tarkwiniusz pragnął uratować Pakorusa. A Mitra pokazał mu drogę powrotną do Rzymu.

Romulus chwycił się tej nadziei jak tonący brzytwy.

Wkrótce znaleźli się w odległości nie większej niż trzydzieści kroków od bramy i w zasięgu *pila* wartowników. A mimo to żaden z nich ich nie okrzyknął. To było nie tylko niezgodne z regulaminem, ale i bardzo niepokojące. Nikt nie powinien zbliżyć się do fortu na tak małą odległość, nie będąc nawet zauważonym.

– Leniwe psy pewnie grzeją się przy ogniskach – mruknął Romulus. Strażnicy mogli spędzić w ciepłej wartowni u podstawy każdej wieży tylko tyle czasu, ile trzeba na rozgrzanie zdrętwiałych palców rąk i stóp. W praktyce pozostawali tam tak długo, jak długo pozwalał im młodszy oficer.

– W takim razie trzeba ich obudzić! – Tarkwiniusz zbliżył się do bramy i uniósł swój topór. Uderzył kilka razy styliskiem w grube deski bramy, która wydała dudniący dźwięk.

Czekali w milczeniu.

Etrusk uniósł broń, żeby załomotać w bramę jeszcze raz, gdy nagle rozległ się charakterystyczny odgłos podkutych ćwiekami sandałów, stukających o drewniany podest powyżej. Tak jak się spodziewali, wartownicy zeszli z posterunków w wieży. Kilka chwil później zobaczyli bladą twarz mężczyzny.

– Kto tam? – w głosie wartownika przyglądającego się grupce pod murami

wyraźnie dawała się wyczuć bojaźń. Goście byli tu rzadkością. A co dopiero tacy, którzy pojawiali się w środku nocy! – Podajcie swoje imiona!

– Otwieraj, głupcze! – krzyknął zniecierpliwiony Romulus. – Pakorus jest ranny. Wartownik milczał, nie dowierzając.

– Ruszże się, kawałku śmierdzącego łajna! – zawołał Tarkwiniusz. Poskutkowało.

– Tak jest! Już się robi! – wyrzucił z siebie przestraszony wartownik. Odwrócił się i zaczął zbiegać w dół po schodach do znajdujących się poniżej pomieszczeń strażników, rycząc na swoich towarzyszy.

Chwilę później ciężki rygiel bramy odsunął się z głuchym trzaskiem. Skrzydło bramy poruszyło się, skrzypiąc. Za nim ich oczom ukazało się kilku szeregowych legionistów i zaniepokojony *optio*. Za brak natychmiastowej reakcji na grupę ludzi zbliżających się do fortu na pewno zostaną ukarani.

Tarkwiniusz przepchnął się jednak obok nich bez słowa. Romulus i Brennus ruszyli za nim. Wartownicy, którzy zerkali ciekawie na nietypowy „pakunek”, niesiony przez Brennusa, byli lekko zdezorientowani.

– Zamknąć bramę! – zawołał Tarkwiniusz.

– Gdzie są ludzie z oddziału Pakorusa? – zapytał *optio*.

– Nie żyją – warknął Tarkwiniusz. – Pod mitreum wpadliśmy w pułapkę Scytów.

Jego słowa zostały skomentowane pełnymi niedowierzania spojrzzeniami legionistów, którzy wciągnęli powietrze i wstrzymali oddechy.

Tarkwiniusz nie był w nastroju, aby opowiadać teraz całą historię.

– Poinformuj dyżurnego centuriona, a potem obsadźcie stanowiska. Mieście oczy szeroko otwarte.

Optio i jego ludzie zajęli się wykonywaniem rozkazów. Tarkwiniusz służył w legionie w stopniu centuriona i mógł ich ukarać tak samo jak Pakorus. Później i tak dowiedzą się, co się wydarzyło.

Tarkwiniusz ruszył szybkim krokiem Via Praetoria, główną ulicą fortu. Romulus i Brennus dotrzymywali mu kroku. Po obu stronach ciągnęły się rzędy długich, niskich drewnianych baraków. Każdy z nich mieścił osiemdziesięciu żołnierzy. Wszystkie w środku wyglądały podobnie. Składały się z jednego większego pomieszczenia dla centuriona, kilku mniejszych dla młodszych oficerów, a na pozostałej przestrzeni znajdowały się prycze legionistów. Dziesięć *contubernia* liczących sobie po dziesięciu żołnierzy zajmowało niewielkie pomieszczenia,

w których mieściły się tylko piętrowe łóżka, wyposażenie i żywność. Tak jak gladiatorzy, legioniści razem mieszkali, spali, ćwiczyli i walczyli.

– Romulus!

Chłopak odwrócił się na dźwięk przytłumionego okrzyku. W cieniu między budynkami zauważył jakiegoś mężczyznę. Po chwili zorientował się, że to Feliks, jeden z żołnierzy, z którym służył od samego początku w tej samej jednostce.

– Co tu robisz?

– Nie mogłem zasnąć – odpowiedział wesoło Feliks. Miał na sobie regulaminową tunikę i dźwigał standardowy zestaw broni legionisty. – Martwiłem się o was. Co się dzieje?

– Nic takiego. Wracaj na pryczę – odpowiedział Romulus krótko. Feliks dla swojego dobra nie powinien się do tego mieszać.

Jednak jego towarzysz dostrzegł już, że Brennus taszczy Pakorusa. Wciągnął powietrze, gdy dostrzegł strzały wystające z ciała dowódcy legionu.

– Bogowie... – wyszeptał. – Co tam się stało?

Romulus, ociągając się, opowiedział mu pokrótce o wydarzeniach tej nocy. Feliks kiwał głową i krzywił się od czasu do czasu. Choć mężczyzna nie miał wzrostu Romulusa i budowy Brennusa, był świetnym żołnierzem. Nieustępliwym i wytrwałym. Gdy ich kohorta została zdziesiątkowana i odcięta od reszty rzymskiej armii w czasie bitwy pod Carrhae, Feliks był jednym z tych, którzy nie wyłamali się z szyku. Nie próbował uciekać. Resztką oddziału, w skład którego wchodził też Romulus, Tarkwiniusz i Brennus, dowodzona umiejętnie przez centuriona o imieniu Bassiusz, została otoczona przez partyjskich konnych łuczników. Feliks pozostał wtedy z nimi. *Sam decyduje o swoim losie* – pomyślał Romulus, ciesząc się w duchu, że może na niego liczyć.

Nikt ich już nie zatrzymywał. Wciąż jeszcze była noc, a większość ludzi po prostu spała. Poza tym tylko starszy oficer ośmieliłby się zatrzymać i wypytywać Tarkwiniusza, a żadnego z nich akurat nie było w pobliżu. O tej porze pewnie jeszcze leżeli w łóżkach. Wkrótce grupka dotarła do *principia*, kwatery głównej legionu, która znajdowała się w miejscu przecięcia Via Praetoria z Via Principia, łączącej bramę wschodnią i zachodnią. Obie drogi dzieliły obóz na cztery równe części. W tymże miejscu znajdowała się również luksusowo wyposażona kwatera Pakorusa i nieco skromniejsze pomieszczenia starszych centurionów, partyjskich oficerów, którzy dowodzili poszczególnymi kohortami. W samym centrum mieściło się również *valedinarium*, czyli szpital, a także warsztaty stolarzy, szewców, garnarzy i innych

rzemieślników, pracujących na potrzeby legionu.

Legioniści pochodzili z różnych warstw społecznych i w cywilu wykonywali różne zawody, a dzięki temu legion składał się nie tylko z żołnierzy, ale i z utalentowanych inżynierów oraz rzemieślników. W związku z tym każdy był niemal samowystarczalny. *To jedna z tych cech, która sprawia, że wrogowie tak lękają się rzymskiej armii – pomyślał Romulus. Tymczasem Krassus jakimś sposobem obnażył jedyną słabość armii Republiki. Legiony właściwie nie posiadały jazdy, podczas gdy armia Królestwa Partów składała się w gruncie rzeczy z samej kawalerii! Tarkwiniusz na długo przed bitwą pod Carrhae wiedział, że to może stać się przyczyną ich zguby. Romulus od razu zrozumiał, jak niebezpieczna będzie konfrontacja samej piechoty z samą jazdą. Zwykli legioniści nie mieli nic do powiedzenia w kwestii taktyki stosowanej przez dowódców – pomyślał ze złością. Arogancki Krassus wlał prosto w pułapkę, doprowadzając do katastrofy. Nie dopuszczał do siebie myśli o tym, co może stać się z nieprzygotowanymi do walki na dystans oddziałami. A może nie potrafił dostrzec słabości swojej armii?*

W efekcie Zapomniany Legion miał teraz nowych dowódców. Okrutnych. Obcych.

Romulus westchnął. Większość partyjskich wyższych oficerów, może poza Dariuszem, dowódcą jego kohorty, była naprawdę bezwzględna. Tylko bogowie wiedzieli, co stanie się, gdy zobaczą rannego Pakorusa. Zapewne nie czekało ich nic dobrego.

Spod *principia* było już niedaleko do wysokich murów kwatery Pakorusa. Zbudowano ją na wzór rzymskiej willi na planie pustego w środku kwadratu. Za bramą frontową znajdowało się *atrium*, przedsionek, oraz *tablinum*, obszerny przedpokój. Z niego można było wyjść bezpośrednio na centralny dziedziniec, graniczący z zadaszonym przejściem do sali, w której spożywano posiłki, sypialni, łazienki oraz pomieszczeń administracyjnych. Romulus spędził jakiś czas w Seleucji i mógł przekonać się, że w porównaniu z Rzymianami Partowie z pewnością nie byli nacją wydającą zdolnych architektów i inżynierów. Poza wielkim łukiem bramy prowadzącej do miasta i wspaniałego pałacu Orodessa większość domów w stolicy królestwa zbudowano z utwardzanej w słońcu gliny. Nie wyróżniały się one rozmiarami. Romulus dobrze pamiętał reakcję dowódcy legionu, który ze zdumieniem oglądał swój nowy dom, gdy Rzymianie skończyli prace. Pakorus zachowywał się jak dziecko, które dostało nową zabawkę. Teraz jednak żadnym gestem nie dawał znać, że jest świadomy, iż dotarli do bramy wejściowej jego kwatery, której strzegło kilkunastu uzbrojonych w łuki i włócznie Partów. Legionistom nie ufano na tyle, żeby powierzać obowiązki wartownicze przy kwaterze

dowódcy legionu.

– Stać! – zawołał śniady oficer. Zerknął podejrzliwie na ciało wiszące na ramieniu Brennusa. – Kogo tam niesiesz?

Tarkwiniusz nie spuścił wzroku.

– Pakorusa – powiedział cicho.

– Źle się czuje?

Haruspik pokiwał głową.

– Jest ciężko ranny.

Part wystrzelił do przodu, nie dowierzając. Od razu zauważył szarość na twarzy Pakorusa.

– Co to za złe moce?

Szybko wyrzucił z siebie kilka krótkich rozkazów. Jego ludzie rozsypali się w wachlarz, otaczając grupę przyjaciół murem ostrych włóczni. Ci starali się, aby zachować spokój. Relacje z partyjskimi żołnierzami nigdy nie były najlepsze, a przecież właśnie przynoszą im ciężko rannego dowódcę.

Oficer zbliżył się ostrożnie do Tarkwiniusza, wyciągając z pochwy sztylet. Przystawił ostrze na płask do jego szyi.

– Natychmiast powiedz mi, co się stało – syknął, wyszczerzywszy zęby.

Tarkwiniusz nie próbował odpowiedzieć od razu, a oczy Parta ciskały gromy. Przesunął ostre jak brzytwa ostrze po szyi Tarkwiniusza, przekreślając je tak, żeby lekko naciąć skórę. Popłynęła cienka stróżka krwi.

Jego ludzie wciągnęli powietrze, zaskoczeni trochę odwagą młodszego oficera. Większość Partów traktowała Tarkwiniusza z szacunkiem i lękiem.

Milcząc, pokazując, że jestem silny – pomyślał Tarkwiniusz. – *To nie czas na umieranie.*

Feliks zeszytniał, ale Romulus skinął na niego, żeby go uspokoić i zapobiec gwałtownej reakcji. Tarkwiniusz wiedział, co robi. Na szczęście niski Gal po chwili się rozluźnił.

– Zostaliśmy zaatakowani przez Scytów – powiedział Romulus głośno. – Sam przyjrzyj się jego ranom.

Gdy oficer dowodzący wartownikami podszedł do Brennusa, nikt nie odezwał się ani słowem. Rozpoznał charakterystyczne dla Scytów strzały. Jednak wciąż jeszcze był bardzo nieufny.

– Gdzie reszta ludzi?

– Wszyscy nie żyją.

Oczy oficera rozszerzyły się ze zdumienia.

– Dlaczego żaden z was nie jest nawet ranny?

Romulusowi udawało się zachować spokój.

– Zasyпали nas strzałami spoza kręgu światła. My mieliśmy tarcze. I szczęście.

Part zerknął na Brennusa i Feliksa, ale Galowie pokiwali tylko głowami, potwierdzając słowa Romulusa. Oficer spojrzął ostatni raz na Tarkwiniusza, z którego ciemnych oczu nie potrafił niczego wyczytać, po czym zwrócił się do Romulusa.

– Dowódca i Tarkwiniusz przeżyli, bo w tym czasie znajdowali się w mitreum – kontynuował młody żołnierz. – Razem z Brennusem przebiliśmy się do wejścia, żeby spróbować ich uratować.

Oficer czekał na dalszy ciąg w ciszy.

– Pakorus został trafiony, gdy już prawie udało nam się uciec – podsumował Romulus, przypominając sobie z poczuciem winy, że nie spieszył się z przekazaniem swojej *scutum* Pakorusowi. Jeśli przeżyje, będzie to pamiętać. Ale tym będzie martwić się później. Teraz cieszył się, że to nie w jego żyłach krąży trucizna, jaką wysmarowane były groty strzał. – Brennus doniósł go aż tutaj.

– Po co? – Part zadrwił. – *Scythicon* i tak go zabije. Dlaczego mielibyście smucić się śmiercią dowódcy?

Romulus zamilkł niepewny.

– Jest naszym wodzem – zaprotestował Tarkwiniusz. – Bez niego Zapomniany Legion jest niczym.

W oczach przysłuchujących się rozmowie Partów dostrzegli niedowierzenie.

– Mam w to uwierzyć? – warknął oficer. Rzymianie nie mieli zbyt wielu powodów, żeby troszczyć się o stan zdrowia swoich oprawców. Szczególnie kogoś takiego jak Pakorus. Wszyscy dobrze zdawali sobie z tego sprawę.

– Mogę pomóc Pakorusowi. Zatrzymuj mnie dłużej, a staniesz się winny jego śmierci.

Przechytrzony oficer zrobił krok do tyłu. Widział, jak ciężko ranny jest Pakorus. I nie chciał być w żadnym razie oskarżany później o to, że celowo utrudnił ratowanie dowódcy. Jakkolwiek dziwnie to wyglądało, w rzeczywistości w forcie był tylko jeden człowiek, który mógł wyleczyć śmiertelnie rannego Parta.

Tarkwiniusz.

– Pozwólcie im przejść – rozkazał wartownikom.

Jego ludzie opuścili broń, a jeden z nich zajął się pośpiesznie otwieraniem ciężkiej bramy, umożliwiając całej grupie wejście do rezydencji. *Atrium* willi było skromne, a jego podłogę wykonano z wypalanej cegły, a nie z ozdobnej mozaiki, która często upiększała rzymskie wille. Nie zdziwili się bardzo tym, że w środku nie natknęli się na żadnego ze służących. Okrutny Pakorus prowadził ascetyczny tryb życia i nie potrzebował zbyt wielu sług.

– Przynieście moją skórzaną torbę z *valetudinarium* – zawołał haruspik, pokonując *tablinum* i wychodząc prosto na dziedziniec. – I pospieszcie się!

Oficer, który został przy bramie, szybko wydał polecenia, wysyłając któregoś ze swoich ludzi do lazaretu.

Starsi oficerowie pewnie zaraz się o wszystkim dowiedzą – pomyślał gorzko Romulus. – *Jeśli już nie są w drodze.* Przełknął ślinę, odmawiając gorącą modlitwę do Mitry, boga, o którym tak naprawdę niewiele wiedział. Partowie byli wyznawcami mitraizmu. I wyglądało na to, że ich bóg pokazał Tarkwiniuszowi, jak mogą się stąd wydostać. Musi znaleźć się jakiś sposób, żeby wyszli cało z tej opresji. Romulus jednak nie widział jeszcze światełka w tunelu. *Pomóż nam, Mitro* – modlił się. – *Prowadź nas.*

W dużej sypialni Pakorusa palił się ogień. Jego płomień oświetlał całe pomieszczenie – grube kobierce na ścianach i haftowane poduszki rozłożone na podłodze pod ścianami. Poza obitymi żelazem skrzyniami jedynym meblem w pomieszczeniu było duże łóżko, przykryte zwierzęcymi skórami. Dwóch służących, lokalnych chłopów, najwyraźniej zaskoczonych ich przybyciem, natychmiast poderwało się na nogi. Leżeli na ziemi, przy palenisku, osłoniętym glinianymi cegłami. Za ogrzewanie się w pomieszczeniach należących do właściciela w innych okolicznościach czekałaby ich zapewne ciężka chłosta. Na widok niecodziennej grupki aż otworzyli usta. Chyba poczuli małą ulgę, gdy zobaczyli, że Brennus dźwiga Pakorusa na ramionach. Dzisiaj nie będzie żadnej kary.

– Więcej światła – rzucił krótko Tarkwiniusz. – Przynieście czyste koce i pościel. I muszę mieć dużo wrzątku!

Przestraszeni służący nie odważyli się nawet odezwać. Jeden z nich natychmiast wybiegł, żeby wykonać polecenia Etruska, podczas gdy drugi chwycił cienką świeczkę i zaczął zapalać lampy oliwne, rozmieszczone na ścianach. Światło, rozświetlające z wolna mrok pomieszczenia, pozwoliło im dostrzec mały drewniany ołtarzyk, stojący w jednym rogu. Leżało na nim wiele kawałków świec. Nawet Pakorus od czasu do czasu potrzebował łaski bogów. Wśród resztek świec wotywnych stał mały posążek, przedstawiający mężczyznę w płaszczu i frygijskiej

czapce, który odciągał głowę klęczącego byka tak, żeby zagłębić w jego karku sztylet. Romulus nigdy wcześniej nie widział takiego wyobrażenia boga, ale podświadomie wyczuwał, z czym ma do czynienia.

– To Mitra? – spytał szeptem.

Tarkwiniusz skinął głową.

Romulus pochylił czoło z szacunkiem i zmówił krótką, żarliwą modlitwę.

Brennus ruszył w kierunku łoża. Feliks starał się jakoś pomóc.

Tarkwiniusz spojrział na figurkę z zaciekawieniem. Przed wejściem do mitreum widział taki posążek tylko raz. W Rzymie. Należał do jednorękiego weterana, który pomógł mu odszukać człowieka odpowiedzialnego za śmierć Olenusa, jego mentora. *Sekundus. Czy tak nazywał się ten legionista? Dobry człowiek. Jednak on niewiele mówił o swojej religii.* Od tego czasu Tarkwiniusz starał się poszerzyć swoją wiedzę o mitraizmie. A dzisiejszej nocy znalazł się w świątyni i miał wizję, którą zesłał mu sam Mitra. Jeśli Pakorus przeżyje, może dowie się czegoś więcej? Możliwe, że dzięki temu uda mu się wreszcie zdobyć jakieś informacje na temat pochodzenia Etrusków.

Polano w palenisku pękło na dwie części, wzbijając w powietrze snop pomarańczowo-żółtych iskier. Tarkwiniusz zmrużył oczy i śledził drogę maleńkich iskierek złotych drobinek, które zanim wyfrunęły przez komin, wiły się w pełnych wdzięku spiralach i zwrotach. To był dobry znak.

Romulus zauważył, z jaką uwagą haruspik przygląda się iskierkom, i poczuł rodzącą się w jego sercu nadzieję.

Wielki Mitro! – Tarkwiniusz modlił się z namaszczeniem. – *Chociaż ten ranny człowiek jest moim wrogiem, jest też twoim uczniem. Pozwól mi go ocalić. Bez twojej pomocy z pewnością umrze.*

Brennus z pomocą Feliksa ułożył nieprzytomnego Parta na łożku.

Sługa, który pozostał w pomieszczeniu, z przerażeniem obserwował, jak Tarkwiniusz wyciąga długi sztylet.

Jego reakcja sprawiła, że Etrusk roześmiał się cicho.

– Jakbym czekał do tej chwili, żeby go zabić...

Haruspik pochylił się nad Pakorusem i zaczął rozcinać nasączone krwią ubranie rannego, pozostawiając na razie promienie strzał w ranach. Kilka chwil później Part był nagi jak w dzień, kiedy się narodził. Jego zazwyczaj brązowa skóra miała teraz niezdrową, szarą barwę. Ledwo zauważali płytkie ruchy klatki piersiowej.

Gdy Romulus uświadomił sobie, jak poważne są obrażenia dowódcy legionu, zamknął oczy. Ciało wokół każdej rany zmieniło kolor na jasnoczerwony. Był to

wyraźny znak, że *scythicon* zaczął działać. Jednak najgroźniejsza była rana w klatce piersiowej. To, że Pakorus jeszcze żył, można było uznać za cud. Strzała utkwiła bowiem między dwoma żebrami bardzo blisko serca.

– Ta rana jest śmiertelna – powiedział Brennus cicho.

Tarkwiniusz uniósł tylko w milczeniu brwi, zastanawiając się, od czego zacząć.

Feliks długo, powoli wciągał powietrze do płuc.

– Po co przytargaliście go aż tu?

– Musi przeżyć – odpowiedział Tarkwiniusz. – Jeśli umrze, nas czeka ten sam los.

Brennus bezgranicznie ufał haruspikowi. Etrusk znał przepowiednię druida, który przewidział przyszłość Gala, zanim całe jego plemię zostało starte z powierzchni ziemi.

Jednak Feliks wyglądał na zmartwionego.

Romulus wiedział, co może czuć ten niski Gal. Jednak Tarkwiniusz miał rację. Warunki pogodowe i niska temperatura sprawiały, że jakakolwiek dłuższa eskapada byłaby zbyt niebezpieczna bez odpowiedniego przygotowania i zgromadzenia zapasów. Nie mieli w związku z tym wielkiego wyboru i musieli wrócić do fortu. Teraz jednak ich los zależał od umierającego człowieka, leżącego na łóżku. A może raczej od umiejętności Tarkwiniusza? Rany Pakorusa były tak poważne, że uratowanie go wydawało się zadaniem niewykonalnym. Wzrok Romulusa powędrował nieświadomie w kierunku posążka na ołtarzu. *Mitro! Potrzebujemy Twojej pomocy!*

W tej właśnie chwili w pomieszczeniu pojawiła się większa grupa podekscytowanych, ale i zdenerwowanych służących Pakorusa. Przewodził im mężczyzna, którego przyłapali na ogrzewaniu się przy palenisku. Dźwigali koce, lniane prześcieradła i misy z brązu pełne parującego wrzątku. Wszystko to szybko znalazło się przy łóżku. Romulus natychmiast kazał im wyjść. W pokoju zostało tylko dwóch znanych im już wcześniej służących, którzy teraz trzymali w rękach dodatkowe lampy oliwne, żeby zapewnić haruspikowi jeszcze więcej światła. Chwilę później przybył także jeden ze strażników z torbą Tarkwiniusza. Zbladł, gdy zobaczył, w jakim stanie jest Pakorus. Mruczając pod nosem jakąś modlitwę, wycofał się pospiesznie i stanął przy drzwiach.

Tarkwiniusz natychmiast zajął się przygotowaniem zestawu narzędzi chirurgicznych. Wybrane instrumenty od razu wkładał do misy z wrzątkiem. Pozostałe starannie odkładał na bok, na wypadek gdyby okazały się potrzebne. Wśród nich były skalpele, kleszcze i haki, dziwnie wyglądające sondy i łopatki oraz

kilka rodzajów piłek do kości. Znalazła się także szpulka brązowych nici, wykonanych z owczego jelita. Przycięte fragmenty jelita, wysuszone, a następnie skręcone w wytrzymałą nić, mogły być używane do łączenia większości tkanek z wykorzystaniem trójkątnych lub zaokrąglonych igieł. Romulus wiele razy obserwował, jak haruspik sprawnie posługuje się swoimi narzędziami. Choć w legionie znalazło się kilku utalentowanych chirurgów, nawet profesjonalści byli pod wielkim wrażeniem talentów Tarkwiniusza.

Dzięki niemu z ciężkich opresji wychodzili żołnierze, którzy w innych warunkach nie mieliby wielkich szans na przeżycie. Etrusk potrafił sprawnie łątać rozerwane tętnice i zapobiegać utracie zbyt wielkiej ilości krwi, prowadzącej do śmierci. Łączył ścięgna, przywracając funkcjonowanie mogących stać się bezużytecznymi kończyn i palców. Potrafił wykonywać nawet trepanację czaszki, usuwając skrzepy z mózgu po przecięciu skóry i przepiłowaniu kości czaszki. Tarkwiniusz wiele razy powtarzał, że jego zdaniem kluczem do sukcesu jest doskonała znajomość anatomii i absolutna czystość. Operacje przeprowadzane przez Tarkwiniusza fascynowały Romulusa i teraz też młody żołnierz przysunął się bliżej łóżka, żeby śledzić poczynania chirurga. Opatrzanie ran Pakorusa z pewnością będzie dla Tarkwiniusza prawdziwym wyzwaniem. W odróżnieniu od stosunkowo czystych ran, zadanych ostrymi jak brzytwa *gladii* lub ostrzami włóczni, te, w których tkwiły scytyjskie strzały z zadziorami, były poszarpane i zanieczyszczone trucizną.

Pakorus znajdował się już w połowie drogi do Hadesu.

W pełni świadomy stojących przed nim wyzwań Tarkwiniusz spojrział jeszcze raz na posążek na ołtarzu i pochylił głowę z szacunkiem. – *Mitro! Pomóż mi jeszcze raz!*

Ten gest nie uszedł uwadze Romulusa.

Gdy Tarkwiniusz zabierał się do operacji, twarz Feliksa zmieniła się.

– Czas ogrzać zdrętwiałe członki – mruknął niski Gał, po czym z westchnieniem usiadł przy ognisku. Niewielu ludzi z własnej woli chciało być świadkami pracy chirurga.

Jednak ani Romulus, ani Brennus nie ruszyli się z miejsc.

– Trzymajcie jego ręce – powiedział szybko Tarkwiniusz. – Może się obudzić. To naprawdę śmierdzi.

Wyciągnął zębami korek z małej buteleczki i wylał odrobinę dziwnie pachnącego płynu na czystą szmatkę.

– *Acetum?* – spytał Romulus.

Tarkwiniusz pokiwał głową.

– Ocet doskonale przeciwdziała zakażeniom.

Przyglądali się, jak haruspik delikatnie oczyszcza rany. Pakorus nawet się nie poruszył.

Tarkwiniusz zajął się w pierwszej kolejności raną na ramieniu. Przeciął promień strzały i użył metalowej sondy, żeby wyciągnąć grot z zadziorami. Szybko powstrzymał krwawienie, posługując się specjalnymi zaciskami, po czym zaszył ranę nicią z jelit. Następnie połączył kolejne warstwy mięśni. Podobnie potraktował ranę na nodze. Najwięcej pracy czekało go jednak przy strzale, która utkwiła w klatce piersiowej. Użył specjalnych rozwieraczy, żeby przesunąć żebra i wyciągnąć grot.

– Tę ranę trzeba będzie szybko zamknąć – wyjaśnił. – Jeśli do jamy klatki piersiowej dostanie się za dużo powietrza, Pakorus umrze.

Romulus pilnie obserwował wszystkie poczynania Tarkwiniusza. Zdobywał coraz więcej informacji z zakresu medycyny. Ciągłe jednak zadawał przyjacielowi nowe pytania dotyczące spraw technicznych.

– Chyba widziałeś już dość – westchnął haruspik. – Prawdziwym sprawdzianem będzie zoperowanie jakiegoś rannego żołnierza.

Romulus wzdrygnął się na myśl o tym, że miałby sam zajmować się leczeniem rannych. Czym innym jest opatrzenie kogoś w ogniu walki, a czym innym grzebanie komuś we wnętrzościach na stole operacyjnym!

– Zobaczysz jeszcze wiele ofiar i mnóstwo rannych – zawyrokował Tarkwiniusz. – Ja nie zawsze będę w stanie dać sobie radę ze wszystkimi.

Romulus skinął głową ze zrozumieniem. To, co powiedział Tarkwiniusz, choć brutalne, było prawdziwe. Romulus dobrze wiedział, że haruspik zajmował się tylko tymi, którzy mieli jakąś szansę na przeżycie. Bardzo ciężko rannych legionistów często pozostawiano bez pomocy. Jeśli mieli szczęście, dostawali wywar z mandragory lub uśmierzające ból *papaverum*, dzięki któremu ich odejście stawało się łatwiejsze. Jednak większość z nich umierała w męczarniach. Każda próba uratowania życia, nawet przez tak niedoświadczonego chirurga jak Romulus, byłaby lepsza niż pozostawienie legionisty własnemu losowi. Młody żołnierz czuł się mocno zmotywowany do tego, by zapamiętywać nawet najdrobniejsze szczegóły.

W końcu przedłużająca się operacja dobiegła końca. Mruczając pod nosem, Tarkwiniusz wyciągnął zza pazuchy mały woreczek z proszkiem, którym posypał delikatnie rany Parta. Poczuli silny zapach stęchlizny.

– Nie widziałem, żebyś wcześniej tego używał – skomentował zaciekawiony Romulus.

– Niektórzy nazywają ten proszek *mantar* – odpowiedział harusspik, zawiązując ostrożnie woreczek. – Niewielu w ogóle zdaje sobie sprawę z jego istnienia. Ja natknąłem się na niego dawno temu w Egipcie i od tamtej pory nigdzie go nie spotkałem. – Zważył woreczek w dłoni. Wyglądało na to, że jest lekki jak piórko. – To kosztowało mnie trzy talenty.

– Ile było tego proszku? – zapytał Romulus.

Tarkwiniusz wyglądał na rozbawionego.

– Kiedy go kupowałem? Jakież trzy łyżeczki.

Przyjaciele spojrzeli na niego z nieskrywanym zdziwieniem. Wspomniana ilość szlachetnego kruszcu wystarczyłaby każdemu człowiekowi, żeby przeżyć życie w luksusie.

Wydawało się, że Tarkwiniusz tym razem był bardziej rozmowny niż zazwyczaj.

– Ta substancja doskonale sprawdza się w walce z zakażeniami. – Woreczek szybko znów zniknął pod jego tuniką.

– Nawet tymi wywołanymi przez *scythicon*? – Romulus nie potrafił ukryć zwątpienia w głosie.

– Zobaczmy – odpowiedział Tarkwiniusz, ponownie spoglądając na posążek Mitry. – Już wcześniej uratowałem dzięki niemu życie człowiekowi.

– Skąd się go bierze?

Haruspiak uśmiechnął się tajemniczo.

– To starty na pył, rzadko spotykany niebiesko-zielony grzyb.

Brennus pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Podobny do tego, który czasami wyrasta na chlebie?

– To możliwe. Lub na niektórych przejrziałych owocach. Nigdy nie udało mi się tego dowiedzieć – Tarkwiniusz westchnął. – Wiele grzybów jest trujących, więc trudno się z nimi eksperymentuje.

Romulus poczuł się naprawdę zaintrygowany myślą, że coś, co rośnie na gnijącej materii, może zapobiegać prowadzącemu do śmierci zakażeniu, które wdaje się po ranie brzucha lub ukąszeniu przez zwierzęta.

Brennus powiedział z wyrzutem:

– Czy nie lepiej byłoby oszczędzić go dla naszych towarzyszy?

– Może masz rację... – Tarkwiniusz wpatrywał się w Brennusa swoimi ciemnymi oczyma. – Jednak nasze życie zależy teraz od stanu zdrowia Pakorusa.

Gal westchnął. Nie martwił się o siebie. Bardziej na sercu leżały mu losy

Romulusa. A Tarkwiniusz trzymał w dłoniach klucz do ich przyszłości. Tego był pewien. Co oznaczało, że Pakorus również musi przeżyć.

Podczas operacji Part nawet nie otworzył oczu. Tylko słaby oddech świadczył o tym, że jeszcze żyje.

Tarkwiniusz odchylił się wreszcie i spojrzał na swoje dzieło. Zamilkł, zapadając się w siebie.

Romulus rzucił mu pytające spojrzenie. Haruspik zachowywał się tak samo jak wtedy, gdy szukał wskazówek w wietrze lub gdy analizował układ chmur na niebie.

– Ma małe szanse – stwierdził w końcu po dłuższej chwili milczenia – ale jego aura trochę się wzmocniła. Dziękuję ci, wielki Mitro!

Romulus pozwolił sobie na słabe westchnienie ulgi. Jeszcze może im się udać.

– Unieście go trochę, żebyśmy mogli owinąć rany bandażami.

Etrusk podarł kilka prześcieradeł na kawałki odpowiednich rozmiarów, a służący posłusznie wykonali polecenie. Już miał zacząć owijać ranę na piersi Pakorusa, gdy nagle drzwi do pomieszczenia otworzyły się z impetem. Strażnik stanął na baczność, a do środka wpadło ośmiu śniadoskórych oficerów. Z ich ciemnych oczu wyzierały gniew i niepokój. Wszyscy byli ubrani w drogie tuniki i bogato haftowane spodnie, ciasno opinające skórę na nogach. Pochwy mieczów i sztyletów wiszące u pasa były inkrustowane złotym drutem. Większość nowo przybyłych miała starannie przycięte krótkie brody i czarne, gładko zaczesane włosy.

– Co tu się dzieje? – krzyknął jeden z nich.

Wszyscy poza Tarkwiniuszem natychmiast zamarli w bezruchu. Romulus, Feliks i Brennus stanęli regulaminowo na baczność, kierując wzrok prosto przed siebie jak na placu ćwiczeń. W pomieszczeniu pojawili się bowiem sami najstarsi stopniem oficerowie Zapomnianego Legionu. Ludzie, na których spoczęłaby odpowiedzialność za legion, gdyby Pakorus zmarł.

W tym momencie głowa wciąż przytrzymywanego w pozycji siedzącej przez swoich służących dowódcy legionu opadła bezwładnie na pierś.

Zdumieni przybysze westchnęli jak jeden mąż.

– Panie? – odezwał się jeden z nich. Pochylił się nad Pakorusem i próbował zwrócić na siebie jego uwagę.

Nie było żadnej odpowiedzi.

Na twarzach oficerów pojawiły się wściekłe grymasy.

– Czy on nie żyje?

Romulus poczuł, jak przyspiesza mu puls. Spojrzał szybko na Pakorusa. Po chwili odetchnął z ulgą, gdy zobaczył, że Part ciągle jeszcze oddycha.

– Żyje – odezwał się Tarkwiniusz – ale jest bliski śmierci.

– Co mu zrobiłeś? – szczerknął Vahram, *primus pilus*, starszy centurion pierwszej kohorty, ich bezpośredni przełożony. Mężczyzna z potężnym torsem w średnim wieku, który był równocześnie zastępcą dowódcy legionu. – Wytłumacz się!

Romulus walczył z paniką. Przygotowywał się, żeby móc w każdej chwili wyciągnąć swój gladius. Brennus i Feliks również zastygli w oczekiwaniu, gotowi do walki. Nie dało się zignorować groźby w słowach Vahrama. Tym razem nie mieli przed sobą zwykłych wartowników, których stosunkowo łatwo dało się zastraszyć. Stali twarzą w twarz ze starszymi centurionami, którzy podobnie jak Pakorus dzierżyli pełnię władzy, decydując o życiu lub śmierci zwykłych żołnierzy.

Nozdrza Vahrama rozszerzyły się ze złości, gdy chwycił za broń.

Tymczasem Tarkwiniusz spokojnie uniósł ręce, pokazując najstarszemu rangą centurionowi otwarte dłonie.

– Mogę wszystko wyjaśnić – powiedział.

– Słucham – odpowiedział *primus pilus*. – I nie ociągaj się.

Romulus rozluźnił mięśnie ręki, która w międzyczasie spoczęła na rękojeści miecza. Cofnął się. Podobnie uczynili Brennus i Feliks. Wydawało im się, jakby balansowali na krawędzi przepaści.

Partowie w absolutnej ciszy otoczyli łóżko, na którym leżał Pakorus. Słuchając opowieści haruspika, Vahram zerkał od czasu do czasu podejrzliwie na twarze Rzymian. Oczywiście Tarkwiniusz ani słowem nie wspomniał o szukaniu sposobu powrotu do Rzymu.

Gdy skończył opowiadać, przez długą chwilę nikt się nie odzywał. Nie mieli pewności, czy Partowie uwierzyli w przedstawioną im historię. Romulus czuł się nieswojo. Mogli tylko czekać na reakcję. I modlić się.

– Bardzo dobrze – powiedział w końcu Vahram. – Sprawy mogły przybrać taki obrót, jak opisujesz.

Romulus powoli wypuścił powietrze z płuc.

– Jeszcze jedna sprawa, haruspiku – ręka Vahrama znów powędrowała ku rękojeści miecza. – Czy wiedziałeś, co się stanie?

Wirujący świat zatrzymał się w pędzie, a serce Romulusa zamarło na kilka uderzeń.

Ponownie oczy wszystkich zgromadzonych w pomieszczeniu spoczęły na Tarkwiniuszu.

Vahram czekał.

To niewiarygodne, ale Etrusk wybuchnął śmiechem, który wydawał się nawet dość naturalny.

– Nie widzę wszystkiego... – powiedział.

– Odpowiedz na moje pytanie – warknął Vahram.

– Widziałem wielkie niebezpieczeństwo. Tak. – Tarkwiniusz wzruszył ramionami.

– Nietrudno o nie w Margianie.

Ta odpowiedź nie zadowoliła Vahrama.

– Mów do rzeczy, ty skurwysynie! – zawołał, unosząc swój miecz.

– Czułem, że może zdarzyć się coś złego – przyznał haruspik – ale nie miałem pojęcia co.

Romulus przypomniał sobie szakala i to, jak razem z Brennusem stali daleko od ognia, przyglądając się ledwo widocznemu w mroku zwierzęciu. Ta decyzja uratowała im życie. Czy nie była dowodem świadczącym o łasce bogów? Chłopak spojrział na statuetkę Mitry powalającej byka i poczuł dreszcz.

– To wszystko? – zapytał ostro Vahram.

– Tak jest.

Romulus z uwagą wpatrywał się w oczy starszego centuriona. Nie umiał nic wyczytać z jego twarzy, podobnie jak z twarzy Tarkwiniusza. Nie ufał Partowi, chociaż nie do końca wiedział dlaczego.

– Dobrze... – napięcie opadło, a Vahram opuścił miecz wymierzony w Tarkwiniusza. – Kiedy Pakorus wydobrzeje?

– Może się okazać, że nigdy z tego nie wyjdzie – odpowiedział haruspik spokojnie. – *Scythicon* jest najpotężniejszą trucizną znaną człowiekowi.

Pozostali oficerowie wyglądali na niespokojnych. Tarkwiniusz skoncentrował wzrok na pulsującej żyłce na szyi Vahrama.

Ciszę zmącił nagle jęk Pakorusa.

– Zobacz jeszcze raz, czy wszystko w porządku! – rozkazał jeden z młodszych oficerów.

Tarkwiniusz pochylił się nad łóżkiem, sprawdzając puls mężczyzny i barwę jego dziąseł.

– Jeśli przeżyje najbliższe godziny, odzyskanie sprawności może potrwać –

oznajmił w końcu.

– Jak długo? – zapytał Ishkan, mężczyzna w średnim wieku o kruczoczarnych włosach.

– Dwa, może trzy miesiące.

– Nie opuścisz tego budynku, dopóki on nie wydobrzeje – stwierdził *primus pilus*.
– Pod żadnym pozorem!

Oficerowie zareagowali pełnymi akceptacji pomrukami.

– Co z moją centurią? – zapytał Tarkwiniusz.

– Pieprzyć ją! – wrzasnął Ishkan.

– Przejmie ją *optio* – stwierdził krótko *primus pilus*.

Tarkwiniusz skinął głową na znak, że rozumie.

Feliks i Brennus nieco się odprężyli. Mogło się wydawać, że nerwowa atmosfera została oczyszczona, ale Romulus ciągle czuł, że coś jest nie tak. Później z goryczą wspominał, że miał dobre przeczucie.

– Teraz zostawimy cię z tym... – Vahram ruszył ku drzwiom, a po chwili szybko obrócił się na pięcie. Z cichym warknięciem rzucił się na Feliksa z obnażonym mieczem. Gal nie zdążył nawet sięgnąć po broń. Podobnie jak żaden z jego przyjaciół.

Vahram wraził ostrze głęboko w pierś Feliksa. Żelazny sztych prześlizgnął się między żebrami niskiego Gala, przebijając mięśnie, płuca i serce, po czym wyszedł przez plecy, ociekając krwią.

Oczy Feliksa zrobiły się okrągłe z przerażenia. Otworzył usta, z których nie wydostał się już jednak żaden dźwięk.

Na twarzach centurionów pojawiło się ogromne zaskoczenie.

Tarkwiniusz również wydawał się szczerze zdumiony. Zapomniał o tym, że bogowie często żądali za swoją pomoc wysokiej ceny. Nikomu niczego nie dawali za darmo. W normalnych okolicznościach, poszukując wiedzy, złożyłby w ofierze jakieś zwierzę. Dziś wieczorem Mitra przekazał mu wiele informacji, nie biorąc jeszcze nic w zamian. Tarkwiniusz poczuł, jak wypełnia go cierpienie. Jak mógł być tak głupi? Tak ucieszył się odpowiedzią Mitry i wizją ewentualnego powrotu do Rzymu, że nie zastanawiał się nad konsekwencjami. Czy ta wizja warta była życia Feliksa?

I w tej samej chwili w jego umyśle pojawił się obraz Romulusa, stojącego na pokładzie okrętu wpływającego do Ostii, portu położonego nieopodal Rzymu. Po

wizjonerskiej suszy, jakiej doświadczał przez ostatnie kilka miesięcy, dzisiejsze wizje przypominały oberwanie chmury. *Feliks nie umarł na próżno.*

Jednak Romulus nie wiedział o tych rewelacjach. Poczłł wszechogarniający smutek. Feliks był zupełnie niewinny. Nie był nawet z nimi w mitreum. W naturalnym odruchu chłopak szybko wyciągnął miecz i zrobił krok w kierunku Vahrama. Brennus stanął tuż za nim z twarzą wykrzywioną w grymasie wściekłości. Było ich dwóch przeciwko ośmiu, ale w tym momencie żaden z nich nie myślał o konsekwencjach.

Vahram pchnął Feliksa do tyłu, pozwalając mu upaść bez życia na podłogę. Krew trysnęła silnym strumieniem, gdy ostrze miecza wyszło z klatki piersiowej ofiary. Zbierała się w wielką czerwoną kałużę wokół ciała.

Po policzkach Romulusa spływały wielkie, ciężkie łzy gniewu. Skoczył do przodu gotowy zabijać. Dzieliło go od Vahrama sześć kroków. Dwa uderzenia serca.

Tarkwiniusz obserwował Romulusa w milczeniu. Sam decyduje o własnym losie. Tak samo jak Brennus. Nie zamierzał interweniować. Powrót do Rzymu był tylko jedną z możliwości. Być może Mitra, podobnie jak inni bogowie, jest po prostu istotą zmienną i bardzo kapryśną. Może wszyscy pożegnają się z życiem już dziś wieczorem?

Vahram nawet nie próbował unosić zakrwawionego miecza, żeby się osłonić.

Zaniepokojony brakiem reakcji Romulus w ostatniej chwili cofnął rękę. Jak przekonał się dzisiejszej nocy, instynktowne reakcje nie zawsze są najlepszymi rozwiązaniami. Gdyby zabił teraz Vahrama, spaliliby za sobą wszystkie mosty. Zapewne też długo by nie pożyli. A przecież istniała inna droga. Chce opuścić to miejsce. Jeśli teraz się powstrzyma, Feliks kiedyś zostanie pomszczony. Może nie dziś, ale któregoś dnia na pewno. Romulus był tego pewien. Szybko wyciągnął rękę, aby powstrzymać Brennusa. Gał się nie opierał.

To nie jest walka, której nikt inny by nie wygrał – myślał Brennus, przypominając sobie prorocstwo haruspika. – *Będę wiedział, gdy nadejdzie ten dzień.*

Tarkwiniusz odetchnął z ulgą. *Dziękuję, Mitro!*

– Pokazaliście, że macie trochę oleju w głowach – odezwał się Vahram. – Na zewnątrz czeka dwudziestu łuczników.

Romulus posmutniał. Vahram przechytrył ich wszystkich. Nawet Tarkwiniusza.

– Mieli rozkaz zasypania was strzałami, gdyby tylko któryś z nas krzyknął.

Romulus opuścił miecz. Brennus uczynił to samo. Spojrzał na posąg Mitry i złożył sobie solenną obietnicę. *Jeśli bogowie pozwolą, mój dzień nadejdzie* – młody

żołnierz kipiał ze złości. – *Pomścę Feliksa, tak samo jak odpłacę się Gemellusowi za jego złe uczynki.*

– Wracajcie do baraków – rozkazał krótko Vahram. – I możecie uważać się za szczęśliwców, bo nie każę was ukrzyżować.

Romulus zacisnął pięści, ale nie protestował.

Wielki Belenusie – modlił się Brennus. – *Zabierz Feliksa prosto do Elizjum. Tam się z nim spotkamy.*

Vahram miał jeszcze coś do powiedzenia. Wycelował gruby palec prosto w Tarkwiniusza.

– Jeśli Pakorus umrze, ty zginiesz zaraz po nim – w oczach Vahrama haruspik dostrzegł złowrogi błysk. – A potem obaj twój przyjaciele.

Tarkwiniusz zbladł. *Primus pilus* powtarzał, choć czynił to nieświadomie, groźbę Pakorusa. Tylko żywa wizja Romulusa zmierzającego do Ostii dawała mu teraz siłę. Być może on nie wróci do Rzymu, ale jego uczeń któregoś dnia znajdzie się z powrotem w stolicy na siedmiu wzgórzach. Tarkwiniusz nie wiedział jeszcze, w jakich okolicznościach do tego dojdzie. Mógł tylko interpretować wizję Mitry.

Romulus nagle stracił całą pewność siebie. Przypomnił sobie słowa Tarkwiniusza, który stwierdził, że Pakorus ma bardzo małe szanse na przeżycie. Myśl o tym, że kiedyś wróci do Rzymu, znów wydała mu się absolutnie niedorzeczna. Ten obraz zniknął niczym mgła rozproszona przez wschodzące słońce. Jak mogli się ludzić?

Brennus objął go ramieniem i poprowadził do wyjścia, z dala od ciała Feliksa. Już w drzwiach Romulus odwrócił się i spojrzał na zwłoki towarzysza.

Miej wiarę w Mitrę – haruspik złożył usta w nieme słowa, którymi chciał wesprzeć na duchu Romulusa. Wskazał przy tym głową posązek na ołtarzu. – *On was poprowadzi.*

Mitra... – Romulus nie był przekonany. – *Tylko on może nam teraz pomóc.*

Rozdział IV

Fabiola i Sekundus



Rzym, zima 53/52 r. p.n.e.

Serce biło Fabioli jak oszalałe, gdy pokonywała biegiem ostatnie schody na szczyt wzgórza kapitolńskiego, na którym wybudowano ogromny kompleks świątynny. Ostatnio była tu przed kilkoma miesiącami i szczerze liczyła, że znów doświadczy atmosfery tego miejsca. Te emocje i ekscytacja sprawiły, że zostawiła w tyle Docilosę i swoją straż. Teraz jednak poczuła się trochę niepewnie. Nie wiedziała, co czeka ją na szczycie. Może w ogóle nie znajdzie tam tego, czego szuka?

Szybko sprowadził ją na ziemię przeciągły gwizd jakiegoś przechodnia, który w ten sposób chciał wyrazić uznanie dla jej wyglądu.

Do głosu wreszcie doszedł zdrowy rozsądek i Fabiola uznała, że będzie lepiej, jeśli trochę zwolni. Żadna kobieta nie powinna pozwalać sobie na samotne spacerunki po jakiegokolwiek części Rzymu. A już na pewno nie ona. Scewola z pewnością nie rzucał słów na wiatr. Już następnego dnia po incydencie z uciekinierem zginęło jej dwóch niewolników. Wprawdzie nie było żadnych świadków tego zdarzenia, ale bez wątpienia głównymi podejrzanymi byli właśnie *fugitivarii* Scewoli. Realne zagrożenie przyspieszyło decyzję Fabioli o opuszczeniu gospodarstwa. Szybko zatrudniła kilkunastu gladiatorów z lokalnego *ludus*. Szczęściu z nich zostawiła Korbulonowi do obrony latyfundiów. Reszta dołączyła do trzech ochroniarzy i z taką strażą przyboczną wyjechała do Rzymu. Niebezpieczeństwo jednak wciąż było bardzo realne. A teraz, niczym nierozsądne dziecko bawiące się bez troski w chowanym, pozwoliła, aby jej ochrona została daleko z tyłu.

Fabiola czuła na sobie spojrzenia kilku podejrzanych typów, którzy wahać się w pobliżu świątyni. Żaden z nich na szczęście nie przypominał Scewoli, co jednak

wcale jej nie uspokajało. Delikatne muśnięcia skrzydeł ćmy lęku w żołądku nigdy nie były przyjemne. Nie mogła sobie teraz pozwolić na jakieś głupie wybryki. Zaczęła wycofywać się po schodach, po których się tu wdrapała, starając się jednocześnie uspokoić skołatane nerwy. Być może niezbyt mądrze założyła, że odnajdzie tego tajemniczego wróżbitę, o którym wspominał Korbulon. Jednak to, że dowiedziała się o przepowiedni Gemellusa, na pewno musiało być czymś więcej niż zwykłym zbiegiem okoliczności. Podczas rejsu na północ cały czas zastanawiała się, czy nietypowym gościem Gemellusa z wizji haruspika mógł być Romulus.

Po chwili dołączyła do niej cała towarzysząca jej grupa. Docilosa otarła spoconą twarz. Zaczerwieniła się z oburzenia na jej zachowanie. Jednak wymówki matkującej jej kobiety nigdy nie odwiiodły Fabioli od raz podjętej decyzji, dlatego Docilosa uznała, że powinna raczej bezlitośnie zrugać ochroniarzy. Dziewięciu dobrze umięśnionych mężczyzn patrzyło na nią z zakłopotaniem. Szurali zawstydzeni nogami. To był interesujący widok. Nawet nowi ludzie szybko nauczyli się, że nie należy dyskutować z Docilosą. Rozbawiona Fabiola z uśmiechem na ustach zrobiła zwrot w tył i pospieszyła teraz do świątyni, przekonana, że Docilosa dobrze jej pilnuje.

Nad otwartą przestrzenią placu świątynnego górował ogromny marmurowy posąg przedstawiający nagiego, brodatego Jowisza, którego twarz miała obecnie barwę zwycięskiej czerwieni. W czasie triumfów wokół posągu wznoszono drewniane rusztowanie i całą postać Jowisza nacierano krwią świeżo zabitego byka. Dziś jednak pięknie wyrzeźbiona postać – poza karmazynową twarzą – miała bardziej naturalny, biały, kolor. Umieszczenie posągu na samym skraju wzniesienia Kapitolu nie było przypadkowe. Jowisz spoglądał stąd na miasto rozpościerające się u jego stóp i mógł przeniknąć swoim władcym spojrzeniem każdy jego zakątek. Na otwartych przestrzeniach, takich jak Forum Romanum i Forum Boarium, wystarczyło tylko unieść głowę, aby poczuć obecność boga. *Jupiter Optimus Maximus!* Wszechwidzący bóg roztaczający opiekę nad całą Republiką.

Nie mniejsze wrażenie robiła ogromna świątynia z połączanym dachem, znajdująca się tuż za posągiem. Jej trójkątny portyk zdobiony terakotą wspierał się na trzech rzędach sześciu pomalowanych kolumn, wysokich na dziesięciu mężczyzn. Osłonięty kolumnami, przewiewny przedsionek prowadził do trzech pomieszczeń zwanych *cellae*, poświęconych boskiej triadzie: Junonie, Minerwie i Jowiszowi. Oczywiście *cella* Jowisza znajdowała się na honorowym miejscu, pośrodku.

W pewnej odległości za świątynią ciągnął się rozległy kompleks przybytków

pomniejszych bogów, szkół i siedzib kapłanów. Wzgórze kapitoliańskie codziennie odwiedzało tysiące obywateli, aby skierować do bogów swoje modlitwy w najważniejszym ośrodku religijnym w Rzymie. Fabiola bardzo lubiła tu przychodzić, twierdząc, że czuje w *cellae* wyraźną aurę mocy i boskiej władzy. Długie, wąskie, otynkowane pomieszczenia świątyni powstały zgodnie z kanonami etruskimi. Jednak Etruskowie, założyciele miasta, zostali wkrótce pokonani i podbici przez Rzymian.

Od nowych zapachów aż kręciło w nosie. Powietrze przed świątynią było gęste od zapachu kadzidła i mirry oraz odoru odchodów zwierząt ofiarnych, które oferowali sprzedawcy. Okrzyki przekupniów i handlarzy mieszały się z modlitwami haruspików, próbujących zgłębić przyszłość. Spętane jagnięta beczały żałościwie. Zrezygnowane kury w klatkach z wikliny spoglądały w dal, nieświadome tego, co się wokół nich dzieje. Skąpo ubrane prostytutki rzucały wyuczone, uwodzicielskie spojrzenia, gotowe oddać się każdemu, kto tylko spojrział w ich stronę. Uliczni akrobaci skakali i robili koziołki, a zaklinacze węży grali na fletach, czarując muzyką swoich podopiecznych, ukrytych w glinianych naczyniach. Sprzedawcy zza blatów małych straganów oferowali chleb, wino i gorące kielbaski. Niewolnicy, ubrani tylko w przepaski biodrowe, siedzieli w kucki obok lektyk, ocierając pot, jaki zalewał ich ciała podczas wspinania się po schodach świątynnych. Gdy ich właściciele modlili się w domu bogów, oni mieli czas na krótki odpoczynek. Dzieciaki krzyczały i śmiały się głośno, płacząc się pod nogami dorosłych lub bawiąc się w tłumie w berka.

Chociaż atmosfera na wzgórzu kapitoliańskim wydawała się nieco spokojniejsza niż w wąskich uliczkach poniżej, wyraźnie wyczuwało się niepokój. Takie wrażenie odnosiło się w całym Rzymie. Zaraz po przybyciu do stolicy Fabiola nie mogła pozbyć się uczucia niemal fizycznego zagrożenia. Zwykłych przechodniów było jakby mniej, podobnie jak stoisk z towarami, które wcześniej zajmowały każdą wolną przestrzeń. Widziała coraz więcej okien sklepów zabitych deskami. Zmniejszyła się nawet liczba żebraków. Jednak najbardziej oczywistą oznaką zbliżających się kłopotów były duże grupy niebezpiecznie wyglądających mężczyzn, które można było zauważyć w różnych zakątkach i na ulicach miasta. To chyba właśnie oni powodowali, że coraz mniej zwykłych obywateli miasta miało dość odwagi, by opuszczać bezpieczne mury swoich domów. Często widziane wcześniej pałki i noże niemal powszechnie zastąpiono mieczami! Fabiola zauważyła nawet w ich rękach włócznie, łuki i tarcze. Wielu mężczyzn nosiło skórzane elementy

zbroi lub kolczugi. Nierzadko zdarzało się spotkać zbira z obandażowanymi rękami lub nogami, co mogło świadczyć o tym, że zupełnie niedawno brał udział w regularnych walkach do krwi. To miasto zawsze było pełne kryminalistów i złodziei, ale Fabiola nigdy nie widziała, żeby złoczyńcy zbierali się za dnia w takie gromady, zupełnie nie kryjąc się ze swoimi zamiarami. A ponadto uzbrojeni jak żołnierze?!

W stolicy zawsze było niebezpiecznie. Zwłaszcza w porównaniu z miasteczkiem na prowincji, takim jak Pompeje. Jednak to, co widziała Fabiola, kazało jej sądzić, że sytuacja naprawdę nie zmierza ku lepszemu. Wydawało się, że wojna domowa wisi w powietrzu. Jej nowo zebrana grupa dziewięciu ochroniarzy zaczęła wydawać się Fabioli zdecydowanie niewystarczająca. Nałożyła kaptur płaszcz, żeby nie zwracać na siebie niepotrzebnie uwagi. Gdy przemierzali kolejne dzielnice, zauważyła, że poszczególne kwartały wydawały się znajdować pod kontrolą dwóch konkurujących ze sobą grup. Podejrzewała, że oddziałami dowodzili dwaj zatwardziali wrogowie – Klodiusz i Milon – polityk, renegat i obywatel, który dawniej pełnił funkcję trybuna ludowego. Na szczęście wyglądało na to, że ci ludzie nie pałali do siebie wielką sympatią. Często obrzucali się z daleka mało wyszukаныmi obelgami, trzymali się jednak granic wyznaczających obszar kontrolowanego terytorium. Kilku szybko przemieszczających się po ulicach przechodniów nie wzbudzało wielkiego zainteresowania przedstawicieli żadnej z frakcji.

Najwyraźniej od czasu, gdy cztery miesiące temu opuściła Rzym zgodnie z sugestią zaniepokojonego Brutusa, sytuacja jeszcze się pogorszyła. A wszystko zaczęło się od politycznej próżni, która była efektem ujawnienia obywatelom szczegółów pewnych skandali społecznych. W konsekwencji tych zdarzeń wybory zostały przełożone, a wielu polityków oskarżono o korupcję. Klodiusz Pulcher, nobil niedarzony wielkim szacunkiem przez przedstawicieli elit, który na własną prośbę stał się jednym z plebejuszy, szybko wykorzystał nadarżającą się okazję. Zebrał wszystkie siły i dzięki uzbrojonym grupom rzezimieszków przejął kontrolę nad miastem. To jednak nie zrobiło wrażenia na jego dawnym rywalu, Milonie, który zareagował podobnie – a rekrutując członków swoich gangów w szkołach gladiatorów, zyskał przewagę. Wkrótce na ulicach rozgorzały regularne walki. Aristokraci czuli się zastraszeni, a zwykli mieszkańcy – wprost przerażeni tym, że sytuacja wymyka się spod kontroli. Wkrótce wieści o wydarzeniach w stolicy dotarły nawet do Pompejów. Wszyscy powtarzali sobie z ust do ust jedno słowo.

Anarchia.

Fabiola do tej pory nie przejmowała się plotkami. Czuła się bezpiecznie za murami latyfundium i pogłoski o zamieszkach jakoś jej nie przerażały. Jednak tu, w Rzymie, nie dało się już ignorować faktów. Brutus miał rację. Po śmierci Krassusa, gdy Cezar przebywał w Galii, żadna wpływowa postać rzymskiego życia politycznego nie miała w sobie tyle odwagi, aby zająć twarde stanowisko w sprawie coraz intensywniej zwalczających się band Milona i Klodiusza. Jedną z osób, które mogłyby jeszcze zapobiec bezprawiu, był Katon, sprytny polityk i wybitny mówca. Jednak nie dysponował on żadnymi uzbrojonymi oddziałami, które można byłoby wykorzystać do przywrócenia spokoju. Cynceron, inny wpływowi senator, od dłuższego czasu był skutecznie zastraszany. Gdy raz ośmielił się wystąpić publicznie, piętnując brutalność gangów, Klodiusz zareagował błyskawicznym atakiem. Kazał rozwieszać w różnych częściach miasta, nawet na Palatynie, zawiadomienia o wykroczeniach Cyncerona przeciwko prawu Republiki. Obywatele Rzymu uwielbiali takie publiczne pranie brudów. W efekcie Klodiusz zyskał jeszcze większe wpływy. Politycy nie potrafili opanować sytuacji. Rzym potrzebował kogoś, kto dzięki żelaznej dyscyplinie zaprowadzi porządek. Kogoś, kto nie bałby się użyć siły dla dobra obywateli.

Potrzebował Cezara lub Pompejusza.

Tylko że Cezar utknął w Galii. A Pompejusz sprytnie grał na czas, czekając, aż sytuacja dojrzeje do rozwiązania. Zwlekał, licząc na to, że senat poprosi go o pomoc. Najślawniejszy wódz armii Republiki pożądał popularności i wołał narazić miasto, zostawiając je na łasce krwiożerczych gangów. Przecież gdy uchroni Rzym przed anarchią, zyska uznanie obywateli. Tak przynajmniej mówiono na mieście.

Fabiola wiedziała, że jeśli ma być bezpieczna, będzie potrzebowała większej liczby, lepszych ochroniarzy niż tych kilku osiłeków, którzy ledwo za nią nadążali na schodach świątyni. Od razu pomyślała o dwóch osobach. Benignusz i Wettiusz, pilnujący porządku w Lupanarze, stanowiliby idealne uzupełnienie jej ochrony. Obaj byli twardzi i świetnie radzili sobie w walkach ulicznych, a dzięki ciężkiej pracy Fabioli obaj byli też całkowicie jej oddani. Zarządzająca Lupanarem Jowina wcześniej nie chciała ich sprzedać, ale może znajdzie się jakiś sposób, żeby przekonać starą wiedźmę do zmiany zdania... Może ten haruspik podpowie jej też, jak rozwiązać ten problem.

Niestety, żaden z mężczyzn znajdujących się pod świątynią nie wyglądał na prawdziwego haruspika. Fabiola wyczuwała kłamców i szarlatanów na odległość. Ubrani w poszarpane szaty, często celowo zaniedbane, w zakończonych obłym

czubkiem skórzanych czapkach, naciągniętych na przetłuszczone włosy, bazowali tylko na kilku sprytnych sztuczkach. Długie milczenie, wieloznaczne spojrzenia na wnętrzności poświęconych zwierząt i umiejętne odczytywanie potrzeb klientów z ich mowy ciała i kilku wskazówek zawsze się sprawdzały. W ciągu ostatnich lat była pod świątynią dość często i widziała wielu ludzi, którzy łatwo dawali się nabierać na te fortele. Oszuści gotowi byli obiecać im wszystko, po czym błyskawicznie pozbawiali ich skromnych oszczędności. Ludzie desperacko pragnący ujrzeć jakiś znak boskiej opatrności rzadko zdawali sobie sprawę, że są ofiarami manipulacji. W obecnej sytuacji gospodarczej o pracę było niezwykle trudno, ceny żywności stale rosły, a szansa na poprawienie stopy życiowej zdarzała się rzadko. Podczas gdy Cezar gromadził fortunę dzięki zdobyciom z kampanii wojennych, a Pompejusz za życia nie byłby w stanie wydać wszystkich swoich pieniędzy, życie przeciętnego obywatela było wystarczająco marne, aby zapewnić żerującym na marzeniach wróżbitom godziwe zyski.

Fabiola nigdy nie ufała tym sępom. Nauczyła się, że warto liczyć tylko na siebie i pokładać wiarę w przychylność Jowisza, ojca i opiekuna Rzymu. Dlatego zdziwiła się, słysząc, że w pobliżu świątyni może kręcić się jakiś prawdziwy haruspik, ktoś, kto naprawdę potrafi przewidzieć przyszłość. Łudziła się, że rozpozna uzbrojonego nieznajomego, o którym mówił Korbulon. Szukała go, wypytywała, rozdawała uśmiechy i drobne monety w zamian za wskazówki.

Wszystko na próżno. Nikt nie wiedział nic konkretnego o człowieku, którego szukała. Większość jej rozmówców, bardziej chyba zainteresowana pieniędzmi najwyraźniej zamożnej pani, twierdziła wręcz, że nikogo takiego nigdy nie widziała. Fabiolę wkrótce zmęczyły ponawiane przez nich propozycje wróżb. Usiadła na schodach świątyni i spędziła tam jakiś czas, wpatrując się niewidzącymi oczyma w falujący tłum. Jej strażnicy czekali cierpliwie w pobliżu, żując kawałki mięsa i chleb, który przezornie zabrała ze sobą Docilosa. Myśląc o ich morale, kupiła też każdemu po kubku rozcieńczonego wina. *Docilosa umie zarządzać ludźmi* – pomyślała Fabiola. – *Potrafi krzyknąć, gdy to konieczne, i nagradzać wtedy, kiedy trzeba.*

– Pani nie wybiera się do środka, żeby zostawić jakiś datek?

Zaskoczona Fabiola spojrzała w dół schodów. Zobaczyła jednorękiego mężczyznę, który uważnie się jej przyglądał. Zajmował strategiczne miejsce, zapewniające z pewnością spore przychody z jałmużny odwiedzających świątynię. Człowiek w średnim wieku, krępy, z krótko przystrzyżonymi włosami miał na sobie podartą wojskową tunikę. Wykonana z brązu *phalera* na piersi była dumnym

symbolem świadczącym o tym, że kaleka niegdyś musiał służyć w legionach. Na pasku zawieszonym na prawym ramieniu wisiał nóż w skórzanym, nieco sfatygowanej pochewce. Wszyscy przebywający w Rzymie musieli umieć się bronić. Mężczyzna patrzył jej prosto w oczy. Z podziwem. W jego spojrzeniu Fabiola nie dostrzegła żadnej groźby.

– Być może... – odezwała się. – Miałam nadzieję znaleźć prawdziwego wróżbitę. W Pompejach nie ma żadnego.

Weteran szczerze się zaśmiał.

– Nie znajdziesz takowego i tu!

Ta wymiana zdań nie uszła uwadze jednego z ochroniarzy Fabioli. Ruszył w ich kierunku, sięgając po miecz. Uniosła rękę w uspokajającym geście. Nie czuła się zagrożona.

– Masz rację... – westchnęła. Nie powinna mieć wielkiej nadziei, że znajdzie kogoś, kogo Gemellus spotkał tylko raz kilka lat temu! – Prawdopodobnie nie ma tu żadnego prawdziwego haruspika.

– Najlepiej liczyć tylko na siebie, pani – stwierdził kaleka, mrugając do niej porozumiewawczo. – Nawet bogowie są kapryśni. Wygląda na to, że zostawili Republikę samej sobie.

– Mówisz prawdę, przyjacielu – odezwał się grubas w brudnej tunice, spocony od długiej wspinaczki po schodach świątyni. – Uczciwi obywatele są codziennie okradani. Coś trzeba z tym zrobić!

Inni przechodnie słysząc te słowa, zareagowali wyrażającymi aprobatę pomrukami. Zarówno ci dobrze ubrani, jak i gorzej sytuowani – wszyscy obywatele Rzymu najwyraźniej byli tego samego zdania. Fabiola teraz miała już pewność. Sytuacja w Rzymie rzeczywiście była tak poważna, jak jej się wydawało. Ci ludzie naprawdę byli zaniepokojeni. Zmartwiona przeniosła wzrok na weterana.

– Nie przegapiłem żadnego święta Marsa od dziesięciu lat, a mimo to ją straciłem! – kaleka pomachał kikutem.

Fabiola pokiwała głową z empatią.

– Jak to się stało?

– Straciłem rękę podczas wojny z Mitrydatesem w Armenii – odpowiedział weteran z dumą. Nagle posmutniał. – A teraz każdego dnia muszę błagać o jałmużnę, żeby mieć co włożyć do ust.

Fabiola natychmiast sięgnęła do mieszka.

– Zachowaj te pieniądze, pani. Wystarczająco ciężko na nie zapracowałaś.

Fabiola zmarszczyła brwi. Ten komentarz brzmiał tak, jakby mężczyzna znał jej historię.

– O co ci chodzi, człowieku? – zapytała szybko.

Twarz jej rozmówcy zrobiła się czerwona z zakłopotania i wstydu. Przez chwilę nic nie mówił. A Fabiola świdrowała go oczyma.

– Niewielu klientów zostawia napiwki, prawda? – odważył się w końcu odezwać.

Fabiola poczuła zimne dreszcze. To, że ktoś w Rzymie ją rozpozna, było nieuniknione, ale nie spodziewała się, że stanie się to tak szybko. A przecież niscy rangą weterani nie byli częstymi gośćmi burdelu. Zazwyczaj nie mieli pieniędzy, żeby pozwolić sobie na drogę prostytutki Lupanaru. Zatem skąd ją znał?

– Co masz na myśli? – zapytała ostro.

Kaleka spuścił wzrok.

– Kiedyś siadywałem naprzeciw bramy do Lupanaru, zanim stało się to zbyt niebezpieczne. Widziałem cię, pani, jak wychodziłaś do miasta w towarzystwie tego wielkiego ochroniarza. Benignusza... Chyba tak się nazywał?

– Rozumiem... – nie mogła zaprzeczyć.

– Tak pięknej kobiety nie dało się przeoczyć, pani.

– Teraz jestem wolna – Fabiola powiedziała niskim głosem. – Zostałam obywatelką Rzymu.

– Bogowie ci zatem sprzyjają – stwierdził weteran z uznaniem. – Niewielu dziewczynom udaje się wyrwać z pazurów Jowiny.

– Znasz ją?

Mężczyzna uśmiechnął się porozumiewawczo.

– Oczywiście. Ona też widziała mnie na tyle często, żeby rozpoznawać na ulicy. A mimo to ta stara suka nigdy nie rzuciła mi nawet jednego asa.

Tym razem to Fabiola nabrała kolorów.

– To tak jak ja...

– Nic się nie stało, pani. Ostatnio ludzie udają, że nie istnieję... – kąciki jego ust opadły. – Straciłem rękę. I za co?

Fabiola nagle poczuła współczucie dla tego weterana. Legiony były dla niej symbolem wszystkiego, czym gardziła. Stały na straży wartości Republiki, która powstała na fundamencie niewolnictwa i wojny. Jednak ten człowiek służył w armii wiele lat i zapłacił za to wysoką cenę. Fabiola stwierdziła, że nie jest w stanie go

nienawidzić. Wręcz przeciwnie. Jeśli Romulus miał odrobinę szczęścia, mógł mieć towarzyszy podobnych do tego człowieka.

– Nie walczyłeś na próżno – powiedziała stanowczo. – Weź to.

W jej wyciągniętej dłoni zamigotało słońce odbijające się od złotej monety. Wiarus otworzył szeroko oczy ze zdumienia. Aureus to było więcej, niż wynosił miesięczny żołd legionisty.

– Pani, ja... – mamrotał.

Fabiola położyła złoty krążek na dłoni weterana. Zamknęła ją, a on się nie opierał. Uznała, że to smutne, jak skrajne ubóstwo zmienia nawet dumnego żołnierza.

– Dziękuję... – wyszeptał. Nie potrafił już spojrzeć jej w oczy.

Zadowolona Fabiola odwróciła się, żeby odejść, ale intuicja podpowiedziała jej, że powinna jeszcze o coś zapytać.

– Jak się nazywasz, żołnierzu? – zwróciła się do niego cichym głosem.

– Sekundus, pani – odparł. – Gajusz Sekundus.

– Moje imię pewnie znasz? – zapytała sondująco.

Sekundus uśmiechnął się szeroko w odpowiedzi.

– Fabiola.

Przechyliła lekko głowę kokieteryjnie, rozciągając usta w promiennym uśmiechu. W tej samej chwili była już pewna, że kolejny mężczyzna stał się niewolnikiem jej piękna.

– Może los sprawi, że jeszcze się spotkamy.

Sekundus obserwował zafascynowany, jak Fabiola wspina się po schodach w stronę *cella*. Była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widział. Ofiarowała mu złoto, za które mógł spokojnie przeżyć wiele tygodni. Bogowie dziś byli dla niego łaskawi.

– Może Jowisz odpowie na moje modlitwy – rzuciła jeszcze przez ramię na odchodnym.

– Mam taką nadzieję, pani – zawołał za nią Sekundus. – Albo Mitra... – dodał już szeptem.

Słabo oświetlona *cella* była zapchana ludźmi, którzy tłoczyli się, by prosić o łaskę największego rzymskiego boga. Gdy nowo przybyły wierny przekazywał jakiś datek, akolici z ogolonymi głowami wskazywali mu miejsce, gdzie powinien uklęknąć. Przestrzeń wypełniał niski śpiew kapłanów. Z wystających z murów wsporników

wystawały małe lampki oliwne. Ich migoczące płomienie sprawiały, że atmosfera świątyni nie wydawała się specjalnie zachęcająca. Wysoko na ścianie najbardziej oddalonej od wejścia wisiała okrągła, pomalowana rzeźba przedstawiająca Jowisza, dwa razy większa od człowieka. Bóg miał haczykowany nos i pełne usta, z wargami złożonymi w sardonicznym grymasie. Z góry spod na wpół przymkniętych powiek spoglądał beznamiętnie na swoich czcicieli i wyznawców. Poniżej rzeźby znajdował się długi, płaski ołtarz, wypełniony ofiarami. Obok siebie leżały truchła owiec i zabite kury. Krew wciąż kapała na podłogę ze świeżych ran na ich szyjach. Tuż obok w zestawach po dwie lub trzy wisiały małe, prymitywnie wykonane rzeźby Jowisza. Na ołtarzu wierni zostawiali także miedziane monety zdawkowe, srebrne denary, sygnety, naszyjniki i bochenki chleba. Na tle małych glinianych naczyń wyróżniały się rzadkie naczynia z rzeźbionego szkła. Bogaty czy biedny, plebejusz czy patrycjusz... wszyscy przychodzili do Jowisza z darami. Wszyscy o coś prosili.

Fabiola przesuwiała się cicho w stronę ołtarza. Znalazła miejsce, żeby ułożyć swój stosik *aurei* i uklękła w pobliżu. Nie potrafiła się jednak skupić na modlitwie. Rozpraszał ją głośny pomruk modłów otaczających ją ludzi. Zamknęła oczy i spróbowała przywołać w umyśle obraz swojego kochanka. Stopniowo budowała ścianę oddzielającą ją od hałasu. Rósł poziom jej koncentracji. Brutus był mężczyzną o średniej budowie ciała. Jego gładko ogolona i opalona twarz sprawiała przyjemne wrażenie. Zwłaszcza wtedy, gdy się naturalnie uśmiechał. Fabiola nie widziała go od miesięcy i wciąż jeszcze dziwiła się, że tak bardzo za nim tęskni. Szczególnie w ostatnim czasie. Z tym obrazem w głowie błagała Jowisza o znak. Prosiła, żeby pomógł Brutusowi i Cezarowi zdławić galijski bunt. I ochronił ich przed gniewem Scewoli.

Niestety, jej nadzieje się nie spełniły. Nie zobaczyła żadnego znaku. Nie usłyszała nic poza pomrukiem ludzi w szczelnie wypełnionej sali.

Mimo najszerszych chęci nie umiała dłużej koncentrować się na obrazie Brutusa. Zaczęła myśleć o utraconym bracie. *Może to dlatego, że spotkałam Sekundusa?* Nie potrafiła ignorować obrazów, które pojawiły się w jej umyśle. Minęły prawie cztery lata od czasu, gdy po raz ostatni widziała Romulusa. Pewnie przez ten czas stał się mężczyzną. Musiał być silny jak Sekundus, zanim stracił rękę. Z przyjemnością wyobrażała sobie, jak może wyglądać jej brat bliźniak. Wyprostowany jak struna, wysoki, w kolczudze i w hełmie, zakończonym czubem z końskiego włosia. Po chwili jednak ten obraz zniknął. Bo czy to możliwe, żeby Romulus wciąż jeszcze znajdował się wśród żywych? Armia Krassusa została do szczętu rozbita, a klęska ta

wstrząsnęła fundamentami Republiki. Fabiola skrzywiła się, wciąż jeszcze wierząc, że warto trzymać się tej odrobiny nadziei, jaka jej pozostała. Jednak jeśli Romulus żyje, to musi być więźniem Partów, wysłanym gdzieś na kraniec świata. Do Margiany, odległej wschodniej krainy. Bez szans na powrót. Czując niemal fizyczny ból, zastanawiała się, czy można stawiać znak równości pomiędzy drogą pokonaną przez Romulusa i jej drogą przez cierpienia ku bramom Hadesu. Nie walczyła w wielu bitwach, nie ryzykowała życiem każdego dnia w legionach. Ale została zmuszona do prostytucji.

A mimo to wszystko przetrzymała. Romulus też sobie poradzi. Była tego pewna.

Wstała i skierowała się w stronę wyjścia. Docilosa i jej ochroniarze czekali na nią na zewnątrz, ale niestety nie było już śladu Sekundusa. Jego miejsce na najniższym stopniu zajął jakiś trędowaty, pokryty brudnymi bandażami z wyraźnymi śladami krwi. Chociaż Fabiola wtedy nie zdawała sobie do końca z tego sprawy, ekslegionista dał jej nadzieję. Na Kapitolu nie znalazła żadnego śladu tajemniczego wróżbity czy potwierdzenia, że jej brat bliźniak żyje, nie otrzymała też żadnych podpowiedzi dotyczących przyszłości Cezara. Jednak nie wybrała się do Rzymu na próżno. Teraz powinna chyba wrócić do miejskiej willi Brutusa, dużego, wygodnego *domus*, zlokalizowanego na Palatynie. Będzie mogła zebrać myśli i znaleźć jakiś sposób, żeby pomóc Brutusowi, oraz zastanowić się, co zrobić ze Scewołą. A może nawet uda się jej znaleźć czas, aby rozpocząć poszukiwania Romulusa? W dającej się przewidzieć przyszłości wstrząsana konfliktami wewnętrznymi Republika raczej nie będzie organizować karnej ekspedycji do Partii w celu pomszczenia zniewagi. Jednak kupcy regularnie wybierali się na Wschód, przyciągani wizjami zysków z importu luksusowych towarów, które można było sprzedać w Rzymie z dużym zyskiem. Odpowiednio wypchany mieszek z monetami przekona każdego kupca do zadawania pytań podczas takiej podróży.

Ten nowy pomysł sprawił, że Fabiola na krótko zapomniała o troskach.

Minęło kilka dni, podczas których Fabiola poznawała coraz więcej szczegółów trudnej sytuacji w stolicy. W pobliżu rezydencji Brutusa znajdowało się kilka sklepów, w których mogła stosunkowo bezpiecznie robić zakupy i zbierać informacje. Nie dostrzegła żadnych śladów Scewoli, dlatego zaczęła myśleć, że mężczyzna nadal znajduje się na południu, w pobliżu Pompejów. Łatwo weszła w rolę kobiety z prowincji, nieświadomej ostatnich zająć w Rzymie. Gdy wydała trochę pieniędzy na zakupy żywności i innych produktów na potrzeby

gospodarstwa, wdzięczni sklepikarze bez oporów dzielili się z nią najnowszymi plotkami. Tak jak podejrzewała, ulicami Rzymu rządziły teraz gangi lojalne albo wobec Klodiusza, albo Milona.

Chociaż dawniej Pompejusz i bezwzględny Milon byli bliskimi przyjaciółmi, ostatnimi czasy ich relacje mocno się pogorszyły. Milon sprzymierzył się z Katonem, jednym z nielicznych polityków, którzy odważyli się sprzeciwić członkom triumwiratu. Krassus może sobie być martwy, ale Cezar i Pompejusz wciąż mieli się dobrze i kontrolowali niemal wszystkie urzędy Republiki. Nie każdemu się to podobało. W desperackiej próbie zapobieżenia ponownemu powierzeniu urzędu konsula Pompejuszowi Katon wysunął kandydaturę Milona. To bardzo nie spodobało się Klodiuszowi i od tego momentu niemal codziennie w Rzymie dochodziło do zamieszek. Od czasu do czasu na ulicach toczyły się regularne bitwy, w których dziennie ginęło nawet kilkudziesięciu bandytów. Przy okazji z życiem żegnało się również kilkunastu przypadkowych nieszczęśników, mieszkańców, którzy przypadkiem znaleźli się w niewłaściwym miejscu i czasie. Senatorowi zachowywali się jak sparaliżowani i nie wiedzieli, co robić. Większość ludzi – jak powiedział Fabioli jeden z kupców – po prostu pragnęła przywrócenia spokoju. A któż nadawałby się do tej misji lepiej niż Pompejusz?

Pompejusz ze swoimi legionami.

– Żołnierze na ulicach Rzymu? – wykrzyknęła Fabiola. Coś takiego wydawało się wprost niemożliwe. Aby zapobiec próbom obalenia Republiki, prawo zakazywało wprowadzania armii do stolicy. – Sulla był ostatnim, który tego próbował.

– Dobrze to pamiętam – odezwał się chudy staruszek, który kupował oliwę do lamp. Wzdrygnął się. – Przez wiele dni ulice spływały krwią. Nikt nie był bezpieczny.

Sklepiarz pokiwał ciężko głową.

– To prawda. Ale czy mamy jakiś wybór? – wskazał na puste półki. – Jeśli nie będzie nic do kupienia, ludzie zaczną głodować. Co wtedy?

Fabiola nie mogła zaprzeczyć, że to rozumowanie było słuszne. *Gdyby tylko Brutus i Cezar mogli interweniować.* Próżne nadzieje. Z wieści, które do niej dotarły, wynikało, że żaden z nich nie pojawi się w Rzymie przez wiele miesięcy. Brnąc przez zasypy wyższe od ludzi, Cezar pokonał góry i dołączył do swoich legionów w Galii. Doszło do pierwszych starć z siłami połączonych plemion. Cezar najpierw poniósł kilka porażek, ale potem wielkie zwycięstwo sprawiło, że armia Wercyngetoryksa została zmuszona do wycofania się na północ. Jednak błyskotliwy wódz Galów jeszcze nie

został pokonany. Tysiące wojowników wciąż zbierało się pod jego sztandarami, dlatego Cezar nie miał wyjścia. Musiał zostać w Galii. Sytuacja stawała się krytyczna, a lęk Fabioli o Brutusa z każdym dniem rósł coraz bardziej.

Głośne krzyki dochodzące z ulicy sprawiły, że wróciła do rzeczywistości. Już chciała opuścić sklep, gdy jej ochroniarze zablokowali drogę na zewnątrz. Chociaż Docilosa leżała akurat w łóżku, skarżąc się na rozstrój żołądka, dbający o bezpieczeństwo Fabioli mężczyźni wystarczająco często dostali bury za brak ostrożności i tym razem woleli dmuchać na zimne.

– Pozwól, że sprawdzę, co się dzieje, pani – powiedział Tullius, najstarszy z nich. Niewysoki, lekko kuśtykający Sycylijczyk, wyróżniający się krzywymi zębami, był śmiertelnie niebezpieczny z gladiusem w ręce.

Fabiola zmarszczyła brwi, ale zgodziła się. W tych czasach niebezpieczeństwo czaiło się za każdym rogiem.

– Klodiusz Pulcher nie żyje! – dźwięk sandałów kłapiących o ubitą ziemię stawał się coraz głośniejszy, w miarę jak nosząca je osoba zbliżała się do sklepu. – Zamordowany na Via Appia!

Sklepiarz złożył palce prawej ręki w znak mający chronić przed złem, umieszczając kciuk pomiędzy palcem wskazującym i środkowym. Starzec wymruczał krótką modlitwę.

Przechodnie, którzy odważyli się wyjść na ulicę, zareagowali na te wieści okrzykami przerażenia. Natychmiast rozległy się stuki otwieranych okiennic w okolicznych domach. Rozgorączkowane głosy zwiększały harmider.

– Chcę zobaczyć, co się dzieje – zażądała Fabiola.

Tullius wyciągnął sztylet i wyrzwał na zewnątrz. Wystarczyło jedno spojrzenie. Z pomrukiem zadowolenia wyskoczył ze sklepu, celowo wpadając na młodego człowieka, wykrzykującego nowiny. Szybko wciągnął go do środka, jedną ręką przytrzymując za szyję, a drugą dociskając ostrze noża pod żebrami.

Fabiola zmierzyła chłopaka wzrokiem. Był niewysoki, lekko niedożywiony, w lachmanach. Typowy przedstawiciel najbiedniejszych mieszkańców Rzymu. Bez wątplenia spodziewał się, że za wieści, które rozgłaszał, otrzyma jakąś nagrodę.

Posłaniec rzucał na wszystkie strony dzikie spojrzenia, przeskakując wzrokiem od zaszokowanego sklepiarza do starszego klienta, od Fabioli do jej ochroniarzy.

– Kim jesteś? – z trudem wciągał powietrze. – Nie widziałem cię tu wcześniej.

– Po prostu zmilcz, pętaku... – Tullius szturchnął go sztyltem. – Albo lepiej opowiedz pani, co takiego wykrzykujesz?

Młody chłopak nie zamierzał dawać się długo prosić.

– Klodiusz i kilku jego ludzi zostali zaatakowani przez gladiatorów Milona w pobliżu oberży, na południe od miasta – powiedział podekscytowany. – Napastników musiało być ze dwa razy więcej.

– Kiedy to się stało?

– Nie więcej niż godzinę temu.

– Widziałeś na własne oczy? – zapytała Fabiola.

Skinął głową.

– To była zasadzka, pani. Gladiatorzy najpierw użyli oszczepów, a potem zaatakowali ze wszystkich stron.

– Gladiatorzy? – Fabiola przerwała. Jak zawsze na dźwięk tego słowa w jej umyśle pojawiał się obraz Romulusa.

– Tak, pani. Ludzie Memora.

Udało się jej zachować spokój.

– Memora? – zapytała od niechcienia.

Chłopak wydawał się zaskoczony.

– No, tego lanisty z *Ludus Magnus*.

Fabiola wzruszyła ramionami, jakby ten szczegół nie miał dla niej żadnego znaczenia, chociaż w środku aż wrzała. Przez krótki okres, zanim Brutus darował jej wolność, Memor był jednym z jej klientów. Z odrazą wspominała jego wizyty, ale okrutny, prymitywny lanista miał okazać się wartościowym źródłem informacji na temat Romulusa. Potrafiła sprawić, że szalał z pożądania i dzięki umiejętnie zadawanym pytaniom dowiedziała się, że jej brat rzeczywiście trafił do szkoły Memora. Tyle że uciekł z Rzymu razem z jednym z najlepszych gladiatorów *Ludus Magnus*. To było dawno. Musiała myśleć o terażniejszości. Sytuacja stawała się coraz poważniejsza i wyglądało na to, że Memor odegrał ważną rolę w jakimś planie, którego celem było doprowadzenie do zamieszek. Dlaczego? Fabiola czuła narastający gniew.

– Czy Memor był na miejscu zdarzeń?

– Nie widziałem go, pani.

– A Milon?

– Tylko na początku. Zachęcał swoich ludzi do działania – powiedział młodzieniec. – Potem zniknął.

– Milon jest sprytnym skurczybykiem – odezwał się sklepikarz. – Pewnie od razu

udał się w jakieś miejsce publiczne, gdzie wielu świadków zapewni mu alibi.

Memor też nie jest w ciemną bity – pomyślała Fabiola.

– Co się stało potem?

– Klodiusz padł na ziemię trafiony oszczepem. Jego ludzie zanieśli go do oberży, licząc, że uda im się tam schronić. Reszta próbowała powstrzymać napastników, ale było ich o wiele za dużo. Wdarli się do środka i wyciągnęli Klodiusza, który błagał o litość.

Fabiola wzdrygnęła się na myśl o tej dramatycznej scenie.

– Jesteś pewien, że Klodiusz nie żyje?

– Nie miał żadnych szans, pani. Obskoczyli go jak stado dzikich psów – młodzieniec przełknął ślinę. – Wszędzie była krew... Ludzie Klodiusza niosą teraz jego ciało do miasta. Nawet jego żona nie wie jeszcze, co zaszło.

– Gdy się dowie, otworzą się bramy Hadesu – stwierdził sklepikarz ponurym głosem. – Fulwia tak tego nie zostawi.

Ta ostatnia uwaga zaciekała Fabiolę.

– Znasz ją?

– Nie bardzo. Ale jest typową arystokratką. Lubi postawić na swoim, jeśli wiesz, co mam na myśli...

Fabiola uniosła brwi.

Starzec zachichotał.

Właściciel sklepu poczerwieniał, uświadamiając sobie, co właśnie powiedział.

– Nie chciałem obrazić szlachetnie urodzonej kobiety.

Fabiola dyskretnie uśmiechnęła się do niego, aby pokazać, że nie zamierza się obrażać.

– Wypuść chłopca – nakazała Tulliusowi.

Sycylijczyk wykonał jej polecenie z niechęcią.

Chłopak zaszurał nogami niepewnie. Fabiola rzuciła mu denara. Na widok monety zaświeciły mu się oczy. Nie spodziewał się, że ta piękna pani będzie taka hojna.

– Dziękuję, pani! – pokiwał energicznie głową i zniknął, nie rezygnując ze swojej misji rozpowszechniania wieści o zamachu na Klodiusza.

– Najlepiej będzie, jak wrócimy do *domus*, pani – powiedział Tullius, który wydawał się nieco zaniepokojony. – To, co się stało, oznacza tylko jedno. Kłopoty.

Fabiola nie zamierzała protestować. Sklep z otwartym frontem nie był

najbezpieczniejszym miejscem w sytuacji, gdy w mieście miało dojść do zamieszek. Pożegnała się ze sklepikarzem i wszyscy pośpieszyli na ulicę. Od bezpiecznego domu Brutusa, jego grubych murów i żelaznej bramy, dzieliło ich zaledwie jakieś sto kroków. W tym przypadku jednak okazało się to o wiele za daleko.

Za najbliższego narożnika wyłoniła się horda oprychów, uzbrojonych w miecze, pałki i włócznie. W środku grupy tłoczyło się wielu przerażonych mężczyzn, kobiet i dzieci, zwykłych obywateli, którzy znaleźli się w niewłaściwym miejscu, w niewłaściwym czasie. Zajęci rozmowami i pokrzykiwaniem liderzy grupy nie od razu spostrzegli Fabiolę i jej ludzi.

– Szybko! – syknął Tullius, machając gorączkowo rękami. – Z powrotem do sklepu!

Fabiola odwróciła się, ale w tej samej chwili poślizgnęła się na leżącym w błocie mokrym kawałku drewna. Wylądowała w kałuży, a fontanna wody natychmiast przyciągnęła uwagę szybko maszerujących mężczyzn z grupy. W mgnieniu oka znaleźli się przy nich. Sycylijczyk zdążył tylko pomóc Fabioli podnieść się z ziemi, a już zostali otoczeni. Na szczęście dobrze zbudowani mężczyźni nie wydawali się wrogo nastawieni. Fabiola usłyszała śmiechy, kilka uwag dotyczących jej niezdarności, ale wszędzie wokół pojawiły się twarde, nieogolone twarze. W oczach kilku z nich dostrzegła też błyski pożądania.

– Chodźcie z nami! – krzyknął brodaty mężczyzna, który okazał się jednym z prowodyrów. Ton jego głosu sprawiał, że nie ośmielili się zaprotestować.

Tullius spojrział bezradnie na swoją panią. Gdyby sięgnął po broń albo gdyby uczynił to ktoś z jego ludzi, zostaliby natychmiast unicestwieni.

Fabiola dobrze o tym wiedziała. Jej serce waliło, ale starała się nie zdradzać targających nią emocji. Udawała, że doprowadza do porządku swoją suknię.

– Dokąd?

Odpowiedź była natychmiastowa.

– Na forum!

Spojrzała na ludzi, którzy zostali zmuszeni do towarzyszenia członkom gangu. Na ich twarzach malował się strach. Prawo i porządek? Tu go nie było. Nie było nikogo, kto mógłby stanąć w obronie zwykłych obywateli, takich jak oni.

– Po co? – zapytała Fabiola stanowczym głosem.

– Aby zaświadczyć, co ci dranie zrobili Klodiuszowi! – krzyknął brodac. – Jego ciało będzie wystawione na widok publiczny.

Tłum zareagował na jego słowa wściekłym rykiem. Serce Fabioli zamarło. Wieści o tym zabójstwie dotarły już do miasta. Ów młody chłopak nie był pierwszym posłańcem.

– Najpierw należy oddać hołd zmarłym – przywódca gangu uniósł miecz w powietrze – zanim pozbędziemy się z miasta tego sukinsyna o imieniu Milton. I wszystkich, którzy go popierają!

Motłoch ponownie zareagował niewyraźnym rykiem. Pierwotnym. Przeróżającym.

Fabiola mogła niemal poczuć drżenie fundamentów Republiki, które kruszyły się pod naporem gniewnego motłochu. Serce waliło jej ze strachu, ale jakkolwiek opór był daremny.

Fala tłumu wezbrała i popłynęła z dużą szybkością w kierunku centrum miasta, zabierając ze sobą Fabiolę i jej ludzi.

Rozdział V

Zdemaskowani



Margiana, zima 53/52 r. p.n.e.

O świcie do mitreum wysłano całą kohortę, ale na miejscu żołnierze znaleźli tylko trupy. Scytowie zniknęli, dlatego założono, że ich podstawowym celem był napad na Pakorusa. Napięcie w forcie stopniowo opadało, choć Vahram, pełniący w zastępstwie Pakorusa obowiązki dowódcy legionu, nakazał podwojenie wart – zarówno w dzień, jak i w nocy.

Po Scytach nie został jednak żaden ślad.

Mijały tygodnie bez wieści o Tarkwiniuszu. Nikt nie wiedział też, co dzieje się z Pakorusiem. Kwatery komendanta fortu strzegli strażnicy. Do środka wpuszczano tylko Partów. Starsi centurioni wciąż jeszcze wściekali się na myśl o podstępny ataku na dowódcę legionu, ale rozmawiali o tym tylko z tymi, którym ufali. Innymi słowy, żaden oficer nie zamierzał wtajemniczać kóregokolwiek z Rzymian. Oczywiście Romulus i Brennus opowiedzieli swoim współlokatorom z baraków o wszystkich szczegółach ataku, tak że wkrótce poznali je pozostali legionieści. Wieści rozeszły się po obozie lotem błyskawicy. Wkrótce w całym forcie snuto różne domysły. Na razie można było być pewnym jednego: ponieważ Partowie nie stosowali żadnych represji, Pakorus nie rozstał się jeszcze z życiem. Wyglądało na to, że Tarkwiniusz dobrze sobie radził. Jednak nikt nie znał szczegółów stanu zdrowia Pakorusa.

Romulus i Brennus byli dobrze pilnowani, bo Partowie obawiali się, że uciekną przy pierwszej nadarzającej się okazji. Nikt nie groził im otwarcie, ale ich sytuacja nie była godna pozazdroszczenia. Vahram nie żartował, a większość Partów starała się stale im o tym przypominać. A na dodatek mężczyźni ciągle wspominali

okoliczności śmierci Feliksa. Nie mogli zapomnieć, że Vahram zabił z zimną krwią ich zupełnie niewinnego towarzysza. Nie pomścili go. I może nigdy nie będą mieli okazji, żeby to uczynić. Brennus zaciskał zęby. A Romulus starał się zapomnieć o grożącym im niebezpieczeństwie, modląc się codziennie do Mitry. Wracał myślami do obrazów Rzymu i zastanawiał się, co dokładnie mógł zobaczyć Tarkwiniusz. Świadomość, że wizja dotyczyła powrotu do domu, bardzo mu pomagała.

W czasie tych modłów jego wyobraźnia podsuwała mu różne obrazy – od związanych z jego matką i Fabiolą po wymyślne tortury, których ofiarą stawał się Gemellus. W innej ulubionej fantazji wzywał Vahrama na pojedynek, a potem obserwował jego powolną śmierć w boleściach. Romulus miał również czas, aby po raz kolejny wrócić myślami do bijatyki pod Lupanarem, która stała się powodem opuszczenia Rzymu. Przez jakiś czas czuł się odpowiedzialny za śmierć nobila, którego zbyt mocno zdzielił w głowę rękojeścią miecza. Na początku – spanikowany i zdesperowany – nie analizował szczegółowo wszystkich okoliczności zajścia. Uciekał, bo nie chciał skończyć na krzyżu. Teraz jednak, już jako doświadczony weteran niezliczonych bitew, wiedział, że nie mógł uderzyć nobila tak mocno, żeby go zabić... nie chyba że sam nie zdawał sobie sprawy z tego, jaką ma siłę w rękach. Wypytywał Gala, ale ten konsekwentnie twierdził, że widział tylko, jak Romulus kilka razy niegroźnie uderzył nobila, chcąc go raczej zniechęcić do walki. Tym samym chłopak dochodził do niepokojących w swojej logice wniosków. Był niewinny. Nie miał powodu, żeby uciekać. Ktoś inny zabił Rufusa Celiusza. Kto? Nie znał odpowiedzi na to pytanie. Zaczął jednak zastanawiać się, jak wyglądałoby jego życie, gdyby pozostał w Rzymie, a nobil nie zginął. Mimo że wielokrotnie rozmawiał o tym z Brennusem, wydawało się, iż Gal wcale nie zamartwiał się tym, co się stało. Przez cały czas wierzył w swoje przeznaczenie. Brennus miał ruszyć w daleką podróż i był przekonany, że chodziło o Margianę. Romulus musiał sam jakoś uporać się ze zwalczaniem obaw wynikających z poczucia niepewności własnego losu.

Tarkwiniusz radził mu zaufać Mitrze – bogowi, o którym niewiele wiedział.

Żaden z Partów nie chciał z nim rozmawiać na temat Mitry. Nic dziwnego. Ponieważ stale ich pilnowano, Romulus nie mógł dostać się w tajemnicy do mitreum. Udało mu się jednak zdobyć małą figurkę boga. Kupił ją od zasuszonego staruszka, który regularnie pojawiał się w forcie, żeby sprzedawać różne drobiazgi. Starzec ten powiedział mu, że Mitra nosi czapkę frygijską i że zabity przez niego byk dał życie ludziom i zwierzętom, ptakom oraz roślinom, które stanowiły źródło pożywienia. Romulus naciskał go mocno, ale usłyszał tylko o istnieniu siedmiu

etapów wtajemniczenia. Potem obwoźny sprzedawca zamknął się w sobie i nie dało się wydusić z niego ani słowa więcej.

– Wyglądasz na odważnego i szczerego młodzieńca – brzmiały jego ostatnie słowa. – Jeśli to nie jest tylko moje złudne wrażenie, sam Mitra ześle ci wizję.

Wtedy w sercu Romulusa na ułamek sekundy otworzyło się okienko, przez które do środka wślizgnęła się nadzieja.

Rzeźbioną figurkę umieścił przy ołtarzu, który został wzniesiony przy bramie fortu prowadzącej do baraków żołnierzy. Mimo że był poświęcony Eskulapowi, bogowi medycyny, Rzymianie zwykli modlić się do wielu bogów. Romulus spędzał każdą wolną chwilę przed posązką Mitry, prosząc o dobre wieści o Tarkwiniuszu, w nadziei na poznanie sposobu powrotu do Rzymu. Żadna wizja nie została mu zesłana, ale Romulus nie upadał na duchu. Od dzieciństwa los rzucał mu pod nogi same kłody. Co noc był świadkiem, jak Gemellus gwałcił jego matkę. Potem sprzedano go do *ludus*. Walczył na śmierć i życie z Lentulusem, znacznie bardziej doświadczonym gladiatorem, i stanął do walki grupowej na arenie. Potem musiał uciekać z Rzymu po bójce ulicznej, zaciągnąć się do armii, przetrwać czas kampanii i okropności bitwy pod Carrhae. Niewolę, a następnie długi marsz do Margiany. Jednak za każdym razem, gdy groziła mu śmierć, bogowie jakoś wyciągali do niego dłoń, ratując przed niebezpieczeństwami. W efekcie Romulus był gotów poświęcić całą swoją uwagę Mitrze. Co innego mógł zrobić?

W czasie tych wizyt w sanktuarium wielkie wrażenie zrobiło na nim zaangażowanie jego towarzyszy. W normalnych okolicznościach Rzymianie byliby zadowoleni ze śmierci Pakorusa, teraz jednak wielu z nich modliło się o jego powrót do zdrowia. Prawie wszyscy żołnierze z centurii Tarkwiniusza każdego dnia prosili o to przy ołtarzu. Wieści o tym, że haruspik jest zagrożony, szybko dotarły do legionistów. Wkrótce prosty kamienny ołtarz był usiany sesterkami, denarami, a nawet szczęśliwymi amuletami, z którymi żołnierze zwykle woleli się nie rozstawać. Monety wybite w Italii i przedmioty wytworzone na Półwyspie Apenińskim były teraz bezcenne. Te dary jasno pokazywały Romulusowi i Brennusowi, jak ważny był Tarkwiniusz dla Zapomnianego Legionu.

Pewnego mroźnego popołudnia Romulus modlił się jak zwykle przy ołtarzu, pogrążony w myślach, z zamkniętymi oczyma. W pewnej chwili dotarł do niego pogwar dochodzący zza pleców. Założył, że to inni żołnierze przyszli do miejsca modłów, żeby prosić o łaskę bogów, i przez jakiś czas nie zwracał uwagi na hałas. Ale kiedy pomruki zmieniły się w głośne parsknięcia i śmiechy, zerknął przez ramię.

Zobaczył pięciu wpatrujących się w niego legionistów, którzy stali tuż za drzwiami. Romulus ich rozpoznał. Byli to ludzie z tego samego *contubernium*. Pochodzili z jego centurii. Wszyscy służyli w legionach od wielu lat. Co znamienne, nie widział wcześniej, żeby którykolwiek z nich składał jakieś ofiary na ołtarzu.

– Modlisz się za wróżbitę? – zapytał Kajusz, wysoki, szczupły mężczyzna, z brakami w uzębieniu i nieświeżym oddechem. – Naszego centuriona?

Romulusowi nie spodobał się ton Kajusza.

– Tak – odpowiedział krótko. – Dlaczego nie?

– Od jakiegoś czasu nic o nim nie wiadomo, prawda? – zadrwił oparty o framugę drzwi Optatus, dobrze zbudowany żołnierz, prawie dorównujący muskulaturą Brennusowi. Nigdy nie zachowywał się specjalnie przyjaźnie w stosunku do innych legionistów.

Romulus poczuł ukłucie niepokoju. Cała piątka właśnie wracała z placu ćwiczeń. Wszyscy mieli na sobie kolczugi i byli uzbrojeni po zęby, podczas gdy on ubrany był w prostą, niechroniącą ciała tunikę i miał przy sobie jedynie sztylet.

– Masz rację... – powiedział spokojnie, przenosząc wzrok od jednego do drugiego.

– Zdradziecki sukinsyn – odezwał się Nowius, najniższy z całej piątki. Mimo swej niewielkiej postury był prawdziwym mistrzem w posługiwaniu się mieczem. Romulus nieraz widział go w akcji. – Spiskuje z Pakorusem, nie?

– Wymyśla, jak by tu nas wyróżnić – dodał Kajusz. – Jak pod Carrhae.

Romulus nie mógł uwierzyć własnym uszom! Cała piątka pokiwała ze złością głowami, najwyraźniej zgadzając się ze słowami Kajusza.

– O czym ty mówisz? – Romulus splunął.

– Dobrze wiesz, o co chodzi... – Kajusz rozciągnął usta w szerokim, obłudnym uśmiechu, odsłaniając czerwone, niezdrowe dziąsła. – Krassus nie przegrał bitwy. Był dobrym dowódcą.

– To co się stało tam, na pustyni? – zapytał zapalczywie Romulus.

– Ci parszywi Nabatejczycy też odegrali swoją rolę, ale bardziej prawdopodobne jest to, że Partom pomógł twój przyjaciel. Etrusk, który jest w zмовie ze złymi duchami – Nowius potarł amulet w kształcie fallusa, wiszący na jego szyi. – Zawsze przynosił nam pecha.

Jego towarzysze zgodzili się, dając temu wyraz pomrukami.

Romulus zdumiał się nie na żarty, że ktoś może tak interpretować okoliczności,

które doprowadziły do klęski armii Krassusa. Zdał sobie sprawę, że w tej sytuacji najlepiej nie reagować na zaczepki. Niezadowoleni legioniści szukali kozła ofiarnego. Kogoś, na kim mogliby się wyżyć. Nietypowo długie jasne włosy, złoty kolczyk w uchu i niekonwencjonalne zachowania czyniły z Tarkwiniusza oczywisty cel takich podejrzeń. Spieranie się z nimi tylko pogorszyłoby sytuację. Romulus odwrócił się do żołnierzy plecami i pochylił w pokłonie przed małą kamienną figurką Eskulapa na ołtarzu.

W tej samej chwili usłyszał, jak Optatus głośno wciąga powietrze.

– A to co?

Romulus spojrział w dół. Serce zabiło mu szybciej. Prawy rękaw jego tuniki podwinął się, odsłaniając grubą bliznę w miejscu, gdzie znajdował się ślad po wypalonym znaku niewolnictwa. Brennus wyciął kawałek skóry i zszył ranę prostymi, niewprawnymi szwami. Po wstąpieniu do armii Romulus parę razy słyszał pytania dotyczące tej blizny, ale jakoś zawsze udawało mu się wybrnąć z opałów. Mówił, że został ranny podczas potyczki z bandytami. W galijskiej kohorcie pomocniczej nikt zresztą nie interesował się jego dotychczasowymi losami. Zdenerwował się rzucanymi pod adresem Tarkwiniusza oskarżeniami i nie zareagował przekonująco na bezpośrednie pytanie Optatusa. Zawahał się.

– Nie pamiętam...

– Że co? – Optatus wybuchnął pełnym niedowierzania śmiechem. – To pewnie stało się we śnie?

Chociaż towarzysze Optatusa zarechotali, ich twarze zaczęły się zmieniać. Teraz przypominali stado psów myśliwskich, które poczuły zapach dzika. Romulus zaklął pod nosem. Czy ktoś mógłby zapomnieć, jak i kiedy został ranny w walce?

Nowius wysunął do przodu lewą nogę i dźgnął palcem błyszczące blizny po obu stronach łydki. Ich wygląd sugerował, że zostały zadane włócznią.

– Nie mam pojęcia, kto mi to zrobił! Nawet nie poczułem, jak żeleźce rozrywa mięśnie.

Rozległo się głośne rubaszne rzenie pozostałej czwórki. Wszyscy po tak długiej służbie w armii mieli jakieś blizny.

– To było dawno temu... – bronił się Romulus, wiedząc, że nie jest zbyt przekonujący.

Reakcja Kajusza była natychmiastowa.

– Jesteś jeszcze młodzikiem. Nie brałeś udziału w wielu kampaniach wojennych ani nie spędziłeś w legionach połowy życia.

– Tak jak my – warknął Optatus. – A każdy z nas dobrze pamięta, gdzie i kiedy odniósł rany. Jakby to było wczoraj.

Romulus zrobił się czerwony na twarzy. Nie przyszło mu do głowy, żeby przyznać, że przez dwa lata w *ludus* szkolił się jako *secutor*. Blizna na prawym udzie od ciosu nożem Lentulusa czasami dalej paliła go żywym ogniem, zupełnie tak, jakby zaledwie wczoraj stał na piasku areny. Nie! O tym też nie mógł powiedzieć. Gladiatorami zwykle zostawali niewolnicy, przestępcy lub jeńcy wojenni – ci ludzie zajmowali najniższą pozycję w rzymskim społeczeństwie.

– Mówią, że są ludzie, którzy za odpowiednią cenę wytną markę i zszyją cię tak, że nie będzie znaku – powiedział Kajusz złośliwie. – Ukryją wszystkie dowody.

Nowius zmarszczył brwi.

Optatus zaatakował.

– Byłeś u kogoś takiego, co?

– Jasne, że nie – wypalił Romulus. – Niewolnikom nie wolno wstępować do armii.

– Pod groźbą śmierci – potwierdził Nowius z nieprzyjemnym uśmieszkiem.

Kajusz przekroczył próg.

– To mówisz, że skąd pochodzisz?

– Z Galii Zaalpejskiej. – Romulusowi wyjątkowo nie spodobało się to, w jakim kierunku zmierzała ta rozmowa. Wstał, zastanawiając się, gdzie może znajdować się teraz Brennus. – Czemu się tym interesujesz?

– Służyliśmy tam przez trzy lata – powiedział Nowius, a jego oczy przemieniły się w wąskie szparki. – Prawda, chłopcy?

Optatus uśmiechnął się do wspomnień.

Romulus czuł mdłości. To Brennus pochodził z tej części Galii. A on był wręcz mieszczuchem, który nigdy nie opuszczał Rzymu. Musieli skłamać, żeby zaciągnąć się do legionów. Wtedy Bassiusz, ich pierwszy centurion i dowódca, cieszył się, że ma dwóch ludzi, którzy potrafią walczyć. Nie zadawał zbyt wielu pytań. Dla niego liczyło się tylko odważne serce. Potem, już jako najemnicy w armii Krassusa, nie mieli wiele do czynienia z rzymskimi legionistami. Jednak to zmieniło się po klęsce pod Carrhae, gdy dostali się do niewoli. Podczas długiego marszu na wschód niewielu zadawało niewygodne pytania dotyczące innych więźniów. Ważniejsze było przetrwanie. Aż do teraz.

– Tak samo jak połowa armii – Romulus odezwał się buńczucznie. – Czy to

dlatego macie takie ospowate twarze?

Nowius nie zareagował na zaczepkę.

– Skąd dokładnie pochodzisz? – złośliwy niski legionista ściągnął na siebie uwagę wszystkich towarzyszy.

– Urodziłem się w małej wiosce wysoko w górach, z dala od innych osad – odpowiedział Romulus niejasno.

Nie wyglądało na to, żeby to przesłuchanie miało się szybko zakończyć. Teraz Nowius i Optatus również weszli do pomieszczenia z ołtarzem, a dwaj pozostali legionieści blokowali drzwi. Romulus nie miał swobody ruchu i mógł wycofać się tylko głębiej w kierunku drugiej strony baraków, gdzie przestrzeń stawała się jeszcze bardziej ograniczona. Przełknął ślinę, opierając się pokusie wyciągnięcia sztyletu. W tak wąskim pomieszczeniu miał niewielkie szanse w walce z trzema mężczyznami uzbrojonymi w miecze. Mógł tylko wszystkiemu z uporem zaprzeczać.

– Jakie miasto znajdowało się najbliżej?

Romulus zastanawiał się rozpaczliwie na odpowiedzią, próbując sobie przypomnieć, czy Brennus kiedykolwiek wspomniał o jakimś mieście. Żadna nazwa nie przychodziła mu do głowy. Prośba o ratunek do Mitry, a po niej druga, do Jowisza, też nic nie zmieniła. Otworzył usta i zaraz je zamknął, nie wydawszy dźwięku.

Nowius zbliżał się coraz bardziej, wysuwając powoli miecz z pochwy.

– Tego też nie pamiętasz? – zapytał cicho.

– Pochodzimy z okolic Lugdunum – rzucił Brennus, który pojawił się w korytarzu za plecami Romulusa.

Chłopak chyba jeszcze nigdy nie czuł tak wielkiej ulgi.

– Terytorium Allobrogów?

– Tak – Brennus wszedł do pomieszczenia, zmuszając Kajusza do cofnięcia się. – Właśnie tak.

Optatus wyszczerzył zęby.

– Dobrze pamiętam tę kampanię. Łatwo poszło nam z puszczaniem waszych wiosek z dymem.

– Niektóre ze zgwałconych kobiet były nawet ładne – dodał Nowius i wykonał obsceniczny gest, wsuwając i wysuwając dwa palce z okręgu powstałego po złączeniu kciuka i palca wskazującego.

Reszta zaśmiała się okrutnie. Romulus czuł narastającą złość. I wstyd. Mógł się

tylko domyślać, jak gotuje się w środku Brennusa.

Twarz Gala rzeczywiście zrobiła się purpurowa z wściekłości. Na szczęście potrafił się jeszcze opanować.

Nowius nie dawał za wygraną.

– Dlaczego twój akcent różni się od jego? – wskazał lekceważąco kciukiem Brennusa.

Gal nie dał Romulusowi czasu na udzielenie odpowiedzi.

– Bo jego ojcem był rzymski żołnierz. Jeden z was, wy kanalie... – warknął. – To wyjaśnia też jego imię. Zadowoleni?

Ammias, Primitivus i Optatus wpatrywali się w nich groźnie, ale nie odpowiadali. Nie mieli charakteru prowodyrów. Raczej czerpali siłę z grupy.

– A ta blizna? – dopytywał Nowius.

– To od gladiusa – odpowiedział Gal niechętnym tonem. – Chłopak z trudem unosił miecz, ale gdy wy, skurwiele, zaatakowaliście naszą osadę, stanął do walki. Dziwicie się, że nie chce o tym mówić?

Teraz Nowius wyglądał na zakłopotanego. Szybko wykonał obliczenia, zastanawiając się, czy Romulus rzeczywiście mógł być jeszcze chłopcem, gdy doszło do buntu Allobrogów. Dziewięć lat wcześniej.

Mógł.

– Uciekliśmy na południe. Pracowaliśmy to tu, to tam – kontynuował Brennus. – Wreszcie trafiliśmy do armii Krassusa. Gdy nasze plemię zostało starte z powierzchni ziemi, nie miało już dla nas znaczenia, gdzie żyjemy.

Pokonani wojownicy plemienni zazwyczaj z łatwością znajdowali zajęcie w służbie Rzymowi. Do legionów garnęli się Iberowie, Galowie, Grecy i Libijczycy, a także przedstawiciele wielu innych nacji. Zaciągali się nawet Kartagińczycy.

Nowius był wyraźnie rozczarowany.

Romulus wykorzystał niezdecydowanie żołnierzy, żeby zbliżyć się do Brennusa. Teraz stali ramię przy ramieniu. Ogromny Gal, robiący wielkie wrażenie górą mięśni, i jego młody protegowany, nieco niższy, ale równie solidnie zbudowany. Chociaż Romulus miał przy sobie tylko sztylet, gdyby doszło do walki, we dwójkę nie musieliby drzeć o jej wynik. Przyjaciele wpatrywali się teraz odważnie w oczy pięciu weteranów.

Nowius opuścił miecz.

– W legionach powinni służyć tylko obywatele Rzymu. A nie takie plemienne

robactwo jak wy dwaj – skonstatował z odrazą

– To prawda – zgodził się Kajusz.

Nikt nie wspomniał, że przecież służyli w kohorcie najemników Krassusa. Nieważne, że Romulus był najwyraźniej tylko w połowie Rzymianinem. Nie liczyło się też to, że Zapomniany Legion nie jest rzymską jednostką, ale dowodzą nim teraz Partowie.

– To zupełnie inna sprawa... – odrzekł gładko Brennus. – Tutaj wszyscy jesteśmy towarzyszami broni. Po jednej stronie jesteśmy my, po drugiej Partowie, te nędzne szumowiny.

Jego słowa wydawały się trafiać do weteranów, którzy odwrócili się i już mieli odejść. Nowius był ostatnim w grupie.

Romulus rzucił Brennusowi ciepłe spojrzenie i już prawie odetchnął z ulgą. Za wcześniej.

Niski legionista odwrócił się w drzwiach. Brennus spojrzał na niego groźnie, ale zaraz Nowius stanął obok niego.

– Dziwne... – odezwał się zaintrygowany. – Bardzo dziwne.

Zaniepokojony Romulus zobaczył, że Nowius patrzy na lewą łydkę Brennusa, na której wyraźnie widać było fioletowy owal blizny.

– O co chodzi? – odezwał się Kajusz, stojący już na zewnątrz.

– Podczas tamtej kampanii gubernator Pomptinusz kazał znaczyć jeńców na łydce, a nie na ramieniu.

– Pamiętam – padła odpowiedź. – I co z tego?

Romulus zawsze zastanawiał się, dlaczego znak Brennusa nie znajdował się w tym samym miejscu, co u innych niewolników. Nigdy jednak jakoś nie przyszło mu do głowy, żeby o to zapytać.

– Chodziło o to, by zaznaczyć, że są jego własnością – wykrzyknął Nowius.

– Powiedz mi coś, czego nie wiem... – Kajusz wydawał się znudzony.

– To bydlę ma bliznę tam, gdzie powinna być marka – stwierdził Nowius. Uniósł miecz. – On też jest cholernym niewolnikiem!

Zanim Nowius miał szansę użyć miecza, Brennus doskoczył do niego i pchnął go tak mocno, że niski legionista wyleciał przez próg i wylądował na plecach na zewnątrz. Jego czterej przyjaciele rozproszyli się i teraz niespokojnie wpatrywali się w Gala.

– Odwal się ode mnie, ty psie – Gal powiedział przez zaciśnięte zęby – albo cię

zabiję.

– Co za męty! – Nowius sapał z twarzą wykrzywioną wściekłością. – Obaj są zbiegłymi niewolnikami! – Ani Romulus, ani Brennus nie zaprzeczyli. – Feliks też pewnie był niewolnikiem – dodał niski weteran, a pozostali sięgnęli po miecze.

– Za coś takiego może być tylko jedna kara – mruknął Kajusz.

– Ukrzyżowanie – dokończył Optatus.

Ich towarzysze równocześnie wyciągnęli *gladii*, kierując ostrza w stronę Romulusa i Brennusa. Pięciu weteranów wpatrywało się w stojących w drzwiach przyjaciół z nienawiścią.

Żołądek Romulusa zwinął się w węzeł. Wiele razy widział umierających na krzyżu. To była powolna, bolesna śmierć.

– Tylko spróbujcie się ruszyć – ryknął Brennus. Teraz już nie silił się, żeby zachować spokój. Stał w drzwiach z miną rozwścieczonego byka. W wąskim przejściu mógł go atakować tylko jeden przeciwnik. – Który pierwszy?

Żaden z weteranów nie wykonał ruchu. Nie byli głupcami. Romulus rzucił się biegiem do pomieszczenia z bronią, żeby zgarnąć *scutum* i miecz. Nie miał czasu na zakładanie kolczugi, ale tak uzbrojony czuł się gotowy do walki z każdym wrogiem. Jednak gdy pojawił się znowu przy drzwiach, Brennus zmierzał już z powrotem do środka.

– Skurwysyny... – prychnął. – Poszli sobie. Na razie.

– Rozpowiedzą wszystkim – odezwał się Romulus, z trudem powstrzymując ogarniającą go panikę. Partyjskich oficerów nie obchodziła ich historia, ale gdy towarzysze z centurii poznają prawdę, może być niewesoło. A cały legion...

– Wiem.

– Co możemy zrobić?

– Niewiele – Gal westchnął ciężko. – Musimy zachować czujność. Pilnować jeden drugiego.

Skądś już to znali. Milczeli przez chwilę, zastanawiając się nad tym, co ich czeka.

Nie widzieli żadnej alternatywy. Nie mogli opuścić fortu w samym środku zimy. Zresztą... gdzie by poszli? I co z Tarkwiniuszem? Jedyne człowiek, który mógł im pomóc, wciąż był uwięziony w kwaterze Pakorusa. Musieli radzić sobie sami.

Romulus przyglądał się lśniącemu ostrzu swojego gladiusa z ponurą miną. Od tej chwili przyjdzie mu spać z mieczem pod poduszką.

Nie minęła godzina, a wszyscy legionieści z centurii Nowiusa znali już historię Romulusa i Brennusa. Nowius jednak na tym nie poprzestał. Wydawał się owładnięty jakąś dziwną żądzą zemsty. Chodził od baraku do baraku i rozповідаł, kim naprawdę są ludzie, którzy podawali się za Galów z Północy. Kajusz, Optatus i inni też nie próżnowali. Zapoznanie z nowinami ponad dziewięć tysięcy mężczyzn musiało trochę potrwać, ale plotki rozprzestrzeniały się lotem błyskawicy i przed zmierzchem Romulus mógł już być pewien, że ich sekret przestał nim być i nie znały go już tylko trzy osoby.

Najtrudniejsze okazało się dla nich zaakceptowanie reakcji najbliższych towarzyszy w koszarach. Osiemdziesięciu legionistów z tej samej centurii jadło i spało ramię przy ramieniu, dzieląc wyposażenie, żywność i wszy. Choć jednostka została utworzona po bitwie pod Carrhae, wśród ludzi wytworzyły się silne więzi i poczucie braterstwa. Feliks był ich kompanem. Towarzyszem broni. Przyjacielem. Tak daleko od Rzymu mogli polegać tylko na sobie. Mieli tylko siebie.

Tymczasem Romulus i Brennus nagle stwierdzili, że zostali wykluczeni z grupy. To samo tyczyło się teraz Tarkwiniusza.

Legionieści uznali, że czwórka przyjaciół jest siebie warta i tego samego dnia ołtarz poświęcony Eskulapowi i Mitrze został rozebrany, a złożone na nim wota wróciły do właścicieli. Kto chciałby się modlić za człowieka, który przystaje z niewolnikami? Gdy weterani legionu nie mieli za co się modlić, stracili nadzieję i potrzebowali czegoś, co wypełniłoby pustkę. Niestety, w miejscu współczucia pojawiła się nieufność, a nawet wrogość.

Nagle wydawało się, że Romulus i Brennus są odpowiedzialni za wszystkie nieszczęścia, jakie spotkały żołnierzy od czasu rozpoczęcia kampanii przez Krassusa.

Szczęście w nieszczęściu: ukrzyżowanie było raczej mało prawdopodobne. Aby zginąć na krzyżu, któryś z nich musiałby sprzeciwić się partyjskiemu oficerowi. Jednak śmierć przybiera wiele postaci. Kłótnie pomiędzy legionistami rozlokowanymi w barakach zdarzały się bardzo często, a ponieważ każdy mężczyzna w Zapomnianym Legionie był dobrze wyszkolonym żołnierzem, konflikt w każdej chwili mógł zakończyć się czyjąś śmiercią. Uśmiercenie kogoś za pomocą trucizny, choć w Rzymie stanowiło normę, w forcie nie było tak popularne, jak posłużenie się po prostu ostrym sztyletem. Jako że ludzie często zapominali o bezpieczeństwie w latrynie lub w łaźni, zabójstwa w takich miejscach były dość powszechne. Równie

niebezpiecznymi miejscami okazywały się wąskie ścieżki między rzędami baraków. Romulus wiele razy natykał się tam, zaledwie kilka kroków od swojej kwatery, na ciała ze śladami ran kłutych.

Największe niebezpieczeństwo groziło im podczas snu. Ośmiu mężczyzn dzieliło w nocy małe, ciasne pomieszczenie, a gdy dwie osoby z tej ósemki znalazły się poza nawiasem, ich życie stawało się bardzo trudne. Dwóch legionistów natychmiast przeniosło się do innego *contubernium*, w którym akurat znalazły się wolne prycze. Romulus nie mógł zrozumieć, dlaczego ludzie ci zaczęli nagle żywić do nich taką wrogość. Teraz Gordianus, łysiejący weteran, i trzech innych żołnierzy zajmowało jedną stronę pomieszczenia, a dwójka przyjaciół spała po drugiej stronie. Gordianus, obecnie oczywisty lider, nie skomentował jednak ani jednym słowem plotek roznoszonych przez Nowiusa.

Dzięki temu pozostali jego towarzysze również zachowywali się spokojnie. Romulus był mu za to bardzo wdzięczny. Nie miał problemów ze zrozumieniem takiego stosunku i cichej urazy. Chociaż przyjaciele nie spodziewali się, że ktoś z własnego *contubernium* będzie próbował ich zabić, nie mogli nikomu ufać. Nowius często pojawiał się niespodziewanie przy różnych okazjach. Skradał się niczym żmija w wysokiej trawie. Sączył jad do uszu ludzi i zatruwał ich umysły. Niewysoki legionista zwykle kręcił się po korytarzach baraków, opierał się o ścianę, leniwie czyszcząc paznokcie końcówką sztyletu. Czasami zamiast niego pojawiali się Kajusz lub Optatus. Chociaż żaden z nich nie pozwolił sobie na akt bezpośredniej przemocy, ich zachowanie było naprawdę bardzo niepokojące. Gdyby Romulus lub Brennus spróbowali pozbyć się któregoś z nich, zostaliby surowo ukarani. Ponadto nawet gdyby spróbowali którejs nocy pozbyć się wszystkich... było ich zbyt wielu. Podcięcie gardel wszystkim pięciu żołnierzom było niemożliwe.

Dlatego od jakiegoś czasu Romulus i Brennus wspólnie przygotowywali obiady i nawet w tym samym czasie chodzili do latryny. Gdy jeden z nich był w środku, drugi stał na straży z mieczem w ręku. Nawet służbę wartowniczą pełnili w parze. Gdy jeden z nich spał, drugi czuwał. To było męczące i demoralizujące doświadczenie.

– Jest gorzej niż w *ludus* – podsumował którejs nocy Brennus. – Pamiętasz? – Romulus tylko skinął głową, wykrzywiając z goryczą usta. – Wtedy przynajmniej mogliśmy zaryglować drzwi.

– A Figulus i Gallus mieli tylko kilku zwolenników – dodał Romulus.

– Nie tysiące! – Gał wybuchnął krótkim, sarkastycznym śmiechem.

Trwali. Cóż innego im pozostało? Modlitwy Romulusa o wstawiennictwo Mitry

stały się jeszcze bardziej żarliwe, ale ich sytuacja nie ulegała zmianie. Dni zmieniały się w tygodnie, a para przyjaciół stawała się coraz bardziej zmęczona i rozdrażniona sytuacją. Któregoś dnia Nowius i jego kamraci próbowali zaskoczyć ich w alejce w koszarach, ale szybki rzut nożem ostudził ich zapały. Następnego dnia Kajusz kuśtykał po koszarach z mocno obandażowanym udem lewej nogi, a intensywność zaczepek i aktów biernej agresji trochę spadła. Jednak poprawa sytuacji była jedynie tymczasowa. Przyjaciele zdawali sobie sprawę, że nie będą w stanie długo wytrzymać takiego napięcia.

Poczułi znaczną ulgę, gdy któregoś mroźnego poranka Vahram rozkazał, aby dwie centurie – między innymi ta, w której służyli dwaj przyjaciele – wymaszerowały z fortu na długi patrol. Przez kilka dni nie docierały żadne wiadomości od żołnierzy z jednej z placówek legionu, której zadaniem było rozpoznanie okolicy na wschód od głównego obozu. Dowódcy legionu postanowili o wzniesieniu w strategicznych punktach zabezpieczających główne drogi prowadzące do Margiany ze wschodu i z północy siedmiu fortalicji, obsadzonych garnizonami liczącymi po pół centurii rzymskich żołnierzy, wspartej kilkoma partyjskimi wojownikami na koniach. Od południa i południowego-wschodu Margianę osłaniały wysokie pasma górskie. Zwykle garnizony nie miały nawet o czym raportować, ale mimo to dwa razy w tygodniu do fortu docierali posłańcy z wiadomościami. Vahramowi i Pakorusowi można było wiele zarzucić, ale nie to, że nie znali się na wojennym rzemiośle. Dobrze wiedzieli, jak ważne jest dysponowanie odpowiednim rozpoznaniem. Krwawy atak na oddział w mitreum stanowił dodatkowy argument za tym, aby nie rezygnować z żadnych środków bezpieczeństwa.

Romulus i Brennus byli chyba jedynymi, którzy cieszyli się z tego patrolu. Gdy żołnierze zakładali jarzma wyciągnięte z magazynków znajdujących się za sypialniami każdej *contubernium*, większość z nich głośno narzekała. Wprawdzie mieli przed sobą zaledwie dwadzieścia mil drogi, ale rzymscy żołnierze zawsze musieli być gotowi na niespodziewane okoliczności. Słowem, czekał ich marsz w pełnym rynsztunku. Poza tym Vahram nakazał zabranie ze sobą racji żywnościowych na cztery dni. Jarzma – długie, rozwidłone kawałki drewna – pozwalały na zamocowanie i w miarę wygodne przenoszenie wszystkich niezbędnych elementów wyposażenia, od garnka i zapasowych sztuk broni po koce do spania. Wraz ze zbroją i ciężką *scutum* każdy z legionistów dźwigał ponad trzydzieści kilogramów.

– To całkiem bez sensu – mruknął Gordianus, unosząc kolczugę innego legionisty, żeby ułatwić towarzyszowi jej nałożenie. – Głupiego robota...

– W połowie drogi natknijemy się pewnie na posłańca z fortalicyj – zgodził się mężczyzna, któremu pomagał weteran. – I założę się, że ten kutas zeszyci się ze śmiechu, gdy nas zobaczy.

Ludzie wokół nich mruzcili na znak, że podzielają ten punkt widzenia. Kto chciałby bez powodu opuszczać bezpieczny, ciepły fort? Pewnie powodem całego zamieszania jest para okulałych koni.

– No, nie wiem... – usłyszeli znajomy głos. – Wiele może się zdarzyć na patrolu.

Romulus podniósł głowę i zobaczył stojącego w drzwiach Nowiusa. Towarzyszyli mu inni oprawcy – Kajusz i Optatus.

Ręka młodego żołnierza mimowolnie powędrowała do gladiusa. Brennus uczynił to samo.

– Spokojnie... – Nowius rozciągnął usta w nieprzyjemnym uśmiechu. – Później będziemy mieli dużo czasu na zabawę.

Romulus miał już dość. Wyciągnął miecz. Wstał i ruszył w kierunku niskiego legionisty.

– Nie mam już ochoty czekać. Zaraz cię wybebeszę – zaklął nieprzyjemnie.

Nowius zaśmiał się głośno i szybko ulotnił się razem ze swoimi kompanami.

– Na bogów... – odezwał się ze znużeniem Romulus. – Nie zniosę tego dłużej.

W czerwonych, zmęczonych oczach Brennusa dostrzegł zrozumienie.

Gdy jakiś czas później opuścili bezpieczny fort, nikt nie komentował już wydarzeń minionego dnia. Było zimno i szaro, a maszerowanie z pełnym obciążeniem nie sprawiało im wielkiej przyjemności. Chociaż żołnierze byli w dobrej formie fizycznej, brakowało im odpowiedniego rytmu. Gordianus zaczął śpiewać, jak czynił to wiele razy. Gdy ludzie usłyszeli dobrze znane wersy piosenki opowiadającej o wyposzczonym legionście i jego przygodach z prostytutkami z burdelu, morale legionistów nieco się poprawiło. Wydawało się, że Gordianus dysponuje niekończącym się zasobem sprośnych zwrotek, po których następował głośny refren, wyśpiewywany przez chór rozradowanych męskich głosów. Żołnierze lubili takie wspólne śpiewy, bo wydawało im się wtedy, że czas na patrolu płynie trochę szybciej.

Romulus zazwyczaj z przyjemnością dołączał do tych, którzy powtarzali pełen erotycznych podtekstów refren, zawierający mnóstwo odniesień do niezliczonej

liczby pozycji seksualnych. Dziś jednak był w ponurym nastroju, a jego myśli wybiegały w przyszłość. Zastanawiał się, co może grozić im podczas patrolu. Nowius pewnie wykorzysta każdą nadarzącą się okazję, żeby zaatakować ich wtedy, gdy nie będą się niczego spodziewać. W zamęcie potyczki łatwo wbić komuś nóż w plecy tak, żeby nikt nie zauważył.

Brennus trącił go łokciem. Widok, jaki zobaczył, nie poprawił jego nastroju. Dotarli właśnie do rozwidlenia dróg pięć mil od fortu. Gal wskazał krzyż, stojący na niewielkim wzniesieniu przy drodze. Pakorus rozkazał ustawić go właśnie w tym miejscu, żeby wszyscy podróżujący tą drogą nie mogli go przegapić. Krzyż ten, podobnie jak inne krzyże znajdujące tuż za główną bramą fortu, miał spełniać dwa zadania. Po pierwsze, był oczywiście narzędziem tortur. Przybici do krzyża ludzie umierali długo i w okropnych męczarniach. Po drugie, miał być ostrzeżeniem.

Krzyże rzadko stały puste. Wystarczyło zasnąć na warcie, nie wykonać rozkazu lub rozzłościć Pakorusa, aby zasłużyć na śmierć przez ukrzyżowanie. Czasami w ten sam sposób karani byli nawet partyjscy wojownicy, którzy podpadli dowódcy legionu.

Gordianusowi głos uwiązł w gardle. Nie dokończył rozpoczętej zwrotki.

Romulus zamknął oczy. Próbował nie myśleć o tym, że on albo Brennus mogliby wyzionąć ducha na krzyżu. Nie znali stanu zdrowia Pakorusa, więc taka śmierć wciąż była bardzo prawdopodobna... O ile Nowius i jego kompani pierwsi nie pozbawią ich życia.

Mimo wczesnej godziny wokół krzyża zebrały się padlinożerne ptaki. Spacerowały po ziemi, obsiadły poprzeczną belkę, siedziały nawet na ramionach skaźca. Sępy z łysymi łbami przepychały się i skrzeczały z irytacją jeden przez drugiego. Z ich sprzeczek korzystały kruki, szybko doskakując do ofiary i wyrwijąc co lepsze kęski. Wysoko na niebie szybowały ogromne orły. Szeroko rozpościerały skrzydła i spokojnie czekały na swoją kolej, licząc na suty posiłek.

Żołnierze zerkali na zamrożone zwłoki, które lekko opadły do przodu. Głowa skaźca wisiała nisko, z brodą przy piersi. Grube liny wokół ramion podtrzymywały ciało martwego mężczyzny. Stopy ofiary przybito do pionowej belki długimi gwoździami. Wszyscy go znali. Był młodym legionistą z kohorty Ishkana, który dwa dni temu został złapany na kradzieży chleba. Oprawcy zaciągnęli go na *intervallum*, gdzie przed frontem całego legionu wymierzono mu pierwszą karę. Pod razami bata z jego tuniki zostały tylko strzępy. Zamiast pleców miał wielką krwawiącą ranę. Potem ubranemu tylko w opaskę biodrową mężczyźnie nakazano

dźwiganie krzyża aż do miejsca kaźni na rozdrożu. Towarzyszyło mu dziesięciu ludzi z każdej kohorty. Mieli być świadkami kaźni. Zanim dotarli na miejsce, podrapane, bosa stopy nieszczęśnika zrobiły się niebieskie z zimna. Mróz jednak nie wystarczył, żeby nie czuł bólu przy przebijaniu ich ostrymi gwoździami.

Romulus ciągle słyszał przenikliwe krzyki chłopaka, a potem jego rżenie.

Legioniści spowaźnieli. Wszyscy, z wyjątkiem Nowiusa i jego znajomków, którzy śmiali się i chuchali w złożone dłonie. Starszy centurion o imieniu Darius wyczuł złe emocje i nakazał przyspieszenie kroku. Gdy kolumna zbliżyła się do krzyża, znajdujące się tam sępy zamachały leniwie skrzydłami i wzbity się w powietrze. Inne po prostu oddaliły się niespiesznym spacerem, tak żeby znaleźć się poza zasięgiem ludzi. W środku zimy trudno o pożywienie, dlatego ptaki nie mogły pozwolić sobie na odpuszczenie takiej uczty. Nie odejdą, zanim na krzyżu nie zostanie jedynie ogołocoony z mięsa szkielet.

Romulus nie mógł oderwać wzroku od zamarzniętego ciała. Wyglądało na to, że jedyną nienaruszoną częścią ciała ofiary była ta ukryta pod przepaską. Puste oczodoły wpatrywały się w przestrzeń. Na policzkach, klatce piersiowej i ramionach skazańca wyraźnie widać było ślady dziobów i pazurów padlinożerców. Usta legionisty zastygły w grymasie bólu i przerażenia. Paski wydartej skóry wisiały poniżej bioder. Na udach znajdowały się najlepsze kawałki mięsa z mięśni. Nawet na stopach wyraźnie widać było ślady zębów – prawdopodobnie zostawione przez jakiegoś zaradnego szakala, który wspiął się na tylne łapy. Czy mężczyzna mógł jeszcze żyć, gdy pierwsze sępy rozpoczęły ucztę? Czy czuł łamiące się kości w zmrożonych dłoniach, na których zaciskały się potężne dzioby?

Ten obraz był tak odrażający, że pozostawiał w umysłach niezatarte wrażenie.

Romulus zamrugał.

Tam coś było!

Przez kilka ostatnich tygodni młody żołnierz miał dość czasu, aby przyglądać się prądom powietrznym i analizować formacje chmur. Uważnie obserwował każdego ptaka, zwierzynę, wzory na śniegu i układ lodu zamarzającej rzeczki, która przepływała w pobliżu fortu. Tarkwiniusz powtarzał wiele razy, że dosłownie wszystko może mieć znaczenie i każdy szczegół może nieść jakieś wskazówki dotyczące przyszłości. Tyle że Romulus czuł się mocno sfrustrowany, bo niewiele z tych wskazówek do siebie pasowało. Dzięki podpowiedziom i instrukcjom haruspika bez problemu przewidywał pogodę. Oczywiście ta umiejętność również się przydawała, ale Romulus szukał zupełnie innych informacji. Chciał wiedzieć więcej.

Nie tylko to, kiedy i gdzie spadnie deszcz. Irytował się też tym, że nie dostrzegał żadnych wskazówek dotyczących losów Tarkwiniusza, Pakorusa, Nowiusa i innych weteranów. Nie widział nic przydatnego.

Być może teraz właśnie nadarzała się szansa.

Romulus skoncentrował się na trupie na krzyżu, wbijając wzrok w to, co zostało z legionisty.

Mignął mu jakiś obraz. Przez chwilę widział podwójnie, jakby przez mgłę. Rzym. Krzyż stał się bramą czasu i przestrzeni, przez którą mógł spojrzeć na stolicę. Czy wizja wymagała ofiary? Śmierci? Czy to właśnie tak wyglądało przepowiadanie przyszłości, gdy haruspik ofiarował bogom życie kury czy kozy? W tej chwili Romulus po raz pierwszy poczuł, że rozumie istotę haruspicii.

Rozpoznał znajome budowle. Forum Romanum, siedzibę senatu, *basilicae*, charakterystyczne świątynie i posągi bogów. Ludzie zajmowali się swoimi sprawami. Widział lichwiarzy i obywateli przysłuchujących się procesom sądowym. Ale to nie była wizja zwykłego dnia. Romulus zmarszczył brwi, bo nie mógł uwierzyć w to, co zostało mu ujawnione. Ku swojemu przerażeniu zorientował się, że bogowie pokazują mu obraz przedstawiający zamieszki, które najwyraźniej wybuchły w samym sercu miasta. Ludzie ginęli dziesiątkami. Padali na bruk pod ciosami uzbrojonych mężczyzn. Wśród ofiar było wielu niewinnych obywateli. Wszędzie leżały zakrwawione, strasznie okaleczone ciała. Co dziwne, niektórzy walczący wyglądali na gladiatorów! Romulus był oszołomiony. Jak to możliwe, że w stolicy imperium zapanował chaos? Czy to umysł płata mu figle? Traci zmysły? Jego pragnienie powrotu do domu nigdy nie było silniejsze niż w tej chwili. I nigdy wcześniej nie wydało się tak mało prawdopodobne.

Nagle poczuł dłoń na plecach. Błyskawicznie wrócił do teraźniejszości.

– Nie możemy już pomóc temu biedakowi – powiedział Brennus, zerkając na zmrożone ciało. – Zapomnij o nim.

Romulus otworzył usta ze zdziwienia. To nie o to chodzi! Od razu uświadomił sobie, że Gal nie widział tego, co on. Już miał podzielić się swoimi spostrzeżeniami z przyjacielem, gdy coś kazało mu spojrzeć ponad jego ramieniem.

Nowius czekał na tę chwilę. Uniósł ramiona, upodabniając się do ukrzyżowanego legionisty.

Romulus odwrócił wzrok z obrzydzeniem, ale szyderczy śmiech niskiego weterana długo dzwonił mu w uszach. Świat naprawdę znalazł się na krawędzi szaleństwa.

Rozdział VI

Chaos



Rzym, zima 53/52 r. p.n.e.

Gdy Fabiola została porwana przez tłum, starała się już tylko nie stracić równowagi i uniknąć stratowania. Udało się jej to chyba tylko dzięki Tulliusowi, który pewnie trzymał ją w pionie. Reszta ochroniarzy wkrótce zniknęła w szybko przemieszczającej się tłuszczy. Od czasu do czasu migały jej tylko ich zdeorientowane twarze. Spróbowała podsłuchać, o czym mówią członkowie gangu. Wyglądało na to, że zasadzka w oberży wszystkich zaskoczyła. Podejrzewali, że wśród ludzi *collegia* są zdrajcy, którym grożono poważnymi konsekwencjami. Członkowie gangu zapowiadali, że nie spoczną, dopóki Klodiusz nie zostanie pomszczony.

W gniewnych słowach otaczających ją mężczyzn Fabiola wyczuwała coś więcej niż tylko pragnienie zemsty. Wymachujący bronią ludzie wokół niej w ogromnej większości pochodzili z plebsu. Byli ubodzy, niewykształceni i niedożywieni. Z pewnością mieszkali w przepelnionych, zaszczurzonych mieszkaniach dla biedoty i mogli liczyć tylko na krótkie, nędzne życie, prawie bez szans na poprawę swojej sytuacji. W wielu aspektach ich życie nie różniło się od życia niewolników. A przecież byli obywatelami Rzymu! Siła tłumy i anarchia na ulicach pozwalały im marzyć o zmianie. Teraz mieli władzę. Szacunek tych, którzy normalnie pewnie nie obdarzyliby ich jednym spojrzeniem. Pieniądze ludzi, których okradli. Ryzykowali życiem. To pewne. Ale tę cenę gotowi byli zapłacić za rzeczy, których w innych okolicznościach nigdy by nie zdobyli. Dlatego też Fabioli nie dziwiło to, że zarówno Klodiusz, jak i Milon przyciągali rzesze fanatyków. Ona jednak rozumiała, że wykorzystanie populistycznych frazesów i energii tłumy jest krótkowzroczne. Jeśli w mieście zapanuje chaos, nie będzie *congiaria*, rozdawnictwa zboża i pieniędzy,

co sprawiało, że najbiedniejsze rodziny utrzymywały się na powierzchni, wówczas pojawi się głód.

Pulsujący gniewem motłoch budził w niej raczej lęk niż fascynację. Fabioli wystarczyło jedno spojrzenie na twarze przerażonych, przypadkowych osób, które znalazły się w tym tłumie w efekcie nieszczęśliwego zbiegu okoliczności, żeby zdać sobie sprawę, iż niekontrolowana przemoc będzie miała tragiczne konsekwencje zarówno dla winnych, jak i niewinnych członków zgromadzenia na forum. Niezależnie od tego, jakich potworności dopuszczali się przedstawiciele klasy rządzącej w imię Republiki, państwo wciąż było instytucją, która stanowiła fundament pokojowego współżycia. Niewinni ludzie nie ginęli wcześniej z rąk siepaczy nasłanych przez Republikę tylko z powodu zawartości swoich sakiewek. A kradzieże i morderstwa staną się normą, jeśli motłoch przejmie kontrolę nad stolicą.

Szybko dotarli do Forum Romanum. Na pierzeje głównego placu stolicy składały się liczne świątynie i sanktuaria, budynek senatu i *basilicae*, ogromne hale targowe, zwykle pełne handlarzy, prawników, skrybów i wróżbitów. To zazwyczaj była najbardziej zatłoczona część miasta, droga sercu każdego rzymskiego obywatela. Organizowano tu najważniejsze spotkania z mieszkańcami, ale także sądy i wybory. Tu rozgrywały się zdarzenia, o których długo pamiętano. I zapewne dlatego bandy Klodiusza wybrały Forum Romanum na miejsce swojego zgromadzenia.

Dziś w *basilicae* panował jednak spokój. Były praktycznie puste. Zamiast zwykłego dla tego miejsca codziennego rejuwachu, złożonego z krzyków handlarzy, mów uczonych w prawie czy nagabywań przekupek, walczących o uwagę przechodniów, panowała teraz dziwna, niemal kompletna cisza. Od czasu do czasu słychać było jakiś pojedynczy głos sklepikarza, który odważył się rozłożyć swój kramik i wyłożyć towar. Od wielu tygodni na forum pojawiało się bardzo niewiele uczciwych obywateli. Większość ludzi, która tu kiedyś często bywała, teraz wolała zostać w domach. Ze świecą by szukać przebiegłych haruspików. Obecnie miejsce to oferowało regularną przemoc, więc nikt nie chciał ryzykować życia. Nobile i dobrze sytuowani mieszkańcy miasta omijali forum, chowając się za grubymi murami domów.

To poczucie bezpieczeństwa może być złudne... – pomyślała Fabiola, zerkając na wściekłych, zgrzytających zębami mężczyzn wokół.

Chociaż bogatszych obywateli miasta nie było na forum, plac wypełnił się plebejuszami, którzy zjawili się na miejscu mimo poważnej groźby wybuchu

regularnych zamieszek. Wieści o śmierci Klodiusza rozeszły się po przedmieściach lotem błyskawicy. Obywatele Rzymu z przerażeniem zastanawiali się, jak będzie wyglądać życie w mieście rządzonym przez rywalizujące ze sobą gangi. Chcieli na własne oczy zobaczyć, kto wyjdzie zwycięsko z konfrontacji. Tego rodzaju wydarzenia – mające potencjał zmiany historii – były raczej rzadkie. Każdy chciał być ich świadkiem. Od czasów Sulli, „Rzeźnika”, który przejął siłą kontrolę nad stolicą trzydzieści lat wcześniej, nikt tak bardzo nie wstrząsnął fundamentami demokracji. Mimo wszystkich wad ustrojowych do tej pory Republika radziła sobie nieźle. Ale teraz wydawało się, że zamienia się w okręt bez steru na wzburzonym morzu.

Najlepsze punkty widokowe – schody prowadzące do *basilicae* i wszystkich świątyń – były wprost zapchane obserwatorami. Dzieci siedziały na ramionach ojców. Wyciągały szyje, aby zobaczyć, co dzieje się na placu. Ludzie wdrapywali się nawet na posągi. Centralna część forum była jednak dziwnie pusta. Rozlew krwi wydawał się nieunikniony i każdy, kto znajdzie się pomiędzy walczącymi, będzie ryzykował życiem.

Ponieważ przekonany o słuszności swojej misji Milon chciał uchodzić za obrońcę Rzymu, zajął miejsce przed budynkiem senatu, ubrany w nieskazitelnie białą togę. Przystojnego, gładko ogolonego mężczyznę otaczała grupa jego ludzi. Fabiola dostrzegła wielu gladiatorów. Trudno było nie dostrzec dramatycznej implikacji tej sceny. Oto obrońca miasta na siedmiu wzgórzach, szykujący się do odparcia tych, którzy pragnęli zburzyć stary porządek i wywołać anarchię. Na schodach zgromadziła się także grupa kapłanów, którzy mieli być dowodem boskiego poparcia dla sprawy Milona. Śpiewali, palili kadzidła i unosili ręce do nieba. Ludzie w białych szatach mogą uwiarygodnić każde zgromadzenie. Ta sztuczka spełniła swoje zadanie, gdyż wielu ludzi w tłumie zaczęło wykrzykiwać imię Milona. Jego gladiatorzy zareagowali na te głosy, uderzając bronią o tarcze, czym czynili niewiarygodny harmider.

Brutus opowiadał jej o różnych klasach wojowników walczących na arenie. Dziewczyna uznała bowiem, że powinna poznać więcej szczegółów z życia, do którego Romulus został zmuszony. Zapamiętała każdy drobiazg. Teraz bez problemu rozpoznawała *murmillones* w charakterystycznych, wykonanych z brązu hełmach, zakończonych rybą, z prawymi ramionami osłoniętymi pancerzem. Obok samnitów z hełmami ozdobionymi pióropuszem i wysokimi owalnymi tarczami stała grupa *secutores*. Ich prawe ręce chroniły skórzane *manicae*, a lewe nogi pojedyncze

nagolenniki. W grupie Milona znalazło się nawet kilku *retiarrii*, uzbrojonych w trójzęby i sieci. Długie szeregi wyszkolonych zabójców robiły wrażenie.

Po drugiej stronie forum, naprzeciwko gladiatorów, falował niezorganizowany tłum zwolenników Klodiusza. Fabiola oceniła, że chociaż byli gorzej uzbrojeni, mieli znaczną przewagę liczebną nad siłami Milona.

Gdy przywódca grupy, która sprowadziła na forum Fabiolę, dostrzegł swoich znajomków, ruszył w ich kierunku, bezceremonialnie przebijając się przez tłum obywateli. Ludzie, z którymi był, szybko poszli w jego ślady, płazując gapiów. Czasami nie unikali nawet zadawania ciosów ostrymi krawędziami broni, raniąc tych, którzy niezbyt szybko usunęli się z drogi. Rozległy się krzyki. Po bruku popłynęła krew, a ludzie natychmiast się rozstąpili, umożliwiając zbirom dołączenie do towarzyszy. Gdy to się stało, rozległy się głośne wiwaty. Teraz ludzi Klodiusza było co najmniej trzy razy więcej niż gladiatorów Milona.

Na forum zapanował dziwny spokój. Obie strony przygotowywały się do bitwy, ale na placu nie pojawił się jeszcze... powód tego starcia. Ciało Klodiusza.

Tymczasem ochraniający Fabiolę mężczyźni wreszcie przebili się do niej przez ciżbę. Poczuała się odrobinę pewniej, jednak nadal przeszkadzało jej, że jest całkowicie bezbronna. Szepnęła parę słów do ucha Tulliusowi i już po chwili ścisnęła w ręce otrzymany od niego sztylet. Od razu wsunęła go w rękaw stoli. Tylko bogowie wiedzieli, co przyniosą następne godziny, nim zapadnie zmrok. Rzym może pograć się w chaosie, ale ona chciała przetrwać. Jeśli pojawi się taka konieczność, będzie mogła przynajmniej walczyć o swoje życie. Fabiola zmówiła szybką modlitwę do Jowisza. *Chroń nas wszystkich. Nie pozwól, aby stało się coś złego mnie i moim ludziom.*

Po niedługiej chwili do ich uszu dotarły odgłosy kobiecego zawodzenia. Dochodziły z pewnej odległości, wznosząc się i opadając w lamencie, z którego bił nieutulony żal. Zbiorowe westchnienie zakołysało tłumem. Ludzie wyciągali szyje i kręcili głowami, żeby zobaczyć, co się dzieje. Ciało Klodiusza miało zostać wystawione na widok publiczny. Napięcie okazało się za duże dla jednego z ludzi Milona, który zdenerwowany rzucił oszczepem w tłum. Pocisk leciał po płytkim łuku w stronę plebejuszy, ale upadł, nie szkodząc nikomu, na kamienny bruk kilka metrów przed pierwszym szeregiem. Ludzie z placu odpowiedzieli szyderstwami i obelgami. Atmosfera stawała się coraz bardziej napięta, ale – co dziwne – żaden z bandziorów Klodiusza nie próbował odpłacić się gladiatorom tą samą monetą. Wydawało się, że kontrolują swój gniew i czekają na ciało przywódcy. Oczywiście wszystkich były teraz utkwione w miejscu, gdzie do forum dochodziła Via Appia.

Fabiola spojrzała na Tulliusa, który wysłał jej uspokajający uśmiech. Zdawała sobie sprawę, że robi dobrą minę do złej gry, ale poczuła sympatię do tego twardego Sycylijczyka. *Dobry z niego człowiek. Potrzebuję więcej takich jak on.*

Zawodzenie powoli stawało się coraz głośniejsze, aż w końcu na forum pojawiła się grupa kobiet, ubranych w szare żałobne stroje. Zbliżały się do pierwszych szeregów nieprzebranego tłumu na forum, który śledził każdy ich ruch. Wśród kobiet wyróżniała się szczupła postać w ubraniu przesiąkniętym krwią, zataczająca się pod ciężarem ciała owiniętego tkaniną.

Znyślna zagrywka. Fulwia dobrze się spisala, zbierając i organizując swoich przyjaciół oraz zwolenników w tak krótkim czasie. Czy istniał jakiś lepszy sposób, aby wywołać histerię tłumu? Spektakl z wykorzystaniem chóru płaczek i ciała martwego mężczyzny naprawdę był mistrzowskim zagranem wdowy po Klodiuszu.

Stopniowo poszczególne okrzyki stawały się bardziej zrozumiałe.

– Patrzenie, co zrobili z moim Klodiuszem! – wołała Fulwia.

– Zamordowany! – odpowiadały jej kobiety. – Zatlukli na ulicy jak psa!

– Zostawili nagiego jak w dniu, gdy się narodził – zawodziła wdowa.

Ludzie z tłumu zaczęli krzyżeć i wygrażać tym stojącym na schodach.

– Boicie się uczciwej walki? – kilku towarzyszących Fulwii mężczyznom zaczęło pluć w kierunku Milona i jego ludzi. – Tchórze!

Pełne wściekłości okrzyki przemieniały się w jeden groźny szum. Wielu zwolenników Klodiusza zaczęło uderzać rękojeściami mieczy o tarcze. Inni tupali niespokojnie nogami. Gladiatorzy zareagowali podobnie. Wkrótce w szumie głosów trudno już było zrozumieć poszczególne słowa.

Gdy obie strony kontynuowały ten festiwal wyzwisk, Fabiola poczuła zbierający się jej gdzieś w dole gardła gorący, palący kwas. To samo musiał czuć Romulus tuż przed starciem pod Carrhae. Przed śmiercią. Przepelił ją dobrze znany już smutek, a potem niesamowite wrażenie akceptacji kolei losu i przeznaczenia. *Może on nie żyje? Może Jowisz sprowadził mnie w to miejsce, żebym i ja zginęła? Żebym dołączyła do Romulusa i matki?* Zdziwiła się na myśl o tym, że tak łatwo przychodzi jej oswojenie się z tym fatalizmem. Dawniej jej rodzina była dla niej wszystkim. Szkopuł w tym, że już nie miała rodziny! Poza Brutusem i Docilosą nie miała nikogo bliskiego na świecie. Nie miała krewnych, a zemsta jako cel życia nie starcza na długo. I bardzo dobrze. Niechaj się stanie. *Iuppiter Optimus Maximus, czyń, co uznasz za stosowne.*

Otoczające ją twarze przerażonych obywateli wciąż jednak nie dawały jej spokoju. Ci ludzie byli inni. Mieli po co żyć. Nie popełnili żadnych przestępstw. Większość

z nich prawdopodobnie miała rodziny. A jednak groziła im śmierć. I sytuacja może wymknąć się spod kontroli, jeśli w mieście szybko nie zostanie przywrócony porządek. Fabiola czuła się bezradna. Bez znaczenia. *Co mogę zrobić? Pozostało mi jedynie prosić boga o wsparcie. Jowiszu, ochroń tych ludzi i ocal swoje miasto!*

– Dorwijmy tych skurwiele! – krzyknął nagle jakiś dobrze zbudowany mężczyzna z pierwszego szeregu, stojący niedaleko miejsca, gdzie znajdowała się Fabiola.

Jego kompani ryknęli wściekle i ruszyli jak jeden mąż do przodu.

– Czekać! – wydarł się brodaty lider. – Nie widzieliśmy jeszcze ciała Klodiusza.

Na razie to wystarczyło. Tłum zakołysał się i cofnął.

Wkrótce Fulwia dotarła na środek forum. Atrakcyjna, mniej więcej trzydziestoletnia kobieta wtarła w twarz popiół i sadzę. Spływające po jej policzkach łzy odsłoniły długie pazury jaśniejszego ciała i skapywały na szaty poplamione krwią zabitego. Fulwia jednak kontrolowała to, co dzieje się wokół. Nakazała kobietom stanąć w kole, a sama z szacunkiem złożyła owinięte w całun ciało na ziemię. Odsunęła przesycone czerwienią płótna, żeby pokazać obywatelom okaleczone zwłoki swojego męża. W reakcji na ten ruch powietrze wypełnił jeden wielki jęk. Fabiola nie mogła nie skrzywić się na widok strasznych ran Klodiusza. Młody posłaniec nie przesadzał. Człowiek, który odrzucił szlachectwo, żeby być „jednym z ludu”, został straszliwie okaleczony. Pod krwawą siatką ran kłutych i sieczonych niemal nie dało się rozpoznać jego rysów. Jedną nogę miał prawie odciętą, a z lewego ramienia nadal wystawał grot oszczepu. Klodiusz Pulcher nie odszedł z tego świata w spokoju.

Ludzie Milona zareagowali na ten widok śmiechem i wyzwiskami.

Fulwia wyprostowała się dumnie. Jej szara suknia była przesiąknięta krwią. Nadeszła jej chwila.

Fabiola czekała.

Cały Rzym wstrzymał oddech.

Unosząc ręce w dramatycznym geście, Fulwia uderzyła się w piersi zaciśniętymi pięściami. Gdy zaczęła mówić, pluła drobkami śliny.

– Wzywam Orkusa, pana podziemi! – wyciągnęła dłoń i drżącym palcem wskazała Milona. – I przeklinam tego człowieka.

Milon wzdygnął się. Większość obywateli Rzymu była przesądna. Mało kto nie przejąłby się taką publiczną kłatwą. Ale Milon był też odważnym człowiekiem. Wypreżył się i przygotował na następne słowa Fulwii.

– Wtrąćcie go do Hadesu – wykrzyczała. – Niech tam Cerber powoli rozrywa go na strzępy. I żywi się jego ciałem przez całą wieczność.

Tym razem Milon w ogóle nie zareagował. Nie odezwał się ani słowem. Jego gladiatorzy zamilkli. Nawet specjalnie ściągnięci na tę okazję kapłani nie odważyli się wykonać jakiegokolwiek gestu.

W tłumie ludzie składali palce w znak, który miał chronić przed złem.

Fulwia odczekała dziesięć uderzeń serca, pozwalając, aby jej słowa wybrzmiały i zostawiły po sobie niezatarte wrażenie. Potem chwyciła ciało Klodiusza i ruszyła pod schody świątyni Junony, gdzie runęła na kolana, a następnie bezwładnie opadła na ciało męża. Jej towarzyszki pospieszyły za nią, chcąc dołączyć do wdowy w żałobie. W końcu Fulwia pozwoliła sobie na niekontrolowany szloch.

Fabiola mogła tylko podziwiać aktorskie umiejętności kobiety. Ostatni akord, najbardziej dramatyczna scena tej sztuki, miał rozegrać się wtedy, gdy Fulwia znajdzie się w bezpiecznym miejscu. Fabiola mogła przewidzieć, co się stanie za chwilę. Kobiety towarzyszące wdowie zaczęły dotykać ran Klodiusza, unosząc okrwawione dłonie tak, żeby wszyscy mogli je zobaczyć.

Tego było już za wiele dla ludzi Klodiusza. To, co się stało, wymagało zemsty. Z ich gardeł wyrwały się niekontrolowane ryki pełne nienawiści, po czym rzucili się na wrogów. Fabiola, jej ochroniarze i zakładnicy wirowali w tłumie. Nie było żadnego wyraźnego podziału na wrogów i sojuszników, lecz jedynie chaotyczna rzeź, w której uczestniczyli bandyci, gladiatorzy i zwykli obywatele miasta.

Przerażeni kapłani krzyczeli, wzywając do zachowania spokoju. Za późno zdali sobie sprawę, że za chwilę motłoch wymknie się spod kontroli. Wściekłość tłumu groziła teraz Rzymowi, a oni walnie przyczynili się do jej pielęgnowania.

– Pani! – zawołał Tullius. – Musimy uciekać.

Fabiola ponuro skinęła głową.

– Używajcie broni tylko w ostateczności – nakazała swoim ludziom. Nie chciała mieć na sumieniu krwi niewinnych.

Mężczyźni zdążyli tylko kiwnąć głowami na znak zgody, gdy wojownicy obu stron zwarli się w śmiertelnym starciu wśród huku zderzających się tarcz. Dobrze wyszkoleni gladiatorzy Milona na początku mieli przewagę nad motłochem, składającym się głównie z plebejuszy. Dzięki solidnej ścianie tarcz wytrzymali pierwszy impet uderzenia. *Gladii* kłuły wściekle. Trójzęby i włócznie trafiały w niczym niezabezpieczone twarze i szyje atakujących. Oszczepy furkotały w powietrzu. Krew lała się po bruku. Fabiola obserwowała wszystko z niezdrową

fascynacją i rosnącym przerażeniem. Sceny rozgrywane się teraz przed jej oczyma były o wiele gorsze niż wszystko, co widziała na arenie. Już po chwili walk dziesiątki rannych lub zabitych napastników leżały na ziemi. Nieuchronnie jednak brutalna siła i przewaga liczebna atakujących dawała o sobie znać i wkrótce miała zaważyć na wyniku starcia. Płonąc nienawiścią, przepełnieni żalem członkowie gangów Klodiusza nacierali na wrogów jak opętani. Pierwszy upadł samnita, który pozwolił, aby dwóch krzepkich plebejuszy wyrwało mu tarczę. Mimo że natychmiast rozplątał gardło jednemu z nich, po chwili ktoś przebił go włócznią na wylot. Z ust gladiatora chlusnęła krew. Upadł, tworząc lukę w linii obrońców. Ci z atakujących, którzy byli najbliżej, od razu to wykorzystali. Następny padł *murmillo*. Potem jakiś *retarius*. Tłum parł do przodu, zmuszając ludzi Milona do wycofania się na schody senatu. Gladiatorzy nie przypominali zdyscyplinowanych rzymskich legionistów, przywykłych do walki z wrogiem dysponującym przewagą liczebną. W szeregach obrońców pojawiły się kolejne luki, w które natychmiast ruszali kolejni napastnicy, dzieląc gladiatorów na kilka grup. Ci zaczęli rozglądać się, szukając dróg ewentualnej ucieczki. Obiecano im dobre pieniądze za pojedynki na ulicach, a nie za oddanie życia w prawdziwej walce na śmierć i życie, w której nie brało się jeńców.

Nie wyglądało jednak na to, że bitwa ma się szybko zakończyć. Fabiola stwierdziła, że teraz przewagę zyskują ludzie Klodiusza. Na szczęście ochroniarze Fabioli nie dali się wciągnąć w do walki. Bandyci, którzy doprowadzili ich na forum, teraz zniknęli. Nadarzyła się okazja, żeby brać nogi za pas, i trzeba było z niej korzystać. Fabiola kiwnęła głową, sygnalizując Tulliusowi, że najwyższy czas opuścić to niebezpieczne miejsce. Sycylijczyk wydawał się wyjątkowo zadowolony z jej decyzji. Rzucił krótki rozkaz, żeby jego ochroniarze stworzyli bezpieczną barierę wokół Fabioli. Dziewięciu mężczyzn z mieczami w rękach ustawiło się w formacji przypominającej diament. Ruszyli. Przedzierali się przez tłum, byle dalej od miejsca, skąd dochodził szcęk broni. Na szczęście nie tylko oni uznali, że to dobry moment na ucieczkę. Ich „porywacze” mieli teraz pełne ręce roboty i nikt nie zwracał na nich uwagi. Wszyscy niewinni obserwatorzy, zmuszani wcześniej do uczestniczenia w tym spektaklu, desperacko pragnęli oddalić się z forum, przepychając się szaleńczo, obalając słabych, ignorując ich krzyki lub po prostu tratując tych, którzy znaleźli się na ziemi. Tullius bezceremonialnie odciągnął Fabiolę pochylającą się, aby pomóc jakiejś starszej kobiecie, która upadła na kolana.

– Zostaw ją!

Zaskoczona tak ostrą reakcją Tulliusa Fabiola zdała sobie nagle sprawę, że

Sycylijczyk naprawdę martwi się o jej bezpieczeństwo. Rzuciła spojrzenie za plecy, ale naznaczona zmarszczkami, przerażona twarz staruszki zniknęła już w falującej masie uciekających. Kolejna niewinna ofiara. Nie było czasu na żałobę lub zastanawianie się nad wolą bogów. Myślała tylko o tym, żeby ująć cało. Za chwilę pędzili już na złamanie karku po wybrukowanych ulicach.

– Tam! – krzyknął Tullius, wskazując najbliższy budynek górujący nad forum, którym okazała się świątynia Kastora. Pochylili głowy i desperacko przedzierali się przez tłum.

Fabiola aż wstrzymała oddech, gdy zagarnął ich ludzki wir. Od czasu do czasu Tullius lub któryś z jego ludzi musiał użyć rękojeści miecza, żeby usunąć kogoś z drogi, ale na szczęście większość członków grup zbrojnych Klodiusza była teraz bardziej zainteresowana walką z gladiatorami niż powstrzymywaniem kilku osób zmierzających w przeciwnym kierunku.

Gdy dotarli do rzeźbionych kamiennych schodów, obeszl ich podstawę, po czym zanurkowali w wąską uliczkę, biegnącą wzdłuż jednej ze ścian sanktuarium. Fabiola rzuciła ostatnie spojrzenie na forum, gdzie wciąż toczyły się zażarte walki. Żadna ze stron nie zamierzała się poddać ani prosić o łaskę. Gladiatory Milona zostali jednak rozbici i teraz bronili się w małych grupach, walcząc o życie ze znacznie przewyższającymi ich liczebnie plebejuszami. Każdy sukces gangów Klodiusza słono ich kosztował: na każdy padający na ziemię *nurmillio* lub *secutor* przypadało trzech lub czterech przeciwników. Śmierć zbierała krwawe żniwo. Ciała leżały wszędzie. O niektóre ludzie się potykali, inne układały się w wysokie stosy, gdy kilku walczących umierało jeden po drugim lub przy próbie dostania się do jakiejś świątyni. To była prawdziwa masakra.

Rzym znalazł się na krawędzi przepaści i nie było nikogo, kto mógłby zapobiec anarchii.

– Szybciej! – teraz Tullius martwił się jedynie o to, żeby odeskortować swoją panią w bezpieczne miejsce.

Chociaż Fabiola wiedziała, że pozostawanie w miejscu choćby jeszcze przez chwilę mogło mieć poważne konsekwencje, nie mogła oderwać oczu od dantejskich scen na forum. Widziała, jak sześciu plebejuszy wyłania się z tłumu i unosi ciało Klodiusza. Prowadzeni przez Fulwię i brodatego lidera, którego Fabiola już wcześniej widziała, ruszyli w stronę wejścia do budynku senatu. Za nimi podążyło dwóch mężczyzn z płonącymi pochodniami w rękach. Fabiola wciągnęła głośno powietrze. Zamierzali rozpalić stos pogrzebowy wewnątrz budynku, będącego

symbolem władzy Republiki! W kurii senatu.

Tullius próbował siłą zmusić swoją panią do dalszej ucieczki, ale Fabiola ani drgnęła. Musiała przekonać się, czy jej przypuszczenia są słuszne. Chwilę później ze środka kurii buchnęły kłęby dymu. Żadne wydarzenie z historii miasta nie miało bardziej dramatycznego przebiegu. Symbol pięciuset lat rzymskiej demokracji właśnie stawał w płomieniach.

Nawet Tullius zmarł, gdy tylko zdał sobie sprawę, czego są świadkami. Niewolnicy rzadko interesowali się polityką, ale pewne symbole Republiki były nietykalne lub przynajmniej takie się wydawały. Budynek, w którym odbywały się posiedzenia senatu, był jednym z takich symboli. Pożerany przez płomień przedstawiał wyjątkowo szokujący widok. Jeśli można spalić kurię senatu, to równie dobrze można zniszczyć Rzym.

Sycylijczyk wreszcie się opamiętał.

– Nie możemy dłużej tu stać, pani – odezwał się stanowczym tonem.

Fabiola westchnęła. Kiwnęła głową i potulnie ruszyła za Tulliusem. Jowisz na razie ich oszczędził, ale nie powinni kusić losu. Musieli uciekać, póki mają taką możliwość. Teraz to już chyba tylko legiony mogą przywrócić porządek w mieście. Senatorowie nie będą mieli innego wyjścia i poproszą o pomoc Pompejusza, nowego konsula. A to zaburzy równowagę pomiędzy nim i Cezarem. Pogorszeniu ulegnie również pozycja Brutusa. W konsekwencji... także i ona straci część wpływów. A co dzieje się w Galii? Jeśli rebelianci pod wodzą Wercyngetoryksa wywalczą wolność, plany Cezara, żeby stać się liderem Republiki, rozplyną się jak mgła. Pokonany wódz nigdy nie odzyska zaufania kapryśnych obywateli. Fabioli pozostawało jedynie modlić się z jeszcze większą żarliwością. Jowisz uśmiechał się do niej i pozwolił im opuścić pogrążone w chaosie forum. A jeszcze przed kilkoma chwilami była gotowa na śmierć. Teraz już nie chciała umierać! Bez względu na to, co się właśnie stało, nie zamierzała rezygnować z walki o większe wpływy.

Fabiola nie zauważyła strzały. Usłyszała dopiero krzyk bólu. Podniosła wzrok i zdążyła zobaczyć, jak Tullius pada na ziemię z wyrazem zaskoczenia na twarzy. Z jego piersi wystawał drewniany promień, zakończony pierzastą lotką. Grot strzały utkwiał głęboko w płucach. Śmiertelnie ranny Sycylijczyk zwałił się twarzą w błoto sięgające kostek.

Nie minęła chwila równa jednemu uderzeniu serca, a następny ochroniarz podzielił los Tulliusa. A po nim kolejny.

Fabiola schyliła się nisko, pozwalając sobie na głośne przekleństwo. *Ależ jestem*

głupia! Jowisz nie przejmuję się takimi maluczkimi jak ja.

Wąską uliczkę blokował stos śmieci, popękanej ceramiki i drewnianych bali. Myśląc tylko o tym, aby znaleźć się jak najdalej od forum, Tullius nawet tego nie zauważył. Fabiola też patrzyła przede wszystkim pod nogi. W innych okolicznościach stwierdziłaby pewnie, że leżące na usypiskach sięgających ud śmieci świadczą tylko o tym, że okolicznym mieszkańcom nie zależy na zdrowiu czy higienie. Nie dzisiaj.

Wpadli w zasadzkę.

Czwarty pocisk przeorał powietrze obok jej ramienia, trafiając kolejnego ochroniarza prosto w szyję.

Nie mogli iść do przodu. Nie mogli się wycofać. Na forum czekała ich pewna śmierć. Fabiola wypatrywała oczy, żeby zorientować się, skąd lecą strzały.

Jeden z pięciu pozostałych jej ochroniarzy uniósł rękę, wskazując pozycję strzelca. Po chwili jednak krzyknął rozdzierająco, gdy bełt trafił prosto w jego lewe oko. Opadł na kolana, łapiąc za promień. Pociągnął. Fabiola usłyszała zgrzyt metalu ocierającego się o kość, kiedy wyciągał zakończony zadziorami grot strzały. Twarz rannego zalała krew. Jednak po chwili dzielny mężczyzna już się prostował, choć krzywił się z bólu. Teraz był na wpełń ślepy, przez co jego szanse w zbliżającej się walce znacznie spadły.

W następnej chwili z bocznej uliczki wyszło dziesięciu podejrzanych typów, ubranych w poszarpane, ubrudzone brązowe tuniki i uzbrojonych we włócznie, pałki, noże i zardzewiałe miecze. Znalazł się wśród nich jeszcze jeden łucznik, nieprzyjemnie wyglądający zbir, który uśmiechnął się z wyższością, nakładając strzałę na cięciwę. Jego towarzysze mieli równie odpychające miny.

– Patrzcie, co my tu mamy, chłopcy – odezwał się mężczyzna z włócznią w rękę.

– Arystokratka! – stwierdził inny. – Zawsze chciałem jakiejś posmakować.

Łucznik oblizał lubieżnie wargi.

– Zobaczmy, co kryje się pod tą piękną szatą.

Mężczyźni zbliżali się nieubłaganie. Fabiola widziała w ich oczach pożądanie. Tu nie chodziło tylko o rabunek. Mogła spodziewać się gwałtu i śmierci. Co dziwne, nie czuła strachu. Gotowała się ze złości! Ci ludzie byli najgorszymi szumowinami, rzucającymi się tylko na słabą zdobycz i nieuzbrojonych obywateli, uciekających przed rzezią.

– Pani? – jej ludzie zwrócili się teraz w jej kierunku. Bez Tulliusa nie bardzo wiedzieli, co robić.

Z trudem przełknęła ślinę. Nikt z nich nie miał tarczy, co sprawiało, że nie mogli osłonić się przed strzałami. Trzeba było działać szybko, bo w przeciwnym razie łucznik powystrzela ich jak kaczki. Był tylko jeden sposób, żeby wyjść cało z tej opresji. Musieli zaatakować i wierzyć, że ich przeciwnicy są zwykłymi tchórzami. Fabiola sięgnęła po sztylet, który dostała wcześniej od Tulliusa. Odsłoniła zęby w drapieżnym uśmiechu.

– Prosto na nich – syknęła. – Nie mamy wyboru. Inaczej czeka nas droga do Hadesu.

Jeśli to miał być koniec, jaki przewidział dla niej Jowisz, przynajmniej nie zginie jak pokorne cielę prowadzone na rzeź.

Determinacja Fabioli podniosła jej ochronę na duchu. Czterej mężczyźni unieśli miecze, a ten, który stracił oko, chwycił za nóż. Przy ograniczonej zdolności oceny głębi pola walki łatwiej mu będzie walczyć krótkim ostrzem. Wystarczyło jedno mgnienie oka, a wszyscy zajęli pozycje obok Fabioli. W tej chwili nie liczyło się to, że są niewolnikami. Lepiej umrzeć z mieczem w rękę, niż dać się zabić bez walki.

Z ust Fabioli wyrwał się okrzyk pełen gniewu i buntu. Uniosła rękę i ruszyła pędem. Wszystko się rozpadało. Bogowie udzielili jej odpowiedzi. Została sama na świecie. Jeśli dziś zginie, jej śmierć będzie przynajmniej uwolnieniem od cielesnych zmartwień.

Jej ludzie odpowiedzieli rykiem i rzucili się do przodu tuż za nią.

Walka była krótka i brutalna.

Fabiola liczyła już tylko na to, że nie zginie od razu. Ruszyła prosto na łucznika, który najpierw wycelował jakby nad jej lewym ramieniem, w kogoś znajdującego się za nią. Poczowała ruch powietrza przecinanego przez strzałę, która śmignęła obok jej policzka, a potem usłyszała zduszony jęk ofiary. I już po chwili znalazła się w zasięgu skutecznego ciosu. Miała tylko jedną szansę. Musiała zabić lub zranić śmiertelnie przeciwnika. Zanim strzelec zdążył wciągnąć powietrze, ostrze sztyletu Fabioli zagłębiło się pod brodą w miejscu, w którym zaczyna się szyja. Podobnie Korbulon zabijał świnie, które miały trafić na ubój. Jej przeciwnik wydał piskliwy krzyk, po czym upuścił łuk. Nie zawahała się. Wyciągnęła sztylet i dźgnęła mężczyznę jeszcze dwa razy w klatkę piersiową. Łucznik padł na plecy, a z jego ran tryskała krew. Umrze po kilku uderzeniach serca.

Fabiola spojrzała na prawą rękę, w której trzymała broń. Spływała czerwoną, lepką krwią. To było obrzydliwe. Nie wiedziała, co gorsze... To tutaj? Czy spółkowanie ze starymi, grubymi senatorami?

– Zdzira!

Instynktownie przypadła do ziemi, ledwo unikając wściekłego cięcia mieczem. Stał przed nią nieogolony, chudy mężczyzna, dzierżący w dłoni gladius ze sztychem upstrzonym plamkami rdzy. Choć Fabiola nigdy nie ćwiczyła z bronią, wiele razy obserwowała zajęcia Juby i Romulusa. Często też przyglądała się, jak sparują dwaj ochroniarze z Lupanaru. *Ten głupiec nie ma zielonego pojęcia, jak wygląda prawdziwa walka na śmierć i życie* – pomyślała, czując przypływ nadziei. Tyle że przecież ona też nie miała żadnego doświadczenia.

Mężczyzna ruszył do przodu i znów zamachnął się mieczem, ale Fabiola uskoczyła, z łatwością unikając ciosu.

– Łatwiej wbić komuś nóż w plecy, co? – Fabiola zadrwiła. Zastanawiała się, jak poradzić sobie z tym drabem. Żeby dosięgnąć go sztyletem, musiałaby podejść niebezpiecznie blisko. Zbir od razu wyczuł jej niezdecydowanie.

– Opieraj się... Zerżnięcie takiej ślicznoty sprawi mi więcej frajdy – wysapał, próbując wybić jej z ręki sztylet.

Teraz go miała! Fabiola odsłoniła górną część togi, pokazując pełne piersi. Życie ceniła bardziej niż przyzwoitość. Zbir wybałuszył oczy, a ręka, w której trzymał miecz, zastygła bez ruchu.

– Podoba ci się to, co widzisz? – zapytała cicho, dotykając się kusząco.

Bandyta nie był w stanie wydukać słowa. Stać go było co najwyżej na stare dziwki z okolic grobowców przy Via Appia. Bezzębne, chore, przez większość czasu otumanione lub na wpół pijane. A teraz patrzył na boginię. Obliznął wargi i zrobił niepewny krok do przodu.

Gdy znalazł się w zasięgu Fabioli, natychmiast jej słodki, zalotny uśmiech przemienił się w grymas wściekłej wilczycy. Stał przed oczami obraz Gemellusa i setki innych mężczyzn, którzy robili z jej ciałem, co chcieli. Zamachnęła się ręką uzbrojoną w ostrze, otwierając gardło mężczyzny. Sztylet wszedł tak głęboko w szyję, że aż zazgrzytało o chrząstki krtani. Gdy mężczyzna upadł na ziemię, dławiąc się własną krwią, chwyciła w dłoń jego gladius. *Dwa ostrza będą lepsze niż jedno.*

Podciągnęła suknię i rozejrzała się. Prawie wszyscy jej ludzie leżeli na ziemi, ale wyglądało na to, że udało im się zabić dwa razy więcej napastników. O dziwo, jednoooki ochroniarz wciąż walczył i dobrze sobie radził. Z powodu jego lojalności i odwagi serce dziewczyny przepełniła dumą. Krzyczał z bólu i wściekłości, ale pokonał dwóch bandytów. Ich jelita rozlewały się teraz po ziemi. Trzeci przeciwnik już wił się obok kompanów, zaciskając ręce na okropnej ranie na udzie.

Pozostało ich już tylko czworo. Fabiola i jej ranny ochroniarz przeciwko dwóm zbirom, którzy teraz wyglądali na zdecydowanie mniej pewnych siebie. Szanse wzrosły i ujrzała światełko nadziei. *Może jednak Jowisz nadal nad nami czuwa? Niech się teraz nie odwraca!* Niestety, światełko szybko zgasło, gdyż w zaułku pojawiło się kolejnych czterech mężczyzn. Ściągnęły ich tu zapewne odgłosy walki i teraz krzyczeli coś ze złością na widok zabitych i rannych towarzyszy. Szybko jednak w ich oczach pojawiła się żądza, gdy zdali sobie sprawę, że starcie przeżyło tylko dwoje przeciwników. Na dodatek jeden był ranny, a drugi... to wyjątkowo piękna, młoda kobieta.

– Pani?

Fabiola spojrzała na rannego ochroniarza. Jego lewy policzek pokrywała gruba skorupa zakrzepłej krwi, której strużka spływała w stronę otwartych ust, zabarwiając na czerwono zęby. Jednak w jego całym oku po prawej, nietkniętej stronie twarzy tlił się wściekły ogień. Mężczyzna wyglądał upiornie, a ta straszna maska musiała dawać mu jakąś przewagę nad przeciwnikami.

– Słucham?

– Gdy umrę... – urwał. Wydawał się świadomy trudnej sytuacji, w jakiej się znaleźli. – Nie chcę, żeby moje ciało rzucili do dołów na Eskwilinie, pani.

Fabiola poczuła ukłucie w sercu. Ten niewolnik nie lękał się umrzeć razem z nią. Jak wielu jemu podobnych bardziej bał się niegodnego pochówku w dołach na przedmieściach miasta, do których wrzucano odpady, truchła zwierząt i ciała zabitych przestępców. Tak jak brat Fabioli, ten mężczyzna miał w sobie dumę i odwagę. A ona nawet nie pamiętała, jak się nazywa.

– Jeśli przeżyję, a tobie się nie uda – oświadczyła Fabiola – przysięgam na wszystkich bogów, że będziesz mieć własny grób, z kamieniem i pamiątkowym napisem.

Niewiele mogła mu obiecać. Oboje nie mieli wielkich szans na wyjście cało z tego starcia.

Wpatrywał się w nią przez chwilę, po czym spokojnie skinął głową.

Fabiola zdała sobie sprawę, że właśnie w ten sposób tworzą się więzy braterstwa broni. Ktoś, kto wesprze cię w trudnych chwilach, zwłaszcza wtedy, gdy nie musi tego robić, godzien jest przyjaźni. I zaufania. Nie miało żadnego znaczenia, kim jest. Niewolnikiem czy wolnym człowiekiem.

– Jak cię zwą?

– Sekstus, pani.

– Dobrze... – Fabiola poczuła się nieco lepiej. Nie umrze razem z kimś bezimiennym. Spojrzała na nowych przeciwników. Wydali się jej jakby znajomi. Na szczęście żaden z nich nie miał łuku. Zanim zginą, zabiją lub zranią co najmniej kilku z nich. *Może uda jej się wykonać tę samą sztukę, która sprawdziła się w przypadku tamtego głupca z mieczem?* – pomyślała z nadzieją. Miała jednak duże wątpliwości. Widziała, jak trzymają broń. Ci mężczyźni byli doświadczonymi wojownikami. Westchnęła ciężko i stanęła przy ramieniu Sekstusa, czując w nozdrzach zapach jego krwi i potu.

– Zaatakujmy ich – szepnęła. – Jeśli uda nam się przebić, skoczmy w ten zaułek. Musi nas gdzieś wyprowadzić.

– Będziemy też łatwiej mogli się bronić, pani – odpowiedział Sekstus. – Tam ledwo zmieści się dwóch ludzi obok siebie.

Miał rację. W tak ograniczonej przestrzeni atakujący nie będą mogli wykorzystać przewagi liczebnej.

– Jowisz pozwolił nam przeżyć tak długo – powiedziała, dotykając serca. – Teraz będziemy potrzebować też pomocy Fortuny.

– Bogowie nigdy nie obdarzali mnie łaskami, pani. Jestem niewolnikiem. – W oku Sekstusa pojawił się smutek. – Ale raczej umrę, niż pozwolę tym szumowinom cię skrzywdzić.

Odchrząknął i splunął krwawą flegmą w stronę bandytów.

Nie zostało im już wiele czasu. Napastnicy, znów pewni siebie, ruszyli do przodu. Przecież teraz jest ich trzy razy więcej. Jakakolwiek obawa przed ranami lub śmiercią zniknęła pod wpływem pożądania. Chcieli poużywać sobie z Fabiolą. Ile wysiłku może kosztować pół tuzina wojowników pokonanie spryskanej krwią, słabej arystokratki i jej ciężko rannego sługi?

Ta odrobina nadziei, jaka pozostała Fabioli, zaczęła ją opuszczać. Nowi przeciwnicy byli lepiej uzbrojeni, zdyscyplinowani, a także bardziej zdeterminowani niż poprzedni. Strach zajrzał jej w oczy. Unosząc gladius, zrobiła pierwszy krok. Starła się przypomnieć sobie ruchy, jakie widziała podczas treningu Romulusa. Sekstus trzymał się blisko niej, wyciągając przed siebie zdobytą włócznię.

Jeden z bandziorów roześmiał się głośno, groźnie i nieprzyjemnie.

Fabiola nagle przypomniała sobie, że gdzieś już słyszała ten śmiech.

To byli *fugitivarii* Scewoli!

Niemal jak na zawołanie z bocznej alejki wyłonił się dobrze zbudowany mężczyzna o kasztanowych włosach i z głęboko osadzonymi oczyma. Ubrany w kolczugę legionisty wyróżniał się srebrnymi bransoletami na nadgarstkach. Za

nim podążało kolejnych sześciu, dobrze uzbrojonych ludzi.

Sekstus całkiem stracił rezon, a czubek trzymanej przez niego włóczni zakołysał się niepewnie. Fabiola uniosła rękę do ust. Była wstrząśnięta.

Scewola ukłonił się nisko z kpiącym uśmiechem na ustach.

Krew pulsowała w jej żyłach, a serce waliło jak młot.

Wpadli w świetnie zaplanowaną zasadzkę.

Rozdział VII

Zasadzka



Margiana, zima 53/52 r. p.n.e.

Zaniepokoiła go przede wszystkim dziwna cisza. Fortalicja, ku której maszerowali przez cały dzień, znajdowała się w szerokim wąwozie u podnóża łagodnego zbocza, co oznaczało, że każdego, kto zmierzał do niej od zachodu, musiały witać dochodzące ze strażnicy dźwięki. Powinni coś słyszeć! Zwykle rzymski obóz za dnia tętnił życiem. Kowale przekuwali wyszczerbione miecze, ludzie krzyczeli podczas musztry z bronią, trąbki oznajmiały zmianę warty. Tymczasem Romulus nie słyszał zupełnie nic.

Żadnych odgłosów. Żadnego dźwięku.

Poczuł dreszcz strachu. Od chwili wizji przy rozstajach dróg myślał tylko o Fabioli i matce. Zastanawiał się, co stanie się z jego bliskimi, jeśli w Rzymie zapanuje anarchia i to, co widział, okaże się prawdą. Delikatny obraz matki i siostry, który sobie stworzył, żeby pozostać przy zdrowych zmysłach, zaczął się zacierać. Wstrząs przywrócił go do rzeczywistości.

Zdrożeni towarzysze z centurii nie mogli już doczekać się ciepłego posiłku i zdawało się, że nie zauważyli niczego podejrzanego. Nawet zmęczony marszem Nowius zrezygnował z zaczepek. Partowie również nie wyglądali na zaniepokojonych. Dariusz rozmawiał o czymś spokojnie z młodszym oficerem. Kolumna parła naprzód. Minęli akurat mały kamień z wrytym na nim napisem. Takie znaki znajdowały się na całym szlaku łączącym strażnicę z głównym obozem. Ten był ostatni i został umieszczony około pół mili od miejsca docelowego. Na jego widok żołnierze zauważalnie zwiększyli tempo.

Romulus zacisnął szczękę. *Dlaczego nikt niczego nie podejrzewa?*

– Nie podoba mi się to... – powiedział cicho do Brennusa.

Gal wyglądał na zaskoczonego. Zmrużył oczy i zaczął przeczesywać wzrokiem otoczenie. Chociaż nie dostrzegł żadnego zagrożenia, nie rozluźnił się.

– O co chodzi? – zapytał przyciszonym głosem.

– Jest cholernie cicho. Za cicho...

Brennus przechylił głowę i zaczął nasłuchiwać. Nie usłyszał nic poza skrzypieniem podkutyh ćwiekami *caligae* na zamarzniętej ziemi. W jego niebieskich oczach pojawił się cień podejrzenia.

– Jeśli masz zamiar o tym powiedzieć, zrób to szybko – wskazał palcem Dariusa.

Już za chwilę partyjski oficer miał znaleźć się na szczycie wzniesienia, z którego ogarnie wzrokiem cały wąwóz.

Zaniepokojony Romulus spojrział na tył kolumny. Drogę, którą szli, oświetlały ostatnie promienie oślepiającego słońca, przesuwającego się już powoli ku linii horyzontu. W takim świetle trudno było dostrzec jakieś szczegóły, jednak w pewnej chwili wydało mu się... Ba! Miał pewność! Na krawędzi stoku pojawiła się postać na koniu. Scyt.

Zamrugał. Zamknął oczy. Gdy znów je otworzył, jeźdźca już nie było.

Nowius uniósł głowę. Gdy zobaczył zwróconego w swoją stronę Romulusa, przesunął palcem po gardle.

Młody żołnierz zignorował ten gest.

– Ostrzeżesz Dariusa? – zapytał Brennus, który nie widział tajemniczego jeźdźca.

– Za późno. Są też za nami – szepnął Romulus. Szybko opowiedział Galowi o tym, co dostrzegł na wzniesieniu.

Brennus spojrział do tyłu, tłumiąc przekleństwo, a następnie przeniósł wzrok na przód kolumny. Przez chwilę czuł dumę, że jego podopieczny jest tak spostrzegawczy. Jednak jeśli miał rację i tak niewiele już mogli zrobić. Gal ocenił sytuację. Tu, gdzie się znajdowali, nie mieli szans na skuteczną obronę. Ponieważ z każdej strony znajdowały się wysokie wzniesienia, znaleźliby się na łasce łuczników, którzy wykorzystaliby przewagę wysokości. Nie mogli też zawrócić.

– Nie mamy wielkiego wyboru, co? – burknął. – Najlepiej walczyć na otwartej przestrzeni przed fortalicją.

Romulus uśmiechnął się i skinął głową. Zgadzał się.

– Lepiej będzie, jak powiem Dariusowi, co widziałem.

Optio Romulusa wydawał się zaskoczony, gdy chłopak złamał formację, by zamienić z nim kilka słów na osobności, ale po wysłuchaniu go pozwolił na

rozmowę z dowódcą oddziału.

Ze sprzętem pobrzękującym mu nad głową na jarzmie Romulus ruszył pędem ku czołu kolumny, żeby dogonić starszego centuriona. Koń Dariusa znajdował się może dziesięć kroków od końca grzbietu, za którym zaczynał się łagodny stok, schodzący aż do fortalicji.

– Proszę o zgodę na rozmowę!

Korpulentny Part uśmiechnął się na widok zmierzającego w jego stronę Romulusa, którego uważał za jednego z najlepszych żołnierzy swojej kohorty.

– O co chodzi? – zapytał po łacinie.

– Zasadzka, dowódco – odpowiedział Romulus. – Za nami są Scytowie.

Darius odwrócił się w siodle i przez dłuższą chwilę przyglądał się nagim skałom.

– Jesteś pewien?

Romulus opowiedział mu, co widział. Part pociemniał na twarzy.

– Musimy szybko dotrzeć do strażnicy. Razem będzie nas ponad dwustu. Wystarczy, żeby zniechęcić tych drani.

– Jeśli tamci nie są już martwi... – odezwał się Romulus, celowo używając języka Partów. Wszyscy dowódcy musieli być świadomi zagrożenia.

Jego słowa przyniosły zamierzony skutek. Ludzie Dariusa spojrzeli w jego kierunku zaniepokojeni.

– Wyjaśnij! – syknął Darius.

Romulus otworzył usta, aby opowiedzieć mu o swoich podejrzeniach, gdy koń starszego centuriona stanął instynktownie na płaskim kawałku skały, w miejscu, z którego miał dobry widok na rozciągającą się poniżej dolinę. Każdy żołnierz opuszczający fortalicję zapewne zatrzymywał się w tym punkcie, aby po raz ostatni spojrzeć na obóz przed wyruszeniem w dalszą drogę, a wracający do wartowni patrol przystawał, żeby delektować się pokonaną drogą. Kolumna zmęczonych legionistów zatrzymała się. Ludzie rzucali bagaż z pleców, odkładając jarzma i tarcze na ziemię, gdy tylko nadarzyła się okazja do krótkiego odpoczynku.

Wszyscy spoglądali teraz na fortalicję, od której dzieliła ich już niewielka odległość. Miała ona kształt karty do gry, typowy dla rzymskich fortów, z tą różnicą, że wykonana w mniejszej skali posiadała tylko jedną bramę. W środku wznosiła się wysoka wieża strażnicza, zapewniająca dobry widok na okolicę. Wartownię otaczały głębokie doły, zwane *fossae*, oraz drewniana palisada, wysoka na dwóch mężczyzn. Wyraźnie widzieli już płaskie dachy baraków w obozie.

Romulus wypatrywał śladów jakiegokolwiek aktywności. Na palisadzie nie było żadnych strażników!

Rzymscy żołnierze nigdy nie opuszczali swoich stanowisk, więc mogło to znaczyć tylko jedno.

Cały garnizon był martwy.

Dariusz jako doświadczony żołnierz natychmiast zrozumiał powagę sytuacji. Spojrzał pytającym wzrokiem na Romulusa.

– Skąd wiedziałeś?

– To z powodu ciszy. Nie dochodziły do nas żadne głosy, dowódco.

To wyjaśnienie było logiczne. Dariusz skrzywił się tylko, bo wiedział, że nie ma czasu do stracenia. Nie mógł go tracić na analizowanie przyczyn tego, że nie dostrzegł znaczenia czegoś, co dało do myślenia zwykłemu żołnierzowi.

– Vahram musi się o tym dowiedzieć – mruknął, po czym wyrzucił z siebie kilka zdań w języku Partów. Dwaj jeźdźcy natychmiast spięli konie i szybko odjechali, wybierając różne drogi do głównego fortu legionu. Jeden z nich skierował się na południe, a drugi miał ruszyć na północ i zawrócić po szerokim łuku. Trzeci Part zbliżył się do starszego centuriona, nakładając strzałę na cięciwę łuku.

– Niech to! – warknął Dariusz. – Po prostu zejdziemy na dół tak, jakby nic się nie stało. Ale wszyscy mają być gotowi do walki. Przekaż ten rozkaz *optiones* i *tesserarii*, a potem wróć do szyku.

Romulus zaszalował niedbale i szybko zajął się wykonywaniem poleceń Dariusza. Ostrzeżeni już przez *optio* młodszy oficerowie zaczęli przesuwając się wzdłuż kolumny, cicho polecając swoim ludziom, aby przygotowali się na prawdopodobny atak wroga. Na twarzach legionistów malowały się kolejno: zdziwienie, przerażenie, a następnie złość. Nowius wydawał się wyjątkowo niepewny, podobnie jak jego kompani.

– No i co? – zapytał Gal.

– Schodzimy na dół sprawdzić strażnicę.

Zaciskając palce na rękojeściach mieczy, zeszli po szlaku w dół, ku fortalicji, na którą skierowane były wszystkie oczy. Teraz jednak ludzie patrzyli na palisadę z zupełnie innymi myślami kłębiącymi się w ich głowach. Zauważyli już, że nad strażnicą nie unosi się dym z ognisk, a na podestach strażniczych brak jakiegokolwiek ruchu. Było cicho i spokojnie. Za spokojnie. Jak w grobowcu.

Gdy znaleźli się bliżej, Romulus zobaczył, że brama jest lekko uchylona. Nie

musiał już szukać innych dowodów świadczących o tym, że coś było nie w porządku. W oddalonych od głównego obozu legionu strażnicach obowiązywał nakaz utrzymywania bram zamkniętych. Dziwiło go jednak trochę, że nigdzie nie widzi śladów walki. Żadnych strzał czy włóczni sterczących z belek. Żadnej spalizny. Cokolwiek się tu stało, fortalicja nie była celem zmasowanego ataku.

To wszystko nie uszło też uwadze Dariusa. Dowódca oddziału natychmiast rozkazał, aby *optiones* ustawili legionistów w defensywnej formacji przed bramą. Zrzuciwszy jarzma na jeden stos, legioniści bezzwłocznie uformowali się w półkole, w szyku głębokim na cztery rzędy. Rozkazy wykonano błyskawicznie, bardzo sprawnie i bez zbędnego zamieszania, dzięki czemu już po chwili cały oddział chronił się za solidną ścianą tarcz. Ponad *scuta* wystawały tylko wykonane z brązu hełmy, zakończone czubatymi kitami. Rząd ponurych, niewzruszonych twarzy. Wróg nie znalazłby w tym murze żadnej luki, a jedyną niezabezpieczoną częścią ciał legionistów były ich stopy. Dzięki specjalnemu treningowi wprowadzonemu przez Tarkwiniusza w razie ostrzału pierwsze szeregi zawsze opadały na kolana. Krótko mówiąc, teraz byli gotowi do walki w najprzeróżniejszych warunkach.

Dariusz wybrał sześciu ludzi, którzy mieli sprawdzić strażnicę. Wskazał między innymi na Romulusa, Brennusa oraz, z powodów znanych chyba tylko sobie, również Nowiusa i Optatusa. Weterani spojrzeli na dwójkę przyjaciół spode łbów. Oparli *pila* o palisadę przed bramą. Oszczepu nie przydałyby się im podczas walki w zamkniętych pomieszczeniach. Wszyscy chwycili w dłonie obnażone *gladii*. Dariusz też wyciągnął z pochwy swój miecz, po czym ruszył w stronę bramy, prowadząc małą grupkę. Korpulentny Part zupełnie nie zdawał sobie sprawy z konfliktu między legionistami. Przez chwilę żaden z nich nie ruszał pierwszy za dowódcą. Nikt nie chciał ryzykować w sytuacji, gdy wróg mógł stać za plecami. Wtedy Romulus poderwał się, pociągając za sobą Brennusa, i zostawił pozostałych daleko w tyle. Nowius i Optatus popędzili za nimi, rzucając ciche przekleństwa.

Zmrożona ziemia pod ich stopami była dobrze ubita. Żołnierze z posterunku musieli często wchodzić i wychodzić przez bramę, dlatego podkute ćwiekami *caligae* nowo przybyłych nie wydawały żadnych dźwięków. W środku powitała ich martwa cisza. W powietrzu wyczuwało się coś dziwnego. Niepokój. Część garnizonu mogła być właśnie na patrolu, ale powinni byli natknąć się już przynajmniej na kilku żołnierzy niebędących akurat na służbie.

Nikogo jednak nie widzieli.

Gdzie są wszyscy? – zastanawiał się Romulus. – Czy to możliwe, że porzucili strażnicę?

Poza wieżą strażniczą, barakiem żołnierzy i małą latryną w fortalicji znalazło się miejsce tylko dla małej kuchni, umieszczonej pod zachodnią ścianą, oraz kilku ołtarzy. Od razu zauważyli na ziemi ciemne plamy, które jasno wskazywały, że z garnizonem musiało stać się coś złego. Wybrani do zwiadu żołnierze zaczęli niespokojnie szeptać między sobą.

Romulusowi włosy stanęły dęba. W tym miejscu niepodzielnie panowała śmierć. Trupia atmosfera nagle stała się przytłaczająca. Chłopak uniósł głowę, spodziewając się chmury drapieżnych ptaków wiszących nad strażnicą. Zdziwił się. Te, które unosiły się nad fortalicją, prawdopodobnie bardziej zainteresowane były stosami odpadków poza obozem. Dlaczego nie ma ich więcej?

Brennus też wyczuwał atmosferę śmierci. Wciągał powietrze przez szeroko rozwarte nozdrza. Sięgnął po długi miecz, przewieszony przez plecy. W walce w otwartej przestrzeni nadal wołał walczyć bronią z dłuższym ostrzem.

– Co to? – spytał cicho Darius. Znajdowali się już bardzo blisko baraków żołnierzy.

Zamarli, nadstawiając uszu.

Słyszeli niskie zawodzenie. Nikt nie miał wątpliwości, że był to jęk ранego człowieka. Ktoś przeżył!

Darius użył miecza, uderzając rękojeścią w cienkie drewniane drzwi. Walnęły o ścianę z głuchym tąpnięciem. Podłoga wewnątrz baraku była śliska od krwi. Smugi posoki prowadziły do pomieszczeń poszczególnych *contubernium*. Jako że w strażnicy stale przebywało tylko pół centurii, pomieszczeń było tylko pięć plus jedno większe dla dowodzącego *optio*. Marszcząc nos z niesmakiem, Darius wskazał głową Romulusa, Nowiusa i jeszcze jednego żołnierza.

– Wy trzej na lewo. My idziemy w prawo – polecił. Nie czekając na wykonanie rozkazu, skierował się do pomieszczeń znajdujących się po drugiej stronie korytarza. Prowadził za sobą Optatusa i piętego legionistę.

Brennus został na zewnątrz.

Romulus ścisnął mocno kościaną rękojeść miecza. *Jowiszu, największy i najlepszy, ochroń mnie*. W wąskim korytarzu ich kroki odbijały się głośnie echem. Romulus ruszył pierwszy. Pozostali trzymali się za jego plecami. Wszyscy osłaniali się tarczami trzymanymi na wysokości piersi, z *gladii* gotowymi do walki. Chłopak miał świadomość tego, że Nowius może zaatakować go od tyłu.

– Nie martw się, niewolniku – syknął weteran. – Chcę widzieć twoją twarz, gdy będziesz umierał.

Romulus okręcił się na pięcie, ciskając z oczu błyskawice. Chciał, żeby to się zakończyło teraz.

– Znaleźliście coś? – usłyszeli Dariusza. Ton jego głosu był jakiś dziwny.

Romulus szybko się opamiętał.

– Jeszcze nie, dowódczo – odpowiedział, odwracając się. Po chwili weszli do pierwszego pomieszczenia. Przez moment żaden z nich nie był w stanie wyrzec ani słowa.

Nie musieli martwić się, że ktoś ich zaatakuje. Nikt nie czał się w pomieszczeniach baraków. Były puste. Jeśli nie liczyć fragmentów ciał, kończyn ułożonych pod dziwnymi kątami, okaleczonych zwłok, zebranych niedbale w makabryczne stosy. Wszyscy martwi legioniści zostali rozebrani do naga. Ich wyblakłe tuniki i kolczugi leżały bezładnie porzucone na podłodze. Wokół straszliwie pokiereszowanych trupów i hałd ubrań zebrały się wielkie kałuże zakrzepłej krwi.

Nawet Nowius wyglądał na przerażonego.

– Kto tak okrutnie obchodzi się z ciałami?

– Scytowie... – Romulus odpowiedział spokojnie. Tarkwiniusz mówił mu kiedyś o ich barbarzyńskich obyczajach.

– Pieprzone dzikusy!

Każde ciało zostało okaleczone w ten sam sposób. Legionistom odcięto głowy. Zostali też częściowo oskórowani. Brakowało fragmentów skóry z klatki piersiowej, pleców i nóg. Głównie nigdzie nie znaleźli. Romulus wiedział dlaczego. Według Tarkwiniusza Scytowie oceniali odwagę wojownika liczbą głów pokonanych wrogów. Używali także części czaszek jako naczyń do picia. Pokrywali je skórą, a nawet pozłacali, a kawałki skóry służyły im za dekoracyjne chusty, wieszane na końskich wędzidłach. Romulus poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła na myśl o tych barbarzyńskich zwyczajach. Oddychał przez usta, ale szybko zdał sobie sprawę, że nie czuje odoru śmierci. Nawet jeśli ci ludzie zginęli dzień wcześniej, siarczasty mróz zahamował proces rozkładu zwłok.

– Dlaczego wnieśli ich do środka? – zapytał Nowius.

Romulus spojrział na niego ze wzdrganiem. Odpowiedź była oczywista.

Weteran szybko zrozumiał.

– Żeby nad fortem nie unosiła się chmura sępów.

Skinął głową.

Nagle zrozumieli, że w perspektywie tego, co tu się stało, ich konflikt tak naprawdę niewiele znaczy.

Gdy uzmysłowili sobie powagę sytuacji, popędzili ku pomieszczeniom, w których zniknął Darius. Weszli prosto w pułapkę! Wkrótce będzie za późno, żeby się z niej wydostać.

Znaleźli Dariusa na kolanach w pomieszczeniu, należącym wcześniej do *optio*. Widział wzrok, gdy tylko weszli. Jego twarz wykrzywiła wściekłość. Młodszego oficera leżącego w jego ramionach nie potraktowano tak jak pozostałych żołnierzy. Żył jeszcze. Muskularny mężczyzna po trzydziestce został niemal całkowicie obdarty ze skóry. Był na wpół przytomny, a jego ciałem wstrząsały niekontrolowane dreszcze. Nie zostało mu już wiele czasu.

– Dowódco... – zaczął Romulus.

– Przebrali się za kupców. Przeszli przez bramę, a potem wyciągnęli ukrytą broń – warknął Darius. – Brudne scytyjskie ścierwa.

Taka sztuczka wydaje się prawdopodobna – pomyślał Romulus. Nie mieli czasu do stracenia!

– Przenieśli ciała do baraku, żeby nie ostrzegły nas sępy.

– To oczywiście – wykrztusił Part. – A my po prostu wmaszerowaliśmy niczego nieświadomi prosto w otwartą pułapkę. Jak kompletni idioci.

– Lepiej jak najszybciej opuścić to miejsce, dowódco – powiedział Nowius. Mięśnie na jego twarzy drgały ze zdenerwowania.

Darius energicznie kiwał głową na znak zgody.

– A co z tym biedakiem?

– Pozwól mu umrzeć żołnierską śmiercią – odezwał się Nowius.

Rzymscy żołnierze zawsze cenili sobie prawo wyboru sposobu pożegnania się z życiem. Akt miłosierdzia, dzięki któremu nikt nie musiał umierać długo i w męczarniach.

– Ja się tym zajmę – głos Romulusa odbił się echem w zamkniętej przestrzeni.

Nowius i Optatus natychmiast zaprotestowali. Niewolnicy nie byli godni tej roli!

Darius rzucił im groźne spojrzenie.

– Ten żołnierz zgłosił się pierwszy – powiedział, myśląc, że zależało im na tym zaszczyście. – Na zewnątrz!

Legioniści nie mieli wyboru. Mogli tylko wykonać rozkaz. Zasalutowali z ledwo skrywaną urazą i zniknęli. Za nimi podążyło pozostałych dwóch żołnierzy.

– Zrób to szybko – Dariusz ułożył ostrożnie umierającego *optio* na podłodze, po czym przesunął ręką po jego czole w geście pożegnania. Potem wyszedł.

Romulus zbliżył się do oficera. Uniósł gladius. Był zdania, że to właśnie on powinien wyprawić rannego w ostatnią podróż. Dariusz nie był Rzymianinem. A ani Nowius, ani Optatus nie zasługiwali na to wyróżnienie. Byli po prostu złymi ludźmi. Pozostali dwaj legioniści nie zgłosili się do tego zadania, więc to on wykona cios łaski, dzięki któremu *optio* będzie mógł godnie przejść na drugą stronę.

Mężczyzna był przytomny. Spojrzeli sobie w oczy. Obaj wiedzieli, co się za chwilę stanie.

Romulus podziwiał jego odwagę. Nie dostrzegł strachu we wzroku *optio*. Raczej spokojną akceptację.

– Elizjum czeka... – odezwał się. Mężni żołnierze trafiali do raju wojowników.

Zauważył delikatne skinienie.

Romulus ostrożnie pomógł mu usiąść. Ranny wydał mimowolne westchnienie, które natychmiast starał się stłumić. *Każdy ruch musi sprawiać mu ból*. Czuł ogromny smutek.

– Jestem Aesiusz. *Optio* drugiej centurii. Pierwsza kohorta. Legion XII – mówił z trudem. Zerknął na niego pytającym wzrokiem. – A ty? Jak się nazywasz?

– Romulus – Aesiusz odprężył się. – Mężczyzna powinien wiedzieć, kto towarzyszy mu w tej drodze.

Z zewnątrz dobiegł ich szcęk broni i głos wykrzykującego rozkazy Dariusza. Scytowie zaatakowali.

– Twoi towarzysze cię potrzebują.

Romulus ukląkł i chwycił okrwawione przedramię, które wyciągnął do niego ranny Aesiusz. Słaby *optio* z trudnością odwzajemnił uścisk, ale Romulus widział, że ten gest wiele dla niego znaczył.

– Odejdź w pokoju – wyszeptał.

Potem przesunął się za plecy Aesiusza, który opuścił brodę, dotykając nią piersi. Odsłonił kark. Romulus złapał rękę gladiusa obiema rękami, po czym uniósł go wysoko, ostry czubek sztychu kierując ku dołowi. Nie chciał przedłużyć niepotrzebnie męki rannego. Szybko wbił miecz głęboko w ciało, przecinając rdzeń kręgowy. Mężczyzna umarł natychmiast, a okaleczone ciało *optio* zsunęło się cicho na podłogę.

Umarł pogodzony z losem.

Romulus z ciężkim sercem przyglądał się nieżyjącemu. Smutek stopniowo przeradzał się w gniew. Zginęło czterdziestu ludzi. Straszliwie okaleczono ich ciała. A na zewnątrz właśnie umierali kolejni towarzysze broni. Odwrócił się i wybiegł z budynku z zakrwawionym mieczem w rękę. W forcie nie było już żywego ducha, więc Romulus czym prędzej ruszył ku bramie, skąd dochodziła wrzawa. Szczęk broni mieszał się z krzykami mężczyzn, tętentem końskich kopyt i rozkazami Dariusa. Toczyła się regularna bitwa! Romulus żałował, że nie ma z nimi Tarkwiniusza. Stał pod ścianą palisady, próbując objąć wzrokiem całe pole bitwy.

W formacji niepełnego testudo dwie centurie skutecznie powstrzymywały ataki napastników. Przed nimi uwijały się duże grupy konnych scytyjskich wojowników, szyjąc strzałami w pełnym galopie. To przypomniało Romulusowi sceny z boju pod Carrhae. Brodaci, wytatuowani jeźdźcy byli jednak ubrani nieco inaczej niż Partowie. Mieli na sobie futra świstaka lub wełniane płaszcze, wykonane z tego samego materiału ciemne spodnie oraz wysokie do kolan buty z filcu. Tylko kilku ciemnoskórych wojowników nosiło elementy zbroi, ale większość z nich była uzbrojona po zęby. Poza łukami uzbrojeni byli też w krótkie siekierki, noże i miecze. Ich wierzchowce wyróżniały się wspaniałym kasztanowym umaszczeniem, a niebieskie siodła ozdobiono złotą nicią. Wyglądało na to, że ten lud był zdecydowanie bogatszy od Partów, którzy rozbili wojska Krassusa.

Romulus spojrzął na swoich towarzyszy. Na szczęście warstwa jedwabiu na tarczach skutecznie zatrzymywała strzały Scytów. Jednak *scuta* były już wręcz usiane wystającymi promieniami. Dostrzegł też kilka ofiar. Czterech mężczyzn zostało postrzelonych w stopy lub dolną część nóg. Jeden musiał akurat pod ostrzałem spoglądać w niebo. Leżał teraz za szeregiem tarcz, podrygując w spazmach. Wciąż ścisnął dłońmi promień zakończony lotkami wystający z jego gardła.

Jedna osoba nie żyje, cztery ranne – stwierdził Romulus ponuro. A walka ledwo się rozpoczęła.

Jego uwagę znów przyciągnęły głośne krzyki żołnierzy. Nagle czterej ranni legioniści prawie jeden za drugim zwalili się na ziemię i teraz miotali się w niekontrolowanych torsjach z twarzami wykrzywionymi bólem. W ich zachowaniu było coś osobliwego, coś, co mocno zdziwiło Romulusa. Przecież nie odnieśli poważnych ran! Po chwili już wiedział. *Scythicon!*

Tarkwiniusz mówił mu, jak wytwarza się tę truciznę. Najpierw trzeba złapać żmiję, którą się zabija i pozwala, aby jej ciało uległo rozkładowi. Zamknięte naczynie pełne ludzkiej krwi umieszcza się w dołach ze zwierzęcymi odchodami. Wszystkie te

składniki – gnijące ciało żmii, krew i ekskrementy – miesza się, uzyskując toksyczny płyn, który zabija rannego człowieka w ciągu kilku godzin. Każda strzała, która trafia w cel, prowadzi do śmierci postrzelonego. Dlaczego z Pakorusem miałyby być inaczej?

W tej chwili Romulus miał jednak inne zmartwienia niż los dowódcy legionu. Macki strachu szarpały jego wnętrznościami. Nie chciał umierać w agonii. Sądząc po twarzach, podobnie myśleli legionieści w tylnych szeregach obrońców. Straszliwe krzyki rannych obniżały morale.

Co najmniej stu konnych jeźdźców przyparło legionistów do palisady fortalicji. Romulus stwierdził zadowolony, że około czterdziestu wrogów leżało na ziemi, trafionych pierwszą salwą rzymskich oszczepów. Darius był jednak ostrożny i nie chciał stracić wszystkich śmiertelnych pocisków. Ostatni Part z jego straży przyboocznej posługiwał się łukiem z niesamowitą skutecznością. Nie strzelał na oślep. Długo mierzył i za każdym razem trafiał jakiegoś Scyta. Jednak jego rola wkrótce się skończy. W kołczanie, który miał na lewym biodrze, było może jeszcze ze dwadzieścia czy trzydzieści strzał.

– Zająć pozycję, żołnierzu! – krzyknął jeden z *optiones*.

Romulus dostrzegł potężnie zbudowanego Brennusa i ruszył w jego kierunku, przepychając się przez linię Rzymian. Nawet na kolanach Gal górował nad innymi legionistami. Chłopak zniżył *scutum* tak, żeby dopasować się do ściany tarcz i ukląkł na zmrożonej ziemi obok przyjaciela. Mężczyźni w drugim szeregu trzymali lekko pochylone tarcze w powietrzu, ochraniając towarzyszy znajdujących się niżej, a ci w trzecim osłaniali głowy. Testudo było niezwykle skuteczną formacją obronną. Romulus poczuł się trochę podbudowany tym widokiem. Mogli wytrzymać wszystkie ataki tej grupy przeciwników.

– Zachować spokój! Osłaniajcie się przed strzałami – krzyknął Darius. Z jego spoczonej twarzy biła zaciętość. – Niech te parszywce zużyją wszystkie. Wycofamy się do strażnicy i rano wymaszerujemy.

Wokół rozległy się okrzyki poparcia. Nie wszyscy padną w boju od zatrutych strzał.

Romulus popatrzył na Brennusa.

– To nie może być tak proste... – mruknął. – Prawda?

– Też w to wątpię... – odparł Gal ze skwaszoną miną.

– Ale nie ma ich tyłu, żeby przeważać szalę na swoją korzyść.

Nie dostrzegli żadnych nowych oddziałów Scytów i najwyraźniej Darius

stwierdził, że atakujący ich jeźdźcy tworzyli podstawową siłę napastników.

Nomadzi musieli już zrozumieć, jaką ochronę daje jedwab – pomyślał Romulus. Wieści o nieznannej wcześniej, tajemniczej broni, dającej żołnierzom Zapomnianego Legionu niemal nadludzką odporność, szybko rozniosły się w całym regionie przygranicznym, co oznaczało, że większość plemion powstrzymywała się z atakami, jeśli nie dysponowała znaczną przewagą liczebną. Żaden dowódca nie mógł liczyć, że setka konnych łuczników będzie w stanie pokonać dwie centurie i uniemożliwić im powrót do głównego obozu. Spowolnić wroga? Tak. Ale unicestwić? To nie było możliwe. A jeśli posłańcom Dariusa udało się bezpiecznie dotrzeć do fortu, następnego dnia po południu mogą spodziewać się posiłków. To co się tu właściwie dzieje?

Romulus zerknął ostrożnie ponad żelazną krawędź tarczy. Zobaczył małą grupkę Scytów na tyłach. To zapewne oficerowie kierujący atakami. Jednak nie dostrzegł niczego, co mogłoby świadczyć o tym, że Scytowie dysponują odwodami. *Mitro, pomóż mi!* Wziął głęboki oddech i uniosł wzrok ponad jeźdźcami. Jasnobłękitne niebo. Kilka chmur na horyzoncie. Słaby wiatr z północy. Pierwsze sępy już krążące wysoko. Romulus długo zastanawiał się, jak zinterpretować te sygnały. Strach wypełnił jego serce, ale po chwili był pewien.

– Musimy wyrąbać sobie drogę i wydostać się stąd. Teraz.

Gal był zaskoczony.

– Jak to? Zapada zmrok. Lepiej zrobić tak, jak mówi Darius.

Romulus przysunął się bliżej do Brennusa i szepnął mu do ucha.

– Widzę złe omeny.

Brennus wyglądał na zmieszanego. Tymi sprawami do tej pory zajmował się Tarkwiniusz.

– Jesteś pewien?

– Tak. Poprosiłem Mitrę o pomoc i otrzymałem jego podpowiedzi – Romulus zareagował gwałtownie. – To są zwiadowcy poprzedzający znacznie większy oddział, który dotrze tu jutro o świcie.

– Mają nas zatrzymać?

– Właśnie – Romulus rozwiął wątpliwości.

Przyzwyczajony do dokładnych prognoz Tarkwiniusza Brennus westchnął ciężko. Przyjrzał się uważnie Romulusowi, szukając na jego twarzy potwierdzenia i pewności, świadczącej o tym, że jest pewien swojej oceny sytuacji.

– Ja też tego nie rozumiem – powiedział cicho Romulus. – Ale wcześniej miałem już bardzo prawdopodobną wizję z obrazami z Rzymu.

Gal wypluł przekleństwo.

– Dobrze. Idź i porozmawiaj z Dariusem. Powiedz mu, co widziałeś.

Scytowie przestali marnować strzały, które w większości zdobyły teraz pokryte jedwabiem tarcze. Strzelali teraz wyżej, tak żeby opadały po łuku po drugiej stronie testudo. Romulus przepchnął się do tylnych szeregów. Powitał go widok rannych żołnierzy, leżących bez ruchu na ziemi. Ci nieszczęśnicy, którzy próbowali im pomóc, również zostali trafieni. Teraz i oni musieli pogodzić się z myślą, że wkrótce umrą. Darius na szczęście nie został nawet draśnięty. Człowiek z jego straży przyboocznej trzymał *scutum* nad ich głowami. Oba konie zostały jednak trafione i teraz kłusowały w szale wokół palisady. *To nie potrwa długo* – pomyślał fatalistycznie. – *Scythicon już krąży w ich żyłach.*

– Proszę o pozwolenie na rozmowę, dowódco!

– O co chodzi? – zapytał poirytowany Darius. Wydawał się zaszczuty. Był zły.

– Musimy stąd odejść. Wycofać się jak najdalej... – wypalił chłopak prosto z mostu. – Teraz.

Ochroniarz parsknęła szyderczo.

Darius zachował więcej umiaru.

– Teraz? Zanim zapadnie zmrok?

Po chwili starszy stopniem oficer zrozumiał, że Romulus jest śmiertelnie poważny. Jego zachowanie graniczyło z niesubordynacją, ale na szczęście Darius znał wartość swoich ludzi. Szczególnie tego legionisty. W przeciwieństwie do innych Partów zwykle nie karał od razu wszystkich popełniających wykroczenia.

– Czy wiesz, do jakiego poziomu nocą spada tu temperatura? Wszyscy zamarzniemy.

– Możliwe, dowódco. – Romulus przełknął ślinę, ale nie spuścił wzroku. – Ale rano czeka nas coś gorszego.

Darius zerknął na mocną ścianę fortalicji. Łatwo można było się w niej bronić przez jedną noc. Z powodu okaleczonych ciał w barakach nikt pewnie nie byłby w stanie zmrużyć tam oka, ale pod osłoną palisady, przy rozpalonych ogniskach możliwe było przetrwanie nocy.

– Dlaczego?

Romulus podążył za wzrokiem Dariusa.

– Zbliżają się Scytowie. Rano będzie ich tu więcej. Dużo więcej.

Darius popatrzył na niego niepewnie. Ten legionista dostrzegł zwiadowcę Scytów. I był protegowanym Tarkwiniusza.

– Skąd to wiesz?

– Widziałem to w znakach na niebie.

Strażnik Dariusa syknął z dezaprobatą.

Darius przewiercał Romulusa ciemnymi oczyma.

– Co dokładnie widziałeś?

– Duży oddział w marszu. Żołnierzy niosących pochodnie, aby oświetlić drogę. Długie szeregi konnych łuczników i piechotę. Jeźdźców w kolczugach.

Darius zmarszczył brwi. Większe oddziały rzadko przemieszczały się w nocy. Większość żołnierzy była na to za przesądna. Nocą ziemią władały demony i złe duchy.

Romulus wskazał ręką wrogich jeźdźców, którzy akurat zrezygnowali z ataków i wycofywali się, aby odpocząć.

– Oni po prostu nas opóźniają. Czekają na nadciągające posiłki.

Teraz korpulentny Part się skrzywił. Był jednym z niewielu starszych centurionów, którzy zadali sobie trud nauki łaciny. Potrafił porozumiewać się z Tarkwiniuszem. Szanował haruspika, mimo że kultura i cywilizacja rzymskich jeńców były dla niego czymś obcym. Jednak nie potrafił zrozumieć, jak to możliwe, że stojący przed nim młody człowiek posiada takie same mistyczne zdolności jak Tarkwiniusz. Romulus był żołnierzem, a nie haruspikiem.

– Nie myśl, że nie jestem wdzięczny za ostrzeżenie o śledzących nas Scytach, chłopcze – zaczął cicho. – Być może ocaliłeś dzięki temu wielu towarzyszy. – Romulus pochylił głowę, czerwieniąc się. – Tego jeźdźca zauważyłeś wcześniej, ale ci, o których teraz mówisz, są tylko wytworem twojej wyobraźni.

Romulus już miał głośno zaprotestować, ale zauważył, że rysy twarzy Dariusa zmieniły się. Dowódca patrolu odezwał się twardym głosem.

– Scytowie nie maszerują w ciemnościach. Ani nie przeprowadzają zimą dużych operacji.

– A co z atakiem na mitreum? Dowódco...

Darius spojrział na niego gniewnie. Nie rozumiał, dlaczego ten legionista jest tak uparty.

– Mitra pokazał mi Scytów – Romulus ponowił próbę, chociaż wiedział, że

podejmuje duże ryzyko. – Modliłem się do niego, a on mi odpowiedział.

– Jak śmiesz?! – warknął Part. – Tylko wtajemniczeni mogą czcić Mitrę, ty bezczelny psie!

Jego strażnik położył dłoń na rękojeści miecza.

Romulus zwiesił głowę. Zawiódł. Mimo przyjaznego nastawienia do legionistów ich starszy centurion był tylko kolejnym Partem.

– Możesz uważać się za szczęśliwca, że nie każę cię wybatożyć. Albo gorzej – syknął. – A teraz wracaj do szeregu!

Strażnik uśmiechnął się złośliwie.

Próbując ukryć złość, Romulus ruszył na swoje miejsce w pierwszym szeregu. *Głupiec. Nie potrafi zaakceptować tego, że jego bóg może sprzyjać komuś, kto nie jest Partem.* A przecież on miał pewność, że jego wizja została zesłana przez Mitrę.

– I trzymaj język za zębami! – zawołał za nim Darius. – Ani słowa nikomu.

Stojący niedaleko Nowius, osłonięty tarczą, zachichotał nieprzyjemnie. Romulus czuł zawód, że żaden z grupy tych uprzykrzających im się weteranów nie został trafiony. Nawet jeśli przetrwają ataki Scytów, Romulus i Brennus będą musieli później jakoś sobie z nimi poradzić.

Reakcja Brennusa zaskoczyła chłopaka. Jego przyjaciel powinien być wściekły, a tymczasem wzruszył tylko ramionami.

– Gdy pojawią się nowe oddziały, będą mieli dziesięciokrotną przewagę – powiedział Romulus.

– Nie unikniemy przeznaczenia – odpowiedział filozoficznie Brennus. *„Dzień, gdy przyjaciele będą cię potrzebować. Czas, żeby Brennus stawał dzielnie i walczył w ich obronie. Z wrogiem, z którym nie mógłby wygrać nikt. Nikt poza Brennusem”.* Czy ten dzień to jutro?

Romulus sądził, że wie, dlaczego Brennus zachowuje się tak spokojnie. Od czasu, gdy Tarkwiniusz powtórzył przepowiednię druida, Romulus bał się, że przyjdzie mu rozstać się z Brennusem tutaj, w Margianie. Mitra pokazał Tarkwiniuszowi drogę do Rzymu. Ale czy w tę podróż ruszy cała trójka? Żołądek zwinął mu się w kulę. Romulus jeszcze raz spojrział w niebo. Tym razem wszystko wyglądało zupełnie inaczej niż wcześniej. Chmury, prędkość wiatru i stada ptaków... nic nie układało się w żaden sensowny przekaz. Może zginą razem z Brennusem, a Tarkwiniusz przeżyje? Romulus obracał głowę we wszystkich kierunkach, szukając jakiegoś wzoru. Szczerze żałował, że nie ma z nimi haruspika, który mógłby udzielić wskazówek. Ale nie było. Równie dobrze mógł być martwy. W jego głowie zaświtała pewna myśl.

– Moglibyśmy spróbować uciec dzisiaj – wymamrotał. – Tylko we dwóch.

– Wrócić do fortu? Zostaniemy ukarani za dezercję.

Romulus nie odważył się wyjaśnić, o czym naprawdę myśli. Zastanawiał się, czy nie powinni ruszyć na południe, w stronę morskiego wybrzeża. Po chwili jednak poczuł wstyd, że rozważa ucieczkę bez Tarkwiniusza, który był na łasce Partów. Przecież obaj – Tarkwiniusz i Brennus – wiele go nauczyli.

– Miej wiarę w bogów – powiedział Brennus, poklepując go po ramieniu. – Oni wiedzą najlepiej.

Mitra może się ze mną droczyć – pomyślał Romulus. – *Czy chce ukarać mnie, niewiernego za to, że osmielam się go wzywać? Czy jest lepszy sposób ukarania mnie niż pokazanie, jak dokonam żywota?* Gdy przywołał w głowie obraz armii Scytów, poczuł, że skręca go w środku ze zgryzoty.

– I nie daj się trafić strzałą.

Chłopak skrzywił się w odpowiedzi na mało śmieszny żart Gala.

Brennus jeszcze nie skończył.

– Rozejrzyj się wokół.

Na twarzach otaczających ich legionistów widział strach, ale również żelazną determinację. Nikt nie klął już ani nie rzucał obelgami. W przeciwieństwie do Nowiusa i jego kumpli ci ludzie stanęliby z nim i Brennusem w jednej linii, walcząc do końca, jeśli nie byłoby innego wyjścia. Nawet jeżeli nikt tego głośno nie powiedział, byli towarzyszami broni.

Ci ludzie wokół nich byli ważni.

Romulus zacisnęła zęby.

Brennus dał mu potężnego kuksańca.

– I to jest duch walki!

Rzucił Brennusowi wdzięczny uśmiech.

Mogli teraz, przez nikogo nie niepokojeni, przyjrzeć się Scytom, którzy zsiadli z koni. Od czasu do czasu jakiś zapalczywy wojownik wskakiwał na konia i pędził w kierunku rzymskich linii, żeby wystrzelić kilka strzał. Jednak reszta wydawała się zadowolona z utrzymania *status quo*. Kilka osób zajęło się zbieraniem chrustu na ogniska. Zaczęło robić się ciemno, a temperatura szybko spadała. Wkrótce będzie bardzo, bardzo zimno. Świadomy tego Dariusz rozkazał, aby ludzie skryli się wewnątrz fortalicji i zamknęli bramę. Gdy tylko na palisadzie pojawili się wartownicy, Rzymianie również rozpalili ogniska. Nie było nic innego do zrobienia.

Ich los zdecyduje się o świecie.

Tej nocy niewielu z nich dobrze spało. Nie pomagała też świadomość okropnie okaleczonych ciał, leżących w pobliskich barakach. Ani przenikliwe zimno. Choć z nim mogli coś zrobić. Trzymali się blisko ognia, okutani w wełniane koce. Koszmary nocne, drętwienie palców u rąk i nóg... to wszystko było nieuniknione, podobnie jak bóle mięśni. Lecz przynajmniej ogniska pozwoliły im utrzymać się przy życiu. Potrzebowali tylko odrobiny ciepła.

Romulus długo nie mógł zasnąć. Za to leżący obok niego Gal szybko odpłynął i teraz głośno chrapał. Brennus zaproponował, że będzie czuwać, ale młody żołnierz był bardzo przejęty i odmówił. Ostatecznie zmęczenie dało o sobie znać i jego powieki powoli się zamknęły. Znalazł się w samym środku koszmaru, w którym odtwarzał ze wszystkimi przerażającymi szczegółami obraz anarchii rozlewającej się po ulicach Rzymu. To w jedną, to w drugą stronę pędził tłum uzbrojonych plebejuszy i gladiatorów, atakujących każdego, kto tylko się napatoczył. Ciała martwych i rannych ludzi leżały w stosach na wybrukowanych ulicach. Miecze wznosiły się i opadały. Ludzie przyciskali dłonie do ran. Krzyki rozpacz i strachu mieszały się z dźwiękami tarcia metalu o metal. W powietrze wzbijały się kłęby dymu. Płomienie lizały ściany budynku senatu. Romulus zobaczył Fabiolę. Otoczona kilkoma ochroniarzami dziewczyna znalazła się w pułapce w wąskiej alejce. Na jej twarzy rysowało się przerażenie.

Romulus obudził się nagle, stwierdzając, że jego ciało pokrywa zimny pot. Te obrazy wydawały się przerażająco prawdziwe. Czy Mitra właśnie znów okrutnie się z nim bawił? Czy to był tylko sen? Jawa?

Zesztywniał. Wyczuł poruszenie.

To nie był Brennus, bo ten leżał obok, pogrążony w głębokim śnie.

Nie chcąc stracić ostrości widzenia, starał się nie patrzeć prosto w żar ogniska. Przekręcił głowę. Ten ruch uratował mu życie. W tej samej chwili na jego piersi wylądował Optatus z grotem strzały w rękę. Romulus zdążył odruchowo zablokować ramię krzepkiego weterana, po czym obaj zaczęli toczyć się po ziemi.

W świetle gwiazd Romulus zauważył, że grot strzały jest ciemny. Ciemniejszy niż zwykle. Przerażenie ścisnęło go za gardło. Scytyjska strzała. Optatus był od niego silniejszy.

Rozdział VIII

Rozpacz



Rzym, zima 53/52 r. p.n.e

Fugitivarii zbliżali się krok za krokiem, wpatrując się w nią pożądlivym wzrokiem.

Sekstus skoczył do przodu, próbując przesyć jednego z nich ostrzem włóczni. Nie udało mu się, a przy tym omal nie stracił ręki, gdy jego przeciwnik ciął w odwet. Dalsze próby wydały się teraz zbyt ryzykowne, więc mogli tylko wycofywać się tyłem w głąb zaułka. To nie zmieniało ich trudnej sytuacji. Wrogowie po chwili rozproszyli się, próbując ich otoczyć.

Fabiola upadła na duchu. Wąska uliczka była pusta. Nawet gdyby przypadkowy przechodzień zauważył, że dzieje się coś niedobrego, pewnie wolałby się nie mieszać. W Rzymie nie było służb, które miałyby pilnować porządku. Rozruchy na Forum Romanum w pewnym sensie stały się naturalną konsekwencją bezprawia. Fabiola wypuła brzydkie przekleństwo. Co sobie myślała, gdy zdecydowała się opuścić bezpieczną willę? Upokorzony kilkanaście dni temu Scewola na pewno nie okaże miłosierdzia. Nie mieli żadnych szans na ucieczkę.

Ale przecież nie chciała uciekać! Tak postępują tylko tchórze...

Szybki atak bez ostrzeżenia i było po wszystkim. Fabioli udało się wprawdzie trafić jednego z napastników w udo, a Sekstus rozchłastał gardło innego, ale po chwili oboje leżeli już na ziemi pokonani, osłaniając się przed gradem ciosów. Gdy Fabiola próbowała się podnieść, uderzenie rękąjeścią miecza w głowę wystarczyło, żeby ją do tego zniechęcić. Zwaliła się w błoto półprzytomna. Sekstus miał mniej szczęścia. Zwinął się pod serią ciężkich ciosów, które mogły sprawić, że wyzionie ducha. Scewola widział jednak, że ranny niewolnik świetnie radzi sobie z bronią. Uznał, że dobrze zarobi, jeśli sprzeda go do szkoły gladiatorów.

Fugitivarii otoczyli Fabiolę, obrzucając jej ciało pełnymi pożądania spojrzzeniami.

– Podnieście ją – rozkazał Scewola.

Jego ludzie natychmiast wykonali polecenie. Silne ramiona uniosły ją tak, że właściwie wisiała między dwoma największymi drabami. Głowa kiwała się jej na boki, a długie czarne włosy opadły na twarz.

Przewodzący grupie Scewola zacisnął palce na puklach kruczoczarnych włosów swojej ofiary. Brutalnie szarpnął, odsłaniając jej twarz tak, żeby wszyscy widzieli, z jaką ślicznotką mają do czynienia.

Fabiola jęknęła z bólu i otworzyła oczy.

– Pani... – odezwał się Scewola z bezlitosnym uśmieszkiem. – Spotykamy się ponownie. A twojego kochanka ciągle z nami nie ma. Nie może cię obronić.

Patrzyła na niego w milczeniu, z pogardą, chcąc zawrzeć w tym wzroku całą swoją nienawiść.

– Nie było go też w latyfundium – kontynuował *fugitivarius* z udawanym żalem. – Przyszliśmy cię odwiedzić, ale okazało się, że spóźniliśmy się jeden dzień, bo wyjechałaś do Rzymu. Prawda, chłopcy?

Usłyszała pomruki jego ludzi potwierdzających przebieg zdarzeń.

Scewola uśmiechnął się okrutnie, widząc rozszerzone z przerażenia oczy Fabioli.

– Ostrzegałem cię przecież, prawda? Zadzieranie ze mną nikomu nie wychodzi na dobre.

Fabiola starała się pozbawić swój głos wszelkich emocji.

– Co zrobiłeś?

– Zaatakowaliśmy ich tuż przed świtem. To najlepszy czas – mężczyzna był wyraźnie zadowolony. – Zabiliśmy chłopców udających gladiatorów. Spaliliśmy budynki, a wszystkich twoich niewolników sprzedaliśmy. Najlepsze jest jednak to, że złapaliśmy uciekiniera, którego wcześniej nie chciałaś nam wydać. Został należycie ukarany. – Scewola zrobił krótką przerwę. – Mówią, że wykastrowani mężczyźni są dobrymi sługami kobiet.

Fabiola nie była w stanie uzmysłwić sobie wszystkich niegodziwości tego okrutnego człowieka.

– Co z Korbulonem?

Scewola najgorsze zostawił na koniec.

– Ten stary głupiec był bardzo uparty – powiedział niemal z podziwem. – Większość takich jak on szybko zdradza wszystkie tajemnice, gdy tylko przysmaży

się im stopy w ognisku. Ale nie on. Nie powiedział nic, dopóki nie połamaliśmy mu ręk i nóg.

– Nie! – krzyknęła Fabiola, szamocząc się bezsilnie. – Korbulon nic nie zrobił!

– Wiedział, gdzie jesteś – odpowiedział *fugitivarius*. – To wystarczyło.

– Za to, co zrobiliście, wszyscy będziecie gnici w Hadesie – Fabiola splunęła. Po jej policzkach spływały łzy. – A Brutus was tam wyśle.

Scewola skrzywił się nieprzyjemnie.

– Nie ma go tutaj. Czy ktoś go widział? – jego ludzie pokręcili głowami przy akompaniamencie zduszonych rechotów. – Szkoda. Będziemy musieli dopaść tego skurwysyna później. Dobry sprzymierzeniec Cezara to martwy sprzymierzeniec.

Fabiola oniemiała. *Wielki Jowiszu! Czym sobie na to zasłużyłam?*

– Obawiam się, że tę sprawę musimy załatwić między sobą – powiedział złośliwie Scewola. Puścił jej włosy i chwycił obiema rękoma materiał sukni na karku. Szarpnął mocno i rozerwał stół aż do pasa.

Jego ludzie wciągnęli powietrze na widok, jaki ukazał się ich oczom.

Fabiola przywykła do takich reakcji mężczyzn, więc nawet w tej trudnej chwili nie miała wielkich problemów z ich zignorowaniem i zachowaniem spokoju. Jednak w środku gotowała się z wściekłości.

Na ziemi obok nich wił się związany Sekstus.

Scewola objął dłonią jej pełną pierś. Głaskał ją przez chwilę, spoglądając Fabioli prosto w oczy.

– Jak ci się to podoba? – wyszeptał.

Nie zamierzała dać mu ani odrobiny satysfakcji. Milczała jak głaz. Nie mogła mu pokazać, jak bardzo się boi.

Jego ręka powędrowała niżej, na płaski brzuch. Fabiola walczyła z obrzydzeniem. Nie chciała się opierać, bo wiedziała, że to sprawi mu większą przyjemność. Scewola zdarł z niej ubranie. Suknia opadła na ziemię, przykrywając czerwone od krwi błoto. Po chwili nie miała już na sobie bielizny. Dwaj trzymający ją bandyci przestępowali z nogi na nogę. Nie potrafili oderwać wzroku od jej pięknego ciała.

Scewola też wybałuszył oczy.

– Jak Wenus... – wyszeptał, a jego mięsista ręka powędrowała jeszcze niżej, docierając do wzgórka łonowego – ...którą można przetrząść.

Wszystkie jej mięśnie stężały. Dotyk Scewoli przywołał wspomnienia obleśnego Gemellusa, kupca, który dawniej był właścicielem całej rodziny Fabioli. Wróciły

obrazy najbardziej odrażających klientów burdelu.

Fugitivarius uśmiechnął się nieprzyjemnie. Wsunął w nią palec.

Tego już nie potrafiła znieść w spokoju. Zaskakując trzymających ją drabów, wyrwała prawą rękę. Przeorała długimi paznokciami policzek Scewoli tak mocno, że od razu pojawiły się na nim cztery głębokie bruzdy, które szybko wypełniły się krwią. Bardziej zaskoczony jej reakcją niż zaniepokojony odniesionymi ranami mężczyzna zatoczył się do tyłu, rzucając przekleństwami. Znalazł się poza jej zasięgiem, a jego oprychy szybko ją znów unieruchomiły. Nie była w stanie przeciwstawić się ich brutalnej sile. Lepiej będzie oszczędzać energię. Może nadarzy się jeszcze okazja, aby jakoś zaszkodzić oprawcy. Ustąpiła i się uspokoiła.

Scewola znów stanął przed nią z uśmiechem, ignorując krew, która ciekła po jego twarzy.

– Niezła złoźnica, co? – odezwał się chrapliwie. – Lubię, gdy moim kobietom się to podoba.

Tym razem tylko na niego splunęła.

Scewola odplacił jej potężnym ciosem w splot słoneczny, po którym Fabiola nie była w stanie oddychać. Uderzenie było tak silne, że zobaczyła gwiazdy. Nogi ugięły się pod nią, niezdolne do utrzymania ciężaru ciała. Nigdy jeszcze nie czuła tak wielkiego bólu!

– Puśćcie ją – usłyszała. – Wezmę tę sukę tu, na miejscu.

Mężczyźni posłusznie uwolnili z uścisku ramiona Fabioli, która przewróciła się na podartą suknię leżącą na ziemi. Następnie cofnęli się za jego plecy, pozwalając swojemu prowodyrowi zrobić, na co miał ochotę. Z pewnością nie był to pierwszy raz, gdy uczestniczyli w takim odrażającym zdarzeniu.

Scewola z obrzydliwym uśmiechem uniósł kolczugę i tunikę, potem zdjął *licium*, uwalniając nabrzmiałego członka. Zbliżył się do niej, chciwie pożerając wzrokiem zgrabny trójkąt włosów łonowych między udami. Gwałty były dla niego czymś naturalnym. Stanowiły część jego pracy. A żadnej z niewolnic, jakie dane mu było posiąść, nie można było porównać z Fabiolą. Miał zamiar cieszyć się tą chwilą.

Oszołomiona Fabiola uniosła wzrok. Zalała ją fala nudności. Musiała ciężko walczyć, żeby nie zwymiotować. To, co ją za chwilę miało spotkać, nie będzie przypominało nawet najmniej przyjemnego doświadczenia z czasów, gdy była prostytutką. Jej klienci przynajmniej płacili za to, żeby z nią być. Pracowała w drogim domu uciech i zdecydowana większość jej klientów nigdy nie pozwalała sobie na jakąkolwiek przemoc. Wettiusz i Benignusz wystarczająco dobrze dbali

o kobiety Jowiny. W tym momencie Fabiola oddałaby wszystkie pieniądze, żeby ujrzeć w tej alejce dwóch potężnie zbudowanych ochroniarzy z Lupanaru.

Ale była zupełnie sama.

Nowe łzy spłynęły po jej policzkach, choć bardzo starała się do tego nie dopuścić. Użalenie się nad sobą sprawi, że to, co ma się wydarzyć, będzie jeszcze trudniejsze. Teraz najważniejsze jest zachowanie życia. Musiała po prostu przetrwać. Wiedziała o tym, ale nie mogła przestać trząść się ze strachu i bezsilności.

Scewola opadł na kolana i rozchylił jej nogi. Nie spieszył się. Zaczął przesuwac dłonie po skórze na wewnętrznej części jej ud, uśmiechając się na widok dreszczy wywołanych strachem. Na wpeł oszołomiona i niezdolna do skutecznego opierania się Fabiola czuła tylko obrzydzenie.

Ludzie Scewoli przysunęli się bliżej. Nie chcieli, aby coś ich ominęło.

Fugitivarius nie potrafił już się kontrolować. Przyciągnął ją ze zwierzęcym pomrukiem. Czubek jego fallusa znajdował się coraz bliżej.

Fabiola odwróciła głowę, żeby nie widzieć jego twarzy. Tak właśnie przez wiele lat cierpiała jej matka. Jeśli ona potrafiła znosić Gemellusa, jej córka przetrwa wszystko.

Ta myśl nie była teraz jednak wcale uspokajająca.

Czuła wszechogarniającą rezygnację. Gdy Scewola z nią skończy, pewnie odda ją swoim ludziom, a potem któryś z nich po prostu poderżnie jej gardło. Zostawią jej ciało na ziemi. Tuż obok ciał tych, którym nie udało się dziś ujsć cało z zasadzki. Decyzja o uratowaniu młodego niewolnika, który pojawił się na terenie jej latyfundium, była lekkomyślna, a mimo to wciąż wydawała się jej słuszna. Gdyby nie zareagowała, wyparłaby się wszystkiego, w co wierzyła. Prędzej czy później Scewola zaatakowałby jej gospodarstwo, szukając Brutusa.

Fugitivarius chwycił mocno podbródek Fabioli i przekręcił jej twarz. Jego ciemne oczy wwiercały się w jej wnętrze. Widziała w nich śmierć. Jego śmierdzący oddech sprawiał, że nie była w stanie oddychać.

– Patrz na mnie, jak cię pieprzę – mruknął, pochylając się, by polizać jej piersi. – Zwykła kurwa...

Fabiola zaczęła szlochać. Brutalna rzeczywistość była o wiele gorsza niż jej wyobrażenia. Udało się jej znów przekręcić głowę.

Spojrzała na otaczających ich ludzi, po czym skierowała wzrok w pustą przestrzeń między nimi, marząc już tylko o tym, żeby być daleko stąd.

Nagle zdała sobie sprawę, że u wylotu zaułka dostrzega jakiś ruch. Żaden z jej oprawców nie zwrócił na to uwagi. Wszyscy patrzyli na nią. Ku swojemu zdumieniu zobaczyła uzbrojonych ludzi, którzy szybko i po cichu ustawili się za plecami Scewoli. Ludzie ci byli ubrani niemal identycznie – w wyblakłe wojskowe tuniki i połatane kolczugi. Tu i ówdzie na piersi dyndała *phalera*. Wszyscy nosili też wykonane z brązu hełmy zakończone pióropuszem z końskiego włosia. Uzbrojeni w *gladii* i wydłużone owalne *scuta* po cichu, niepostrzeżenie ustawili się tak, żeby utworzyć ścianę tarcz. To mogli być tylko ekslegioniści: ludzie, którzy od podszewki znali zasady sztuki wojennej. Nie wyglądało na to, żeby wpadli tu z przyjacielską wizytą.

Fabiola otworzyła szeroko usta ze zdziwienia.

Myląc jej reakcję z lękiem, Scewola roześmiał się i już miał w nią wejść.

W tym samym momencie jego ludzie zrozumieli, że coś jest nie tak. Za późno.

Gdy twarde okucia tarcz uderzyły w plecy oprychów, rozległy się głośnie tąpnięcia. Większość z nich ledwo utrzymała się na nogach. Posypały się bezlitosne ciosy. Błyskawice mieczy, które przebijały brzuchy i szeroko cięły klatki piersiowe zbirów. Wielu z nich zginęło już w pierwszych chwilach ataku. W panującym chaosie niektórzy nie zdążyli nawet zorientować się, co się dzieje. Weterani w ciszy wykonali kilka kroków do przodu, przekraczając martwych i spychając pozostałych *fugitivarii* w kąt jak owce na rzeź. Bezlitośni w obliczu zagubienia wrogów. Taka taktyka sprawdzała się już niezliczoną ilość razy.

Gdy pozostali przy życiu zdali sobie sprawę, że nie mają gdzie uciekać, rozległy się okrzyki przerażenia.

Scewola zaklął i czym prędzej odturlał się na bok. Po jego erekcji nie zostało już śladu. Teraz chciał jak najszybciej pozbierać swoje rzeczy. Wiedział, że jeśli szybko nie podniesie się z ziemi, pożegna się z życiem. Potykając się, wstał w końcu, by włączyć się do walki.

Fabiola obserwowała zafascynowana, jak łatwo jeden z weteranów poradził sobie z dobrze zbudowanym zbiem, uzbrojonym w miecz i krótki sztylet. Najpierw pochylił się lekko, żeby unieść wysoko tarczę wycelowaną w twarz przeciwnika oraz zmusić go do uniku i odruchowego uniesienia brody. Niedoszły gwałciciel Fabioli odłonił gardło. To wystarczyło. Szybki ruch gladiusa i strumień krwi splamił ziemię. *Fugitivarius* był martwy, zanim weteran wyciągnął ostrze z jego szyi i pozwolił wrogowi opaść bezwładnie na ziemię.

Fabiola wykorzystała okazję, żeby chwycić porwaną suknię i chociaż częściowo

osłonić swoją nagość. Chwyliła też leżący obok miecz. Teraz mogła przynajmniej się bronić! I zabije każdego, kto spróbuje ją skrzywdzić.

– Pani! Uwolnij mnie!

Odwróciła się zaskoczona. Sekstus leżał pod murem kilka kroków dalej. Wciąż był związany. Fabiola przekradła się do niego i szybko przecięła krępujące go więzy.

Ranny niewolnik kiwnął głową w podziękowaniu, po czym rozejrzał się za bronią. Najbliżej leżał topór z wyszczerbionym ostrzem.

Przysunęli się bliżej do siebie i zamarli, obserwując z bezpiecznej odległości ostatnie akordy starcia.

Walka nie trwała długo. Zaskoczeni ludzie Scewoli nie mieli szans w tej nierównej potyczce. Nie stanowili zresztą godnych przeciwników dla weteranów. Chociaż umieli walczyć w grupie, zwykle musieli radzić sobie tylko z przerażonymi, prawie zagłodzonymi niewolnikami, których łatwo było zastraszyć, a jeszcze łatwiej pobić. Kilku oprychów rzuciło broń i błagało o litość. Nie doczekali się jej. W najlepszym wypadku zapewnili sobie szybszą śmierć. Bardziej doświadczony Scewola zdał sobie sprawę, że to koniec. Odwrócił się na pięcie, popchnął zniecierpliwiony jednego ze swoich ludzi i odskoczył do tyłu. Mimo że wokół Forum Romanum działy się dantejskie sceny, w tłumie miałby więcej szans na przeżycie niż w ciasnym zaułku, osaczony przez weteranów.

Dostrzegł Fabiolę skuloną pod murem. Ich oczy się spotkały.

Czas się zatrzymał.

Oszalały z wściekłości niski *fugitivarius* zaklął bezgłośnie. Fabiola zrobiła to samo.

Skoczył ze złością w jej stronę z gladiusem w ręku. Sekstus jednak sprawnie odbił cios, co ostudziło zapał Scewoli.

Zawahał się.

– Przeklinam cię na Hades – splunął i popędził w kierunku drugiego końca uliczki. Przez chwilę przedzierał się przez stos śmieci sięgających do pasa. Machał przy tym rozpaczliwie rękoma, usiłując zachować równowagę. Po chwili zniknął za rogiem. Nikt go nie gonił.

Fabiola opadła z sił. Osunęła się na ubłoconą ziemię, wyczerpana strachem fizycznie i psychicznie. Sekstus stanął nad nią w opiekuńczym geście, błyskając wokół jednym białkiem z wściekłością. Gdy zginął ostatni z ludzi Scewoli, weterani ruszyli w ich stronę. Sekstus zerkał to na jednego, to na drugiego, rzucając gromy i wymachując toporem.

Fabiola zamknęła oczy. Ich wybawcy wcale nie musieli różnić się od niedoszłych gwałcicieli. Na szczęście nie podeszli bliżej. Ciężkie *scuta* opadły z łoskotem na ziemię. Robota wykonana. Nie odezwali się ani słowem. Zasłużyli na krótki odpoczynek. Trzeba było uspokoić oddech, wytrzeć zakrwawione miecze. Zabijanie było męczącą pracą.

Gdy przez jakiś czas nic złego się nie działo, Fabiola uniosła się z ziemi, przyciskając do siebie kurczowo resztki sukni. Nieogoleni mężczyźni patrzyli na nią z podziwem. W milczeniu. Żaden z nich jednak nie zbliżył się do niej nawet na krok. Nie wiedziała, jak zareagować. Sekstus też.

Wreszcie jeden z otaczających ich weteranów gwizdnął przeraźliwie. Ku zaskoczeniu Fabioli w alejce za ich plecami pojawił się... Sekundus! Weterani rozstąpili się, dzięki czemu mógł się zbliżyć.

– Pani... – odezwał się, pochylając lekko głowę.

Fabiola próbowała nie okazywać strachu.

– Jestem ci winna podziękowania – powiedziała, nagradzając go wyuczonym, promiennym uśmiechem, który potrafiła przywołać na usta niezależnie od okoliczności.

– Co tu się stało?

– Uciekaliśmy przed zamieszkami. I wpadliśmy w zasadzkę. Chcieli... Prawie... – słowa uwięzły jej w gardle.

– Jesteś już bezpieczna – powiedział cicho Sekundus, poklepując ją delikatnie po ramieniu.

Gwałtownie pokiwała głową. Wciąż jeszcze nie mogła się uspokoić. Choć Sekundus szczerze jej współczuł, nie wszyscy otaczający ją mężczyźni wydawali się równie przyjaźnie nastawieni.

Sekundus zerknął z pogardą na najbliższego trupa.

– I pomyśleć, że walczyliśmy dla takich sukinkotów jak oni, co?

Trafił w sedno. Legioniści od niepamiętnych czasów oddawali krew i umierali dla dobra obywateli Rzymu. A teraz część z nich kradła, dopuszczała się gwałtów i zabójstw na ulicach.

– Ta zasadzka została zaplanowana – stwierdziła Fabiola. Wyjaśniła Sekundusowi, że Scewola napadł na nią dlatego, bo z Brutusem są poplecznikami Cezara. Nie wspomniała o młodym uciekinierze, który był przecież najważniejszym powodem konfliktu między nimi. Uznała, że nie rozumiałyby, dlaczego ktoś mógłby

interweniować w sprawie niewolnika.

– No, cóż, teraz ta kanalia zwieje gdzie pieprz rośnie – Sekundus chciał ją uspokoić. – Szybko nie wróci. Większość jego ludzi nie żyje.

Czując się nieco pewniej, Fabiola rozejrzała się. Teraz, podobnie jak na forum, leżało wokół mnóstwo ciał. Kilku napastników wciąż jeszcze oddychało... Już niedługo. Weterani Sekundusa kluczyli między nimi, podcinając gardła i sprawdzając mieszki. To był pełen okrucieństwa widok, ale ofiary przynajmniej sobie na to zasłużyły.

Sekundus zaczął zbierać swoich ludzi, świadom, że na forum ciągle toczą się walki.

– Lepiej nie zwlekać z odejściem stąd, pani – powiedział, prowadząc ją w stronę skrzyżowania ulic. Sekstus trzymał się blisko, niczym wierny pies.

– Często tak interweniujecie?

Sekundus wzruszył ramionami.

– Od czasu do czasu.

Fabiola nie kryła zaskoczenia.

– Dlaczego?

Sekundus się roześmiał.

– Trudno zapomnieć o życiu w armii, gdy oddało się jej dziesięć czy więcej lat, pani. Grupa pięćdziesięciu, sześćdziesięciu weteranów stale pozostaje ze sobą w kontakcie. Chcemy, żeby nasza okolica była w miarę spokojna. Nie możemy powstrzymać tego, co dzieje się na forum, ale to... Tyle możemy. Taka służba nie jest wielkim wyzwaniem dla wyszkolonych żołnierzy... I podoba się Mitrze.

Fabiola otworzyła szerzej oczy, lekko zdezorientowana.

– Waszemu bogowi?

Sekundus spojrzał na nią poważnym wzrokiem.

– Tak jest, pani. Bogowi żołnierzy.

Nie zawdzięczała życia Jowiszowi, ale jakiemuś nieznanemu bóstwu? I Sekstus również?

Była zaintrygowana.

– Chciałabym złożyć dar w podziękę...

– W mitreum? Obawiam się, że to nie będzie możliwe.

Nienawykła do tego, że ktoś jej odmawia, Fabiola się obruszyła.

– Dlaczego nie?

– Jesteś kobietą. Tylko mężczyźni mogą odwiedzać naszą świątynię.

– Rozumiem...

Sekundus zakaszła niezręcznie.

– Ciągłe nie jest bezpiecznie – z forum docierały odgłosy walk. – Nie ma jednak żadnych przeciwwskazań, abyś poczekała w pomieszczeniach obok świątyni, pani. Jutro, kiedy się trochę uspokoi, odeskortujemy cię do *domus*.

– Ale mój niewolnik idzie ze mną – wskazała Sekstusa.

– Dobrze – Sekundus zgodził się współczującym tonem. – Nasz lekarz zajmie się jego raną.

Niektórzy weterani nie wyglądali na zbyt szczęśliwych, słysząc, że Sekundus ofiarował nieznanej im kobiecie schronienie i pomoc medyczną.

– Dlaczego mi pomagasz?

Dowódca ekslegionistów znów nieśmiało się uśmiechnął.

– Dałaś mi aureusa, pamiętasz?

Nie można było lepiej go wydać... – pomyślała Fabiola.

– Nie spodziewałam się, że nasze drogi skrzyżują się tak szybko.

– To sprawa bogów, pani – odpowiedział Sekundus.

– Słusznie mówisz – Fabiola zgodziła się skwapliwie.

Zostawili martwych w błocie. Sekundus poprowadził Fabiolę wąskimi, pustymi uliczkami. Jego towarzysze podzielili się. Kilku zabezpieczało tyły, inni wysforowali się na zwiady. Pomimo zastrzeżeń dotyczących tego, czy Fabiola i jej niewolnik są godni dostąpienia zaszczytu poznania lokalizacji świątyni Mitry, wszyscy byli gotowi do walki, niosąc obnażone miecze. Wypatrywali niebezpieczeństw. Po drodze nie napotkali jednak nikogo. Ludzie Klodiusza i Milona dalej zmagali się na forum, a gwałtowne zamieszki i szczęk broni wystarczały, aby zwykli obywatele skryli się w domach i nie wyściubiali nosa za zaryglowane drzwi. Witryny sklepów zabito deskami. W uliczkach słychać było tylko odgłosy wydawane przez szemrzące fontanny, przy których nie było żywego ducha. Ani jedna plebejuszka nie czerpała wody do glinianych naczyń. Nie pojawiła się żadna praczka. W publicznych toaletach na próżno szukać zwykle skorych do plotek sąsiadów. W uliczkach nie plątały się nawet dzieciaki, oferujące zazwyczaj nasączone octem gąbki. Rachityczne drewniane stragany, na których zwykle sprzedawano chleb, wyroby garncarskie i wytwory pracy kowali, stały teraz opuszczone i kompletnie puste. Nigdzie nie było widać nawet chorych na trąd

żebraków ani wiecznie wałęsających się w pobliżu kundli, szukających resztek pożywienia. Czasami w jakimś oknie z na wpół otwartymi okiennicami pojawiały się przerażone twarze, jednak gdy tylko ktoś z ich grupy podnosił wzrok, okiennice zamykały się z trzaskiem, a twarze znikwały. To było niesamowite uczucie poruszać się po mieście, które wyglądało na wyludnione. A przecież Rzym od zmerchu do świtu tętnił życiem.

Ale nie dzisiaj.

Po jakimś czasie odgłosy walk toczonych na forum zaczęły stopniowo cichnąć.

– To Palatyn! – wykrzyknęła Fabiola ze zdumieniem.

Sekundus spojrział na nią z ukosa. Uśmiechał się pod nosem.

– Myślałaś pani, że lepiej pasujemy do Awentynu lub Celiusa, prawda?

Fabiola zaczerwieniła się, bo tak pomyślała. Większość mieszkańców Palatynu była stosunkowo bogata. W odróżnieniu od brodatych obszarpańców, którzy ich teraz eskortowali.

– Żołnierze odgrywają niebagatelną rolę w kształtowaniu ducha Rzymu – powiedział z dumą. Z ust weteranów dobiegły głośne pomruki. – Należy do tego miejsca, które jest prastarym sercem tego miasta.

Fabiola pochyliła głowę z szacunkiem. Przecież to właśnie legioniści od lat walczyli i ginęli za Republikę. Mimo że nie czuła tak wielkiej miłości do Rzymu, nie mogła nie szanować odwagi i poświęcenia kombatantów oraz poniesionych przez nich ofiar. Aby ich zrozumieć, wystarczyło spojrzeć na kikut prawego ramienia Sekundusa czy na wiele starych blizn znaczących ciała byłych żołnierzy. Ofiarowali swoje ciała i krew, tracili towarzyszy. Wszystko na chwałę Republiki. A bogaci obywatele zamieszkujący rezydencje na tym wzgórzu nie byli w stanie poświęcić niczego.

Szli teraz wzdłuż wysokiego muru. W pewnym momencie Sekundus zatrzymał się przed małymi drzwiami, wzmocnionymi żelaznymi ćwiekami. Zwykła kołatka i metalowe okucie wokół dziurki na klucz sprawiały, że drzwi nie różniły się od innych. Mogły być tylnym wejściem do jakiejś rezydencji. Lepiej sytuowani Rzymianie woleli mieszkać w solidnych *domus*, z kameralnym, kwadratowym dziedzińcem pod gołym niebem, który otaczały pomieszczenia o różnym przeznaczeniu. Zewnętrzny mur takich rezydencji zwykle był aż do bólu zwyczajny, zaprojektowany tak, żeby nie przyciągać niczyjej uwagi. Ukryte za murami pomieszczenia mogły być wyposażone luksusowo – jak *domus* Brutusa – lub dość ekstrawagancko, jak rezydencja Gemullusa.

Sekundus sprawdził, czy nikt ich nie śledzi, po czym energicznie zastukał w drzwi. Ktoś po drugiej stronie odpowiedział niemal natychmiast. Weteran przysunął się bliżej, żeby cicho powiedzieć hasło.

To wystarczyło. Po krótkiej chwili odsunięto wszystkie zasuwę, a odrzwia otworzyły się bezgłośnie do wewnątrz na naoliwionych zawiasach. W wejściu pojawiła się potężnie zbudowana postać w brązowej wojskowej tunice i z obnażonym gladiusem w ręce. Krótko przycięte włosy oraz blizna, biegnąca od prawego ucha do podbródka, sprawiały, że można było z dużym prawdopodobieństwem założyć, iż ten mężczyzna też kiedyś służył w legionach.

Poznał Sekundusa. Schował miecz i uderzył zaciśniętą prawą pięścią w klatkę piersiową, salutując dowódcy oddziału.

Weteran odwzajemnił pozdrowienie i poprowadził swoich ludzi do *atrium*.

Fabiola i Sekstus szli jego śladami, a tuż za nimi reszta grupy. Strażnik zmrużył oczy na widok dwóch nieznanym, kobiety i ciężko rannego mężczyzny. Nie odezwał się jednak ani słowem. Gdy ostatni członek grupy przeszedł przez próg, drzwi zamknęły się z cichym kliknięciem, pogłębiając półmrok. Ponieważ wejście do *tablinum* było zamknięte, jedyne źródło światła w szerokim korytarzu stanowił rząd umieszczonych w ściennych uchwytych kaganków. Chwiejne żółte płomyki oświetlały pomalowane jaskrawymi farbami posągi, wśród których wyróżniała się statuetka przedstawiająca jakiegoś boga walczącego z bykiem. Cienie rzucane przez frygijską czapkę utrudniały przyjrzenie się rysom bóstwa, ale sztylet w jego prawej dłoni nie pozostawiał złudzeń. Jak wszystkie zwierzęta w świątyniach, wielki byk miał zostać złożony w ofierze.

– Mitra – Sekundus wskazał posąg z szacunkiem. – Nasz ojciec.

Wszyscy mężczyźni pochylili głowy.

Fabiola poczuła, że włosy stają jej dęba. Zadrżała. Choć dotarli zaledwie do przedsionka świątyni, niemal fizycznie wyczuwała energię tego miejsca. Moc miała tu swoje źródło i było ono o wiele silniejsze niż to w *cellae* wielkiej świątyni na Kapitolu. Pomyślała, że jeśli będzie miała szczęście, a Mitra okaże się łaskawy, może uda się jej zdobyć jakieś wskazówki na temat losów Romulusa. W odróżnieniu od kłamstw fałszywych wróżbitów oblegających świątynie rzymskich bogów znak otrzymany w takim miejscu może okazać się naprawdę istotny. Fabiola szybko wróciła do rzeczywistości. *Nie trać koncentracji! Później będziesz miała trochę czasu, żeby się pomodlić.* Pokłoniwszy się z szacunkiem Mitrze, wskazała ziejącą ranę Sekstusa.

– On potrzebuje pomocy...

Jej niewolnik nie poskarżył się ani słowem, ale Fabiola widziała, że zaciska zęby, próbując robić dobrą minę do złej gry. Adrenalina pulsująca w żyłach w czasie walki nie wystarcza na długo, więc teraz fale promieniującego bólu wypełniły jego czaszkę tysiącami igieł.

Sekundus wskazał pomieszczenie znajdujące się po lewej.

– Tam jest *valetudinarium*.

– Do kogo należy ten dom? – zapytała Fabiola. Na taki *domus* mógł pozwolić sobie tylko najbogatszy mieszkaniec Rzymu.

– Przyjemniej niż w barakach armii, prawda? – roześmiał się Sekundus. – Był własnością legata, pani. Jednego z nas.

Zmarszczyła brwi.

– Był?

– Biedny drań spadł dwa lata temu z konia. Nie miał żadnej rodziny.

– I zajęliście dom?

W zasadzie to nie zdziwiłoby Fabioli. W niepewnej sytuacji politycznej śmiałkom często uchodziły na sucho nawet nie do końca legalne działania. Od lat przecież Klodiusz i Milon w ten sposób budowali swoje wpływy.

Sekundus spojrział jednak na nią surowo.

– Jesteśmy weteranami, a nie złodziejami, pani.

– Oczywiście – Fabiola odpowiedziała cicho. – Przepraszam.

– Dom należy teraz do Mitry – wyjaśnił po prostu weteran.

– Więc tu mieszkanie?

– Mamy ten zaszczyt. To fragment najświętszej ziemi w Rzymie. Trzeba go chronić.

Posąg Mitry i ludzie Sekundusa zostali za nimi, a weteran poprowadził Fabiolę z niewolnikiem korytarzem za róg głównego dziedzińca. Wszystkie podłogi zdobita prosta, ale dobrze wykonana mozaika o wzorze typowym dla rzymskich domów, układającym się w koncentryczne okręgi, fale i wiry. Tylko nieliczne pomieszczenia z wielu mijanych wydawały się zajęte, a przez otwarte drzwi pozostałych można było zauważyć, że są pozbawione mebli, mają gołe ściany i puste podłogi.

Sekundus zatrzymał się w końcu przed izbą, która mocno pachniała octem, podstawowym środkiem czyszczącym i odkażającym stosowanym przez rzymskich chirurgów.

– Janus! – zawołał.

Pomagając Sekstusowi, Fabiola weszła do *valetudinarium*, żołnierskiego szpitala. Pomieszczenie zostało urządzone tak, jakby znajdowało się wewnątrz namiotu w obozie marszowym legionu. Niskie biurko w pobliżu drzwi stanowiło odpowiednik punktu przyjęć pacjentów. Na ścianie za biurkiem znajdowały się drewniane półki, wypełnione zwiniętymi skórami cielęcymi, garnkami, zlewkami i metalowymi instrumentami medycznymi. Otwarte skrzynie na ziemi pełne były koców i opatrunków. Pod najdalszą ścianą stały w równym rzędzie niskie łóżka. Wszystkie były puste. Obok stał poobijany stół, otoczony zestawem lamp oliwnych na prymitywnie wykończonych żelaznych stojakach. Na każdym ramieniu stojaka przymocowano grube liny. Chociaż stół wydawał się czysty i suchy, na jego powierzchni widać było ciemne plamy. Wyglądały jak miejsca po zakrzepłej krwi.

Ze stołka w kącie uniósł się jakiś mężczyzna o szczupłej twarzy, ubrany w zużytą wojskową tunikę, ozdobioną dwoma *phalerae*. Uprzejmie skłonił głowę, witając Fabiolę. Jak inni żołnierze nosił pas z przypasanym sztyletem w pochwie. Główki nitów jego *caligae* zastukały delikatnie o podłogę.

Fabiola spojrzała na niego z szacunkiem. Każdy z ludzi Sekundusa na pierwszy rzut oka wyglądał jak włóczęga, ale wszyscy mieli w sobie jakąś charakterystyczną godność.

– Co to jest? – zapytała Fabiola, wskazując stół.

– Moja sala operacyjna – odpowiedział ciemnowłosy medyk.

Fabiola poczuła ścisk w żołądku na myśl o tym, że ktoś mógłby ją związać, unieruchomić na tym stole i dostać się do wewnętrznych organów.

Janus pomachał zachęcająco do Sekstusa, zapraszając go do środka.

– Strzała? – miał niski, nieznoszący sprzeciwu głos.

– Tak – mruknął Sekstus, przekręcając głowę, żeby ułatwić lekarzowi oględziny.

– Wyciągnąłeś grot sam... – Janus cmoknął z dezaprobatą, badając palcami stan oka.

Sekundus zauważył zdziwienie na twarzy Fabioli.

– Zadziory wczepiają się w ciało i utrudniają usunięcie grotu. Zostawiają poszarpaną, bardzo charakterystyczną ranę. Cięcie od noża lub miecza jest czystsze i równe.

Skrzywiła się. *Romulus!*

– W legionach miałem do czynienia ze wszystkimi ranami, jakie można sobie wyobrazić, pani – odezwał się cicho Sekundus. – Wojna jest brutalna. Nieokiełznana,

straszliwa i dzika.

Fabiola czuła, że zaczyna tracić spokój.

Sekundus wydawał się zaniepokojony zmianą, jaka w niej zaszła.

– O co chodzi?

Fabiola stwierdziła, że nie może ukrywać prawdy. To bogowie sprawili, że Sekundus pojawił się w kluczowych chwilach jej życia już dwa razy w ciągu zaledwie kilku dni. Akurat wtedy, gdy go bardzo potrzebowała. Zrozumie ją. Przecież jest weteranem, który wiele lat spędził w armii.

– Mój brat walczył pod Carrhae.

Sekundus spojrzał na nią zdziwiony.

– Jak to się stało? Czy był niewolnikiem Krassusa?

Sekundus przecież znał jej przeszłość! Wiedział, że nie zawsze była wolną obywatelką Rzymu. Fabiola zerknęła z niepokojem na Janusa i Sekstusa, ale mężczyźni nie mogli usłyszeć, o czym rozmawia z Sekundusem. Medyk kazał jej niewolnikowi położyć się na stole i właśnie oczyszczał mokrą szmatką jego twarz z zakrzepłej krwi.

– Nie. Uciekł z *Ludus Magnus* i wstąpił do armii.

– Niewolnik w legionach? – Sekundus podniósł głos. – To jest zabronione pod groźbą śmierci.

Romulus nie został zdemaskowany ani nie zginął z tego powodu – pomyślała Fabiola. – *Był na to zbyt przebiegły i potrafiłby znaleźć jakiś sposób, żeby trzymać się z dala od kłopotów.*

– Zaciągnął się z Galem, mistrzem gladiatorów.

– Rozumiem – odpowiedział weteran, zamyślając się. – Mogli trafić do kohorty wojsk pomocniczych. Oni nie są zbyt wybredni.

– Romulus był odważnym człowiekiem – zachnęła się Fabiola, krzywiąc się na jego słowa. – Tak samo jak każdy cholerny legionista.

– Moje słowa były nierozważne – przyznał Sekundus nieco rozchmurzony. – Jeśli przypomina cię, pani, musiał mieć serce lwa.

Fabiola nie chciała odpuścić. Wskazała Sekstusa.

– Zobacz! On jest niewolnikiem. A jednak walczył, żeby mnie ochronić, i został ciężko ranny. Tak samo walczyli inni, zanim zginęli.

Sekundus uniósł ręce w geście pojednania.

– Nie jestem taki, za jakiego mnie uważasz – popatrzył jej prosto w oczy. – Niewolnicy mogą czcić Mitrę. Z nami. Jak równi z równymi.

Tym razem Fabiola poczuła zakłopotanie. Sekundus zatem nie podzielał poglądów większości obywateli, którzy uważali niewolników za istoty niewiele różniące się od zwierząt. Dla nich nawet wyzwolenie niewolnika nie pozwalało na zupełne pozbycie się tego piętna. Fabiola zdążyła się już przyzwyczaić do pogardliwych spojrzeń wielu nobili, którzy znali jej przeszłość. Miała szczerą nadzieję, że jej dzieci, jeśli obdarzą ją nimi bogowie, nie zazną tej dyskryminacji.

– Co masz na myśli?

– Nasza religia każe wysoko cenić prawdę, honor i odwagę. To cechy, które może posiadać każdy – czy to konsul, czy niewolnik. Mitra widzi wszystkich ludzi w tym samym świetle. Jego wyznawcy są dla siebie braćmi.

To było dla niej coś nowego. Nieznana i bardzo atrakcyjna koncepcja. Fabiola nigdy nie słyszała, żeby ktoś mówił coś podobnego. Oczywiście ten pomysł wydał jej się ogromnie intrygujący. W Rzymie niewolnikom pozwalano czcić bogów, ale żeby uznawać ich za równych ze swoimi panami? To było nie do pomyślenia. Ich pozycja w społeczeństwie pozostawała niezmienna: znajdowali się na samym dole drabiny społecznej. Jedynymi ludźmi, którzy mogli zmienić ten stan rzeczy, byli syci i zadowoleni z życia kapłani i akolici świątyni miasta. Tyle że oni pełnili raczej rolę oficjalnej tuby polityki państwa. Nigdy nie ośmieliliby się podsuwać rządzącym takich rewolucyjnych pomysłów. Coś takiego mogłoby naruszyć *status quo*, pozwalające przedstawicielom Republiki – elicie oraz zwykłym obywatelom, czyli w sumie dziesiątkom tysięcy ludzi – rządzić niewolnikami, których było z pewnością ponad sto razy więcej. Czymś naprawdę niesamowitym było usłyszeć, że jakiś bóg-wojownik potrafi patrzeć na swoich wyznawców nie przez pryzmat tego, że są niewolnikami!

Fabiola uniosła wzrok i spojrzała prosto w oczy Sekundusa.

– A co z kobietami? Czy my też możemy się przyłączyć?

– Nie. Kobiety nie mają prawa wstępu do świątyni.

– Dlaczego nie?

Sekundus zacisnął szczęki w reakcji na śmiałe pytanie i wyzwanie, przebijające z głosu Fabioli.

– My jesteśmy żołnierzami. Kobiety nie.

– Dzisiaj walczyłam!

– To nie jest to samo, pani – warknął. – Nie nadużywaj, proszę, naszej gościnności.

Rozdział IX

Znaki



Margiana, zima 53/52 r. p.n.e.

Choroba sprawiła, że Pakorus znacznie się postarzał. Ciągłe jeszcze nie wrócił mu zdrowy, brązowy kolor skóry. Jego twarz miała blady, woskowy połysk, który podkreślał zapadnięte policzki i nowe siwe pasemka włosów. Part mocno schudł, a ubrania, które wcześniej na niego pasowały, teraz zwisały luźno na kościstej klatce piersiowej. Ale żył! Można było uznać to za mały cud. Gdyby nie wysoka gorączka, która ciągle trawiła jego ciało, oraz brzydko pachnąca, żółta ciecz wypływająca czasami z jego ran, to prawdziwa byłaby diagnoza, że organizm Pakorusa ostatecznie pokonał truciznę. Wyglądało więc na to, że *scythicon* wcale nie musi zabić każdego, kto ma kontakt z tą trucizną. Jednak dowódca legionu mógł zawdzięczać swój powrót do zdrowia nie tylko silnemu organizmowi: haruspik wykorzystał całą swoją wiedzę, wszystkie umiejętności i zużył zapas drogiego *mentar*, żeby Pakorus odzyskał siły.

I przydała się pomoc Mitry – pomyślał Tarkwiniusz, spoglądając na małą figurkę na ołtarzu w rogu. Haruspik spędzał wiele godzin, modląc się na kolanach o to, aby dowódca dostrzegł jego oddanie. Jeszcze ciągle na wpół oszołomiony Pakorus był podatny na jego ciche przekonywania i w końcu docenił poświęcenie Tarkwiniusza oraz jego stosunek do Mitry. Wprawdzie Tarkwiniusz musiał długo przekonywać Pakorusa i posłużył się wszelkimi znanymi mu sztuczkami oraz siłą argumentacji, ale dowódca legionu opowiedział mu w końcu o niektórych trzymany w sekrecie rytuałach w mitreum. Haruspik słuchał uważnie. Zbierał wszelkie informacje, które mogłyby kiedyś okazać się istotne. Wiedział już, że posążek na ołtarzu przedstawiał Mitrę w jaskini, w której się narodził i gdzie stoczył walkę z pradawnym bykiem. Poprzez tauroktonię bóg uwolnił siłę, która dała życie ludzkości. Podobnie jak

wszystkie ofiary, także i za ten święty obrzęd trzeba było zapłacić wysoką cenę, co tłumaczy, dlaczego Mitra odwraca głowę, gdy wbija nóż w gardło zwierzęcia.

Tarkwiniusz dowiedział się, że etapy wtajemniczenia miały swoje symbole: kruka, żołnierza, lwa, woźnicę. Gdy ktoś osiągał najwyższy stopień wtajemniczenia i przewodził grupie, nazywano go *pater* – ojciec. Pakorus napomknął również, że istotną rolę w mitraizmie odgrywała interpretacja układu gwiazd, podobnie jak samodoskonalenie i poznawanie swoich ograniczeń. Symbolem Mitry był gwiazdozbiór Perseusza, a jego ofiary oczywiście gwiazdozbiór Byka. Tarkwiniusz czuł frustrację, Pakorus bowiem nie chciał powiedzieć mu już nic więcej. Nawet mimo ciężkiej choroby nie zamierzał ujawnić zbyt wielu tajemnic Mitry.

Tarkwiniusz dobrze wiedział, że może nie mieć wielu okazji do poszerzenia wiedzy. Choć dowódca nie był już na granicy życia i śmierci, na pewno nie można było jeszcze powiedzieć, że całkiem wyzdrowiał. Im lepiej czuł się Pakorus, tym gorzej zachowywał się Vahram. Przasadzisty *primus pilus* dobrze widział, że Pakorus zdrowieje z każdym dniem, dlatego coraz gorzej odnosił się do Tarkwiniusza. Haruspik uznał, że może być tylko jeden powód takiego zachowania. Vahram chciał, żeby Pakorus umarł, gdyż dzięki temu Zapomniany Legion przeszedłby w jego ręce.

Taka ewentualność stanowiłaby spełnienie najgorszych snów Tarkwiniusza, niemniej była jak najbardziej prawdopodobna. Vahram był upartym, prostym człowiekiem, mniej podatnym na jego wpływy. Jednak, jak większość Partów, Vahram był bardzo przesądny. Do tej pory starał się zachować ostrożność, lękając się trochę podświadomie Tarkwiniusza, a i obawiając się reakcji legionistów ze swojej centurii. Nie czuł się na tyle pewnie, żeby z zimną krwią zamordować Pakorusa. Vahram chciał wiedzieć, czy bogowie spojrzą przychylnie na próbę przeprowadzenia „zamachu stanu”. Codziennie wypytywał Tarkwiniusza o stan zdrowia dowódcy. Zajęty przygotowaniem lekarstw lub zmianą opatrunków Tarkwiniusz zwykle umiejętnie unikał wyjawienia zbyt wielu szczegółów, zdradzając niewiele i odpowiadając uprzejmymi ogólnikami. Coraz częstsze odzyskiwanie świadomości przez Pakorusa również skutecznie pomagało w unikaniu tych przepytywań.

Primus pilus stawał się coraz bardziej zniecierpliwiony, lecz na razie ograniczał się do drwin dotyczących Romulusa i Brennusa. Wiedząc, że obaj są dla Tarkwiniusza ważni, Vahram żerował na jego niepewności w sprawie bezpieczeństwa przyjaciół. To była jedyna rzecz, jakiej lękał się zwykle niewzruszony haruspik. Vahram wyzywał się na Tarkwiniuszu, obrzucając go wyzwiskami, a jego ofiara była całkowicie bezsilna. W tej sytuacji Vahram był po prostu zbyt niebezpieczny, żeby ryzykować

z nim otwarty konflikt.

Tarkwiniusz bardzo martwił się tym, że nie wie, co dzieje się z jego przyjaciółmi. Strażnicy otrzymali wyraźne rozkazy. Za ich złamanie groziły poważne kary, dlatego żaden z nich nie pisnął ani słówka. Jeśli dodać do tego głęboko zakorzeniony strach przed jego umiejętnościami, haruspik znalazł się w niemal całkowitym odosobnieniu. Nawet służący byli zbyt przerażeni, żeby otworzyć do niego usta. Jednak cisza nie była tak niepokojąca, jak izolacja. Tarkwiniusz koniecznie chciał wiedzieć, co się dzieje w forcie, a teraz nie miał zupełnie żadnych wieści.

Ze skrawka nieba widocznego nad dziedzińcem kwatery Pakorusa nie potrafił wiele wyczytać. Jeśli nie było akurat śnieżyca, po prostu nie widział wystarczająco dużo szczegółów, żeby można na ich podstawie wyciągnąć jakieś wnioski. Nie miał też kury ani jagnięcia, żeby złożyć ofiarę. Vahram swoimi zakazami ograniczył jego możliwości przewidywania przyszłych wydarzeń, chociaż nawet o tym nie wiedział. Tarkwiniuszowi pozostała praktycznie tylko jedna technika haruspicii, w której wykorzystywał ogień z ogniska w sypialni Pakorusa. Najlepiej było zajmować się tym bardzo późno w nocy, gdy dowódca spał, a słudzy i strażnicy nie kręcili się w pobliżu łóżka chorego. Jeśli pozwalał spalić się całym kłodom, czasami uzyskiwał kilka przydatnych wskazówek. Ku niezadowoleniu haruspika żadna z nich nie dotyczyła losów jego przyjaciół. Ani jego własnej przyszłości. Ale taka właśnie losowa i irytująca była sama natura haruspicii: bogowie mówili niewiele, gdy ktoś oczekiwał ważnych wiadomości, a potem zasypywali informacjami, gdy się wcale ich nie pragnęło. Czasami przekaz nie pozwalał dojść do żadnych wniosków. Wreszcie wątpliwości Tarkwiniusza dały o sobie znać ze zdwojoną siłą.

Po przygotowaniu ostatniej porcji leków dla Pakorusa Tarkwiniusz usiadł przy osłoniętym ceglami ognisku. Nie chciał marnować żadnej okazji. Haruspik desperacko pragnął zdobyć jakieś nowe informacje. Cokolwiek, co pomogłoby mu poznać przyszłość. Być może właśnie niecierpliwość sprawiła, że tej jednej nocy nie wykazał się typową dla siebie ostrożnością. Gdy Pakorusa zmorzył sen i jego powieki opadły, Tarkwiniusz odszedł od łóżka na palcach. I zapomniał zaryglować drzwi.

Kucając przy ognisku, westchnął z niecierpliwości. Dzisiejsza noc będzie wyjątkowa. Czuł to w kościach.

Z jednego dużego kłoca drewna wciąż jeszcze bił żar. Otoczona przez kilka zwęglonych fragmentów o nietypowych kształtach kłoda żarzyła się mocno na czerwono i pomarańczowo. Tarkwiniusz długo wpatrywał się w żar. Polano z kilkoma

zaledwie sękami było suche i musiało długo leżeć w drewni. Właśnie takiego potrzebował.

Nadeszła odpowiednia chwila.

Spłynęły na niego dobrze znane już emocje. Tarkwiniusz zagryzł zęby, wyczuwając strach. Nie mógł trwać wiecznie. Wciągnął głęboko powietrze. Raz. Potem drugi. Spokojniejszy sięgnął po pogrzebacz i postukał nim kawałek drewna. Ten ruch wywołał fontannę iskier, które unosiły się w powietrzu i leniwie leciały w stronę komina. Pojedynczo i w większych grupach. Najmniejsze z nich bardzo szybko gasły, ale większe nadal żarzyły się delikatnie, unosząc się w górę na gorącym powietrzu. Żrenice Tarkwiniusza zwęziły się, gdy analizował wzór stworzony przez iskry. Sprawdzał puls, licząc czas, jaki minął, zanim każdy punkcik zniknął.

Wreszcie! Obraz Romulusa.

Tarkwiniusz wciągnął powietrze.

Młody żołnierz wyglądał na zakłopotanego i niepewnego. Towarzyszył mu Brennus. Zwykle pogodny i jowialny, teraz też zachowywał się jakoś inaczej. Obaj przyjaciele mieli na sobie zakończone końską kitą hełmy z brązu oraz kompletną zbroję. *Scuta* uniesione i oszczepy gotowe do rzutu. Najwyraźniej znajdowali się gdzieś poza fortem, który normalnie dawałby jakąś osłonę. W tym obrazie nie dało się zauważyć żadnych szczegółów otoczenia. Wszystko pokrywał śnieg. Jego przyjaciele przynajmniej nie byli sami. Wokół nich tłoczyli się inni legioniści. Centuria. Może nawet dwie.

Tarkwiniusz zmarszczył brwi.

Jakiś szybko poruszający się czerwony przedmiot przysłonił mu widok. Ostro kontrastował z białym krajobrazem. Po nim następny...

Obraz zniknął, zanim Tarkwiniusz zdążył ustalić, czym były te kształty. Sztandary? Jeźdźcy? Czy to tylko jego wyobraźnia? Haruspik czuł niepokój. Pochylił się, żeby znaleźć się bliżej ognia. Mocno się koncentrował.

I aż odskoczył, gdyż nowy obraz uderzył go swoją intensywnością.

Zalana krwią podłoga baraku w koszarach.

Co to mogło znaczyć?

Obraz zniknął, gdy polano przełamało się na pół. Rozległy się delikatne trzaski, gdy dwa kawałki opadały na palenisko. Buchnął ogień, który otrzymał właśnie nową dawkę paliwa, a nowy snop iskier wzbil się pod powałę.

Tarkwiniusz już dawno przekonał się, że najlepiej pozwolić odejść niejasnym, niepokojącym obrazom. Często bowiem nie dawało się ich zinterpretować, więc najlepszym wyjściem było w ogóle się nimi nie niepokoić. Uspokoił się. Z przyjemnością śledził żywy taniec iskier. Teraz na pewno zobaczy jakąś pożyteczną wskazówkę. Niemal niezauważalnie poruszał ustami, skupiając całą uwagę na obrazie, który zesłali mu bogowie.

Jakiś partyjski wojownik siedzi okrakiem na koniu, który przerażony uskakuje przed słoniem, pędzącym wprost na niego w szaleńczej szarży. Mężczyzna jest odwrócony, dlatego haruspik nie widzi wyraźnie jego twarzy. Za nim toczy się zażarta bitwa pomiędzy rzymskimi legionistami i ludźmi wyróżniającymi się ciemną karnacją, posługującymi się różnorodną bronią.

Haruspik skupił się na jeźdźcu.

– Vahram? – zapytał cicho. – Czy to jest Vahram?

Skoncentrował się tak mocno, że zupełnie nie zwrócił uwagi, że ktoś otworzył drzwi.

– Co za czary tu czynisz?

Tarkwiniusz zamarł na dźwięk głosu *primus pilus*. Od razu uświadomił sobie, że jego nieuwaga może mieć straszne konsekwencje. *Samozadowolenie może zabijać* – pomyślał ponuro. Powtarzał to Romulusowi wiele razy przy różnych okazjach, a tymczasem sam padł ofiarą zbytnej pewności siebie. Nie oglądając się za siebie, Tarkwiniusz popchnął pogrzebaczem kawałki drewna, wpychając je głęboko w popiół. Bez powietrza ogień szybko zgaśnie. Nie będzie więcej iskier.

– Po prostu gaszę ognisko – odparł najspokojniej, jak tylko potrafił.

– Kłamca! – Vahram syknął. – Słyszałem moje imię.

Tarkwiniusz wstał i odwrócił się, żeby stanąć twarzą w twarz z Vahramem, któremu towarzyszyło trzech muskularnych wojowników uzbrojonych we włócznie. I liny. To stanie się dziś wieczorem. Vahram nie pojawił się tu przypadkiem.

– Pakorus się obudzi – powiedział głośno haruspik, przeklinając siebie za to, że nie zachowywał się ciszej.

– Dajmy mu spać... – Vahram uśmiechnął się, ale nie był to szczery uśmiech. – Nie chcemy go niepotrzebnie kłopotać.

Właśnie wykonuje swój ruch – pomyślał zaniepokojony haruspik. – *A moje słowa utwierdziły go w przekonaniu o słuszności tej decyzji.*

– To był długi dzień – powiedział, podnosząc głos. – Czy nie tak, panie?

Pakorus nawet nie drgnął.

Tarkwiniusz ruszył w stronę łóżka, ale Vahram zagroził mu drogę.

– Nie pogrywaj sobie ze mną, ty arogancki skurwysynie! – Part o posturze tura aż kipiał z wściekłości. – Co widziałeś?

– Powiedziałem, co robiłem – odpowiedział Tarkwiniusz tak szczerze, jak tylko potrafił. Nie wiadomo, do czego był zdolny okrutny Part. – Nic nie widziałem.

Vahram nagle stał się dziwnie spokojny. Wszyscy w obozie wiedzieli, że haruspik nie był szarlatanem. Pakorus i Tarkwiniusz bardzo się starali, aby nie ujawnić nikomu, że od jakiegoś czasu haruspik nie ma żadnych wizji. W oczach Vahrama Tarkwiniusz był tylko przeszkodą. Po prostu.

– Dobrze... – powiedział lodowatym głosem, gdy jego gniew stał się silniejszy niż strach. Strzelił palcami na wojowników. – Zwiążcie go!

Tarkwiniusz drgnął.

Jego nadgarstki zostały szybko unieruchomione. Do ust wsadzili mu jakąś szmatę, którą zawiązano wokół głowy. *Czy to właśnie ta noc miała różnić się od poprzednich?* – Tarkwiniusz zastanawiał się z goryczą. Nie miał żadnego przecucia. Grube sznury szarpały skórę na jego rękach, ale Etrusk przyjmował ten ból, pozwalając mu spłynąć i zniknąć. To był dopiero początek. To, co miało nadejść, mogło być jeszcze gorsze.

W tej samej chwili Pakorus poruszył się pod kocem. Na króciutką chwilę uniosły się ciężkie powieki zakrywające oczy.

Niepewny Vahram zastygł w bezruchu, podobnie jak trzech jego ludzie.

Haruspik zwrócił się do Mitry z prośbą. *Obudź się!*

Powieki Pakorusa ponownie opadły, a on przewrócił się na drugi bok, odwracając się plecami do ludzi znajdujących się w jego pokoju.

Twarz *primus pilus* wykrzywiła się w uśmiechu zadowolenia, po czym mężczyzna wskazał kciukiem na drzwi.

Tarkwiniusz poczuł ogromne zmęczenie. Dał się wyciągnąć na zewnątrz. Nawet strażnicy Pakorusa opuścili swoje stanowiska. Bogowie byli w okrutnym nastroju. Dzisiejsza wróżba nie będzie łatwa. Czeka go ból, a może nawet śmierć.

Początkowo Vahram nie zadawał żadnych pytań. W jego działaniach chodziło nie tyle o uzyskanie informacji, ile w pewnym sensie o zemstę. Czekał cierpliwie, aż jego ludzie dobrze przywiążą Tarkwiniusza do żelaznego pierścienia, umieszczonego wysoko na słupie znajdującym się na dziedzińcu. Potem wykonał zdawkowy gest.

Zaczęli go bić. Trwało to naprawdę długo. Trzej żołnierze wymieniali się, gdy któryś z nich za bardzo się zmęczył.

Po stu batach Tarkwiniusz stracił rachubę i już nie liczył kolejnych. Na przemian to tracił przytomność, to znów budził się z odrętwienia. Jego tunika i skóra na plecach zostały porwane na strzępy od ciosów długim, cienkim skórzanym paskiem, zakończonym żelazną kulką. Po plecach i nogach płynęły grube strumienie krwi, zbierając się i twardniejąc w skorupę wokół jego stóp. Całym ciałem targały fale bólu. Gdyby nie miał knebla w ustach, odgryzłby sobie dolną wargę. Nie mógł powstrzymać mimowolnych dreszczy, które wzbudzały śmiech Vahrama.

– Gdzie teraz jest twoja moc, wieszczu? – szydził.

Tylko lodowaty wiatr hulający po dziedzińcu przynosił Tarkwiniuszowi jakąś ulgę, zmrażając i znieczulając jego rany. Ale ta pomoc mogła okazać się złudna. Przez mgłę bólu haruspik zdał sobie sprawę, że jeśli ta gehenna potrwa dłużej, umrze od zimna i obrażeń. Bez grubej odzieży, jaką mieli na sobie jego prześladowcy, żaden człowiek nie przetrwa w tak niskich temperaturach dłużej niż kilka godzin.

Vahram też to wiedział.

W którymś momencie Tarkwiniusz poczuł, jak odwiązują jego ręce i przenoszą go do budynku. Został brutalnie rzucony na podłogę w pobliżu paleniska. Ciepło rozchodzące się po ciele stało się teraz przyczyną nowych cierpień. Podczas gdy jeden ze strażników podsyczał ogień, inni pocierali jego nogi i ramiona kocami, żeby przywrócić krążenie i sprawić, by ofiara znów odczuwała ból! Gdy Tarkwiniusz poczuł mrowienie kończyn... a potem klucie, które oznaczało, że wróciło w nich czucie, zapadł się w sobie. Te działania oznaczały, że jego cierpienie jeszcze się nie skończyło. Vahram najwyraźniej desperacko pragnął zdobyć wiedzę o przyszłości i nie miał zamiaru cofać się przed niczym.

– Czy masz już ochotę porozmawiać?

Tarkwiniusz otworzył szeroko oczy i stwierdził, że *primus pilus* znajduje się tuż u jego boku. Vahram wyjął haruspikowi knebel, żeby mógł mówić.

– Co chcesz wiedzieć? – wyszeptał.

Usta Vahrama wygięły się w pełnym triumfu grymasie.

– Wszystko. O mojej przyszłości.

– Przyszłości? – Tarkwiniusz wychrypiał. – I pewnie przyszłości Pakorusa?

Primus pilus pokiwał głową. Najwyraźniej stawał się coraz odważniejszy.

– Kto powinien teraz dowodzić Zapomnianym Legionem? – spytał cicho. – Czy

ma to być ten kaleka w łóżku?

W tej chwili wszystko stało się jasne. Haruspik próbował przełknąć ślinę, ale w ustach miał sucho. W miarę jak rosło prawdopodobieństwo, że Pakorus przeżyje, malały nadzieje Vahrama na awans. Postanowił zatem wziąć sprawy w swoje ręce. Ambitny *primus pilus* potrzebował teraz znaku, że może dowodzić Zapomnianym Legionem. Jeśli Tarkwiniusz potwierdzi, Pakorus umrze. A jeśli tego nie zrobi...

Podsycony ogień za plecami Parta wystrzelił wysoko wesołymi ognikami. Płomienie biegały tam i z powrotem po nowych kłodach, szukając najlepszego miejsca, żeby wspiąć się jeszcze wyżej.

Vahram podążył za spojrzeniem haruspika. Na jego twarzy rysowała się żądza władzy. Przez kilka chwil żaden z nich się nie odzywał.

W jasnym świetle płomieni pojawił się jeździec, którego Tarkwiniusz widział wcześniej. Tym razem jego oblicza nie skrywał cień. To na pewno był Vahram. Nie miał prawej ręki i wyglądał na przerażonego. Z ogromnym wysiłkiem haruspik zachował kamienną twarz. Nie mógł opowiedzieć o tym, co widzi, nie ryzykując życiem. Vahram był okrutnikiem.

– No i co?

Ból stępił jego zmysły, więc nie przyszła mu do głowy żadna dobra odpowiedź, która pozwoliłaby uniknąć dalszego cierpienia. Potrząsnął głową.

Wścikły *primus pilus* uderzył go zaciśniętą pięścią w twarz.

Złamał mu nos. Krew wypełniła usta, a wielka fala czerwieni zalała dywan.

– Nie mam pewności... – wydyszał przez zabarwione na czerwono zęby. – Ostatnio w ogóle nie dostrzegam zbyt wielu znaków.

Vahram skrzywił się, wąpiąc w słowa haruspika.

Łóżko Pakorusa znajdowało się zaledwie kilka kroków dalej, ale dowódca legionu spał jak zabity.

– Weźcie go z powrotem na zewnątrz!

Wojownicy pospieszyli, aby wykonać rozkaz. Złapali Tarkwiniusza i zaczęli ciągnąć w kierunku drzwi.

– Czekajcie! – usłyszeli charakterystyczny syk sztyletu wydobywanego z pochwy. Potem długą przerwę. Jeden ze strażników obejrzał się przez ramię, żeby zobaczyć, co robi Vahram. Roześmiał się.

Tarkwiniusz czuł nudności. Okrucieństwo tego człowieka nie miało granic. *Primus pilus* zbliżył się do haruspika, starannie odmierzając kroki, aby znaleźć się cicho

dokładnie za jego plecami. Gdy rozpalone do czerwoności ostrze dotknęło jednej z najgłębszych ran na plecach, haruspik nie potrafił się już powstrzymać. Z jego ust wyrwał się przeciągły jęk.

Pakorus lekko się poruszył i Vahram zdał sobie sprawę, że chyba w tym zamkniętym pomieszczeniu posunął się za daleko. Cofnął rękę i kazał wyprowadzić haruspika. Tarkwiniusz znów został przywiązany do żelaznego pierścienia na podwórku.

Rozpalone ostrze jeszcze raz posłużyło Vahramowi za narzędzie tortur. Oprawca od czasu do czasu pochylał się nad Tarkwiniuszem, szepcząc mu do ucha.

– Jak mi powiesz, to przestanę.

Mimo że desperacko pragnął zakończyć swoje cierpienia, nie mógł tego zrobić. Zwykle jego umysł pracował na najwyższych obrotach, ale tym razem ból nie pozwalał mu skupić się na niczym innym poza dwiema kluczowymi myślami. Wcześniej widział, że Pakorus odgrywa bardzo ważną rolę, decydującą o przyszłości jego i jego przyjaciół, a dziś płomienie powiedziały mu, że życie *primus pilus* może być w niebezpieczeństwie. Zdradzenie któregoś z tych wizji Vahramowi byłoby co najmniej niemądrym posunięciem, a nie potrafił w tej chwili wymyślić rozsądnego kłamstwa. Więc będzie musiał przetrwać tortury.

Na szczęście niska temperatura szybko ochładzała sztylet.

Primus pilus jednak po chwili znów wracał do ognia.

Tarkwiniusz czuł się słaby. Nie był w stanie utrzymać wyprostowanej pozycji i opadł nisko na rękach. Liny na nadgarstkach wrzynały się okrutnie w ciało, ale teraz już nawet tego nie czuł, bo ból z ran na plecach i oparzeń był o wiele większy.

Strażnicy z zadowoleniem obserwowali, jak ich dowódca bierze sprawy w swoje ręce. Od czasu do czasu wymieniali tylko jakieś krótkie uwagi.

Haruspik nagle otworzył szeroko oczy, spoglądając niewidzącymi oczyma w przestrzeń. Czuł, jak z każdym uderzeniem serca traci siły.

Podmuch zimnego wiatru schłodził jego twarz. Uniósł wzrok.

Nocne niebo wyglądało teraz inaczej. Zniknął księżyc i nie było już widać żadnych gwiazd. Gromadziły się gęste chmury zwiastujące burzę. Z daleka widać już było buzujące w ich wnętrzach kłęby światła. Słyszał pomruki nadchodzącego żywiołu. Powietrze stało się ciężkie.

Do żył haruspika trafiła nowa dawka adrenaliny.

Obserwacja błyskawic i doświadczanie ich ogromnej energii było jedną

z najlepszych metod przewidywania przyszłości. W starożytnych etruskich księgach, które studiował kilkanaście lat temu, wiele rozdziałów poświęcono naturalnym zjawiskom atmosferycznym. Może uda mu się zobaczyć coś, co uspokoi mściwego *primus pilus*? I co ocali mu życie?

Tuż nad głową przemknęła potężna błyskawica, dzieląca niebo na pół.

Haruspik otworzył szeroko oczy ze zdumienia na widok serii obrazów, które równie szybko pojawiały się i znikwały.

Scytyjscy wojownicy unicestwiają znacznie mniejszy oddział Rzymian.

Pięciu legionistów z uniesionymi mieczami w kręgu wokół Romulusa i Brennusa.

Zwłoki na krzyżu.

Dwójka żołnierzy siłuje się i toczy po ziemi w słabym blasku ogniska. Błysnął grot strzały z zadziorem w rękę jednego z nich. Ich towarzysze śpią twardo, nieświadomi toczącej się obok walki na śmierć i życie. Jednym z walczących jest Romulus.

Vahram wynurzył się z drzwi prowadzących do sypialni Pakorusa. W prawej ręce znowu dzierżył sztylet z rozgrzanym do czerwoności ostrzem. Zbliżył się. Wiedział, że Tarkwiniusz wiele więcej już nie zniesie.

– Będiesz mówić? – zapytał cicho.

Znajdujący się w transie Tarkwiniusz nie odpowiedział.

Vahram odstąpił dziąsła, krzywiąc się z furją. Przyłożył ostrze do lewego policzka Tarkwiniusza.

Powietrze wypełnił smród palonego mięsa.

Tarkwiniusz wciągnął głęboko powietrze w płuca, a następnie zaczął głośno krzyczeć. Ostatkiem sił próbował opierać się bólowi. Wpatrywał się w niebo, obserwując kolejne błyskawice, które teraz przecinały chmury co kilka chwil. Musi wiedzieć, zanim to wszystko się skończy.

Strzała wymierzona w Romulusa była strzałą Scytów, czyli miała grot pokryty *scythicon*.

Głos Vahrama docierał do Romulusa z bardzo daleka.

– Dam ci jeszcze jedną szansę. Czy Pakorus powinien umrzeć?

Twarz Romulusa wykrzywiła się z wysiłku, ale jego przeciwnik był silniejszy. Grot przesunął się coraz niżej. Powoli, nieubłaganie zmierzał ku odstąpiętej szyi.

Tarkwiniusz opadł na ziemię, tracąc resztki świadomości.

To koniec. Wszystkie jego dotychczasowe przepowiednie były błędne. Romulus nie wróci do Rzymu.

Vahram też miał już dość. Uniósł sztylet do gardła haruspika i zbliżył się tak, że ich twarze dzieliła odległość nie większa niż szerokość palca.

Zamarł, gdy spostrzegł, że Tarkwiniusz się uśmiechnął. Olenus też był w błędzie. Jego podróż zakończy się tu i teraz. W Margianie.

Primus pilus uniósł brew. Reakcja Tarkwiniusza była jak splunięcie w twarz.

– Giń... – warknął Vahram, zamierzając się sztyletem.

Rozdział X

Unicestwienie



Margiana, zima 53/52 r. p.n.e.

Szumowina – syknął Optatus przez zaciśnięte zęby. – Jak śmiałeś zaciągnąć się do armii?

Romulus nie mógł oderwać oczu od ostrza strzały. Jeśli tylko zadrapie jego skórę, umrze w boleściach.

– Śmierć jest zbyt lekką karą – wyszeptał Optatus. – A tak przynajmniej trochę się przedtem pomęczysz.

Dobrze zbudowany weteran trzymał strzałę w prawej ręce i celował nią w szyję Romulusa, co oznaczało, że ten mógł bronić się tylko słabszą, lewą ręką. Drugą dłoń Optatus zacisnął na ustach przeciwnika. Romulus nie był w stanie oderwać jej nawet ręką, którą władał mieczem. Optatus był po prostu silniejszy i grot strzały nieuchronnie zbliżał się w kierunku szyi ofiary z powolną, straszliwą nieuchronnością. Romulus próbował za wszelką cenę opierać się przerażeniu. Jeśli spanikuje, jego życie się skończy. W obliczu pewnej śmierci pragnienie przetrwania stało się jedynym odczuciem, jakie się w tej chwili liczyło.

Jednym szarpnięciem zgiął prawą nogę i spróbował uderzyć kolanem w krocze Optatusa.

– Musisz się bardziej postarać, chłopcze – zadrwił weteran, skręcając biodra i unikając ciosu.

Romulus szaleńczo przekręcał głowę z boku na bok. Miecz był poza jego zasięgiem, podobnie jak polana w tłącym się ognisku

Optatus uśmiechnął się cierpko i włożył jeszcze więcej siły w dociskanie ręki, w której trzymał strzałę.

Desperacja wypełniła każdą cząstkę istoty Romulusa. Jeśli wyciągnie daleko

nogę, może uda mu się wykopać jakąś płonąca kłodę i narobić trochę hałasu, żeby obudzić Brennusa. Może się mocno poparzyć, ale nie potrafił wymyślić niczego innego. *Marsz z poparzoną stopą na pewno nie jest tak nieprzyjemny jak śmierć* – przez głowę Romulusa przemknęła ponura konstatacja. Zrobi wszystko, żeby pożyć chociaż do rana. Gdy zakończony zadziorem grot strzały znalazł się zaledwie w odległości kilku palców od jego szyi, Romulus wykręcił się w szaleńczej próbie osiągnięcia ogniska lewą nogą obutą w sandał. Nie udało się! Ponownie poczuł przepełniający go strach.

Wyczuwając zmianę, Optatus skrzywił się nieprzyjemnie i wzmógł wysiłki, żeby zagłębić grot strzały w ciele Romulusa. Po chwili jednak wyraz jego twarzy zmienił się. W mgnieniu oka pojawiło się na niej zaskoczenie, a potem rozluźnienie, po czym Optatus opadł bezwładnie, całym ciężarem przyciskając Romulusa. Grot strzały zarył w ziemię o szerokość ręki od lewego ucha młodego żołnierza.

Romulus wytrzeszczył oczy, wpatrując się w promień z prerażeniem. Śmierć była tak blisko!

Jakaś wielka siła uniosła Optatusa, a w polu widzenia młodego legionisty pojawiła się twarz Brennusa, który przykucnął nad nim i szczyrzył zęby.

– Wyglądało na to, że potrzebujesz pomocy – szepnął, ocierając krew z rękojeści długiego miecza.

– Tylko go ogłuszyłeś? – odezwał się równie cicho Romulus, niezbyt zadowolony z powściągliwości Brennusa. – To jest strzała Scytów! Drań próbował mnie zabić.

– Wiem... – odparł Gal i przepaszająco wrzucił ramionami. – Ale potrzebujemy każdego, żeby mieć szansę wyrwania się ze strażnicy – kopnął Optatusa. – Nawet jego.

Weterani mogą tego nie wiedzieć, ale Brennus ma rację – myślał gorzko Romulus.

Mężczyźni sprawdzili, czy Darius i jego oficerowie się nie obudzili, po czym zaciągnęli Optatusa z powrotem na miejsce, które dzielił z Nowiusem i innymi.

Gdy ciało wylądowało na ziemi, niski legionista podskoczył jak oparzony.

– Obudźcie się! – syknął na Ammiasa i Primitiwusa. Zaspani legionieści przez chwilę nie rozumieli, co się dzieje, chociaż unieśli się z posłań przy ognisku.

Romulus i Brennus z mieczami w rękach nie mieli trudności z przywozzeniem dwójki weteranów z powrotem do ziemi.

Nowius spojrział na nich nieufnie: teraz to oni mieli przewagę. Dwóch przeciwko trzem, przy czym tylko on jeden z tej trójki był gotowy do walki.

– On żyje... – powiedział Brennus chłodno.

Nowius wydał się zaskoczony, a potem wstrząśnięty. Ukląkł i położył dłoń na szyi Optatusa. Znalazł puls i skinął głową, uspokajając swoich towarzyszy. Odetchnęli z ulgą.

– A powinien nie żyć – dodał Romulus, rzucając w nich strzałę. – Taki przyniósł mi prezent.

Ammias odchylił się w energicznym uniku. Romulus zrozumiał, że wszyscy byli w to wtajemniczeni.

Nowius znów na nich spojrział. Oceniał. Kalkulował.

– Dlaczego go nie zabiliście?

Nie odpowiedzieli.

– Niezależnie od powodu, nie uratujecie skóry – Nowius zadrwił. – To, że okazaliście litość Optatusowi nie znaczy jeszcze, że my mamy być równie miłośni.

– Brudni niewolnicy... – odezwał się z pogardą Primitiwus.

Brennus warknął gardłowo. W tej chwili jednak pożałował, że powstrzymał się przed zabiciem Optatusa.

Romulus gotował się w środku, ale i on zachował milczenie. Utrzymywanie w tajemnicy prawdopodobnego ataku Scytów było jedyną kartą atutową, jaką dysponowali.

– Lepiej wykorzystajmy tyle godzin snu, ile nam zostało, żeby odpocząć – powiedział do Brennusa. Odwrócił się i odszedł w milczeniu z Galem u boku.

– Głupcy... – odezwał się niski legionista z uśmiechem zadowolenia. – Będziecie martwi, zanim wrócimy do fortu.

Gdy Dariusz kazał budzić ludzi, było jeszcze ciemno. Księżyc zniknął, ale krystalicznie czyste niebo nad ich głowami rozświetlały gwiazdy. Mroźne powietrze nie przynosiło z obozu wroga żadnego dźwięku. Dowódca wysłał wcześniej kilku ludzi, żeby pozbiali jak najwięcej nieuszkodzonych oszczepów. Chociaż rzymskie *pila* często wyginały się po uderzeniu w cel, niektóre tego celu nie znajdowały i można je było wykorzystać ponownie. Ponieważ scytyjscy wartownicy albo spali, albo nie zauważyli skradających się legionistów, misja zakończyła się sukcesem. Każdy z trzydziestu żołnierzy wkrótce dysponował parą oszczepów.

Wszyscy legionieści z dwóch centurii cieszyli się, że długa noc wreszcie dobiegła końca i niecierpliwie czekali na rozkazy Dariusza. Brennus i Romulus

wykorzystywali wolną chwilę, żeby się trochę porozciągać i dobrze rozgrzać schłodzone mięśnie. Wielu z tych, którzy ich widzieli, robiło to samo. To właśnie takie szczegóły dawały przewagę nad przeciwnikami w chwili próby.

Dariusz był tego poranka w nieco lepszym nastroju. Zwrócił się do swoich żołnierzy.

– Zostawcie jarzma. Bez nich dotarcie do fortu powinno być prostsze – wyjaśniał cichym głosem. – Ustawimy się w formacji klina i przebijemy się na zachód. Pamiętajcie o swoich towarzyszach, którzy tam zginęli – wskazał na baraki. – Zabijcie jak najwięcej Scytów, ale nie zatrzymujcie się niepotrzebnie.

W ciemnościach błysnęły zęby legionistów, którzy uśmiechali się teraz drapieżnie. Nie mogli się doczekać.

– Gdy wydostaniemy się z okrażenia, nie zatrzymujemy się tak długo, aż nie nakażę odpoczynku.

– To nie będziemy długo biec... – zażartował Gordianus, bezpiecznie ukryty w szeregach.

Inni legioniści zareagowali śmiechem. Żołnierze byli szczupli i mieli niezłą kondycję. W porównaniu z nimi Dariusz nie robił wrażenia wysportowanego. Starszy centurion pozwolił sobie jednak na lekki uśmiech.

– Umiem szybko przebierać nogami, gdy to absolutnie niezbędne – odpowiedział żartem.

Romulus uśmiechnął się zadowolony. Taki lider bardziej odpowiadał jego wyobrażeniom i przyzwyczajeniom.

– Nie będziemy na nikogo czekać – powiedział Dariusz stanowczo. – Każdy, kto zostanie w tyle, będzie musiał radzić sobie sam. Żadnych wyjątków. Nawet dla mnie. Czy to jasne?

Ludzie pokiwali głowami.

– Dobrze – Dariusz prężnym krokiem pomaszerował wzdłuż szeregów i zajął miejsce w samym środku formacji, ze swoim człowiekiem przy boku. – Ustawić się w szyk na zewnątrz przed bramą.

Dbając o to, żeby zrobić jak najmniej hałasu, legioniści wydostali się poza palisadę fortalicji. Bez zbędnego zamieszania uformowali się w szyk przypominający wielką literę „V”, z Romulusem i Brennusem na szpicy. Nawet Nowius nie protestował, gdy przyjaciele zażądali tego zaszczytu. Nie zdawał sobie sprawy, że chodziło im o to, aby pokazać, że nie są tchórzami. Formacja klina sprawdzała się w ataku i z bitnymi wojownikami, takimi jak oni, na czele centurie

miały większe szanse odniesienia sukcesu. Impet uderzenia sprawiał, że atakujących żołnierzy było bardzo trudno powstrzymać. Jednocześnie jednak wierzchołek formacji klina był najniebezpieczniejszym miejscem. Bardzo łatwo było tam zginąć.

Ich oczy już zdążyły przyzwyczać się do półmroku. Przenosząc wzrok ponad pozostawionymi na mrozie ciałami, dostrzegli ludzi śpiących wokół małych ognisk, a za nimi kilka spętanych koni, przestępujących z nogi na nogę, przesłoniętych delikatną parą, unoszącą się spod grubych koców, które miały zabezpieczyć zwierzęta przed zimnem. Żaden ze Scytów ich nie zauważył. Nikt nie podniósł alarmu.

Romulus uśmiechnął się od ucha do ucha. Tak jak Darius nie wierzył w to, że zostaną zaatakowani, tak ci wojownicy nie sądzili, że ktoś może uderzyć na nich pod osłoną ciemności. I dlatego zginą.

– Gotuj *pila* – szepnął starszy centurion.

Wykonywali rozkazy w milczeniu.

– Naprzód marsz.

Caligae wgrzyły się w zmrożoną ziemię. Najpierw powoli, a potem coraz szybciej rzymscy legioniści zbliżali się do pierwszych ognisk. Żołnierze biegli truchtem przez kilkanaście uderzeń serca. Ich twarze owiewało mroźne powietrze, schładzając nozdrza i gardła z każdym wdechem. Nikt nie odezwał się ani słowem. Każdy znał swoje miejsce i zadanie. Ćwiczyli to setki razy na poligonie. Tarcze uniesione wysoko, aby chronić ciało, oszczepy luźno w prawych dłoniach, gotowe do rażenia leżących przeciwników. Właściwe tempo i zaskoczenie miały znaczenie kluczowe. Jeśli się przebiją, będą wolni. Niepowodzenie oznacza śmierć.

Chwilowo zapominając o zagrożeniu ze strony Nowiusa i jego towarzyszy, Romulus wyszczerzył zęby, rozciągając usta w lekkim uśmiechu zadowolenia.

Nocny atak był ekscytujący.

Przerażający.

Po pięćdziesięciu krokach znaleźli się w samym środku wrogiego obozu.

Romulus był gotowy. Pochylił się nisko z *pilum* w rękę i po chwili wbił żeleźce głęboko w bok śpiącego. Przeskoczył nad nim bez sprawdzania, czy żyje. W tych okolicznościach wystarczyło ciężkie zranienie przeciwnika. Obok niego Brennus robił to samo, przesywając pierś jakiegoś Scyta leżącego obok. Dwóch kolejnych wojowników zginęło w podobny sposób, a potem wydostali się z blasku pierwszego ogniska, żeby uderzyć na trzech przerażonych strażników. Ich oczy otworzyły się szeroko ze zdumienia. Trójka rozmawiających ze sobą półgłosem mężczyzn stała na

drodze sunącego niepowstrzymanie klina osłoniętych zbrojami, śmiertelnie niebezpiecznych i szybko poruszających się legionistów, z zakrwawionymi oszczepami w rękach.

Powietrze wypełniły okrzyki pełne przerażenia. Szybko jednak cichły, zdławione ostrzami rzymskich mieczów, zmieniając się w charczący bełkot, wychodzący z zalanych krwią gardeł. To wystarczyło jednak, żeby obudzić innych Scytów. Większość z nich spała beztrzesko, owinięta grubymi płaszczami i derkami. Zaskoczeni wojownicy, obudzeni dźwiękami wydawanymi przez umierających, zrywali się na równe nogi i w pierwszym odruchu chwyтали za broń. Panowało niesamowite zamieszanie.

Nie było już powodu, żeby dłużej zachowywać ciszę. Brennus odrzucił głowę do tyłu i wydał mrozący krew w żyłach okrzyk wojenny. W odpowiedzi legioniści zaryczeli ogłuszająco.

Szybkość działania i element zaskoczenia były niezwykle istotne – pomyślał Romulus, gdy przebili się na drugą stronę obozu. Scytowie ruszali się ospale, w półśnie, niezdolni do jakiegokolwiek składowej reakcji. Musiało im się wydawać, że jakieś demony pustoszą ich obozowisko. Po prostu nie mieli szans. Podkute *caligae* tratowały twarze. Rozgniatały usta i łamały nosy leżących. *Pila* wbijały się w nieosłonięte ciała, po czym unosiły się znów, gotowe do odebrania kolejnego życia. Legioniści używali też zakończonych metalową krawędzią tarcz *scuta* do rozbijania głów wrogów. Wreszcie nadarzyła się okazja zemścić się za śmierć tych nieszczęślików w fortalicji. Parli niepowstrzymanie przez obóz wroga.

Romulus zauważył, że konie Scytów niespokojnie reagują na wrzaski i krzyki odgłosy walki dochodzące z obozu. Nagle doznał olśnienia.

– Użyjcie oszczepów – zawołał, wskazując w lewo. – Przegonimy je!

Ludzie po lewej stronie nie potrzebowali ponagleń. Zwolnili trochę, po czym odprowadzili do tyłu ręce z *pila*, żeby po chwili wypuścić pociski w stronę wierzchowców. Romulus zrobił to samo. Trudno było nie trafić. Wszystkie oszczepy znalazły swoje cele. Ranne konie z metalowymi grotami głęboko w ciałach, kwicząc z bólu, rozdawały ciosy na prawo i lewo, stojąc na tylnych kopytach, lub skakały na swoich towarzyszy. To wystarczyło. Konie wyrwały kołki, do których uwiązane były powrozami. Przerażone zwierzęta rzuciły się do ucieczki, znikając w ciemnościach.

Romulus zahukał z radości. Teraz Scytowie nie mogli już ich ściagać.

– Dobry pomysł... – pochwalił Brennus.

Zadowolony Romulus nie pozwolił sobie na napawanie się sukcesem. Wiedział, że mają przed sobą jeszcze wiele przeszkód. To był dopiero początek. Ale dobry początek.

Wkrótce cały klin znalazł się po drugiej stronie obozu. Legioniści zostawili za sobą obozowisko pogrążone w kompletnym chaosie. Dziesiątki wojowników leżały w przesiąkniętych krwią kocach. Zginęli we śnie. Niektórzy mieli rany brzucha, które powodują śmierć w ciągu kilku dni, inni rany kończyn, całkowicie wyłączające ich z pościgu. Jeszcze inni zginęli pod kopytami własnych wierzchowców. Ci, którzy nie odnieśli żadnych obrażeń, stali teraz oszołomieni wśród tego zamętu, oglądając się za Rzymianami, niezdolni do jakiegokolwiek reakcji.

Żaden legionista nie zginął ani nie został ranny.

Romulus nie mógł nic poradzić na to, że czuł dumę. Jakiej armii żołnierze potrafiliby przeprowadzić taki manewr w pełnej szybkości i w kompletnej ciemności? Nie był to jednak właściwy czas, żeby klepać się z zadowoleniem po plecach. Musieli pokonać jak największą odległość. Najlepiej zanim wszędzie słońce. Stanąć oko w oko z przeznaczeniem.

Darius również czuł, że nie mogą sobie pozwolić na dłuższy odpoczynek. Żołnierze mieli tylko czas na to, aby wytrzeć okrwawione *pila* i łyknąć trochę wody, a już Darius ryknął:

– Biegiem marsz!

Romulus i Brennus ruszyli natychmiast. Za nimi truchtali ich towarzysze. Na wypadek pościgu nie zmienili formacji klina. Dzięki światłu gwiazd trzymanie się szlaku prowadzącego na zachód nie przysparzało większych trudności. Kamienny trakt był znany legionistom, gdyż często go przemierzali. W świetle gwiazd widzieli szeroki, lśniący pas, ciągnący się aż po horyzont.

Biegli długo. Tak długo, aż poczuli, że ich płuca pękają, jeśli nie odpoczną.

Niebo za nimi zaczynało się rozjaśniać. Gdy wstało słońce, w końcu mogli dostrzec szczegóły otoczenia. Ujrzeni charakterystyczny kamienny słupek.

Znajdowali się dwie mile od fortalicji.

Scytowie bez koni nie mieli już szans, żeby ich dogonić. Rzymscy legioniści pokonywali dwadzieścia cztery mile w czasie pięciu godzin, niosąc pełne wyposażenie. Bez obciążenia ciężkimi jarami prawdopodobnie dotrą do bezpiecznego fortu w czasie krótszym niż cztery godziny.

– Stać! – zawołał Darius, ocierając spoconą, purpurową z wysiłku twarz. Trzeba mu było oddać, że wytrzymał trudny bieg równie dobrze, jak jego ludzie. – Odłożyć

tarcze. Chwila odpoczynku.

Zadowoleni legioniści wreszcie mogli się trochę rozluźnić. Każdy z nich widział kamień milowy i umiał liczyć. Zasłużyli na krótki odpoczynek. Zgodnie z rozkazami pozwolili, aby ich tarcze opadły na ziemię z łoskotem. Ciągłe utrzymując formację, opadli na jedno kolano, ciężko dysząc. Większość z nich natychmiast sięgnęła do bukłaków z wodą. Zdejmowali hełmy i wkładki, żeby trochę wysuszyć spoczone włosy i głowy. Teraz nikt nie narzekał na niską temperaturę.

Romulus powiódł wzrokiem po lekko nachylonych stokach, ciągnących się wzdłuż szlaku. Skrzywił się niepewnie.

– Niezadowolony? – zapytał Brennus, ciężko łapiąc oddech.

– Nie. – Otaczające ich niewysokie pagórki po obu stronach przełęczą ograniczały widok, a za nimi ciągnęła się długa, szeroka wysoczyzna. – Tam może się skryć cała cholerna armia.

Gal przyjrzał się otoczeniu. Uczestniczył w wielu patrolach i znał tu każdą fałdę terenu.

– Wkrótce znajdziemy się na otwartej przestrzeni – powiedział uspokajająco. – Tam każdego przeciwnika będzie widać z daleka.

– Ale to jeszcze dobra mila... – Romulus mruknął. Odwrócił się, żeby spojrzeć na Dariusza. Nie zdziwił się, że Part spaceruje pomiędzy żołnierzami, rzucając im słowa zachęty. Dobry oficer potrafi pochwalić podkomendnych, gdy naprawdę świetnie poradzą sobie z wykonaniem rozkazów. Gdy poziom adrenaliny po starciu powoli opadał, Dariusz wydawał się rozluźniony. Wizja, o której powiedział mu Romulus dzień wcześniej, przestała go niepokoić. Sądził, że mają czas na odpoczynek przed rozpoczęciem długiego marszu.

Romulus modlił się, żeby jego wizja nie okazała się prawdą. Jednak podświadomie czuł, że coś jest nie w porządku.

Czas ruszać! Tym razem legioniści uformowali standardową kolumnę marszową. Każda centuria ustawiła się w prostokąt, szeroki na sześć i długi na piętnastu żołnierzy. Dariusz zajął pozycję na czele. Jak zawsze towarzyszył mu wierny członek straży przybocznej.

Gdy kolumna zaczęła nabierać szybkości, Romulus czuł, że serce wali mu w piersiach. Nie mógł się powstrzymać przed zerkaniem to w prawo, to w lewo. Brennus też zachowywał zdwojoną czujność, ale żaden z nich nie powiedział nikomu ani słowa o mogącym grozić im niebezpieczeństwie.

Morale oddziały było wysokie. Ucieczka ze strażnicy powiodła się. Nie trzeba

było długo czekać, żeby Gordianus zaintonował ulubioną, dobrze znaną już wszystkim pieśń o legioniście w burdelu.

To było za wiele dla Romulusa, który miał nerwy napięte jak postronki. Nie powinni informować wrogów o swojej obecności.

– Dajcie spokój. Słyszeliśmy to już setki razy.

– Zamknij się, ty brudasie – odezwał się Nowius. – Chcemy posłuchać o twojej matce.

– I twoich siostrach – Brennus szybko znalazł ripostę.

Żołnierze skwitowali te żarty śmiechem. Nowius zrobił się czerwony ze złości, ale jego odpowiedzi nie było już słyhać, gdyż cała formacja podłapała refren Gordianusa.

Romulus zacisnął zęby, rozpamiętując zniewagę. Mimo że jego rodzina pracowała w domu, Welwinna starała się, jak mogła, aby zapewnić bezpieczeństwo jemu i Fabioli. To oznaczało, że przez długie lata musiała znosić brutalne umizgi Gemellusa. Jednak nigdy się nie skarżyła. Niestety, okazało się, że jej wysiłki na niewiele się zdały, gdy długi kupca stały się ogromne. Bliźniaki musiały zostać sprzedane, bo Gemellus potrzebował pieniędzy. Romulus nie miał żadnych wieści o matce, co bardzo mu ciążyło.

Brennus pochylił się i powiedział mu do ucha.

– Nie słuchaj ich. Te łapserdaki śmiałyby się w tej chwili z każdego głupstwa. Cisza w żaden sposób nie zapobiegnie zasadzce. A wspólny śpiew podnosi morale.

Romulus powoli się uspokajał. Jego galijski przyjaciel miał rację. Żołnierze o wyższym morale są sprawniejsi niż niezadowoleni. Lepiej, że myślą o miłym spędzeniu czasu w jakimś domu uciech niż o tym, że są masakrowani przez Scytów. Po chwili sam dołączył do chóru.

Po kilkunastu wersach Romulus poczuł się już o wiele lepiej.

I wtedy niebo zmieniło kolor z niebieskiego na czarny.

Tak się złożyło, że akurat w tej chwili spoglądał na chmury. Ponieważ jego czujność została uspijona przez sprośne zwrotki Gordianusa, nie od razu zrozumiał, na co właściwie patrzy. Jednak gdy zdał sobie sprawę, że w ich kierunku nadlatuje fala strzał, było już za późno. Żadne ostrzeżenie nie uratowałyby Rzymian.

Przeciwnik chciał jak najdłużej pozostać niezauważony, dlatego salwa została oddana po dużym łuku zza zasłony wzgórz, tak żeby strzały opadały stromo w dół. Metalowe groty już zmierzały w kierunku ziemi. Po trzech, czterech uderzeniach

serca wwiercąc się w ciała niczego nie podejrzewających legionistów.

– Ostrzał z łuków! – Romulus ryknął.

Jedno uderzenie serca.

Usłyszawszy ostrzeżenie, Dariusz spojrział w niebo. Na jego twarzy pojawiło się ogromne zaskoczenie. Maszerujący za nim żołnierze również wpatrywali się w ciemną chmurę z mieszaniną fascynacji i strachu.

Dwa uderzenia serca.

Starszy centurion ciągle się nie odzywał. Śmierć zaglądała mu w oczy, a mimo to Dariusz zachowywał milczenie.

Trzy uderzenia serca.

Ktoś musi coś zrobić albo większa część patrolu zginie lub odniesie rany – myślał Romulus.

– Formować testudo! – ryknął na cały głos, łamiąc wszystkie zasady hierarchii rozkazów.

Wielomiesięczne szkolenie nie poszło na marne. Legioniści instynktownie oddali się we władanie pamięci mięśniowej. Ludzie w środku formacji unieśli swoje ciężkie *scuta* nad głowami, a znajdujący się na zewnątrz tworzyli pionowe ściany tarcz.

Szum w powietrzu narastał i już po chwili setki drewnianych promieni spłynęły na ziemię pięknym, miękkim i zabójczym deszczem. Chociaż część z nich nie uczyniła zbyt dużej szkody, wbijając się w pokryte jedwabiem tarcze lub opadając na ziemię wokół żołnierzy, wiele innych znalazło luki między tarczami, gdyż legioniści nie zdążyli stworzyć szczelnej osłony. Po krótkiej chwili uszy Romulusa wypełniły się krzykami rannych. Przez jakiś czas nie słyszał niczego innego. Legioniści klęli i krzyczeli, szarpiąc szaleńczo groty z zadziornymi, które zagłębiły się w ich ciała. Martwi żołnierze padali na żywych towarzyszy. Tarcze wypadały z ich sztywnych palców. Chociaż wielu żołnierzy sprawnie wykonało rozkaz, testudo właściwie przestało istnieć.

Powstrzymując ciszące się na usta przekleństwo, Romulus spojrział w stronę Dariusza.

Jowialny Part już nigdy nie wykrzyczy żadnego rozkazu. Przebity kilkoma strzałami, leżał bez ruchu dziesięć kroków dalej. Cienka strużka krwi wypływała z kącika jego ust. Prawa ręka dowódcy była wyciągnięta w ich stronę w daremnym, błagalnym geście. Członek straży przybocznej Dariusza leżał obok niego z rozrzuconymi kończynami. Ich twarze zastygły w grymasie szoku.

Jednak atak się dopiero rozpoczął. Z obu stron kolumny w niebo pofrunęły kolejne strzały.

Tym razem reakcja była szybsza.

– Formować testudo! – głos należał do jednego z *optiones*.

Żołnierze uformowali kwadrat po raz drugi. Tym razem był on już znacznie mniejszy. Na szczęście obaj młodszy oficerowie byli doświadczeni. Rozdając razy na prawo i lewo, zmusili mężczyzn do przesunięcia się z dala od nierównej przestrzeni, gdzie leżeli ranni i zabici. Lepiej nie tracić życia, potykając się o towarzysza. Romulus nie mógł patrzeć na smutek w oczach tych, których zostawiali na łaskę strzał. Jednak *optiones* dobrze wiedzieli, co robią. Pełne żalości wołania o pomoc oślepionych i okaleczonych musiały być ignorowane. W ogniu walki jedynym rozsądnym zachowaniem jest dążenie do ratowania tych, którzy jeszcze żyją.

Niektórzy ranni wiedzieli, co się za chwilę wydarzy, chwytali tarcze, próbując osłonić jak największą część ciała. To nie wystarczyło: zginęli, gdy na ziemię opadła druga chmura strzał. Po drugiej salwie za testudo legionistów znajdował się już tylko krwawy stos pokrytych pierzastymi lotkami ciał.

Brennus policzył szybko umarłych.

– Nie jest dobrze – podsumował, marszcząc brwi. – Straciliśmy prawie pięćdziesięciu ludzi.

Romulus skinął głową, obserwując uważnie zbocza po obu stronach wąwozu. W *każdej chwili...*

Jakby w odpowiedzi na jego wezwanie w polu widzenia pojawiły się setki przeciwników. Mężczyźni ubrani byli tak samo jak jeźdźcy, których Rzymianie zmasakrowali rano. Scytowie. W skład oddziału wchodziła piechota oraz łucznicy – piesi i na koniach.

Moja wizja okazała się prawdziwa – myślał gorzko Romulus. Atakujący mieli wystarczającą przewagę, aby rozbić oddział, który składał się z zaledwie części dwóch centurii. Teraz już nie miał żadnych wątpliwości, że obrazy podsuwane mu przez Mitrę były prawdziwe.

– Mamy przesrane – zawołał Nowius, który jakimś sposobem ciągle nie był nawet drażniony.

Z gardeł mężczyzn wyrwał się niewyraźny jęk przerażenia.

Trudno było się spierać z Brennusem. Jednak Romulus stwierdził, że będzie godzien potępienia, jeśli tak po prostu da się zabić.

– Co teraz? – zwrócił się do starszego z dwóch *options*. Ponieważ spędził najwięcej lat w armii, teraz jemu przypadało w udziale dowodzenie patroliem.

Młodszy oficerowie patrzyli niepewnie jeden na drugiego.

Legioniści czekali na decyzje dowódcy.

Uśmiech zniknął z ust Brennusa. Gal wpatrywał się w przestrzeń. *Czy to mój czas? Jeśli tak, Belenusie, chroń Romulusa. I pozwól mi umrzeć dobrze.*

Romulus znał to spojrzenie Brennusa. Oznaczało, że Scytowie umrą. Wielu z nich. Jednak nawet potężny Gal nie będzie w stanie poradzić sobie z taką liczbą przeciwników, jaka zaroїła się wokół testudo, blokując oddziałowi drogę ucieczki.

– Formować klin! – zawołał w końcu starszy *optio*. To, co sprawdziło się wcześniej, może udać się ponownie. – Jeśli się przez nich przebijemy, może będziemy mieli jakąś szansę.

Ludzie nie potrzebowali więcej zachęty. Jeżeli nie będą działać szybko, zostaną całkowicie otoczeni.

– Szereg środkowy trzyma tarcze wysoko. Naprzód!

Zdesperowani żołnierze posłusznie wykonali rozkazy, instynktownie przechodząc do szybkiego biegu.

Sto kroków przed nimi Scytowie formowali szyk składający się z kilku linii. Romulus przyglądał się ciemnoskórym wrogom, którzy w porównaniu z legionistami byli stosunkowo lekko uzbrojeni. Większość z nich miała na głowie tylko filcowe czapki, niewielu dysponowało kolczugami lub metalowymi hełmami. Oślaniali się małymi, okrągłymi lub mającymi kształt półksiężyca tarczami. Uzbrojeni w miecze, włócznie i topory nie będą stanowić poważniejszej przeszkody dla szybko poruszających się w formacji klina legionistów.

– Nie powstrzymają nas – sapał Brennus. – To tylko lekka piechota.

Jego przyjaciel miał rację. Romulus poczuł się lekko dezorientowany. Być może jego wizja nie zapowiadała unicestwienia patrolu? Jeśli się przedrą, nic nie przeszkodzi im w dotarciu do fortu. Jakie sztuczki ma jeszcze Mitra?

Ruszyli prosto na Scytów, którzy natychmiast zaczęli rzucać w nich włóczniami. Człowiek biegnący po prawej Romulusa zbyt wolno uniósł *scutum* i w następnej chwili szeroki grot rozorał mu szyję. Upadł, nie wydając żadnego dźwięku. Mężczyźni biegnący za nim zmuszeni zostali do przeskakiwania ciała. Nikt nie próbował mu pomóc. Jego rana była śmiertelna. Nie zwracano też uwagi na inne ofiary. Teraz, jak nigdy dotąd, impet uderzenia miał kluczowe znaczenie. Legioniści używali swoich *pila* z odległości dwudziestu kroków, neutralizując kilkudziesięciu

wrogów. Ruszyli prosto w wąską wyrwę w szeregach przeciwników.

Romulus skoncentrował wzrok na brodatym, wytatuowanym Scycie w kopulastym żelaznym hełmie.

Dzieliło ich dwadzieścia kroków. Dziesięć...

– Za Zapomniany Legion! – ryknął Brennus. – ZA-PO-MNIA-NY LE-GION!

Ludzie podchwycili zawołanie i wyli najgłośniej, jak tylko potrafili.

Ten okrzyk bojowy jest czymś, co nas jednoczy – przemknęło przez myśl Romulusowi. Naprawdę byli żołnierzami straconymi dla Rzymu, walczącymi o przetrwanie gdzieś na peryferiach cywilizowanego świata. Czy ktoś w jakimś domu martwił się teraz ich losem? Prawdopodobnie nie. Mieli tylko siebie. A to nie wystarczało. Zaciskając zęby, Romulus poprawił uchwyt *scutum*. Dzięki grubemu żelaznemu guzowi rzymska tarcza świetnie służyła jako taran, pozwalający wytrącić przeciwnika z równowagi.

Jego cel przesunął się niespokojnie o krok, nagle uświadomiwszy sobie, że ostrze klina formacji zmierza prosto w jego stronę.

Było już jednak za późno na unik.

Romulus przekręcił lekko tarczę ku górze, rozbijając Scytowi nos. Gdy ten zatoczył się do tyłu, wyjąc z bólu, Romulus błyskawicznie wyprowadził cios w klatkę piersiową wroga. Wojownik zwałił się na ziemię i zniknął z pola widzenia. Jednak ci ze Scytów, którzy zajmowali pozycje w kolejnym szeregu, byli gotowi do walki. Romulus musiał natychmiast skupić się na kolejnych brodatych wojownikach. Opuszczając tarczę do pierwotnej pozycji, wykorzystał impet klina. Chociaż widział kątem oka tylko Brennusa i jeszcze jednego legionistę, za nim pędziło przecież ponad stu ludzi.

Jeden ze Scytów zaatakował, dziko wymachując mieczem. Romulus przyjął cios na metalową obręcz *scutum*. Gdy jego wróg podnosił rękę, aby powtórzyć cios, młody legionista pochylił się i zanurzył ostrze gladiusa głęboko pod pachą mężczyzny. Wiedział dobrze, jakie będą konsekwencje. Ostrze przesunie się między żebrami i dotrze do płuc, niszcząc duże naczynia krwionośne, a może nawet samo serce. Scyt otworzył bezgłośnie usta niczym ryba wyrzucona na brzeg. Po chwili z otwartej rany wystrzeliła struga krwi tętniczej. Romulus skrzywił się z satysfakcją, gdy trup zarył w ziemię. *Dwóch mniej...* – pomyślał dziwnie znużony. – *Zostało kilkuset.* Sądząc po dźwiękach dochodzących z obu stron, klin legionistów wciąż posuwał się naprzód.

Znów rzucił się do przodu.

Drogę zastąpiło mu teraz dwóch podobnie wyglądających, dobrze zbudowanych mężczyzn. Musieli być braćmi. Jeden z nich złapał za krawędź tarczy gołymi rękami

i pociągnął ją w dół, podczas gdy drugi wyrzucił do przodu rękę uzbrojoną w długi sztylet. Romulus przekreślił ciało, ledwo uchylając się przed ostrzem. Po nim nastąpił potężny cios ukośny, który jednak ześlizgnął się po napoliczku hełmu i na szczęście tylko drasnął go pod prawym okiem. Pierwszy Scyt ciągle próbował wyrwać mu *scutum*, więc Romulus po prostu odpuścił. Nie mógł walczyć z dwoma Scytami naraz. Mężczyzna zatoczył się z ciężką tarczą w rękach, nie spodziewając się, że przeciwnik tak łatwo mu ją odda. Potknął się i runął na plecy.

Jego towarzysz, z długim sztyletem w ręku, był zadowolony, że Romulus pozostał bez osłony *scutum*. Ruszył do przodu, celując ostrzem w niechronione niczym nogi młodego żołnierza. Romulus musiał działać szybko. Scyt był za blisko, żeby chłopak mógł użyć gladiusa, więc wykorzystał wolną lewą rękę, żeby dzielić przeciwnika pięścią w bok głowy. Gdy Scyt upadł na w pół ogłuszony, Romulus odwrócił uchwyt na gladiusie. Splótł obie dłonie na kościanej rękojeści, po czym opuścił miecz z impetem, zagłębiając ostrze w plecach wroga. Żelazo przesunęło się po żebrach i przebiło nerkę.

Scyt wydał zwierzęcy okrzyk pełen bólu. Romulus pochylił się i lekko przekreślił miecz, żeby mieć pewność, iż cios będzie śmiertelny.

Tymczasem drugi z przeciwników podniósł się do pionu. Widział, jak jego brat wije się na ziemi. Z twarzą wykrzywioną z wściekłości rzucił się prosto na Romulusa w szaleńczej szarży. To był fatalny błąd. Kopiując teraz jedną ze sztuczek pokazanych mu kiedyś przez Brennusa, Romulus podbił miecz przeciwnika lewą ręką, po czym wykorzystał jego impet, żeby wymierzyć mu potężny cios w twarz usztywnionym przedramieniem. Dzięki temu zyskał dość czasu, żeby pewnie uchwycić gladius i zrobić krok do przodu, uśmiercając wroga prostym dźgnięciem.

Romulus spojrzał w lewo i w prawo, oceniając sytuację. Po jego prawej stronie Brennus kładł Scytów jednego po drugim jakby opętany przez demona śmierci. Zanim jeszcze wymierzył pierwszy cios, już jego postura działała na wroga onieśmielająco. A Gal radził sobie w walce jak mało kto. Romulus patrzył z podziwem, jak Brennus staranował jednego z wyższych Scytów, odrzucając go na kilka kroków, co spowodowało, że pociągnął za sobą dwóch mężczyzn z kolejnych szeregów. Mimo że wojownik próbował się osłonić, Brennus zagłębił ostrze miecza w jego brzuchu z nieprawdopodobną łatwością. Przeciwnik upadł na ziemię, a Gal przeskoczył go zręcznie, w tym samym czasie opuszczając tarczę na głowę innego wroga. Wojownik leżał nieprzytomny, a Romulus zobaczył, że krawędź tarczy zostawiła głęboką ranę na jego głowie. Romulus wiedział dlaczego. Brennus wciąż

skutecznie stosował swoją sztuczkę z *ludus*: brzeg jego *scutum* został wcześniej odpowiednio zaostrzony.

– Jeszcze trochę. Prawie udało nam się przedrzeć! – wrzasnął Gordianus, znajdujący się po lewej stronie. Uniósł przy tym zakrwawiony gladius w triumfalnym geście.

Romulus uśmiechnął się. Od ścieżki prowadzącej na zachód, czyli od wolności, dzieliły ich zaledwie trzy szeregi.

Zdwoili wysiłki. Po kilku chwilach, paru cięciach i pchnięciach ostatni Scytowie stojący im na drodze leżeli w piachu obficie zbryzganym krwią. Rzymscy żołnierze zajmujący pozycje na bokach klina wciąż jeszcze walczyli, ale ich morale wyraźnie wzrosło. Lekko uzbrojeni przeciwnicy rozpierzchli się pokonani. Gdy nie było już z kim walczyć, legioniści mogli pozwolić sobie na chwilę odpoczynku. Siedmiu legionistów zginęło, dwa razy tyle odniosło drobne rany, ale poradzą sobie z dotarciem do fortu. Ich klatki piersiowe unosiły się i opadały. Z czerwonych z wysiłku twarzy kapał pot. Ale mogli cieszyć się widokiem pustego szlaku.

– Jeszcze nigdy zwykła ścieżka nie wydawała mi się tak piękna – powiedział Gordianus, ocierając czoło i spoglądając na Romulusa. – Dobrze się spisałeś.

Wdzięczny za te dwa słowa pochwały Romulus nie odpowiedział. Gordianus dostrzegł zaniepokojone spojrzenie Brennusa.

– O co chodzi?

Z krzyków rannych i okrzyków bojowych scytyjskiej piechoty na ich tyłach Romulus wyłowił odgłos końskich kopyt. Na wspomnienie Carrhae ścierpła mu skóra.

– Konnica – powiedział głucho.

Zaniepokojony Gordianus spojrział na drogę przed nimi, która wciąż jeszcze wyglądała na pustą.

Inni legioniści też zaczęli się niepokoić i zadawać pytania, ale Romulus je zignorował, nakazując, żeby się ucisz yli.

Teraz wszyscy mogli już usłyszeć.

Myśli Brennusa znów pobiegły do żony i syna, którzy zginęli, bo on nie mógł ich obronić. Do wuja, który poległ, ratując mu życie. Do kuzyna, którego Brennus nie potrafił ocalić. Tylko śmierć może złagodzić poczucie winy. A jeśli przy okazji uratuje chociaż życie Romulusa, nie umrze na próżno.

Gdy pierwsi jeźdźcy pojawili się w polu widzenia, Brennus nawet się uśmiechnął.

W ich stronę zmierzało co najmniej dwustu Scytów. Osłonięci odbijającymi promienie słoneczne metalowymi elementami zbroi, która ochraniała ich ciała aż po uda, uzbrojeni byli w lance, krótkie topory, miecze i charakterystycznie wykrzywione łuki kompozytowe. Licząc na przerażenie swoich przeciwników, Scytowie zatrzymali się nagle, osadzając kasztanowe konie w miejscu. Od zmęczonych rzymskich żołnierzy dzieliło ich jakieś dwieście pięćdziesiąt kroków pokrytej śniegiem ziemi. Taka odległość wystarczała, żeby rozpedzić konie do cwału.

A więc jednak dobrze przewidziałem przyszłość – pomyślał gorzko Romulus. – Ale tego nie widziałem w mojej wizji.

Stojący niedaleko Nowius zbladł. Jakie mieli szanse?

Nie był osamotniony w tej reakcji. Romulus zdał sobie sprawę, co ich czeka. Ogarnęło go przygnębienie. *A jednak się nie myliłem. Wizja była naprawdę wyraźna. I ostatnia. Teraz czeka nas tylko śmierć.* Kolejne oddziały piechoty i wojownicy uzbrojeni w łuki za chwilę uderzą na nich od tyłu, podczas gdy drogę na wprost blokuje im szwadron jazdy. Nie mieli wyboru. Jedyne drogi prowadziły do Elizjum. Romulus nieświadomie wyrecytował wezwanie z modlitwy adresowane do boga wojowników. *Mitro! Nie opuszczaj nas! Jesteśmy godni twojej łaski.*

– Jak te skurwysyny się tu w ogóle dostały? – wykrzyknął starszy *optio*. Scytia leżała na południowym wschodzie, oddzielona od Margiany szerokim pasmem wysokich gór. Przełęcz musi być zasypana śniegiem od kilku miesięcy.

Odpowiedź mogła być tylko jedna.

– Obeszli góry, dowódco – odpowiedział Romulus. Tylko w taki sposób można było wytłumaczyć obecność Scytów w Margianie o tej porze roku, w środku zimy.

– Ale dlaczego teraz?

– Żeby nas zaskoczyć – odpowiedział Brennus. – Kto spodziewał się tak licznej armii o tej porze roku?

– Bogowie muszą być na nas źli – Gordianus splunął, składając dłoń w znak mający chronić przed złem. Bez gniewu w oczach spojrzął na Romulusa. Znów byli towarzyszami broni.

– Czy mamy jakieś szanse?

– Nikłe.

W szeregach rozległy się pełne strachu pomruki.

– Miejmy zatem nadzieję, że posłańcom Dariusa udało się dotrzeć do fortu –

powiedział Gordianus. – Bo cały legion może znaleźć się w niebezpieczeństwie.

Za klinem jazdy formowały się szeregi pieszych Scytów. W końcu dowódca konnicy ściągnął wodze i zmusił konia do ruchu. Po chwili jeźdźcy przejdą w kłus, żeby uderzyć na nich w pełnym galopie.

Właśnie ważyły się losy Rzymian.

– Jakie rozkazy, dowódco? – zapytał Romulus.

Optio nie wiedział, co odpowiedzieć. Nie było centuriona, który zwykle wydawał rozkazy.

– Jeśli nabiorą rozpędu, rozbiją nas w pył – zauważył Romulus.

Optio zerkał w lewo i w prawo. Na górujących nad wąwozem wzgórzach zbierało się coraz więcej wojowników z łukami. Ucieczka w tamtą stronę oznaczałaby konieczność atakowania wroga dysponującego przewagą wysokości, a ponadto pod deszczem strzał.

– Uderzmy na nich. Najszybciej, jak się da – powiedział Romulus. – Tylko tak możemy się przebić.

– Zaatakować jazdę? – zapytał *optio* z niedowierzaniem w głosie.

– Tak, dowódco. Romulus spojrział na towarzyszy, którzy wydawali się przerażeni. Jeśli jeźdźcy uderzą na nich w pełnym galopie, szyk niewątpliwie zostanie złamany. A wtedy scytyjska piechota łatwo poradzi sobie z niedobitkami.

– Teraz! – upierał się przy swoim.

Nienawykły do takiej presji *optio* się wahał.

Brennus zacisnął palce na rękojeści miecza. Pomysł Romulusa był najlepszym z możliwych, a właściwie jedynym rozsądnym rozwiązaniem. Jeśli ich dowódca nie zdecyduje się na działanie, będzie musiał interweniować. I to zdecydowanie. A to oznacza śmierć *optio*.

Ignorując młodszego oficera, Gordianus zwrócił się do swoich towarzyszy. On też wiedział, że Romulus ma rację.

– Mamy tylko jedną szansę! – wykrzyknął. – Nie możemy się wycofać ani atakować pod górę.

– Co robić? – usłyszeli głos z tyłu formacji.

– Uderzyć na jazdę – zawałał Gordianus. – Zanim nabiorą prędkości.

Legioniści wyglądali na przestraszonych, ale żaden z nich nie zaprotestował.

Gordianus musiał to wykorzystać.

– Do boju! – wyzywający ryk wzbił się w powietrze. Chyba tylko Nowius i jego

kumple wyglądali na niezbyt szczęśliwych.

Romulus nie zwlekał ani chwili dłużej.

– Formacja klina! – wrzasnął. – Do ataku!

Otępiały *optio* nie miał czasu na odpowiedź. Wszyscy chcieli żyć. Po chwili ruszyli naprzód, zabierając go ze sobą.

Romulus utrzymywał pozycję w czubie klina, z Brennusem po prawej i Gordianusem po lewej stronie. Wkrótce pędzili już z wysoko uniesionymi tarczami, żeby osłaniać się w miarę możliwości przed scytyjskimi strzałami. Ci znajdujący się za nimi nie mogli trzymać *scuta* nad głowami ludzi z pierwszego szeregu, co oznaczało, że znów prędkość miała znaczenie absolutnie kluczowe dla powodzenia ataku. Gdy tylko konni łucznicy wypuszczą śmiertelne strzały, ludzie zaczną umierać.

Scytowie zmusili konie do przyspieszenia. Wszyscy trzymali w dłoniach łuki ze strzałami założonymi na cięciwy. Unieśli je i wycelowali, jak gdyby byli jednym połączonym organizmem.

Dzieliło ich mniej niż sto kroków.

Strzały pędziły po łagodnych łukach, spadając z sykiem na szarżujących legionistów. Mężczyzna znajdujący się bezpośrednio za Brennusem padł na ziemię, przeбиты strzałą, która przeorała jego policzek. Kolejne wbiły się z impetem w tarcze Romulusa i Gordianusa, sprawiając, że ich dźwiganie stawało się coraz bardziej uciążliwe. Jednak nie mogło być mowy o tym, żeby odrzucić *scuta*. Weteran mamrotał półgłosem modlitwę do Marsa, rzymskiego boga wojny.

Pot spływał po twarzy Romulusa. Dostawał się do rany pod okiem. Sól szczypała, a Romulus wykorzystał ten ból, żeby się skupić. *Niektórzy legionści mają jeszcze oszczepy – pomyślał. – Jeśli uda się trafić kóregoś ze Scytów, w ich formacji powstanie wyrwa. Może to wystarczy, żeby się wydostać. Mitro! Chroń nas. Daj nam siłę przetrwania tej próby.*

Pięćdziesiąt kroków.

– Gotuj pila – krzyknął. – Na mój rozkaz!

Brennus uśmiechnął się z dumą. Romulus przeradzał się w lidera.

Legionści, którym jeszcze zostały oszczepy, przyzwyczajeni do wypełniania rozkazów, odwieśli ramiona do tyłu, przygotowując się do rzutu. Szkolenie wojskowe obejmowało także rzut w biegu.

Wcześniej jednak musieli przetrwać kolejną serię strzał, które siekły ich szeregi. Znów wielu z nich padło na ziemię, wydając miękkie, dławiące dźwięki, gdy

metalowe groty wwiercały się w ich gardła czy oczy. Wielu zostało trafionych w łydki, niechronione przez tarcze. Mężczyźni biegnący bezpośrednio za trafionymi legionistami potykali się, a następnymi mogli tylko przeskakiwać ciała martwych, rannych i też tych tylko zdezorientowanych. Teraz każdy musiał wykazać się odpornością psychiczną i tężyzną fizyczną.

Trzydzieści kroków. W zasięgu oszczepów.

– Celować w tych w pierwszym rzędzie – krzyknął jeszcze raz Romulus. – Rzuć!

Trafienie w cel oszczepem nie było łatwe nawet wtedy, gdy rzucało się nim w niezachwianej pozycji, stojąc w miejscu. W biegu stawało się to jeszcze trudniejsze. Gdy Romulus wydał rozkaz, w kierunku zbliżających się w galopie jeźdźców pofrunęło osiem czy dziesięć oszczepów. Większość upadła przed frontem jazdy. Tylko dwa znalazły cele i oba trafiły wytatuowanego lidera w klatkę piersiową. Martwy przechylił się w siodle i po chwili zwałił się bokiem na ziemię. Jego ciało zostało natychmiast stratowane przez konie.

Widząc, co się dzieje, Gordianus ryknął radośnie.

Zgodnie z oczekiwaniami Romulusa wierzchowiec trafionego jeźdźca okręcił się i zmienił kierunek biegu. W szeregach jazdy zrobiła się mała luka. Młody legionista skierował się właśnie w tę wyrwę.

Scytowie nie zamierzali jednak przerwać ostrzału. Posyłane w kierunku legionistów z odległości dwudziestu kroków strzały rzadko chybiały. Z każdym krokiem ktoś padał na śnieg i barwił białą powierzchnię szkarłatem.

Romulus usłyszał jakieś urywane słowa, ale trudno mu było zrozumieć ich znaczenie. Spojrzał w bok. Gordianus został trafiony w górną część lewego ramienia, nieco powyżej granicy kolczugi.

Na twarzy weterana pojawiło się oszołomienie. Próbował jeszcze coś powiedzieć, ale z jego ust nie wydostał się już żaden dźwięk. Uniósł rękę do upierzonej końcówki strzały, po czym ją opuścił. Gordianus wiedział, że jeśli wyciągnie grot, umrze szybciej.

Romulus poczuł ogarniający go smutek. Nie mógł nic zrobić. Gordianus i tak był już martwy.

Upuszczając swój gladius, ranny weteran pochylił się i mocno ścisnął ramię Romulusa prawą ręką. Wyrzekł dwa ciche słowa:

– Mój przyjacielu.

Z ciężkim sercem Romulus skinął głową.

Ostatkiem sił Gordianus nagle niespodziewanie go odepchnął. W tej samej chwili scytyjska włócznia wbiła się w odsłonięty lewy bok weterana. Z tak niewielkiej odległości po prostu przeszła przez kolczugę jak przez papirus. Gordianus otworzył szeroko oczy i osunął się na kolana.

Romulus odwrócił głowę. Nie mógł na to patrzeć.

– Spokojnie, chłopcze – krzyknął Brennus. – Nadal tu jestem.

Ale sytuacja nie wyglądała dobrze. Jeźdźcy poruszali się po bokach coraz węższego klina, szyjąc strzałami z bliskiej odległości. Efekt tego ostrzału był niszczycielski. Prerażający. Nie wyglądało na to, żeby nawała miała się skończyć lub osłabnąć. Jeźdźcy natychmiast zawracali, raz po raz ponawiając ataki.

Na tym etapie Rzymianie stanęli w miejscu. Każda ofiara prowadziła do pojawienia się kolejnej wyrwy w ścianie tarczy, co ułatwiało Scytom penetrowanie formacji strzałami i włóczniami. Romulus stwierdził, że pozostało jeszcze około czterdziestu zdolnych do walki legionistów. Ale morale szybko spadało.

Już wiedział dlaczego. W ich kierunku pędziły nieprzebrane szeregi scytyjskiej piechoty, które miały rozstrzygnąć starcie.

Romulus pokręcił głową. Mitra odwrócił twarz. Po łasce Jowisza nie było śladu. Umrą.

– To już koniec – powiedział znużony.

– Nie koniec! – ryknął Brennus. Chwycił *pilum* martwego żołnierza i wycelował w zbliżającego się jeźdźca, wkładając w rzut całą energię, na jaką było go stać. Pocisk trafił w pierś Scyta z taką siłą, że został wyrzucony z siodła.

Tylko że niemal natychmiast jego miejsce zajął kolejny.

Gal skrzywił się z rozgoryczeniem. Dla Romulusa był to jednak po prostu kolejny dowód na to, że bogowie ich opuścili.

Nagle Brennus otworzył usta, żeby go ostrzec. Dłoń przyjaciela wystrzeliła w stronę rękojeści długiego miecza.

Romulus poczuł potężne uderzenie i przez chwilę wszystko widział podwójnie. Zalał go piekielny ból. Nogi się pod nim ugięły i padł jak ścięty na śnieg.

– Nie! – zawołał Brennus. – Ty głupi skurwysynu!

To były ostatnie słowa, które usłyszał Romulus.

Rozdział XI

Bóg wojownik



Rzym, zima 53/52 r. p.n.e.

Chociaż reakcja Sekundusa ją rozzłościła, Fabiola mądrze zmilczała. W jej sytuacji poczucie bezpieczeństwa było dość kruche.

– Przepraszam – mruknęła cicho.

Zapadła niezręczna cisza. Fabiola odwróciła się, żeby zobaczyć, jak radzi sobie Sekstus. Lekarz już prawie kończył. Janus usunął z oczodołu brud i metalowe opiłki, a potem przemył ranę *acetum*. Użył czystego bandaża, którym owijał teraz głowę Sekstusa. Niewolnik nie miał już na twarzy śladów krwi i popijał małymi łykami jakąś miksturę z glinianego kubeczka.

Janus zauważył, że Fabiola spogląda na rękę Sekstusa.

– *Papaverum* – powiedział, myjąc ręce w misce z wodą. – Jeden z najpotężniejszych środków przeciwbólowych.

– Z czego się go robi? – Fabiola miała niewielkie pojęcie o składnikach dziwnych mikstur aptekarzy. Ci ludzie zwykle zazdrośnie strzegli swoich zawodowych tajemnic.

– Powstaje z roślin o małych czerwonych kwiatach – wyjaśnił lekarz. – Dodajemy kilka innych składników i gotujemy, żeby uzyskać napar. Uśmierza nawet największy ból.

– Ból fizyczny? *Nic nie uśmierzy cierpienia psychicznego* – pomyślała gorzko Fabiola. – *Poza zemstą.*

Janus pomógł Sekstusowi przejść do najbliższego łóżka.

– Teraz śpij.

Niewolnik nie protestował. Opadł na siennik i pozwolił przykryć się wełnianym

kocem.

– Pani? – Sekundus ruszył do drzwi. – Musimy zostawić go tu na jakiś czas.

Fabiola kiwnęła głową Janusowi, dziękując mu za pomoc, po czym poszła za Sekundusem. Minęli główne wejście, a następnie skręcili w jakiś inny korytarz. Po chwili siedzieli już przy stole z kamiennym blatem w kuchni. Podobny mebel stał w domu Gemellusa. W rogu pomieszczenia znajdował się również solidny murowany piec, długie stoły do pracy, ciągnące się wzdłuż ścian, i drewniane półki, zastawione najprzeróżniejszymi naczyniami, wykonanymi z czarnej i czerwonej gliny. Jak we wszystkich domach bogatych obywateli ze ścian wystawały ołowiane rury, doprowadzające bieżącą wodę do mycia żywności i talerzy. Z kolei rury kanalizacji odprowadzały zużytą wodę i płynne odpady. W tym domu nie było niewolników służących w kuchni. Sekundus sam zajął się przygotowaniem jedzenia, odrzucając ofertę pomocy, gdy próbował niezdarnie ukroić za pomocą swojego *pugio* kilka kromek chleba. Posiłek uzupełniał ser i ryby. Fabiola z wdzięcznością przyjęła ten poczęstunek. Miała za sobą ciężki dzień pełen niekoniecznie przyjemnych doświadczeń i nagle poczuła, że jest bardzo głodna. Przy jedzeniu starała się ignorować zaciekawione i gburowate spojrzenia wielu weteranów pojawiających się w kuchni. Ona i Sekstus znajdowali się teraz pod ochroną Sekundusa. Nie podejrzewała, że którykolwiek z pokrytych bliznami mężczyzn faktycznie chciałby ich skrzywdzić.

Gdy po posiłku Sekundus zostawił ją samą, Fabiola wróciła myślami do tego, jak udało jej się uratować przed Scewolą, i do niedawnych wydarzeń. Przypomniała sobie, co zrobił ze zbiegłym niewolnikiem i biednym Korbulonem w latyfundium. Zamknęła oczy i zaczęła modlić się żarliwie. Nie robiła tego z równym zapałem od czasu, gdy trafiła do Lupanaru. Przeżywała tam trudne chwile. Jednak nic nie mogło się równać z przerażeniem i strachem, jaki czuła w tej wąskiej uliczce. Tylko wiara i wola przetrwania pozwoliły jej przeżyć. Czuła się winna śmierci Korbulona i swoich ochroniarzy. Tego, że niewiele brakowało, a zostałaby zgwałcona przez kilkunastu mężczyzn, także długo nie zapomniała.

Z zadumy wyrwał ją dyskretnie chrząknięcie. Sekundus wrócił.

– Przygotowaliśmy pokój, pani.

– Jestem zmęczona – przyznała Fabiola. *Przyda mi się odpoczynek.*

Na twarzy weterana pojawił się trochę wymuszony uśmiech.

– Proszę za mną.

Wyszli z kuchni i w milczeniu pokonali korytarz, który prowadził do

valedinarium. W pobliżu posągu Mitry minęli na wpół uchylone drzwi prowadzące do pustego pomieszczenia, oświetlanego tylko słabym płomieniem jednej pochodni. Pokój był pusty, ale uwagę Fabioli przyciągnęła kłapa w podłodze.

Sekundus widział jej spojrzenie i natychmiast zamknął drzwi. Ruszył dalej korytarzem bez słowa wyjaśnienia. Fabiola szła za nim, nie protestując, ale czuła, jak przyspiesza jej puls. To musiało być wejście do mitreum. Aż do tej chwili nie zakładała, że świątynia może znajdować się pod ziemią. Niewiele sanktuariów, jeśli w ogóle jakieś, budowano w taki sposób.

Sekundus zaprosił Fabiolę gestem do prostej sypialni, która nie była większa od jej pokoju w Lupanarze, gdzie spędziła prawie cztery lata. Jednak niskie łóżko, drewniana skrzynia, lampa oliwna z brązu i taboret z trzema nogami, na którym leżała starannie złożona męska tunika, zupełnie jej wystarczały. Fabiola uśmiechnęła się. Cóż... nie miała wielkich potrzeb. Koce wyglądały na czyste. Poczowała wielką senność. Nagle zdała sobie sprawę, że jest bardzo zmęczona.

– Dzisiejszej nocy nic ci nie grozi, pani – Sekundus powiedział to nieco miłszym tonem. Wskazał mały dzwonek na podłodze. – Wystarczy zadzwonić, jeśli będziesz czegoś potrzebowała.

Po chwili już go nie było.

Fabiola nie potrzebowała zachęty. Zamknęła drzwi i zdmuchnęła płomień lampy, po czym zdjęła porwaną suknię i rzuciła sandały. Padła na łóżko. Ciasno owinęła się kocami i już po chwili miłe ciepło rozlewało się po jej ciele. Nagle jednak poczuła strach, będący opóźnioną reakcją na zagrożenie i świadomość tego, jak Scewola zmienił jej życie. Co gorsza, wiedziała, że jej wróg na pewno się nie podda. Poza Docilosą i rannym Sekstusem Fabiola nie ma nikogo innego na świecie. Te uczucia strachu i przerażenia były przytłaczające, ale wkrótce i tak zostały pokonane i zgaszone przez wyczerpanie. Zapadła w głęboki sen. Na szczęście bez koszmarów.

Obudziła się spanikowana. Przez chwilę nie wiedziała, gdzie jest. Usiadła. Wydarzenia z minionego dnia zalały ją powodzią niepokojących obrazów. Zwłoki Klodiusza wystawione na widok publiczny na forum. Zamieszki. Zasadzka przygotowana przez *fugitivarii*. Śmierć jej ludzi. Scewola. Jego słowa o tym, co zrobił na latyfundium. Fabiola zadrżała, daremnie próbując wyrzucić te obrazy z głowy.

Czuła, że jest środek nocy. W całym domu panowała śmiertelna cisza, a wszędzie wokół było ciemno, że oko wykol. Próbowwała wychwycić jakiś dźwięk, ale niczego nie słyszała. Ludzie zwykle chodzili spać niedługo po zachodzie słońca. Weterani

prawdopodobnie niewiele różnili się od zwykłych mieszkańców miasta. Zaczęła rozmyślać o pomieszczeniu z klapą. Jak każdy zakazany owoc, także i ten miał w sobie siłę, której trudno było się oprzeć. Fabiola wydostała się spod koców i założyła czystą tunikę. Podreptała na palcach do drzwi.

Zza drewnianych desek nie dochodził żaden dźwięk.

Delikatnie przekręciła klamkę i uchyliła drzwi tak, żeby wyjrzeć przez małą szparkę. Nikt nie podniósł alarmu. Promyk światła z lampy naftowej znajdującej się na ścianie korytarza pozwolił jej upewnić się, że nie jest pilnowana. Wymknęła się z pokoju boso, cicho zamykając za sobą drzwi. Z pomieszczenia obok dochodziło głośne chrapanie. Podobne dźwięki docierały z innych mijanych pokoi. Jednak z każdym krokiem denerwowała się coraz bardziej. Jeśli ktoś ją nakryje, reakcja weteranów będzie straszna. Ta nieprzyjemna myśl sprawiła, że zatrzymała się w pół kroku. Wczoraj ledwo uszła z życiem. Igrała z losem.

Za pogrążonym w mroku korytarzem, w *atrium*, widziała posąg Mitry. W cieniu. Tajemniczy. Byk, nad którym przykucnął Mitra, miał uniesiony łeb i patrzył prosto na nią. Wydawało się, że wiedział, co zamierza. Zbita z tropu Fabiola zdrząła. Jednak jej ciekawość przewyciężyła obawę. Nie lubiła przyznawać się do porażki. Niemal nieświadomie poruszyła się znowu, przecinając w poprzek chłodną mozaikę. Szybko znalazła się przy drzwiach, które zamknął przed nią Sekundus. Rzut oka w obie strony wystarczył, aby upewnić się, że nikt jej nie słyszał. Jedynym świadkiem był byk, który nie wydał żadnego dźwięku.

Na szczęście drzwi nie były zamknięte. Dziękowała bogom, że zawiasy nie skrzypią. W pomieszczeniu panował nieprzenikniony mrok. Fabiola nie odważyła się jednak poszukać krzemieni, aby zapalić lampę. Może kiedy znajdzie się w mitreum, ale nie wcześniej. Jeżeli którykolwiek z weteranów zauważy światło, jej gra dobiegnie końca. Pchnęła drzwi, ale zostawiła małą szparę, nie zamykając ich całkowicie. Z korytarza do środka wpadał teraz tylko wąski promień światła, przeciskający się między futryną i drzwiami. Fabiola miała nadzieję, że to jej wystarczy. Przesuwała ostrożnie bose stopy po płytkach, kierując się w stronę miejsca na środku, gdzie powinna znajdować się klapa. Opadła na kolana i szukała jej na czworakach, po omacku w zupełnej ciemności. Sfrustrowana czuła tylko małe nierówności między maleńkimi płytkami mozaiki. Znieruchomiła, słyszała jedynie własny oddech i szybkie bicie serca. Niecierpliwiła się. Musiała zatrzymać się kilka razy, żeby uspokoić nerwy. Chwile ciągnęły się i łączyły w czas, który wydawał jej się wiecznością. Jakże się denerwowała, że nie udawało się jej znaleźć tej

przeklętej kłapy!

W końcu palce natrafiły na żelazny pierścień. Zbadała dokładnie podłogę wokół uchwytu, dochodząc do wniosku, że znajduje się na środku prostokątnej kamiennej płyty. Zalała ją fala ulgi. Jednak gdy uniosła klapę, przeszły ją dreszcze. Zimne powietrze z otworu przyniosło ze sobą zapach kadzidła i ostrego, męskiego potu. To była święta ziemia, a ona nie powinna tu wchodzić.

Teraz jednak nie było odwrotu. Nie mogła się już wycofać. Była tak ciekawa tego, co znajdzie na dole, że nie potrafiła się oprzeć pokusie. Czekał na nią Mitra. Wciągnęła haust powietrza i zsunęła nogi przez krawędź w podłódze, modląc się dla nich o jakieś oparcie.

Tak się stało.

Schody prowadzące w głąbinę były strome i wąskie. Każdy stopień został wyrzeźbiony z jednego kawałka gładkiego kamienia. Jeśli tylko będzie ostrożna, nic się nie stanie. Wystarczyło przecież zejść po schodach. Krok po kroku w całkowitej ciemności. Przebiegając opuszkami palców po ścianie, nie wyczuła żadnego tynku. Nie mogła powiedzieć, gdzie się kończy, a gdzie zaczyna każda kolejna płyta. Jeśli w ogóle były jakieś połączenia. Ktoś, kto zbudował ukrytą strukturę, musiał być prawdziwym mistrzem w swoim rzemiośle.

Ciszę zakłócały tylko miękkie plaśnięcia jej nagich stóp, gdy stąpała z kamienia na kamień. Wydawało się jej, że tak właśnie musi wyglądać zejście do Hadesu. Próbowwała nie dopuścić do umysłu przerażających obrazów, jakie podsuwała jej wyobraźnia, i zająć się liczeniem kroków. Zanim dotarła na miejsce, naliczyła osiemdziesiąt cztery stopnie. Mitreum znajdowało się głęboko pod ziemią. Ściany po obu stronach niezmiennie znajdowały się w takiej samej odległości, co oznaczało, że wciąż jeszcze przemieszcza się wąskim korytarzem. Mogła tylko iść do przodu, poza granice wyznaczone przez dotyk palców. Teraz jednak lęk przed ciemnością przewyciężył obawy o to, aby nikt jej tu nie zobaczył. Nie mogła poruszać się dalej bez światła. Kto wie, co znajdzie na miejscu? Po omacku szukała na ścianie jakiegoś metalowego elementu, przeznaczonego na lampę oliwną lub pochodnię. Gdy palce Fabioli zacisnęły się na znanym kształcie, prawie krzyknęła z radości. W niszy obok wykonanego z brązu naczynia na oliwę znalazła dwa ostre kawałki krzemienia. Wykrzesła iskrę, która zapaliła knot lampy.

Tyle czasu spędziła w ciemności, że płomyček lampy niemal ją oślepił. Mądrze odwróciła wzrok, żeby przyzwycząić się do zmiany. Pierwszą rzeczą, jaką dostrzegła, była ozdobna mozaika pod stopami. Rzadko spotyka się tysiące małych płytek

ułożonych w tak delikatne, wyrafinowane kształty i wzory. Ta praca nawet wykwalifikowanym robotnikom musiała zająć wiele tygodni. Wzdłuż ścian ciągnęły się pasy ciemnych płytek, które dzieliły mozaikę na siedem paneli. W każdym z nich znajdowały się inne symbole. Fabiola od razu zrozumiała, że ten podział musi mieć duże znaczenie.

W pierwszym panelu przedstawiono czarnego ptaka z potężnym dziobem, łaskę zwaną *caduceus*, będącą symbolem handlu i pokoju, oraz mały puchar. Fabiolę zachwycił zwłaszcza wizerunek kruka. Ten majestatyczny ptak, jeden z jej ulubionych, symbolizował tylko pierwszy etap wtajemniczenia.

Na innym fragmencie podłogi znajdowały się lampa oliwna i diadem. Ruszyła do przodu, podziwiając wszystkie szczegóły mozaiki, z której można było wyczytać wiele informacji. Później zidentyfikowała lancę, hełm i plecak, a następnie łopatkę do popiołu, grzechotkę oraz piorun Jowisza.

Jej zdenerwowanie ustąpiło miejsca głębokiemu szacunkowi i poczuciu wtajemniczenia, znalezienia własnego miejsca na świecie. Panele zapewne przedstawiały święte symbole wyznawców Mitry. Musiała się dowiedzieć, co symbolizowały.

W kolejnym panelu dostrzegła sierp, sztylet i półksiężyc z gwiazdą. W przedostatnim, kwadratowym panelu ujrzała pochodnię, bicz i ozdobną koronę z siedmioma promieniami. Ostatni panel przedstawiał czapkę frygijską, łaskę, misę i większy sierp. Ta czapka wyglądała tak jak nakrycie głowy Mitry z posągu znajdującego się w *atrium*.

Fabiola poczuła na twarzy ruch powietrza i zauważyła, że korytarz rozszerza się, przechodząc w większą salę. Przesuwając się powoli do przodu, zapaliła inne lampy znajdujące się w uchwytych na ścianie. Żółty blask rozświetlił długie, prostokątne pomieszczenie, którego sufit podierały rozmieszczone w regularnych odstępach drewniane słupy, mocno osadzone w podłodze. Wzdłuż bocznych ścian biegła niska kamienna ława. Naprzeciwko niej, pod najdalszą ścianą, znajdowały się pokryte tajemniczymi inskrypcjami kamienne ołtarze. Nad nimi Fabiola ujrzała ogromny obraz przedstawiający tauroktonię, namalowany jaskrawymi farbami. Z rany na szyi byka tryskała fontanna szkarłatnej krwi. Ciemnozielony płaszcz Mitry został ozdobiony jasnymi plamkami, które mogły być tylko gwiazdami. Po obu stronach boga przedstawieni zostali dwaj mężczyźni z pochodniami. Jeden z nich trzymał pochodnię w pozycji pionowej, a drugi kierował ją w dół. Jakąś istotną rolę w tej scenie musiały też odgrywać wyobrażone na obrazie zwierzęta i przedmioty. Fabiola

i tu rozpoznała kruka, puchar i lwa, a także psa, skorpiona i węża. Więcej symboli znajdowało się na gipsowych panelach po lewej i prawej stronie. Aż jęknęła, widząc, z jaką dbałością o szczegóły zostały wykonane.

Na jednym z paneli widać było biesiadujących przy stole mężczyzn. Usługiwali im inni, rozdając kubki i talerze, na których leżało coś przypominające chleb, z wrytym ukośnym krzyżem „X”. Przyjrzała się scenie, w której Mitra w czapce frygijskiej dotykał imponującej złotej postaci z koroną o siedmiu promieniach. *Czy to ma być słońce?* Ta sama postać pojawiała się w kilku innych miejscach mozaiki, towarzysząc Mitrze przy ciele martwego byka, w rydwanie czy podczas przyjmowania darów od śmiertelników. Nawet podłoga pełna była różnych tajemniczych znaków i wyobrażeń. Podzielono ją na dwanaście kwadratów, przedstawiających różne zwierzęta i symbole, wśród których można było rozpoznać między innymi bliźnięta, barana, byka, wagę i skorpiona.

Fabiola stwierdziła, że od tych wszystkich bodźców aż kręci się jej w głowie.

Obeszła całą mozaikę i z każdym krokiem czuła się coraz mniej skrępowana. Mimo że w sanktuarium nie było nikogo, miała wrażenie, jakby ktoś się jej przyglądał. Znów zaczęła się czuć niepewnie i stwierdziła, że poca jej się dłoń. Stała przed ścianą z ołtarzami i przyglądała się Mitrze. Czy jakkolwiek kobieta stała kiedyś w tym miejscu? Czy powinna odejść? Krew pulsowała jej w uszach, ale nic się nie działo. Bóg nie zamierzał jej ukarać.

W pewnym momencie zauważyła mały flakonik, który stał na środkowym ołtarzu. Wykonany z kosztownego niebieskiego szkła, kończył się delikatnym rzeźbieniem w kształcie głowy lwa. Jakby bez udziału świadomości Fabiola sięgnęła po naczynie i uniosła je w dłoń.

Chwila prawdy – pomyślała, wyciągając korek. Uniosła butelkę do nosa, żeby powąchać jej zawartość. Znajdująca się we flakoniku substancja miała trudny do sprecyzowania, całkiem przyjemny zapach. Coś podpowiadało Fabioli, że zawartość naczynia wypija się podczas mitraistycznych rytuałów. *To mój święty czas* – pomyślała Fabiola z przekonaniem. – *Mitra zrozumie. Albo mnie otruje.* W ten sposób może udowodnić, że całkowicie zaufała bogowi wojowników. Czuła, jak jej serce przez jakiś czas biło niespokojnie, szybko, a po chwili znów ogarnęło ją uczucie wielkiego spokoju, którego doznała, gdy znalazła się w tym miejscu po raz pierwszy. Czy to nie sam Mitra ją tu sprowadził? Kim była, żeby mu się opierać? Po takim dniu, wypełnionym dramatycznymi wydarzeniami, nie miała nic do stracenia. Odchyliła głowę i wlała płyn do ust. Substancja była lekka i słodka, ale zostawiała

jakiś dziwny, nieznanym jej posmak.

Przełknęła miksturę, odstawiając flakonik na ołtarz.

Długo nic się nie działo. Poczowała ukłucie rozczarowania.

I wtedy wydało się jej, że słyszy bębny, wybijające prosty, powtarzalny rytm, który pociągnął ją w dół, w świat hipnotycznych odgłosów. Jednak zamiast czuć zaniepokojenie, opanowała ją euforia. Tu jest Mitra! Tu, w tym pomieszczeniu. Wyraźnie go wyczuwała.

Dźwięki bębnów były coraz głośniejsze, wznosząc się do *crescendo*, które wstrząsało ścianami świątyni. Fabiola straciła poczucie czasu i przestrzeni. Stała nieruchomo, absorbując energię. Powoli bębny zaczynały cichnąć, a ich dudnienie zastąpiły inne, cichsze sekwencje muzyki. Poczwała, że spada. Spada! Ale wcale nie upadła na twardą podłogę. Znów usłyszała hipnotyczne bębny, których dźwięk przeniósł ją płynnie do innego świata, w jakieś niesamowite miejsce, skąd obserwowała świat oczyma ptaka w locie. Mrugała i próbowała wrócić świadomością do małego pomieszczenia głęboko pod ziemią. Nic z tego. Gdy przekreśliła głowę, widziała błyszczące czarne pióra, idealnie ułożone na potężnych skrzydłach. Czyżby naprawdę zmieniła się w kruką? O dziwo, nie bała się. Czwała tylko radość.

Szybowanie wysoko po przepętnionym słonecznymi promieniami niebie wydawało się jej całkowicie naturalne. Wykorzystywała prądy powietrza, dzięki którym mogła pikować z wielką prędkością lub znieruchomieć w bezruchu, bacznie obserwując to, co dzieje się poniżej. Przez dłuższą chwilę Fabiola rozkoszowała się bytem, wolnością i obrazem ziemi widzianej z perspektywy, której nie znała. Wijące się rzeki przecinały krajobraz, wzgórza i szczyty pokryte były śniegiem, pasma zaczynały się i kończyły łagodnie lub ciągnęły aż po horyzont i w górę, tworząc grube linie poszarpanych szczytów. Zielone plamy lasów. Od czasu do czasu przelatywała nad jakimiś siedliskami ludzi. Łączące je drogi wiły się jak wstążki. Nie wiedziała, gdzie jest.

Zwróciła uwagę na ruch na wielkiej równinie. Zniżyła lot, ale dalej pozostawała poza zasięgiem ludzi z dwóch stojących naprzeciwko siebie armii. Z jednej strony pole bitwy ograniczała wielka rzeka. Nigdy nie widziała tak szerokiego nurtu. Teraz była pewna, że nie chodzi o Italię. To miejsce nie przypominało żadnego znanego jej miejsca.

Wkrótce zacznie się bitwa, ale na razie dowódcy oceniali mocne i słabe strony przeciwników. Żołnierze modlili się i ocierali pot z czoł. Nie zostało wiele czasu. Wkrótce zaczną umierać. Płaski teren i dobra pogoda sprawiały, że zabitych będzie

liczyć się w tysiącach.

W szeregach bezpośrednio pod nią światło słoneczne odbiło się od jakiegoś metalowego przedmiotu. Ponieważ kruk ma wzrok nieporównywalnie lepszy od wzroku człowieka, natychmiast skoncentrowała się na źródle światła. To, co zobaczyła, było wręcz nieprawdopodobne! Wśród niekończących się szeregów żołnierzy dostrzegła samotnego srebrnego orła.

Rzymskie insygnium legionów! Tu. W obcym kraju.

Nie mogło być co do tego żadnych wątpliwości. Orzeł miał potężne, rozpostarte skrzydła. W szponach trzymał złotą błyskawicę. Drzewce z orłem dźwigał człowiek ubrany w skórę wilka. Był to symbol legionów, który prowadził żołnierzy do walki. Fabiola przyglądała się teraz mężczyznom otaczającym insygnium. Nosili obłe hełmy z brązu, zakończone grzebieniami. W dłoniach ściskali wydłużone, owalne tarcze. Stali w schludnych liniach niewzruszonej formacji. Czy to na pewno byli rzymscy legioniści? Nie wszystko pasowało. Zamiast *pila* wielu mężczyzn dźwigało długie, ciężkie włócznie, a tarcze osłonięto jakąś tkaniną. Oficerowie znajdujący się na bokach każdej jednostki również byli jakby nie na miejscu. Mieli łuki, dziwnie wyglądające stożkowe nakrycia głowy oraz haftowane tuniki i spodnie. Jeśli to naprawdę byli legioniści, nigdy wcześniej takich nie widziała.

Zdezorientowana Fabiola zaczęła wznosić się coraz wyżej, gdy nagle w jej umyśle pojawił się obraz ogromnego wojownika z włosami splecionymi w warkocze. Obok niego stał szczupły blondyn z toporem o dwóch ostrzach. Ten obraz wywołał wspomnienia schowane głęboko w duszy młodej kobiety, które próbowały dotrzeć do świadomości kruka. Wtedy zrozumiała. *Gal! Z jakimś lokalnym przewodnikiem.* Serce Fabioli zaśpiewało z radości.

Romulus wciąż może być wśród żywych!

Jednak nie dane jej było go zobaczyć.

– Co tu robisz? – usłyszała wściekły, przytłumiony głos, docierający do niej jak przez mgłę.

Ktoś chwycił Fabiolę, przywracając jej skrzydłu cechy ludzkiego ramienia.

Nie! Zostaw mnie! Wielki Mitro! Pozwól mi znaleźć brata. Chcę go zobaczyć. Żywego! Fabiola wyrwała się z uścisku. Jej ramię znów załśniło głęboką, połyskliwą czernią potężnych skrzydeł. Zanurkowała, wykorzystując sprzyjające prądy powietrza. Wolna na kilkanaście uderzeń serca cięła powietrze nad szeroką równiną, kierując się w stronę centrum formacji wielkiej armii. Przeraziła się, widząc, że przeciwnicy Rzymian mają ogromną przewagę liczebną. Piechota uzbrojona w przeróżną broń

osłaniana była przez harcówników z procami i łukami. Samych tylko łuczników były tysiące! Siedzieli w rydwanach bojowych oraz na koniach. Co gorsza, dostrzegła też trzy szwadrony ogromnych, osłoniętych elementami pancerzy, szarych stworów, znajdujących się w centrum formacji wroga. Zwierzęta machały uszami, a ich długie ciosy i trąby pokryto kawałkami metalu, pogłębiając tylko ich przerażający wygląd. *To muszą być słonie.* Na każdym z nich znajdowała się mała platforma z dwoma lub trzema łucznikami. Gdy zwierzęta te pojawiały się na polu bitwy i uderzały niczym młot w szeregi wrogów, siały strach w sercach najdzielniejszych żołnierzy. Kto miałby im się oprzeć? Fabiola przeniosła spojrzenie na rzymskich żołnierzy, którzy wcześniej wydali się jej tak pewni siebie i nieustraszeni. Teraz, na tle ogromnych bestii, wyglądali na słabych i nic nie znaczących. Gdy bitwa się rozpocznie, jej rezultat może być tylko jeden.

Ogarnął ją wielki smutek. Nie wierzyła, że bóg może być tak okrutny. Dał jej nadzieję, że Romulus wciąż jest wśród żywych, a po chwili pokazał narzędzie niszczenia o tak wielkiej sile. To było ponad jej siły. Jej reakcja była natychmiastowa. Instynktowna. Natychmiast ściągnęła skrzydła tak, żeby docisnąć je szczelnie do ciała, i spuściła głowę, kierując dziób prosto w sylwetkę słonia. Powietrze na lotkach gwizdało donośnie, zmuszając Fabiolę do przybrania jeszcze bardziej opływowej sylwetki.

W dół. Nurkowała ku ziemi. Jak najszybciej!

Po chwili znalazła się tak blisko, że wyraźnie widziała już zmarszczki na grubej skórze zwierzęcia oraz detale mocno zakrzywionych łuków, w które uzbrojeni byli mężczyźni jadący na słoniu. Może uda jej się trafić w oko bestii. Wydziobać je i rzucić na ziemię przed falangę tych wrogów, z którymi mieli walczyć Rzymianie. Pędziła tak szybko, że miała małe szanse przeżycia po zetknięciu z ziemią. Jednak Fabiolę już to nie obchodziło. Wszystko było lepsze niż ten ból. Spadać jak czarny kamień. Z wściekłością spalającą jej serce jasnym płomieniem pędziła na spotkanie z zapomnieniem.

Tym razem poczuła czyjąś dłoń na obu ramionach. Okrzyki wypełniły jej uszy.

Nie mogła nic zrobić. Mimo rozpaczliwych prób równina pełna uzbrojonych mężczyzn zniknęła. Otworzyła oczy, lejąc łzy frustracji i rozpacz.

Znów znajdowała się w podziemnej świątyni, która teraz zapełniła się weteranami. Dwóch mężczyzn unieruchomiło jej ramiona, a Sekundus stał kilka kroków dalej, trzęsąc się ze złości.

– Co uczyniłaś? Uratowaliśmy twoją skórę, a ty odpłacasz się nam, beczeszcząc

naszą świątynię!

Fabiola przyglądała się otaczającym ją ludziom. Wszyscy przewiercali ją wściekłymi spojrzeniami. To, co dawniej było zaledwie podejrzliwością, teraz przerodziło się w słuszne oburzenie i gniew.

– Przykro mi – wyszeptała, czując, że tym razem nic jej nie uratuje.

– To nie wystarczy – odpowiedział ponuro Sekundus. – Musisz zostać ukarana. Jego ludzie wydali zgodny pomruk. – A za to wykroczenie kara może być tylko jedna.

Rozdział XII

Pakorus



Margiana, zima 53/52 r. p.n.e.

Stać!
Krzyk odbił się echem w zamkniętej przestrzeni dziedzińca.

Zaskoczony Vahram zastygł w bezruchu i spojrzał tam, skąd dochodził głos. Tylko na wpół świadomy tego, co się dzieje, haruspik podążył za jego wzrokiem.

W wejściu na dziedziniec stał Ishkan. Trzymane przez jego ludzi pochodnie oświetlały miejsce kaźni. Śnieg wokół Tarkwiniusza był skąpany w szkarłacie. Chudy starszy centurion w średnim wieku spojrzał na Vahrama zdegustowany.

– Co robisz? – warknął.

– Karzę tego węża, bo nie chce ujawnić pewnych informacji – odpowiedział Vahram, wściekły, że ktoś przeszkodził mu w realizacji planu. – Spiskuje przeciwko nam.

– Czy dowódca wyraził na to zgodę? – zapytał Ishkan.

– Oczywiście, że tak – wypalił Vahram.

– I kazał ci zabić haruspika?

– Jeśli to konieczne? Tak.

Ishkan uniósł brwi.

– Gdzie jest zatem Pakorus? – rozejrzał się. – Myślałem, że chciałby to oglądać.

– Nie czuje się na tyle dobrze, żeby długo pozostawać na dworze – odparł lodowatym tonem Vahram. – A ja jestem jego zastępcą.

– To prawda... – Ishkan zrobił się podejrzliwy. – Ale sprawdźmy to, dobrze?

Uświadamiając sobie, że jego podstęp wyda się w chwili, gdy Ishkan obudzi

Pakorusa, Vahram spanikował. Przekroczył bezwładne ciało Tarkwiniusza i stanął tak, żeby zablokować drzwi prowadzące do sypialni.

Ciemnowłosy starszy centurion zmarszczył brwi. Uniósł rękę, a w odpowiedzi jego ludzie natychmiast chwycili za broń.

Trzech towarzyszy Vahrama spojrzęło na dowódcę, czekając na rozkazy. Ishkan miał ze sobą co najmniej kilkunastu wojowników, a kilku z nich było uzbrojonych w łuki. Jeśli nie chcieli umrzeć, pozostawało im po prostu śledzić rozwój sytuacji. Na razie rozluźnili się, starając się trzymać ręce z daleka od rękojęści mieczów.

Primus pilus skrzywił się, dochodząc do wniosku, że nie ma wyjścia. Przesunął się na bok.

Ishkan kazał swoim ludziom pozostać na zewnątrz, a sam wszedł do środka. Nie zabawił długo u Pakorusa.

Światło pochodni ukazało owiniętego kocem Pakorusa, który podpierał się na starszym centurionie, dygocząc z zimna.

Vahram zaklął pod nosem. Sprawy wymykały mu się spod kontroli. Powinien był po prostu zabić tego cholernego haruspika!

Pakorus wodził wzrokiem po zakrwawionej twarzy i ciele Tarkwiniusza z mieszanymi uczuciami. Nie interesowało go za bardzo zdrowie, a nawet życie haruspika, cenił jednak jego umiejętności. Ale najbardziej nie lubił, gdy jego podwładni podejmowali działania bez konsultacji z nim. Przeważył zatem gniew. Na wąskiej, szarej twarzy dowódcy legionu pojawiła się wściekłość.

– Co masz mi do powiedzenia? – zwrócił się oschle do Vahrama.

Primus pilus rzucił szybkie spojrzenie w kierunku Tarkwiniusza. Mimo że jego słowo było warte więcej niż słowo rzymskiego żołnierza, Pakorus stanie się podejrzliwy, jeśli haruspik opowie dowódcy o planach Vahrama.

Ledwie świadomy delikatnej sytuacji Tarkwiniusz jęknął niewyraźnie. Z jego ust pociekła krwawa ślina.

Niepewny Vahram podjął szybką decyzję. Miał nadzieję, że Tarkwiniusz nie będzie w stanie się bronić.

– Chciałem sprawdzić, czy wszystko w porządku. Wszedłem do sypialni i znalazłem tego tu skurwysyna kucającego przy ogniu i mrużącemu imię dowódcy.

Pakorus nerwowo wciągnął powietrze, dowiedziawszy się, że gdy Tarkwiniusz zajmował się tymi praktykami, on spał niczego nieświadomy. Dobrze wiedział, jak wielkimi mocami dysponował haruspik.

– Czy powiedział dlaczego?

– Nie, dowódcu – Vahram pokręcił głową ze złością. – Nie powiedział ani słowa.

– A mimo to nie przyszło ci do głowy, żeby zapytać mnie o zdanie? – zdziwił się Pakorus. – I próbowałeś uniemożliwić innemu starszemu centurionowi kontakt ze mną w tej sprawie?

– Nie chciałem, żeby ci przeszkadzano, panie – Vahram bronił się słabym głosem.

Pakorus parsknął lekceważąco i skierował się w stronę haruspika. Ishkan szedł za nim krok w krok.

Tarkwiniusz uniósł głowę, żeby spojrzeć na Pakorusa. Pod jego ciemnymi oczami uformowały się szare plamy wyczerpania. Złamany nos spuchł straszliwie. Oparzenie na policzku ziało surowym, czerwonym mięsem, z którego sączył się jasny płyn. Mimo tych wszystkich obrażeń haruspika dalej otaczała aura tajemniczości.

Pakorus wzdrygnął się na widok ran Tarkwiniusza. Ten człowiek uratował mu życie i był mu za to wdzięczny. Ale mimo to nie potrafił całkowicie mu zaufać.

– Co masz do powiedzenia?

Tarkwiniusz szarpnął głowę, pokazując Pakorusowi, że powinien się zbliżyć.

Ishkan na chwilę zamarł, ale nie interweniował. Związany, półżywy haruspik nie stanowił zagrożenia. A Vahram wyglądał na wyjątkowo niezadowolonego.

– To *jego* imię wymówiłem – wyszeptał Tarkwiniusz. – *Primus pilus* koniecznie chciał wiedzieć dlaczego. Gdybym mu powiedział, zabiłby mnie.

– Wygląda na to, że i tak zamierzał to zrobić – odpowiedział oschle Pakorus.

– Tak, dowódcu – wykrztusił haruspik. – I byłem bliski wyjawienia mu wszystkiego, co wiem, gdy pojawił się Ishkan. Nie ufaj Vahramowi.

Pakorus spojrział na Vahrama, który silił się na obojętność, jakby zupełnie nie był zainteresowany tym, co mówi młody Etrusk.

– Dlaczego?

– On chce objąć dowództwo Zapomnianego Legionu...

Pakorus zeszczywniał.

– Masz jakiś dowód?

Mimo swoich ran Tarkwiniusz zdołał znacząco unieść brew.

Pakorus stuknął palcem o zęby. Zastanawiał się. Nie był zaskoczony, słysząc, że *primus pilus* chce zająć jego miejsce. Jednak oskarżając Vahrama, Tarkwiniusz mógłby też po prostu dążyć do zasiania między nimi niezgody i wzbudzenia podejrliwości.

Wyczerpany haruspik jakby czytał w jego myślach.

– Gdzie są twoi ludzie? – zapytał cicho.

Rzeczywiście. Pakorus rozejrzał się po dziedzińcu i zaniepokojony stwierdził, że nie ma na nim żadnego człowieka z jego straży przybocznej. Uznał, że to istotny szczegół.

– Vahram ich odprawił.

Pakorus milczał. Ale w reakcji na słowa Tarkwiniusza zacisnął mięśnie szczęki. Co powinien teraz zrobić? Vahram był wśród żołnierzy partyjskiego garnizonu popularną postacią, dlatego natychmiastowa egzekucja może okazać się ryzykowna. Oczywiście Ishkan okazał się lojalnym oficerem, ale czy mógł liczyć na wszystkich starszych centurionów? Wciąż nie odzyskał pełnej sprawności i nagle zrozumiał, jak łatwo ktoś mógłby go zabić. Ukrywając emocje, Pakorus zwrócił się do Vahrama.

– To było głupie. Żeby zapędzić się tak daleko – warknął. – On na swój sposób jest przydatny.

– Przepraszam, dowódco. – Vahram czekał przekonany, że kara go nie ominie.

– Przez trzy miesiące będziesz nadzorował wartowników. Uważaj się za szczęśliwca, że nie zostałeś zdegradowany.

Vahram zasalutował zadowolony, że jego kara okazała się tak lekka. Tarkwiniusz niczego nie ujawnił, dzięki czemu on będzie mógł dalej spiskować przeciwko Pakorusowi.

Zgromadzeni na dziedzińcu usłyszeli w tym momencie odgłosy wydawane przez szybko biegnącego po śniegu człowieka. Wartownik wykrzyknął wezwanie do podania hasła. Padła odpowiedź. Wtedy skrzypiąc, otworzyła się frontowa brama.

Pakorus wpatrywał się w Ishkana, który wzruszył ramionami. Vahram wydawał się tak samo zaskoczony jak reszta.

Na niebie między ciężkimi chmurami znów zaczęły pokazywać się gwiazdy. Tarkwiniusz nie potrafił jednak odczytać z pogody żadnych wskazówek. Nikt nie wiedział, co się dzieje.

Kilka chwil później na dziedzińcu pojawił się opatulony legionista w towarzystwie jednego z wartowników strzegących kwatery Pakorusa. Obaj zasalutowali i stanęli na baczność.

– O co chodzi? – zapytał zniecierpliwiony Pakorus.

– Przyprowadziłem jednego z wartowników służących przy głównej bramie, dowódco – odezwał się Part. – Wróciło kilku ludzi z patrolu Dariusa.

Czoło Tarkwiniusza oblał zimny pot. Podobnie jak Romulus i Brennus też służył

w kohorcie Dariusa. Gdzie ich wysłali?

Zdezorientowany dowódca legionu popatrzył na Vahrama, żądając wyjaśnień.

– Dwa dni temu wysłałem mały oddział na patrol – wyjaśnił *primus pilus*. – Nie otrzymywaliśmy żadnych wieści ze wschodniej strażnicy. Mieli sprawdzić, co się tam dzieje.

Usatysfakcjonowany wyjaśnieniem Pakorus zwrócił się do legionisty, pozwalając mu mówić.

– Właśnie wróciło trzech ludzi, dowódco... – żołnierz się zawahał.

– Posłańcy?

– Nie. – Zapadła cisza. – Niedobitki.

Wszyscy oficerowie wciągnęli powietrze ze zdziwieniem. Tarkwiniuszowi udało się nie zdradzić z emocjami i tylko wpatrywał się w wartownika.

– Gdy dotarli do fortalicji, przekonali się, że garnizon został zmasakrowany, dowódco. Najprawdopodobniej był to kolejny atak Scytów.

W głowie Tarkwiniusza nagle pojawił się obraz złanej krwią podłogi baraku. I czerwonych plam na zaśnieżonym krajobrazie. Scytowie zawsze jeździli na kasztanowych koniach. Poczul przygnębienie.

– Mówili, że Darius wysłał dwóch posłańców z wiadomością – ciągnął żołnierz.

– Nikt się nie pojawił – przerwał Vahram.

– Musieli zostać schwytani – odezwał się Ishkan ponuro.

Zdenerwowany wartownik czekał na rozkazy oficerów.

– Kontynuuj – zażądał Pakorus.

– Nasz oddział został zaatakowany, dowódco. Wróg rozbił go całkowicie o świcie następnego dnia, gdy żołnierze próbowali wycofać się do fortu.

– I przeżyło trzech żołnierzy z...

– Dwóch centurii, dowódco – wszedł mu w słowo Vahram.

– A Darius? Jest tutaj?

Wartownik potrząsnął głową.

– Nie, dowódco.

Pakorus jęknął. Nie żyje prawie stu sześćdziesięciu mężczyzn, a teraz i Darius. Jeden z jego najlepszych oficerów.

– Liczebność Scytów? – zapytał.

Musiał powtórzyć pytanie.

– Mówili, że kilka tysięcy... – powiedział w końcu niepewnym głosem

wartownik.

Twarz Pakorusa zrobiła się biała.

– Mitro nad nami... – wymamrotał, żałując, że nie jest jeszcze w pełni sprawny.

– Jest środek zimy – odezwał się wątpięcym głosem Vahram. – Górskie przełęcze od strony Scytii są zasypane śniegiem!

– Ci ocaleni. Gdzie są? – zapytał nagle Pakorus.

– Dyżurny *optio* z warty odesłał ich do *valeudinarium* – odpowiedział szybko wartownik. – Mają wiele odmrożeń.

– Nic mnie to nie obchodzi! – wrzasnął Pakorus, który teraz aż poczerwieniał na twarzy. – Ściągnąć mi tu ich zaraz!

Wartownik i towarzyszący mu Part natychmiast zniknęli mu z oczu, zadowoleni, że nie zostali ukarani.

– Nie możemy tak tego zostawić – stwierdził zapalczywie Pakorus. Machnął ręką na Vahrama i Ishkana, zapraszając ich do pomieszczeń kwatery. Jakby po namyśle spojrzął też na Tarkwiniusza.

– Uwolnijcie go – rozkazał ludziom Ishkana. – I wnieście do środka.

Haruspik zacisnął zęby. Żołnierze nie obchodzili się z nim specjalnie delikatnie. Chwycili pod pachy i ułożyli przy ognisku. Mimo że jego ciało składało się z ran i siniaków i z trudem zachowywał przytomność, niepokoił się i koniecznie chciał wiedzieć, jakie wieści przynieśli ocaleni legioniści. Ból nasilał się przy każdym oddechu. Robił, co mógł, żeby się skoncentrować. Starał się zachować sprawność zmysłów. Partowie czekali na pojawienie się legionistów. Pakorus szybko usiadł na łóżku, a Ishkan i Vahram zajęli miejsca na drewnianych taboretach obok niego. Tarkwiniusz słyszał zlewające się przyciszone głosy. Trzeba będzie podjąć jakieś działania, żeby zareagować na najazd Scytów. I to szybko. Mimo że pora roku nie sprzyjała prowadzeniu kampanii, napastnikom nie wolno pozwolić na pustoszenie okolicy.

Tarkwiniusz martwił się tylko o to, czy jego przyjaciele znajdowali się wśród żołnierzy wysłanych na ten feralny patrol. Wszystko inne, nawet własne życie, nie miało dla niego w tym momencie żadnego znaczenia.

Wydawało mu się, że czekali całą wieczność, zanim usłyszeli głośnie pukanie do drzwi.

– Wejść! – zawołał Pakorus.

W drzwiach pojawiło się trzech legionistów. Ich twarze zmieniły się

w spierzchnięte maski, a stopy były jeszcze bardzo sine. Wyglądali na wyraźnie onieśmiałonych obecnością dowódcy Zapomnianego Legionu. Większość szeregowych żołnierzy nigdy nie miała okazji stawać twarzą w twarz z Pakorusem. Może z wyjątkiem tych, których czekała kara. O ile ich historia nie będzie wiarygodna, było bardzo prawdopodobne, że i oni jej nie unikną. Kilku stojących za nimi Partów popchnęło ich mocniej, żeby weszli dalej do pomieszczenia. Niechętnie zbliżyli się do oficerów. Nie zauważyli jeszcze zakrwawionego mężczyzny leżącego przy ognisku.

Tarkwiniusz rozpoznał ich od razu i jego serce zamarło. Nowius, Optatus i Ammias byli ludźmi z jego centurii, co oznaczało, że Romulus i Brennus nie przeżyli. Wyciągnął się na plecach. Łzy zaiskrzyły w jego oczach. Po wielu latach łaski Tinia w końcu go opuścił. Opuścił też tych, których pokochał. Mitra, bóg, któremu zaczął wierzyć, okazał się równie kapryśny.

– Słucham raportu – odezwał się Pakorus.

Oczywiście pierwszy przemówił Nowius. Opowiedział o przebiegu patrolu, okazując minimalne emocje. Jak wielu legionistów, słabo znał język Partów, dlatego Ishkan musiał pełnić rolę tłumacza. Tylko on poza Dariusem potrafił posługiwać się łaciną. Pakorus lub Vahram od czasu do czasu przerywali legionistów, zadając krótkie pytania. Poza tym oficerowie słuchali raportu w ciszy z szeroko otwartymi oczami. Opis ostatniego starcia wzbudził w Tarkwiniuszu wyjątkowe emocje, bo miał przed oczyma obrazy swoich przyjaciół umierających pod gradem zatrutych strzał Scytów.

Przechodząc do opisu rozbicia dwóch centurii, legionista zawahał się. Życie jego i towarzyszy zależało od tego, w jaki sposób przedstawi przebieg zdarzeń. Tchorzostwo nie było tolerowane ani w armii rzymskiej, ani w oddziałach partyjskich. Żołnierze, którzy uciekali z pola bitwy, byli natychmiast karani śmiercią. Opis ostatnich chwil oddziału musiał przekonać ich dowódcę.

I Tarkwiniusza.

Pakorus dobrze wiedział, dlaczego Nowius jest niespokojny.

– Jak to się stało – zaczął, uważnie dobierając słowa – że wy trzej nie zostaliście nawet ranni?

Ishkan przetłumaczył pytanie.

– Bogowie byli dla nas łaskawi, dowódczo – Nowius odpowiedział od razu. – Nie wyglądało na to, że będziemy jedynymi, którym się uda ujsć cało z tej potyczki. Gdy w końcu testudo się rozpadło, było z nami dwóch innych chłopaków. Niestety, zostali trafieni.

Na twarzach Optatusa i Ammiasa pojawił się podobny grymas.

– Zdecydowali się zostać w tyle, żeby opóźnić pościg, dowódco – powiedział Nowius, pochylając głowę. – Zawdzięczamy im życie.

Tarkwiniusz przyglądał się uważnie twarzy niskiego legionisty, szukając znaków mogących świadczyć o tym, że kłamie. Do tej pory jego historia brzmiała prawdziwie. Ale zauważył, że Nowius zerka teraz niepewnie w lewo. Jakaś złość sączyła się z niego jak płyn z przeciętego pęcherza żółciowego. Ranny haruspik nie wiedział dlaczego, ale nie lubił Nowiusa. Nie był w stanie mu zaufać.

– Rozumiem – Pakorus milczał przez kilka chwil. – I nikt inny nie przeżył?

Nowius spojrzał niepewnie na swoich towarzyszy.

Vahram zauważył to spojrzenie i rzucił się na legionistę jak kot na mysz.

– Nie byli sami!

Ammias dał Nowiusowi ledwo dostrzegalny znak. Podobnie uczynił Optatus.

Haruspik zamarł, widząc zachowanie, które wydawało się przeciwiczone. Partowie nie zauważyli nic niepokojącego. Może dlatego, że nie mówili płynnie po łacinie. Czy ta trójka opuściła centurię przed ostatnią walką? Czy obserwowali wydarzenia z bezpiecznej kryjówki, gdy ginęli ich towarzysze? Tarkwiniusz czekał.

– Bez wątpienia nie mieliśmy już szans, dowódco – przyznał niski legionista. – Niektórzy uciekli. To się zdarza.

– Ale nie wy? – odezwał się Pakorus.

Nowius wyglądał na oburzonego.

– Oczywiście, że nie!

Pakorus zdawał się wierzyć w przedstawioną wersję wydarzeń. Spojrzał na Ishkana i Vahrama. Wymienili między sobą kilka krótkich zdań, zastanawiając się głośno, czy relację Nowiusa można uznać za wiarygodną.

Wydawało się, że tak. Jednak Tarkwiniusz jakoś mu nie wierzył.

– Chcę znać imiona i stopnie tych, którzy uciekli – powiedział w końcu Pakorus.

Jego żądanie zostało przywitane ciszą.

– Chyba że chcecie skończyć na krzyżach?

Groźba dowódcy zawisła w powietrzu.

– Proszę o wybaczenie – poddańczo odpowiedział Nowius. Teraz naprawdę się bał. – Jesteśmy wiernymi żołnierzami należycie wypełniającymi rozkazy.

– Imiona! Natychmiast.

Nowius przełknął ślinę.

– Widziałem dokładnie tylko dwóch, dowódco. Obaj byli zwykłymi legionistami, ale nie Rzymianami.

Pakorus spojrział na niego groźnie. Dla niego pochodzenie ludzi pod jego dowództwem nie miało znaczenia.

– Romulus... – wyrzucił z siebie Nowius. – I wielki Gal o imieniu Brennus.

Tarkwiniusz już miał zaprotestować, ale zrezygnował. Gdyby Nowius podał inne imiona, pozwoliłby sobie na wyrażenie wątpliwości. Teraz jednak był absolutnie przekonany, że ten człowiek jest kłamcą. *Moi przyjaciele nigdy by nie uciekli!*

Pakorus uniósł się gniewem. Jak mógł zapomnieć o tym młodym żołnierzu, który odmówił oddania mu swojej tarczy? To była ostatnia rzecz, jaką zapamiętał, zanim trafiła go scytyjska strzała.

– Tchórzliwy sukinsyn!

– Znam tych żołnierzy, dowódco – syknął Vahram. Jego wzrok błędził po ciele Tarkwiniusza, który teraz udawał nieprzytomnego. – To zdradliwe dranie. Jego przyjaciele – wskazał kciukiem haruspika.

Nowius rozumiał na tyle partyjski, by skierować wzrok tam, gdzie wskazywał Vahram. Dostrzegł postać leżącą przy ognisku. Uśmiechnął się złowrogo, rozpoznając rannego. To był przecież ich centurion, nie-Rzymianin. Został w forcie, gdy oni ruszyli na patrol. Rany Tarkwiniusza świadczyły o tym, że jego pozycja również uległa zmianie.

– Tak jest, dowódco – potwierdził, sącząc jad. – A centurion zawsze ich faworyzował.

– Czy udało im się uciec? – zapytał Pakorus.

– Nie mam pewności... Wszystko działo się w zamęcie bitwy.

Optatus i Ammias pokiwali głowami.

Dowódca legionu uśmiechnął się wilczo, pokazując nierówne, zażółcone zęby.

– Miejmy nadzieję, że te parszywe psy wpadły w łapy Scytów. Albo że bogowie sprawią, że to my będziemy mogli ich ukarać.

Nowius pokiwał głową, ukrywając błysk triumfu w oczach.

Intuicja haruspika podpowiadała mu prawdziwą historię. To ci trzej obszarpańcy uniknęli masakry, opuszczając swoich towarzyszy broni. Po jakimś czasie dostrzegli Romulusa i Brennusa, którym udało się wyrąbać sobie drogę na wolność. Nie wiedział, czy ma się z tego cieszyć, czy płakać. Jego przyjaciele mogą jeszcze żyć, ale są sami w zamarznętym pustkowiu bez pożywienia. Nawet jeśli udało im się zwieść

Scytów i dotrą do fortu, czeka ich tu pewna śmierć.

Nie mógł nic zrobić.

Czuł się całkiem bezradny. Osłabiony przez rany i zimno runął w przepaść nieświadomości.

Rozdział XIII

Zdrada



Margiana, zima 53/52 r. p.n.e.

Pierwszym świadomym doznaniem Romulusa był straszliwy ból, który wypełniał każdy zakamarek jego głowy. Atakował potężnymi falami, usuwającymi z jego umysłu wszelkie inne odczucia, całkowicie pozbawiając go energii. Potem zwykle następowała krótka chwila spokoju, po której ból powracał, szamocząc się pod czaszką. Zdawało mu się, że minęły wieki, zanim mógł się wreszcie poruszyć. Zgiął delikatnie palce u rąk i stóp, sprawdzając, czy ciągle jeszcze ma w nich czucie. Zmarzł. Kończyny były zdrętwiałe. Ale przynajmniej nadal mógł nimi ruszać! Uświadomił sobie, że leży płasko na plecach, na szorstkiej kamiennej podłodze. Ostrożnie otworzył oczy.

Wyglądało na to, że sufit znajduje się niemal w zasięgu ręki. Leżał w niskiej jaskini. Gdy przekreślił głowę, ujrzał umięśnione plecy Brennusa. Gał pochylał się nad słabym płomieniem ogniska. Odetchnął z ulgą. Wciąż byli wolni. Mitra ich ocalił.

– Gdzie jesteśmy? – wychrypiął pytanie, czując, że jego gardło wysycha z pragnienia.

Gał obrócił się na pięcie. Wielki uśmiech zagościł na jego twarzy pokrytej krwią.

– Niech dzięki będą Belenusowi! Nie byłem pewien, czy przypadkiem nie pękła ci czaszka.

Romulus podniósł rękę i obmacał tył głowy, badając delikatnie jej stan.

– Nie sądzę... – odparł, krzywiąc się z bólu, gdy jego palce natrafiły na guz wielkości pięści tuż nad linią włosów. – Chociaż cholernie boli.

– Na szczęście ten kawałek blachy przyjął większą część energii – powiedział Brennus, unosząc z ziemi poobijaną bryłę z brązu, która przy odrobinie wyobrazni

mogła zostać uznana za hełm. – Długo nie mogłem go zdjąć.

– Co się stało?

– Primitiwus. Zakradł się od tyłu i dzielił cię w głowę – wyjaśnił Brennus. Z jego ust unosiły się kłęбки pary. – Od razu zabiłem skurczybyka, ale ty leżałeś już na ziemi bez ruchu.

Weterani nie cofali się przed niczym. Romulus pokręcił głową z niedowierzaniem, wywołując kolejną falę bólu.

– Jesteś ranny?

– Nie. To krew Primitiwusa.

Romulusowi ulżyło.

– Na Hades! Jak udało nam się ująć przed tą masakrą?

– Gdy zabiłem Primitiwusa, Nowius i jego kumple próbowali zwać. Dwaj lub trzech inni legioniści też – powiedział Brennus. – Odciągnęli wielu Scytów. Pozostali skupili się na tych, którzy jeszcze walczyli. Czułem, że to jeszcze nie jest mój czas, aby umrzeć. Nie wiedziałem jednak, czy żyjesz, więc położyłem się na ziemię i wczółgałem pod ciało Primitiwusa. Jazda odjechała, zostawiając nas na otwartym terenie. Walki trwały jeszcze przez jakiś czas, ale nikt już nie patrzył w naszym kierunku. Wtedy wystarczyło tylko wynieść cię ze stosu trupów i ukryć się za najbliższym wzniesieniem. Jak tylko trochę odpocząłem, zatargałem cię z dala od szlaku. Znalazłem tę jaskinię po jakiejś połowie mili.

Młody żołnierz mógł tylko podziwiać siłę swojego przyjaciela. Mimo że Brennus mówił tak lekko o pokonanej drodze, niewielu ludzi potrafiłoby ją przejść, taszcząc bezwładnego towarzysza.

– A co z resztą?

Twarz Gała pociemniała.

– Odeszli – powiedział ciężko. – Raz spojrzałem za siebie i widziałem, że może z piętnastu naszych jeszcze walczyło. Ale Scytowie wokół nich roili się jak szczury. Nie mieli szans.

Romulus zamknął oczy. Mimo że legioniści niedawno odwrócili się od nich, sprawiając, że czuli się wyrzutkami, zrobiło mu się bardzo przykro. Służyli w tej samej centurii przez ponad pół roku, a w tej samej armii od ponad dwóch lat.

– Nie zginęli na próżno – powiedział cicho Brennus. – Dzięki nim przeżyliśmy.

– Z tą świadomością czuję się jeszcze gorzej.

– Tak, to większe obciążenie – zgodził się Brennus, wspominając ofiarę swojego

wuja.

– Pomyśl tylko, co zrobili Scytowie z ciałami tamtych nieszczęśników w strażnicy.

– Nie myśl o tym. To, że udało nam się uciec, oznacza, iż bogowie tak całkiem o nas nie zapomnieli. Przeżyliśmy, aby któregoś dnia znów stanąć do walki.

– To prawda – przyznał Romulus. – A co z Nowiusem i jego pozostałymi kumplami? Przeżyli?

Brennus spochmurniał.

– Nie wiem. Miejmy nadzieję, że nie.

Nie mając koców, żywności i sprzętu, przyjaciele musieli opuścić małą jaskinię. Zapewniała tylko schronienie i może trochę osłony przed kaprysmi pogody. A przecież trzeba było szybko dostarczyć do fortu wiadomość o ataku Scytów! Wrogowie wkrótce zaatakują ponownie. Może nawet uderzą na fort. W jasnym świetle gwiazd przyjaciele zmiierzali na wschód. Nie natrafili na żaden ślad Scytów, co oznaczało, że prawdopodobnie nikt nie wiedział o ich ucieczce. Chociaż tyle dobrze... Brennusowi udało się zabrać z pola walki swój długi miecz, ale Romulus miał do obrony tylko *pugio*. Żaden z nich nie miał tarczy. W takiej sytuacji jakiegokolwiek spotkanie z wojownikami Scytów mogło skończyć się tylko w jeden sposób.

Odoczynek w jaskini nie wystarczył Romulusowi na długo. Przedzieranie się przez głęboki śnieg, przy niskiej temperaturze szybko wyczerpywało jego siły. W głowie mu huczało i młody żołnierz dziękował bogom, że może wesprzeć się na silnym ramieniu Brennusa. Po jakimś czasie odzyskał siły i determinację. Poza tym marsz był najlepszym sposobem na rozgrzanie się. Ukryte pod płaszczami kolczugi schładzały ciało, a odsłonięte nogi marzły do kości. Pot zbierał się na ich czołach, ale powietrze było tak zimne, że bolał ich każdy oddech.

Gdy ujrzeli ciemny punkt krzyża na rozstajach dróg, Romulus odetchnął z ulgą. Pokonali bardzo długą drogę. Byli prawie na miejscu. W świetle gwiazd zamrożone ciało legionisty na krzyżu wyglądało jeszcze bardziej przerażająco. Gdy przechodzili obok, nie mogli oderwać od niego wzroku. Kości zostały niemal do cna oczyszczone z mięsa i właściwie na krzyżu wisiał tylko szkielet. Wygłodniałe sępy pożarły nawet narządy wewnętrzne. W pozbawionej warg czaszce szczyrzyły się zęby. Puste oczodoły zdawały się śledzić każdy ich krok. Tym razem jednak Romulus nie miał

żadnych wizji. Żadnych obrazów nakładających się na obraz pozbawionych mięsa kości. Ale wspomnienie wizji wciąż było żywe w jego pamięci. Tarkwiniusz też widział drogę do domu. *Mitro! Pomóż mi wrócić do Rzymu.*

Brennus złożył palce w znak mający chronić przed złem.

– Ciężka śmierć, co?

Romulus potrząsnął głową i natychmiast poczuł, że głowa zaboląa go bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

– Nigdy nie dam się ukrzyżować.

– Ani ja – obiecał sobie Brennus.

Jednak obaj dobrze wiedzieli, że powrót do fortu może skończyć się na krzyżu. Nie byli w stanie przewidzieć, jak chimeryczny *primus pilus* zareaguje na wieść o rozbiciu patrolu.

– Co powinniśmy robić?

– Zaufać bogom – stwierdził Brennus. – Powiedzieć prawdę. Nie zrobiliśmy nic złego.

Romulus westchnął. I tak nie mają wielkiego wyboru. Już wcześniej wiara Brennusa pozwalała mu przetrwać w tak trudnych chwilach jak ta. Co nie znaczy, że Romulus bezrefleksyjnie akceptował prosty fatalizm przyjaciela. Tu, w zapomnianej przez bogów Margianie, jedynym pewnikiem była śmierć. Jednak uratowali się z zasadzki i Romulus był gotów dziękować za to tylko Mitrze. Niewiele brakowało, a Brennusowi pozostałaby jedynie beznadziejna walka do śmierci. A potem Scytowie odciąłoby im głowy.

Maszerowali w ponurym milczeniu, ledwo przebierając nogami.

Dniało już, gdy na horyzoncie zamajaczyła palisada fortu. Tym razem czujny wartownik wezwał do podania hasła, gdy byli jeszcze dość oddaleni od głównej bramy. Brennus wykrzyczał odpowiedź, chociaż ich proste hełmy zakończone grzebieniami oraz przepisowe wyposażenie rzymskich legionistów nie pozostawiało żadnych wątpliwości odnośnie do tego, kim są. Brama została natychmiast otwarta. Byli bezpieczni.

A przynajmniej tak im się wydawało.

Gdy odrzwia otworzyły się z przeraźliwym skrzypieniem, przyjaciele nie zostali powitani w forcie tak, jak się spodziewali. Zgromadzeni przy bramie legionieci spoglądali na nich z pogardą i gniewem. Gdy tylko znaleźli się w środku, otoczyli ich żołnierze z uniesionymi mieczami i tarczami.

– Chwila! – zjeżył się Brennus. – Co się dzieje?

– Nie my, ale Scytowie są wrogami – dodał Romulus.

– Naprawdę? – jednooki, szpakowaty żołnierz splunął w ich kierunku. – Tchórze!

– Cooo? – Romulus nie mógł uwierzyć w to, co słyszał. – Brennus walczył jak lew, żeby nas wydostać. Uratował mi życie!

– Kłamca! – krzyknął inny wartownik.

– Uciekliście i zostawiliście swoich towarzyszy na pewną śmierć – wołał trzeci.

– Nowius pierwszy dotarł do fortu – przerażony Romulus szepnął Brennusowi. – Śmierząca kupa łajna! *A Brennus postąpił tak, jak kazali mu bogowie.*

Gal pokiwał zrezygnowany głową. Wpadli z deszczu pod rynnę.

– Oczywiście, że uciekli – odezwał się z wściekłością jednooki legionista. – Bo to są pieprzeni niewolnicy!

– Nigdy przed nikim nie uciekaliśmy – zaczął Brennus ze złością, ale po chwili przed jego oczyma pojawił się obraz wsi Allobrogów w płomieniach. *Zostawiłem żonę i dziecko na pewną śmierć.* To wciąż bolało. Zamilkł.

Jego słaby protest spotkał się z chórem drwin i Gal opuścił głowę.

Romulus już miał powiedzieć coś więcej, ale jedno spojrzenie na twarde, nieprzejednane twarze dookoła wystarczyło, żeby słowa utknęły mu w gardle. Regularne fale przypływów i odpływów bólu w głowie utrudniały koncentrację, więc zamknął usta. *Nie opuszczaj nas, Mitro! Nie teraz.*

– Powinniśmy po prostu ich zabić – odezwał się jakiś głos z tyłu. – Tu, na miejscu.

Słyszając takie dictum, przyjaciele chwycili za broń, przygotowując się do walki na śmierć i życie.

– Ciszta! – wykrzyknął dyżurny *optio*. – Pakorus chce ich natychmiast widzieć. Bez wątpienia przygotuje im coś specjalnego.

Rozległy się okrutne śmiechy.

Romulus i Brennus spojrzeli po sobie pustym wzrokiem. Wydawało się, że dowódca legionu jednak przeżył, co oznaczało, że żyje również Tarkwiniusz. Jednak tak wrogie przyjęcie oznaczało, że mogą go już nigdy nie zobaczyć.

– Odbierzcie im broń – powiedział szybko *optio*. – Zwiążcie im ręce.

Wartownicy sprawnie wykonali rozkazy, zabierając Galowi długi miecz i pozbawiając Romulusa jego *pugio*. Żaden z nich nie próbował się sprzeciwić. Teraz byli całkowicie zdani na łaskę Pakorusa. Żołnierze mocno i pewnie związali grubą

liną ich nadgarstki za plecami. Wśród zaczepek i kopniaków pomaszrowali do kwatery dowódcy legionu.

Fort dopiero budził się. Jakiś kogut zapiał kilka razy z kurnika przy stajni dla mułów. Piekarze właśnie wyjmowali z pieców świeże bochenki, a ich zapach roznosił się po obozie. Z baraków powoli wychodzili legioniści, ziewając i przeciągając się. Chrzękali i kaszleli, żeby oczyścić gardła z flegmy, która teraz lądowała na zamrzniętej ziemi. Pod latrynami zaczęły tworzyć się kolejki. Mężczyźni żartowali i śmiali się ze swoich kawałów. Niewielu z nich zwracało uwagę na małą grupkę zdążającą do kwatery dowódcy...

Dopóki jednooki żołnierz nie uznał, że zasłużyli na więcej rozgłosu.

– Patrzcie chłopcy, kogo tu mamy! – ryknął. – Zbiegli niewolnicy!

Optio odwrócił się i zgromił legionistę wrokiem, ale było już za późno. Senne jeszcze twarze wykrzywiły się w grymasach złości. Żołnierze rzucali obelgi. I nie tylko. W ich stronę poleciały plwociny. Wszyscy powtarzali te same przekleństwa, a Romulus gotował się ze złości i wstydu.

– Tchórze!

– Zostawiliście towarzyszy na śmierć!

– Ukrzyżować ich!

Via Praetoria zaroiała się od mężczyzn, którzy otoczyli *optio* i jego ludzi. Przepychali się, żeby dotrzeć do więźniów. Wartownicy nie stawiali zbyt wielkiego oporu.

Romulus skurczył się w sobie, próbując uniknąć nienawistnych spojrzeń i rąk wymierzających razy. Przeżyli ostatnie dni, które były koszmarem, a teraz tu, gdzie spodziewali się spokoju i bezpieczeństwa, znaleźli tylko jad i obelgi. Lincz i śmierć z rąk towarzyszy? To nie mogła być prawda! Brennus zgarbił się i opuścił ramiona. Zdawał się w ogóle nie przejmować tym, co się dookoła dzieje. Wyszedł z założenia, że tak wygląda kara za to, że porzucił rodzinę. Ostateczna zemsta bogów. Nie będzie miał szansy na odkupienie swoich win w boju.

– Odsunąć się! – krzyknął *optio* i energicznie rozdzielał razy swoją laską, objając ramiona i barki co bardziej zuchwałych legionistów. – Każdy, kto ich skrzywdzi, dostanie pięćdziesiąt batów!

Żołnierze niechętnie zrezygnowali z ataków, więc grupa mogła podążyć w kierunku kwatery Pakorusa. Nawet partyjscy strażnicy pozwalali sobie na niewybredne komentarze. Reakcja żołnierzy znajdujących się za bramą, na dziedzińcu kwatery, nie różniła się od reakcji szeregowych legionistów. W drzwiach

biur i magazynów, rozmieszczonych po trzech stronach placu, szybko pojawiły się zaciekawione twarze, wyrażające dezaprobatę. Kwatery były centralnym punktem, gdzie łączyły się wszystkie nitki systemu logistycznego fortu. W tym miejscu pracował kwatermistrz i swoje kwatery miało wielu młodszych oficerów oraz pracowników administracyjnych, dbających o to, aby złożony organizm, jakim był wielotysięczny Zapomniany Legion, funkcjonował bez zarzutu. Niewielu z nich kiedykolwiek brało udział w walkach, ale ich stosunek do tchórzy był taki sam jak większości żołnierzy. Dezercja była jednym z najbardziej tchórzliwych zachowań. Zawsze karano ją śmiercią.

Ich życie zależało od Pakorusa. Teraz jeszcze bardziej niż wcześniej.

Zabrano ich do przestronnego pomieszczenia, które bezpośrednio sąsiadowało z bramą wejściową. *Optio* zameldował się u centuriona na nocnej służbie. Natychmiast wysłano posłańca po Pakorusa i starszych oficerów.

Romulus złapał się na tym, że zerka w stronę miejsca, gdzie trzymano srebrnego orła legionu. Znajdował się razem z innymi insygniami oddziałów w specjalnym pomieszczeniu w pobliżu głównych biur, gdzie dzień i noc pilnowała ich warta honorowa. Zazwyczaj osłanianio je ciężkimi zasłonami. Romulus poczuł potrzebę pokłonenia się metalowemu ptakowi. Chciał prosić go o pomoc. Właśnie tu, w forcie, gdzie jego moc była najsilniejsza. Nie mógł jednak liczyć na spełnienie tego marzenia. Nikt nie pozwoliłby niewolnikowi oskarżonemu o dezercję modlić się do najważniejszego symbolu legionu.

Zamiast tego Romulus wyobraził sobie srebrnego orła. Ptak z rozpostartymi skrzydłami był wspaniałym symbolem potęgi Rzymu. Chłopak nie zapomniał również o Mitrze. Bóg wojowników z pewnością zrozumie, jak ważny jest dla niego symbol legionu. Był rzymskim żołnierzem i podążył za symbolem legionu z prawdziwą dumą. Symbol nie umniejszał jego wiary w boga wojowników, który obdarzał wszystkich męźnych ludzi taką samą łaską. Romulus był przekonany, że orzeł również cenił przede wszystkim odwagę i nie interesuje go, czy jest niewolnikiem, czy wolnym obywatelem.

– O, proszę! – usłyszeli głos Pakorusa. – I mamy powrót tchórzy.

Pakorusowi towarzyszyli Ishkan i Vahram oraz pozostali wyżsi oficerowie legionu. Za nimi pojawiła się duża grupa partyjskich wojowników. Brakowało tylko Dariusa. Mimo wczesnej godziny wszyscy Partowie chcieli uczestniczyć w tym wydarzeniu. Romulus stwierdził, że Pakorus nadal wygląda na bardzo osłabionego, a mimo to na jego zapadniętych policzkach wyraźnie rysowały się czerwone plamy

wściekłości. Gniew dawał mu siłę.

Nie było śladu po Tarkwiniuszu, człowieku, któremu Pakorus zawdzięczał życie. Romulus był rozczarowany. To oznaczało, że czeka ich jeszcze cięższa przeprawa. Gdyby haruspik wrócił do łask, mieliby większe szanse wyjść z tej awantury cało.

Gdy oficerowie zatrzymali się, *optio* i jego ludzie wypchnęli Romulusa i Brennusa do przodu.

– Co macie nam do powiedzenia? – zapytał surowo Pakorus.

– Zanim zostaniecie ukrzyżowani – dodał Vahram z okrutnym uśmiechem.

– Szumowiny... – odezwał się Ishkan.

Romulus spojrzął na Brennusa i wstrząśnięty ujrzał w jego oczach jedynie akceptację swojego losu.

– To jest moje przeznaczenie – wyszeptał Gal. – Opuściłem własną rodzinę i moich ludzi, kiedy mnie najbardziej potrzebowali.

– Nie – syknął Romulus. – To nie była twoja wina! Twoja podróż się nie skończyła. – To nie było jednak ani miejsce, ani czas, żeby przekonywać przyjaciela. Teraz sam musiał zmierzyć się z przeznaczeniem.

Optio zdzielił go kijem mocno po łopatkach.

– Odpowiedz dowódcy!

Zacisnął zęby, żeby powstrzymać się przed zaatakowaniem młodszego oficera. Może chociaż Partów przekona do swojej wersji wydarzeń.

– To nie my uciekliśmy z pola bitwy – na słowa Romulusa Vahram odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się w głos. Pakorus i inni po prostu patrzyli na niego z niedowierzaniem w oczach. – Taka jest prawda – Romulus wziął głęboki oddech i starał się zachować spokój. Jakoś udało mu się nie myśleć o dudniącym bólu w głowie. Skoncentrował się. Najważniejsze było przekonanie partyjskich oficerów. – Gdzie są te kłamliwe kanalie, które oskarżyły nas o ucieczkę, dowódcu? Niech chociaż staną przed nami, żebyśmy usłyszeli zarzuty z ich ust.

Pakorus wyglądał na zaskoczonego.

– To nawet sprawiedliwe, dowódcu – odezwał się Ishkan.

– I po co? – Vahram zaprotestował. – Spójrzcie na nich! To oczywiste, że te psy są winne.

Dowódca legionu przyglądał się dłuższą chwilę Vahramowi w zamyśleniu, po czym uniósł rękę. *Optio* natychmiast ruszył wykonać jego polecenie.

Dziękuję ci, Mitro! Romulus pozwolił sobie na małe westchnienie ulgi. Najwyraźniej

pomiędzy Pakorussem i Vahramem jest jakiś konflikt. Gdyby udało mu się wykorzystać to w ich sprawie, może mieliby jakąś szansę.

– Chwilę poczekamy, a ty w tym czasie opowiedz nam swoją wersję wydarzeń – rozkazał Vahram.

Romulus streścił ostatnie godziny. Gdy skończył, wyglądało na to, że przekonał Ishkana. Jednak Pakorus i zwłaszcza Vahram ciągle mu nie wierzyli.

Zrozpaczona mina Brennusa w niczym nie pomagała. Gal stał sztywno obok Romulusa, wbijając wzrok w podłogę.

Partowie wymienili między sobą kilka szybkich zdań w swoim języku. Z ich gestów i machania ramionami można było wywnioskować, że *primus pilus* chciał ich śmierci. Ishkan wydawał się im wierzyć. Mówił głębokim, spokojnym głosem. Pakorus zmrzążył oczy i długo się nad czymś zastanawiał.

W końcu wrócił *optio*. Nowius, Optatus i Ammias szli dwa kroki za nim. Wyglądało na to, że wyrwano ich z łóżek. Jednak już po chwili, gdy tylko zobaczyli Romulusa i Brennusa, po ich senności nie zostało ani śladu. Nowius skrzywił się z nienawiścią i wymamrotał coś do swoich towarzyszy.

– Ten młody żołnierz mówi, że kłamiecie – stwierdził Pakorus bez żadnych wstępów. – Że tak naprawdę to wy uciekliście z pola walki.

Rozwścieczony Optatus już otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Nowius położył uspokajająco dłoń na jego ramieniu.

– To oczywiście, że tak mówi, dowódco – zaczął legionista ugrzecznonym tonem. – Ale jego słowom nie można ufać. On i jego kolega są tylko cholernymi niewolnikami. Nie obywatelami, tak jak my.

Optatus i Ammias pokiwali głowami. W Rzymie świadectwo niewolnika uznawano za wiążące tylko wtedy, jeśli uzyskano zeznanie podczas tortur.

Pakorus zdziwiony uniósł brwi. Ishkan pochylił się do niego i szepnął mu coś do ucha. Słyszał o tym, że wcześniej przyjaciele znaleźli się na marginesie społeczności legionistów.

– Idiota! – warknął Pakorus. – Wszyscy jesteście na mojej łasce. To, co było przed Carrhae, nie ma znaczenia.

– Ale nie dla nas, dowódco – Nowius mówił z przekonaniem. – To bardzo ważne.

– To prawda... – dodał Ammias.

Pakorus zrozumiał tyle, że ta kwestia jest naprawdę ważna dla legionistów. Spojrzał na Romulusa.

– Czy to prawda? Jesteście niewolnikami?

Nie było sensu kłamać. Tę konfrontację wygra tylko ten, kto będzie mówił prawdę.

– Jesteśmy – westchnął ciężko.

Brennus posłał mu zaniepokojone spojrzenie, ale Romulus zachował spokój.

– Wiedziałem! – Nowius aż zapał z zachwytu. Jego przyjaciele wyglądali na równie zadowolonych z obrotu sytuacji.

Pakorus czekał.

– Ale to wcale nie znaczy, że uciekliśmy – warknął Romulus. – Nikt nie ma monopolu na odwagę. Nawet niewolnik może wykazać się męstwem.

– To prawda – przyznał Pakorus. – Tylko że ja nie umiem powiedzieć, kto z was kłamie – stwierdził. A następnie zwrócił się do Vahrama.

– Całe to tałatajstwo sprawia tylko kłopoty ponad moje siły. Ukrzyżuj ich wszystkich.

Zadowolony *primus pilus* zasalutował energicznie. Wykonanie takiego rozkazu sprawi mu przyjemność. Nie interesowało go, ilu legionistów skończy na krzyżu. Zdecydowanie nie ufał przyjacielom Tarkwiniusza – wielkiemu jak góra Galowi i jego protegowanemu. Vahram machnął ręką i wokół Nowiusa i jego kumpli zaroilo się od partyjskich wojowników.

Weterani rozglądali się z przerażeniem.

Tymczasem Pakorusa coś tknęło. Widział reakcję trzech weteranów. Bardzo różniła się od reakcji Romulusa i Brennusa, którzy wydawali się akceptować swój los.

– Stać! Zmieniłem zdanie – wskazał ręką Nowiusa, Optatusa i Ammiasa. – Staniecie do walki z niewolnikami – powiedział. – Na śmierć i życie.

Niski legionista spojrzął niepewnie na swoich towarzyszy.

Trzech na dwóch – pomyślał Romulus. – *Nie jest źle.* Nawet Gal uniósł głowę. Romulus przyglądał się podejrzliwie Pakorusowi. Skąd ta nagła zmiana?

Vahram najpierw nie potrafił ukryć rozczarowania, ale po chwili uśmiechnął się. Domyślał się, co się święci. Pakorus jeszcze nie skończył...

– Niewolnicy waszym zdaniem nie mogą być żołnierzami – ciągnął dowódca legionu – dlatego nie będą mieli broni. Staną do walki z gołymi rękami przeciwko trzem mieczom. – Romulus otworzył szeroko usta ze zdziwienia, podczas gdy Nowius z trudem ukrywał radość. – Bogowie zdecydują, kto mówi prawdę –

dokończył Pakorus.

– Kiedy? – zapytał Ishkan.

Dowódca zatarł ręce.

– Teraz.

– Dlaczego nie? – Brennus wreszcie wyprostował plecy. *Przynajmniej dzięki temu zginę w walce.*

Romulus zacisnął zęby, zdecydowany umrzeć jak mężczyzna.

Bogowie dali im szansę, choć prawdopodobieństwo tego, że przeżyją ten pojedynek, było naprawdę nikłe.

Bez zwlekania ruszyli na *intervallum*. Pakorus chciał, żeby walkę oglądało jak najwięcej ludzi, dlatego pospiesznie zebrano żołnierzy z najbliższych baraków. Legioniści nie potrzebowali zachęty. Wylali się na ulicę, ciesząc się na myśl o nieplanowanej rozrywce. Romulus rozejrzał się wokoło. Zamiast na placu otoczonym linami w *ludus* znalazł się teraz wewnątrz kwadratu ze ścianami z tarcz dziesiątków legionistów. W regularnych odstępach między rzymskimi żołnierzami ustawiono łuczników. Inna grupa partyjskich wojowników ochraniała Pakorusa i starszych centurionów.

Więźniom rozwiązano ręce. Romulus i Brennus stali teraz w jednym rogu tej prowizorycznej areny, pocierając nadgarstki i próbując przywrócić krążenie krwi. Nie zwracali uwagi na ciekawskie spojrzenia. Z większym trudem przychodziło im jednak ignorowanie rzucanych w ich stronę obelg. To przecież byli ich dawni towarzysze broni. Romulus gotował się w środku, gotowy zaprzeczać wszystkim oskarżeniom, ale tłumaczył sobie, że musi oszczędzać energię, bo za chwilę będzie potrzebował wszystkich sił, jakie tylko uda mu się zgromadzić. Nowius, Ammias i Optatus zajęli pozycje w przeciwległym rogu. Dano im wybrane elementy zbroi, dlatego od razu zajęli się dopasowywaniem kolczug i hełmów z brązu. Od razu też pojawił się przy nich ranny Kajusz z obwiązanym udem. Na jego twarzy wyraźnie rysowała się ulga, że nie musi walczyć.

Romulus zastanawiał się nad strategią walki. Przynajmniej jeden z nich musi zdobyć broń. I to szybko. Doświadczeni żołnierze, tacy jak Nowius, nie potrzebują dużo czasu, żeby zranić lub zabić dwóch nieuzbrojonych mężczyzn.

– Rozdzielimy się – szepnął Brennus.

Romulus nie mógł uwierzyć własnym uszom.

– Mamy szansę tylko, gdy będziemy się trzymać razem – zaprotestował.

– Jestem większy. Dwóch z nich pójdzie za mną – powiedział Gal pewnie. – Dzięki temu będziesz miał większą szansę na odebranie broni trzeciemu.

Nie mieli zbyt wielkiego wyboru taktyki walki.

– Jak sobie poradzisz?

– Dam radę – odpowiedział ponurym tonem Brennus. – Po prostu zdobądź miecz.

Romulus nie potrafił wymyślić nic lepszego, a nie mieli za dużo czasu na zastanawianie się.

Weterani byli już gotowi do starcia. W kolczugach, tarczach i z *gladii* w rękach... tymczasem perspektywa przyjaciół nie wyglądała zbyt różowo.

– Zaczynać – krzyknął Pakorus.

Zapadła cisza.

Dowódca legionu rzucił rozkaz i jego ludzie unieśli łuki.

– Strzelać, gdy policzę do trzech – powiedział. – Jeden...

Romulus był wściekły. W *ludus* łucznicy Memora zmuszali go do walki z Gotem o imieniu Lentulus. Tamta walka również toczyła się na śmierć i życie. Ale wtedy przynajmniej był uzbrojony. Serce waliło mu w piersi. Jakie mieli szansę?

Trzej weterani stanęli ramię przy ramieniu. Unieśli miecze i złączyli *scuta* tak, żeby tworzyć małą ścianę tarcz.

– Dwa...

Legioniści ruszyli do przodu z ponurymi, niewzruszonymi twarzami.

Zadowolony Pakorus zamilkł.

To lepsze niż ukrzyżowanie – pomyślał Brennus, czując przypływ adrenaliny.

– Teraz... – powiedział cicho i rzucił się w bok.

Romulus skoczył w przeciwnym kierunku.

Ku ich zadowoleniu na twarzach Nowiusa i jego towarzyszy pojawiło się zaskoczenie. Weterani szybko jednak odzyskali rezon. Po krótkim wahaniu Nowius i Ammias skierowali się w stronę Romulusa. Optatus ruszył za Brennusem, rozgrzewając w międzyczasie ramiona zamaszystymi ruchami.

Romulus zaklął. Plan Gala nie powiódł się. Weterani uznali, że lepiej najpierw unieszkodliwić słabszego przeciwnika.

Jego.

– Tchórzycie przed walką i nawet nie umiecie obronić się nawzajem, co? – zadrwił Nowius, gdy weterani podeszli bliżej.

– Nie zdezerterowaliśmy. To wy zwialiście. Pieprzeni kłamcy.

Ammias faktycznie wyglądał, jakby czuł się winny.

– Zamknij się – syknął Nowius, rzucając się do przodu w wypadzie z gladiusem w rękę. – Brudny niewolnik!

Jeśli uda mi się go zdenerwować, może będę miał cień szansy – pomyślał Romulus. Zrobił unik w lewo. Ammias wyprowadził szybkie pchnięcie, więc musiał błyskawicznie odskoczyć do tyłu. Mężczyźni napawali się swoją przewagą. Rozdzielili się, żeby zająć Romulusa z dwóch stron.

Młody legionista miał krótką chwilę na zastanowienie się, zanim został zaatakowany z przodu i z tyłu. Nowius był bardziej niebezpieczny i tylko on mógł przejrzeć jedyny podstęp, jaki wpadł mu do głowy. Musiał działać natychmiast. Podbiegł do przodu i w ostatniej chwili rzucił się na ziemię przed Ammiasem, tocząc się tak, żeby podciąć nogi przeciwnika. Ryzykowny plan się powiódł i weteran poleciał do przodu z przekleństwem na ustach. Obciążony bronią i kolczugą przez jakiś czas był bezradny. Romulus przekręcił się i skoczył na równe nogi, wymierzając potężnego kopniaka w niezabezpieczoną pachwinę wroga. Ammias wrzasnął i upuścił miecz.

To była szansa, o którą się modlił. Pochylił się i chwycił gladius weterana. Nie miał na razie szans na zdobycie tarczy. Odsunął się, aby uniknąć śmiertelnego pchnięcia Nowiusa, który znalazł się tuż za jego plecami, chcąc pomóc przyjacielowi. Romulus wycofał się, ostrożnie stawiając nogi obute w sandały, aby mieć pewność, że nie straci równowagi na oblodzonej ziemi. Niski weteran nie zaatakował go od razu, ale pomógł Ammiasowi, który wyglądał raczej na zawstydzonego niż wściekłego. Na trik Romulusa mógł nabrać się tylko ktoś zupełnie niedoświadczony. Krzywiąc się z bólu, wyciągnął *pugio* i zamachnął się na Romulusa.

– Gotowyś poczuć to w swoich trzewiach? – zawołał.

– Chodź i spróbuj – zadrwił Romulus, unosząc miecz.

Weterani ruszyli w jego stronę truchtem, już teraz bardzo zdecydowanie.

Romulus ciężko oddychał, wciągając głęboko do płuc zimne powietrze. Jego sytuacja była tylko odrobinę lepsza niż wcześniej. Zerknął przez ramię, aby zobaczyć, jak radzi sobie Brennus. Z ulgą stwierdził, że Gal nie został jeszcze ranny. Tańczył wokół Optatusa, nurkując i unikając pchnięć.

Przeciwnicy Romulusa znów się rozdzielili, tym razem przygotowując się do uderzenia na niego w tym samym czasie.

Jego palce zacisnęły się mocno na kościanej rękojeści miecza. Przyglądał się im

z uwagą. To decyzje podejmowane w chwilach takich jak ta odsiewają tchórzy od ludzi odważnych. Mógł zrobić tylko jedno. Zaatakować. Jeśli zaczeka, aż go dopadną, walka skończy się w ciągu kilku uderzeń serca. Który? Miał zaledwie ułamek sekundy na decyzję. Nowius. Był niższy.

Romulus ruszył prosto na przeciwnika, który szeroko otworzył oczy, uświadamiając sobie zuchwałość tego ataku. Przygotował się do starcia, chowając się od karku po stopy za *scutum*. Rozmiar zakrzywionej tarczy niemal uniemożliwiał poważniejsze zranienie człowieka, który ją trzymał. Ale Romulus nie zamierzał zranić Nowiusa. Na razie... Zbliżając się, udał, że chce wyprowadzić uderzenie z prawej strony. Legionista uniósł gladius, gotowy do odpowiedzi. W ostatniej chwili młody żołnierz skoczył w drugą stronę i opuścił lewy bark. Uderzył z impetem o tarczę Nowiusa, wykorzystując swoją wagę, żeby zmusić legionistę do wycofania się. Przyzwyczajony do tego, że podczas walki jakiś towarzysz zawsze pilnuje jego lewej strony, Nowius był nieprzygotowany i dał się zupełnie zaskoczyć. Niezapewniające najlepszej równowagi na zmrożonej drodze *caligae* nie uchroniły go przed poślizgnięciem się i upadkiem. Nowius wyrznął mocno plecami o ziemię. Powietrze uszło z jego płuc, a potem wygiął się z bólu.

Romulus musiał działać szybko. Chwycił dłonią krawędź ciężkiej *scutum* i usunął ją z drogi, po czym zagłębił miecz w gardle wroga. Źrenice Nowiusa rozszerzyły się z przerażenia, gdy ostre żelazo przecięło miękką tkankę, żeby po chwili prześlizgnąć się po kręgach szyjnych. Z rany trysnęła jasnoczerwona krew, barwiąc ziemię szkarłatem. Nowius otworzył i zamknął usta jak ryba wyjęta z wody. Dwa uderzenia serca później już nie żył.

To była szybka śmierć jak dla takiego drania – pomyślał Romulus. – *Zbyt szybka.*

Obejrzał się. Ammias gnał na złamanie karku i znajdował się zaledwie kilka kroków za nim. Z wściekłości wykrzykiwał coś trudnego do zrozumienia. Znów Romulus musiał obejść się bez tarczy, bo nie zdążył jej chwycić. Jego przeciwnik stanął nad ciałem przyjaciela i podniósł jego gladius. Zaczęli kręcić się w kółko, wymieniając ciosy i szukając swoich słabych punktów. Dwa razy Ammias próbował uderzyć Romulusa błyszczącym guzem w twarz, ale za każdym razem młody legionista był przygotowany na ten klasyczny manewr i udawało mu się odskoczyć. Sfrustrowany i rozżłoszczony śmiercią Nowiusa weteran tracił cierpliwość.

Zachowaj spokój. On w końcu popełni błąd. Wystarczy tylko poczekać na dogodny moment.

Z tyłu doszedł do niego charakterystyczny odgłos wydawany przez rannego człowieka. Romulus nie potrafił się powstrzymać. Odwrócił się, żeby zobaczyć, co

się stało. Optatus trafił Brennusa. Na lewym ramieniu od łokcia do nadgarstka Gala rozciągała się teraz krwawiąca rana. Gdy popłynęła krew, Gal wycofywał się rozpaczliwie, starając się uniknąć dalszych obrażeń.

Za późno Romulus wrócił myślami do Ammiasa. Obracał się jakby w zwolnionym tempie. Teraz guz tarczy weterana uderzył go prosto w pierś. Romulus usłyszał głuchy trzask, gdy łamały się dwa jego żebra. Rzymskie *scutum* używane w ten sposób było doskonałą bronią ofensywną. Uderzenie było tak silne, że zobaczył gwiazdy przed oczami. Wylądował ciężko na ziemi, upuszczając miecz, który Ammias od razu wykopnął poza jego zasięg. Warcząc z wściekłości, pochylił się nad Romulusem.

– Zabijeś mojego przyjaciela! A ten twój galijski kamrat pochłastał Primitiwusa. Teraz twoja kolej.

Romulus zacisnął zęby, starając się nie wydać z siebie żadnego głosu. Z każdym oddechem czuł przeszywające go ostre igły. Wyczuwając jego słabość, weteran brutalnie kopnął go w bok. Uśmiechał się. Romulus omal nie zemdlął z bólu.

– Podoba ci się? – Ammias napawał się chwilą triumfu. – Niewolnicza szumowino!

Romulus nie mógł wydusić słowa. Patrzył spod na wpół przymkniętych oczu, jak Ammias unosi gladius.

Rozległy się okrzyki aprobaty obserwujących walkę legionistów. Ta niespodziewana rozrywka okazała się dla nich niezwykle przyjemnym doświadczeniem. Będzie jeszcze lepiej, jeśli jeden z towarzyszy wyjdzie z tego starcia zwycięsko.

Ammias rozkoszował się tą chwilą i odkładał w czasie zadanie ostatecznego ciosu.

Romulus wiedział, że na końcu miecza czai się śmierć. Gdy opadnie, jego życie się skończy. W jego umyśle pojawił się ciąg obrazów. Teraz nie mógł już pomóc Brennusowi. Ani Tarkwiniusowi. Żadnego powrotu do Rzymu. Nie spotka się z Fabiolą. I nie zemści na Gemellusie.

Czy Jowisz i Mitra chronili go tak długo po to, żeby miał umrzeć jak pies?

Drapał paznokciami ubitą ziemię. Udało mu się zamknąć w dłoni małą garstkę piasku.

Weteran opuścił miecz z grymasem na twarzy.

Romulus przetoczył się na bok, próbując zignorować ból żeber. Ręka wystrzeliła w powietrze. Zamach Ammiasa sprawił, że jego twarz znalazła się niżej. W ostatniej chwili Romulus otworzył dłoń, wyrzucając w powietrze zmieszany śnieg i ziemię,

które dostały się do oczu Ammiasa. Jego gladius wbił się w ziemię, mijając Romulusa o szerokość dłoni.

Oślepiiony weteran krzyknął z bólu.

Romulus wykorzystał moment i wyprowadził potężny cios w splot słoneczny, rozbijając o kolczugę weterana skórę na kostkach prawej ręki.

Ammias po raz drugi upuścił miecz, otwierając szeroko usta, które złożyły się na kształt pełnego zaskoczenia „O”.

Wśród zgromadzonych na drodze żołnierzy zapadła cisza.

Romulus uniósł się na kolana, przyciskając lewą rękę do żeber.

Obok niego Ammias toczył się po ziemi, próbując odzyskać swój miecz.

Romulus chwycił go pierwszy. Wyciągnął gladius z ziemi z głuchym stęknieniem, po czym wyprowadził z rozpędu cios, rozbijając płazem miecza nos Ammiasa. Wszyscy mogli usłyszeć straszliwy dźwięk miażdżonej chrząstki, a potem zduszony krzyk. Ammias zatoczył się do tyłu, chowając twarz w dłoniach. Spomiędzy jego palców wyciekały strużki krwi. Z drobinkami ziemi w oczach i roztrzaskanym nosem nie był już w stanie walczyć. Romulus krótko zastanawiał się, czy go nie zabić. Ammias był jednym z tych, którzy już kilka razy próbowali zabić jego, a ponadto spowodował, że cały legion obrócił się przeciwko nim. Ale był nieubroniony i nie mógł się bronić.

Romulus stanął na równe nogi, po czym wyrwał Ammiasowi tarczę z rąk.

Nie był bezdusznym mordercą. A Brennus potrzebował pomocy.

Przeciwnik Optatusa był już osłabiony utratą krwi, dlatego weteran robił wszystko, żeby jak najszybciej zabić Gała. Tylko dzięki swojej ogromnej sile Brennus nadal sprawnie unikał ataków legionisty. Gdy Optatus dostrzegł zbliżającego się Romulusa, zdwoił wysiłki. Po wyrzutach tarczy szybko następowały pchnięcia gladiusem. To była prosta, ale śmiertelna kombinacja, której trudno było długo się opierać.

Ignorując fale zalewającego go bólu ze złamanych żeber, Romulus starał się jak najszybciej skrócić dystans. Wreszcie Optatus musiał się odwrócić i stawić mu czoła.

– Teraz zostałeś sam – powiedział Romulus, zyskując trochę czasu. – Jak ci się to podoba?

Optatus zauważył, że młody legionista oddycha z trudem, a jego pierś faluje. Łatwo można się było domyślić dlaczego.

– Dwaj ranni niewolnicy... – odezwał się, unosząc górną wargę z pogardą. –

Zabiję was obu!

Zwlekając z atakiem, popełnił niewybaczalny błąd. W czasie tej krótkiej wymiany zdań Brennus zdążył uzbroić się w miecz i tarczę Nowiusa. Odniesiona rana nie zmieniała faktu, że był drugim śmiertelnie groźnym przeciwnikiem.

Chwilę później przyjaciele zajmowali pozycje po obu stronach muskularnego legionisty.

Optatus nie był tchórzem. Nie próbował się poddać ani uciekać. Obracał się raz w jedną, raz w drugą stronę, czekając na tego, kto zaatakuje pierwszy.

Jednak Romulus i Brennus zwlekali. Żaden z nich nie chciał zabijać Optatusa.

Wyczuwając ich niezdecydowanie, weteran rzucił się na Romulusa.

Ten cofnął się o krok, przyjmując pierwszy cios na tarczę. Optatus nie przestawał, atakując jeszcze i jeszcze... Celował w twarz Romulusa. Bez wątplenia był najtrudniejszym przeciwnikiem z całej trójki. Gdyby udało mu się pokonać młodzieńca, wciąż miałyby duże szanse w walce z Brennusem.

Gal jednak nie miał zamiaru czekać na rozwój wypadków. Gdy Optatus cofnął się po kolejnym ataku, schylił się i ciął przez lewe ścięgno weterana.

Optatus upadł na ziemię z głośnym jękiem, instynktownie chowając się za tarczą. Teraz też nie prosił o łaskę. Gdy leżał na plecach, nie miał już żadnych szans.

Odwaga weterana wzbudziła podziw Romulusa. Spojrzał na Pakorusa, spodziewając się podobnej reakcji. Brennus też wlepił wzrok w dowódcę legionu.

Tyle że Pakorus nie zamierzał obdarzać nikogo łaską. Twarz dowódcy Zapomnianego Legionu wyrażała tylko gniew. Nowius i jego kumple kłamali. Zachowanie Romulusa i Brennusa, którzy chcieli oszczędzić weteranów, było niezbitym dowodem świadczącym o ich niewinności. Pakorus rzucił krótkie rozkazy, a jego łucznicy unieśli łuki.

Romulus zrozumiał, co się za chwilę stanie.

– Nie!

Brennus zamknął oczy. O wiele za często patrzył na takie rzeczy.

Kilkanaście strzał zasyczało w powietrzu. Sześć przybiło Optatusa do ziemi, a pozostałe przewierciły się przez klatkę piersiową i brzuch Ammiasa. Weterani zginęli na miejscu.

Nad *intervallum* zaległa cisza. Łucznicy szybko sięgnęli do kołczanów i założyli na cięciwy nowe strzały.

– Tak umierają wszyscy kłamcy – krzyknął Pakorus. Żyły na jego szyi zmieniły

się w grube węzły. – Jestem dowódcą Zapomnianego Legionu!

Żołnierze unikali jego wściekłego spojrzenia. Nawet Vahram wbił oczy w ziemię.

Romulus i Brennus przesunęli się bliżej do siebie niepewni, jak zareaguje chimeryczny Part.

Rozległ się kolejny rozkaz.

Łucznicy celowali teraz w dwójkę przyjaciół.

Rozdział XIV

Nowy sojusznik



Rzym, zima 53/52 r. p.n.e.

Tylko wyznawcy mogą odwiedzać mitreum – powiedział twardo Sekundus. – Karą za złamanie tej zasady jest śmierć.

Fabiola zdrzała. Tutaj, w tym świętym miejscu, gdzie Sekundus ponad wszelką wątpliwość wcielał się w zupełnie inną rolę, ujrzała go w nowym świetle. Teraz był wysoką, potężnie zbudowaną postacią, z której biła moc. W jego lewej dłoni pojawiła się złota laska, którą wyciągnął z drewnianej skrzyni. Na głowie miał czerwoną czapkę frygijską. Nie przypominał w niej ubogiego weterana czy kaleki żebrzącego o pieniądze.

Twarz pokazywana światu była jedynie fasadą, a za nią skrywała się inna.

Zebrani wokół nich mężczyźni potwierdzili z wściekłością słowa Sekundusa głośnymi krzykami.

– Zabierzcie ją na dziedziniec – rozkazał Sekundus. – Załatwcie to szybko.

Fabiola nie miała żadnej szansy na wytłumaczenie swojego czynu. Mężczyźni powlekli ją do korytarza prowadzącego ku schodom.

Łamiąc święte zasady mitreum, nieświadomie przekroczyła niewidzialną granicę. Mitra pokazał jej, gdzie może być Romulus, ale teraz musiała umrzeć. Tak jak umrze jej brat, jeśli będzie brał udział w bitwie, której początek widziała w swojej wizji. *Jeśli w ogóle to była prawda* – pomyślała z goryczą Fabiola. – *Co zrobił z moim umysłem ten dziwny w smaku płyn?*

Ciekawość zwyciężyła strach przed śmiercią. Rzuciła przez ramię pytanie.

– Co było w tej buteleczce?

Trzymający ją ekslegioniści zawahali się.

– Czekajcie! – krzyknął Sekundus z twarzą ściągniętą niepokojem. – Piłś z niej? – zapytał cichym tonem, powoli cedząc słowa. Uniósł niebieskie naczynie stojące na ołtarzu.

Fabiola skinęła głową.

Sekundus zauważył, że buteleczka jest pusta i głęboko wciągnął powietrze, a jego nozdrza rozchyliły się z wściekłości.

Oburzeni weterani wyciągali już miecze z pochew, gotowi natychmiast zakończyć życie tej obrażającej boga kobiety, ale Sekundus podniósł rękę, aby ich powstrzymać.

– Czy coś widziałś? – zapytał cicho.

Fabiola spięła się w sobie, świadoma, że od odpowiedzi będzie zależeć jej życie. Chciała żyć.

– Odpowiedz mi... – mruknął Sekundus – albo, na Mitrę, zabiję cię tutaj.

Fabiola zamknęła oczy, prosząc boga wojowników o pomoc. *Prawda. Powinam powiedzieć prawdę.*

– Przeobraziłam się w kruka – powiedziała głośno, spodziewając się, że słuchający zaczną się śmiać. – Leciłam wysoko nad jakąś obcą ziemią.

Jej słowa spotkały się z pełnymi niedowierzania sapanściami ludzi wstrzymujących oddech. Usłyszała wielokrotnie wypowiedane słowo *corax*.

– Jesteś pewna? Krukiem?

Fabiola spojrzała mu w oczy.

– Tak. Nie mam wątpliwości.

Wydawał się zdezorientowany.

– Jak to możliwe? – zapytał jeden z weteranów.

– Kobieta jako święty ptak? – dziwił się głośno inny.

Pomieszczenie świątyni wypełniło się pytaniami.

Sekundus uniósł rękę, uciszając zebranych. Co ciekawe, jego ludzie natychmiast go posłuchali.

– Powiedz mi, co dokładnie widziałś. Wszystko – zwrócił się do Fabioli. – Nie wolno ci pominąć żadnego szczegółu.

Fabiola wzięła głęboki oddech i zaczęła opowiadać. Nikt jej nie przerywał. Gdy skończyła, weterani dalej milczeli oszołomieni.

Sekundus zrobił kilka kroków i stanął przed ołtarzami. Wpatrywał się w tauroktonię. Potem ukląkł i pochylił głowę do ziemi.

Nikt nic nie mówił, ale uścisk na ramionach Fabioli zelżał. Zerknęła z ukosa na weteranów i stwierdziła, że widzi w ich twarzach strach i szacunek. Nie wiedziała, co o tym myśleć. Jeśli oni wierzyli w jej wizję, czy to znaczy, że można traktować ją poważnie?

Po kilku chwilach Sekundus skłonił się jeszcze raz i wstał.

Jego ludzie byli spięci. Chcieli usłyszeć, czy Mitra przemówił do Sekundusa.

– Nie wolno nam jej skrzywdzić – odezwał się Sekundus. Jego oczy przesuwają się pewnie od jednej twarzy do drugiej. – Każdy, kto pije *homa* i staje się krukiem, jest wybrańcem Mitry.

Mężczyźni byli zszokowani, na ich twarzach pojawiły się niedowierzanie i gniew.

– Nawet kobieta? – pytał strażnik, którego zobaczyła po raz pierwszy przy drzwiach w murze. – To przecież zakazane!

Kilku innych wyznawców okrzykami wyraziło zaniepokojenie.

Sekundus znów podniósł rękę, prosząc ich, żeby się uspokoiili, ale chór głosów przeradzał się w krzyk.

– To bluźnierstwo! – krzyczał ktoś z tyłu.

– Zabić ją!

Fabiola poczuła, że jej żołądek skręca się ze strachu. Ci weterani będą tak samo bezlitośni jak *fugitivarii* Scewoli.

Sekundus mierzył wzrokiem swoich towarzyszy bez jakiegokolwiek reakcji. Po dłuższej chwili rwetes trochę osłabł.

– Jam jest *pater* – oznajmił stanowczym głosem. – Czy tak?

Mężczyźni pokiwali głowami. Gniewne pomruki ucichły, zastąpione niepokojącym milczeniem.

– Czy kiedykolwiek was zawiodłem?

Nikt nie odpowiedział.

– No, cóż... – ciągnął Sekundus – ...to zaufajcie mi jeszcze raz. Puśćcie ją.

Ku zdumieniu Fabioli trzymający ją weterani zrobili to, czego oczekiwał Sekundus. Odsunęli się niezręcznie, unikając jej wzroku.

– Podejdź tu – Sekundus skinął na nią dłonią.

Fabiola czuła ulgę, ale wciąż jeszcze była bardzo przestraszona. Stanęła przy Sekundusie.

– A wy wracajcie do łóżek – rozkazał. – Biorę za nią odpowiedzialność.

Mężczyźni zerkali na nich podejrzliwie, ale ruszyli w stronę korytarza, jak im

kazano. Po kilku chwilach Fabiola i Sekundus zostali w podziemnej komorze sami.

– *Pater?* – spytała Fabiola, unosząc brew.

– W oczach Mitry jestem ich ojcem – odpowiedział. – Jako najstarszy z wyznawców w tej świątyni jestem odpowiedzialny za jej bezpieczeństwo. – Teraz, gdy nie było przy nich nikogo, Sekundus wydał się Fabioli postacią jeszcze bardziej onieśmielającą. Spojrzał na nią surowo. – Zawiodłaś nasze zaufanie, gdy pojawiłaś się tu bez zezwolenia. Nawet nie wiesz, ile masz szczęścia, że żyjesz.

Fabiola poczuła łzy.

– Przykro mi – wyszeptała.

– Stało się – odpowiedział Sekundus bardziej wyrozumiałym tonem. – Niezbadane są ścieżki Mitry.

– Wierzysz mi? – zapytała drżącym głosem.

– Nie widzę w tobie żadnego oszustwa. I rzeczywiście byłaś krukiem.

Fabiola musiała zapytać o coś, co ją dręczyło od początku.

– Czy moja wizja była prawdziwa?

– Została zesłana przez boga – odpowiedział wymijająco. – Ale *homa* może zabrać nas daleko. Czasami za daleko.

– Widziałam rzymskich żołnierzy. I przyjaciela mojego brata! – zaprotestowała. – Mieli stoczyć bitwę, która była z góry przegrana! – po policzkach Fabioli spływały wielkie łzy.

– To, co widziałaś, może się nigdy nie zdarzyć – powiedział Sekundus spokojnie.

– Albo już się zdarzyło – odparła pełna goryczy.

– To prawda – przyznał. – W tych wizjach możesz zobaczyć wszystkie ewentualności.

Fabiola zgarbiła się, próbując nie dać się obezwładnić smutkowi.

– To, że miałaś tak wyraźną wizję po pierwszym kontakcie z *homa*, jest zadziwiające. I z pewnością to znak od Mitry – przyznał Sekundus.

– Twoi ludzie nie wydają się przekonani.

– Będą służyć moich rozkazów – powiedział Sekundus, marszcząc brwi. – Na razie.

Trochę jej ulżyło.

Kolejne słowa Sekundusa zaskoczyły ją.

– Pierwszym etapem wtajemniczenia wyznawców Mitry jest poziom, który nazywamy *corax*. Etap kruka. Wielu wiernych nigdy nie jest w stanie wcielić się

w kruka – wpatrywał się w nią intensywnie. – Twoja wizja oznacza, że spotkaliśmy się w jakimś konkretnym celu.

– Skąd wiesz?

– Mitra mówi mi o wielu rzeczach – Sekundus uśmiechnął się z wyższością, sprawiając, że Fabiola poczuła irytację. Miała wrażenie, że prowadzi z nią jakąś grę. – Jakie masz plany, pani?

Fabiola pozwoliła sobie na chwilę refleksji. Pierwotnie zamierzała wrócić do latyfundium. Teraz to było niemożliwe. Równie niedobrym pomysłem było pozostanie w Rzymie. Niepewna sytuacja polityczna okazała się jeszcze bardziej niebezpieczna, niż wcześniej sobie wyobrażała, a Scewola mógł ciągle kręcić się w pobliżu. Dwa razy mu się nie udało, ale *fugitivarius* nie zrezygnuje z zemsty. Fabiola nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Jednak gdzie miałyby się udać bez odpowiedniej ochrony?

– Sama nie wiem... – odpowiedziała, spoglądając z nadzieją na wyobrażenie Mitry nad ołtarzem.

– Nie możesz tu zostać. Moi ludzie się na to nie zgodzą.

Fabiola nie była zaskoczona. Złamała jedną z najświętszych zasad, a te wszystkie groźby rzucane pod jej adresem nie były udawane.

– Wielu z nich chciałoby cię widzieć martwą za to, co uczyniłaś dziś w nocy.

Była od niego zależna. I od miłosierdzia Mitry. Zamknęła oczy i czekała na to, co ma jej do powiedzenia.

– Twój oblubieniec jest z Cezarem w Galii, gdzie doszło do buntu Wercyngetoryksa.

Serce zaczęło bić szybciej.

– To prawda.

– Brutus może cię ochronić.

– Ale przebywa setki mil od granicy – odrzekła niepewnym głosem. – Albo i jeszcze dalej.

– Ja cię do niego doprowadzę – oznajmił po prostu.

Starła się nie dać po sobie poznać, jak bardzo jest zaskoczona.

– Dlaczego miałbyś to robić?

– Mam dwa powody – Sekundus się uśmiechnął i pokłonił przed tauroktonią. – Po pierwsze dlatego, że życzy sobie tego Mitra.

– A po drugie?

– Cezar potrzebuje w Rzymie każdego sojusznika – odparł, mrugając do niej chytrze okiem. – Zobaczymy, co powie na ofertę ponad pięćdziesięciu kombatanckich mieczy. Jeśli się zgodzi, zyskamy szacunek i pieniądze, na jakie zasługujemy.

To całkiem sprytne – pomyślała Fabiola. Przez wiele lat spędzonych poza Rzymem Juliusz Cezar zapisał sporo wspaniałych dokonań w swoim niewątpliwie imponującym *curriculum vitae*: podbój Galii i ogromne bogactwo, jakie z niego wynikało. Potem były najazdy Germanii i Brytanii. Krótkie, acz energiczne kampanie, których celem było po raz kolejny udowodnienie miejscowej ludności przewagi militarnej Rzymu. Obywatele byli na bieżąco informowani o każdym zwycięstwie dzięki wysłannikom Cezara. Plebs kochał jego śmiałość i talenty dowódcze.

A jednak to nie wystarczało. Cezar nie mógł stale przebywać w Rzymie, nie mógł zjednywać sobie sojuszników, nie mógł pokazywać się ludziom, przypochlebiać się potężnym arystokratom i wpływowym senatorom. Łapówki i praca pewnej liczby zwolenników miały ograniczony wpływ na rzymski lud. Cezar nadal potrzebował wpływów drugiego partnera triumwiratu, Pompejusza Magnusa, który korzystał ze śmierci Krassusa. Mamił swojego dawnego sojusznika, a jednocześnie ciężko pracował nad zdobyciem poparcia każdej, nawet najmniejszej frakcji w senacie. Niewielu senatorów kochało Cezara, mimo że ten był najznakomitszym rzymskim generałem. Jako ktoś, kto już wcześniej zlekceważył prawo, był uważany za realne zagrożenie dla Republiki. A w obecnej sytuacji politycznej, gdy Rzymowi groziła anarchia, Cezar ugrzązł w Galii na niedający się przewidzieć czas. Oferta tych twardych ekslegionistów rzeczywiście mogła być uznana za kuszącą.

– Jestem wdzięczna za tę propozycję – zaczęła Fabiola – ale po drodze aż roi się od bandytów, a Scewola i jego *fugitivarii* mogą ciągle na mnie polować.

Zauważywszy, że Fabiola mimowolnie spogląda w stronę kikuta jego ręki, weteran roześmiał się głośno.

– Nie wybiorę się w tę drogę sam. Zabierzemy wszystkich, których uda mi się przekonać.

Tym razem Fabiola nie zastanawiała się długo. Droga na północ będzie pełna niebezpieczeństw, a Galia wrzała. Czy miała alternatywę?

Wyciągnęła rękę tak, jak robią to mężczyźni. Sekundus uśmiechnął się i chwycił jej ramię.

Opuszczenie miasta okazało się mądrą decyzją. Gdy pierwsze promienie słońca zaczęły przebijać szarżynę świtu, niebo nad miastem pocięły pióropusze dymu. Kolejne budynki stawały w płomieniach. Motłoch chciał wykorzystać to, że senat rzymski był sparaliżowany korupcją, niezdecydowaniem i konfliktami. Ponieważ senatorowie byli po prostu cywilami, politykami, nie potrafili zapobiec rozruchom z użyciem broni na taką skalę. Dowódcy wojskowi Republiki rzadko byli potrzebni w samej Italii, a z obawy przed puczem, w celu uniemożliwienia prób przejęcia władzy przez przedstawicieli wojska, legionom zabraniano zbliżać się do Rzymu. Ta zasada sprawiała, że miasto było stale narażone na niepokoje społeczne – takie, jakich byli świadkami dzień wcześniej. Po podpaleniu najważniejszego budynku w stolicy ludzie Klodiusza nabrali pewności siebie. A gdy Milon zbierze siły i wykorzysta pokonanych ostatnio gladiatorów, ci będą pragnąć tylko jednego. Zemsty.

W Rzymie zapanował chaos.

Tak jak nieuchronnie świt rozjaśnia mroki nocy, tak nieuniknione były kolejne akty bezprawia. Tylko dobrze wyszkoleni, zdyscyplinowani żołnierze mogli poradzić sobie z krwiożerczą hydrą, w jaką przeobraził się tłum wicherzycieli. Jedynie twardzi legioniści mogli przywrócić spokój na ulicach Rzymu. Sekundus i jego ludzie byli kroplą w morzu chaosu i nie mogli za wiele zdziałać. Krassus pukał do bram Hadesu, a Cezar był za daleko. Jeśli Pompejusz Magnus nie pomoże Rzymowi, przyszłość stolicy Republiki może naprawdę okazać się smutna. Senatorowie i nobile nie będą mieli wyboru i poproszą Pompejusza o pomoc, chyba że chcą zobaczyć, jak płoną kolejne budynki publiczne, rynki, sądy, a może nawet ich własne domy.

Gdy minęli bramę miejską, Fabiola przypomniała sobie, że Brutus spodziewał się właśnie takiego zachowania Pompejusza. To właśnie Pompejusz przechytrzył Krassusa i dzięki umiejętnym działaniom przypisał sobie miano tego, który stłumił bunt Spartakusa. Potem powtórzył ten sam manewr, zbierając laury, które należały się Lukullusowi, generałowi pokonującemu większość sił Mitrydatesa w Azji Mniejszej. Pompejusz nie zamierzał zrezygnować z takiej okazji. Wprowadzenie uzbrojonych po zęby legionistów na Forum Romanum, po raz pierwszy od czasów Sulli, da mu realną kontrolę nad Republiką.

A jednak senat nie miał innego wyjścia.

Pięć dni później zapomnieli o przemocy, tak jak gdyby w ogóle do niej nie doszło. Krzyki ludzi ginących w zamieszkach zostały zastąpione przez śpiew

ptaków, skrzywienie lektyki i ciche rozmowy Sekundusa i jego ludzi. Fabiola wystawiła głowę zza zasłon lektyki i spojrzała w dal. Docilosa cmoknęła z dezaprobatą, ale dziewczyna ją zignorowała. Prerażona tym, co stało się z Fabiolą na ulicy, jej zaufana, doświadczona powierniczka za żadne skarby nie chciała zostać w Rzymie. Fabiola cieszyła się na myśl o kobiecym towarzystwie, więc nie protestowała. Teraz jednak, po kilku godzinach bujania się w górę i w dół, była najzwyczajniej w świecie znudzona. Rozglądanie się po okolicy może nie było zbyt mądre, ale Fabiola potrzebowała tego, żeby pozostać przy zdrowych zmysłach.

Do podróży szczykowała się nie tylko Docilosa. Również jej towarzysz, mimo straszliwej rany, uparł się, żeby wziąć udział w wyprawie na północ. Jednooki niewolnik chodził za nią jak cień. Czulią się dzięki niemu pewniej. Poza Docilosą nikt nie mógł podejść do Fabioli bliżej niż na trzy kroki bez jego zgody.

Po obu stronach znajdowały się puste pola. Utwardzona droga ciągnęła się aż po szary horyzont. Znajdowali się daleko od najbliższego miasta, więc nie spotykali zbyt wielu podróżujących. Ci, którzy ich mijali, zwykle bardzo się spieszyli, zakrywając twarze kapturami płaszczy. Jako że nie istniały żadne siły mogące chronić zwykłych obywateli czy to w Rzymie, czy na drogach prowadzących do stolicy, nikt nie mógł czuć się bezpiecznie ani w dzień, ani w nocy.

Okolica była usiana latyfundiami, których ziemie teraz leżały odłogiem. Będą czekały aż do wiosny. Większość przypominała gospodarstwo Fabioli, bo składały się z centralnego kompleksu budynków z otaczającymi je obowiązkowymi winnicami, gajami oliwnymi i drzewami owocowymi. Zwykle w pobliżu głównej bramy do gospodarstwa rosły dęby i cyprysy. Wokół biegały wolno watahy psów pilnujących obejścia. Sekundus i jego ludzie często musieli bronić się kamieniami przed zbyt agresywnymi zwierzętami. W pobliżu bram kręciły się też zwykle grupy uzbrojonych mężczyzn w brudnych koszulach. Mieli chronić gospodarstwa przed rabusiami. W tych niebezpiecznych czasach bogaci właściciele ziemscy strzegli swoich majątków bardziej niż zwykle.

Bandy nieogolonych mężczyzn przyglądały się z podejrzliwością lektyce i towarzyszącej jej ochronie, składającej się z dwunastu mężczyzn, ale nie śmiały ich zaczepiać nawet wtedy, gdy ich psy piszczały pod gradem kamieni. Charakterystyczne hełmy z brązu okraszone grzebieniem, sięgające ud kolczugi i broń używana w legionach wyraźnie wskazywały, że ci niebezpiecznie wyglądający żołnierze są weteranami rzymskiej armii. Wszyscy byli uzbrojeni po zęby, włącznie z łukami, dzięki którym mogli osadzić przeciwników w miejscu na odległość, a w

związku z tym próby okradzenia ich mogły być szczególnie niebezpieczne. Gdy znajdowali się w pobliżu takich grup, Fabiola starała się nie wyściubiać nosa zza zasłonki lektyki. Bandyci zakładali, że w środku znajduje się jakiś zamożny nobile lub kupiec i nie próbowali zaczepek, obrzucając tylko grupę ponurym spojrzeniem.

W ten sposób udawało im się podróżować bez specjalnych przygód. Każdej nocy Sekundus wybierał miejsce na obóz położone możliwie najdalej od drogi. Starali się przede wszystkim nie zwracać na siebie uwagi. Gdy tylko znalazł jakieś satysfakcjonujące go miejsce, weterani szybko rozstawiali namioty. Wbicie żelaznych kołków naciągowych nie zajmowało jedenastu legionistom wiele czasu. Fabiola nigdy dotąd nie widziała skórzanych namiotów legionowych, które mieściły ośmiu żołnierzy. Ona i Docilosa miały jeden tylko dla siebie. Dwa wykorzystywali ekslegioniści, a ostatni oddano do dyspozycji czterem niewolnikom, którzy nieśli lektykę. Sekstus nie dał sobie tego wyperswadować i każdą noc spędzał owinięty w koc przy wejściu do namiotu Fabioli. Wnętrze namiotu kobiet urządzone po spartańsku: za łóżko robiły zwinięte koce i poduszki z lektyki. Takie posłanie i tak było lepsze niż to, do którego przywykła u Gemellusa. Jeśli szukać podobieństw, to musiała przyznać, że teraz równie rzadko nadarzała się jej okazja do kąpieli. To jednak nie kłopotało za mocno Fabioli. Było tak zimno, że wcale nie miała ochoty na ablucje.

Od czasu opuszczenia Rzymu po Scewoli nie było ani śladu. Fabiola codziennie modliła się, żeby mściwy *fugitivarius* nie zdążył zebrać wystarczającej liczby ludzi, aby myśleć o pościgu. Wydawało się, że jej modlitwy zostały wysłuchane. Jeśli ich dobra passa miała trwać nadal, wystarczyło tylko ominąć oddziały Pompejusza, które zajęły pozycje na północy, oraz nie dać się zaskoczyć żadnym buntownikom z galijskich plemion.

Mimo że zbliżała się wiosna, dni wciąż jeszcze były krótkie. Tego popołudnia Sekundus zatrzymał grupę na miejscu wybranym do noclegu wcześniej niż zwykle. Wsadził głowę za zasłonkę lektyki i skinął na Fabiolę.

– Jest bezpiecznie. Można wyjść.

Fabiola uśmiechnęła się z wdzięcznością i postawiła stopy na ziemi, wdychając głęboko w płuca zimne powietrze. Możliwość rozprostowania nóg za dnia była prawdziwą przyjemnością. Dziś Sekundus wybrał ustronne miejsce nad brzegiem rzeki. Mimo że znajdowali się zaledwie sto kroków od mostu przerzuconego nad wartkim nurtem rzeki, obozowisko osłaniane było od strony drogi połącią gęstego lasu. Gałęzie drzew były jeszcze nagie, ale zapewniały dobrą ochronę przed

wścibskimi spojrzzeniami. Gdy za godzinę zapadną ciemności, ich obóz będzie dobrze ukryty przez całą noc.

– Nie odchodź daleko, pani – poradził Sekundus.

Fabiola nie miała takiego zamiaru. Nawet z pilnującym jej Sekstusem nie czuła się bezpiecznie, chyba że w towarzystwie wielu uzbrojonych weteranów. Skierowali się w stronę rzeki, która bystro toczyła wody niedaleko obozowiska, rozlewając się szeroko po ostatnich zimowych opadach w Apeninach. Ogromne kłoc drewna krążyły w leniwych kręgach, ujawniając ogromną moc niosącej je rzeki. Jak większość Rzymian Fabiola nie umiała pływać. Gdyby wpadła do wody, utopiłaby się niechybnie. Na tę myśl zdrząła i odwróciła się plecami do brzegu. Licząc na poprawę nastroju, uniosła wzrok ku niebu.

Przykryły je ciężkie chmury, oświetlone od dołu przez promienie zachodzącego słońca. Wiał silny wiatr z północy, zwiastujący opady śniegu. Fabiola domyślała się tego po szaro-żółtej barwie chmur i przenikliwym chłdzie, który sprawiał, że zdrętwiały jej palce u rąk i nóg. *Nasza podróż stanie się jeszcze trudniejsza* – pomyślała ze znużeniem. Ogarnął ją jakiś bliżej niesprecyzowany niepokój. Ruszyła z powrotem do namiotu. Lepiej schować się przed tą koszmarną pogodą. Sekstus szedł tuż za nią, również zerkając ze smutkiem na coraz bardziej ciemniejące niebo.

Wieczorem wiatr przybrał na sile, aż w końcu potężne wycie burzy śnieżnej zagłuszyło wszelkie inne dźwięki. Trzeba było zamocować dodatkowe kołki, żeby nie porwał namiotów. Sekundus rozkazał podwoić strażę, rozstawiając wartowników tak blisko siebie, żeby mogli komunikować się ze sobą mimo kapryśw natury. Przemarznięte kobiety poszły do łóżek w ubraniach. Zasnęły wcześniej niż zwykle, chociaż i tak rzadko zdarzało się, żeby były na nogach wiele dłużej niż do zachodu słońca. Co innego miały do roboty? Mogły tylko rozmyślać przy świetle oliwnych lamp. W końcu i tak, zanim zapadły w sen, ich myśli błądziły wokół wielu ważnych dla nich spraw.

Nawet jeśli dotrą do Galii bez problemów, jak mają odnaleźć Brutusa w czekającym ich chaosie na ziemiach ogarniętych przez galijskie powstanie? Gdy cała kraina buntowała się przeciwko Rzymianom, poruszanie się po drogach stawało się o wiele bardziej niebezpieczne niż w Italii. Bandy różnych rzezimieszków konkurowały z grupami wyrugowanych z ziem plemiennych Galów, walcząc o każdy łup. Chociaż towarzyszący jej mężczyźni są doświadczonymi weteranami, nie będą w stanie wytrzymać naporu dużego oddziału.

Fabiola ciężko westchnęła. Po co miała martwić się przyszłością? Powinna

myśleć o tym, jak przeżyć kolejny dzień. Liczyło się tylko jutro. Chciała zasnąć z tą myślą. Udało się.

Z głębokiego snu wyrwały ją głośne krzyki. Na szczęście wiatr już ucichł. Słabe światło przenikało matową tkaninę namiotu, z czego wywnioskowała, że jest wcześnie. Zrzuciła grube koce i czym prędzej sięgnęła po *pugio*, schowany pod poduszką. Już nigdy więcej nie da się zaskoczyć nieuzbrojona, jak wtedy na ulicy w Rzymie.

Docilosa też już nie spała.

– Co robisz, pani? – zapytała, zerkając w jej stronę zaniepokojona.

Fabiola nie odpowiedziała. Podeszła do drzwi i delikatnie odsunęła klapę, żeby zobaczyć, co dzieje się przed namiotem.

– Nie ma Sekstusa.

– To może być niebezpieczne – ostrzegła Docilosa. – Zostań tu, pani.

Ignorując uwagę Docilosy, młoda kobieta opuściła namiot. Wciągnęła poranne powietrze. Z ulgą stwierdziła, że Sekstus znajdował się tylko kilka kroków dalej, za następnym namiotem. Ścisnął tak mocno swój gladius, aż zbielały mu kostki palców. Wpatrywał się w pokryte krwią ciało, leżące w gęstym śniegu u jego stóp. Fabiola czym prędzej ruszyła w jego stronę.

Przy ciele kuczał Sekundus w towarzystwie swoich dwóch ludzi. Nie żył jeden z wartowników. Miał podcięte gardło od ucha do ucha. Krew wsiąkała w zmrożony śnieg. W świetle delikatnych promieni świtu szokujące połączenie bieli i szkarłatu robiło niesamowite wrażenie.

– Co się stało?

– Nie wiem, pani – odpowiedział ponuro Sekstus. – Ja w nocy nic nie słyszałem.

Na głos Fabioli Sekundus odwrócił się w jej kierunku. Wyglądał starzej niż zwykle. Jego dłonie pokrywała krew.

– Miał na imię Antoninus – powiedział ciężkim głosem. – Był ze mną przez dziesięć lat.

Fabiola poczuła wszechgarniający żal.

– Kto to zrobił?

Sekundus wzruszył ramionami.

– Myślę, że te same dranie, które zabiły Serwiusa.

Wstrząśnięta spojrzała na niego pytająco.

– Leży tam... – odezwał się cichym głosem. – Oba ciała są zasypane śniegiem, więc to musiało się wydarzyć jeszcze w czasie burzy. Śnieg zatarł wszelkie ślady.

Strach ścisnął żołądek Fabioli.

– Bandyci?

– Możliwe... – powiedział Sekundus ze złością. – Jeśli tak, to cholernie cwane typy. Udało im się podejść tak blisko i nikt ich nie zauważył. Antoninus i Serwiusz byli doświadczonymi żołnierzami.

Fabiola zbladła. Znała człowieka, który był prawdziwym ekspertem od polowań i podkradania się. On potrafiłby podejść swoją ofiarę w każdych warunkach, nie będąc zauważonym.

Scewola.

Rozdział XV

Nowe zagrożenie



Margiana, zima/wiosna 53/52 r. p.n.e.

Luczniczcy celowali w Brennusa i Romulusa, czekając na komendę. Mimo że przyjaciele mieli na sobie kolczugi, strzały wypuszczone z takiej odległości rozdarłyby je na strzępy.

Romulus czuł, jak tętnica szyjna pulsuje mu w szaleńczym tempie, wybijając dźwięczny rytm rezonujący w pustej komorze gardła.

Brennus był zrezygnowany. Ból rany zadanej przez Optatusa był niczym w porównaniu ze świadomością, że groźba natychmiastowej egzekucji właśnie zastąpiła satysfakcję ze zwycięstwa. Jako gladiator miał przynajmniej prawo do aplauzu publiczności. Tutaj był tylko nic niewartym kawałkiem mięsa. Jeśli miał umrzeć, lepiej, żeby zginął jako wolny człowiek, a nie więzień lub niewolnik.

Pakorus już miał otworzyć usta, gdy jeden z wartowników na palisadzie spojrzał na wschód. Wcześniej, podobnie jak wszyscy jego towarzysze, z zapartym tchem oglądał walkę na ulicy. Teraz chrapliwie wykrzyczał ostrzeżenie, odciągając uwagę wszystkich zgromadzonych od dwóch spoconych mężczyzn, stojących nad ciałami trzech legionistów.

– Zwiadowca! – ryknął. – Sygnalizuje, że wróg jest blisko.

Każdy oddział oddelegowany do służby wartowniczej posiadał jednego trębacza. Ten szybko przyłożył wykonaną z brązu trąbkę do ust i zagrał serię krótkich, ostrych dźwięków, które rozpoznawał każdy legionista.

Alarm!

Zaniepokojony Pakorus uniósł wzrok. Zanim zwiadowca znalazł się na tyle blisko, by przebywający w forcie usłyszeli jego głos, mógł sygnalizować zbliżające się niebezpieczeństwo podniesieniem prawej ręki. Najwyraźniej właśnie taki gest

dostrzegł wartownika na palisadzie.

– Do bramy! – warknął na Vahrama. – Zwiadowcę przyślij od razu do mnie!

Primus pilus zasalutował i natychmiast zaczął biec. Pakorus zwrócił się teraz z powrotem do Romulusa i Brennusa, którzy nadal stali bez ruchu, czując na sobie czujne spojrzenia łuczników.

– Ilu wrogów widzieliście podczas patrolu?

– Tysiąc, do dwóch tysięcy, dowódco – odpowiedział Romulus pewnie. – Może nawet więcej.

– W większości piechota? – zapytał Pakorus z nadzieją w głosie. Chociaż Scytowie nie byli już tak silni, jak za czasów rozkwitu ich imperium, wciąż stanowili duże zagrożenie. Lękano się powszechnie przede wszystkim ich dobrze wyszkolonej jazdy.

– Mniej więcej tyle samo jazdy i piechoty, dowódco.

Pakorus zrobił się szary na twarzy. Oddychał nierówno. Zapomniany Legion składał się przecież niemal wyłącznie z piechoty.

– Pięciuset do tysiąca kawalerzystów – mruknął do siebie. – Niech Mitra ich przeklnie!

Czekali.

Tak samo jak partyjscy łucznicy.

Kilka chwil później pojawił się *primus pilus* z wojownikiem na mocno zmęczonym koniu. Zwiadowca potwierdził to, co powiedział Romulus. Jednak Scytowie nie zmierzali w stronę fortu, lecz kierowali się na północ – ku swoim ziemiom i w stronę innych fortalicji. Uspokojony trochę Pakorus wydał kilka rozkazów, a jego ludzie opuścili łuki. Nagle okazało się, że dowódca miał ważniejsze rzeczy na głowie niż egzekucja dwóch zwykłych żołnierzy.

Romulus poczuł, jak opada z niego napięcie. Pozwolił sobie na długi, powolny wydech.

– Zameldujcie się *optio* w pierwszej centurii kohorty, którą dowodzi *primus pilus*. Będzie miał na was oko.

– Z przyjemnością... – odezwał się Vahram, łypiąc na nich. – Nie ma mowy o żadnej dezercji, gdy jestem w pobliżu.

Romulus już sobie wyobrażał, jak wyzywać się na nich będzie sadystyczny Part. *Ale żyjemy! I tylko to się liczy* – pomyślał z wdzięcznością. Brennus szturchnął go i ruszyli truchtem, starając się nie pokazać po sobie, jak ciężkie mają obrażenia. Lepiej nie

dawać Pakorusowi powodu do zmiany decyzji, a to, co kapryśny *primus pilus* zrobi z nimi później, na razie wydawało się mało ważne.

Zdążyli jeszcze usłyszeć słowa Pakorusa skierowane do Vahrama.

– Za godzinę chcę widzieć cały legion gotowy do wymarszu. Zabierzcie wszystkie długie włócznie.

– Tak jest!

– Pokryte jedwabiem tarcze powinny powstrzymać strzały z trucizną – ciągnął – a na długich drzewcach połamie sobie zęby każda jazda.

Po chwili znaleźli się poza zasięgiem głosu. Skręcili za róg w Via Principia, ale nie przerywali biegu, ignorując spojrzenia rzucone przez ciekawskich żołnierzy. Wkrótce znaleźli się w swoich nowych barakach. Najważniejszą, pierwszą kohortą legionu dowodził osobiście Vahram. *Primus pilus* miał dwie funkcje: rządził własną jednostką, złożoną z sześciu centurii i był również starszym centurionem Zapomnianego Legionu.

Optio pierwszej centurii był ponury kapuańczyk o imieniu Emiliusz. Znaleźli go w wąskim korytarzu baraku. Pokrzykiwał na swoich ludzi. Gdy się zameldowali, centurion przez chwilę przyglądał im się zaskoczony. Równie zdziwieni byli obecni w baraku legioniści. Wszyscy w obozie znali szydercze plotki rozpowszechniane przez Nowiusa, dlatego nie musieli długo czekać na nieprzyjemne komentarze.

Romulus zignorował je. Powtórzył rozkaz Pakorusa i zasalutował.

– Przysłał was sam Pakorus? – Emiliusz nadal nie przestał się dziwić.

– Tak jest! – Romulus wyprostował się jak struna. Brennus poszedł w jego ślady.

Lepiej pokazać się Emiliuszowi – jeśli to tylko będzie możliwe – z jak najlepszej strony. W przeciwnym razie dwaj najwyżsi stopniem oficerowie w centurii będą chcieli ich krwi. I to jeszcze zanim sprawy w swoje ręce wezmą zwykli legioniści.

Emiliusz pocierał podbródek w zamyśleniu.

– Zbiegli niewolnicy, tak?

Wszyscy obecni w baraku mężczyźni zastygli na swoich miejscach, wykręcając szyje i rzucając w ich stronę zaciekawione spojrzenia.

Nie było sensu dłużej zaprzeczać.

– Tak – odezwał się Romulus, choć wcale nie czuł się niewolnikiem. Wojskowe szkolenie, zaprawienie w bojach i – co ważniejsze – to, że przeżył i dotarł tak daleko, dawały mu pewność siebie oraz zaufanie do swoich umiejętności większe niż to, którym mógłby pochwalić się zwykły niewolnik.

Z kolei Brennus nigdy nie pogodził się z myślą o tym, że jego los może zależeć od innego człowieka. Tym razem jednak i on trzymał język za zębami. Jego milczenie pozwalało sądzić, że zgadza się z Romulusem.

Podczas gdy znajdujący się w pobliżu żołnierze syknęli z dezaprobatą, słysząc te słowa, Emiliusz, co ciekawe, w ogóle nie zareagował. Romulus ukrył zaskoczenie. Dostrzegł małą iskierkę nadziei.

– Byliście w centurii Dariusza wysłanej na patrol?

Obaj przyjaciele skinęli głowami.

– A czy to, co mówią... – odezwał się *optio*, przewiercając ich wzrokiem – ...że uciekliście... czy to prawda?

– Nie, dowódco – ostro zaprotestował Romulus.

– Ci, którzy uciekli, leżą teraz martwi na *intervallum* – dodał Brennus. – Właśnie pokonaliśmy całą trójkę. Gołymi rękoma.

Żołnierze przysłuchujący się tej wymianie zdań wstrzymali oddechy, nie dowierzając. Baraki pierwszej centurii znajdowały się daleko od głównej bramy. Zajęci rutynowymi obowiązkami żołnierze ci raczej nie mogli być świadkami dramatycznego pojedynku.

Emiliusz uniósł brwi.

– Na Jowisza! Naprawdę?

– Proszę zapytać kogośkolwiek z oficerów, dowódco – zasugerował Romulus.

– Nie jesteśmy tchórzami – stwierdził pewnie Brennus.

Coś mówiło Romulusowi, że *optio* był rozsądnym człowiekiem. Dorzucił jeszcze na wszelki wypadek.

– Bogowie nam pomogli.

Gal pokiwał głową, potrząsając swoimi warkoczykami. Po tym, co przeszli, naprawdę mogło się wydawać, że bogowie im sprzyjają.

W korytarzu słychać było pomruki przesądnych żołnierzy.

Emiliusz popatrzył na nich wątpiącym wzrokiem.

– Widziałem was na placu ćwiczeń. Dobrze radzicie sobie w walce. Bardzo dobrze. I to najpewniej z tego powodu stoicie przede mną żywi.

Romulus milczał. Przez złamane żebra każdy oddech sprawiał mu ból.

Emiliusz się rozluźnił. Po chwili jednak zmarszczył brwi na widok głębokiej rany na lewym przedramieniu Brennusa.

– Nie dasz rady utrzymać tarczy...

– Trochę bandaża i będzie dobrze. Nie chcę, żeby ominęła mnie jakaś potyczka – odpowiedział flegmatycznie Brennus. – Mamy kogo pomścić.

– Kogo?

– Towarzyszy z naszej centurii... – wtrącił się Romulus.

Twarz *optio* rozjaśniała się powoli. Ci dwaj żołnierze byli przynajmniej odważni. A czas pokaże, czy są kłamcami, czy nie.

– Bardzo dobrze – powiedział. – Zajrzyj do *valetudinarium*, żeby cię opatrzyli. Twój młody przyjaciel może w tym czasie wybrać się do zbrojowni po broń i wyposażenie.

Romulus i Brennus pospiesznie zajęli się wykonaniem rozkazów.

Czekała ich bitwa.

Tym razem jednak nie doszło do oczekiwanego starcia ze Scytami, którzy zdawali sobie chyba sprawę z tego, że Partowie zareagują szybko i bezwzględnie, dlatego gdy tylko zostali dostrzeżeni, wycofali się. Pakorus rozkazał, żeby legionieści zabrali ze sobą zapas żywności na kilka dni, i jego decyzja okazała się słuszna, gdyż przez dłuższy czas mogli tylko ścigać uchodzącego wroga, który miał przewagę wielu mil. Cała wyprawa okazała się jedynie dłuższym ćwiczeniem marszu w trudnych warunkach zimowych. Oczywiście żołnierze nie byli specjalnie zadowoleni, ale musieli wykonywać rozkazy.

Po trzech dniach ograniczonych racji żywnościowych partyjski dowódca przerwał operację. Jednak nie zamierzał zrezygnować z zemsty. Po powrocie do fortu sześć kohort natychmiast pobrało zaopatrzenie, które miało starczyć na cały miesiąc, i wysłano je w dalszy pościg. Spędzili większą część zimy, wypatrując śladów nieuchwytnego wroga wśród ciągnących się po horyzont białych, pustych równin. Doszło do kilku sporadycznych potyczek, ale żadna z nich nie przyniosła rozstrzygnięcia.

Romulus i Brennus brali udział w obu eskapadach razem z Emiliuszem i jego ludźmi. Zmuszeni do przyłączenia się do wskazanego *contubernium* zyskali niechętną akceptację sześciu legionistów, z którymi mieszkali, spali i jedli każdego dnia. Jednak nie było między nimi przyjaźni, a pozostali żołnierze zazwyczaj trzymali się od nich z daleka. Z resztą ludzi z kohorty sprawy wyglądały podobnie. Po jakimś czasie pęknięte żebra Romulusa przestały boleć, a rana Brennusa zabiłiła się. Jednak wyzdrowiał również Kajusz, który nie ustawał w działaniach na rzecz podsycaenia niechęci w stosunku do dwójki przyjaciół. Nikt nie próbował atakować

ich bezpośrednio, ale zawsze musieli się z tym liczyć. Zmuszeni byli trzymać się razem i wspólnie chodzili nawet do latryny i łaźni.

To było bardzo męczące i Romulus miał już tej sytuacji serdecznie dość. Nie mogli walczyć z całym legionem. Jedynym rozsądnym dla nich wyjściem z tej sytuacji była dezercja, choć prawdę powiedziawszy, nie wiedzieli, w którą stronę powinni się udać. Droga z fortu do Seleucji, leżącej na zachodzie, ciągnęła się przez tysiąc mil jałowej ziemi. Od obszarów kontrolowanych przez Rzymian dzieliło ich kolejne kilkaset mil. Na północy i na wschodzie znajdowały się zupełnie nieznane im tereny, zamieszkałe przez dzikie plemiona Sogdyjczyków i Scytów. Dalej na wschód znajdowała się kraina zwana Sericą, skąd przybywały karawany z jedwabiem. Ale żaden z nich nie wiedział dokładnie, gdzie ona leży. Romulus stwierdził, że pozostaje im jedno: udać się na południe, przez królestwa Baktrian. Od czasu do czasu jakiś partyjski wojownik wspominał o mieście nazywanym Barbaricum, gdzie do morza wpływała potężna rzeka. Romulus widział kiedyś tę nazwę na starym *Periplusie* Tarkwiniusza. Wiedział, że Barbaricum jest tętniącym życiem centrum eksportowym, gdzie handluje się cennymi towarami, takimi jak przyprawy, jedwab, klejnoty i kość słoniowa. Port był ważnym punktem na szlakach handlowych prowadzących do Egiptu i dalej, do Grecji i Italii.

Jednak Romulus nie znał żadnych szczegółów dotyczących szlaku prowadzącego do miejsca, gdzie mogliby rozpocząć nową podróż. Do domu.

Zdawał sobie też sprawę z tego, że nie potrafiłby zostawić Tarkwiniusza ani Brennusa. Ponadto nie mieli żadnych pewnych wieści o haruspiku. Wiedzieli, że żyje, ale – tak jak wcześniej – przebywał pod strażą w kwaterach Pakorusa. Każda próba uwolnienia go z pewnością zakończyłaby się katastrofą, dlatego przyjaciołom pozostawało jedynie patrzeć, czekać i przetrwać wiele zimnych miesięcy. Mogli też modlić się do bogów.

Tymczasem nadeszła wiosna. Sześciu kohortom, które ścigały Scytów, udało się zaskoczyć ich nieprzygotowanych w obozie. Wykorzystując zapadający zmierzch, Vahram poprowadził swoich ludzi do pięknego zwycięstwa. W konsekwencji jednego krótkiego i brutalnego starcia prawie wszyscy wrogowie zostali unicestwieni. Następnie, pewien, że nic już nie grozi Margianie, *primus pilus* pospieszył do fortu. Starał się, jak mógł, żeby odzyskać zaufanie Pakorusa. Dwóch żołnierzy zostało wysłanych wcześniej w celu przekazania dobrej nowiny.

Kiedy oddział znalazł się na przedpolu fortu, Pakorus z grupą wojowników

czekał już na niego przy głównej bramie. Wezwał do siebie Vahrama i zamienił z nim kilka słów, zanim pozwolił legionistom wejść do środka. Gdy miały go pierwsze szeregi, dowódca legionu pochylił głowę z szacunkiem. Wyglądało na to, że odniesione zwycięstwo naprawdę zrobiło na nim wielkie wrażenie.

Romulus jednak czuł gniew, spoglądając na tego śniadego Parta, ubranego w bogate szaty, spoglądającego na nich z góry, z arogancją i wyższością. Z całego serca pragnął przebić go oszczepem. Nie mógł. Może w ten sposób zemściłby się, ale to nie uratowałoby Tarkwiniusza. Nie ośmieli się. Mieli z Brennusem sporo szczęścia, unikając gniewu dowódcy legionu. Romulus żywił nadzieję, że Pakorus o nich zapomniał. Z błogosławieństwem Mitry już tak zostanie. Przyjaciele powinni teraz tylko dbać o to, żeby nie rzucać się w oczy.

Pierwsza kohorta niespodziewanie złamała szyk i Romulus prawie potracił idącego przed nim żołnierza. Zdezorientowani mężczyźni stawali na palcach, aby zobaczyć, co się dzieje. Przyczyny zamieszania należało szukać gdzieś z przodu kolumny. Gniewne okrzyki utonęły w niskim, natarczywym dźwięku – głosie, który przyciągał uwagę i hipnotyzował.

Romulus skądś go znał. Jakieś nieuchwytne, odległe wspomnienie łaskotało krawędzie jego pamięci. Wyższy niż większość legionistów Brennus uniósł rękę do oczu i próbował zidentyfikować źródło zamieszania.

– Widzisz coś? – zapytał Romulus.

– Nie – usłyszał pełną irytacji odpowiedź.

– Co się dzieje? – warknął zniecierpliwiony Pakorus, obrzucając spojrzeniem najbliższego centuriona. – Ruszać!

Oficer natychmiast poderwał się i zaczął okładać ludzi trzcinką, ale to nie przyniosło żadnego efektu.

W bramie pojawiła się przygarbiona postać, owinięta w ciężki koc. Powłócząc nogami, człowiek ten kierował się w stronę Pakorusa. Gdy ludzie zdali sobie sprawę, na kogo patrzą, wokół rozległy się pełne niedowierzania westchnienia.

Maszerujący w zewnętrznym rzędzie Romulus widział więcej niż Gal. W jednej chwili jego serce wypełniła mieszanka smutku i euforii.

Za to z twarzy Gala odpłynęła krew.

– Czy to jest...

– Tak – odpowiedział po prostu Romulus.

Przyjaciele nie widzieli Tarkwiniusza od miesiąca! Tylko jedna osoba w obozie

mogła wywołać takie poruszenie.

Pakorus był wściekły, że Rzymianie nie wykonują jego rozkazów. Wyrzucił z siebie kilka szybkich słów w języku Partów. Dwóch jego ludzi wyskoczyło do przodu, żeby zagrozić drogę zbliżającej się postaci, krzycząc coś po partyjsku, a potem używając jakichś zniekształconych słów łacińskich. Tarkwiniusz nie zareagował.

Rozległa się inna komenda i jeden z wojowników zrobił krok do przodu, zmuszając przybysza do odrzucenia koca osłaniającego jego głowę. Najwyraźniej ciągle jeszcze słaby haruspik zachwiał się i omal nie przewrócił się na plecy. Jakimś sposobem odzyskał równowagę i zrobił krok do przodu. Partowie od razu zablokowali mu drogę, ale mężczyzna stał przed nimi wyprostowany i dumny, patrząc ponad ich ramionami wprost na Pakorusa.

Gdy spod koca ukazała się twarz Tarkwiniusza, Romulus zdusił w sobie okrzyk przerażenia. Haruspik postarzał się o dziesięć lat. W jego długich jasnych włosach pojawiły się smugi szarości, a twarz usiana była nowymi zmarszczkami, nadając mu wygląd starego człowieka. Koc zsunął się teraz z jego kościstych ramion, odsłaniając chude ciało, pokryte bliznami i siniakami. Jednak najgorsze wrażenie robiła niechybnie niedawno zaleczona czerwona pręga po oparzeniu na lewym policzku. Miała kształt ostrza noża.

– Torturowali go – syknął Romulus, wychodząc z szeregu.

Na jego ramię opadła wielka ręka Gala, który zatrzymał go w miejscu.

Romulus zrozumiał. Haruspik stale powtarzał, że każdy człowiek sam decyduje o swoim losie. To nie był czas, kiedy jego interwencja mogłaby coś zmienić. Tarkwiniusz przygotowywał się do tej chwili i wiedział, co robi.

– Ty!? Chcesz zobaczyć, czego dokonały bez ciebie moje oddziały? – odezwał się Pakorus z przekąsem.

Partowie wybuchnęli śmiechem.

Tarkwiniusz oblizal suche, popękane usta. Romulus czuł, że serce ściska mu się z rozpaczy.

– Dość tego! – warknął dowódca legionu. – Ruszać! – krzyknął na centurionów.

– Stać! – głos Tarkwiniusz nie był tak donośny, ale na tyle mocny, że usłyszeli go wszyscy legionieści. Co ciekawe, nikt się nie poruszył.

Pakorus poczerwieniał ze złości, ale dwaj Partowie blokujący drogę haruspikowi również wydawali się zdezorientowani.

– Scytowie zostali pokonani – powiedział Tarkwiniusz. – To zagrożenie zostało zneutralizowane.

Na ustach Pakorusa pojawił się uśmiezek zadowolenia. Uniósł triumfalnie ręce, a jego wojownicy zaczęli wiwatować. Niepewne uśmiechy pojawiły się nawet na ustach legionistów.

Tarkwiniusz milczał tak długo, aż wszyscy się uspokoili.

– Tylko co z Hindusami? – zapytał cichym głosem.

Na twarzach mężczyzn nie było już radości, tylko zaskoczenie i niedowierzenie. Słowa haruspika wybrzmiały i zawisły w powietrzu, które nagle wydało się bardzo ciężkie. Romulus spojrzął na Brennusa, ale ten tylko wzruszył ramionami.

– Hindusi? – Pakorus roześmiał się, ale jego śmiech brzmiał niepewnie. – Żeby dotrzeć do Margiany, będą musieli pokonać Baktrian.

– Już to zrobili.

Twarz Pakorusa poszarzała.

– Dopiero co przyszła wiosna.

– Sto mil na południe stąd śnieg już stopniał. A oddziały baktryjskie zostały rozbite – haruspik odpowiedział natychmiast pewnym głosem.

Pakorus zachwiał się, jakby przyjął potężny cios.

– Zbliży się do nas potężna wroga armia – kontynuował Tarkwiniusz. – Król Azes pragnie poszerzyć granice swojego królestwa. Jeśli nie staniemy na jego drodze, złupi Margianę.

Niepewna mina Pakorusa mówiła wszystko. Tarkwiniusz wspominał już kiedyś o najeździe Hindusów. Dawno temu.

– Ilu ich jest?

– Trzydzieści tysięcy piechoty. I może pięć tysięcy kawalerii. Do tego rydwany bojowe.

Nad szeregami legionistów wzniosły się okrzyki pełne niedowierzenia.

– To niewielkie niebezpieczeństwo – prychnął Pakorus, próbując zbagatelizować zagrożenie.

Ciemne oczy Tarkwiniusza teraz przypominały głębokie studnie.

– Prowadzą też słonie. Co najmniej setkę.

Już wszyscy żołnierze wyglądali na przestraszonych. Wielu Partów zgarbiło się pod ciężarem tych wieści.

Radość Romulusa spowodowana widokiem swojego mentora żywego zniknęła

jak ucięta nożem. Wizja Tarkwiniusza była przepowiednią nieuchronnej zagłady Zapomnianego Legionu. Śmierci przyjaciół. Wiedział o tym. Myśląc o nowym niebezpieczeństwie, nie zauważył reakcji Brennusa.

Zanim Pakorus odzyskał kontrolę nad emocjami, minęło trochę czasu. Zapadła długa cisza.

– Wracać do koszar. Natychmiast! – wykrzyknął głośno, chociaż po pewności w jego głosie nie było już śladu. Morale upadnie, jeśli zwykli ludzie poznają za dużo szczegółów, jednak sądząc po zdenerwowanych minach żołnierzy pierwszej centurii, nastroje nie były już zbyt dobre.

Centurioni i *optiones* zajęli się popędzaniem żołnierzy. Pomagając sobie przekleństwami, kopniakami i uderzeniami trzcinek, zmusili ludzi do marszu.

– Musimy porozmawiać – Pakorus skinął na Tarkwiniusza.

Haruspik pokiwał głową z powagą. Mimo straszliwych blizn będących śladem tortur Vahrama niezmiennie czuł się odpowiedzialny za losy Zapomnianego Legionu.

Przyjaciele też ruszyli posłusznie za legionistami z pierwszych rzędów. Gdy przechodzili obok Tarkwiniusza, haruspik odwrócił głowę. Spojrzenia Romulusa i Tarkwiniusza spotkały się, zanim haruspik przeniósł wzrok na Brennusa. Wymizerowany Etrusk szeroko się uśmiechnął i trudno było nie odpowiedzieć tym samym. Być może dopiero przyjdzie im się zmierzyć z największym zagrożeniem. Ale teraz wciąż jeszcze żyli!

A potem znaleźli się pod łukiem bramy i na dziedzińcu fortu. Żołnierze pierwszej centurii nie byli w stanie ukrywać rozsadzających ich emocji. Euforia zwycięstwa mieszała się ze strachem wywołanym złowieszczą wizją haruspika. Po tym, jak Nowius rozsiewał plotki na temat Romulusa i Brennusa, również Tarkwiniusz stał się jednym z podejrzanych, bo wszyscy wiedzieli, że całą trójkę łączy przyjaźń. Partowie uwięzili go i odseparowali od legionistów, dlatego nikt nie mógł zarzucić mu wprost, że jest zbiegłym niewolnikiem, ale w oczach zwykłych żołnierzy także i on nie był bez winy. Poprzez swój współdział i tuszowanie występku przyjaciół. Jednak z drugiej strony ludzie pamiętali też straszny marsz na wschód z Seleucji. To właśnie wtedy Tarkwiniusz zasłużył sobie na szacunek legionistów, zajmował się bowiem chorymi i rannymi. Co więcej, jego proroctwa zawsze się sprawdzały, dlatego nikomu nie przeszło przez myśl, że może konfabulować.

Jeśli Tarkwiniusz powiedział, że inwazja jest nieuchronna, to tak właśnie było i niewielu znalazłoby się śmiazków, którzy skłonni byliby temu zaprzeczać.

Wkrótce będą potrzebować całego szczęścia, jakie ma do zaoferowania Fortuna.

Pakorus rzeczywiście wziął sobie słowa Tarkwiniusza do serca. Tego wieczoru wszyscy centurioni zebrali się na Via Praetoria. Dowiedzieli się, że następnego dnia legion wyruszy na południe. W forcie zostanie tylko garstka wojowników i niezdolni do walki. Zabiorą ze sobą wszystkie balisty, złożone podczas cichych zimowych miesięcy przez znudzonych płatnerzy. Na szczęście wytrzymałe muły, które maszerowały z więźniami z Seleucji na wschód, były dobrze karmione. Miały teraz przed sobą trudne zadanie. To właśnie im przyjdzie dźwigać nie tylko żywność, zapasową broń i elementy ekwipunku oraz wszelkie inne narzędzia potrzebne na wojnie, ale także siano dla zwierząt jucznych, długie włócznie i namioty.

Centurioni szybko podzielili się niepokojącymi informacjami ze swoimi ludźmi. Nawet Partowie dziwili się decyzji podjętej przez Pakorusa. Rzadko zdarzało się rozpoczynanie kampanii wojennej tak wczesną wiosną. Jednak rozkazy przekazane przez centurionów nie zaskoczyły strudzonych legionistów z pierwszej kohorty. Chcieli świętować zwycięstwo nad Scytami, a przynajmniej pozostać kilka nocy we własnych łózkach. Tymczasem przyszło im spędzić bezsenłą noc, rozmyślając nad słowami Tarkwiniusza, które powtarzano nieskończoną ilość razy w każdym baraku.

W miejscu jednego niebezpieczeństwa pojawiło się kolejne, jeszcze większe. Gdy zapadły ciemności, w niebo poszybowwały tysiące modlitw. Pokonywały pustą, bezchmurną przestrzeń. Niewielu ludzi dobrze spało tej nocy.

Romulus również miał trudności z zaśnięciem. Zastanawiał się nad przyszłością. Perspektywy wydawały się beznadziejne. Wszyscy chcieli ich krwi: Pakorus, Vahram, Kajusz, a teraz jeszcze Hindusi. Ledwo udaje im się uniknąć jakiegoś zagrożenia, a pojawia się kolejne. I tym razem dezercja wydała mu się nie mieć wiele sensu, a próbę uwolnienia Tarkwiniusza uważał za równoznaczną z samobójstwem. Wyruszenie na spotkanie z Hindusami było jedyną opcją. Mieli kierować się na południe. W nieznaną. Stanąć do walki, której nikt inny na ich miejscu nie wygrałby. Romulus czuł, że opadają go wątpliwości. Ale przecież Mitra już tyle razy go ratował. Pójdą więc i tym razem w bój z Tarkwiniuszem. Może jednak są jakieś małe szanse?

Brennus nie lubił za wiele gadać. Zasnął szybko i teraz chrapał miarowo na łóżku obok. Na jego ustach igrał nikły uśmiech.

Pochłonięty własnymi kłopotami Romulus niczego nie zauważył.

Na dziedzińcu przy kwaterze Pakorusa Tarkwiniusz przyglądał się gwiazdom, które obsypały nocne niebo. Mimo usilnych prób haruspik nie potrafił przeniknąć mgły otaczającej przyszłość po bitwie, do której wkrótce dojdzie.

Czeka ich rzeź, tak jak pod Carrhae. Zginie mnóstwo ludzi i dlatego nie był w stanie dostrzec w tym chaosie ścieżki losów trzech konkretnych osób. Ale gdzie podziały się wizje z obrazem powrotu do Rzymu? Czyżby jego mentor, Olenus, jednak się mylił?

Tarkwiniusz bardzo się niepokoił.

Gdy przeszli przez wąską przełęcz i pierwsze szeregi armii ruszyły w dół po zboczach, wreszcie mogli upajać się widokiem krainy, ku której zmierzali. Minęło jedenaście dni i Zapomniany Legion pokonał właśnie pasmo górskie leżące na południe od fortu. Dzięki temu, że Pakorus świetnie znał okolicę, udało im się bezpiecznie przebyć wąski wąwóz, leżący znacznie poniżej linii śniegu.

– Świetna widoczność – powiedział Gal, wyciągając rękę i wskazując wschód. – Powiedziałbym, że na co najmniej pięćdziesiąt mil.

Trudno było się nie zgodzić. Krystalicznie czyste powietrze i bezchmurne niebo pozwalały dostrzec każdy szczegół krajobrazu. Grzmiące, wartkie rzeki spływały w dół ze szczytów, dzieląc okolice na kilka wielkich, nieregularnych obszarów. Ziemia tu była bardziej urodzajna niż na północy. Z wysoka widzieli małe wysepki wsi i siatkę pól, rozłożonych nierównomiernie wokół osad. Zbocza pokryte były połaciami gęstych lasów. W przeciwieństwie do Rzymian Partowie i Baktrianie nie budowali dróg, osady ludzkie łączyły utarte szlaki. Krajobraz tej krainy nie różnił się specjalnie od krajobrazu południowej Italii.

Żołnierze mruzczyli z zadowoleniem. Żadnego śladu wroga.

Romulus westchnął głośno. Sam nie wiedział, co było gorsze – oczekiwanie na zagładę czy zastanawianie się nad jej nieuchronnością?

Brennus objął go ramieniem w geście pocieszenia.

– Wszyscy wciąż żyjemy – powiedział. – Oddychamy. Ciesz się widokiem. Dlaczego nie? To lepsze niż zamartwianie się.

Romulus uśmiechnął się niepewnie.

Następnego dnia legion wyruszył o świcie i przed zmrokiem pokonał dobre piętnaście mil. Kolejnego dnia przeszli dwadzieścia mil, a dzień później nawet trochę więcej. Nikt nie wiedział, dokąd zmierzają, ale plotka głosiła, że ku rzece nazywanej Hydaspes.

Plotki potwierdziły się, gdy po prawie tygodniu marszu stanęli nad brzegiem potężnej rzeki, płynącej niemal idealnie z północy na południe. Miała co najmniej

ćwierć mili szerokości. Choć nie była tak wielką przeszkodą jak góry i tak robiła na nich spore wrażenie.

Tarkwiniusz siedział okrakiem na mule, obserwując wartki nurt rzeki. Towarzyszył mu Pakorus oraz kilku starszych centurionów na koniach. Za ich plecami zebrał się pierścień zakurzonych wojowników. Skrywali zadowolenie z tego, że mogą wreszcie odpocząć. Aby mieć lepszy widok, grupa dowódców podjechała do samego brzegu rzeki. Niskie drzewa i bujna roślinność schodziły po obu stronach do samej wody, utrudniając rozpoznanie szczegółów na drugim brzegu rzeki.

– Hydaspes – odezwał się Pakorus, wyciągając rękę w pełnym ekspresji geście. – Wschodnia granica imperium Partów.

– Niedaleko stąd zatrzymała się armia Aleksandra – skomentował Tarkwiniusz – gdy jego żołnierze nie chcieli kontynuować kampanii.

– To była mądra decyzja... – stwierdził dowódca legionu. – Od najdawniejszych czasów tutejsi królowie wystawiali ogromne armie. Tak wielkich nie mógłby zebrać ten cholerny Grek.

Ten cholerny Grek miał więcej talentów militarnych w swoim małym palcu niż ty w całym zgniłym ciele – pomyślał haruspik.

– Zatem nic się nie zmieniło – stwierdził sucho Vahram.

– No to gdzie oni są? – zapytał Ishkan.

Wszystkie oczy skierowały się na Tarkwiniusza.

– Niech bogowie mają cię w swojej opiece, jeśli pokonaliśmy tyle mil na próżno – warknął Pakorus.

Vahram chwycił za rękojeść miecza, zawsze chętny do pokazania, kto tu jest panem, a kto sługą.

Tarkwiniusz nie odpowiedział od razu. Przeżył tortury, jakim poddał go *primus pilus*, i to doświadczenie nauczyło go przynajmniej, żeby dobrze zastanawiać się nad tym, co mówi. Podniósł głowę i wciągnął powietrze. Jego oczy błędziły po niebie.

Pogoda poprawiała się z każdym dniem. W dolinach wiosna rozgościła się już na dobre. Pola mijanych wiosek zazieleniły się od młodych pędów pszenicy i jęczmienia. Na terenach leżących z dala od ziem objętych chłodniejszym klimatem górskim młode rośliny i drzewa zaczynały już wypuszczać pąki. Poziom wody w rzece musiał trochę opaść w porównaniu z tym z zimowych roztopów. Za dwa miesiące nadejdzie monsun. Idealna chwila dla armii, żeby bezpiecznie przekroczyć

rzekę.

Vahram tracił cierpliwość, ale Pakorus siedział spokojnie na swoim czarnym rumaku, czekając, aż Tarkwiniusz zdecyduje się odezwać. Przyzwyczał się już do kontemplacyjnego spokoju haruspika, chociaż go nie cierpiał. Rozumiał jednak, że kilka chwil więcej nie zmieni ich losu.

Uwagę Tarkwiniusza przykuł samotny sęp, unoszący się wysoko nad ziemią na drugim brzegu rzeki. Wyglądał dziwnie. Niezwykle. Miał białą głowę i bardzo ciemne kręgi wokół oczu, zaś szyja i reszta ciała były blade, jasnobrązowej barwy. Wyróżniał go także charakterystyczny długi ogon w kształcie rombu.

Jego obecność musiała mieć znaczenie.

Sęp trzymał w szponach dużego żółwia i powoli nabierał wysokości. Gdy wzniósł się mniej więcej na dwieście kroków, zwolnił uchwyt. Żółw spadł na ziemię, a jego sztywna skorupa nie wytrzymała. Sęp, nie spiesząc się, opadł na dół za swoją ofiarą.

Uderzający dowód inteligencji ptaka. Dobra lekcja nieszablonowego działania, które okazało się skuteczne, gdy w żaden inny sposób nie można dostać się do ofiary.

Tarkwiniusz dostrzegł daleko na wschodzie zbierające się burzowe chmury. Podziękował Tinii i Mitrze. Od czasu tortur zadanych mu przez Vahrama miał jeszcze większe problemy z przewidywaniem przyszłości. Ale jego talenty nie zanikły całkowicie.

– Spóźniliśmy się – powiedział. – Dwa dni drogi stąd na południe znajduje się bród. Hindusi właśnie przechodzą na drugi brzeg rzeki.

Opalona skóra Ishkana zrobiła się niemal biała. Dobrze wiedział, o jakim brodzie mówił Tarkwiniusz, ale przecież haruspik nie mógł go znać! Żaden z Partów nigdy o nim nie wspominał.

Jeszcze jeden przykład ponadprzeciętnych umiejętności Tarkwiniusza – pomyślał Vahram. – *Dobrze, że przeżył. Kogoś, kto zabije haruspika, musi czekać straszliwa śmierć. Tyle że to i tak nie będzie różniło się od tego, co ich czeka na polu bitwy, gdy przyjdzie im zmierzyć się z potężnym wrogiem.* Tydzień wcześniej Zapomniany Legion zostawił za plecami łatwą do obrony górską przełęcz. Dowódcy liczyli na to, że uda im się stanąć nad rzeką Hydaspes, zanim dotrze do niej wróg, i uniemożliwić mu pokonanie rzeki albo przynajmniej sprawić, że będzie musiał słono zapłacić za przeprawę. Teraz jednak wszyscy zrozumieli konsekwencje tego, że Hindusi znaleźli się na drugim brzegu rzeki. Na otwartym terenie przy rzece ich szanse na sukces spadały.

Pakorus zacisnął zęby. Wiele można mu było zarzucić, ale nie to, że nie jest odważny. Zamierzał spełnić swój obowiązek. Lepiej umrzeć z honorem w walce

z wrogami Partii, niż zginąć haniebnie z rąk oprawców króla Orodesa. Spojrzał badawczo na Tarkwiniusza.

– No i?

– Przed nami wiele pracy.

Vahram parsknął.

– Co nam pozostało poza zaakceptowaniem losu i chwalebną śmiercią?

– Możemy dać wrogom lekcję, której nigdy nie zapomną – mruknął Pakorus.

Zmęczeni długim marszem legionieści z niezadowoleniem przyjęli rozkaz przygotowania umocnień tymczasowego obozu dobrą milę od rzeki. Oznaczało to bowiem, że żołnierze odpowiedzialni za zapewnienie wody będą musieli o wiele dłużej gnać swoje muły nad brzeg i z powrotem.

Romulus nie zastanawiał się zbyt wiele nad kwestią takiej, a nie innej lokalizacji obozu. Widział, że o świcie partyjska jazda opuściła obozowisko, i podświadomie przeczuwał, że dzieje się coś ważnego.

Gdy dowódcy powiadomili legionistów, że wszyscy będą musieli pracować także następnego dnia, liczba narzekających wzrosła, jednak nikt nie ośmielił się zakwestionować rozkazów. Każde takie utyskiwanie mogłoby się skończyć surową karą. Poza tym wszyscy rozumieli potrzebę wznoszenia konstrukcji obronnych.

Wstali skoro świt i natychmiast zabrali się do pracy. Brennus przykładał się do wykonania zadania z właściwym sobie entuzjazmem. W jego ogromnych dłoniach łopata wyglądała jak zabawka, ale ilość przerzuconej przez niego ziemi świadczyła, że o żadnej zabawie nie może być mowy.

Hydaspes osłaniał lewą flankę Zapomnianego Legionu. Zarządzani przez Tarkwiniusza żołnierze wykopali głębokie rowy, które biegły równoległe do linii brzegowej rzeki, w odległości około ośmiuset kroków od niej. Mniej więcej tyle przestrzeni zajmowała linia kohort legionu rozstawionych w szyku bojowym. Żołnierze przygotowali gałęzie, które zabezpieczały ściany rowów. Skierowane na zewnątrz rowy biegnące po łuku miały chronić prawą flankę. Bez wystarczającej liczby jeźdźców haruspik musiał improwizować. Na dnie rowów wkopano pod kątem zaostrome paliki, wystające niczym krzywe zęby w paszczy krokodyla. Między nimi rozrzucono żelazne kolczatki, których ostrza mierzyły w powietrze.

Kilkanaście *ballistae*, którymi dysponowali, podzielono na dwie grupy. Połowa z nich znalazła się za liniami piechoty, skierowana w stronę, z której spodziewano

się przeciwnika. Reszta miała pokrywać ostrzałem teren przed rowami. Gdyby okazało się to konieczne, dawało się je przestawić tak, że mogły ostrzeliwać tyły formacji. Ludzie, którzy nie mieli akurat innych obowiązków, szukali nad rzeką odpowiedniej wielkości kamieni i wykorzystywali muły do zaciągnięcia ich do balist. Szybko przy każdej katapultcie zebrały się wielkie stosy amunicji – od wielkości pięści do głazów większych niż ludzka głowa. Jeśli balisty obsługiwali doświadczeni artylerzyści, były one zabójczą bronią. Romulus mógł przyglądać się pracy artylerzystów przy wielu okazjach i wiedział, że *ballistae* odegrają ważną rolę w nadchodzącej bitwie.

Ostatnim zadaniem legionistów było wykopanie głębokiego, wąskiego rowu, prowadzącego prosto do rzeki, równoległego do pozycji Zapomnianego Legionu. Od niego poprowadzono wiele prostopadłych kanalików. Przedpole było podzielone teraz na kawałki wieloma kanałami irygacyjnymi. Ostatnia część wykopu, najbliższej rzeki, powstała na końcu. Gdy tylko usunięto ostatnie kęsy ziemi, mała strużka szybko przemieniła się w potężny strumień, który wypełnił kanał po brzegi.

Na początku nikt nie wyjaśnił im celu poszczególnych czynności, ale teraz stał on się oczywisty. Żołnierze uśmiechali się na widok wody, która zamieniała przedpole w miękkie bagno.

Dzień wypełniony ciężką pracą fizyczną zmierzał ku końcowi. Legioniści mogli wrócić myślami do spraw przyziemnych – takich jak ich przyszłość i mająca nadejść bitwa, która wydawała się coraz bardziej nieuchronna.

Tego samego wieczoru do obozu wróciły resztki jazdy. Wielu ludzi Pakorusa odniosło rany, jeszcze więcej zginęło. Zostali zaatakowani przez znacznie większy oddział hinduskiej kawalerii i ponieśli ciężkie straty. Mówili, że zbliżająca się armia jest tak duża, jak mówił Tarkwiniusz. A może nawet większa. Przybędzie następnego dnia.

Te wieści wywołały głębokie przygnębienie legionistów. Okazało się, że haruspik po raz kolejny miał rację. A każdy żołnierz Zapomnianego Legionu gorąco pragnął, żeby choć ten jeden raz się mylił.

Romulus wiedział teraz, że nie może uciec przed przeznaczeniem. Pędziło wprost na niego na kursie kolizyjnym. Myślenie o powrocie do Rzymu wydawało mu się teraz zupełnie bezsensownym marnotrawieniem cennej energii. Lepiej oszczędzić ją na następny dzień, gdy śmierć rozpocznie swoje żniwo na tej zielonej równinie nad rzeką Hydaspes. *Siedemnaście lat? To za mało, żeby już żegnać się z życiem* – pomyślał ze smutkiem.

Brennus czuł dziwne zadowolenie z siebie. Podobno znajdowali się niedaleko miejsca, gdzie Aleksander odniósł wiele lat temu wielkie zwycięstwo.

– To jest koniec świata – mówili ludzie siedzący przy ogniskach. – Kto chciałby podróżować dalej, nawet gdyby się dało?

Te słowa poruszały jakąś strunę głęboko w jego wnętrzu.

Podróż do miejsc, do których nigdy nie dotarł żaden z Allobrogów. I nigdy nie dotrze.

Po dziewięciu długich latach bogowie wreszcie zdecydowali się ukazać mu jego przeznaczenie.

Rozdział XVI

Droga do Galii



Północna Italia, zima 53/52 r. p.n.e.

Widząc w jej oczach strach, Sekundus podszedł bliżej.

– Powiedz mi.

– To *fugitivarii* – szepnęła Fabiola. – Jestem pewna.

– To byłoby w ich stylu – powiedział nachmurzony. – Obawiają się moich ludzi, dlatego atakują z ukrycia, jak złodzieje. I zabijają z zaskoczenia.

– Żeby wyrównać szanse.

– Właśnie. – Sekundus przyjrzał się uważnie linii pobliskich drzew i krzewów. – Te dranie musiały nas śledzić, od kiedy opuściliśmy Rzym.

– Czy powinniśmy wrócić?

Sekundus wybuchnął krótkim, złowróżbnym śmiechem.

– Ktokolwiek zgładził moich chłopaków, z pewnością łatwiej znajdzie nowych ludzi w stolicy niż tam, dokąd zmierzamy. Poza tym w Rzymie teraz panuje jeszcze większy chaos. Powrót do stolicy nie jest najlepszym pomysłem.

– I trochę potrwa, zanim pojawią się w niej legiony Pompejusza – stwierdziła Fabiola. Jeśli pogłoski, jakie słyszeli, okażą się prawdą, na najbliższy rok Pompejuszowi zostanie powierzony urząd dyktatora. Zdezorientowany senat w końcu zdecydował się działać. Jednak legiony Pompejusza były rozproszone po całej Republice. Większość znajdowała się w Hiszpanii i Grecji, a inne były rozproszone po całej Italii.

– A my nie mamy czasu... – zakończył Sekundus. – Lepiej będzie, jak ruszymy dalej.

– I to szybko... – dodał jeden z weteranów.

Sekstus kiwnął głową na znak, że się zgadza.

Fabiola nie oponowała. Na własne oczy widziała, do czego był zdolny Scewola, i wiedziała, co stanie się, jeśli się nie spieszą.

Pomimo dość mocno zamrożonej ziemi weterani błyskawicznie uporali się z pogrzebaniem towarzyszy. Fabiola była zaskoczona, widząc, jak szybko udało im się wykopać dwa głębokie doły, umieścić w nich ciała w przesiąkniętych krwią ubraniach i pokryć je ziemią. Pochowano ich z bronią. Potem wszyscy zebrali się wokół grobów. Sekundus powiedział kilka słów, wspominając poległych. Jednak nie mieli czasu, żeby wyrzeźbić drewniany nagrobek. Serwius i Antoninus zniknęli, jakby nigdy nie żyli.

Te zwykle groby to i tak jest więcej niż to, czego może spodziewać się większość niewolników – pomyślała ze smutkiem Fabiola. Ich ciała po śmierci trafiały po prostu do śmierdzących dołów z odpadami miejskimi. W ten sposób pozbywano się też ciał straconych kryminalistów. Po bitwie podobny los spotykał poległych żołnierzy przegranej strony. Romulusa pod Carrhae? Czy po jakiejś innej bitwie, którą widziała w swojej wizji?

Ze smutną miną wspięła się do lektyki, moszcząc się obok Docilosy, która zachowywała kamienną twarz. Sekundus rzucił rozkaz. Ruszyli.

Tego dnia nie czekały już na nich żadne nieprzyjemne niespodzianki, a Sekundus zadbał o to, żeby o zmierzchu dotarli do miasta. Nie chcąc, aby ktokolwiek poznał ich planowaną trasę, wcześniej starali się unikać kontaktu z ludźmi, jeśli to tylko było możliwe. Jednak nocny napad wszystko zmienił. Teraz widzieli swoje bezpieczeństwo w przewodze liczebnej. Sekundus poprowadził grupę do najlepszej karczmy, jaką udało się znaleźć – zaniebanego domu z drewna, z zapadającym się dachem i jadalnią pełną podejrzanych typów, otoczonego błotnistym podwórkiem, robiącym za stajnię. Mężczyźni ścigali zaciekawionymi spojrzeniami dwie kobiety wysiadające z lektyki, mimo że te skryły twarze pod kapturami ciemnych, wojskowych *lacernae*, które przygotował Sekundus. Przyszło im teraz kryć się jak złodziejki!

Gdy Fabiola i Docilosa zjadły w swoim pokoju prosty posiłek, Sekundus zostawił pod ich drzwiami dwóch ludzi. Towarzyszył im też Sekstus. Wszyscy mężczyźni dzielili sąsiadujący pokój, ale Sekundus regularnie sprawdzał, czy nic złego nie dzieje się z kobietami, które ochraniał. Gdy Docilosa położyła się wcześniej do łóżka, mógł spokojnie porozmawiać z Fabiolą. Sekundus był coraz bardziej przekonany do tego, że Fabiola ma pełne prawo zostać wyznawcą Mitry,

i zaczął dzielić się z nią fascynującymi szczegółami tajemniczej religii, opisując jej podstawowe wierzenia i rytuały. Fabiola pragnęła dowiedzieć się jak najwięcej o mitraizmie, w którym niewolników traktowano na równi z wolnymi obywatelami. Dlatego chłonęła wszystkie informacje.

Osiem kolejnych dni niczym się od siebie nie różniło: we dnie podróżowali bez przerwy, noce spędzali w niewygodnych łózkach w jakichś obskurnych dziurach. Rankiem dziewiątego dnia Fabiola zaczęła się zastanawiać, czy ze strachu nie przesadziła ze swoją reakcją. Gwałtowna burza śnieżna i śmierć wartowników sprawiły, że miała same czarne myśli. Teraz zaczęła się zastanawiać, czy zabójstwa nie przypisać zwykłym bandytom. Może to było tylko zdarzenie losowe, które już nigdy się nie powtórzy. Granica z Galią znajdowała się w odległości tygodnia marszu, a myśl o tym, że znów zobaczy Brutusa, napełniała ją radością.

Nawet Sekundus i Sekstus wydawali się podniesieni na duchu. Tylko Docilosa wciąż nie mogła pozbyć się złych przeczuc. Nie cieszyła się nawet perspektywą poprawy pogody. Śnieg zalegający na poboczach dróg zaczynał się topić. Tu i ówdzie kwitły przebiśniegi. Gdy słońce pokazywało się w szczelinach między chmurami, jego promienie przyjemnie łaskotały skórę. Wreszcie nadchodziła wiosna. Ptaki przysiadujące na drzewach śpiewały radośnie, oznajmiając światu, że zima ma się ku końcowi. Gdy lektyka chwiała się i podskakiwała, Fabiola nie mogła się powstrzymać i z uśmiechem na twarzy przyglądała się ponurej Docilosie.

Później jednak żałowała, że nie przejęła się bardziej obawami swojej powierniczki.

Po południu przyszło im podjąć ważną decyzję. Droga zawiodła ich do wąskiej doliny. Po obu stronach ciągnęły się wysokie drzewa, których niższe gałęzie zwisały groźnie na wysokości głowy. Gdy znaleźli się na ocienionej ścieżce, jasne słońce z trudem przebijało się przez zielony dach, który pozostawiał tylko mały pasek nieba nad głową. Za linią sękatych pni widać było zarys ogromnych omszałych głązów, pozostałości po jakimś dawnym kataklizmie. Ptaki zamilkły i widzieli je tylko gdzieniegdzie. W lesie panowała śmiertelna martwota. Nieprzyjazna cisza.

Nietypowo tym razem Sekstus opuścił swoją pozycję przy lektyce Fabioli, żeby wspólnie z dwoma ludźmi Sekundusa przeprowadzić zwiad. Jednoręki weteran rozmawiał teraz z nimi, podczas gdy Sekstus stał obok, kiwając głową. Według zwiadowców nie mieli wielkiego wyboru i powinni ruszyć na skróty. Gdyby poszli szlakiem, omijając wąwóz, musieliby nadłożyć minimum dzień drogi.

– Moi chłopcy nie zauważyli niczego podejrzanego – stwierdził Sekundus – a ten odcinek jest krótki, po czym przechodzi znów przez bardziej otwarty teren.

Fabiola, niepewna, przygryzła wargę.

– Obaj wyczuwają kłopoty z daleka jak charty zapach zwierzyny – kontynuował Sekundus. – Pokonamy wóz w pół godziny. Nie więcej.

Sekstus uśmiechał się zachęcająco.

Pokusa była zbyt wielka. Jeśli Sekstus, człowiek, którego mogła porównać do szczęśliwego talizmanu, był zadowolony, to droga musi być bezpieczna. Ignorując mruczenie Docilosy, kiwnęła głową na zgodę.

Straż przednia składała się z trzech ludzi Sekundusa, którzy trzymali w pogotowiu łuki gotowe do strzału. Potem szli spoceni niewolnicy, niosąc lektykę, zabezpieczaną z każdej strony przez parę weteranów. Wąska droga i nisko wiszące gałęzie zmuszały ich stale do schylania i przystawiania. Tyłów pilnował Sekstus, Sekundus i dwóch pozostałych weteranów. *Ta droga wcale nie wygląda na najbezpieczniejszą* – pomyślała Fabiola, gdy wyjrzała zza zasłonki i omal nie straciła oka przez ostry koniec na wpół zbutwiałej gałęzi.

Panował półmrok. Czas ciągnął się. Żeby poprawić nastrój Docilosy, Fabiola próbowała wciągnąć ją w rozmowę o Sabinie, jej córce, która została zabrana, gdy miała zaledwie sześć lat, i sprzedana do jednej z rzymskich świątyń. Źle wybrała temat. Kiepski humor nie opuszczał Docilosy i jej ponury wyraz twarzy nie zmieniał się bez względu na to, co mówiła Fabiola. Postanowiła spróbować odnaleźć Sabinę, gdy tylko będzie miała taką możliwość. Warto wydać każde pieniądze chociażby po to, żeby zobaczyć, jak Docilosa się uśmiecha.

To powierniczka Fabioli jako pierwsza wyczuła, że coś jest nie tak.

– Co się stało? – spytała ostro.

Pogrążona w myślach Fabiola nie zareagowała.

Lektyka nagle zatrzymała się i dopiero to sprawiło, że Fabiola wróciła do rzeczywistości.

Przez chwilę panowała cisza, a następnie powietrze wypełniły przerażające krzyki. Wydawało się, że dochodziły z każdej możliwej strony. Fabiola zamarła.

– Fabiola!

Dźwięk głosu Sekundusa wyrwał ją z zamyślenia.

Ciche syczące dźwięki zostały zastąpione przez miękkie tąpnięcia i okrzyki bólu.

Strzały! Zasadzka! Czy bogowie nigdy nie zostawią mnie w spokoju?

– Na zewnątrz! Szybko! – Docilosa wyglądała na przerażoną, ale Fabiola mocno chwyciła ją za rękę i pociągnęła za sobą. Jeśli zostaną w lektyce, czeka je śmierć. Odrzuciła zasłonkę i już po chwili leżała na płask pod dachem z gałęzi. Docilosa mruczała coś do siebie, ale też przyłgnęła do ziemi. Sekstus już na nie czekał i szybko zasłonił je własnym ciałem. Wyglądało na to, że czuł się winny.

Trzymając się nisko, Fabiola przesunęła się tak, żeby zobaczyć, co dzieje się z przodu. Trzej weterani kucali zbici w jedną grupę, osłaniając się tarczami. Z zaniepokojeniem stwierdziła, że droga na wprost została całkowicie zablokowana barykadą z kamieni i konarów drzew. Niewolnicy nie daliby rady przenieść przez nią lektyki. A zamaskowane postaci ostrzeliwały grupę zza tej osłaniającej ich bariery. Nisko wiszące gałęzie i słabe światło uniemożliwiało rozpoznanie twarzy napastników. Niezależnie od tego, kim byli, sprawnie przygotowali pułapkę zaraz po sprawdzeniu drogi przez zwiadowców Sekundusa.

Rozglądała się wokół, próbując ocenić sytuację. Dostrzegła tylko jedno ciało. Weterana. Z jego otwartych ust sterczała strzała. Śmiertelny strzał, który przed całkowitym zapomnieniem musiał przynieść oślepiający ból. Nie widziała pozostałych pięciu ekslegionistów. Ani Sekundusa.

– Gdzie *pater*?

– Po drugiej stronie lektyki – odpowiedział ponurym głosem jeden z weteranów.
– Chowa się za *scutum*, tak jak my.

– Nie możemy tu zostać – zaprotestowała Fabiola. – Wystrzelają nas po kolei.

Jakby na potwierdzenie jej słów dwie strzały wbiły się z krótkim młśnięciem w drewno lektyki nad ich głowami. Niewolnicy jęknęli ze strachu, a napastnicy zareagowali szyderstwami i obelgami.

Sekstus i trzech weterani wpatrywali się w nią w milczeniu. Fabiola zdała sobie sprawę, że szeregowi żołnierze przyzwyczaili się do wykonywania rozkazów, a nie do wykazywania inicjatywy. Z drugiej strony pewnie i tak by jej nie posłuchali. Przecież była kobietą, a ponadto taką, której nie ufali. Fabiola poczuła więc wielką ulgę, gdy po dłuższej chwili za jej plecami pojawił się Sekundus. Postawiony przed wyborem chwycenia jedną ręką za broń lub osłaniania się *scutum*, wybrał tę bezpieczniejszą opcję, czyli tarczę. Towarzyszyło mu pięciu weteranów, z których jeden był ranny. Złamana strzała wystawała z jego lewego ramienia. Oznaczało to, że do tej pory jedyną ofiarą śmiertelną zasadzki był nieszczęśnik leżący przed lektyką.

Wszyscy czekali na to, co powie Sekundus.

– Mamy tylko jedno wyjście – powiedział. – Nie możemy się wycofać.

– Dlaczego nie? – zapytała Fabiola. Znali już drogę, którą tu trafili. A kto wiedział, ilu jest napastników blokujących drogę z przodu?

– Na krótko przed zasadzką słyszałem jakieś głosy dochodzące z tyłu.

– Ja też – dodał najstarszy z weteranów.

Te rewelacje nie zostały przyjęte dobrze.

– Inna grupa czeka za naszymi plecami, żeby zaatakować, gdy będziemy się wycofywać – powiedział weteran o ziemistej twarzy i z policzkami naznaczonymi śladami po ospie.

– Jest ich więcej, niż myśleliśmy – mruknął Sekundus. Kucnął i skinął na swoich ludzi.

Ci przysunęli się bliżej. Fabiola zrobiła to samo, boleśnie świadoma, że nie ma żadnego doświadczenia, jeśli chodzi o taktykę walki.

– Atakujemy tych skurwieli – powiedział pewnie Sekundus. – Przebijemy się przez barykadę.

– Jak za dawnych czasów... – wtrącił żołnierz o ziemistej twarzy.

Ludzie pokiwali głowami z przekonaniem. W obliczu śmierci weterani poczuli znajomy dreszcz. Gdy w ich żyłach zaczęła płynąć adrenalina, a strach ścisnął lekko żołądki... poczuli się lepiej. Żaden z nich nigdy nie uchylał się przed obowiązkiem. Nic takiego nie stanie się i dzisiaj.

– Czy pierwszy na szczycie dostanie *corona muralis*? – zapytał jeden z weteranów. Roześmiali się wszyscy z wyjątkiem kobiet.

Sekundus zauważył ich pytające spojrzenia.

– To odznaczenie w kształcie złotej korony dla pierwszego żołnierza, który wdrze się na mury obsadzone przez wrogów.

– Co my mamy robić? – zwróciła się do niego Fabiola, starając się zachować spokojny ton głosu. – Powiedz nam.

Docilosa przysunęła się bliżej i chwyciła Fabiolę za rękę. Sekstus zamruczał coś cicho pod nosem.

Sekundus zareagował uśmiechem.

– Stworzymy wąski klin. Przeciwnicy rzadko wytrzymują taki atak. Te psy nie są dobrze wyszkolone.

– Nie mamy tarcz. Czy to nie ma znaczenia?

W oczach jednorękiego weterana Fabiola ujrzała uznanie.

– Nie martwcie się. Zajmiecie miejsce w środku formacji.

– A gdy będziemy już po drugiej stronie?

– Pędzimy przed siebie co sił. Jeśli zginie wystarczająco wielu wrogów, stracą serce do walki i pościgu. Niedaleko, tam za drzewami, jest niewielka osada, gdzie powinniśmy być bezpieczni.

– Powinniśmy? – zapytała Fabiola z szelmowskim uśmiechem.

Sekundus wzruszył ramionami.

– Jeśli bogowie się do nas uśmiechną.

– A niewolnicy?

Sekundus się skrzywił.

– Są niewyszkoleni i nieuzbrojeni. Muszą spróbować sami ratować swoją skórę.

– Nie mamy dla was broni. Zróbcie wszystko, żeby uciec i przeżyć – powiedziała Fabiola czterem swoim niewolnikom. – Gdy zaatakujemy, schrońcie się wśród drzew. Przy odrobinie szczęścia nigdy was nie znajdą. Wróćcie do domu Brutusa w Rzymie, jeśli wam się uda.

Dwóch niewolników skinęło głowami, mimo że z ich oczu wycierał strach.

Fabiola przeniosła wzrok na Docilose, na której twarzy rysowała się niepewność.

Kolejna seria strzał wbiła się w tarcze weteranów.

– Dajcie mi sztylet – odezwała się nagle Docilosa.

– To jest morale! – Sekundus uśmiechnął się.

Jeden z jego ludzi wyciągnął *pugio* zza pasa i przekazał go Docilosie.

Nie było na co czekać. Chowając się za *scuta*, żołnierze porzucili osłonę, jaką dawała im lektyka. Fabiola i Docilosa zajęły pozycje w środku klina, razem z Sekstusem u ich boku. Na szpicie stanął weteran o ziemistej twarzy, a trzech innych zajęło pozycje po bokach klina. Sekstus i ranny weteran zamykali go z tyłu, za plecami kobiet.

Gdy ludzie, którzy ich zaatakowali, zrozumieli, co się za chwilę stanie, zaczęli krzyżeć ostrzegawczo. Deszcz strzał wbijających się w tarcze weteranów nasilił się.

– Teraz! – zawołał Sekundus.

Gdy bieгли, błoto chlupało pod ich stopami.

Po dwudziestu krokach grunt nie był już tak równy. Tempo poruszania się klina gwałtownie spadło, gdyż każdy z weteranów zmuszony był szukać miejsca, gdzie można bezpiecznie postawić stopę. Fabiola musiała skoncentrować się na tym, żeby zachować równowagę. Upadek w takim terenie prawdopodobnie oznaczałby śmierć.

– Nie zatrzymywać się! – wrzasnęła Sekundus. – Ruszajcie się!

Deptali po drewnianych balach z wystającymi z nich ostrymi gałęziami, które drapały i cięły skórę na nogach, ale parli do przodu. Znaleźli się już na tyle blisko, żeby móc rozpoznać twarze wrogów. Fabiola starała się pomóc Docilosie, a przy tym nie stracić równowagi. Od czasu do czasu podnosiła wzrok i szukała znajomej twarzy.

Dwaj mężczyźni rzucili się na weterana, który tworzył czubek klina. Pierwszy oberwał guzem tarczy prosto w zęby i upadł na ziemię, głośno zawodząc. Jego zaniepokojony towarzysz wahał się krótką chwilę, ale zaraz skoczył z wściekłością na ekslegionistę z zakrzywionym nożem w ręku. Gdy schylił się, żeby trafić weterana w nogę, jego towarzysz z linii wbił bandycie gladius prosto w pierś. Krew spryskała nieodległą skałę. Było o dwóch napastników mniej.

Klin krok za krokiem zbliżał się do szczytu barykady przy akompaniamencie świstu strzał i bębnienia małych kamieni, wygrywających na tarczach śmiertelną melodię. Kilku kolejnych bandytów zderzyło się ze ścianą tarcz, próbując dosięgnąć weteranów. Padli jednak na ziemię pod serią szybkich pchnięć. Fabiola zdała sobie sprawę, że wystarczyło tylko wyłączyć wroga z walki. Nie trzeba było każdego zabijać. Gdy gladius otworzył brzuch mężczyzny lub zagłębił się w mięśniach jego ręki lub nogi, przeciwnik przestawał się liczyć. Fabiola poczuła szacunek do sposobu walki legionistów i... zobaczyła światełko nadziei. Oglądanie starcia z miejsca, w którym się znalazła, było przerażającym, ale i ekscytującym doświadczeniem. Łatwo mogła sobie wyobrazić, co dzieje się z linią wroga, gdy atakują ją legionieści, wykorzystując formację klina.

W tej samej chwili Fabiola stwierdziła, że wszystko jej się rozmywa przed oczyma.

Jakiś drab z długimi, tłustymi włosami uderzył z impetem z byka w tarczę najniższego weterana. Siła uderzenia okazała się wystarczająca, by *caligae* na nierównym terenie nie zapewniły wystarczającego oparcia. Ekslegionista poślizgnął się na wilgotnej, omszałej skale. Chociaż upadając, zdążył wbić swój miecz w klatkę piersiową zbira, ale zderzył się z towarzyszem po lewej. Ten z kolei wpadł na kolejnego towarzysza i w efekcie klin się rozpadł. Gdyby było ich więcej, może udałoby się utrzymać formację i osłonić tych, którzy stracili równowagę. Nie tym razem. Teraz ciężkie tarcze pozostałych mężczyzn raczej im zawadzały, a nie pomagały, przez co leżący na ziemi weterani znaleźli się całkowicie na łasce wrogów. Pojawili się nowi napastnicy i krzycząc triumfalnie, przyszpiliili bezradnych weteranów do ziemi, tak jak chłopcy nabijają na kije jabłka leżące na ziemi.

Fabiola szeroko otworzyła oczy ze strachu. Teraz nic nie chroniło jej przed napastnikami. Najbliższy z nich właśnie znalazł się w jej polu widzenia. Nikogo nie rozpoznawała, ale naliczyła co najmniej sześciu drabów, a kilku kolejnych wciąż atakowało resztkę klina z drugiej strony. W następnej sekundzie serce Fabioli zamarło. Dwadzieścia kroków dalej stał znajomy mężczyzna i kierował atakami, wymachując długą włócznią. Krępa budowa ciała, srebrne bransoletki i cztery długie strupy na policzku. To nie mógł być nikt inny. Scewola.

Ich oczy spotkały się.

Scewola uśmiechnął się do niej oblesnie, wykonując obsceniczny gest.

– Chciałem dokończyć naszą randkę – krzyknął w jej kierunku.

Fabiola poczuła, że zbiera jej się na wymioty.

– Nie zatrzymuj się, pani! – Docilosa syknęła jej do ucha. – To nasza jedyna szansa.

Posłuchała i na wpół świadomie deptała po piętach weteranom.

Sekundus i jeden z jego ludzi zajęli miejsce na lewej flance, żeby zamknąć lukę po martwych towarzyszach. Sekstus również skoczył do przodu, a jakiś bandyta, który zapędził się za daleko, natychmiast zginął po ciosie jego gladiusa. Sekundus pchnął kolejnego swoją tarczą tak, że wpadł on na biegnących za nim ludzi.

Z przodu mężczyzna o ziemistej twarzy właśnie wspiął się na bariery.

– Dalej! – krzyknął. – Uda się!

To były jego ostatnie słowa.

Włócznia Scewoli trafiła go w szyję tuż pod osłoną napoliczka brązowego hełmu. Ostrze w kształcie liścia przeszło na wylot, wychodząc w fontannie krwi po drugiej stronie szyi. Nie wydając żadnego dźwięku, runął na drogę dziesięć kroków poniżej.

Następny był mężczyzna raniony wcześniej strzałą. Po nim kolejny z prawej flanki klina, który po prostu nie poradził sobie z wrogiem mającym przewagę liczebną. Zostało tylko dwóch ludzi oraz Sekstus i Sekundus. Wszyscy zbiegali szybko po głazach i konarach barykady na drogę po drugiej stronie, żeby jak najszybciej znaleźć się na równym, płaskim terenie. Jednak tam czekało już na nich trzech bandytów z uniesioną bronią. Reszta rzuciła się w pościg, depcząc im po piętach.

– Głupcy! Nie pozwólcie im uciec!

Przez szczęk oręża Fabiola rozpoznała głos Scewoli.

– Pięć aureusów dla tego, kto schwyta tę sukę!

Bijąca z jego głosu desperacja oznaczała, że naprawdę mieli szansę uciec.

– Biegiem! – krzyknęła Fabiola. Uniosła poły swojej sukni i popędziła do przodu, między drzewa.

Zachęceni nagrodą ludzie Scewoli ruszyli za nią.

– Stworzyć tylną straż! – Sekundus rozkazał dwóm pozostałym towarzyszom. – Natychmiast!

Zdyscyplinowani do granic możliwości weterani od razu wykonali komendę. Zwolnili i odwrócili się twarzami do wroga. Stanęli ramię przy ramieniu, a ich tarcze połączyły się po raz ostatni z trzaskiem.

– Niech Mitra ma was w swojej opiece! – krzyknął za nimi Sekundus.

Para weteranów uniosła swoje miecze w żołnierskim pozdrowieniu.

Fabiola zerknęła przez ramię i od razu zrozumiała, że Sekundus wysłał swoich ludzi na śmierć.

– Nie! – krzyknęła.

– Są żołnierzami – powiedział Sekundus z dumą. – Tak zdecydowali i zginą bohaterską śmiercią.

To nie był najlepszy czas na jakiegokolwiek dyskusje. Sekstus złapał jej rękę w żelazny uchwyt i pociągnął za sobą. Sekundus znalazł się po drugiej stronie. Z twarzą wykrzywioną w grymasie strachu i wściekłości Docilosa biegła tuż za plecami Fabioli.

Zaledwie trzech bandytów odgradzało ich od drogi prowadzącej na północ.

Pierwszego zabił sprawnie Sekstus, zagłębiając miecz w jego klatce piersiowej.

Sekundus wykonał zwód w lewo. Jego przeciwnik nie wiedział, że weteran nie ma miecza w drugiej ręce, dlatego zrobił unik i cofnął się o krok, spodziewając się pchnięcia. Poślizgnął się przy tym na kawałku mchu i upadł ciężko na ziemię, upuszczając topór.

Ostatni minął Sekstusa i stanął twarzą w twarz z Docilosą. Ze zdziwieniem skonstatował, że kobieta trzymała w ręce broń. Zawahał się.

Docilosa nie. Szczercząc zęby w grymasie nienawiści wraziła *pugio* aż po rękojeść w jego brzuch.

Ciężko ranny bandyta zgiął się i upadł.

Przed czwórką uciekinierów droga stała otworem.

Jednak Scewola nie zamierzał łatwo zrezygnować. Za nim biegło co najmniej kilkanaście osób.

Strach dodał uciekinierom sił, dlatego pędzili na łeb na szyję między coraz rzadszymi drzewami. Po chwili znaleźli się na polanie zalanej słońcem, które oświetliło ich spocone, zdesperowane twarze. Dolina otworzyła się, a jej zbocza teraz już łagodnie opadały w stronę otwartej równiny poniżej.

Równiny, na której stacjonował rzymski legion.

Fabiola nie mogła uwierzyć własnym oczom.

Szeroki szpaler legionistów ochraniał towarzyszy, którzy trudzili się przy kopaniu rowów fortu. Ziemia z *fossae* miała im posłużyć do wzniesienia wałów obozu marszowego. Ponieważ w samym środku Italii legioniści nie spodziewali się raczej żadnego niebezpieczeństwa, większość żołnierzy osłony po prostu wesoło gawędziła, śmiejąc się i pokrzykując.

Jednak straż szybko zauważyła pędzących na złamanie karku ludzi.

Scewola również dostrzegł żołnierzy. Wezwał swoich ludzi, żeby nie opuszczali osłony, jaką dawały drzewa. Mógł tylko obserwować wściekły i bezradny, jak Fabiola i jej towarzysze oddalają się.

Sekstus i Docilosa ucieszyli się na widok żołnierzy, ale Sekundus głośno zaklął. Fabiola zmartwiała.

– Co to za jedni? – zapytała Docilosa zdziwiona reakcją swojej pani.

– Ludzie Pompejusza – odpowiedziała Fabiola złowróżbnym tonem. – Maszerują na południe. Na Rzym.

Wartownicy wkrótce ich dostrzegli. Usłyszeli ich okrzyki. Zagrały *bucinae* i pół centurii pod dowództwem *optio* szybko ruszyło w górę zbocza.

Fabiola wzniosła oczy ku niebu, szukając jakiegoś znaku. Nie dostrzegła niczego. Nawet pojedynczego kruka, ptaka Mitry, powszechnie spotykanego w górzystych terenach.

Ogarnął ją smutek. Zaczęła szlochać.

Jednego wroga właśnie zastępował kolejny.

Rozdział XVII

Ostatnia bitwa



Nad rzeką Hydaspes, Indie, wiosna 52 r. p.n.e.

Gdy nastał nowy dzień, wstające słońce oświetliło horyzont na wschodzie głębokim odcieniem czerwieni. Krwisty kolor właściwie wydawał się zmęczonym, podenerwowanym legionistom całkiem na miejscu. Jeśli niebo ma tu taki kolor, Hades nie może być daleko. Ludzie poświęcali ostatnie godziny przed walką na żarliwe modlitwy do bogów. Jak zawsze wysoko na listach prośb znajdowały się te o opiekę dla żon, dzieci i rodziny. Mimo że większość ich krewnych w Italii pewnie nie miała już żadnych wątpliwości, że są martwi, żołnierze Zapomnianego Legionu wytrwali tak wiele miesięcy między innymi dlatego, że myśleli o swoich domach. Teraz po raz ostatni prosili bogów o ochronę swoich bliskich. Oni sami nie mieli wielkich potrzeb.

Ci, którzy mogli, zjedli lekkie śniadanie. Nie było ich wielu. O wiele istotniejsze stawało się napełnienie bukłaków z wodą. Walka była bardzo męczącą pracą, wywołującą pragnienie.

Skoro świt Pakorus rozkazał swoim dowódcom ustawienie legionu na pozycjach równoległe do brzegu. Znajdujący się pół mili od nurtu rzeki obóz marszowy został po prostu opuszczony ze wszystkimi namiotami i sprzętem, który porzucono. Nie trzeba go było bronić. Jeśli jakimś cudem odniosą zwycięstwo, pozostawione tam przedmioty będą bezpieczne. Jeśli nie wygrają, to nie będzie miało znaczenia, co stanie się z jarzmami, ubraniami i tymi kilkoma wartościowymi przedmiotami, które

należały do legionistów.

Pierwsza kohorta, w której skład wchodziłi najbardziej doświadczeni weterani, zajęła pozycję w samym centrum formacji. Z każdej strony sąsiadowało z nią pięć kolejnych. Siedem pozostałych kohort oraz jazda, która została do dyspozycji Pakorusa, miały stanowić rezerwę taktyczną. Partyjscy wojownicy również zajmowali dość bezpieczne pozycje, za liniami pierwszej kohorty, w pobliżu samego Pakorusa. Obok niego zgromadzili się partyjscy bębniarze i rzymscy trębacze, gotowi do natychmiastowego przekazania rozkazów dowódcy. Nieopodal stanął także *aquilifer*. Na tyle daleko od pierwszej linii, żeby zabezpieczyć insygnium, ale i dość blisko, żeby każdy żołnierz dobrze go widział, gdy tylko odwróci głowę.

Musieli wykorzystać do maksimum każdą przewagę, jaką mieli nad Hindusami.

Pierwsze pięć szeregów legionistów dźwigało długie piki, a prawie dwie trzecie miało tarcze pokryte jedwabiem. Cennej tkaniny zakupionej od Izaaka, kupca z Judei, którego napotkali w drodze do Margiany, starczyło na pięć tysięcy tarcz. Po bokach i z tyłu załogi balist obracały i ustawiały swoje maszyny, upewniając się, że mechanizmy zostały dobrze naoliwione, podkładki maksymalnie dokręcone, a grube liny właściwie napięte. Dowódcy załóg przetestowali wcześniej wielokrotnie balisty, podobnie jak sprawdzili stosy kamieni, wybierając najlepsze pociski. Najstarsi i najbardziej doświadczeni spośród artylerzystów już wiele razy przeszli po przedpolu, oznaczając każde sto kroków charakterystycznym kamieniem lub palikiem wbitym w ziemię. Dzięki znacznikom zasięgu mogli mieć pewność, że ich maszyny będą mieć zabójczą skuteczność.

Wreszcie wysłano także specjalny oddział, którego zadaniem było pogłębienie wykopu w pobliżu rzeki, dzięki czemu rzeka przelała się teraz przez wszystkie wykopane kanały. Potem cały teren został osłonięty cienkimi gałęziami, które ukryły wykopane rowy. Efekt końcowy pracy legionistów odrobinę poprawił wszystkim humory.

Pozostało już tylko czekać na pojawienie się wroga.

Świt przerodził się w piękny i czysty poranek. Złowieszcze czerwone promienie wschodu słońca zbladły i czerwień nieba zniknęła, pozwalając mu przyjąć zwykłą, niebieską barwę. Błękit nieboskłonu mąciły tylko delikatne chmurki bardzo wysoko na niebie, którym udało się jednak przyćmić nieco słońce, dzięki czemu temperatura utrzymywała się na przyjemnym, akceptowalnym poziomie. Wokół panował spokój, akcentowany trelem wielu ptaków, które znalazły dla siebie schronienie w szpalerze drzew, ciągnącym się wzdłuż brzegu. W oddali pojawiło się stadko dzikich osłów,

które kręciły się tu i tam w wysokiej trawie, machając ogonami, żeby odgonić naprzykrzające się muchy.

Romulus dostrzegł już wcześniej Tarkwiniusza, stojącego obok Pakorusa. Etrusk co chwila podnosił rękę, wskazując różne części przedpola. Najwyraźniej omawiał najlepszą strategię zbliżającej się bitwy. Romulus nie miał szans nawet na krótką rozmowę z haruspikiem i mógł mieć tylko nadzieję, że Tarkwiniusz i Brennus znajdą się przy nim, jeśli nadejdzie ten czas...

Nie „jeśli”. „Gdy” nadejdzie – pomyślał z goryczą Romulus. Nie potrzebował umiejętności haruspika, żeby wiedzieć, iż mają niewielkie szanse na wyjście cało ze starcia z tak potężną armią.

Pierwsze na polu bitwy pojawiły się indyjskie oddziały jazdy. Hindusi siedzieli na małych, zwinnych konikach. Wojownicy w turbanach uzbrojeni byli w najprzeróżniejszą broń: od oszczepów i łuków, po krótkie włócznie i okrągłe, małe tarcze w kształcie półksiężyca. Wojownicy mieli nagie torsy i ciemną skórę. Bardzo niewielu z nich nosiło jakiegokolwiek elementy zbroi, niektórzy w ogóle niczym się nie osłaniali, a jedynym elementem ich ubrania były proste przepaski biodrowe. Trzymając się poza zasięgiem strzał, wpatrywali się w Rzymian ciemnymi, nieprzeniknionymi oczyma. Harcownicy. Wyjątkowo wszechstronne i ruchliwe oddziały, spełniające w armii rolę podobną do tej, jaką powierzono Galom w czasie kampanii Krassusa. Uniwersalność tych jednostek mogła zdecydować o przebiegu bitwy. Było ich co najmniej pięć tysięcy, podczas gdy Pakorusowi zostało może z dwustu pięćdziesięciu jeźdźców. Wrogowie o tym wiedzieli i wielu z nich pewnie i spokojnie skierowało konie nad rzekę, żeby je napić.

Nie próbowali jednak atakować Zapomnianego Legionu. Cierpliwie czekali na rozwój wypadków.

Pakorus zachowywał spokój, zdecydowany oszczędzać ludzi i kamienie do balist. Każda machina była teraz cenniejsza niż złoto.

Później przybyły rydwany bojowe. Każdy ciągnęła para koni. Romulus nigdy nie widział większych rumaków. Rydwany, zbudowane z twardego drewna i bogato zdobione srebrem i złotem, były właściwie wysokimi, zamkniętymi platformami bojowymi z powożącym i dwoma lub trzema wojownikami, uzbrojonymi w dzidy i łuki.

Romulus naliczył ich prawie trzysta.

Gdy rydwany zajęły pozycje na bokach oddziałów jazdy, Hindusi zaczęli wykrzykiwać coś w kierunku rzymskich linii. Do chóru dołączało coraz więcej

głosów, aż wkrótce powietrze wypełniło się potężnym rykiem. Nikt z Rzymian nie rozumiał właściwie, jakie zniewagi wykrzykują, ale ich znaczenie było aż nadto oczywiste.

Kierując się zasadami taktyki typowej dla rzymskich oddziałów, legionieści zachowywali ciszę. Po pewnym czasie ich milczenie wyraźnie zniechęciło Hindusów i na polu bitwy zapanował dziwny spokój, a obie strony czujnie się obserwowały. W jakiś czas później nad równiną potoczył się niski grzmot.

Legionieści unieśli głowy, ale w zasięgu ich wzroku nie było żadnych burzowych chmur. Wtedy zrozumieli, że grzmot nie ma nic wspólnego z naturą, lecz był to po prostu odgłos wielotysięcznej pieszej armii. Gdy horyzont na południu wypełnił się kolumnami maszerujących ludzi, Romulus potrafił już odróżnić grupy łuczników, procarzy i zwykłych piechurów. Od różnorodnej broni aż kręciło mu się w głowie. Wydawało się, że nie ma dwóch mężczyzn uzbrojonych tak samo. Dostrzegał siekiery, krótkie miecze, włócznie, a nawet długie miecze, zbliżone wyglądem do tego, którym władał Brennus, piki, maczugi z nabitymi ostrzami i zakrzywione noże, podobne do używanych przez traka na arenie dla gladiatorów. Tak jak jeźdźcy większa część piechoty nie miała żadnego wyposażenia ochronnego. Zdarzały się jakieś zbroje skórzane i hełmy oraz małe, okrągłe tarcze. Tylko nielicznych Hindusów stać było na nabycie kolczugi lub zbroi łuskowej, a wszyscy żołnierze byli słabiej chronieni przed ciosami niż legionieści, z ich ciężkimi *scuta* i długimi do ud *lorica hamata*. Lecz to nie miało znaczenia.

Wrogów było co najmniej trzydzieści tysięcy.

Hindusi mieli przewagę liczebną, ale to nie z tego powodu rzymscy żołnierze przestępowali niespokojnie z boku na bok. Na niski grzmot nie składały się wyłącznie dźwięki wydawane przez piechotę, która przesuwiała się coraz bliżej rzymskich linii. Nieposkromieni zdobywcy, którzy podporządkowali sobie większość krain otaczających *Mare Nostrum*, obawiali się potężnych, dzikich zwierząt. Nad niezmiernymi szeregami żołnierzy wroga majaczyły kształty wielkich, szarych bestii.

Słoni.

Były ich dziesiątki. Na ich grzbietach siedzieli kornakowie, uzbrojeni w krótkie kijki zakończone zaostrozonymi hakami. Każdy słoń osłonięty był grubą czerwoną kapą, przypominającą siodło, przymocowaną skórzanymi pasami, które biegły wokół tułowia. Siedziało na niej dwóch lub trzech łuczników i włóczników. Co dziesiąta bestia miała tylko jednego pasażera, który wygrywał na wielkich bębnach

wiszących po bokach słonia. Jedynym zadaniem tych ludzi było przekazywanie rozkazów podczas bitwy. Niewielkie uszy zwierząt trzepotały z boku na bok, gdy słonie posuwały się ociężałe naprzód, nadając im złudzenie delikatności. Te uszy jakoś nie pasowały do zmarszczek grubej skóry na głowie i tułowiu. Kornak był osłaniany przez ochronny parawan, wykonany z tego samego materiału co kapa. Gdy słonie znalazły się bliżej rzymskich linii, można też było zauważyć, że do ich kłów przymocowano specjalnie wykonane ostrza lub po prostu miecze. Kilka z nich wyróżniało się nawet doczepionymi do ciosów żelaznymi łańcuchami.

Wydawało się, że nic nie może im zaszkodzić, że były nie do pokonania. Romulus podupadł na duchu. Nawet Brennus wyglądał na przerażonego. Stojący po obu stronach legioniści przyglądali się potężnym bestiom ze strachem w oczach. Młodszy oficerowie i partyjscy centurioni szurali niepewnie stopami.

Słonie pojawiały się na rzymskich arenach stosunkowo często. Można je było zabić lub okaleczyć. Nie były niezniszczalne. Jednak chociaż Romulus nigdy nie uczestniczył w walce z udziałem słoni, dobrze wiedział, na co stać te ogromne bestie. Potrafią rozerwać człowieka na strzępy lub stratować i połamać kości jak chrust. Nubijski król Jugurta użył słoni podczas wojen z Rzymem. Nikt nie zapomniał króla Pyrrusa lub Kartagińczyków, którzy wykorzystywali słonie przeciwko legionom z przerażającą skutecznością. Weterani opowiadali młodszym żołnierzom straszne rzeczy. I chociaż rzymscy sojusznicy wykorzystywali słonie podczas kampanii prowadzonych wspólnie z legionami od wielu lat, większość ludzi Zapomnianego Legionu nigdy nie miała okazji szkolić się, ćwiczyć ani walczyć z tymi wielkimi bestiami.

Słonie były niesamowicie skuteczną bronią ofensywną i mogły rozbić prawie każdą formację obronną. I Hindusi dobrze o tym wiedzieli.

Romulus niemal namacalnie wyczuwał, jak wielką pokładają w nich ufność. Widział, że Hindusi śmiali się i cieszyli, spoglądając na wielkie zwierzęta. Nie martwili się tym, że bitwa się opóźnia, ponieważ czekali na pojawienie się wszystkich sił i oddziałów.

Tymczasem żołnierze Zapomnianego Legionu zaczęli wymieniać między sobą pełne przerażenia uwagi. Modlitwy mieszały się z przekleństwami. Wzywano na pomoc cały panteon bogów i bogiń. Modlono się do Jowisza, Marsa i Minerwy, Fortuny i Orkusa, Neptuna i Eskulapa... a także do Mitry. Wzywano nawet Bachusa. Na próżno. Na tej równinie musieli sami stawić czoła przeznaczeniu.

Rzędy legionistów zaczęły się chwiać jak trzciny na wietrze.

– Nie mamy szans! – ktoś krzyknął.

Strach jest zaraźliwy.

– Czeka nas powtórka z Carrhae!

Strach szybko przeradza się w panikę.

Romulusowi wystarczyło jedno spojrzenie na otaczające go ze wszystkich stron przerażone twarze. Mimo że było chłodno, wszyscy się pocili. Jeśli ktoś szybko nie zareaguje, legioniści po prostu rzucą się do panicznej ucieczki. A wtedy... Dobrze wiedział, co się stanie. Hindusi po prostu wytną ich co do jednego. I ta równina naprawdę będzie kolejnym Carrhae.

Młody żołnierz widział, że Brennus też rozumie powagę sytuacji, ale żaden z nich nie wiedział, jakimi słowami zwrócić się do towarzyszy broni.

– Odwagi! – rozległ się znajomy głos.

Zaskoczeni legioniści wykręcali szyje, żeby zobaczyć, kto do nich przemawia.

Tarkwiniusz! Przepychał się przez szeregi, żeby stanąć przed przerażonymi żołnierzami. Ostentacyjnie odwrócił się plecami do wrogów i podniósł ręce, żeby ściągnąć na siebie uwagę.

Zapadła cisza.

– Znaleźliśmy się bardzo daleko od Italii – zaczął harusplik. – Pokonaliśmy wielkie odległości, żeby znaleźć się tu, na skraju znanego naszym ludziom świata.

Jego słowa zostały przywitane nerwowymi śmiechami.

– Ale to nie znaczy, że możecie zapomnieć, kim jesteście. Spójrzcie za siebie! Na srebrnego orła!

Legioniści posłuchali go.

– Obserwuje nas uważnie – Tarkwiniusz ostrzegął głośno.

Wyczuwając znaczenie tej chwili, *aquilifer* uniósł wysoko drzewce z insygnium legionu. Promienie słońca rozświetliły metalowego ptaka, a złoty piorun w jego szponach lśnił i odbijał światło. *Nikt nie może potraktować obojętnie tego władczego spojrzenia* – pomyślał Romulus, czując, że jego serce wypełnia nowa nadzieja. Nawet słońce nie przerażają orła.

Przepełnieni dumą żołnierze spoglądali jeden na drugiego, dodając sobie otuchy.

– Jesteście rzymskimi legionistami! – wykrzyknął Tarkwiniusz. – Żołnierzami, którzy nie uciekają z pola bitwy!

Szeregi zareagowały jeszcze niezbyt intensywnymi wiwatami, gdyż wielu żołnierzy wciąż jeszcze nie wierzyło, że mają jakieś szanse.

– Jak walczyć z tymi potworami? – zapytał jeden z ludzi w pobliżu Romulusa.

– Cholerni Partowie na nic się zdadzą – zauważył drugi. – Wierchowce pierzchają przed słoniami.

Ten komentarz przywitały niespokojne szepty. Wielu legionistów wiedziało, że nietypowy zapach słoni płoszy rumaki jazdy. Potrzeba było długiego szkolenia, aby konie się do niego przyzwyczały.

– Nie widzę też zbyt wielu świń i ani jednej takiej, którą można byłoby podpalić, żeby przestraszyć słonie – zażartował Emiliusz.

Ci, którzy zrozumieli ten żart, wybuchnęli śmiechem. Jednym z najskuteczniejszych sposobów walki ze słoniami Kartagińczyków było wysmarowanie świń tłuszczem, podpalenie i wysyłanie kwiczących z bólu zwierząt w stronę nieprzyjacielskich szeregów.

Gdybyśmy tylko mieli topory... – pomyślał Romulus. Inną znaną z historii metodą walki z wielkimi bestiami było unieruchamianie ich poprzez przecinanie ścięgien w nogach. Tylko że wtedy trzeba było znaleźć jakiś sposób, żeby dostać się pod brzuch słonia. No i jedynym właścicielem topora bojowego w Zapomnianym Legionie był Tarkwiniusz.

– Nie mamy ich – Tarkwiniusz uśmiechnął się lekko. – Ale hoplici Aleksandra wiedzieli już dawno temu, jak radzić sobie ze słoniami. Walczyli z nimi bardzo niedaleko stąd.

Na niektórych twarzach pojawił się ledwo dostrzegalny błysk nadziei. Mimo wielu zwycięstw w dniach swojej chwały Grecja teraz znajdowała się pod kontrolą Rzymu. Długo niezwycięzone falangi nie sprostały legionom. Na pewno uda im się dorównać żołnierzom pobitych armii!

– Całkiem niedawno – ciągnął Tarkwiniusz – rzymscy legioniści nauczyli się walczyć ze słoniami Kartagińczyków i pokonywać armie korzystające ze wsparcia tych zwierząt. Bez świń.

– Powiedz nam jak! – krzyknął Emiliusz.

Romulus i Brennus również przyłączyli się do okrzyków bardziej zdeterminowanych rzymskich żołnierzy.

Tarkwiniusz wyglądał na zadowolonego.

– Użyjcie długich pik – powiedział. – Trzymajcie je razem. Celujcie we wrażliwe miejsca słoni: trąby i oczy. Nie będą atakować, jeśli napieranie na rząd ostrych włóczni będzie im sprawiać dużo bólu.

Najbliżsi legioniści kiwali głowami z zapałem.

– A wy z *pila* – zawołał haruspik – macie najważniejsze zadanie do wykonania.

Ludzie nastawili uszu.

– Tymi bestiami sterują kornacy. Siedzą na karku słonia, tuż za głową. Nie mają zbroi lub są słabo zabezpieczeni. Chroni ich tylko osłona ze skóry. Zabijcie kornaka, a słoń zawróci i ucieknie.

Strach zniknął, a jego miejsce zajęła determinacja.

– Wtedy wystarczy tylko zająć się resztą... – zażartował Emiliusz. – Nie ma problemu, prawda?

To były właściwe słowa wypowiedziane we właściwym czasie. Mężczyźni uśmiechali się do siebie, czerpiąc siłę ze świadomości, że to nie pierwszy raz, gdy przychodzi im razem mierzyć się z przeciwnościami losu. Kilku nawet śmiało się teraz głośno, poklepując się nawzajem po plecach. Przyjęli, że śmierć jest prawdopodobna. Ale nie będą przed nią uciekać. Tak postępowali tylko tchórze.

Wysoko nad nimi rozległ się charakterystyczny skrzek kruka. To był dobry omen i ludzie unieśli wzrok ku niebu.

Romulus podążył wzrokiem za ich spojrzeniem i bacznie obserwował czarnego ptaka, przelatującego nad formacją legionu i kontrolującego lot z zadziwiającą precyzją. Kruk przekręcił głowę łeb tak, żeby móc przyglądać się szeregom legionistów. Romulus odniósł dziwne wrażenie, że ptak analizuje i ocenia siły przeciwników. Nie mógł pozbyć się tego uczucia.

Tarkwiniusz również unieśli wzrok akurat wtedy, gdy kruk przemieszczał się nad obszarem ziemi niczyjej. Teraz przyglądali mu się nawet niektórzy Hindusi.

Ptak zaskrzeczał jeszcze raz, gdy przelatował nad liniami wroga. Wydał z siebie pierwotny, gniewny krzyk, który przeszywał powietrze. Wydawało się, że obecność Hindusów w tym miejscu z jakiegoś powodu mu się nie podobała. Nagle złożył skrzydła i zanurkował w kierunku pozycji zajmowanych przez słonie. Spadał w dół jak czarny kamień, celując swoim potężnym dziobem wprost w głowę najbliższej bestii.

Brennus też to widział.

– Co on robi?

Przejęty samobójczą odwagą ptaka Romulus nic nie odpowiedział.

Coraz więcej legionistów wskazywało go sobie palcami, mocno przy tym gestykułując.

– Kruk nam pomaga – zawołał Tarkwiniusz. – To znak od bogów!

Wreszcie z męskich gardel wyrwał się jeden wielki ryk aprobaty.

Nawet Pakorus i jego wojownicy obserwowali nurkowanie ptaka w napięciu.

– Mitra czuwa nad nami – krzyczało teraz wielu partyjskich wojowników. – Ma nam pomoc wysłany przez niego *corax*!

Zachwycony tym objawieniem Romulus szybko zmówił krótką modlitwę dziękczynną do swojego nowego ulubionego boga.

Po dłuższej chwili kornak siedzący na słońiu zdał sobie sprawę, że coś jest nie w porządku. Uniósł głowę. Gdy zobaczył spadającego wprost na niego kruka, krzyknął ze strachu. To wystarczyło, żeby słoń się zaniepokoił. Zamachał trąbą i zaczął alarmująco ryczeć. Inne słońie natychmiast mu odpowiedziały. Tu i ówdzie w szeregach wroga w niebo wzniosły się pełne przerażenia okrzyki, a kornacy z trudem opanowali swoje zwierzęta. Bojaźliwa reakcja piechoty i jazdy indyjskiej wzbudziła radość wśród rzymskich legionistów.

– Widzicie? – krzyknął Tarkwiniusz. – Oni boją się własnych słońi! Jeśli uda nam się je przestraszyć, spanikują i wezmą nogi za pas.

W reakcji na słowa haruspika wzmógł się tumult w szeregach legionistów.

Gdy kruk znalazł się nie dalej niż dwadzieścia kroków nad słońiem, ostrym łukiem wyszedł z nurkowania, po czym zaczął ponownie wzbijać się w niebo. Setki indyjskich łuczników wysłało w jego stronę strzały, ale nie udało im się trafić ptaka. Spadły w gęstej chmurze na ziemię. Zmarnowane. Kruk mocno uderzał skrzydłami i po chwili znalazł się poza zasięgiem łuczników. Bez zbędnych ceregieli ruszył na zachód, zostawiając za sobą tysiące mężczyzn, zdziwionych jego osobliwym zachowaniem.

Leci w stronę Italii – pomyślał ze smutkiem Romulus. Z jakiegoś powodu nagle przed oczami stanął mu wyraźny obraz Fabioli, który sprawił, że poczuł dziwne ukłucie w sercu.

Nie zauważył, że Tarkwiniusz wpatruje się w niego swoimi ciemnymi oczyma.

Czarny ptak zostawił za sobą zdenerwowane słońie, poruszonych kornaków i niepewnych żołnierzy armii indyjskiej. Słoń, który był pierwszym celem, ciągle zachowywał się nerwowo. Cofnął się. Gdy tłum stojący z tyłu piechoty próbował bez powodzenia ująć przed nim, wielu żołnierzy zostało stratowanych.

– Jeśli kruk może tak nastraszyć słońia, to wyobraźcie sobie, co stanie się, gdy w jego kierunku polecą dziesiątki naszych oszczepów! – Tarkwiniusz uniósł zaciśniętą pięść. – Zapomniany Legion!

Brennus dumny z nazwy, którą sam wymyślił, dołączył do chóru głosów.

Słowa haruspika wywołały zamierzony efekt. Okrzyk nabierał siły, gdy dołączały kolejne szeregi Rzymian. Reakcja ta wynikała po części z desperacji, ale i z odwagi żołnierzy. Pod Carrhae nie mogło być mowy o ucieczce. Nie było gdzie się skryć. Musieli stanąć do walki lub zginąć.

Prawdziwe przyczyny nie miały znaczenia – myślał Romulus. Na arenie zrozumiał, że odwaga jest mieszanką wielu emocji. Liczyło się tylko to, że istniała jakaś szansa przeżycia, choćby niewielka. Chwytał mocno drzewce włóczni i skupił się na tej maleńkiej iskieierce nadziei w swoim sercu, przygotowując się do tytanicznej walki.
Mitro, czuwaj nad nami.

Indyjski wódz nie chciał już zwlekać. Nie miał powodu, aby to robić. Dziwne zachowanie kruka dało jego wrogom niewielką przewagę. Im szybciej zostaną zgnieceni, tym lepiej. Jego pierwszym błędem było wysłanie na początku do walki rydwanów bojowych.

Teraz wehikuły ruszyły ze skrzypieniem kół. Toczyły się w kierunku rzymskich linii z prędkością szybko maszerującego piechura. Towarzyszyły im setki żołnierzy piechoty, których zadaniem było wypełnienie wolnych przestrzeni między platformami bojowymi. Razem tworzyli wielką ławę ludzi i sprzętu wojennego. Muzykanci wygrywali rytm na bębnach, cymbałach i dzwonekch, a żołnierze śpiewali. Hałas był niesamowity. Przywykli do łatwego rozbijania wrogich formacji przy wykorzystaniu rydwanów Hindusi wyglądali na pewnych siebie.

I wtedy rydwany dotarły do zakrytych gałęziami rowów z wodą, które zmieniły przedpole w bagno.

Niemal w tej samej chwili koła rydwanów z pierwszej linii utonęły w błocie. Nieruchliwe, trudne w manewrowaniu i przede wszystkim niezwykle ciężkie platformy bojowe wykorzystywano do walki na suchym, płaskim terenie o stabilnym podłożu. Sfrustrowani powożący spinali konie. Dzielne rumaki usłuchały i udało im się przeciągnąć kilka rydwanów jeszcze o parę metrów do przodu. Z każdym krokiem platformy zagłębiały się jednak coraz bardziej, aż w końcu osiadły, zagrzebane w błocie po osie. Atak utknął w martwym punkcie w dość dużej odległości od pierwszych rzędów oczekujących legionistów.

Pakorus zareagował natychmiast.

– Zwolnij! – ryknął na załogi obsługujące balisty, które były wycelowane na przedpole.

Siwy *optio* dowodzący artylerią tylko na to czekał. Wyliczył już odległość wrogiej

tyraliery i odpowiednio ustawił swoje maszyny. Przeciwnik znajdował się w odległości mniejszej niż dwieście kroków. Akurat w zasięgu morderczej salwy balist. Dowódca artylerii wydał krótki rozkaz i sześć potężnych maszyn jęknęło równocześnie, wyrzucając w powietrze kamienie większe niż głowa mężczyzny, które po łagodnym łuku poszybowały nad rzymskimi liniami.

Romulus śledził lot pocisków z podziwem. Od czasu Carrhae legioniści nie używali *ballistae*. Chociaż Zapomniany Legion stoczył wiele trudnych bitew, rzadko zdarzała się okazja, żeby wykorzystać ciężką artylerię. Dziś jednak liczył się każdy szczegół, wszystkie środki, jakie mieli w swoim arsenale. Liczyło się to, żeby wróg poniósł jak największe straty. Tylko wtedy mogli mieć jakąś szansę na zwycięstwo.

Salwa została dobrze wymierzona.

Wyliczenia *optio* okazały się poprawne. Szósty kamień roztrzaskał w drzazgi przednie koło rydwanu, ostatecznie go unieruchamiając. Pięć pierwszych znalazło inne cele. Ludzi. Trafiając w gęstą ciżbę, kamienie obcinały głowy, rozbiły klatki piersiowe, miażdżyły kończyny. Czerwona mgła krwi wytryskująca z tętnic szyjnych moczyła przerażonych wojowników, znajdujących się wokół osób osiągniętych kulami. Kamienie, zanim legły bez ruchu w błotnej kałuży, zdążyły jeszcze wybić kilka dziur w bokach rydwanów i zranić jeszcze więcej żołnierzy.

Oszołomieni Hindusi nie mieli dużo czasu na reakcję, zanim *ballistae* oddały drugą salwę. Jeszcze więcej rydwanów zostało unieruchomionych. Kolejni żołnierze wroga obsadzający platformy runęli na ziemię bez życia lub okaleczeni. Przed następną salwą *optio* wydał rozkaz załadowania balist mniejszymi kamieniami i celowania w piechotę. *To jak oglądanie ulewnego deszczu, który siecze pole dojrzalej pszenicy* – pomyślał Romulus. Gdy taka wiązanka trafiała w cel, w szeregach wroga tworzyły się szerokie korytarze. Ta salwa przyniosła nieprzyjacielowi większe straty niż dwie poprzednie. To była prawdziwa rzeźnia.

– Zatrzymać ich w błocie, a potem zmasakrować na odległość, niczym nie ryzykując – odezwał się Brennus, krzywiąc się na myśl o tej taktyce legionu. – Bardzo skuteczna metoda. Bardzo rzymska.

– Oni to samo zrobiliby z nami, gdyby tylko mogli – odparł Romulus.

– To akurat prawda... – odpowiedział Gal. – I tak zostanie jeszcze dla nas mnóstwo przeciwników.

Pakorus musiał oszczędzać amunicję, dlatego widząc szybko zmniejszające się zapasy kamieni, zasygnalizował *optio*, żeby wstrzymał ostrzał. Balisty unieszkodliwiły pierwszą falę atakujących. Teraz piechota nieprzyjaciela uciekała

w panice na oślep w stronę własnych linii.

Odezwały się *bucinae*, wzywając pierwszą i trzecią kohortę do ataku. Żołnierze zostawili na ziemi ciężkie włócznie i popędzili do przodu, rozpryskując błoto sandałami. Romulus zacisnął zęby. Ich celem było zabicie jak największej liczby tych, którzy przeżyli ostrzał.

Makabryczne zadanie nie zajęło im dużo czasu. Ale było konieczne. Chodziło o jak największe uszczuplenie sił wroga i osłabienie jego morale. Wycofujący się w nieładzie Hindusi mogli tylko ze zgrozą patrzeć na śmierć nieszczęśników pozostawionych w błocie na łaskę legionistów. Wkrótce jedynymi żywymi istotami poruszającymi się na przedpolu byli rzymscy żołnierze. Hindusi z piechoty leżeli pokotem lub w stosach, a załogi rydwanów swoiście dekorowały platformy bojowe, zastygłe w makabrycznych pozach. Ludzie zwisali na burtach, jakby nadal próbowali opuścić uszkodzone lub unieruchomione pojazdy.

Rozległ się sygnał wzywający Rzymian do odwrotu.

W trosce o los kilkudziesięciu koni, które wciąż bezsilnie szarpały uprzężami uwięzionych w błocie rydwanów, Romulus zajął się przecinaniem skórzanych pasów. Świadomie chciał uniknąć zabijania rannych, bezbronnych żołnierzy wroga. Zdążył uwolnić kilkanaście rumaków, gdy Brennus chwycił go za ramię.

– Chodź już! Nie pomożesz wszystkim.

Romulus rozejrzał się, szukając towarzyszy, ale oni byli już w połowie drogi do własnych linii. W międzyczasie rozwścieczony wódz ich przeciwników wysłał do boju słonie. Stosunkowo spokojnie oczekujące na swoją rolę zwierzęta teraz ruszyły do przodu statecznym krokiem.

– Lepiej nie dać się tu złapać, gdy pojawią się te bestie – stwierdził Brennus.

Czuli adrenalinę. Obaj wybuchnęli śmiechem na myśl o absurdalności tej sytuacji. Dwóch mężczyzn walczących z armią słoni! Zrobili w tył zwrot i popędzili ku swoim towarzyszom.

Jeden z partyjskich centurionów rzucił w ich stronę wściekle spojrzenie, ale oni jakby nigdy nic zajęli swoje pozycje w szeregu. Na szczęście to nie była właściwa chwila, żeby karać za tak drobne wykroczenie jak to. Na razie wystarczyło im, że zginęły setki Hindusów, a żaden Part nie został nawet drażniony.

Sukces odniesiony dzięki rowom z wodą i artylerii dobrze wpłynął na morale rzymskich żołnierzy, którzy teraz z dużo większym spokojem śledzili zbliżające się słonie. Piechota wroga została w końcu przegrupowana i ludzie zebrali się wokół swoich oficerów. Kolumny zajęły miejsce pomiędzy szarymi olbrzymami, osłaniając

się nimi przed atakiem.

Romulus od razu zrozumiał, co zamierzają osiągnąć Hindusi. Słonie mają rozbić rzymską ścianę tarcz, żeby w powstałe wyłomy mogli wbić się piechurzy. Jeśli uda się stworzyć lukę w obronie Rzymian, Zapomniany Legion szybko pójdzie w rozsypkę. Młody żołnierz się skrzywił. Musieli za wszelką cenę zrobić dobry użytek z długich pik, tak jak mówił Tarkwiniusz.

Nagle od głównej części armii oddzieliły się oddziały jazdy, które przy akompaniamencie głośnych okrzyków skierowały się na zachodnią flankę Rzymian. Szarża przez masę porzuconych wozów i trupów nie miała żadnego sensu, dlatego indyjski dowódca wysłał kawalerię w celu sprawdzenia, czy da się oskrzydlić wroga. Romulus zupełnie nie niepokoił się jazdą. Dzięki układowi rowów obronnych żadna próba ataku z flanki nie miała szansy powodzenia. Nie wierzył też, żeby lekko uzbrojonym jeźdźcom udało się przebić przez linię kohort rezerwowych, również uzbrojonych w setki długich włóczni.

Romulus przestępował niecierpliwie z nogi na nogę, ufając w żołnierzy znajdujących się za jego plecami, tak jak oni ufali w siłę jego i Brennusa. Być może, jeśli przeżyją, ich status jako zbiegłych niewolników nie będzie już wzbudzał tak wielkiej nienawiści. W głębi serca jednak Romulus mocno w to wątpił. Wydawało się, że w oczach ludzi wolnych i obywateli bycie niewolnikiem było niezmarywaną skazą. Ta świadomość sprawiała, że poczuł w ustach kwaśny smak. Za wszelką cenę pragnął być akceptowany za to, kim jest – za to, że jest po prostu dobrym żołnierzem.

Wykorzystując swoje krótkie kijki do kierowania słoniami, kornacy manewrowali między rydwanami pełnymi leżących zwłok. Te przeszkody zmusiły ich do zwolnienia i spowodowały, że zwierzęta musiały przeciskać się jeden za drugim przez przejścia pomiędzy resztkami platform. Ogromne rozmiary zwierząt sprawiały też, że były dobrymi celami.

– Zwolnij! – ryknął *optio* dowodzący artylerią.

Kamienie znów poszybowały w powietrze. Z całym impetem uderzały w głowy i korpusy zwierząt. Niektóre trafiały wojowników znajdujących się na nich. Pociski nie mogły poważnie zranić lub zabić ogromnych bestii, ale wzbudzały strach kornaków i pogłębiały zamieszanie. Ignorując krzyki swoich opiekunów, wiele słoni zmieniło kierunek marszu. Zwierzęta nie chciały kierować się tam, skąd były obrzucane głazami. Oczywiście piechota, która znalazła się na drodze ich marszu, była brutalnie trawiona.

Jakaś para słońi zaczęła zaciekle ze sobą walczyć. Kłudy się ciosami osłoniętymi żelazem. Po chwili spadł na nie kolejny grad kamieni. Jeden z nich został trafiony w oko i również zaczął uciekać, głośno rycząc z bólu. Jednak reszta słońi, może lepiej wyszkolona, nadal parła do przodu.

Tuż za nimi podążały masy indyjskiej piechoty. Rzymianie mogli teraz po raz pierwszy dobrze przyjrzeć się swoim wrogom. Duża część mężczyzn nosiła turbany. Niektórych chroniły tylko przepaski biodrowe, inni mieli skórzane zbroje, a nieliczni metalowe kolczugi. Wielu osłaniało się okrągłymi tarczami, inni mieli wysokie, wąskie tarcze, pokryte zwierzęcymi skórami. Romulus widział też małe półksiężycowe tarcze, podobne do tarcz używanych przez Scytów. Ale Hindusi używali też tarcz zaokrąglonych i trójkątnych. Piesi wojownicy byli uzbrojeni w dzidy, długie i krótkie miecze, topory i noże. Podobnie jak *retarii* na arenie trzymali w dłoniach nawet trójzęby. Niektóre typy broni Romulus widział po raz pierwszy – na przykład dziwne dwustronne dzidy, zakończone z dwóch stron liściastymi ostrzami, z krótkim drewnianym uchwytem między nimi, albo długie pałki z metalowymi obręczami.

Jednak żaden z przeciwników nie wzbudzał takiego lęku w sercu Romulusa jak słońie. Były już bardzo blisko. Chłopak z przerażeniem dostrzegł, że najbliższy wymachuje w powietrzu kolczastą kulą na łańcuchu, przymocowaną do trąby. Romulus mógł już sobie wyobrazić siłę rażenia tej broni. Nagle długa pika, którą trzymał w dłoniach, wzmacniana żelazem z Margiany, tak dobrze sprawdzająca się w odpięciu ataku jazdy, wydała mu się mizernym patyczkiem, narażonym na złamanie się po pierwszym kontakcie z szarą bestią.

Na rozkaz dowódców połowa legionistów odrzuciła *scuta*. W tej walce piki musiały znaleźć stabilne oparcie w ich dłoniach i trzeba je było trzymać dwiema rękami. Jednocześnie druga połowa kohorty przygotowywała się do walki z piechotą nieprzyjaciela, osłaniając towarzyszy tarczami z mieczami w gotowości.

Wkrótce wszyscy poczuli dziwny, piżmowy zapach słońi. Zapach był intensywny, ale nie nieprzyjemny. Romulusowi wydawało się, że czuje też zapach alkoholu. Wokół oczu bestii wymalowano kolorowymi farbami różne wzory, a ozdobny srebrny naczółek na głowie dopełniał niecodzienny, przerażający obraz. Słoń kołysał się z boku na bok, wymachując kulą na prawo i lewo. Wydawało się, że wyczuwał trąbą obcy zapach rzymskich żołnierzy. Kornak krzyknął i użył swojego ościenia do popędzenia zwierzęcia, zmuszając je do nieco nieporadnego biegu. Wysoko na grzbiecie słońia wojownicy napinali łuki i przygotowywali włócznie.

Pospiesznie wystrzelona strzała śmignęła obok głowy Romulusa, wbijając się głęboko w oko innego legionisty.

Jego krzyki nie pomagały w zachowaniu wysokiego morale zdenerwowanych żołnierzy. Romulus widział wokół same szare twarze. Mężczyźni pocierali w palcach falliczne amulety, mające przynosić szczęście, nerwowo chrząkali i pluli na ziemię. Inni szeptali modlitwy, prosząc swoich ulubionych bogów o łaskę i błogosławieństwo. Jakiś legionista wymiotował, gdy strach przekroczył granice jego wytrzymałości. Gryząca woń wymiocin łączyła się z dziwnym zapachem słoń i męskiego potu.

Romulus spojrział na Brennusa. Gal wpatrywał się w niego z dumą, przez co chłopak aż pochylił głowę zawstydzony. Gdzieś w sobie czuł ukłucia niepokoju. Coś, co Tarkwiniusz powiedział... Kiedyś, dawno temu. Czy ta chwila właśnie nadeszła?

– Piki w górę! – ryknął Emiliusz, który jakimś sposobem ciągle trzymał nerwy na wodzy. – Wy, tam z tyłu, gotujcie *pila*!

W odpowiedzi na rozkaz drewniane drzewce oszczepów żołnierzy z pierwszych szeregów stuknęły o siebie. Za nimi, linia po linii, legionieści chwytali je mocno w dłonie, wyginali się do tyłu, czekając na rozkaz do wypuszczenia śmiertelnych pocisków. Strzały Hindusów bzycały w powietrzu nad ich głowami, ale tym razem legionieści mogli je tylko zignorować. Niektóre znajdowały swoje cele, tworząc małe luki w szeregach. Kolejna seria strzał. Potem deszcz kamieni procarzy.

Dzieliło ich dwadzieścia kroków.

Z mrozącym krew w żyłach okrzykiem bojowym piechota hinduska ruszyła do biegu, szybko zwiększając tempo.

Romulus poczuł zimne kropelki potu na czole, ale końcówka jego włóczni nie chwiała się, pewnie trzymana w dłoniach. Niespodziewanie Brennus zaczął się śmiać, wydając z piersi dziwne w tych okolicznościach dźwięki. Jego niebieskie oczy płonęły ogniem szału bojowego. Wyglądał porażająco. Romulus cieszył się, że może walczyć z Galem ramię w ramię, a nie przeciwko niemu.

– Spokojnie, chłopcy! – krzyknął centurion.

Legionieści nie złamali linii.

Zdenerwowany od ciosów popędzającego go kornaka słoń wbił się z impetem w las pik. Te zgięły się jak gałązki. Połowa z nich od razu po prostu pękła.

Romulus nie widział nic poza szarym cielskim słoń, jego lśnącymi od metalowych obręczy ciosami, wirującą trąbą i szeroko otwartą paszczą. Dostrzegł

szersokie strumienie gęstej cieczy o ostrym zapachu, spływającej po pysku zwierzęcia, ale nie zdawał sobie sprawy z jej znaczenia. Później dowie się, że był to znak świadczący o szale bojowym słonia. Na razie mógł skupić się tylko na tym, by zrobić jak najlepszy użytek z włóczni.

– Celować w głowę! – wrzasnął Emiliusz. – Oszczepy! Rzuć!

Za plecami poruszenie. Chmura *pila* trafiła w łeb słonia i zraniła kornaka w prawe ramię. Dwóch wojowników z grzbietu spadło na ziemię – byli ranni lub martwi – ale ostatni wciąż ostrzeliwał legionistów, wykorzystując przewagę wysokości. Rycząc z wściekłości, ogromne zwierzę zamachnęło się głową, a pełna wystających kolców kula na łańcuchu zmiotła rząd pik, jakby to był chrust. Głowa powędrowała w przeciwną stronę i kula uderzyła ponownie, wyrzucając w powietrze trzech żołnierzy. Jeden z nich miał zmiażdżoną czaszkę, a pozostali trzej zostali ciężko ranni.

Kornak pochylił się nad uchem słonia i przemawiał do niego pewnym, uspokajającym głosem.

Kula znów wróciła, rozbijając w proch pierwszy szereg legionistów.

Ramię człowieka zajmującego pozycję obok Romulusa zamieniło się w czerwoną miazgę zgniecionych mięśni i kości. Pierścienie kolczugi wbiły się głęboko w ciało, a mężczyzna runął na stos martwych i rannych towarzyszy, wyjąc z bólu.

Przez chwilę Romulus poczuł ulgę, że to nie on. Ostrze trzymanej przez niego piki zagłębiło się w grubej skórze na głowie słonia. Nie zrobiło to na zwierzęciu żadnego wrażenia! Niszczycielska siła bestii dorównywała potędze strachu, jaką wywoływała jej obecność. Wszystkie wysiłki Rzymian były daremne. Wydawało się, że próbują zgładzić nieśmiertelnego, mitycznego potwora. Nawet potężne pchnięcia Brennusa nie przyniosły żadnego efektu. Romulus był już bliski rozpacz, gdy jakiś oszczep wbił się głęboko w klatkę piersiową kornaka. Mimo że oszczep został ciśnięty przez legionistę znajdującego się kilka szeregów dalej, niewielki hartowany sztych w kształcie piramidki przebił żebra. Śmiertelnie ranny kornak runął na ziemię.

– Teraz mamy szansę! – zawołał Romulus, przypominając sobie słowa Tarkwiniusza. – Atakować!

Żołnierze z nową energią zaczęli dźgać i uderzać w szyję i tułów słonia, przebijając jego skórzaną zbroję. Z krwią ciekącą z wielu ran, rycząc z bólu i bez wsparcia kierującego nim kornaka, zwierzę obróciło się wokół własnej osi i ruszyło szybkim krokiem z powrotem w kierunku szeregów Hindusów. Tratowało ludzi i rozgniatało ich jak dojrzałe owoce.

Jednak zanim legioniści zdążyli krzyknąć z radości, piechota wroga uderzyła potężną falą na ich linię.

Brennus skoczył do przodu. Potężnym cięciem gladiusa odrąbał głowę pierwszego przeciwnika.

Romulus szybko pozbył się włóczni i chwycił pewnie przymocowaną na plecach *scutum*. Wszyscy jego towarzysze robili to samo, jednak było już za późno, żeby utworzyć nieprzenikloną ścianę tarcz.

Niscy i zwinni ciemnoskórzy żołnierze wroga wykorzystywali każdą szczelinę w linii, rozdając ciosy na prawo i lewo.

Jakiś brodaty żołnierz wroga otrzymał potężny cios metalowym guzem tarczy Romulusa, który zmiażdżył jego kość policzkową. Kiedy mężczyzna zatoczył się do tyłu, Romulus wbił miecz w niechroniony brzuch. Cios był śmiertelny i gdy tylko uwolnił ostrze, poszukał wzrokiem kolejnego przeciwnika. *Skup się. Nie trać koncentracji.*

Mimo że niemal od razu unieruchomił na zawsze następnego wroga, wiedział, że Hindusi mają zbyt wielką przewagę. Nie poddawał się. Walczył. Co innego mu pozostało? Poruszał się jak maszyna, ciął i pchał gladiusem, zawsze pamiętając o zabezpieczeniu żołnierzy po obu swoich bokach. Obok niego Brennus ryczał jak wariat, odsyłając do Hadesu każdego, kto stanął na jego drodze.

Tymczasem, dzięki dyscyplinie żołnierzy, udało się sformować ponownie ścianę tarcz w linii obronnej. Bez siły słońi lekko uzbrojeni piechurzy nie byli w stanie złamać formacji pierwszej kohorty. Romulus rozejrzał się wokół i stwierdził, że centrum trzyma się całkiem nieźle, ale linie kohort po obu stronach wyginają się pod naporem atakujących.

Na jego oczach lewe skrzydło armii zaczynało się rozpadać.

Z kłębowiska rzymskich legionistów wyłoniły się trzy słońie. Zwierzęta przedarły się przez linie obronne, wydając ryki łączące w sobie triumf i wściekłość. A za nimi pędziły setki wrzeszczących wojowników.

Romulus tonął w fali poczucia beznadziejności. Koniec był blisko. Wróg posiadał po prostu za dużą przewagę liczebną. Nawet rezerwowe kohorty nie były w stanie zniwelować tego wyłomu.

Wymienili z Brennusem spojrzenia. Rozumieli się bez słów. Ich wzrok wyrażał łączące ich uczucia: miłość, szacunek, honor, dumę. Żaden nie odezwał się ani słowem.

Czując, że zwycięstwo jest bliskie, Hindusi atakujący pozycje pierwszej kohorty zdwoili wysiłki. Kolejne pół tuzina wojowników padło pod ciosami Romulusa

i Brennusa. Potem kolejnych dziesięciu, ale wróg już nie przejmował się stratami, czując, że zwycięstwo jest bliskie. Hindusi, wykrzykując jakieś niezrozumiałe słowa, przepychali się do przodu, nie bacząc na to, że walczących w pierwszym rzędzie czeka pewna śmierć.

Gdy Romulus po raz kolejny uwolnił swój gladius, wrywając ostrze z klatki piersiowej jakiegoś chudego człowieka z odstającymi żebrami, nagle poczuł, że zgiełk bitwy gaśnie w jego uszach. Usłyszał głos dobiegający zza pleców.

– Czas na nas.

Romulus odniósł wrażenie, że umierający wróg opada na ziemię w zwolnionym tempie. Miał tylko krótką chwilę, zanim w jego miejsce pojawi się kolejny. Odwrócił głowę.

Dwa kroki za nim stał harusplik, ściskając swój topór obiema rękami. O dziwo, biła z niego jakaś nowa, potężna energia. Już się nie garbił. Zniknęło gdzieś z jego twarzy zmęczenie. W tej chwili wyglądał jak Tarkwiniusz z czasów, gdy się poznali.

Romulus był oszołomiony. Na widok Tarkwiniusza przepełniła go radość, ale jednocześnie czuł się zdezorientowany.

– Mamy zostawić naszych towarzyszy? – zapytał wątpięcym głosem.

– Nie możemy uciec – Brennus rzucił ze złością przez ramię. – Powiedziałeś, że stanę do boju, którego nikt inny na moim miejscu by nie wygrał. To musi być ta bitwa.

Harusplik spojrział na niego poważnie.

– To jeszcze nie koniec – powiedział.

Gal wpatrywał się w niego przez chwilę, a potem skinął głową.

Twarz Romulusa wykrzywiła się z udręki. Nie mógł tego znieść! Miał dobre przeczucie.

Zanim otworzył usta, żeby zaprotestować, Tarkwiniusz odezwał się ponownie.

– Musimy odejść teraz, w tej chwili, albo stracimy wszelkie szanse. Na drugim brzegu rzeki będziemy bezpieczni.

Spojrzeni tam, gdzie wskazywał Tarkwiniusz wyciągniętym ramieniem. Po drugiej stronie rzeki nie było żywej duszy. Aby znaleźć się w bezpiecznym miejscu, będą musieli wyrąbać sobie drogę przez lewą flankę. A tam właśnie słonie dokonywały dzieła zniszczenia, tratując legionistów.

– A jeśli zostaniemy? – nie ustępował Romulus.

– Czeka nas pewna śmierć. Każdy z was może wybrać swoją własną drogę –

odpowiedział haruspik, mierząc ich wzrokiem, z którego nic nie dało się odczytać. – Ale tam zaczyna się droga do Rzymu. Widziałem to w mitreum.

Mitra mnie nie opuści! Smutek i radość sprawiały, że Romulus czuł się rozdarty. Chciał wrócić do domu, ale nie za taką cenę.

Brennus pchnął go tak mocno, że wypadł z linii.

– Idziemy! I nie ma się nad czym zastanawiać.

Nogi Romulusa właściwie poruszały się bez jego woli. Był otepiąły.

Odwrócili się i nie bez trudu udało im się utorować sobie drogę między ciasnymi szeregami, ignorując rzucane w ich stronę przekleństwa. Romulus czuł niemal fizyczny ból, widząc gniewne spojrzenia legionistów.

– Dokąd się wybieracie? – usłyszał pytanie jednego z nich.

– Tchórze! – ktoś wykrzyczał.

– Typowe dla pieprzonych niewolników – podsumował żołnierz po prawej.

Romulus cierpiał ze wstydu. Te zniewagi już słyszeli.

W ich kierunku leciały kolejne do chwili, gdy Brennus podbiegł do najgłośniejsz krzyczącego żołnierza.

Prawa ręka Brennusa zacisnęła się na jego gardle.

– Haruspik powiedział nam, że musimy podążać za swoim przeznaczeniem i powinniśmy udać się na lewą flankę. Chcesz do nas dołączyć? – warknął.

Legionista potrząsnął głową w milczeniu.

Zadowolony Brennus rozluźnił uścisk.

Nikt już nie odważył się ich obrażać. Trójka przyjaciół ruszyła dalej, schylając głowy. Kiedy dotarli do krawędzi szyku pierwszej kohorty, przemieszczanie stało się łatwiejsze. Pomiędzy pierwszą kohortą a sąsiednią jednostką znajdowała się wąska szczelina, ułatwiająca im poruszanie się. Tarkwiniusz zaczął biec do tyłu, oddalając się od linii, w której toczyły się walki. Dwaj przyjaciele ruszyli za nim. Po niecałych stu krokach znaleźli się w miejscu, gdzie nie toczyły się żadne walki.

Za kohortą rozciągał się kawałek równego, pustego terenu. To tutaj znajdowały się pozycje balist. I tu również stali Pakorus, Vahram i ostatnie oddziały, jakie im zostały.

Romulus rzucił pełne nienawiści spojrzenie na Vahrama. Mimo dzielącego ich dystansu złapali kontakt wzrokowy.

Primus pilus powiedział coś do Pakorusa, po czym spiął konia i ruszył galopem w ich kierunku.

– Za nimi! – krzyknął do znajdujących się najbliżej niego perskich wojowników.
– Talent dla tego, kto przyniesie mi ich głowy!

Taka ilość złota była dla przeciętnego żołnierza równowartością żołdu, jaki mógł otrzymać w ciągu całego swojego życia. Ci Partowie, którzy usłyszeli krzyk Vahrama, zareagowali natychmiast, rzucając się w dziki pościg.

Na szczęście zdążyli zrobić zaledwie dwadzieścia kroków, a zagarnęła ich fala ludzi i zwierząt z rozbitego lewego skrzydła. Krzyki rannych żołnierzy i rozkazy mieszały się z głośnymi dźwiękami trąb słoni oraz metalicznym trzaskiem broni. Trudno było nie zauważyć, że rzymskie linie nieubłaganie i nieuchronnie przesunęły się ku tyłom. Wysłanie kohort rezerwy nie przyniosło oczekiwanych rezultatów, a tarcze i miecze nie pozwalały długo opierać się sile i ciosom potężnych, rozzłoszczonych słoni. Romulus podniósł głowę i zobaczył, że najbliższy z tych molochów znajduje się prawie w zasięgu jego oszczepu. Jeśli się nie pośpieszą, spotka ich taki sam los jak legionistów w pierwszej linii. Sądząc po krzykach, stratowanie przez słonia nie było najlepszym ze sposobów rozstawania się z życiem.

Biegli. Czasami musieli torować sobie drogę, płazując towarzyszy, żeby wymusić utworzenie jakiegoś korytarza, przez który dawałoby się im przecisnąć. Romulus już nie czuł, że ucieczka przyniesie mu hańbę. Toczyli swoją własną, pierwotną walkę o przetrwanie, a od czasu, gdy Optatus ujawnił ich tajemnice, żaden z tych walczących wokół ludzi z legionu nie okazywał im pozytywnych uczuć. Ostatnie komentarze żołnierzy z ich własnej kohorty przepełniły czarę goryczy. Romulus nie czuł już związku z Zapomnianym Legionem, a Tarkwiniusz widział sposób na powrót do Rzymu. Nadszedł czas, aby skorzystać z łaski, jaką oferują mu bogowie.

Wkrótce znaleźli się nad samą rzeką. Wąski pasek ziemi wcinającej się w rzekę był pusty. Ryzyko upadku i utonięcia sprawiało, że żołnierze obu stron trzymali się od niego z daleka.

Romulus znów zobaczył światełko w tunelu. Udało im się przedostać nad rzekę. Całej trójce! Wciąż żyli i żaden z nich nie został nawet ranny. Spojrzał na mętną, wirującą wodę. Jego pierś falowała. Rzeka toczyła swoje wody wartkim nurtem, ignorując w swojej powadze kakofonię dźwięków bitwy i krew przelewaną zaledwie kilka kroków dalej. Żeby dostać się na drugi brzeg, będą musieli pokonać dużą odległość. Nurt zabierał ze sobą gałęzie i inne śmieci, pokazując ogromną moc rzeki. To nie będzie proste zadanie, zwłaszcza w ciężkich zbrojach. Romulus rozejrzał się po brzegu w złudnej nadziei, że ujrzy jakąś łódkę schowaną w szuwarach.

Nie mogli liczyć aż na tak wielki uśmiech Fortuny.

– Pozostaje nam spróbować przepłynąć rzekę wpław – Tarkwiniusz wyszczerzył zęby. – Dacie radę?

Przyjaciele spojrzeli po sobie ponurym wzrokiem, a potem skinęli głowami.

Zaczęli się szybko rozbierać. Zdjęli krępujące ruchy kolczugi. Niezależnie od tego, jakie mają szanse, one wzrosną, jeśli pozbędą się ciężkich elementów zbroi.

Tarkwiniusz ukląkł, wrzucając swoją mapę i inne cenne przedmioty do świńskiego pęcherza, który dwa lata wcześniej tak dobrze sprawdził się na plaży desantu w Azji Mniejszej.

Nikt z nich nie zauważył Vahrama, który czekał, aż Romulus i Brennus zostaną w samych tunikach. Ogarnięty nienawiścią *primus pilus* jakimś cudem wyszedł cało z walk na skrzydle. Nadal miał przy sobie zakrzywiony łuk refleksyjny. Spokojnie wyciągnął strzałę z kołczanu przy biodrze i założył ją na cięciwę. Naciągnął. W momencie, gdy puszczał strzałę, jego koń wzdrygnął się na dźwięk ryku rannego słonia.

To wystarczyło, aby pocisk zбочył odrobinę w bok.

Romulus usłyszał, jak Brennus wciąga powietrze, jakby coś go zaskoczyło. Odwracał się w zwolnionym tempie, aby zobaczyć grot z zadziorem wystający z mięśnia lewego ramienia jego potężnego przyjaciela. Chociaż rana nie była śmiertelna – tak jak pragnął Vahram – teraz pokonanie rzeki było dla Gała niemal niemożliwe. Romulus od razu wiedział, kto jest za to odpowiedzialny. Zawirował wokół własnej osi i natychmiast dostrzegł Vahrama. Odrzucił kolczugę i chwycił gladius, zdecydowany jak najszybciej dopaść Parta.

– Ty sukinsynie! – wrzasnął z wściekłością.

Vahram spanikował i drugą strzałę wypuścił zbyt szybko.

Pocisk minął chłopaka o włos i zakopał się w nadrzecznym luźnym piasku.

Po chwili Romulus był już przy Vahramie. W jego głowie pojawił się obraz nieszczęsnego Feliksa. Gniew i wściekłość dodały mu sił. Chwycił prawą rękę Parta, który właśnie sięgał po kolejną strzałę. Potężnym cięciem odrąbał jego ramię tuż powyżej łokcia.

Primus pilus zawył z bólu, a z kikuta trysnęła krew, spryskując Romulusa fontanną czerwonych kropelek. Po raz pierwszy w życiu chłopaka ogarnął prawdziwy szal bitewny. Nie obchodziło go nic innego. Liczyło się tylko jedno: zabić Vahrama. Przerażony koń Parta zatańczył na tylnych nogach, po czym obrócił się w ciasnym kręgu i odbiegł na równinę, w sam środek rzezi.

Romulus zaklął. Nawet teraz bogowie nie dali mu satysfakcji zemśczenia się za

śmierć Feliksa.

Wtedy w polu widzenia pojawił się ranny samiec słonia. Jeden jego cios został odcięty, drugi cały był pokryty krwią. Bestia co kilka kroków machała wściekle uszami i unosiła trąbę, wydając ogłuszający gniewny ryk. Romulus nie był jedyną istotą ogarniętą szaleńcem bitewnym. Kornak słonia jakimś cudem wciąż jeszcze siedział na karku zwierzęcia i od czasu do czasu udawało mu się kierować szalejącą zwierzę w stronę legionistów. Na grzbiecie słonia trzymał się także jeszcze jeden wojownik, z łukiem, którym niestrudzenie ostrzeliwał Rzymian. Osłonięte zbroją głowa i szyja słonia jeżyły się wygiętymi *pila* legionistów, na próżno starających się go unieruchomić. Jednak największe szkody poczynił oszczep, który utkwiał w lewym oku zwierzęcia. Jego drugie oko błyszczało inteligencją, przesłoniętą jednak wściekłą, zimną furią.

Nieprzystawczajony do obecności słoni przerażony koń Vahrama zarył kopytami w ziemię.

Łucznik siedzący na słoni w tej samej chwili wypuścił strzałę, która trafiła w lewe ramię Vahrama, czyniąc go zupełnie niezdolnym do kierowania wierzchowcem. Na twarzy Hindusa pojawił się grymas okrucieństwa.

Romulus zamarł, obserwując z mieszaniną podziwu i przerażenia dziejącą się przed nim scenę.

Tarkwiniusz dziękował Mitrze za siłę, dzięki której nie poddał się podczas tortur i nie ujawnił swojej wizji.

Poruszający się zaskakująco szybko wielki słoń ruszył do przodu, owijając trąbą ciało Vahrama.

Gdy *primus pilus* został uniesiony z siodła, z jego gardła wyrwał się cienki, chrapliwy krzyk.

To był ostatni dźwięk, jaki wydał przed śmiercią.

Słoń rzucił męczyczną o ziemię, po czym natychmiast ukląkł, miażdżąc Vahrama nogami. Potem owinał trąbę wokół głowy Parta i oderwał ją od tułowia.

Romulus zamknął oczy. Nigdy nie widział równie brutalnej śmierci człowieka, ale musiał przyznać przed samym sobą, że Vahram sobie na nią zasłużył. Gdy po jednym uderzeniu serca znów podniósł wzrok, zobaczył, że samiec słonia kieruje się teraz prosto na niego.

Romulus poczuł, że serce szamocze mu się w piersiach. Nie miał kolczugi i był uzbrojony tylko w gladius... Za chwilę i on może pożegnać się z życiem.

Nagle na jego ramieniu wylądowała silna dłoń, pokryta zaschlą krwią. Zachwiał

się pod jej ciężarem i musiał zrobić parę kroków w bok.

– To jest moja walka, chłopcze – powiedział cicho Gal. – To jest ta chwila, żeby Brennus podjął walkę i stawał dzielnie.

Romulus wpatrywał się w spokojne, błękitne oczy przyjaciela.

– Już więcej nie będę uciekał.

Brennus powiedział to tonem nieznośnym sprzeciwu.

Odkąd Romulus przekonał się do umiejętności Tarkwiniusza, zawsze obawiał się tej chwili. Teraz nadeszła. Wielkie jak groch łzy spływały mu po policzkach, ale stłumił szloch. W spojrzeniu Brennusa widział odwagę, miłość i akceptację.

Bogowie zadecydowali. Mitra przywiódł ich aż tutaj. Ale to koniec.

– Wróć do Rzymu – powiedział Brennus. – Odszukaj swoją rodzinę.

Romulus miał ściśnięte gardło i nie był w stanie powiedzieć ani słowa.

Gal potrząsnął dumnie głową. Wyglądał teraz jak legendarny bohater mitów. Ruszył do przodu z uniesionym mieczem. Nieosłonięta koliczuga muskulatura robiła wspaniałe wrażenie. Imponujące węzły mięśni poruszały się pod mokrą od potu wojсковą tuniką. Lewe ramię Brennusa znaczyły strużki krwi, ale Gal złamał strzałę, a potem wyciągnął końcówkę z grotem.

– Miałeś rację, Ultanie... – szepnął, podziwiając przerażającą bestię, która teraz znalazła się tuż nad nim. Zacisnął lewą pięść. Przyjął i zaakceptował ból promieniujący z rany. – To była wspaniała przygoda. Naprawdę zawędrowałem do miejsc, do których nigdy nie dotarł żaden z Allobrogów. I nigdy nie dotrze.

– Romulus! – ktoś wołał natarczywie. – Romulus!

Młody żołnierz pozwolił podprowadzić się Tarkwiniuszowi kilka kroków w stronę brzegu. Nie oglądał się. Skoczył do rzeki razem z przyjacielem, zabierając ze sobą tylko broń.

Gdy zimna woda zamknęła się nad głową, w uszach dzwonił mu jeszcze ostatni okrzyk bojowy Brennusa.

– Za Liath! Za Conalla! I za Braca!

Rozdział XVIII

Generał Pompejusza



Północna Italia, wiosna 52 r.p.n.e.

Zanim otoczyli ich legionieści, Fabiola już się trochę uspokoiła. Czterdziestu mężczyzn zatrzymało się ze szczęką tarcz, z bronią gotową do użycia. Sekstus i Docilosa zamarli w bezruchu, żeby przypadkiem nie unieść zakrwawionej broni. Każdy ich ruch mógłby sprawić, że żołnierze użyją oszczepów. Jednak zdyscyplinowanie legionistów daleko bardziej przemawiało do poczucia bezpieczeństwa Fabioli niż myśl o depczących im po piętach Scewoli i jego ludziach. Nie musi obawiać się gwałtu. Ignorując pełne zainteresowania spojrzenia żołnierzy, postarała się doprowadzić do ładu, układając włosy za pomocą ozdobnych szpilek z kości słoniowej i poprawiając stołę, która zsunęła się i odsłaniała teraz zbyt duży dekolt. Potem uśmiechnęła się promiennie do dowodzącego oddziałem *optio*, który wyszedł przed szereg. *Może jakimś cudem uda nam się wyjść cało i z tej opresji?*

– Centurionie? – zamruczała zalotnie Fabiola, celowo zmieniając jego stopień na wyższy. – Pozwól, że podziękuję za uratowanie nam życia.

Gdy *optio* zaczerwienił się z dumy, wśród jego rozbawionych ludzi rozległy się chichoty.

Oficer rzucił gniewne spojrzenie przez ramię, a legionieści natychmiast spowaźnieli.

– Co się stało, pani?

– Te łotry, których widziałeś... – zaczęła Fabiola – ...wpadliśmy w lesie w zasadzkę. Zabili prawie wszystkich moich niewolników i ochroniarzy. – Nie musiała zmuszać się do tego, żeby jej wargi drżały na samo wspomnienie tego zajścia.

– Wszystkie drogi ostatnio są niebezpieczne, pani – mruknął ze współczuciem.

– Uciekli, gdy tylko się pojawiliście – powiedziała Fabiola, trzepocząc rzęsami.

Teraz zawstydzony *optio* wbił spojrzenie w ziemię.

Sekundus ledwo ukrył uśmiech. *Jakby fugitivarii zaatakowali nas na oczach całego legionu.*

Onieśmielony urodą Fabioli *optio* milczał przez chwilę. Niski mężczyzna z blizną na nosie przyglądał się uważnie czterem postaciom, ich podartym ubraniom w plamach krwi.

– Czy mogę spytać, dokąd zmierzacie? – zapytał w końcu.

– Do Rawenny – skłamała Fabiola. – Do mojej sędziwej cioci.

Zadowolony *optio* skinął głową.

Fabiola przez chwilę myślała, że jej wyjaśnienie wystarczy i mężczyzna pozwoli im odejść.

– Czy możemy ruszyć w drogę? Najbliższe miasto nie jest daleko. Tam będę mogła kupić niewolników.

– Obawiam się, że to nie będzie możliwe, pani.

– Dlaczego nie? – zapytała podniesionym głosem.

Optio odchrząknął niezręcznie.

– Mam rozkazy.

– Jakie?

– Zaprowadzić was do obozu – odpowiedział, unikając jej wzroku. – Taki rozkaz otrzymałem od centuriona.

Fabiola spojrzała na Sekundusa, który lekko wzruszył ramionami.

Przełożony *optio* może będzie chciał zadać im kilka pytań. Tak czy owak nie mogli się sprzeciwić.

– Bardzo dobrze – powiedziała, z wdziękiem kiwając głową na zgodę. – Prowadź.

Zadowolony z siebie podoficer rzucił rozkaz. Jego ludzie sprawnie podzielili się na dwie grupy, po czym zajęli pozycje po obu stronach małej kolumny.

Na odchodnym Fabiola rzuciła ostatnie spojrzenie na linię drzew. Nie dostrzegła nic niepokojącego. Scewola i jego *fugitivarii* zniknęli.

Wiedziała, że jeszcze się spotkają. Przy następnej okazji będzie musiała zabić bezlitosnego łowcę niewolników albo on zabije ją. Tymczasem jej obawy, że napotkanie oddziału legionów Pompejusza utrudni im trochę drogę na północ, okazały się słuszne. Centurion, który ich powitał w połowie drogi do obozu, był podobnie jak *optio* pod wielkim wrażeniem jej urody, ale odróżniał się od niego znacznie większą pewnością siebie. Usłysawszy, że Fabiola chce natychmiast ruszać

w drogę, zareagował uprzejmie, ale twardo odmówił.

– Na drogach nie ma zbyt wielu podróżnych, pani – powiedział, stukając delikatnie palcem o nos. – Jestem pewien, że *legatus* z przyjemnością zamieni z tobą kilka słów. Chciałby wiedzieć, co dzieje się w okolicy. Może udzieli ci, pani, kilku rad.

– Z pewnością nie będzie miał czasu, aby zajmować się moją osobą – zaprotestowała Fabiola.

– Wręcz przeciwnie – padła odpowiedź. – *Legatus* jest człowiekiem o wyszukanym smaku i zmyśle estetycznym. Z pewnością chciałby, abym okazał ci, pani, naszą gościnność.

– To bardzo miło z waszej strony... – odrzekła Fabiola, kłaniając się w pas, aby ukryć lęk malujący się jej na twarzy. – Jak brzmi jego imię?

– Marcus Petrejusz, pani – odpowiedział z dumą centurion. – Jest jednym z najlepszych generałów Pompejusza.

Dowodzenie kolumną znów przejął *optio*. Droga do obozu marszowego legionu nie zajęła im wiele czasu. Fabiola nigdy nie widziała takiej konstrukcji. Dlatego obserwowała pracę żołnierzy z żywym zainteresowaniem. Trzy głębokie *fossae* były już na ukończeniu, a ich dna pokryły kolczatki. Teraz legioniści kończyli wznoszenie wałów, które miały być wysokie na dwóch mężczyzn. Ubijając ściany wałów płaskimi łopatami, tworzyli mocną powierzchnię, po której można było bez problemu chodzić. Narożniki chroniły osłony ze świeżo ściętych drzew. Tam też mogli schronić się wartownicy. Podobnie jak w przypadku stałego fortu, w budowlach powstających na trasie przemarszu legionu każdy bok miał swoją bramę. Nie było żadnej drewnianej furty, za to wały obiegające fort skręcały pod kątem prostym i tworzyły wąski korytarz. Gdy znaleźli się w jednym z nich, Fabiola obliczyła, że ma on dwadzieścia kroków. W pobliżu zebrano w stosy cięte gałęzie drzew. Posłużyły do zablokowania korytarza, gdy zapadnie noc.

Wewnątrz fortu zobaczyła długie skórzane namioty, ustawione w zgrabnych rzędach. Mimo że setki ludzi pracowało ramię przy ramieniu, nikt sobie nie przeszkadzał i wszyscy znali swoje zadania. Oficerowie obserwowali legionistów, machając od niechcienia kijkami z winorośli, czasami rozdzielając razy, żeby zmusić kogoś do większego zaangażowania w pracy. Sekundus dzielił się z nią wiedzą, omawiając różne elementy obozowiska. Namioty centuriona wyróżniały proste insygnia. Każde *contubernium* rozstawiało swój namiot w określonym miejscu, odpowiadającym pozycji, którą zajmowały baraki centurii w stałym forcie.

Fabiola nie mogła nie podziwiać sprawności organizacyjnej legionu. Chwilowo zapomniała o swoich obawach. Zauważyła, że Sekundus był najwyraźniej poruszony, wspominając obrazy i zdarzenia z lat spędzonych w armii.

Do centralnego placu obozu wiodła szeroka droga. Tam dostrzegli większe namioty. Namiot dowodzenia oraz luksusową kwatery legata Marcusa Petrejusza. Jak na dowódcę legionu przystało, jego namiot został wzniesiony tuż po przygotowaniu namiotu dowództwa. Obok wejścia dumnie powiewało czerwone *vexillum*. Przy nim znajdowało się co najmniej dwudziestu wybranych legionistów ze straży przybocznej. Posłańcy wchodzili i wychodzili z namiotu, przekazując rozkazy Petrejusza, wydawane starszym centurionom. W pobliżu znalazła się także para osiodłanych koni, posilających się teraz z worków z paszą. Dosiadający ich konni kurierzy stali beczynnym obok, rozmawiając o jakichś błahostkach.

Optio poprowadził swoich ludzi prosto do głównego namiotu. Zatrzymał się najpierw przed dyżurującym centurionem, zaszalutował i stanął na baczność.

Gdy oficer zobaczył Fabiolę, uśmiechnął się od ucha do ucha. Tak urocza kobieta będzie o wiele atrakcyjniejszym towarzyszem niż tłusty, łysiejący kupiec, który zjawił się niedawno z prośbą o pomoc. Centurion przełknął kawałek chleba i zrobił kilka kroków do przodu.

Optio w krótkich słowach zdał raport z ostatnich wydarzeń.

– Moja pani – zaczął centurion, kłaniając się uprzejmie – bez wątpienia chciałabyś odświeżyć się przed poznaniem legata.

– Tak. Dziękuję – odpowiedziała Fabiola z wdzięcznością. Musiała zrobić dobre wrażenie.

– Zapraszam do środka – wskazał, że powinna pójść za nim. – Niewolnicy mogą odpocząć przy opiekunach mułów czy wśród towarzyszących legionowi grupach cywili.

Sekundus już miał coś odpowiedzieć, ale ugryzł się w język. To nie była najlepsza chwila, żeby zwracać na siebie uwagę.

Jednak Fabiola obruszyła się takim lekceważącym stosunkiem do swoich ludzi.

– To nie są moi niewolnicy, ale towarzysze podróży – powiedziała głośno.

Oczy Sekstusa zrobiły się wielkie jak spodki, po czym dumnie wypiął pierś.

Centurion znieruchomiał na moment, a potem skinął głową.

– Jak mówisz, pani. Rozkażę, żeby przygotowano dla nich specjalny namiot w pobliżu żołnierzy mojej kohorty.

– Dobrze – odpowiedziała Fabiola. – Oni też będą potrzebować ciepłej wody i nie wzgardzą posiłkiem.

– Oczywiście – centurion nie mógł zaprotestować.

Docilosa bezskutecznie próbowała ukryć uśmiezek.

Centurion rozkazał jednemu ze swoich ludzi, żeby zajęli się towarzyszami Fabioli, a sam poprowadził ją do namiotu.

Sekundus nie zamierzał jednak opuszczać Fabioli.

Popatrzyła na niego zaskoczona.

– Ciągłe potrzebujesz ochrony, pani – mruknął.

– Nie martw się o mnie – powiedziała wzruszona jego lojalnością. – Mitra będzie mnie chronił.

Ta odpowiedź usatysfakcjonowała Sekundusa, który cofnął się, ale przez chwilę jeszcze obserwował zachowanie centuriona. W tym czasie sam zmówił w duchu modlitwę do boga-wojownika. Piękna, młoda kobieta będzie musiała bardzo uważać na to, co mówi. Jeśli Petrejusz poweźmie choćby cień podejrzeń, że zmierzają na północ z myślą o dotarciu do oddziałów Cezara, nie będą mogli liczyć na jego litość. Gdy przemierzali fort, dobrze słyszał, o czym rozmawiali ze sobą legionieści. Otwartej wojny jeszcze nie prowadzono, ale Cezar już powszechnie uważany był za wroga.

Centurion zaprowadził Fabiolę do dużego, wydzielonego zasłonami pomieszczenia w namiocie, po czym skłonił się w pas.

– Zaraz rozkażę, aby przyniesiono ci ciepłą wodę i coś do osuszenia, pani – mruknął. – Niestety, obawiam się, że nie mamy żadnych damskich ubrań na przebranie.

– Oczywiście... nie spodziewałabym się tego – Fabiola roześmiała się lekko, próbując sprawiać wrażenie pozytywnie nastawionej do centuriona. – Na razie wystarczy, że się umyję, potem dam suknię do wyczyszczenia.

Zmieszany centurion pochylił głowę i wyszedł.

Fabiola rozejrzała się po namiocie. Wyglądało na to, że legatowi niczego nie brakowało. Kampania czy nie, Petrejusz nie musiał rezygnować z przyjemności. Na ziemi ułożono grube dywany i zwierzęce skóry, a bogato zdobione, wzorzyste draperie zasłaniały płótna ścian namiotu. Jego sufit znajdował się dość wysoko, zabezpieczony skomplikowanym szkieletem z długich tyczek. Tu i ówdzie zwisały z nich liny, na których zamocowano eleganckie lampy oliwne wykonane z brązu.

Jeszcze więcej lamp stało na zdobionym kamiennym cokole. Było ich tyle, żeby dobrze oświetlić pomieszczenie. Stojak na broń zawierał kilka *gladii* z rękojeściami z pięknie rzeźbionego drewna i kości. Nawet ich pochwy były bogato ozdobione złotymi tłoczeniami, przedstawiającymi sceny z greckiej mitologii. Centralne miejsce w namiocie zajmowało popiersie Pompejusza dłuta jakiegoś zręcznego i utalentowanego artysty. Widziała Pompejusza w Rzymie i po nieco wyłupiastych oczach i grzywie kręconych włosów od razu rozpoznała, kogo przedstawia rzeźba.

Drewniane regały z pozostałymi rzeczami osobistymi legata ustawiono po bokach, a na środku znalazło się miejsce dla ciężkiego biurka i wygodnego krzesła obitego skórą. Błat biurka zasłany był ciasno zwiniętymi zwojami. Serce Fabioli zabiło szybciej. Znajdowała się w wydzielonym, prywatnym pomieszczeniu należącym do Petrejusza. *Może wśród tych zwojów pergaminu znajdują się ważne informacje na temat planów Pompejusza? Warto byłoby się dowiedzieć, co zawierają.*

Jak większość niewolników czy byłych niewolników Fabiola była analfaberką. Gemellus nie widział powodów, żeby edukować ludzi, którzy mu służyli. Tylko Serwiliusz, jego księgowy, umiał czytać i pisać. A Jowina, przebiegła starucha, która była właścicielką Lupanaru, aktywnie zniechęcała prostytutki do nauki. Niewykształcone kobiety znacznie łatwiej można zastraszyć i wykorzystać. Fabiola prosiła Brutusa, żeby zaczął ją uczyć, ale nie zdążyła odbyć z nim wielu lekcji, zanim został wezwany do sztabu armii Cezara.

Jej rozmyślania zostały przerwane przez parę młodych niewolników z ogolonymi głowami, którzy w ciszy postawili przed nią duży kociołek parującej ciepłą wodą, tkaniny do osuszenia się oraz lustro z brązu na stojaku. Obok lustra spoczęła mała metalowa taca, na której znalazły się fiołki z oliwą z oliwek, zakrzywiony *strigil* i dwa pięknie rzeźbione grzebienie z bukszpanu. Nieco skrępowani ustawili wszystkie sprzęty i wycofali się, przez cały czas unikając wzroku Fabioli. Służenie młodej, pięknej kobiecie – w odróżnieniu od nieokrzęsanych żołnierzy – było dla nich zdecydowanie czymś nowym.

Fabiola rozebrała się i obmyła ciepłą wodą, po czym natarła całe ciało oliwą, co pomogło jej usunąć ze skóry brud i kurz, które pokryły jej ciało podczas zasadzki, walki i gdy przedzierała się przez barykadę, a następnie las. Choć ten sposób odświeżenia się nie był tak relaksujący, jak klasyczna kąpiel w łaźni, z przyjemnością doprowadziła się do porządku. Brakowało jej tylko flakonika z perfumami, ale te, jak wszystkie jej prywatne rzeczy, zostały w lektyce. Scewola zapewne nie zrobi z nich żadnego użytku, ale raczej nie może liczyć na to, że znajdzie

się okazja, by po nie wrócić.

Skrzywiła się, gdy musiała nałożyć z powrotem wilgotną od potu suknię. O tyle dobrze, że nie było na niej zbyt wielu plam krwi. Przeciągnęła ręką po włosach i spojrzała w lustro. Chwyliła za grzebień i zaczęła energicznie rozczesywać włosy.

– Chyba sama Afrodyta przybyła do mnie w gości – usłyszała za plecami głęboki głos.

Aż podskoczyła ze strachu.

Do pomieszczenia wkroczył wysoki mężczyzna w średnim wieku, o brązowych włosach przyprószonej już siwizną. Ubrany był w dobrze skrojoną tunikę, sięgającą do połowy ud, i miękkie skórzane buty. To, że był żołnierzem, potwierdzał pas ze złożonymi łańcuchami i sztylet w pochwie. Najbardziej rzucały się w oczy jego wysokie kości policzkowe oraz ostry podbródek.

– Wybacz mi, pani – powiedział, widząc reakcję Fabioli. – Nie chciałem cię przstraszyć.

Fabiola ukloniła się, zastanawiając się, jak długo ją obserwował.

– Ostatnie wydarzenia sprawiły, że czuję się nieco rozstrojona – odparła.

– Nic dziwnego. Powiedziano mi, że zostałaś napadnięta, pani. Przez kogo? To byli dezercerzy czy zwykli bandyci?

– Trudno powiedzieć – Fabiola nie chciała ujawniać żadnych szczegółów dotyczących Scewoli. – Niełatwo odróżnić jednych od drugich.

– Rzeczywiście, to prawda. Przepraszam, że w ogóle o tym wspominam – odpowiedział uspokajająco. Postaraj się, pani, zapomnieć o tej przykrej przygodzie. Tu jesteś bezpieczna.

– Dziękuję – nie musiała specjalnie udawać ulgi. Zaczynała uświadamiać sobie, ile kosztowały ją niedawne przejścia. Czuła dopiero teraz, jak uchodzi z niej energia. Teraz, kiedy akurat musiała być gotowa na nowe wyzwanie. Nie mogła wyjawiać żadnych prawdziwych szczegółów swojej podróży, a jednocześnie musiała przekonać dowódcę legionu do tego, żeby pozwolił jej ruszyć w dalszą drogę. *Mitro! Sol Invictus, pomóż mi!* Prośba o pomoc skierowana do boga-wojownika wydawała się na miejscu w obliczu zagrożenia ze strony żołnierza.

– Pozwól, pani, że się przedstawię – mężczyzna skłonił się nisko. – Jestem Marcus Petreusz, legat Legionu III. Witam cię w moim obozie.

Odpowiadając na powitanie, Fabiola uśmiechnęła się promiennie.

– Jestem Fabiola Messalina.

Wydawało się, że *legatus* jest odporny na jej wdzięki, bo od razu przeszedł do rzeczy.

– Wydaje mi się to dziwne, że tak piękna, młoda kobieta podróżuje samotnie. Drogi są niebezpieczne.

Fabiola udała zdziwienie.

– Mam... miałam... niewolników i sługi.

Mężczyzna uniósł brwi.

– Nie towarzyszył ci ojciec czy brat?

Niezamężne arystokratki zwykle podróżowały w męskim towarzystwie, z krewnymi lub przynajmniej opiekunami. Nie miała wyjścia. Musiała kłamać.

Fabiola wzięła głęboki wdech i zaczęła wyjaśniać *legatowi* przyczyny tak niecodziennej podróży.

– Mój ojciec nie żyje od dawna, a Julianusz, mój najstarszy brat, rok temu zginął w Partii – chciała zostawić sobie iskierkę nadziei w sercu, dlatego powstrzymała się przed podaniem w tym kontekście imienia swojego prawdziwego brata, Romulusa. Doskonale jednak zdawała sobie sprawę z tego, że mógł już nie żyć. Spuściła wzrok, a z jej oczu popłynęły jak najbardziej szczere łzy żalu.

– Bardzo mi przykro to słyszeć, pani – *legat* odezwał się głosem pełnym współczucia. – A co z resztą rodziny?

– Matka jest zbyt słaba na takie długie podróże, a Romulus, mój brat bliźniak, wyjechał w interesach – ciągnęła Fabiola. – Ktoś z nas musi odwiedzić naszą owdowiałą ciotkę w Rawennie. Biedna Clarina nie pożyje już długo.

Legat pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Niemniej jednak nastały trudne czasy. Niezbyt mądrze jest podróżować bez dużej grupy ochroniarzy.

– Ale w Rzymie też nie jest lepiej! – zawołała Fabiola. – Tłuszcza jest zdolna do spalania nobili żywcem w ich własnych domach!

– To prawda... Niech bogowie ich przeklną – odrzekł *Petrejusz*, zaciskając zęby. – Ale szybko skończ z tym bezprawiem.

Fabiola wciągnęła głośno powietrze, udając zaskoczenie.

– Maszerujecie na stolicę?

– Tak, pani. Chcemy dotrzeć do Rzymu najszybciej, jak się da – odpowiedział żywo *legat*. – Senat obwołał *Pompejusza Wielkiego* konsulem, powierzając mu urząd na rok. Jego główna misja polega na przywróceniu prawa i porządku, a *Legion III*

zrobi wszystko, aby pomóc Pompejuszowi w osiągnięciu tego celu.

Fabiola udała, odpowiednio do okoliczności, że jest zszokowana. Wykorzystanie armii w Rzymie było jednym z koszmarów Republiki. Zabraniało tego prawo, a po raz ostatni zdarzyło się przed ponad pokoleniem. Pozwolił sobie na to Sulla zwany „Rzeźnikiem”, który w konsekwencji przejął całkowitą kontrolę nad państwem. Większość obywateli bardzo krytycznie podchodziła do rządów dyktatora i wszyscy obawiali się powtórzenia tego scenariusza.

– Do tego doszło... – Petrejusz westchnął. – Nie ma innej drogi.

Fabiola widziała, że legat jest przekonany, że konieczne jest podjęcie bezkompromisowych działań.

– Nikt nie zaprotestował?

– Ani jeden senator – powiedział cierpko. – Za bardzo się boją, że ich domy zostaną splądrowane.

Fabiola uśmiechnęła się, przypominając sobie, jak wielu jej klientów było obsesyjnie przywiązanych do bogactwa, niezależnie od tego, w jaki sposób zdobyło swoje fortuny. Jednak kiedy biedni starali się uzyskać coś dla siebie, bogacze jako pierwsi gotowi byli ich potępić. Choć formalnie w Rzymie panowała demokracja, w rzeczywistości od pokoleń o losach Republiki decydowali przedstawiciele stosunkowo wąskiej elity, którzy troszczyli się głównie o zawartość swoich kieszeni. Zapomniano już całkiem o dawnych zwyczajach, zgodnych z duchem twórców Republiki, gdy generałowie, ukończywszy kampanię, rozpuszczali wojsko, zdawali dowodzenie i wracali do domów. Spędzali czas z rodzinami, a przy stole jedli ze zwykłych glinianych misek. W obecnych czasach w Rzymie bezwzględni ludzie walczyli o władzę absolutną i – również absolutne – bogactwo.

I to właśnie z tych powodów legion Petrejusza znajdował się w drodze do Rzymu.

Przyszłość przerażała Fabiolę.

– Cezar nie będzie zachwycony, gdy się o tym dowie, ale teraz ma inne sprawy na głowie – usta Petrejusza rozciągnęły się w uśmiechu, w którym nie było zbyt wiele ciepła. – Na przykład przetrwanie...

Fabioli udało się ukryć zaniepokojenie. Nie wiedziała nic o ostatnich wydarzeniach.

– Słyszałam, że w Galii znów wybuchł bunt, ale nic więcej – powiedziała rezolutnie.

– Sytuacja pogarsza się. To niedobre wieści dla Cezara, ale miłe dla Pompejusza – Petrejusz uśmiechnął się przymilnie. – Ale dość polityki i wojny. To nie są tematy

dla damy. Czy będzie pani łaskawa zjeść ze mną obiad?

Fabiola tak naprawdę nie mogła się nie zgodzić na tę propozycję. Skłoniła się.

– Z przyjemnością...

W rzeczywistości była przerażona. Balansowała na cienkiej linii między oszustwem i prawdą, w każdej chwili ryzykując zdemaskowanie. *Co dzieje się z innymi jej towarzyszami? Mam nadzieję, że nikt nie będzie zadawać za dużo pytań Dociliosie lub Sekstusowi. Sekundus wie, że powinien trzymać język za zębami.* Był zwolennikiem Cezara, a już to stanowiło dobry powód, aby pozostać postacią anonimową, podobnie jak ona.

Petrejusz poprowadził ją do innej części ogromnego namiotu, gdzie niski stół otaczały trzy rozkładane kanapy. Czwarta strona pozostała wolna na potrzeby służących, przynoszących ciągle nowe naczynia z jedzeniem. Na typowej kanapie mieściły się trzy osoby. W tym pomieszczeniu poziom luksusu nie różnił się specjalnie od tego w pomieszczeniu, w którym Fabiola mogła się umyć, i równał się z luksusem hal bankietowych w Rzymie. Nawet stół był prawdziwym dziełem sztuki – wyróżniał się inkrustowanymi panelami ze złota i masy perłowej, a także misternie rzeźbionymi nogami w kształcie lwich łap. W dużych, czerwonych, glazurowanych półmiskach z Arezzo odbijało się światło ogromnych świeczników, podkreślając piękno skomplikowanych wzorów. Fabiola aż przyklasnęła, widząc tak bogatą kolorystykę szklanych naczyń, srebrne solniczki i łyżki z delikatnymi rączkami, wykonanymi z kości. W kącie siedziało trzech niewolników, którzy grali na piszczałkach, lirze i kitarze, instrumencie strunowym, wydającym słodkie dźwięki. Inni niewolnicy stali wokół stołu, gotowi służyć przy podawaniu żywności i napojów.

Fabiola miała nadzieję, że nie będą sami. Rozejrzała się.

Petrejusz zauważył jej spojrzenie i mrugnął do niej porozumiewawczo.

– Zwykle jadam obiad z trybunami. Ale nie dzisiaj.

Udało jej się złożyć usta do uśmiechu, ale w żołądku poczuła niepokojące muskanie skrzydeł ćmy strachu. Spędziwszy tyle czasu w Lupanarze, potrafiła czytać z mężczyzn jak z otwartej książki.

– Proszę... – Petrejusz wskazał jej miejsce, które powinna zająć. Honorowe, obok siebie.

Czując się nieco niepewnie, Fabiola usiadła na sofie. Zdjęła buty i zanim ułożyła się w pozycji półleżącej, ustawiła je równo na dywanie poniżej.

Z ulgą stwierdziła, że legat usadowił się na środkowej kanapie i nie zamierzał zajmować tej samej co ona. Skinął na najbliższego niewolnika, który szybko zajął

się nalewaniem *mulsum* do ich kielichów.

Fabiola chwyciła podsunięty jej kielich z wdzięcznością. Po niedawnych wydarzeniach, gdy ledwo uszła z życiem z zasadzki Scewoli, mieszanka wina i miodu smakowała jej jak nektar bogów. Nie namyślając się wiele, wypłała wszystko.

Jej puchar został natychmiast napełniony po raz drugi.

Petrejusz wbił teraz wzrok w Fabiolę, popijając ze swojego naczynia z dużo większą wstrzemięźliwością.

– Opowiedz mi, pani, o swojej rodzinie – powiedział ciepłym głosem.

Szukała na jego twarzy znaków mogących świadczyć o wyrachowaniu. Żadnego nie znalazła. Modląc się w duchu żarliwie do Mitry i Jowisza, Fabiola zaczęła tworzyć historię swojego życia. Była jednym z trojga dzieci Juliana Messalinusa, zmarłego kupca, i jego żony, Welwinny Helpis. Rodzina zamieszkiwała dom na Awentynie, w dzielnicy plebejskiej. Aby uczynić swoją historię jak najbardziej autentyczną, Fabiola wplotła w opowieść wiele prawdziwych informacji. Nikt nie dostrzeże kłamstwa, gdy powie, gdzie dorastała. Jak wszędzie w Rzymie, na Awentynie mieszkali też patrycjusze. Wykorzystanie prawdziwego imienia matki również w jakiś sposób wydawało się słuszne, podobnie jak wspomnienie o bracie bliźniaku. Julianusz, jej starszy brat, zaciągnął się do wojska jako skryba i zginął w Partii. W tym momencie głos Fabioli lekko zadrgał i uznała, że powinna na chwilę zamilknąć.

Wyglądało na to, że Petrejusz niczego nie podejrzewał.

Lekko zdenerwowana kontynuowała opowieść. Chociaż zwiększała prawdopodobieństwo zdemaskowania, zmyślając różne postaci, które nigdy nie dałoby się zidentyfikować, chciała stworzyć sobie iluzję, w której ma jeszcze jakichś krewnych i nie jest sama na świecie. Dlatego opowiedziała, że Romulus, jej bliźniak, prowadził teraz rodzinne interesy, ale często wyjeżdżał z kraju, poświęcając czas na różne inwestycje handlowe. Jako niezamężna kobieta Fabiola zamieszkiwała w siedzibie rodu z matką i grupą niewolników. Aby uniknąć pytań Petrejusza, dlaczego jeszcze nie wyszła za mąż, uprzedziła je, wspominając o wielu regularnych zalotnikach. Do tej pory jednak żaden nie został zaakceptowany przez Welwinnę.

– Wszystkie matki są takie same – legat się zaśmiał.

Fabiola ze zdziwieniem odkryła, że zaskakuje ją własna inwencja twórcza. Nie miała żadnych problemów z wymyśleniem dla siebie fikcyjnej egzystencji. Jako dziecko w *domus* Gemellusa mogła obserwować przedstawicieli wyższych sfer społeczeństwa rzymskiego. Chociaż zły kupiec wywodził się z ubogiej rodziny,

zyskał uznanie dzięki zebranemu bogactwu. Spotykał się z ludźmi z różnych klas społecznych i często gościł swoich klientów w rezydencji. Fabiola miała doskonałą okazję do poznania charakteru związków łączących przedstawicieli klasy kupieckiej.

Przerwała swoje wywody, żeby zwilżyć gardło. Kolejny łyk *mulsum* pomógł jej w zebraniu myśli.

Petrejusz słuchał uważnie, podparłszy szczękę na dłoniach o długich palcach.

Wyzwoleni niewolnicy często stawali się łatwym celem niewybrednych żartów z powodu nieumiejętności zachowania się przy stole czy nieznamomości etykiety obowiązującej podczas różnych spotkań. Fabiola jednak z determinacją dążyła do poszerzania swojej wiedzy, obiecując sobie, że nigdy nie dopuści, żeby ktoś się z niej śmiał. Dlatego przyswajała sobie wszystkie informacje, jakie zdobywała podczas pracy w Lupanarze. Wielu jej klientów spędzało dużo czasu w jej obecności, dzieląc się historiami z życia. Jako najpopularniejsza prostytutka w drogim domu rozkoszy spotykała się z przedstawicielami rzymskiej elity, senatorami i ekwitami. Wśród jej klientów nie brakowało też zamożnych kupców i przedsiębiorców. Wszyscy ci mężczyźni znajdowali się na samym szczycie społeczeństwa rzymskiego i żyli w świecie bardzo różnym od tego, który otaczał przeciętnego niewolnika. Mimo wszystko Fabiola dopiero niedawno zmieniła otoczenie. Dlatego starała się zachować ostrożność, udając, że pochodzi z klasy średniej, a nie z samej elity.

Petrejusz nie wydawał się zawiedziony, że jego rozmówcy tak chętnie przyznaje się do tego, iż jej rodzina wzbogaciła się na handlu, a nie ma korzeni patrycjuszowskich. Jeśli już, to raczej wydawał się zadowolony z jej szerokiej wiedzy o świecie.

Historia mająca tłumaczyć, dlaczego znalazła się w podróży, tak daleko od domu, również wydawała się nie wzbudzać jego podejrzeń. Jednak żeby na wszelki wypadek nie prowokować dalszych pytań, Fabiola przeszła do ofensywy.

– Ja nic nie znaczę, ale ty, panie, jesteś przecież dowódcą legionu.

Petrejusz wykonał skromny gest, mający wyrażać, że nie ma to wielkiego znaczenia, ale widziała, że został mile połączony.

– Musiałeś walczyć w wielu wojnach – powiedziała zachęcająco. – I pewnie podbiłeś wiele ludów?

– Dokonałem tego i owego... – odparł, wzruszając ramionami. – Jak każdy, kto spełnia swój obowiązek względem Rzymu.

– Opowiedz mi, proszę! – Fabiola zawołała, a jej oczy błyszczały od udawanej ekscytacji.

– Byłem jednym z dowódców armii podczas starcia, w którym rozbiliśmy spiskowców Katyliny. Pomogłem też Pompejuszowi Magnusowi stłumić bunt Spartakusa.

Fabiola udawała, że nie może wyjść z podziwu, gryząc się w język na myśl o ripoście, jaka przyszła jej do głowy. Wszak mówiło się, że Spartakusa pobił Krassus. Znamienne było to, że Petrejusz też właśnie zaprezentował się jako kłamca. Dobrze poinformowani wiedzieli, że Pompejusz odegrał podczas tłumienia buntu mało istotną rolę. Jego siły walczyły jedynie z pięcioma tysiącami niewolników, którzy nie brali udziału w głównej bitwie. Tak więc Pompejusz co najwyżej pomagał w tłumieniu powstania, nie odgrywając w tej kampanii decydującej roli. Jednak zdołał przekonać senat, który uznał jego zasługi w reakcji na pismo informujące o odniesionym zwycięstwie. Ten zręczny manewr przyniósł Pompejuszowi same korzyści i najwyraźniej przechwalający się teraz Petrejusz naśladował swojego dowódcę.

Fabiola stwierdziła, że powinna pamiętać o tej słabości legata. Był próżny. *Gdyby tylko gladiator z Tracji ostatecznie nie poniósł klęski* – pomyślała ze smutkiem – *urodzilibyśmy się z Romulusem jako wolni ludzie. Moglibyśmy żyć zupełnie innym życiem.* Niestety, Spartakus musiał uznać wyższość mobilnych i doświadczonych w boju legionów. Teraz stosunek do niewolników był nawet bardziej rygorystyczny niż dawniej.

– Oczywiście powstanie nigdy nie było prawdziwym zagrożeniem dla Rzymu – Petrejusz zadrwił. – Przeklęci niewolnicy.

Fabiola skinęła głową, udając, że się zgadza. W duchu krzyczała jednak: *Jakże mało wiesz!* Wyglądało na to, że podobnie jak wielu nobili Petrejusz uważał niewolników za istoty niewiele różniące się od zwierząt, niezdolne do rozumnego działania czy nawet myślenia. Wyobraziła sobie, że chwyta za *pugio* wiszący u jego pasa i zagłębia go w jego pierś. Szybko jednak odepchnęła od siebie tę myśl. Choć była ona na swój sposób atrakcyjna, takie zachowanie w żadnym razie nie pomogłoby im wszystkim wykaraskać się z trudnej sytuacji, w jakiej się znaleźli. Zabijając legata, spowodziłaby niebezpieczeństwo na ludzi znajdujących się pod jej opieką: Docilose, Sekstusa i Sekundusa. *Jakie mam wyjście? Opuszczenie ogromnego obozu bez zgody legata jest niemożliwe.* Wartownicy pilnowali korytarzy prowadzących do fortu dniami i nocami. Nikt nie mógł wejść ani opuścić obozu bez kontroli.

Czuła, że traci nadzieję.

Tak jak wszyscy jej klienci Petrejusz również nie zauważył, że Fabiola odbiegła daleko myślami. Wystarczało, że się uśmiechała i kiwała głową. Mogła w ten sposób

przez wiele godzin udawać zainteresowanie. Dążenie do perfekcji w pracy w Lupanarze wymagało nie tylko nauczenia się zaspokajania fizycznych potrzeb mężczyzn, ale również opanowania sztuki konwersacji oraz sprawiania, by jej rozmówcom wydawało się, że są pępkiem świata. Udając, że cieszy się z każdej rozmowy, Fabiola nauczyła się też prowokowania i kuszenia. Obietnica spełnienia przyjemności czasami okazywała się skuteczniejsza niż samo jej sprawianie. Ton głosu, kuszenie odsłoniętą piersią lub udem, trzepotanie rzęs – Fabiola знаła wszystkie sposoby. Wino krążyło w jej żyłach. Zdawała sobie sprawę, że znajduje się w rozpaczliwej sytuacji. I właśnie, rozluźniona alkoholem, uświadomiła sobie, że wysyła o wiele więcej dwuznacznych sygnałów, niż chce. Później będzie się zastanawiała, czy nie powinna była przeprowadzić tej rozmowy nieco inaczej...

– Służyłem także w Azji Mniejszej – mówił Petrejuusz. – Mitrydates był bardzo utalentowanym wodzem. Pokonanie go zajęło nam ponad sześć lat. Ale udało się.

– Musiałeś zatem panie walczyć wspólnie z Lukullusem?

Chociaż Lukullus nie zadał ostatecznego ciosu Mitrydatesowi, Fabiola wiedziała, że to przede wszystkim jemu Rzym zawdzięcza pokonanie wojowniczego króla Bitynii i Pontu. Jednak Pompejuusz, lider wysłany przez senat w celu dokończenia dzieła, zebrał wszystkie laury. Nie po raz pierwszy.

Petrejuusz spurpurowiał na twarzy.

– Na początku tak. Ale gdy Lukullus został zastąpiony, kontynuowałem kampanię u boku Pompejusza Magnusa.

Fabioli ledwie udało się ukryć uśmiezek. *Tak to działa.* Pompejuusz odebrał Lukullusowi dowodzenie legionami, ale wszystkich jego przyjaciół pozostawił na dotychczas zajmowanych stanowiskach.

– A teraz znów dowodzisz legionem – zamruczała zalotnie. – I zmierzasz do Rzymu.

Legat wykonał gest mający bagatelizować jego rolę.

– Wykonuję tylko swój obowiązek.

W tym samym czasie popychając Republikę na skraj wojny domowej. Cezar pewnie jednoznacznie oceni działania Pompejusza, który wysyłał żołnierzy do Rzymu jako pokaz siły. Człowiek, który przywróci spokój w stolicy, natychmiast stanie się bohaterem. Co więcej, legionieści stacjonujący w pobliżu Forum Romanum dają ich dowódcy dobrą pozycję przetargową. Trzeba przyznać, że Pompejuusz potrafił też wybrać właściwą chwilę. Unieruchomiony w Galii i walczący o życie Cezar nie mógł nic zrobić, żeby temu zapobiec.

– Zgłodniałem – stwierdził legat. – Czy chciałabyś się teraz posilić, pani?

Fabiola uśmiechnęła się. Powinna coś zjeść. Może dzięki temu *mulsum* nie uderzy jej za szybko do głowy. Nie była przyzwyczajona do picia dużej ilości alkoholu.

Petrejusz pstryknął palcami i po chwili tuż przy nim pojawiło się dwóch niewolników z miseczkami gorącej wody i tkaninami do osuszenia rąk. Równocześnie pozostali niewolnicy udali się po misy z jedzeniem. Stół ugiął się pod różnego rodzaju solonymi rybami, misami z kiełbasą w kaszy, świeżo gotowanym kalafiolem i fasolą. Podano też pokrojone jajka na twardo i cebulę z pikantnym sosem.

Fabiola patrzyła na te wszystkie potrawy i znów myślami wróciła do czasów dzieciństwa. Dawniej głód towarzyszył jej na każdym kroku. Teraz mogła jeść tyle, ile tylko zapragnęła. Była w tej odmianie jakaś ironia losu.

Petrejusz wymruczał cicho modlitwę do bogów, dziękując im za dary. Pochylił się nad stołem i rozpoczął posiłek. Jak to zwykle bywało, podczas jedzenia oboje posługiwali się głównie palcami, tylko od czasu do czasu używając łyżek.

Młoda kobieta odetchnęła z ulgą. Legat skupił się na jedzeniu. Fabiola zjadła trochę ryby i chleba, próbując zebrać myśli, które – zdaje się że pod wpływem wypitego *mulsum* – teraz jakby rozbiegły się i pochowały. Miała trochę czasu. Legat był najwyraźniej bardzo głodny. Gdy zjadł wszystko ze swojego talerza, pokazał niewolnikom, że mają zebrać niedokończone potrawy. Po powtórным umyciu rąk pojawiło się drugie danie.

Fabiola poczuła się trochę przytłoczona nadmiarem potraw. Wymię lochy w sosie rybnym, pieczone koźlą i jeszcze więcej kiełbasy. Smażone ryby: leszcz, tuńczyk i barwena. Gołąbki i drozdy pieczone na blasze. Kasztany i kiełki kapusty oraz nieodłączna cebula. Na stole było o wiele więcej jedzenia, niż byłyby w stanie zjeść dwie osoby. Atletyczna budowa ciała Marcusa Petrejusza jakoś nie pasowała do jego apetytu. Była pewna, że Brutus nie pochwalałby takiego obżarstwa. Jej oblubieniec nie jadł za dużo i wołał czas przy stole spędzać na miłej konwersacji.

Znów pojawił się niewolnik, który wypełnił puchary rozwodnionym winem. Ponieważ *mulsum* było lżejsze od wina, podawano je przed posiłkiem.

– Pij, pani – zachęcał Petrejusz. – To bardzo dobre wino z Kampanii. Z jednego z moich latyfundiów.

Fabiola przełknęła jeden łyk i pomyślała, że powinna już się ograniczyć. Nie wypije całego kielicha, mimo że czerwone wino było bardzo dobre. Miało głęboki, pełny smak, tylko nieznacznie osłabiony w wyniku rozcieńczenia.

Przez chwilę rozmawiali jeszcze o wszystkim i o niczym, czekając na główne danie. Nie nawiązywali już do podróży Fabioli ani do misji Petrejusza. Gdy legat posilił się, znów zawołał niewolników, żeby uprzątnęli stół. Część resztek jedzenia odłożono, a legat usypał obok małą piramidkę z soli. Obok stanął też kielich pełen wina. Tradycyjna ofiara dla bogów.

Petrejusz pochylił głowę, a jego usta poruszały się w cichej modlitwie. Fabiola robiła to samo, prosząc teraz gorączkowo nie tylko o błogosławieństwo Jowisza i Mitry, ale i o ich pomoc i wstawiennictwo. Ciągłe nie miała pojęcia, jak wybrnąć z tej sytuacji!

Na deser podano różne ciasta, orzechy laskowe i suszone gruszki oraz jabłka. Fabiola nie chciała urazić gospodarza, dlatego starała się spróbować wszystkiego, chociaż w małych porcjach. Nie spieszyła się.

Znów w kielichach pojawiło się wino.

Twoja ciotka w Rawennie, pani... – nagle Petrejusz wrócił do tematu rzekomego celu jej podróży. – Przypomnij mi proszę, jak miała na imię?

– Clarina – odpowiedziała Fabiola. – Clarina Silwina.

– Gdzie dokładnie mieszka?

Fabiola poczuła niepokój. Co go to obchodzi?

– Całkiem niedaleko forum – skłamała, wybierając lokalizację, która mogła pasować do każdego miasta w Italii. – Przy ulicy, która prowadzi do południowej bramy.

– Ma duży dom?

– Niespecjalnie... Ale mama mówi, że jest dobrze wyposażony. Ciotka Clarina ma dobry gust.

Petrejusz milczał przez chwilę.

Serce Fabioli waliło mocno, gdy sięgała po suszone owoce, aby ukryć niepokój.

– Południowa dzielnica miasta w ubiegłym roku niemal doszczętnie spłonęła – Petrejusz powiedział twardo. – Pożar strawił prawie wszystkie domy.

Fabiola poczuła, że jej policzki robią się czerwone ze wstydu.

– Clarina wspominała o tym w liście – odpowiedziała odrobinę zbyt wysokim głosem. – Pożar oszczędził jej domostwo, nie czyniąc w jej willi wielkich szkód.

– Z pożaru bez szwanku wyszli tylko ci, których domy znajdowały się w pobliżu mojego *domus* – powiedział zimno legat. – Na szczęście należący do mnie niewolnicy zdolali zrosić najbliższe dachy wodą na tyle, żeby się nie zapaliły i żeby ogień nie

dotarł do mojego domu.

Obserwowała go w milczeniu, czując nieprzyjemny ucisk w żołądku. Skąd mogła wiedzieć, że Petrejusz ma rezydencję w Rawennie?

Jego następne słowa niosły przepowiednię tego, co ją niechybnie czekało.

– Mieszkańcy byli tak wdzięczni, że przyszli mi podziękować. Nie przypominam sobie starszej pani o imieniu Clarina Silwina.

Fabiola otworzyła i zamknęła bezwiednie usta. Po ostatnich słowach Petrejusz przesiadł się na jej sofę. Byli teraz na tyle blisko, że mogli się dotknąć. Oczy Petrejusza przybrały barwę popielatą. Nie wyglądały teraz na przyjazne.

– Ja... – Fabioli rzadko zdarzało się zaniemówić.

– Nie masz ciotki w Rawennie – stwierdził ostro legat. – Prawda?

Nie odpowiedziała.

– A jeden z twoich towarzyszy jest weteranem-inwalidą. Jaki masz z niego użytek?

Jej tętno rosło. Petrejusz musiał obserwować ich z namiotu, gdy tylko pojawiali się w obozie. Zauważył, jak zachowuje się Sekundus. Trudno nie zauważyć, że był kiedyś żołnierzem.

– Sekundus? Spotkałam go na schodach świątyni Jowisza – Fabiola zaprotestowała. Była zła, że Petrejusz nie okazywał szacunku ofiarom wojen prowadzonych przez Rzym. Przecież jego ludzie też odnosili rany i odchodzili z armii. – I ulitowałam się nad nim. Okazał się godny zaufania.

– Naprawdę? Jak przeżył zasadzkę, gdy wszyscy inni zginęli? – zapytał legat.

Fabiola wzdrygnęła się na myśl o tym, że właśnie staje się ofiarą, a Petrejusz najwyraźniej dobrze wiedział, jak prowadzić przesłuchanie.

– Nie wiem – wyszeptała. – Może po prostu bogowie go oszczędzili.

– Myślę, że wiesz więcej, niż mówisz – Petrejusz wyprostował się. – Zobaczmy, co powie ten człowiek, gdy potraktujemy go gorącym żelazem. Zwykle ludzie śpiewają jak kanarki.

– Nie! – krzyknęła Fabiola. – Sekundus nie zrobił nic złego.

Reakcja Fabioli nie była do końca altruistyczna. Niewiele osób potrafi przetrzymać tortury, zwłaszcza zadawane przez doświadczonych katów, jakich musiał mieć do swojej dyspozycji Petrejusz. Gdyby Sekundus ujawnił prawdziwy cel podróży Fabioli, nie będzie miała żadnych szans dotarcia do Galii. Kto wie, jak zareaguje *legatus*, gdy dowie się, dokąd naprawdę zmierza. Pozbycie się czterech

przypadkowych podróży nie stanowiłoby dla niego żadnego problemu. Nikt nie będzie wiedział, co się z nimi stało.

Serce Fabioli zatrzymało się w pół uderzenia.

W porównaniu z takimi ludźmi jak Petrejusz naprawdę znaczyła niewiele.

Zwrócił się w jej stronę, a potem delikatnie pochylił. Był tak blisko, że piżmowa mieszanka *mulsum* i wina w jego oddechu drażniła jej nozdrza.

– Chyba że znajdziemy inne rozwiązanie... – odezwał się, po czym wyciągnął rękę i ścisnął lekko dłońią jedną z jej piersi. – O wiele przyjemniejsze.

Fabiola wahała się tylko przez mgnienie oka. Czuła, że lekko kręci się jej w głowie. Wróciło stare, znajome uczucie, gdy w Lupanarze klient wybierał właśnie ją z szeregu prostytutek.

Ale czy miała inny wybór?

Nie odepchnęła go. Przeciwnie. Przyciągnęła do siebie.

Rozdział XIX

Alezja



Północna Italia, wiosna/lato 52 r. p.n.e.

Fabiola zastosowała wszystkie triki znane jej z Lupanaru. Bardzo starała się przy tym sprowadzić to, co robiła z Petrejuszem, do nieważnego epizodu, wchodząc w rolę cienia – wysuszonego, spoconego i niepełnego – samej siebie sprzed kilku lat. Doprowadzała legata do ekstazy, ale myślami była daleko. Cały czas zastanawiała się, jak wybrnąć z tej sytuacji.

Jak odnaleźć w obozie Sekundusa i Sekstusa? I jak bezpiecznie opuścić legata i ruszyć w dalszą podróż do Galii?

Petrejusz nie będzie miał żadnego powodu, żeby ją po prostu wypuścić. Tak wprawiona w sztuce miłości towarzyszka wyjątkowo uprzyjemniłaby mu drogę do Rzymu. Co gorsza, niewiele będzie mogła zrobić, żeby temu zapobiec, jeśli Petrejusz zdecyduje się zatrzymać ją przy sobie. Ponieważ dysponuje prawie pięcioma tysiącami żołnierzy na zawołanie, bezwzględny legat może robić, co mu się żywnie podoba.

Przez chwilę rozważała ewentualność zostania stałą kochanką Petrejusza. Legat dobrze się prezentował i nawet można go było uznać za przystojnego. Przebywający daleko w Galii Brutus nie mógłby wiele na to poradzić. Jednak Fabiola zdecydowała się zrezygnować z tego pomysłu. Z dwóch powodów. Po pierwsze, oznaczałoby to konieczność zmiany stronnictw i przejście do obozu Pompejusza. Taka perspektywa jakoś do niej nie przemawiała. Instynkt podpowiadał jej, że partner Cezara w triumwiracie nie jest człowiekiem, z którym warto związać swoją przyszłość. Po drugie, i ważniejsze, jeśli zostanie kochanką Petrejusza – stając po stronie wrogów Cezara – pewnie nigdy nie spotka nobila, który może być jej ojcem.

Zastanawiała się również nad innym rozwiązaniem. Ostatecznym i bardziej

brutalnym. Mogła po prostu poczekać, aż legat zaśnie i zamordować go. Jednak nawet gdyby udało jej się niezauważenie opuścić namiot dowódcy legionu, odnaleźć Docilose, Sekundusa i Sekstusa, będzie musiała znaleźć sposób, żeby wydostać się za bramę fortu, a to już wydawało się całkiem niemożliwe. Nie było żadnego powodu sądzić, że którykolwiek ze zdyscyplinowanych żołnierzy Petrejusza po prostu pozwoli, aby wraz z towarzyszami opuściła obóz bez przepustki. Fabiola nie chciała zostać ukrzyżowana lub zamęczona na śmierć. A taka właśnie kara czekałaby ją, gdyby odnaleziono ciało legata.

Na Hades! Co ma robić?

Myślała, że go zmęczyła. Tymczasem ku jej zaskoczeniu Petrejusz znalazł jakoś energię, żeby posiąść ją ponownie po krótkim czasie odpoczynku. W pozycji na czworaka zachęcała go do głębokich pchnięć głośnymi jękami. Gdy skończył i opadł na mokre od potu prześcieradła, Fabiola wstała z łóżka. Rozpaczliwie potrzebowała chwili samotności, żeby wszystko przemyśleć. Przeszła naga kilka kroków do niskiego stolika, na którym wciąż znajdował się duży wybór jedzenia i picia. Napełniła dwa kubki rozcieńczonym winem. Odwróciła się, żeby stwierdzić, że Petrejusz przygląda się jej z podziwem.

– Na wszystkie świętości... – odezwał się, wzdychając z zadowoleniem. – Wyglądasz jak bogini, która zesłała na ziemię, żeby kusić zwykłych śmiertelników.

Fabiola zatrzepotała rzęsami. Błysnął wypraktykowany przez lata uśmiech.

– Kim jesteś? – pytał zaintrygowany. – Żaden kupiec, którego spotkałem, nie miał takiej córki.

Roześmiała się gardłowo i obróciła powoli w koło, prowokując głośny jęk pożądania.

To pytanie powróci. Nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Fabiola próbowała zdusić panikę w zarodku. Petrejusz nie jest tylko usatysfakcjonowanym klientem, którego wyprowadza się za drzwi, gdy skończy mu się czas. To był człowiek przyzwyczajony do tego, że może wszystko robić po swojemu. Wpływowo nobil, posiadający duże doświadczenie w zakresie dowodzenia żołnierzami i prowadzenia działań wojennych. A ona teraz była zdana całkowicie na jego łaskę. Przebywała na jego terytorium. Jej kobiece fortele daleko jej nie zawiodą.

Jak wszystkie inne sypialnie, także i ta miała w jednym z rogów mały ołtarzyk. Większość Rzymian modliła się do bogów o wschodzie i zachodzie słońca, żeby prosić o wskazówki i ochronę w dzień i w nocy. Nie inaczej postępował legat. Spojrzenie Fabioli prześlizgnęło się po kamiennym ołtarzu. W pewnym momencie

coś kazało jej przyjrzeć się uważniej obiektom znajdującym się na płycie. Obok Jowisza i Marsa, na widocznym miejscu stała mała statuetka zamaskowanej postaci, która wydała się Fabioli znajoma. Wstrzymała oddech, gdy uświadomiła sobie, że patrzy na wyobrażenie Mitry. Misternie rzeźbiona statuetka przypominała dużą rzeźbę, którą widziała w rzymskim mitreum. Bóg we frygijskiej czapce na głowie przykucnął nad pólężącym bykiem. Nie patrzył na zwierzę, gdy zagłębiał nóż w jego piersi.

Fabiola zamknęła oczy i poprosiła boga o interwencję.

Czy to właśnie była jej szansa?

Petrejusz wyznawał mitraizm. A ona była w świątyni i wypijała święte *homa*. Co ważne, Fabiola miała też wizję, w której stała się krukiem. W tej chwili nie miał żadnego znaczenia fakt, że zrobiła to bez przyzwolenia, sprowadzając na siebie gniew większości weteranów.

Zaświtała jej pewna myśl. Odważny pomysł. Nic innego nie przychodziło jej do głowy, więc uczepiła się nadziei, że to musi się udać!

Zza pleców dobiegł niski śmiech.

– Masz szczęście, że nie mam statuetki Priapusa – powiedział Petrejusz. – Nie dałbym ci zasnąć przez całą noc.

– Nie potrzebujemy go – odpowiedziała Fabiola, stając trochę szerzej na nogach i kłaniając się w pas przed Mitrą.

Na widok wypiętych pośladków z ust legata wydostał się zmysłowy pomruk.

Odwróciwszy się wdzięcznie, Fabiola zrobiła kilka kroków w kierunku łoża. Jej pełne piersi delikatnie falowały. Światło lamp oliwnych barwiło jej ciało, nadając mu intrygujący blask bursztynu. Z doświadczenia wiedziała, że w tym świetle wyglądała jeszcze ponętniej. Nikt nie potrafił się jej oprzeć. Fabiola postawiła kubki z winem na podłodze przy łóżku, po czym położyła ręce na biodrach.

– Teraz wyglądasz poważnie... – skomentował Petrejusz.

Roześmiała się i wygięła się, lekko przesuwając w jego kierunku biodra.

– Naprawdę?

Jak niewiele wiesz...

Petrejusz nie potrafił dłużej znieść takiego drażnienia. Wyciągnął ręce, żeby ją chwycić, ale Fabiola odsunęła się o krok czy dwa, zatrzymując się poza jego zasięgiem.

Legat zmarszczył brwi.

Fabiola szybko znów się przysunęła, pozwalając, żeby jego palce oplotły jej pośladki.

– Kto potrzebuje Priapusa? – mruknął, przekręcając się na skraj materaca w desperackiej próbie znalezienia się jak najbliżej jej ciała. – Zaraz wezmę cię jeszcze raz.

Fabiola uśmiechnęła się pod nosem. Tego właśnie chciała. Żeby dyszał z pożądania. Odwróciła się i spojrzała z góry na Petrejusza, po czym przycisnęła jego twarz do swojego krocza.

– Widzę, że na ołtarzu masz statuetkę Mitry.

– Co? – jego głos był stłumiony.

– Boga-wojownika.

Odsunął się od niej, spoglądając w górę lekko zirytowany.

– Stałem się jego wyznawcą podczas kampanii w Azji Mniejszej. I co z tego?

Fabiola wiedziała, że musi poprowadzić tę rozmowę ze szczególną ostrożnością. Milczała przez chwilę. Potem pochyliła się i delikatnie przewróciła legata na plecy, żeby wziąć w dłoń jego wyprostowanego członka.

Petrejusz nie protestował i rozluźnił się zadowolony.

Zapadła cisza, a po chwili Fabiola wspięła się na łóżko i dosiadła go w pozycji na jeźdźca. Dochodząc, Petrejusz dyszał w ekstazie i chwycił mocno jej biodra. Potem opadł z powrotem na prześcieradło i zamknął oczy.

Przekonana, że zaspokojony legat jest bardziej podatny na manipulację, Fabiola zdecydowała się zaryzykować.

– Słyszałam, że wyznawcy Mitry odnoszą się do siebie z wielkim szacunkiem. Pomagają sobie, gdy pojawi się taka potrzeba.

– To prawda. Pomagamy sobie w miarę możliwości – odrzekł sennym głosem.

– A jeśli... sytuacja jest trudna, a okoliczności niesprzyjające?

– Wtedy pomoc bywa nawet bardziej potrzebna.

– Większość z was to żołnierze? – zapytała Fabiola, zmieniając taktykę.

– Tak.

– Ale nie wszyscy?

– Nie, nie wszyscy – teraz wydawał się trochę zdezorientowany. – Wyznawcami Mitry zostają ludzie z różnych środowisk i różnych profesji. Zdarzają się nawet niewolnicy. Wszyscy jesteśmy równi przed bogiem.

Grunt przygotowany. Nadszedł czas, żeby uderzyć.

– Ja ci dzisiaj pomogłam... – powiedziała cicho, układając głowę na jego piersi.

Legat zaśmiał się.

– To prawda. Bardzo mi pomogłaś.

– Czy zatem ty pomożesz mi?

– Oczywiście – odparł rozbawiony. – Czego pragniesz? Pieniędzy? Sukni?

Fabiola zacisnęła pięści, licząc na to, że podstawowy dogmat honorowy wyznawców Mitry, o którym Sekundus opowiadał jej tyle razy, będzie też ważnym elementem systemu wiary wyznawanej przez Petrejusza. Nie dowie się jednak tego, jeżeli nie spróbuje.

– Potrzebuję czegoś więcej – urwała, czując, że drżą jej ręce. – Muszę mieć list żelazny i ochronę wojska podczas drogi na północ.

Legat uniósł się szybko na rękach, teraz już w pełni rozbudzony.

– Co powiedziałaś?

– Byłam pierwszą kobietą, której dane było zobaczyć mitreum w Rzymie. Tam stałam się wyznawcą Mitry.

– Nic takiego nie mogło się zdarzyć – Petrejusz mówił niepewnie. – Wiem, że prowincje są trochę zapóźnione, jeśli chodzi o nowości... Ale to? Kto na to pozwolił?

– Sekundus – odparła. – Jednoręki weteran, który był z mną, gdy twoi żołnierze nas uratowali.

– Ten biedny kaleka? – szydził. – Wygląda na to, że ma pomysły, które wykraczają poza jego uprawnienia. Czy liczy na to, że dzięki temu zaciągnie cię do łóżnicy?

Mogłam się tego spodziewać, że człowiek o statusie Petrejusza będzie patrzył z góry na kogoś tak niskiego stanu, jak Sekundus.

– Nic z tych rzeczy – powiedziała stanowczo. – I bez względu na to, co sobie roisz, pozwolił mi wejść na ścieżkę. Jestem teraz *corax*, co sprawia, że stałam się twoją siostrą w wierze.

– Zaraz mi powiesz, że on jest ojcem świątyni – zadrwił legat.

– Tak właśnie jest – odrzekła pewnie. – I moim przewodnikiem.

Nozdrza Petrejusza zadrgały, ale pozwolił jej skończyć to, co miała do powiedzenia, nie przerywając.

– Wypiłam *homa* i stałam się krukiem – powiedziała cicho. – Miałam wizję, w której widziałam ocalałych żołnierzy armii Krassusa. Sekundus twierdzi, że ta

wizja została zesłana przez samego Mitrę.

– Czekaj. To dla mnie trochę za dużo jak na jeden raz – Petrejusz przejechał dłonią po krótko przyciętych włosach. Wstał i podszedł do wysokiego stojaka z brązu, na którym stał dzban z wodą. Pochylił się i jednym ruchem energicznie zmoczył zimną wodą głowę i szyję. Potem jeszcze raz. I jeszcze. Następnie wytarł się tkaniną z drewnianego stojaka i założył czystą szatę.

Fabiola siadła na łóżku i cierpliwie czekała.

– Zacznij od początku – rozkazał, siadając obok niej. – Opowiedz mi, jak właściwie spotkałaś tego Sekundusa.

Fabiola starała się niczego nie komplikować, powtarzając w większości to, co już mówiła, ale dokładnie opisała okoliczności spotkania weterana na schodach świątyni Jowisza w Rzymie. Opis tego, jak Sekundus przybył jej z pomocą, ograniczyła zaledwie do wspomnienia, że działo się to przy okazji zamieszek wywołanych śmiercią Klodiusza. Nie było sensu opowiadać legatowi o wszystkim, uwzględniając też wątek dotyczący Scewoli i *fugitivarii*.

– To, co mówisz, jest bardzo poruszające – stwierdził Petrejusz, gdy skończyła. – Ale uratowanie życia pięknej kobiecie nie uprawnia go jeszcze do tego, żeby zaakceptować cię jako jedną z nas. – Twarz legata stężała. – Powiedz mi prawdę.

To była ta chwila, gdy miały się zadecydować jej losy.

– Powiedziałam. Większość moich ochroniarzy zginęła na długo przed tym, jak przybyli weterani – opowiadała Fabiola, skromnie opuszczając wzrok. – Musiałam się obronić albo zaakceptować, że zostanę zgwałcona na miejscu. Chyba pomogli mi bogowie, bo udało mi się zabić trzech lub czterech napastników.

– Na Jowisza! – wykrzyknął legat. – Czy ktoś szkolił cię w walce na miecze?

– Nie – patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. – Czasami obserwowałam ojca i braci, jak sparowali na podwórku naszego *domus*. Myślę, że to był akt czystej desperacji.

Teraz legat popatrzył na jej smukłe ramiona z uznaniem, którego wcześniej nie widziała.

– Sekundus mówił, że rzadko widywał taką odwagę nawet na polu bitwy – zakończyła pewnie.

– Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, nie jestem zaskoczony – zgodził się żywiołowo Petrejusz. – Gdybyśmy mieli takich żołnierzy jak ty, nie musielibyśmy się obawiać Cezara.

Fabiola zaczerwieniła się w reakcji na jego słowa.

Potem jednak Petrejusz dokładnie przepytował ją z praktyk religijnych i rytuałów mitraizmu. Słuchał uważnie jej odpowiedzi, nie okazując emocji. To sprawiło, że denerwowała się jeszcze bardziej, ale spokojnie i rzeczowo, niespiesznie odpowiadała na wszystkie pytania.

Gdy legat skończył pytać, nastąpiła długa cisza.

– Dużo wiesz o mitraizmie – przyznał. – O tych rzeczach powinien wiedzieć tylko praktykujący wyznawca.

Poczuła falę ulgi, ale okazało się, że to jeszcze nie koniec.

– Może jakiś stary kochanek próbował zaimponować ci, ujawniając tajemnice Mitry? – zaryzykował strzał na ślepo i zmrużył oczy. – Jeśli mnie okłamujesz...

– Mówię prawdę – odrzekła Fabiola, najspokojniej jak potrafiła.

Petrejusz oparł podbródek na złożonych rękach i bębnił palcami o policzek.

Jest trudnym przeciwnikiem. Lepiej nie mieć takiego wroga, ale już zaryzykowała i nie miała innego wyjścia.

– Zapytaj Sekundusa – powiedziała w końcu Fabiola. – Ojciec świątyni nie może kłamać w takiej sprawie.

Fabiola zadrżała na myśl o tym, że opowieść Sekundusa może różnić się od tego, co właśnie wyznała. W ten sposób przekona się, jak silna jest jego wiara w nią.

Legat wezwał jednego z legionistów straży stojących przed namiotem, nakazując mu sprowadzić jednorękiego towarzysza Fabioli.

Zapadła niezręczna cisza. Czekali. Gdy Fabiola zdradziła, kim jest, Petrejusz czuł się dość niezręcznie z tym, co wyczyniali w łożu. A obawiając się, że Sekundus ujawni prawdę na temat tego, co naprawdę wydarzyło się w mitreum, Fabiola nie była w stanie prowadzić lekkiej konwersacji o niczym. Skorzystała z okazji, aby się umyć, ubrać i związać włosy. Sekundus oczywiście niechybnie wyczuje, co tu zaszło, ale i tak chciała wyglądać możliwie niewinnie.

Oczywiście legat był kuty na cztery nogi i nie zamierzał rozmawiać z Sekundusem w jej obecności. Gdy po dłuższej chwili legionista powrócił, informując o wykonaniu rozkazu, Petrejusz poprosił Fabiolę, żeby pozostała w sypialni. Mogła tylko być mu posłuszna.

Wkrótce usłyszała szmer głosów dochodzących z głównej części namiotu. Fabiola potrafiła rozpoznać głos Sekundusa, który najwyraźniej odpowiadał na pytania. Mocno zdenerwowana uklękła przed kamiennym ołtarzem i przyglądała się

uważnie posądkowi Mitry. *Wybacz mi, wielki Mitro! Skłamałam w dobrej wierze na temat tego, co wydarzyło się w mitreum. Ale to nie znaczy, że w ciebie nie wierzę. Pomóż mi teraz, a poprzysięgnę być twoją wierną wyznawczynią na wieki.* Zdawała sobie sprawę, że składa ogromnie ważną obietnicę, ale wiedziała, że znajduje się w bardzo trudnej sytuacji. Jeśli wersja Sekundusa nie zgodzi się z tym, co powiedziała legatowi, będzie miała więcej do czynienia z Orkusem, bogiem podziemi, niż z Mitrą. Legat równie dobrze może ją zabić za to, czego się dopuściła.

Gdy Petrejusz wrócił do pomieszczenia, ciągle jeszcze modliła się cicho.

Jego głos sprawił, że podskoczyła.

– Sekundus jest prawym człowiekiem – powiedział. – I nie kłamie.

W gardle Fabioli uformowała się gęsia skóra. Odwróciła się w jego stronę.

– Ja też nie kłamie – szepnęła, niemal pewna, że Sekundus ją potępił.

– Pater wszystko potwierdza – Petrejusz uśmiechnął się. – Jest przekonany, że wizję zesłał ci Mitra.

– Więc mi wierzysz?

– Tak – odparł niemal serdecznym tonem. – Udzielę ci pomocy, o jaką prosiłaś. Bóg by tego chciał.

Fabiolaomal nie zemdląła. Ryzyko się opłaciło.

Petrejusz stanął tuż za nią. Czuła jego gorący oddech na karku.

– Nigdy wcześniej nie kochałem się z innym wyznawcą Mitry – powiedział.

Fabiola zamknęła oczy. *Cena za moją wolność jest wysoka – pomyślała z goryczą. – Czy już zawsze tak będzie?*

Petrejusz objął dłońmi jej piersi i przycisnął biodra do pośladków.

Ręka Fabioli powędrowała do jego krocza. Zanim nadejdzie świt, czeka ją jeszcze sporo pracy.

Petrejusz nawet nie zapytał, dokąd zmierza Fabiola. Oczywiście jego ludzie i tak wszystko mu opowiedzą po powrocie, ale musiała przyznać, że ten wspaniałomyślny gest był przykładem niezwykłego uhonorowania zasad kultu Mitry. Petrejusz udzielił jej pomocy po prostu dlatego, że o nią poprosiła. Uśmiechnęła się krzywo. *Cóż... Pomoc Petrejusza nie była taka znowu bezinteresowna.* Okazał się wymagającym kochankiem, ale pokazał też, że należy do grona osób, które szanują jedną z głównych zasad wiary. Fabiola znała mężczyzn i wiedziała, że nie wszyscy potrafiliby zachować się tak jak on. Pomimo że Petrejusz był przecież jednym

z dowódców Pompejusza, życzyła mu jak najlepiej.

Wydawało się jak najbardziej naturalne, że w drodze na północ towarzyszy jej *optio* i pół centurii legionistów, którym zawdzięczali przerwanie pościgu przez *fugitivarii*. Już pierwszej nocy bardzo cieszyła się, że może podróżować z tak liczną ochroną, o którą zadbał Petrejusz. W miarę jak oddalali się od Rzymu, natykali się na coraz więcej dowodów upadku praworządności. Regularnie spotykali grupy dezertów, bandytów i ubogich chłopów. Każdy mógł ich zaatakować i zamordować, gdyby kontynuowali podróż w czworo na własną rękę. Żadna z tych grup nie była jednak dość silna, żeby uderzyć na oddział składający się z czterdziestu dobrze uzbrojonych żołnierzy. Dzięki temu przez ponad dwa tygodnie wędrowali bez żadnych przeszkód.

Podróżowali rzymską drogą wzdłuż wybrzeża, a nie przez alpejskie przełęcze. Wkrótce przekroczyli granicę z Galią Zaalpejską. Fabiola po raz pierwszy w życiu opuszczała Italię i teraz jeszcze bardziej cieszyła się z tego, że może liczyć na ochronę wojska. Choć ta kraina była stosunkowo ludna, pełna wsi i przysiółków, bez wątplenia była to ziemia obca. Nawet obecność stałych punktów kontrolnych armii nie rozwiewała jej obaw. Większość Rzymian zdawała sobie sprawę, że ludność Galii stanowią ludzie z różnych plemion, które gotowe są zbuntować się w odpowiedzi na każdą prowokację. A posępni mieszkańcy osiedli i wsi, przez które przechodzili, wydawali się Fabioli co najmniej negatywnie nastawieni, a może i wręcz niebezpieczni. Długowłosi, wąsaci mężczyźni, ubrani w luźne spodnie i wzorzyste tuniki obwiązane pasami, bardzo różnili się wyglądem od Rzymian. Ich nadgarstki i szyje zdobiły srebrne bransolety, a każdy z nich był uzbrojony w długi miecz, sześciokątną tarczę i włócznię. Nawet kobiety nosiły przy pasie noże. Nikt nie mógł mieć wątpliwości, że Galowie byli waleczni i niepokorni.

Fabiola nie miała przecież możliwości, żeby tłumaczyć im, że jest byłą niewolnicą, dobrze im życzy i nie ma żadnego wpływu na agresywną politykę zagraniczną Rzymu. W oczach mijanych Galów była tylko kolejną bogatą Rzymianką.

Optio wyjaśnił jej, że w tych okolicach nie toczyły się właściwie żadne walki. Większa część Galii Zaalpejskiej znajdowała się pod kontrolą Republiki od ponad wieku i na szczęście tutejsze plemiona nie odpowiedziały na wezwanie Wercyngetoryksa. Jednak w miarę posuwania się coraz dalej na północ, gdy znaleźli się na terenach objętych powstaniem, Fabiola czuła coraz większy niepokój. Legioniści z mijanych placówek i miast garnizonowych mówili, że Cezar przegrał

bitwę pod Gergowią i stracił setki ludzi. Tego rodzaju wieści nie poprawiały jej humoru. Ośmielony tym zwycięstwem Wercyngetoryks poprowadził swoje wojska do warownego miasta o nazwie Alezja i tam oczekiwał na przybycie arcywroga.

Żadna ze stron nie przebierała w środkach, walcząc o życie.

Pomimo otwartej niechęci ze strony *optio* Petrejusza Fabiola nalegała na kontynuowanie podróży. *Optio* miał wykonywać jej polecenia. Taki dostał rozkaz. Nie miała zamiaru pozwolić, żeby o tym zapomniał. W pewnym przygranicznym mieście wybrała się z Sekundusem do wyroczni i jej wróżby okazały się obiecujące. Czy proroctwa były prawdziwe, czy fałszywe... tylko zwiększyły jej determinację. Na tym etapie podróży wiedziała już, że nie ma odwrotu. Upór i duma nie pozwoliłyby jej na wycofanie się. Ale nie chodziło tylko o to. Gdyby Cezar przegrał bitwę pod Alesią, wszystkie jej plany spalą na panewce. Wtedy młodej kobiecie będzie wszystko jedno, co się z nią stanie. Jej matka nie żyje. Romulus prawdopodobnie też zginął, więc równie dobrze ona też może odejść z tego świata.

Jeśli jednak Cezar odniesie zwycięstwo, jego ambicje nie będą miały granic. Nie tylko jego, ale i Brutusa. Co więcej, obywatele Rzymu będą go sławić. Stłumienie przez Pompejusza zamieszek w Rzymie trudno porównać do zwycięstwa nad setkami tysięcy groźnych wojowników. Mieszkańcy docenią zmiążdżenie Galów przez Cezara ze względu na historyczne zaszłości i zakorzeniony w sercach Rzymian lęk przed sąsiadami z północy. Gdy ponad trzy stulecia wcześniej Galowie splądrowali Rzym, wydarzenie to zostawiło trwały ślad na psychice mieszkańców miasta, odziedziczony przez ich potomków. Cezar *musi* wygrać, bo wtedy Fabiola będzie mogła kontynuować swoją misję, mającą na celu odkrycie tożsamości ojca i odnalezienie Romulusa.

Dlatego niestrudzenie parli na północ.

Do tej pory zasadzka Scewoli była najbardziej przerażającym zdarzeniem w tej podróży. Przynajmniej dopóki nie zbliżyli się do Alezji. Obserwowali okolicę z rosnącym przerażeniem, mimo że obrazy przed ich oczyma nie stanowiły żadnego fizycznego zagrożenia. Na wiele mil przed pierwszymi rzymskimi posterunkami mijali tylko osmalone kikuty domów w spalonych wioskach i wypalone pola uprawne. W rowach i na polach leżały całe stada martwego bydła i owiec. Ich rozdęte truchła rozkładały się pod wpływem promieni słonecznych wczesnego lata. W takich warunkach oddychanie przychodziło ludziom z trudem. Członkowie plemion Wercyngetoryksa musieli ciężko pracować, żeby wykonać swoje zadanie. Wódz Galów chciał pozbawić legiony Cezara żywności i zaopatrzenia. Jedynymi żywymi

stworzeniami były dzikie zwierzęta i ptaki. W wioskach nie napotykali żadnych ludzi – wszyscy albo uciekli, albo dołączyli do Wercyngetoryksa w Alezji. To był dowód świadczący o zażartej walce i determinacji Galów, bo przecież jaki wódz pozbawia swoich ludzi dachu nad głową i całego dorobku? Czy tego rodzaju decyzji nie podejmuje się tylko w ostateczności? Teraz wielkie połacie ziemi Galów leżały odłogiem, co oznaczało, że już wkrótce, gdy przyjdzie zima, zapanuje tu głód. Jeszcze długo po tym, jak odejdą stąd żołnierze obu stron, niewinne kobiety i dzieci będą umierać z powodu braku pożywienia. Ta perspektywa mroziła krew w żyłach.

Fabiola nie mogła nic na to poradzić. Jedna kobieta nie jest w stanie zmienić agresywnego charakteru Republiki czy jednego z jej najlepszych generałów. Jak zwykle poczuła, że górę bierze jej pragmatyzm. Nie mogła pomóc mieszkańcom Galii. Zrobi przynajmniej coś dla dobra tych, którym może pomóc. Na przykład dla swoich niewolników. Ponadto obiecała sobie, że odnajdzie chłopca, który znalazł się na jej ziemi, ścigany przez Scewolę. Wciąż powracały do niej obrazy tego, co uczynił z nim *fugitivarius*.

Fabiola nie miała wiele czasu, żeby o tym rozmyślać.

Na zdeptanych polach leżały jeszcze bardziej wyraziste dowody brutalności wojny prowadzonej przez Cezara. Zanim dotarli na odległość kilku mil od Alezji, oglądali całe tysiące martwych i umierających Galów. Byli to ludzie, którzy albo uciekli z pola walki, albo ranni ewakuowani przez swoich towarzyszy, by następnie umrzeć samotnie w rowach i na polach, gdy nie mogli już nadążyć za oddziałem. Na szczęście nie spotkali żadnego Gala zdolnego do walki, ale *optio* stał się tak ostrożny, że zdecydowanie odmówił dalszego eskortowania grupy Fabioli. Czerwony na twarzy ze wstydu, ale i mocno zdeterminowany upierał się, że Fabiola powinna ukryć się z połową jego ludzi w dużym zagajniku kilkaset kroków od drogi. Mogła tylko patrzeć sfrustrowana, jak *optio* wyruszył na czele reszty legionistów na rozpoznanie.

Nie zniknął na długo.

– To już koniec! – krzyknął radośnie, gdy tylko znalazł się na tyle blisko, aby jego głos był słyszalny. – Cezar zwycięski!

Ukryci razem z nią żołnierze zaczęli szeptać podekscytowani.

Fabiola odetchnęła z ulgą, a Sekundus uśmiechnął się od ucha do ucha. Niecierpliwie czekali na zbliżającego się oficera.

– Wygląda na to, że bitwa skończyła się wczoraj. Legiony Cezara wzniosły ciągnące się wiele mil wokół miasta umocnienia, żeby uniemożliwić oblężonym wyrwanie się z twierdzy – zamilknął na chwilę. – I drugi, zewnętrzny, żeby

niemożliwić połączenie sił obrońców z tymi, którzy przyszedli z odsieczą. Na wszystkich bogów! Szkoda, że tego nie widzieliście – machał rękami z podniecenia.

Fabiola nie potrafiła ukryć zaskoczenia.

– Byli atakowani przez dwie armie?

Optio pokiwał głową energicznie.

– Cezar miał dziesięć legionów, ale i tak przeciwników musiało być przynajmniej pięć razy więcej. Wszędzie leżą tysiące martwych Galów. Mówią, że na północno-wschodnim odcinku jest jeszcze gorzej.

– To tam zdecydowały się losy bitwy? – zapytał Sekundus, na którego twarzy widać było żywe zainteresowanie.

– Tak. Przeciwnik prawie przedarł się tam przez umocnienia. Cezar wysłał posiłki prowadzone przez Decimusa Brutusa, ale mało brakowało, a zostaliby całkiem rozbici.

Fabiola zbladła.

– Wtedy Cezar zebrał resztkę żołnierzy i odwrócił losy bitwy!

– Jesteś człowiekiem Pompejusza, pamiętasz o tym? – zażartował Sekundus.

– Po prostu wykonuję rozkazy. Jak każdy – mruknął *optio*. – To nie znaczy, że nie potrafię docenić talentów militarnych wielkiego generała.

– Czy Brutus żyje? – przerwała mu Fabiola.

– Tak, pani. Pytałem o to.

– Niech bogom będą dzięki! Czy jest na tyle bezpiecznie, żebyśmy mogli ruszyć w dalszą drogę?

– Tak. Mogę cię do niego doprowadzić. Ale musielibyśmy przejść przez pole bitwy – skrzywił się.

– Prowadź – Fabiola, pewna, że widziała już najgorsze, nie była w stanie dłużej czekać. Musiała spotkać się z Brutusem.

Optio nie ruszył się. Nie był przekonany do tego pomysłu.

– Niebezpieczeństwo minęło – powiedziała cicho z wyrzutem. – Sam tak powiedziałeś.

Młodszy oficer spojrzął na Sekundusa, który wzruszył ramionami. Spróbował jeszcze raz.

– To nie są widoki dla kobiet.

– Ja to osądzę.

Optio, przyzwyczajony już do tego, że Fabiola zawsze stawia na swoim,

zasalutował energicznie. Dał swoim ludziom znak, żeby się zbierali, po czym poprowadził kolumnę w stronę drogi.

Pokonali niskie wzniesienie i znaleźli się na terenie, gdzie rozegrała się bitwa. Nad polem bitwy wisiała dziwna, niespotykana cisza. Zdecydowanie odmienna od pełnego szaleństwa chaosu, który musiał panować tu poprzedniego dnia. Ziemię obsiadły chmary kruków i wron, setki tych ptaków kołowały w powietrzu, wydając z siebie ostre dźwięki. Niczym las niskich, gołych drzew z ziemi sterczała niezliczona liczba włócznie, a wszelkie luki między takimi „zagajnikami” wypełniały niższe, zakończone pierzastymi lotkami „trawy”.

Jednak największe wrażenie zrobiła na niej liczba zabitych.

Fabiola była śmiertelnie przerażona. Nic nie mogło przygotować jej na to, co zobaczyła. Rozlew krwi na arenie to była przy tym tylko niewinna igraszka. Na ziemi leżało więcej ciał, niż wydawało się możliwe. Śmierć zebrała tu swoje żniwo w nierealnej skali. Z taką ilością zwłok nie poradzą sobie nawet ogromne stada ptaków. I tym razem patrzyła na zwłoki nie tylko Galów, ale i Rzymian. Ciała leżały jedno na drugim i mogłyby nawet sprawiać wrażenie obejmujących się w przyjacielskich uściskach nieprzytomnych pijaków po jakiejś suto zakrapianej libacji, gdyby nie krew. Była wszędzie. Na twarzach, na których zastygł grymas bólu. Wyciekała z niezliczonych ran. Oblepiała porzucone miecze i włócznie. Małe kałuże zakrzepłej krwi tworzyły się wokół żołnierzy, którzy wykrwawili się na śmierć. Trawa została stratowana i wdeptana w ziemię, pieniącą się od czerwonego, kleistego błota, które przylepiało się do sandałów legionistów. Ze wszystkich stron dochodziło jednostajne brzęczenie chmar much, które zbierały się na każdym odsłoniętym kawałku ludzkiego mięsa.

Między trupami przemieszczała się metodycznie grupa legionistów. Ci ludzie zbierali broń i szukali kosztowności. Czasami zdarzało się, że jakiś wojownik wroga jeszcze żył. Nikt nie myślał jednak o tym, aby go oszczędzić. Jedynymi, którzy pozostali na placu bitwy, byli ciężko ranni, niezdolni do ucieczki. W takim stanie zatem żaden z Galów nie nadawał się na niewolnika. Od czasu do czasu w słońcu błyskały unoszone miecze. Krótki zdławiony okrzyk i było po wszystkim.

Stosy ciał wkrótce uniemożliwiły niewolnikom niesienie lektyki. Fabiola musiała wysiąść. Osłoniła nos ręką, starając się nie wdychać za dużo powietrza naraz. I tak od dłuższego czasu nie mogła pozbyć się z nosa i gardła odoru gnijącego mięsa, który sprawiał, że z trudnością powstrzymywała wymioty. Mogła tylko wyobrażać sobie, jak wyglądać będzie pobojo wisisko za dwa czy trzy słoneczne dni.

Optio szybko nakazał, żeby część żołnierzy szła przed Fabiolą i torowała drogę. Marsz wciąż jednak przypominał pokonywanie świata podziemia. Fabiola nie zamierzała jednak z niczego rezygnować, gdy była już tak blisko. Wreszcie miała Brutusa na wyciągnięcie ręki. Przy nim będzie bezpieczna.

Wkrótce zobaczyli rzymskie wały, które imponującą potęgą odciągnęły uwagę Fabioli od otaczających ją dowodów prawdziwej jatki. Nie można było nie podziwiać skali budowli inżynierskich, a przecież wszystkie prace wykonano dwa razy, gdyż podobne wały ciągnęły się również od strony twierdzy.

Fabiolę zdumiewała determinacja Cezara. Był naprawdę niesamowicie uzdolnionym generałem, tak jak opisywał Brutus. Niebezpieczny człowiek. Ale czy gwałciiciel?

Na dużym płaskowyżu ponad fortyfikacjami ziemnymi znajdował się obiekt, który stał się celem Cezara: Alezja.

Próba dostania się do środka z jakiegokolwiek strony mogła wydawać się zadaniem samobójczym, ale obrona tych wałów... była równie trudna.

Optio nie przesadzał, gdy mówił o rzezi. W tym miejscu leżało jeszcze więcej ciał. Fabiola czuła, że żołądek podchodzi jej do gardła, i naprawdę walczyła, żeby nie zwymiotować. Czy to tak wygląda Hades? Czy pod Carrhae było równie źle?

Nagle do jej uszu dobiegły krzyki rannego.

Niedaleko niej grupa legionistów zgromadziła się wokół jakiejś jęczącej, chudej postaci. Starca ubranego w prostą szatę.

Fabiola patrzyła z przerażeniem na przebieg wydarzeń. Mężczyzna był nieuzbrojony i prawdopodobnie po prostu miał pecha, że znalazł się w pobliżu uzbrojonej grupy.

Ostrza włóczyń wycelowane w człowieka wbijały się w niego tylko odrobinę, tworząc nowe, płytkie rany i prowokując starca do krzyków. Podbite ciekami sandały lądowały na nieosłoniętej skórze. Fabioli wydawało się nawet, że w którymś momencie usłyszała trzask łamanej kości w ramieniu starca. Nawet jeśli odwróci głowę i tak będzie cierpieć. Teraz bowiem w jej uszach dźwięczały trudne do zaakceptowania okrutne śmiechy napastników. Spojrzała raz. Spojrzała drugi. Tortury trwały tak długo, aż w końcu żołnierze się znudzili. Jeden z nich uniósł wysoko gladius. Drugi też chwycił za miecz.

Fabiola ruszyła w ich kierunku jakby bez udziału świadomości. Przeciskając się przez szereg zaskoczonych legionistów, którzy ją ochraniaли, krzyknęła na cały głos.

– Stać!

– Wracaj, pani – zawołał Sekundus za jej plecami. – Nie możesz się mieszać.

Zignorowała weterana, nie mogąc znieść myśli o wykonanej z zimną krwią egzekucji. Wydawało jej się, że coś takiego mogło zdarzyć się Romulusowi. Poza tym miała silne przeczucie, że powinna interweniować.

Jej krzyki odniosły pożądaný efekt. Kilku legionistów zamarło i rozejrzało się, szukając źródła krzyku. Po chwili, z obleśnymi uśmieshami na ustach, tręcali swoich towarzyszy.

Ignorując požądanie widoczne w ich oczach, Fabiola podeszła bliżej.

Onieśmielony jej pewnością siebie mężczyzna stojący najbliżej zrobił kilka kroków do tyłu. Jednak prowodyr tej grupy – mężczyzna wyglądający na zawziętego żołnierza, ubrany w pordzewiałą kolczugę i poobijany hełm z brązu, zwieńczony zwykłą kitą z końskiego włosia – nie ruszył się z miejsca. Zamiast tego na widok pięknej młodej kobiety oblizal sugestywnie wargi. Jak śmiała przerwać im zabawę?

Fabiola od razu przeszła do ofensywy. Może uda się jej ich zawstydzić?

– Jakiej to odwagi wymaga torturowanie w ten sposób starego człowieka? – syknęła. – Czy nie macie już dość zabijania?

Na jej pytanie zareagowali drwiącym śmiechem.

Przyglądając się twardym twarzom pokrytym bliznami, Fabiola zdała sobie sprawę, że ma do czynienia z weteranami Cezara. Po sześciu latach niekończącej się kampanii w Galii ci ludzie znali tylko wojnę i śmierć.

Po chwili obok niej stanął Sekundus w towarzystwie Sekstusa i *optio*. Wszyscy trzej starali się trzymać ręce z dala od rękojeści mieczów, żeby nie sprowokować niepotrzebnie żołnierzy.

– Kim ty, kurwa, jesteś, żeby się na nas wydzierać? – przywódca grupy zażądał odpowiedzi. – I co cię to w ogóle obchodzi?

Jego towarzysze uśmieskali się, a jeden z nich pozwolił sobie uwiarygodnić słowa dowódcy, kopiąc ofiarę.

– Jak śmiesz odzywać się do mnie w taki sposób? – wrzasnęła Fabiola. – Każę was wszystkich wychłostać!

Jej wybuch spotkał się z całkowitym brakiem zrozumienia.

– Dlaczego nie mielibyśmy go zabić? – zapytał chudy żołnierz.

Fabiola przyjrzała się ofierze i po chwili zrozumiała, że w gniewie przeoczyła ważne szczegóły. Chociaż szata starca była wyraźnie podniszczona, na jego pasie wisiał sierp oraz skórzany woreczek. Teraz był otwarty, a jego zawartość znajdowała

się na ziemi. Suszone zioła leżały wśród drobnych kamieni, wypolerowanych w konsekwencji wieloletniego używania. Obok zauważyła małe kości myszy. Krótki sztylet z plamami krwi na zardzewiałym ostrzu stanowił ostateczny dowód. Teraz Fabiola zrozumiała, dlaczego żołnierze zachowywali się tak brutalnie.

Niewielu ludzi wywoływało taki strach w sercach Rzymian, jak galijscy druidzi. Członkowie tej grupy przekazywali z pokolenia na pokolenie wielką wiedzę przodków, byli czczeni i szanowani, ale też nienawidzeni przez ludzi plemienia. Mówiło się, że sam Wercyngetoryks poległ na wróżbach jednego z druidów, który przepowiadał mu przyszłość.

– Widzisz? – odezwał się chudy legionista. – To cholerny druid.

– Już niewiele mu pozostało – zażartował przywódca grupy.

Roześmiali się.

Fabiola pochyliła się nad starcem i stwierdziła, że mimo iż większość jego ran była tylko powierzchowna, to druid długo nie pożyje. Spomiędzy zaciśniętych na brzuchu palców wypływały strużki krwi, które zabarwiały jego szatę. Za późno przyszła mu z pomocą. Jego rana była śmiertelna.

Gdy patrzyła na druida, wiedziała, że i on zdawał sobie z tego sprawę.

Uśmiechnął się do niej, całkowicie ją zaskakując.

– Niektóre z moich wizji były jednak prawdziwe – powiedział sam do siebie. – Piękna, kruczowłosa kobieta, która szuka zemsty.

Fabiola wybałuszyła oczy.

Stojący za nią Sekundus również od razu zdał sobie sprawę, że dzieje się coś dziwnego. Przez chwilę nikt się nie odzywał.

– Jesteś blisko jednego z ulubieńców Cezara – wychrypiął druid.

Przyglądający się tej scenie legionieści wymienili zaniepokojone spojrzenia. A więc istniało ryzyko, że groźby Fabioli się spełnią. Nie protestowali, gdy kobieta uklękła przy rannym starcu.

Fabiola była tyleż przerażona, co zaintrygowana tą sytuacją. Oto człowiek, który ma większą moc niż wszyscy szarlatani przed świątynią Jowisza w Rzymie razem wzięci. Tylko że umierał. Musiała się dowiedzieć, co wie, zanim będzie za późno.

Druid przysunął się do niej bliżej.

– Czy nadal się smucisz? – wyszeptał.

Mimowolny szloch wyrwał się z gardła Fabioli. Przytaknęła. *Matka. Romulus.*

Druid jęknął z bólu, a Fabiola instynktownie wyciągnęła dłoń, ściskając jego

sękatą, zakrwawioną rękę. Niewiele więcej mogła zrobić.

Słowa, jakie usłyszała, wstrząsnęły jej światem.

– Miałś brata. Żołnierza, który udał się na wschód.

Fabiola była bliska rozpaczki.

– Widziałeś go?

Skinął głową.

– W chaosie wielkiej bitwy z potężnym wrogiem, który prowadził do boju ogromne szare potwory.

Romulus był w mojej wizji! Fabiola poszukała wzrokiem Sekundusa.

Weteran uśmiechał się do niej rozpromieniony. Mitra naprawdę przez nią przemówił.

Ucieszona Fabiola próbowała się uspokoić.

– Czy on jeszcze żyje?

Jej pytanie zawisło w gorącym powietrzu. Pozostało bez odpowiedzi.

– Rzym powinien się lękać Cezara.

Ten komentarz został przywitany gniewnymi pomrukami. Legioniści ruszyli do przodu z obnażonymi mieczami. Jednak oczy starca już robiły się szkliste. Nie potrafił skupić wzroku.

– Czy Romulus żyje? – Fabiola zacisnęła palce na dłoni druida. Za późno. Druid zachrypiał i wydał ostatnie tchnienie. Jego ciało zwiotczało.

– No i dobrze, że zdechł... – warknął przywódca grupy. – Nasz generał jest jedynym człowiekiem, który może przewodzić Republice.

Odchrząknął i splunął, po czym ruszył w swoją stronę. Jego towarzysze podążyli za nim. Nic tu po nich. Jeśli będą się ociągać, komuś może przyjść do głowy pomysł, żeby ich ukarać. A odnalezienie niczym niewyróżniających się legionistów w tak licznej armii będzie prawie niemożliwe.

Fabiola nie dbała o to, co stanie się z legionistami. Opadła na ziemię nagle pozbawiona energii.

Nie pozna losów Romulusa.

Jak ma to wytrzymać?

Rozdział XX

Barbaricum



Barbaricum nad Oceanem Indyjskim, lato 52 r. p.n.e.

Romulus siedział w kucki nad ociosaną krawędzią drewnianego doku. Splunął ze złością do morza. Podróż na południe go postarzała. Wokół niebieskich oczu pojawiły się szare pierścienie z wyczerpania, a szczękę pokrył lekki zarost. Zapuścił długie włosy. Mimo że nie zdawał sobie teraz z tego sprawy, wyglądał... okazale. Może i jego wojskowa tunika była obdarta i brudna, ale wzrost, mocno umięśnione ramiona i nogi oraz obnażony gladius u pasa sprawiały, że ludzie woleli z nim nie zadzierać.

Tarkwiniusz oderwał wzrok od tłumu, który obserwował. Od razu zorientował się w nastroju Romulusa.

– Brennus sam wybrał swój los – powiedział cicho. – Nie mogłeś go zatrzymać.

Chłopak nawet nie zdziwił się, że haruspik czyta w jego myślach. Nie odpowiedział. Wpatrywał się w unoszące się na wodzie śmieci z mieszanką ciekawości i odrazy. Jak to zwykle bywa w dużym porcie, w basenie pływały gnijące głowy ryb, kawałki drewna, małe elementy zużytych sieci rybackich i przejrzałe owoce. Cała ta „śmietanka” kołysała się w pobliżu drewnianych kadłubów zacumowanych tu statków.

Ciepłe, słone powietrze wypełniały krzyki i nawoływania kupców, kramarzy, handlarzy niewolników i ich przyszłych klientów. Zaledwie kilkaset kroków od nich zaczynał się ogromny rynek, który stanowił podstawę istnienia Barbaricum. Mimo niewiarygodnie wysokich temperatur i dużej wilgotności na rynku zawsze tłoczyły się wielkie masy ludzi. Brodaci kupcy w turbanach sprzedawali z otwartych worków indygo, różne odmiany pieprzu i inne przyprawy. Dziesiątki mężczyzn, kobiet i dzieci – nago, jeśli nie liczyć łańcuchów – przebywały przez wiele godzin na

drewnianych podwyższeniach, wystawione do sprzedaży jak, nie przymierzając, bydło. Równiutkie stopy skorup żółwi szylkretowych były wyższe niż oglądający je ludzie. Polerowane kły w parach stanowiły niezbity dowód, że nie każdy słoń stawał się bestią wykorzystywaną na polach bitew. Na stojących na kozłach blatach prezentowano kawałki turkusów, lapis lazuli, agatów i innych kamieni półszlachetnych. Na rynku można było kupić jedwabne tkaniny, bawełnę w belach i arkusze drobno tkanego muślinu. To chyba właśnie tu rozsypała się zawartość rogu obfitości.

Jednak Romulusa i Tarkwiniusza najbardziej interesowały statki, które transportowały te wszystkie towary do Rzymu. Związane w grupy liczące dziesiątki, płytkie łodzie rybackie z małym pojedynczym masztem obijały się delikatnie o burty większych statków handlowych z ładnie zrefowanymi żaglami. Wiele typów jednostek Romulus widział po raz pierwszy, ale haruspik zdążył mu już opowiedzieć o felukach i typowych dla tych stron galerach. Tu i ówdzie stał jakiś smukły okręt z ostrym dziobem i łaćńskim żaglem. Uzbrojone załogi takich jednostek czujnie mierzyły się wzrokiem. To nie byli uczciwi przedsiębiorcy. Mimo że okręty te nie miały tarana z brązu ani kilku rzędów wiosł, ciche jednostki zwane *dau*, chcąc nie chcąc, przypomniały mu rzymskie triemy. Okręty wojenne.

To właśnie grupa ludzi z jednego z takich okrętów przyciągnęła teraz uwagę Tarkwiniusza.

Czy to miało w ogóle jakieś znaczenie? Po raz kolejny Romulus pozwolił, żeby żal i smutek otulił go niczym płaszcz. Krótco zastanawiał się, czy nie skoczyć po prostu do wody i pozwolić, żeby zamknęła się nad nim gładka, lśniąca od tłuszczu powierzchnia. Wtedy w końcu przestanie czuć się winny.

– To nie twoja wina, że zginął – powiedział cicho haruspik.

Słowa, które wypowiedział Romulus, pojawiły się zupełnie nieproszone nikąd, zaskakując jego samego.

– Nie... – splunął. – Twoja.

Tarkwiniusz odskoczył, jakby Romulus go uderzył.

– Wiedziałeś – wydarł się Romulus, nie zważając, że zwraca na siebie uwagę. Kilku ludzi spojrzało w ich kierunku. – Od czasu tej nocy pod murami Carrhae, prawda?

– Ja... – zaczął haruspik, ale wiedział, że nic, co by powiedział, nie powstrzyma wściekłości Romulusa. Wściekłości, którą tłumił od czasu bitwy, gdy opuścili Brennusa i zostawili go na łasce wrogów.

– Mogliśmy pójść z Longinusen i dotrzeć do Eufratu – Romulus przycisnął pięści do głowy, z całego serca żałując, że tego nie zrobili. – Przynajmniej oni mieli szansę uciec. Ale powiedziałaś, że powinniśmy zostać. Więc zostaliśmy.

Z ciemnych oczu Tarkwiniusza bił smutek.

– A potem Brennus zginął, chociaż wcale nie musiał – Romulus zamknął oczy. Jego głos przeszedł w szept. – Mógł się ratować.

– I miał cię zostawić? – odezwał się Tarkwiniusz niskim głosem pełnym niedowierzania. – Brennus nigdy by tego nie zrobił.

Zapadła długa cisza. Widzowie wcześniej obserwujący całą scenę znudzili się i odwrócili głowy.

Nawet to było prawdopodobnie częścią planu Tarkwiniusza – Romulus pomyślał z goryczą. Niezwracanie na siebie uwagi zawsze było dobrym pomysłem. W tej jednak chwili Romulus nie martwił się tym, czy ktoś ich podsłuchuje.

Od czasu bitwy minęło kilka tygodni. Przez ten cały czas nurtowała Romulusa jedna myśl. Czy haruspik wiedział o wszystkim? A może wręcz wszystko zaplanował? Wszystko to, co się z nimi działo od czasu zaciągnięcia się do armii Krassusa? Czy zarówno on, jak i Brennus byli tylko niczego nieświadomymi pionkami, marionetkami, odgrywającymi mało ważne role w gotowym scenariuszu? To było pytanie, na które Tarkwiniusz wielokrotnie odmawiał odpowiedzi. Przybity smutkiem po heroicznej ofierze Brennusa Romulus po prostu... szedł przed siebie. Już przepłynięcie Hydaspesu było wielkim dokonaniem, nie mówiąc o całej długiej drodze na południe, która okazała się trudnym wyzwaniem. Bez hełmów i tarcz, kolczug, uzbrojeni tylko w *gladii* i topór Tarkwiniusza dwaj wycieńczeni żołnierze musieli podróżować głównie w nocy. Za dnia ich blada skóra i nieumiejętność posługiwania się lokalnymi językami byłyby za bardzo podejrzane i szybko stałoby się łatwym łupem nawet dla ciemnych wieśniaków, których wioski mijali. Obcy, tacy jak oni, mogli mieć przecież jakieś pieniądze lub inne skarby.

Na szczęście posiadane przez nich umiejętności wystarczyły, żeby od czasu do czasu zapolować lub ukraść tyle jedzenia, aby poruszać się, nie ściągając na siebie uwagi. Najtrudniejsze było unikanie wszelkich zamieszkanym terenów. Żyzne ziemie ciągnące się nad rzeką Indus, do której wpadał Hydaspes, były gęsto zaludnione. Większość osiedli i wiosek znajdowała się nad rzeką, która stanowiła główne źródło wody. Tymczasem oni nie mieli innej możliwości, jak tylko podążać z jej nurtem. Zrozpaczony Romulus nie miał pojęcia, w którą stronę należy się udać, a Tarkwiniusz wiedział tylko tyle, że powinni poruszać się na południe. *Periplus*, stara

mapa podarowana haruspikowi przez Olenusa, zawierała tylko podstawowe informacje na temat tej części świata. Musieli więc podróżować w nocy, przedzierając się przez wszystkie wioski w ciemnościach, ryzykując odkrycie każdego dnia i każdej nocy. Często psy w obejściach podnosiły alarm, zmuszając ich – niczym złodziei – do szybkiego odwrotu i czekania na kolejną szansę.

To było psychicznie i fizycznie męczące dla obu mężczyzn, dlatego pięć dni później zdecydowali, że w pobliskiej wiosce rybackiej ukradną małą łódź. Okazało się to wyjątkowo ryzykowną, ale i najbardziej opłacalną decyzją w czasie całej podróży. Żaden ze śpiących mieszkańców niczego nie zauważył, zanim nie było już za późno. Ci, którzy pierwsi spostrzegli kradzież, nie byli na tyle głupi, aby ich ścigać w kompletnych ciemnościach. Łódź miała parę prymitywnych wiosel, co sprawiało, że teraz mogli przemieszczać się wedle woli po całej rzece. Trzymali się jednak blisko brzegu, ryzykując wykorzystanie silnego prądu rzeki tylko wówczas, gdy w pobliżu pojawiały się inne łodzie. Dzięki poszarpanym sieciom, jakie znaleźli na pokładzie, mogli codziennie złowić jakieś ryby, zapewniając sobie prostą i monotonną dietę.

Nie rozmawiali wiele od czasu, gdy Romulus oskarżył Tarkwiniusza o to, że nie zapobiegł śmierci Brennusa. Uznając odmowę udzielenia odpowiedzi przez haruspika za przyznanie się do winy, Romulus milczał wytrwale, mimo że pod skórą gotował się z wściekłości, przerywanej tylko pytaniami o jedzenie i kierunek podróży. W rezultacie nie świętowali przybycia do egzotycznej metropolii noszącej nazwę Barbaricum, choć żaden z nich nie mógł zaprzeczyć, że osiągnęli ważny etap podróży. Od jakiegoś czasu nie czuli się dobrze w wielkich, obcych miastach.

Minął już ponad rok od czasu, gdy byli prowadzeni ulicami Seleucji, stolicy Partii. W przygranicznej Margianie, dokąd udał się Zapomniany Legion, leżało tylko kilka większych miast i osiedli, a osady, które mijali, podróżując z biegiem Indusu, rzadko były większe niż małe wioski rybackie. Barbaricum było jednak ogromną metropolią, chronioną przez potężne mury, wysokie wieże strażnicze i duży garnizon. Jak w Rzymie, większość populacji tego miasta składała się z biednych robotników i drobnych sklepikarzy, którzy zamiast w ciasnych *insulae*, mieszkali w prymitywnych parterowych lepiankach. Przyjaciele nie dostrzegli żadnego śladu miejskiej kanalizacji. Śmieci i ludzkie odchody leżały po prostu w stosach na pełnych błota ulicach.

Barbaricum brakowało również ogromnych świątyń, które znali z Rzymu, co nie zmienia jednak faktu, że miasto prezentowało się imponująco. Widzieli wiele bogato

urządzonych pałaców, domy dobrze sytuowanych arystokratów i kupców. Również ogromny, zadaszony rynek w pobliżu doków portowych przyciągał uwagę. Było na co popatrzeć. Ta część, którą obserwowali, stanowiła tylko niewielką część całego bazaru. Romulus z przejęciem przyglądał się różnym towarom, ofercie żywej i nieożywionej, ludziom i zwierzętom, które tu sprzedawano. Barbaricum było jednym z głównych ośrodków handlowych w Indiach, portem morskim, w którym można było kupić wszystko, a potem załadować na statek i przetransportować w dowolne miejsce na świecie. Mieli przed sobą niezbitą dowód, że Rzym jest tylko jakąś niewielką częścią świata, rozciągającego się daleko poza jego granicami.

Jakby na potwierdzenie tego wniosku ich oczom ukazała się długa kolumna tragarzy, którzy wyłonili się z labiryntu wąskich uliczek, otwierających się w kierunku przystani. Prowadził ich jakiś waźniak w krótkiej szacie przepasanej szerokim pasem i wymachujący bambusową laską. Przedzierał się przez gęsty tłum, docierając ostatecznie do burt dużego statku handlowego z dwoma masztami, który zacumował tuż przy głównym pirsie. Kolumnę ochraniała grupa strażników uzbrojonych we włócznie, miecze i okute żelazem drągi. Gdy tragarze zaczęli ustawiać pakunki na nabrzeżu, strażnicy ustawili ochronny szpaler. Nastąpiła krótka przerwa, gdy waźniak rozmawiał z kapitanem statku, po czym tragarze jęli mozolnie przenosić ładunek po wąskim trapie na pokład jednostki.

Romulus poczuł dreszcz podniecenia. Statki z Barbaricum wypływały na zachód, do Egiptu, tylko w czasie, gdy wiały pomyślne, monsunowe wiatry. Stamtąd już łatwo można byłoby przedostać się do Rzymu. Wystarczyło tylko teraz znaleźć kapitana, który pozwoli im dołączyć do załogi.

Tyle się wydarzyło, zanim znaleźliśmy się w tym miejscu – myślał Romulus. Przeżył z Tarkwiniuszem rzeź pod Carrhae i epicki marsz na wschód. Przetrwiał ataki innych legionistów i nie dał się unicestwić w bitwie z wojskami indyjskiego króla. Byli w miejscu, skąd powrót do domu naprawdę wydawał się możliwy. Pokonali niewiarygodnie długą drogę! Jednak cena, jaką trzeba było za to wszystko zapłacić, nie należała do najniższych. Najpierw niezliczone tysiące żołnierzy, potem rozbicie Zapomnianego Legionu. Zginął Feliks. Brennus też oddał swoje życie. Śmierć człowieka, który znaczył dla Romulusa więcej niż ktokolwiek kiedykolwiek – poza matką i Fabiolą – była dla niego prawdziwie druzgocącym ciosem. Miał wielkie poczucie winy. Dwóch przyjaciół odeszło na zawsze, aby dać mu szansę powrotu do Rzymu, a on nie mógł nic na to poradzić.

A haruspik przez cały czas wiedział, co stanie się z Brennusem. Co jeszcze

wiedział?

– Pogrywałeś sobie z nami. Traktowałeś jak zabawki – syknął Romulus. Żałował, że nie może cofnąć czasu. – Niech bogowie strącą cię do Hadesu!

– Może tam właśnie trafię – odpowiedział Tarkwiniusz, siadając koło niego. – To się jeszcze okaże.

– Żaden człowiek nie powinien umierać samotnie, walcząc bez nadziei na zwycięstwo.

Myśli Tarkwiniusza popłynęły do Olenusa i tego, w jaki sposób umarł jego mentor.

– Dlaczego nie? Jeśli taką śmierć wybierze...

Nieświadomy przeszłości haruspika Romulus obruszył się na takie słowa.

– Dla Brennusa lepiej byłoby umrzeć na arenie – już w chwili, gdy wypowiadał te słowa, wiedział, że to nieprawda. Życie gladiatorów zależało od kapryśnego i krwiożerczego tłumu obywateli zasiadających na trybunach. Gał umarł tak, jak chciał. W jasnym słońcu, z mieczem w ręku. Jako wolny człowiek, a nie niewolnik.

Nagle go olśniło. Jak mógł nie widzieć tego, co wprost biło z jasnych oczu Brennusa? Jego przyjaciel w pełni zaakceptował swój los. To było i tak więcej, niż można oczekiwać od większości ludzi. Kim był, żeby mu tego odmawiać? A oznaczało to, że złość na haruspika wynikała wyłącznie z jego poczucia winy i wstydu, który zżerał go od środka. Uświadomienie sobie tego okazało się dla Romulusa wielkim przełomem. Wzdychając głośno ze smutkiem, wypuścił powietrze. Teraz poczuł tylko pustkę wewnętrzną. Nieproszone, ale mile widziane łzy spływały mu po policzkach na wspomnienie wielkiego, odważnego Brennusa, który odszedł, aby on mógł żyć.

Tarkwiniusz przez chwilę wyglądał na zdezorientowanego, a potem położył rękę na ramieniu Romulusa, obejmując go niezręcznie w pół.

Takie okazywanie emocji było dla haruspika wielką rzadkością. Szlochający jak mały chłopiec Romulus dobrze o tym wiedział. Tarkwiniuszowi też brakowało Brennusa.

W końcu jego łzy wyschły. Uniósł wzrok.

Ich spojrzenia spotkały się na dłuższą chwilę.

Na twarzy Tarkwiniusza Romulus dostrzegł otwartość, jakiej nigdy nie miał okazji zaznać. Z ulgą stwierdził, że nie widzi zła.

Co ciekawe, Tarkwiniusz pierwszy odwrócił wzrok.

– Wiedziałem, że Brennus znajdzie swoje przeznaczenie w Indiach – przyznał niskim głosem. – To było zapisane w gwiazdach już pierwszej nocy, gdy się spotkaliśmy.

– Dlaczego mu nie powiedziałeś?

– Nie chciał wtedy tego wiedzieć. Chyba w ogóle nie chciał znać swojej przyszłości... – odpowiedział haruspik, spoglądając poważnie na Romulusa. – I ty to wiedziałeś.

Romulus się zaczerwienił.

– Doradzenie wam, żebyście dołączyli do oddziałów Longinusa byłoby wpływaniem na przeznaczenie – kontynuował Tarkwiniusz. – Czy naprawdę chciałbyś, żebym to zrobił?

Romulus pokręcił głową. Niewiele rzeczy gniewało bogów tak bardzo, jak próba zmiany ścieżki życia.

– I to nie ja jako pierwszy przewidziałem przyszłość Brennusa. Jego druid powiedział mu, co go czeka. Wiara w to proroctwo pomogła mu przetrwać tak długo w *ludus*. Pomogła również tobie i Astorii.

Wspomnienie pierwszego spotkania z wielkim Galem wciąż było żywe w pamięci Romulusa. Po zabiciu *murmillo*, który próbował zgwałcić kobietę Brennusa, Romulus ściągnął na siebie gniew Memora, brutalnego lanisty z *Ludus Magnus*. Za karę następnego ranka musiał stoczyć pojedynek na śmierć i życie. A nie miał nawet gdzie spać. Nie wiedział, co ze sobą zrobić. Brennus był jedynym wojownikiem, który zaoferował mu schronienie. Nic dziwnego, że wtedy narodziła się ich przyjaźń, która z czasem rozkwitała.

– Brennus życzył ci jak najlepiej. Ale oprócz tego pragnął tylko jednej rzeczy.

Romulus wiedział, co zaraz powie Tarkwiniusz.

– Chciał odzyskać honor, ratując swoich przyjaciół...

– Żeby zrobić to, czego mu się nie udało... – Romulus dokończył – ...z żoną i dzieckiem.

– Oraz wujem i kuzynem.

Romulus poczuł przypływ wiary.

– Tak więc bogowie pozwolili mu spełnić ostatnie życzenie.

– Tak sądzę.

Mężczyźni siedzieli jeszcze przez chwilę bez ruchu, wspominając Brennusa.

Jakaś ryba wyskoczyła wysoko w powietrze z basenu portowego, żeby złapać

muchę. Rozległ się głośny plusk, gdy wylądowała z powrotem w wodzie. Romulus zmarszczył nos, czując nieprzyjemną woń brudnej wody. Dziwne, ale przypomniał mu się jego poprzedni właściciel. Okrutny kupiec rzadko się kąpał. W tej chwili postanowił sprawdzić uczciwość Tarkwiniusza.

– A co się dzieje z Gemellusem?

Haruspik wyglądał na zaskoczonego.

– Jego ostatnie przedsięwzięcia biznesowe nie poszły za dobrze. Nic więcej nie wiem.

Usatysfakcjonowany tą prostą odpowiedzią Romulus odważył się na kolejne pytanie.

– Czy moja matka i Fabiola jeszcze żyją?

Losy jego rodziny były tematem, którego nigdy dotąd nie poruszał. Trzymał się jednak tej odrobiny nadziei i strzegł wspomnienia matki i siostry niczym źródła życia. Do tej pory bał się odpowiedzi haruspika.

Wyraz twarzy Tarkwiniusza zmienił się. Na smutniejszy i bardziej mroczny.

Romulus przygotował się na najgorsze.

– Fabiola żyje – powiedział w końcu Tarkwiniusz. – Tego jestem pewien.

Romulus poczuł przepelniającą go radość. Uśmiechnął się.

– A moja matka?

Haruspik pokręcił głową.

Euforia sprzed chwili zniknęła jak kamfora. W jej miejsce pojawił się smutek. Jednak informacja o śmierci matki nie zaskoczyła go całkowicie. Chociaż Welwinna nie była wcale stara i schorowana, gdy Gemellus sprzedał go do *ludus*, należała raczej do kobiet o drobnej posturze i delikatnej budowie ciała. Utrata dzieci mogła ją złamać. Bardzo trudne warunki, jakie panowały w kopalni soli, gdzie kupiec miał ją wysłać, uśmiercały nawet najsilniejszych ludzi w ciągu kilku miesięcy. Oczekiwanie, że kobieta taka jak ona przeżyje więcej niż cztery lata w takim piekle, nie miało żadnych logicznych podstaw. Romulus utrzymywał ją przy życiu w swojej wyobraźni, ponieważ ta wizja pomagała mu znosić codzienne trudy. Zamknął oczy i poprosił, aby bogowie zaopiekowali się jego matką w raj.

– Gdzie teraz jest Fabiola? – Romulus prawie zakrztusił się następnymi słowami, które wyszły z jego ust. – Ciągle jeszcze w domu publicznym?

– Nie.

– No to gdzie?

– Nie jestem pewien. Jeśli coś zobaczę w swoich wizjach, będziesz pierwszym, któremu o tym opowiem.

Romulus westchnął, zastanawiając się, dlaczego w jego wizji widział Fabiolę na forum. Będzie musiał poczekać na odpowiedź.

Ostry lament mew unoszących się nad nimi przypomniał im nagle o bliskości morza. Przez morze wrócą do domu. Romulus poczuł się na tyle dobrze, że zaczął snuć plany, które wcześniej wydawały się zupełnie nierealne.

Belki pomostu zaskrzypiały od ciężkich kroków. Ktoś się zbliżał.

Haruspik zmrużył oczy. Palce Romulusa powędrowały w kierunku rękojeści gladiusa. W tym egzotycznym porcie nie mieli żadnych przyjaciół – tylko potencjalnych wrogów. Szorstki głos, który usłyszeli, od razu im o tym przypomniał.

Romulus nie rozumiał słów, ale ton głosu mówiącego oznaczał tylko jedno. Kłopoty.

– Chce wiedzieć, co robimy na jego pomoście – wyszeptał Tarkwiniusz.

– *Jego pomoście?* – odezwał się Romulus z niedowierzaniem.

Haruspik uniósł brwi i musiał ukryć uśmiech.

Brutal stał nad nimi z rękami na biodrach. Zwykła koszula nie skrywała wszystkich blizn na mocno opalonym ciele. Grube sznury mięśni wyraźnie rysowały się na jego klatce piersiowej i ramionach. Na obu nadgarstkach mężczyzna miał skórzane pasy. Tłuste czarne włosy opadały długimi warkoczami po obu stronach szerokiej, zarosniętej twarzy. Całości dopełniał złamany nos, który wyróżniał się na kostropatej, niezbyt przystojnej twarzy. Mężczyzna powtórzył pytanie.

Żaden z przyjaciół nie odpowiedział, ale obaj zdążyli wstać. Mierząc wzrokiem przybysza, stanęli kilka kroków od siebie.

Na szerokim pasie w talii mężczyzny dyndał miecz z zakrzywionym ostrzem. Małe brązowe plamy na ostrzu mówiły, że ów człowiek jest marynarzem. Lub piratem. *Tylko słona woda wpływa na metal w ten sposób* – pomyślał Romulus. Głupiec nie wiedział, że pokrywanie broni warstwą smaru zapobiega jej rdzewieniu. Albo go to nie obchodziło.

Tarkwiniusz podniósł obie ręce w pojednawczym geście i powiedział kilka słów.

Jedyną odpowiedzią był wściekły ryk.

– Powiedziałem mu, że po prostu odpoczywaliśmy – odezwał się półgłosem haruspik.

– Wydaje się, że to mu nie wystarczyło – mruknął Romulus, czytając język ciała mężczyzny.

– Najwyraźniej... – odpowiedział wesoło Tarkwiniusz. – On chce z nami walczyć.

– Powiedz mu, że nie szukamy zwady.

Bez wątpienia ten osiłek ma kumpli. Tarkwiniusz zrobił to, o co poprosił go Romulus.

Jednak mężczyzna nie ustąpił. Zarechotał szyderczo i stanął na szeroko rozstawionych, potężnie umięśnionych nogach. Teraz przypominał jakiegoś zdeformowanego kolosa, którego ktoś postawił okrakiem na nabrzeżu.

Wzburzony tą reakcją Romulus wykonał mimowolnie krok naprzód.

– Patrz, tam! – ostrzegł go Tarkwiniusz.

Romulus zerknął przez ramię napastnika na relingi cumującego w niewielkiej odległości *dau* o drapieźnym wyglądzie. Okręt pełny był uśmiechniętych ludzi, obserwujących to, co dzieje się na pomoście.

– Co mamy robić?

Haruspik przyglądał się dwóm skrzeczącym ptakom, walczącym o jakiś kawałek ryby. Był przekonany, że powinni raczej zaoferować swoje usługi kapitanowi statku handlowego, niż angażować się w potyczkę z piratami, takimi jak ci przyklepieni do burt *dau*. Ale warto było sprawdzić i się przekonać.

Romulus czekał, wpatrując się badawczo w muskularnego pirata.

Gdy mniejsza mewa wyrwała odważnie posiłek z dzioba dużo większego ptaka, na pokrytej bliznami twarzy haruspika pojawił się uśmiech.

I wtedy wszystko potoczyło się już bardzo szybko.

Przeciwnik Romulusa rzucił się do przodu, próbując wykorzystać większą masę i unieruchomić chłopaka w niedźwiedzim uścisku. Ten jednak uchylił się pod jego rękami. Wywinął się i uderzył go łokciem w plecy. Mocny cios wywołał tylko pełne gniewu chrząknięcie, ale za to obserwujący bijatykę gapie zareagowali głośnym śmiechem. Po chwili przeciwnicy znów stali naprzeciwko siebie, mierząc się wzrokiem. Tarkwiniusz wykorzystał chwilę i zrobił kilka kroków do tyłu, żeby usunąć się poza zasięg długich rąk pirata.

Romulus wykrzywił usta. Znów stracili kontrolę nad wydarzeniami. Nie miał zamiaru pozwolić się pobić jakiemuś osiłkowi, ale konsekwencje tej walki mogą być poważne. Powtarzał sobie: *Bądź ostrożny. Nie uszkodź go.*

Tym razem jego przeciwnik zbliżał się o wiele wolniej. Zaciskając szczęki ze

złości, przesuwając ostrożnie białe stopy po popękanych i pokrzywionych deskach pomostu. Romulus przykucnął, zginając kolana. Przypominał sobie te wszystkie niezbyt pasujące do honorowej walki ruchy, których uczył go Brennus. Pozwolił napastnikowi zbliżyć się jeszcze bardziej. Nie było miejsca na błąd. Znał niewielu ludzi silniejszych niż Brennus i ten tutaj był właśnie takim wyjątkiem. Jeśli trafi go choćby jednym ciosem, straci przytomność i nie będzie miał drugiej szansy.

Dzieliły ich dwa, może trzy kroki. Wpatrywali się w siebie.

Spalone słońcem, popękane wargi pirata odsłoniły rzędy brązowych, zepsutych zębów. Jego ogromne pięści zacisnęły się, gotowe do uderzenia. Według oceny pirata Romulus znajdował się teraz w jego zasięgu. Wydawał się łatwą ofiarą.

Młodzieniec zrobił zwód w lewo. Spodziewał się, że przeciwnik zareaguje cofnięciem. Jednak Romulus nie wyprowadził ciosu. Błyskawicznie wyciągnął nogę i uderzył kolaniem w krocze przeciwnika. Włożył w to całą siłę. Pirat otworzył usta, składając je w szerokie „O”, po czym jęknął z bólu i zaskoczenia. Zgiął się wpół i upadł na deski pomostu z głośnym tąpnięciem. Teraz już tylko mruczał niskim głosem.

Romulus rozciągnął usta w uśmiechu i odsunął się zadowolony, że obeszło się bez poważniejszego zranienia pirata.

Przy odrobinie szczęścia towarzysze zwijającego się na pomoście mężczyzny również docenią umiar w jego działaniu.

Romulus zerknął na łódź i zobaczył, że kompani pirata pękają ze śmiechu. Ale nie wszyscy. Większa grupa wydawała się niezbyt zadowolona z przebiegu tego starcia. Unosili pięści i machali wściekle w jego kierunku. Uwagę Romulusa przykuł ciemnoskóry Nubijczyk ze złotymi kolczykami w uszach. Stał bez ruchu, obserwując. W kierunku Romulusa leciało coraz więcej wyzwisk, a kilku mężczyzn nawet sięgnęło po broń. Robiło się coraz groźniej. Uświadomił sobie, że za chwilę będą pewnie musieli uciekać jak tchórze. Zaklął w duchu. Piraci zachowywali się jak dziki tłum w czasie rozruchów, który właśnie przygotowuje się, by zlincolnąć jakiegoś bogu ducha winnego człowieka. Wprawdzie wciąż jeszcze nie opuszczali łodzi, ale wystarczy, że ruszy jeden, a cała gromada rzuci się za nim, dysząc żądzą zemsty.

Romulus machnął na Tarkwiniusza i zrobił krok obok zawodzącego pirata, byle dalej od jego towarzyszy. Jeśli znikną z nabrzeża i zejną piratom z oczu, będą bezpieczni.

W tej samej chwili palce osiłka na deskach nabrzeża zacisnęły się na kostce

haruspika, prawie ściągając go na ziemię. Słyszcząc wołanie Tarkwiniusza, Romulus obrócił się na pięcie i szybko kopnął pirata w głowę. Cios podkutych ćwiekami sandałów można było porównać do uderzenia młotkiem, więc wielki mężczyzna osunął się na ziemię nieprzytomny. Odtoczył się na bok, a jego ogromna masa sprawiła, że nabrał rozpędu i znalazł się na krawędzi wąskiego pomostu, z którego spadł i z głośnym pluskiem wylądował w wodzie. Od razu poszedł na dno.

Prerażony Romulus pochylił się nad taflą wody, usiłując przebić ją wzrokiem. Nie zamierzał zabijać swojego przeciwnika, ale wyglądało na to, że taki będzie właśnie wynik tej walki. Już w tej chwili nie widział ciała pirata, lecz tylko łańcuszek pęcherzyków.

Cała załoga okrętu pirackiego ryknęła teraz głośno z wściekłości i przeskakując burzę, gnała w ich kierunku. Piracki *dau* był przycumowany do równoległego pomostu, ale wystarczy im jedna chwila, żeby odciąć przyjaciołom drogę ucieczki.

Tarkwiniusz złapał chłopaka za ramię.

– Uciekamy – syknął. – Natychmiast!

– Ale ten biedak utonie! – zaprotestował Romulus.

– Myślisz, że on by się martwił, gdyby coś takiego stało się tobie? Jego przyjaciele mogą go jeszcze uratować.

– Zanim tu dotrą, będzie za późno – nie mógł znowu zostawić człowieka na pewną śmierć. – Odpiął pas, wziął głęboki oddech i skoczył do wody. Po raz drugi woda rozstąpiła się z głośnym pluskiem.

Prerażony Tarkwiniusz nie zdążył go zatrzymać. Chwila niezdecydowania może go drogo kosztować. Kilku piratów dotarło już do końca nabrzeża, gdzie stał. Łypali na niego wściekle i pędzili po deskach z uniesionymi toporami i włóczniami.

Romulus jednak nie zajmował się piratami. Mocno kopał nogami i wykręcał głowę na wszystkie strony, szukając ciała swojego przeciwnika. Na szczęście widoczność pod taflą wody była dość dobra, o wiele lepsza niż na powierzchni. Ale go nie widział! Długie pasma wodorostów machały w jego kierunku, grożąc uwięzieniem na zawsze. Romulus rozglądał się przez dłuższy czas, który wydawał mu się wiekiem, gdy nagle ujrzał grubą linę schodzącą ukośnie w dół. Musiała łączyć się z kamienną kotwicą jakiejś jednostki. Chwycił ją mocno i szedł jeszcze głębiej. Jeśli natychmiast nie znajdzie pirata, będzie za późno.

Pół tuzina uderzeń serca później dotarł do ogromnej kotwicy. Kończyło mu się powietrze. *Mitro! Pomóż mi!*

I wtedy jego uwagę przyciągnęła plama czarnych włosów. Kołysały się delikatnie

w wodzie w rytm tańca wodorostów. Już po chwili znalazł się przy ciele wielkiego mężczyzny, który leżał na plecach. Nie ruszał się. *To nie jest dobry znak*. Chwycił mocno jego długie warkocze lewą ręką, wylądował nogami na piaszczystym dnie. Ugiął kolana. Wykorzystując siłę mięśni nóg, odbił się najmocniej, jak potrafił. Z całej siły. Powierzchnia wydawała się tak daleko! A ciężar pirata ciągnął go w dół jak worek ołowiu. Potem jednak przesunął rękę na podbródek mężczyzny i powoli, machając rozpaczliwie jedną ręką, zmierzał na powierzchnię.

Gdy dwie głowy przebiły taflę wody, Romulus usłyszał okrzyki pełne ulgi.

Wśród nich był głos Tarkwiniusza.

Romulusa zaniepokoiło, że haruspik został rozbrojony i stoi otoczony przez piratów. Nie miał czasu, żeby zastanawiać się, co z nimi będzie. Choć czuł pod ręką puls pirata, ten wisiał bezwładnie na jego ramieniu. W płucach musi mieć pełno wody. Na szczęście jego towarzysze szybko zorientowali się w sytuacji i rzucili Romulusowi linę. Zawiązał ją błyskawicznie wokół klatki piersiowej nieprzytomnego pirata i już po chwili patrzył, jak wciągają go na pomost. Ułożyli go na plecach, po czym śniady mężczyzna wymierzył kilka mocnych ciosów w jego klatkę piersiową. Na nic! Romulus zamarł. Jeszcze kilka ciosów wylądowało na piersi topielca. I kilka kolejnych. Bez skutku. Gdy w głowie Romulusa pojawiła się myśl, że dalsze próby są już bezcelowe, osiłek zakaszał gwałtownie, po czym zwymiotował morską wodę.

Jego kompani zaczęli skandować z radości.

Lina znów wylądowała w wodzie. Romulus sprawnie wspiął się dzięki niej na krawędź pomostu. *Na pewno nic mi się nie stanie. Przecież uratowałem tamtemu życie!* Gdy już miał wciągnąć się na nabrzeże, zobaczył parę czarnych butów. Spojrzał w górę, w oczy Nubijczyka ze złotymi kolczykami. To musiał być dowódca piratów. Z wielkim kordelasem o szerokim ostrzu w prawej ręce wyglądał naprawdę groźnie.

– Powiedz mi, dlaczego nie mam przeciąć tej liny? – odezwał się, używając znośnego partyjskiego. – Zanim moi ludzie zabiją twojego przyjaciela?

Rozdział XXI

Znów razem!



Środkowa Galia, lato 52 r. p.n.e.

Fabiola potrzebowała dłuższej chwili, żeby wziąć się w garść. Sekundus odciągnął ją od ciała druida, mrużąc przy tym jakieś uspokajające słowa. Przestała zwracać już uwagę na leżące wokół pokotem zakrwawione trupy. *Optio* prowadził teraz kolumnę prosto w stronę grupy namiotów na wzniesieniu. Wydarzenia ostatnich kilku tygodni przytłoczyły ją, a wymiana zdań z umierającym druidem tylko przysporzyła nowych cierpień. Fabiola zadrżała. A przecież dzięki pomocy bogów dotarła tak daleko. Przetrwiała. Oddychała głęboko, wyobrażając sobie, jak zostanie przyjęta przez Brutusa. Stopniowo jej nastrój zmieniał się i teraz czuła głównie zdenerwowanie i podekscytowanie. Znów zobaczy swojego oblubieńca! W tej chwili nic nie może zrobić w sprawie Romulusa, a jej głęboko skrywane obawy dotyczące Cezara gdzieś zniknęły w burzy emocji. Niebezpieczna wyprawa właśnie dobiega końca i wreszcie będzie mogła trochę odpocząć. Ta perspektywa napełniała ją ulgą.

Wspinali się pod górę, mijając szereg punktów kontrolnych, obsadzonych przez legionistów, którzy wyglądali na wyczerpanych. Wielu z nich miało obandażowane ręce, nogi lub głowy. Ich zbroje i tarcze były poobijane i zakrwawione. To jednak nie przeszkadzało im zachowywać czujność. Na każdym takim punkcie Fabiola musiała odpowiadać na te same pytania: kim jest i po co się tu znalazła. Żołnierze reagowali zaskoczeniem, a potem odprowadzali ją wzrokiem, pozdrawiając pełnym szacunku salutem. Nie uszło jej uwagi, że niektórzy patrzyli na nią z pożądaniem i podziwem, delektując się jej pięknem. Żaden z nich nie był jednak na tyle odważny, aby powiedzieć głośno na ten temat choćby jedno słowo. Któż chciałby zadzierać z Decimusem Brutusem, prawą ręką Juliusza Cezara?

Wreszcie znaleźli się w pobliżu ostatniego posterunku pilnującego namiotu dowodzenia. W tym miejscu znajdowały się również kwatery większości starszych oficerów. Fabiola czuła, że jej puls przyspiesza. Oprócz zwykłych wartowników, posłańców i trębaczy przed namiotem dowodzenia dostrzegła też mężczyzn w pozłacanych zbrojach, otaczających jakiegoś energicznego, żwawo gestykującego człowieka. To mógł być tylko Juliusz Cezar. A tam, gdzie był Cezar, musiał być też Brutus. Uśmiechnęła się, wyobrażając sobie reakcję kochanka, kiedy ją zobaczy.

– Cezar jest najlepszym dowódcą, jakiego miał Rzym – oświadczył nagle Sekundus. – To jest zwycięstwo, o którym świat nie zapomni!

Docilosa urosła z dumy, choć знаła Cezara tylko z opowieści Brutusa i Fabioli. Po wielkich niebezpieczeństwach i zagrożeniach to była ich nagroda.

– Spójrz, pani!

Głos Sekundusa wyrwał Fabiolę z zamyślenia. Jej wzrok podążył tam, gdzie wskazywał weteran. *Nic dziwnego, że Cezar wybrał to miejsce* – pomyślała. Z tego wzniesienia rozpościerał się widok na całe pole bitwy. Dopiero teraz można było w pełni zrozumieć skalę osiągnięcia i wielkość sił, którym musiało przeciwstawić się dziesięć rzymskich legionów. Na północnym zachodzie znajdowała się lita skała, a fortyfikacje rozciągały się daleko, jak okiem sięgnąć, na południowy wschód. Przed wewnętrzną i zewnętrzną linią przygotowano wiele pułapek i przeszkód na podejściu do wałów: wielkie kłoc drewna z żelaznymi hakami, utrudniające ruch napastnikom, doły z zaostrzonymi palami i rowy pełne kolczatek. W środku znajdowały się dwa głębokie wykopy, z których jeden został wypełniony wodą z pobliskiej rzeki. Ostatnią przeszkodą była palisada, wzmocniona linią ostro zakończonych pali, posadowionych poniżej wału. Regularnie rozmieszczone wieże dawały dobry ogłąd pola walki. Wzdłuż wałów leżały ciągle setki *pila*. Tysiące tych oszczepów znalazły swoje cele wśród Galów, którzy musieli atakować powoli, omijając śmiertelne pułapki. Fabiola mogła przekonać się naocznie, że fortyfikacje Cezara przeszły trudne chwile. Pomiędzy *circumvallation* i Alezją leżały tysiące ciał. Tak samo było z drugiej strony wałów. Wielu zabitych nosiło charakterystyczne rzymskie tuniki. Zapewne ludzie ci zginęli podczas kontrataków lub w czasie próby zebrania z pola walki nieuszkodzonych oszczepów, ale większość ofiar stanowili Galowie – wojownicy w sile wieku, młodzi mężczyźni, choć zdarzali się i starsi. Tu wyginęły całe plemiona.

Fabiola czuła respekt i podziwiała talenty dowódcze Cezara. Jej wiedza na temat

sztuki wojennej była ograniczona, ale chyba każdy musiał zdawać sobie sprawę z wagi tego, co się tutaj stało. Sięgnięcie po zwycięstwo przy tak wielkiej przewadze liczebnej przeciwnika było niesamowitym wyczynem. Cieszyła się, że nie zdecydowała się zostać z Marcusem Petrejuszem. Nawet Pompejusza nie stać na przechytrzenie generała, który odniósł to niezwykle zwycięstwo. Czy ktokolwiek w ogóle potrafiłby pokonać Cezara? Zadrżała ze strachu. Nagle poczuła się bardzo mała i tak nieważna! Wydawało się, że Brutus związał swój los z meteorem, a ona razem z nim. Tylko czas pokaże, czy w konsekwencji oboje nie spłoną.

– Fabiola? To ty?

Na dźwięk znajomego głosu żołądek podszedł jej do gardła ze zdenerwowania. Odwróciła głowę i ujrzała zbliżającego się Brutusa. Cała w nerwach mogła tylko unieść rękę i zawołać:

– Brutus!

Jej kochanek krzyknął podekscytowany i zerwał się do biegu. Miał na sobie typową dla starszego oficera połączoną zbroję, czerwony płaszcz i hełm z poprzecznie ustawionym pióropuszem. Biegąc, przytrzymywał ręką ozdobną rękojeść miecza, ale ćwiekowane skórzane osłony na uda i pachwiny głośno dzwoniły.

Fabiola również chciała rzucić się ku niemu, ale starając się zachować zimną krew, pozostała nieruchoma. Wyglądziła stołę, żałując, że nie miała czasu, aby po drodze kupić jakieś ubrania i perfumy. *Spokojnie – pomyślała. – To nie jest Rzym ani Pompeje. Podczas kampanii wojennej nie można spodziewać się luksusów. Jestem tutaj. To mu wystarczy.*

– Na wszystkich bogów, to naprawdę ty! – wykrzyknął radośnie Brutus, gdy znalazł się kilka kroków od niej.

Fabiola posłała mu promienny uśmiech, który uwielbiał.

Legioniści Petrejusza zaszalutowali i umiejętnie rozstąpili się, formując korytarz.

Brutus zwolnił i kilka ostatnich kroków pokonał już spokojniej, podziwiając piękno Fabioli niczym spragniony człowiek opróżniający kubek wody. Na jego szarej, nieogolonej twarzy wyraźnie widać było zmęczenie, ale na szczęście nie był ranny.

– Na Hades! Co robisz w tym zapomnianym przez bogów miejscu? – zapytał, marszcząc brwi i uśmiechając się na zmianę.

– Nie cieszysz się, że mnie widzisz? – zachnęła się Fabiola.

Chwycił ją za rękę i mocno ścisnął.

– Ależ tak! Sam Mars musiał odpowiedzieć na moje modlitwy.

Fabiola przysunęła się bliżej i pocałowała go w usta. Brutus natychmiast zareagował równie namiętnie, biorąc ją w ramiona. W końcu ich usta rozłączyły się. Długo patrzyli sobie w oczy. Nic nie musieli mówić. Mogli cieszyć się luksusem bliskości swoich ciał.

– Bogowie... – Fabiola wreszcie odezwała się cicho. – Tak za tobą tęskniłam!

Brutus rozciągnął usta w szerokim, chłopięcym uśmiechu.

– I ja za tobą, kochanie. Ile miesięcy minęło?

– Prawie dziewięć – odparła smutno.

– Przykro mi – powiedział Brutus, ściskając dłoń Fabioli, jakby myślał, że zaraz zniknie, jeśli tylko wypuści jej palce. – Ta kampania nie przypomina żadnej innej. Przez cały czas, od kiedy wybuchło to cholerne powstanie, albo marsz, albo walka. Nie mogłem opuścić Cezara.

– Oczywiście, że nie – odezwała się ze zrozumieniem Fabiola. – Wiem to.

– Co nowego w latyfundium? – widząc zmianę na jej twarzy, Brutus zmarszczył brwi. – Czy coś się stało?

W kącikach oczu Fabioli od razu zebrały się łzy. *Biedny Korbulon* – pomyślała z poczuciem winy. – *Zginął przez moje głupie zachowanie. Tak samo jak gladiatorzy, których wynajęłam. Moi niewolnicy zostali sprzedani. I ten biedny chłopak.. Wykastrowany tylko z powodu urażonej dumy Scewoli.*

Zaniepokojony Brutus patrzył jej prosto w oczy.

– Powiedz mi – powiedział łagodnie.

Fabiola już nie potrafiła się dłużej opierać emocjom. Wylała z siebie potok słów. Mówiła o uciekinierze. Scewoli i jego *fugitivarii*. O tym, jak go upokorzyła. Jak jej niewolnicy pojawili się w ostatniej chwili, żeby uratować ją przed niechybnym gwałtem i śmiercią.

– Zadarcie z *fugitivarii* nie było zbyt mądre – powiedział Brutus – ale wiem, jak mogą zachowywać się ludzie tacy jak oni.

Fabiola pokiwała głową i przeszła do opowieści o tym, jak znaleźli na polu dwóch zamordowanych niewolników. To przyspieszyło jej decyzję o ruszenia w podróż do Rzymu. Opowiedziała mu ze szczegółami o śmierci Klodiusza Pulchera i o zamieszkach, do których doszło później, a także o dramatycznej scenie pożaru w budynku senatu.

– Słyszeliśmy o tym nawet tutaj. Co się stało ze zwykłym poszanowaniem

porządku? – mruknął Brutus ponuro. – Plebejskie szumowiny! Trzeba ich nauczyć rozumu. Mieczem.

– To chyba już się stało – powiedziała Fabiola, wskazując głową otaczających ich legionistów. – Jeden z legionów Pompejusza prawdopodobnie już dotarł do Rzymu.

Optio uśmiechnął się z dumą.

Brutus natychmiast zrozumiał i nie pytał już o nic więcej.

– Dzięki niech będą Marsowi, że was tam nie było. Mów dalej.

Nie wspominając o potężnym sponsorze Scewoli, Fabiola opowiedziała przebieg zasadzki w rzymskiej uliczce i powiedziała, co *fugitivarius* zrobił Korbulonowi i innym pracownikom latyfundiów. Oczy Brutusa miały gromy, ale pozwolił jej skończyć. Po tym, gdy usłyszał, że jego ukochana uniknęła gwałtu, zapytał z wściekłością.

– Przypomnij mi, jak on się nazywa?

– Scewola – żeby przekazać Brutusowi wszystkie istotne informacje, Fabiola przytuliła się do niego i wyszeptła mu do ucha. – Wygląda na to, że jest na liście płac Pompejusza. I nie jesteśmy pierwszymi prześladowanymi zwolennikami Cezara.

Brutus odezwał się z mrozącym krew w żyłach spokojem.

– Rozumiem... Trzeba go przykładnie ukarać. Znalezienie tego aroganckiego skurwysyna nie powinno być dużym problemem. Scewola zapłaci za to, co zrobił. Będzie długo cierpieć...

Fabiola poczuła ulgę. W tej chwili *fugitivarius* nie wydawał się prawdziwym zagrożeniem. Dla bezpieczeństwa powinna jednak zostać u boku Brutusa.

– Czy to już koniec...?

– Tutaj? – Brutus wskazał na pola pokryte ciałami. – Możliwe... Wercyngetoryks jest w łańcuchach i wzięliśmy do niewoli dziesiątki tysięcy jego ludzi – skrzywił się. – Wiele plemion może jednak kontynuować walkę. Ale nie spoczniemy, póki Galia nie stanie się częścią Republiki. Dopóki Cezar nie odniesie ostatecznego zwycięstwa – podniósł głos. – Zwycięstwo dla Juliusza Cezara!

Znajdujący się najbliżej legioniści Cezara odpowiedzieli podobnymi okrzykami, ale żołnierze Pompejusza, którzy towarzyszyli Fabioli w drodze na północ, spojrzeli na Brutusa nieco mniej entuzjastycznie.

Po chwili Brutus zwrócił się z szerokim uśmiechem do Docilosy.

– Czy dobrze dbałaś o panią?

– Docilosa jest prawdziwym darem z niebios – wtrąciła się Fabiola. – Bez niej by mnie tu nie było.

Na policzkach Docilosy pojawiły się pąsowe plamy zawstydyzenia i dumy.

– Twoja wierność zostanie nagrodzona – powiedział Brutus uprzejmie. – A kim jest ten człowiek?

– Sekstus, panie – odpowiedział niewolnik, kłaniając się nisko. – Ostatni z ochroniarzy pani.

– Ma serce lwa – oświadczyła Fabiola. – I walczy jak lew.

– Należy ci się moja wdzięczność – Brutus poklepał Sekstusa po ramieniu.

– Panie...

– A to jest Sekundus? – zapytał Brutus.

– Tak, to ja, panie – Sekundus zacisnął pięść i uderzył się w pierś w żołnierskim pozdrowieniu. – Weteran legionów po trzynastoletniej służbie.

– On i jego towarzysze uratowali nas przed Scewolą – odezwała się Fabiola. – Dali nam schronienie, a następnie towarzyszyli w drodze do Galii.

Sekstus pokiwał głową na potwierdzenie.

Brutus spojrział na Sekundusa z wdzięcznością.

– Czy to są twoi ludzie? – zapytał nieco zmieszany, wskazując na legionistów.

Weteran posmutniał.

– Nie. Moi towarzysze zginęli z rąk *fugitivarii*. Mniej więcej po dwóch tygodniach po opuszczeniu Rzymu na północy wpadliśmy w zasadzkę. Zaskoczyli nas kompletnie nieprzygotowanych do walki, jakbyśmy byli zielonymi rekrutami.

– To akurat nieprawda... – zaoponowała Fabiola. – Z pomocą Mitry udało się nam wyrwać z zasadzki. Nie dokonaliśmy tego, gdyby nie ty.

Sekundus pochylił głowę.

– Powiedziałaś: Mitry? – zapytał ostro Brutus.

– Tak. Sekundus i jego ludzie podążają ścieżką Mitry – na razie nie miała zamiaru mówić nic o swoim zaangażowaniu.

Brutus zrobił krok do przodu. Sekundus z uśmiechem zrobił to samo. Mężczyźni złapali się za przedramiona.

Tym razem Fabiola spojrzała na nich zaskoczona.

– Czy i ty czcisz Mitrę?

– Od kilku miesięcy. We wszystko wprowadził mnie starszy centurion, który służył w Azji Mniejszej – wyjaśnił wesoło Brutus. – A teraz dzięki ochronie zapewnionej przez Sekundusa bóg pozwolił ci dotrzeć aż tutaj. To wymaga uczczenia wielką ofiarą!

Fabiola nie mogła wyjść z zachwytu.

– A zatem ci legioniści... – zaczął Brutus. – Skąd oni się wzięli?

– I to zawdzięczamy Mitrze, panie – powiedział cicho Sekundus. – *Fugitivarii* uciekli na widok żołnierzy z legionu Pompejusza w drodze do Rzymu. Jednostką dowodzi Marcus Petrejusz, który również okazał się wyznawcą Mitry.

Fabiola obdarzyła Sekundusa promiennym uśmiechem, wdzięczna za to wiarygodne wyjaśnienie. Od czasu opuszczenia obozu legionu Petrejusza zastanawiała się z niepokojem, jak wytłumaczyć Brutusowi obecność żołnierzy Pompejusza.

Brutus uniósł ze zdziwienia brwi.

– Mitra naprawdę cię pobłogosławił, kochanie. Myślę, że i Fortuna miała tu wiele do powiedzenia.

Gdybyś tylko wiedział wszystko... – pomyślała Fabiola, wspominając swoją wizję wywołaną *homa*. *Ale o tym lepiej opowiem mu, gdy będziemy sami. Nikt nie może też wiedzieć o tym, co się stało w sypialni Petrejusza.*

– Fabiola została bezpiecznie odeskortowana na miejsce – zwrócił się Brutus do *optio*. – Dobra robota. Teraz pewnie będziecie chcieli wrócić do jednostki macierzystej. Ale zanim ruszycie w drogę, zasługujecie na dobry odpoczynek.

Brutus przywołał swojego oficera.

– Zabierzcie tych żołnierzy do obozu. Poczęstujcie gorącym jadłem i znajdźcie jakieś łóżka na noc. Natychmiast!

Legioniści zareagowali uśmiechami zadowolenia. *Optio* i jego połowa centurii zostali poprowadzeni w dół zbocza. Towarzyszył im Sekundus, ale Sekstus pozostał przy Fabioli.

– Chodźmy do mojego namiotu – powiedział Brutus, biorąc Fabiolę pod ramię. – Odpoczniesz trochę. Dziś wieczorem odbędzie się huczna uczta z okazji naszego zwycięstwa, a jestem pewien, że Cezar chciałby cię zobaczyć. Tyle o tobie słyszał...

Chwila, której od dawna tak pożądała Fabiola, była bardzo bliska. Ta świadomość była wręcz porażająca. Mimo tego wszystkiego, co przeszła, dotąd nie odważyła się wyobrazić sobie, jak będzie wyglądało jej spotkanie z Cezarem. Jednak dzięki Mitrze stanie się to w tym niezwykłym miejscu, na polu bitwy pod Alezją w Galii.

– Wspaniale – odezwała się Fabiola, starając się ukryć swoje zdenerwowanie. – Cieszę się bardzo z możliwości poznania w końcu twojego generała.

Docilosa pomogła jej ubrać się na wieczór. Stół, lustra, jakaś biżuteria i butelki do makijażu oraz perfumy – wszystko to zostało ściągnięte z Alezji, podobnie jak spory wybór sukni. Fabiola wiedziała, że lepiej nie pytać, skąd się to wszystko wzięło. Ubrania pasowały na nią tak dobrze, jakby nosiła je jej bliźniaczka, co wydało się Fabioli dość niepokojące. Pomodliła się w cichości serca do Mitry, prosząc go o ochronę właścicielki tych sukni, kimkolwiek była.

– Wyglądasz oszałamiająco – powiedział Brutus, obserwując Fabiolę z podziwem. Zbliżył się do niej, pieszcząc jej ramiona czubkami palców. – Nie chcesz uwieść Cezara, prawda?

Docilosa zacisnęła usta z dezaprobatą.

– Jeśli zrobię coś takiego, to tylko dla twojego dobra – powiedziała Fabiola. – Wiesz przecież.

– Oczywiście – Brutus odpowiedział zakłopotany. – Przepraszam.

Gdybyś tylko wiedział, co naprawdę chcę uczynić...

– Czy chcesz, żebym się przebrała?

Brutus ocenił jej krótką stolę z jedwabiu, która odsłaniała sporą część kremowej skóry.

– Nie – powiedział z uśmiechem, z którego biło pożądanie. – Wygląda dobrze.

Uspokojona Fabiola usiadła przed stojącym na stole małym lustrem z brązu. Docilosa krzątała się za jej plecami, chowając kilka luźnych kosmyków włosów za uszy, podczas gdy Fabiola zajęła się dokończeniem makijażu. Odrobinka ochry na policzkach i najstabsze muśnięcie antymonu wystarczyło. Za wszelką cenę trzymała się z dala od promieni słońca i zwykle nie musiała wybielać cery ołowiem. Uznała, że poznanie Cezara podczas uczyty jest bardzo dobrym zrządzeniem losu. Nie ulega wątpliwości, że Cezar zajmie się przede wszystkim rozmową z oficerami, dzięki czemu ona będzie mogła przyjrzeć mu się bez zwracania na siebie uwagi. Mężczyźni uczestniczący w uczcie są również potencjalnie interesującym źródłem informacji o tym utalentowanym wodzu. Po raz kolejny Fabiola zdecydowała, że nie cofnie się przed niczym, żeby dowiedzieć się, kto jest jej ojcem.

Oceniła okiem znawczyni, jak prezentuje się Brutus. Jej umiłowany mężczyzna zrzucił wojskową skórzaną sukienkę i *caligae*, zamieniając je na miękkie skórzane buty i wspaniałą togę, wykonaną z najlepszej wełny. *Vestiplicus*, do którego należało właściwe ułożenie fałd togi, przez dłuższy czas wybrzydzał i kręcił się wokół niego niezadowolony. Wreszcie Brutus nie mógł już dłużej wytrzymać jego marudzenia i oddalił zamiatającego ziemię w pokłonach niewolnika.

Docilosa wykorzystała okazję i zniknęła, zostawiając ich samych.

– I jak?

– Jesteś bardzo przystojny, moja miłości – mruknęła Fabiola, przesuwając się do niego i obejmując ręką fałdę poniżej pasa.

Spędzili całe popołudnie, kochając się raz po raz, ale i w tym momencie Brutus zareagował na jej niewinne pieścizoty natychmiastową erekcją.

– Może powinieneś wykręcić się z tej uczy? Powiedzieć, że boli cię brzuch? – zasugerowała niskim, uwodzającym głosem.

– Przestań – zaśmiał się. – Nie możemy przegapić takiego święta.

– Nie chciałabym tego... – odparła Fabiola, całując go w usta.

Beztrosko nieświadomy jej motywów Brutus uśmiechnął się z dumą.

Fabiola modliła się w duchu. *Wielki Mitro! Daj mi znak. Muszę wiedzieć, czy Cezar jest tym, którego szukam.*

Do wielkiego namiotu Cezara doprowadziła ich mała grupa, składająca się z czterech legionistów z dowodzącym nimi *optio*.

Sekstus obserwował ich, jak odchodzą ze zmartwionym wyrazem twarzy. Nie lubił, gdy Fabiola zniknęła mu z oczu. Nigdy.

Łysiejący majordomus czekał na nich przy wejściu.

– Witajcie! – powiedział, kłaniając się w pas. – Proszę za mną.

Pełna wątpliwości Fabiola zamarła. Czy kompletnie oszalała? Nawet jeśli jej podejrzenia były słuszne, myśli o zaskodzeniu jednemu z największych synów Republiki były równoznaczne z samobójstwem. Na jej ustach pojawił się wymuszony uśmiech. Ile to dla niej znaczyło? Mimo że udało się jej wyjść cało z różnych niebezpiecznych sytuacji, jej brat bliźniak musiał znieść o wiele trudniejsze próby. *Bez Romulusa mało ważne jest to, czy przeżyje. Śmierć mi niestraszna.*

Brutus nie zauważył jej reakcji. Ruszył czym prędzej za niewolnikiem. Fabiola wzięła się w garść i pospiesznie podążyła za nim.

Miejsce, w którym Cezar spotykał się codziennie ze swoimi oficerami – przestronne pomieszczenie, zwykle urządzone po spartańsku – teraz zmieniło się w sporą jadalnię z nowymi meblami. Przy każdym stole ustawiono trzy duże sofy. Czwarta strona stołu zawsze pozostawała otwarta. W uroczystej kolacji miało uczestniczyć, poza Fabiolą i Brutusem, ponad dwudziestu gości. Legaci, trybuni i wyżsi oficerowie sztabowi siedzieli – lub na w pół leżeli – zrelaksowani przy suto zastawionych stołach, a między nimi uwijała się gromada niewolników. Cezara

jeszcze nie było, ale w powietrzu unosił się gwar żywych rozmów.

Gdy Brutus z Fabiolą pojawili się przy pierwszych stołach, wokół rozległy się ciche pomruki. Kilka głów odwróciło się w ich stronę. Brutus pozdrowiał znajomych dowódców skinieniem głowy, a Fabiola uśmiechała się skromnie. Gdy dotarli do centralnie ustawionego stołu, Brutus powitał czterech mężczyzn, którzy przy nim siedzieli. Fabiola była zachwycona. Najpewniej to właśnie tu usiądzie również Cezar. Zaproszenie na taką ucztę było największym zaszczytem.

– Marcus Antoniusz, Tytus Labienusz, Kajusz Treboniusz i Gajusz Fabiusz...
Dobry wieczór.

Cały wymieniony z imienia i nazwiska kwartet wymamrotał uprzejme odpowiedzi na powitanie, ale wszystkie oczy zwrócone były na towarzyszkę Brutusa.

– Pozwólcie, że wam przedstawię. Fabiola, moja miłość. Ku mojemu kompletnemu zaskoczeniu w narażeniu życia przedzierała się przez dzikie ostępy Galii, by mnie zobaczyć.

Antoniusz rzucił Fabioli twarde, nieprzyjemne spojrzenie, które zdecydowała się zignorować.

– Nie jestem zaskoczony – rzekł z uznaniem Labienusz, chudy, siwy mężczyzna w późnym wieku średnim. – Jesteś jednym z najlepszych oficerów Cezara. Dobrą partią.

– Nie słuchaj go, moja miła. Wraz z Cezarem i Fabiuszem ten człowiek wygrał dla nas ostatnią bitwę. A ci dwaj – wskazał Antoniusz i Treboniusza – uratowali nasze skóry minionej nocy dzięki dowodzonej przez nich kawalerii.

Antoniusz uśmiechnął się na komentarz Brutusa.

– Zrobiłeś swoje... – wycedził, przeczesując dłonią kręcone brązowe włosy. – To właśnie dlatego dziś zostałeś zaproszony do tego stołu. A teraz siadaj z nami.

Brutus poczerwieniał i poprowadził Fabiolę na miejsce na końcu kanapy po prawej stronie. Zajął środkowe miejsce, co oznaczało, że będą mogli opierać się na tej samej poduszce, a na wprost nich usiądzie sam Cezar. Na razie sofa wodza, którą miał zajmować sam, stała pusta. Orientując się w randze różnych miejsc przy stole, Fabiola domyśliła się, że tylko Labienusz i Antoniusz zajmują ważniejsze pozycje niż Brutus. Rozpierała ją duma, ale też zaniepokoiła się zauważalnymi oznakami niechęci Brutusa do Antoniusza, najlepszego przyjaciela Cezara, nieprzewidywalnego, o reputacji człowieka bardzo niebezpiecznego.

Od razu podano puchary z *mulsum*. Jednak ledwie Fabiola przełknęła łyk, rozległy się podniesione głosy. Kolejni oficerowie zrywali się na równe nogi. Domyśliła się,

że w pomieszczeniu musiał pojawić się Cezar.

Również Brutus wstał, po czym zwrócił się do Fabioli z uśmiechem.

– Widzisz, jak go kochają?

Skinęła głową.

– Zwykli legioniści zachowują się podobnie. Pójdą za nim do Hadesu i z powrotem.

– Dlaczego? – zapytała, starając się zrozumieć przyczynę tej fascynacji.

– Cezar zawsze nagradza swoich żołnierzy za odwagę. Na przykład wszyscy walczący tu, w Alezji, otrzymają jednego niewolnika jako łup wojenny – szeptał jej do ucha Brutus. – Ale nie chodzi tylko o to. Sam Cezar jest odważny, więc ludzie bardzo go za to szanują. Zawsze, gdy to konieczne, prowadzi ich z pierwszego szeregu. Wojownikom Wercyngetoryksa naprawdę niewiele zabrakło, żeby wyjść z tego starcia zwycięsko, ale Cezar sam dosiadł konia i prowadząc ostatnie rezerwy kawalerii, zaatakował ich tyły – Brutus uderzył pięścią w drugą. – Nasze linie chwiały się i w każdej chwili mogły się załamać. Jednak kiedy zobaczyli Cezara galopującego w swoim czerwonym płaszczu to w jedną, to w drugą stronę, rzucili się do kontrataku, jakby wstąpiła w nich nowa siła. Galowie spanikowali i uciekli. Bitwa została wygrana!

Wkrótce oklaski i hałas stały się ogłuszające. Najbliżsi oficerowie rozstąpili się. I wreszcie go zobaczyła. Mężczyzna, na którego patrzyła, był szczupły i dobrze umięśniony, niczym chart wyścigowy. Miał krótkie, przerzedzone włosy, wąską twarz z wystającymi kośćmi policzkowymi i orlim nosem. Chociaż nie był przystojny w tradycyjnym tego słowa znaczeniu, coś w jego postaci przyciągało uwagę. Fabiola nie potrafiła na razie zidentyfikować tej cechy. Zauważyła, że na todzie Cezara znajdował się wąski fioletowy pasek. Taką togę nosili cenzorzy, sędziowie i dyktatorzy. *Łatwo zgadnąć, o jakim stanie myślał Cezar, gdy ją zakładał* – oceniła z podziwem. – *Ale czy był gwalcicielem mojej matki?* Podstawę do podejrzeń stanowiło uderzające podobieństwo do Romulusa.

– Witamy, panie – Antoniusz odezwał się z uniesieniem. – Zaszczycasz nas swoją obecnością.

Cezar witał się ze wszystkimi skinieniem głowy. Gdy zauważył Fabiolę, przyjrzał się jej uważnie. Dziewczyna spłonila się i skromnie pochyliła głowę, wpatrując się teraz w swoje sandały. Spotkanie twarzą w twarz z jednym z najpotężniejszych ludzi w Republice było onieśmielającym doświadczeniem.

Brutus strzelił palcami i natychmiast w ręce gospodarza pojawił się delikatnie

rzeźbiony puchar.

– To musi być piękna Fabiola – powiedział Cezar. Jego spojrzenie przewiercało ją na wylot. – W końcu się spotykamy.

– Panie... – skłoniła się głęboko. – Jestem zaszczycona, mogąc świętować wspólnie to wielkie zwycięstwo.

Cezar uśmiechnął się, sprawiając, że Fabiola poczuła się bardziej swobodnie.

– Siadajcie, proszę...

Posłuchali. Fabiola obserwowała w ciszy mężczyzn pogrążonych w ożywionej dyskusji, która natychmiast rozpoczęła się przy stole. Całkiem naturalnie zaczęli od uwag na temat przebiegu bitwy. Rozmowa była naprawdę fascynująca, a Fabiola chłonęła każde słowo.

Cezar prowadził dyskusję, analizując wszystkie aspekty kampanii. Rozważali otwierające się przed nimi możliwości. Konfrontacja z Wercyngetoryksem może i zakończyła się pod murami Alezji, ale konflikt trwał przez wiele miesięcy. Wszystko zaczęło się od oblężenia wielu miast lojalnych wobec wodza rebeliantów. Wśród nich były Cenabum i Avaricum.

– Słyszałam wcześniej o wydarzeniach w Cenabum – odezwała się Fabiola.

– Pewnie dlatego, że mieszkańcy tego *oppidum* zmasakrowali mieszkających tam rzymskich kupców – wyjaśnił Cezar. Oczywiście, że chcieliśmy się zemścić, dlatego oblężenie nie trwało długo.

– Co się stało? – spytała Fabiola.

– Moje oddziały podpaliły bramy, legionieści dostali się do środka i splądrowali gród – Cezar uśmiechnął się lekko, widząc przerażenie w jej oczach. – Żołnierze są jak wilki. Muszą od czasu do czasu poczuć dreszcz polowania, żeby zachować wysoką skuteczność działania i koncentrację.

Fabiola skinęła głową, przypominając sobie przyjemny przypływ adrenaliny, która krążyła w jej żyłach, gdy walczyła u boku Sekstusa. Jednak nie musiała się specjalnie wysilać, żeby wyobrazić sobie przerażenie cywilów mieszkających w Cenabum, gdy na ulicach zaroilo się od legionistów.

– Oblężenie Avaricum było jednak trudniejsze. Wciąż trwała zima i kończyła się nam żywność – mówił Brutus. – Codziennie wysyłaliśmy oddziały na poszukiwania paszy i jedzenia, a galijska kawaleria wycinała je w pień.

– To było kilka naprawdę czarnych dni – zgodził się Antoniusz.

– Dałem więc moim legionom wybór. Zniesienie oblężenia albo... – odezwał się

Cezar.

– I co wybrali? – zapytała zaciekawiona Fabiola.

– Wszyscy odmówili – odparł z dumą. – Mówili, że hańbą byłoby, gdyby nie skończyli tego, co zaczęli. Tak więc gdy zabrakło ziarna i mąki na chleb, moi legioniści jedli tylko wołowinę, której starczyło na kilka dni.

– W tym samym czasie budowaliśmy ogromną rampę, żeby zasypać fosę, która broniła dostępu do miasta – teraz głos zabrał rozentuzjzmowany Brutus. – A Galowie przez cały czas spuszczała na ludzi zaostrome bele, obrzucali ich wielkimi kamieniami i polewali wrzącym olejem.

– Nawet gdy drewniana podstawa nasypu została podpalona, ludzie nie upadli na duchu – odezwał się Cezar. – Następnego dnia, mimo ulewnego deszczu, wspięli się na palisadę i zdobyli miasto.

Fabiola wciągnęła powietrze, podziwiając dokonania Rzymian. *Mulsum* krążyło w jej żyłach i coraz bardziej angażowała się w ożywioną dyskusję Cezara i jego oficerów. Jej pragnienie poznania szczegółów kampanii stało się ważniejsze niż analizowanie przesłanek świadczących o tym, że naprawdę jest jej ojcem. Odważnie zaczęła nawet zadawać dość bezpośrednie pytania dotyczące samego Cezara. Zaniepokojony Brutus spojrział na nią upominająco raz i drugi, ale jego generał, wydając się rozbawiony jej dociekliwością, przez jakiś czas to tolerował.

Rozentuzjzmowana Fabiola nie zauważyła, że Cezar stawał się coraz bardziej zniecierpliwiony. Brutus już miał szepnąć jej coś do ucha, gdy dziewczyna wyrzuciła z siebie, chyba nawet nie do końca świadomie, kolejne niezręczne pytanie:

– Jeśli macie tak dzielnych legionistów, to co poszło nie tak pod Gergowią?

Po drugiej stronie stołu zapadła niepokojąca cisza. Cezar zamarł.

– Słucham? – Fabiola nie ustępowała.

Nikt jej nie odpowiedział.

– Fabiola! – syknął Brutus. – Przesadziłaś.

Nigdy nie widziała go tak wściekłego.

Natychmiast otrzeźwiała.

– Przepraszam... – wyszeptła. – To nie moja sprawa. Jestem tylko niemądrą kobietą, która nie zna się na sprawach sztuki wojennej.

Co ja plotę?

W jej głowie panował kompletny chaos. Dyskrecja i tajemnica miały dla niej znaczenie kluczowe. Pytanie Cezara o porażkę – jakkolwiek rzadką – było po prostu

głupie i nietaktowne. *Mitro! Wybacz mi. Nie pozwól, aby to miało jakiś wpływ na relacje Brutusa z Cezarem.*

Wtedy usłyszała cichy, urywany śmiech.

Ten dźwięk wydawał się tak nie na miejscu, że przez chwilę Fabiola zastanawiała się zdezorientowana, kto się śmieje i dlaczego. Uniosła oczy, żeby stwierdzić, że śmiech należał do Cezara, który uważnie się jej teraz przypatrywał. To było niepokojące. Fabiola czuła się jak mysz unieruchomiona pod łapami kota.

– Co się stało? Ludzie biorący udział w zaskakującym ataku nie usłyszeli sygnału do odwrotu – powiedział chłodno Cezar. – Podczas gdy jedni wspinali się na mury Gergowii, inni atakowali bramy. Widząc legionistów odizolowanych od głównych sił, Galowie w środku i na zewnątrz rzucili się do kontrataku, otaczając całkowicie część moich ludzi.

– Szybko też ruszyłeś im na ratunek z Legionem X, panie – wtrącił się pospiesznie Brutus.

– Tyle że zanim udało mi się uporządkować szeregi, straciłem siedmuset ludzi – przyznał Cezar. Żal w jego głosie wydawał się szczerzy. – I czterdziestu sześciu centurionów.

Fabiola pochyliła głowę, pragnąc z całego serca, aby ziemia w namiocie rozstąpiła się i zechciała ją wchłonąć. Nic z tego.

Brutus próbował ratować sytuację, zmieniając temat na jakiś neutralny, jednak jego wysiłki poprawienia atmosfery spełzły na niczym. Siedzący na tej samej kanapie trzej inni goście zaczęli rozmawiać ze sobą. Brutus i Fabiola musieli zmierzyć się ze wzrokiem Cezara, który przyglądał im się z denerwującą intensywnością.

– Twoja młoda towarzyszka jest obdarzona dociekliwym umysłem – odezwał się Cezar kilka chwil później tak głośno, żeby wszyscy go dobrze słyszeli. – Inteligencją niespotykaną u byłego niewolnika. I kurwy.

Towarzysze Brutusa siedzący przy tym samym stole wydawali się wyraźnie zaskoczeni tymi rewelacjami.

Brutus zacisnął szczęki, ale nie odezwał się ani słowem.

Fabiola płonęła ze wstydu i hańby. Mogła się spodziewać, że Cezar będzie wiedział o niej wszystko. Czekwała na następne słowa, żałując, że nie może cofnąć czasu.

– Taka cecha bywa czasami przydatna – kontynuował Cezar – ale często okazuje się też przekleństwem. Jeśli kobieta obdarzona taką inteligencją jest na dodatek

piękna, może wiele osiągnąć. Zyskać wpływy i okręcić sobie wokół palca nawet potężnych ludzi.

– Rozumiem, panie – odpowiedział Brutus, unikając kontaktu wzrokowego.

– Trzymaj ją na krótkiej smyczy – Cezar odezwał się kwaśnym głosem. Przeszył Fabiolę wzrokiem.

Zadrżała, ale nie spuściła wzroku.

– Albo sam się tym zajmę... – po tych słowach zamilkł. Jego twarde spojrzenie mówiło więcej niż słowa.

Druid ostrzegwał, że Rzym powinien bać się Cezara.

Ona też.

Rozdział XXII

Wieści z Rzymu



Minęły ponad dwa lata...

Kana, wybrzeża Arabii, zima 50 r. p.n.e.

Gdy okręt prześlizgiwał się między dwiema imponującymi wieżami, wchodząc do osłoniętego potężnymi murami portu w Kanie, piraci w zadumie kontemplowali rozpościerający się przed ich oczyma widok. *Olibanum* i skorupy żółwi, które udało im się zdobyć, leżały bezpiecznie ukryte w ładowni, a broń schowali pod zrolowanymi zapasowymi żaglami na pokładzie. Jeśli jednak przyjdzie komuś do głowy przeprowadzić nieco bardziej drobiazgowe przeszukanie, ich status natychmiast stanie się jasny. Chociaż piraci jak mało kto radzili sobie z wszelką bronią, było ich tylko trzydziestu i nie mieliby szans, gdyby doszło do walki z żołnierzami garnizonu stacjonującego w porcie.

Romulus też nie miał zbyt tegiej miny, gdy obserwował, jak poważnie wartownicy podchodzą do swoich obowiązków. Nie poczuł się pewniej, gdy uświadomił sobie, że nie mogą z Tarkwiniuszem zaufać żadnemu członkowi załogi pirackiego okrętu. Prawie żadnemu. Mustafa, gigant z przetłuszczonymi włosami, który – gdyby nie on – pewnie utonąłby w basenie portowym w Barbaricum, był teraz ich oddanym sojusznikiem. Jednak reszta załogi w większości składała się z twardych, nieustępliwych żeglarzy i gotowych na każde bezeczeństwo eksniewolników z Indii oraz znad brzegów Morza Erytrejskiego. Na czarnych i ciemnobrązowych od słońca twarzach próżno szukać oznak wzajemnej sympatii. Najgroźniejszym i najbardziej bezwzględny z nich wszystkich był Ahmed, nubijski kapitan. Niestety, to właśnie ten człowiek trzymał w swoich rękach ich los. Na razie, dzięki połączeniu przebiegłości i szczęścia, udało im się przeżyć.

Gdy przepływali obok wież strzegących wejścia do portu, Tarkwiniusz trącił

Romulusa, zwracając jego uwagę na pełne niepokoju pomruki załogi. Wszyscy mieli dobre powody, żeby obawiać się najbliższych kilku godzin: na pobliskich blankach z daleka widać było rząd oddzielonych od ciał męskich głów, zakrwawionych i w różnym stanie rozkładu. To było ważne ostrzeżenie władz portu skierowane do tych, którzy zamierzali skorzystać z gościnnych kei.

– Pewnie piraci... – odezwał się ponuro haruspik.

– Innymi słowy... tacy jak my – odpowiedział Romulus, mierząc swojego przyjaciela wzrokiem od stóp do głów. Zastanawiał się, czy on wygląda równie podejrzanie. Pałace promienie słońca zamieniły kolor każdego odsłoniętego fragmentu skóry na ich ciałach w głęboki mahoń. Podobnie jak reszta załogi Romulus miał na sobie zaledwie przepaskę biodrową. Był boso, a po wielu miesiącach na pokładzie podeszwy jego stóp stwardniały. Włosy urosły. Teraz miał długą grzywę zaniedbanych, poskręcanych czarnych fal, okalających jego przystojną twarz, w dużej części osłoniętą brodą. Stał się w pełni rozwiniętym, dojrzałym dwudziestoletnim mężczyzną. Pod ciemną skórą wyraźnie rysowały się potężne mięśnie, naznaczone bitewnymi bliznami. Na jego prawym ramieniu, w miejscu, gdzie dawniej znajdowała się nieładna, rzucająca się w oczy blizna po znaku niewolnika, znajdował się tatuaż przedstawiający Mitrę uśmiercającego byka.

Podczas długiego rejsu mieli dużo czasu, aby Tarkwiniusz mógł opowiedzieć Romulusowi o kulcie boga-wojownika. Odwaga, honor i umiłowanie prawdy szczerze imponowały Romulusowi, podobnie jak to, że wszyscy wyznawcy Mitry byli sobie równi. Przyjął nową wiarę z młodzieńczym entuzjazmem, znajdując w mitraizmie szansę ukojenia żalu po Brennusie. Od jakiegoś czasu modlił się codziennie. Tatuaż był tylko innym sposobem zademonstrowania oddania. A jeśli kiedykolwiek dotrą do Rzymu, tatuaż ukryje nieregularną bliznę, która stała się powodem tak wielu problemów w Margianie.

Rzym... Ten obraz przywoływał tęskne myśli.

– Nie możemy rzucać się w oczy – powiedział Tarkwiniusz ponuro, sprawiając, że Romulus wrócił do rzeczywistości.

Ahmed również wyglądał na zaniepokojonego, ale tygodnie żeglowania wzdłuż jałowego wybrzeża Półwyspu Arabskiego bardzo uszczupliły ich zapasy żywności i wody. Ryzyko, jakie podejmowali, było konieczne.

Dziesiątki *dau* podobnych do ich jednostki cumowały burta przy burcie z większymi statkami handlowymi. Zawinęli ładnie rufą, gdy rzucone kotwice wgrzyzły się w piaszczyste dno basenu portowego. Na długim nabrzeżu krzątały się

dziesiątki mężczyzn, dźwigając pękate worki, które trafiały do ładowni statków. Wszelkie dźwięki nad wodą niosą się bardzo dobrze, dlatego bez trudu rozpoznawali krzyki kupców, śmiech kobiety, ryczenie oburzonego muła.

Nad portem górowała groźna forteca, większa niż wszystkie twierdze, jakie kiedykolwiek widzieli od czasu opuszczenia Barbaricum. Jej mury patrolowało jeszcze więcej żołnierzy w stożkowych hełmach, uzbrojonych we włócznie i łuki refleksyjne.

– Muszą mieć co chronić... – skomentował Ahmed, wskazując głową imponującą konstrukcję. Przy tym ruchu jego złote kolczyki zaślniły w promieniach słońca. Cechą wyróżniającą kapitana był szeroki nos i pełne wargi. Nubijczyk był wielką górą mięśni, a jego hebanowa skóra zwracała uwagę drobną kratownicą lekko bielących się blizn. Na jego pasie wisiał kordelas o szerokim ostrzu, usianym punkcikami rdzy i ciemniejszymi plamami.

– Kana jest jednym z najważniejszych miast w południowej Arabii – odezwał się Tarkwiniusz. – W pobliżu uprawia się głównie *olibanum*, które jest transportowane do miasta na wielbłądach. Stąd trafia do Egiptu.

Egipt! Romulus z trudem opanował gotujące się w nim emocje. Dotarcie do Kany oznaczało zakończenie ważnego etapu na drodze do domu. Byli tak blisko Rzymu! Bliżej niż wówczas, gdy dotarli do Carrhae.

Nubijczyk również trochę się rozchmurzył.

– To znaczy, że wiele statków kieruje się stąd na zachód.

W ciemnych oczach Tarkwiniusza pojawił się błysk satysfakcji. *To dobrze, że Ahmed tak pozytywnie podchodził do myśli o kontynuowaniu rejsu na zachód. Dziękuję ci, Mitro! Pozwoliłeś nam dotrzeć tak daleko. Niech nasza podróż trwa w najlepsze.*

Przyjaciele skwapliwie przyjęli propozycję dołączenia do załogi po tym, jak Romulus uratował Mustafę. Wydawało im się, że od tego momentu będzie już z górki. Wszystko było lepsze niż śmierć z rąk piratów. Jednak rzeczywistość bardzo różniła się od ich naiwnych wyobrażeń o życiu na morzu, a zasięg *dau* był mocno ograniczony. Gdy kupcy – „zwierzyna”, na którą polowali – pokonywali setki mil do Indii i z powrotem, piraci woleli nie oddalać się od swojej bazy, znajdującej się na bagiennej wyspie w delcie Indusu. W zasadzie nie było potrzeby, gdyż w pobliżu Barbaricum zawsze kręciło się wiele jednostek handlowych z pełnymi ładowniami. Po dwóch długich latach Ahmed skierował się na zachód tylko raz, gdy monsun przegnał spod Barbaricum wszystkie okręty.

Romulus cieszył się w duchu na tę decyzję i nawet niechętny Tarkwiniusz musiał

wreszcie być zadowolony.

Gdy tylko zbliżyli się do nabrzeża, zwrócił na nich uwagę jakiś tęgi mężczyzna, ubrany w czyste białe szaty. Zaczął coś niezrozumiale krzyżeć. Z tablicą i rysikiem w rękę machał do nich niecierpliwie, wskazując chyba właściwe miejsce cumowania.

– Komendant portu – powiedział Tarkwiniusz. – Dobre źródło informacji.

– I zawodowy kłamca – skomentował Ahmed, gdy przybili burta w burte do pękatego statku handlowego. – Uważajcie na słowa. To dotyczy was wszystkich!

Ludzie kiwali głowami. Zdążyli już się zorientować, jak działa w tym miejscu karząca ręka sprawiedliwości.

– Po uregulowaniu opłat portowych zajmiemy się uzupełnieniem zapasów – powiedział Ahmed. – Potrzebuję sześciu ludzi.

Nikt nie chciał pracować, zamiast spędzać czas na brzegu, więc wszyscy załoganci spuścili wzrok.

Niewzruszony kapitan po prostu wskazał kilku najbliższym stojących mężczyznom. Na szczęście Romulusa, Tarkwiniusza i Mustafy nie było wśród wybrańców.

– Reszta może robić, co chce. Ale pamiętajcie, że nie chcę żadnych kłopotów. Nie bierzcie na ląd mieczy. Tylko noże – Ahmed uniósł ostrzegawczo palec. – Zostawimy w porcie każdego, kto nie wróci na godzinę przed zapadnięciem zmroku.

Ci, którzy mieli szczęście spędzić dzień na suchym lądzie, nie omieszkali dać wyraz swojemu zadowoleniu, odsłaniając zęby z radości w szerokich uśmiechach. Minęło wiele tygodni od czasu, kiedy mogli napić się czegoś mocniejszego lub odwiedzić burdel. Mimo wczesnej pory żaden z nich nie zamierzał zrezygnować z uciech i atrakcji, jakie zapewniał duży port. Tylko ci, którzy musieli zostać na pokładzie, wyglądali na naprawdę nieszczęśliwych.

Romulus zastanawiał się nad założeniem kolczugi, którą kupił w Barbaricum, ale ostatecznie uznał, że wystarczy mu zwykła wojskowa tunika, mimo że nie wyglądała okazale i zdążyła się już trochę złachmanić. Lekko pordzewiała zbroja za bardzo rzucałaby się w oczy. Czuł się jakby nagi bez broni, ale tym razem musiał mu wystarczyć przytroczony do pasa sztylet. Tarkwiniusz uczynił podobnie. Po udarze słonecznym, jakiego się nabawił rok wcześniej, w końcu zrezygnował z noszenia napierśnika, ale z uporem godnym maniaka za nic nie chciał zdjąć osłony ud i bioder wykonanej ze skórzanych pasków. Po krótkim odpoczynku przyjaciele wskoczyli do łodzi i udali się w kierunku mola. Towarzyszył im Mustafa, który – niczym wierny pies – zwykle nie odstępował ich na krok. Na razie Romulus nawet nie próbował go powstrzymać.

Na drewnianym pomoście piętrzyły się stosy towarów. Bełe purpurowej tkaniny leżały obok skorup żółwi, dużych arkuszy miedzi i desek z twardego drewna. I te cudowne aromaty unoszące się w wilgotnym powietrzu z otwartych płóciennych worków! Potencjalni nabywcy mogli zanurzyć w nich dłonie, żeby ocenić zapach, a nawet smak przypraw oraz jakość oferowanego kadzidła.

– *Olibanum*, mirra i cynober – westchnął Tarkwiniusz. Jego oczy błyszczały. – Te ilości, które tu widzisz, czyniłyby z nas prawdziwych bogaczy.

– Nikt tego nie pilnuje? – zapytał zdumiony Romulus.

– Mają to – Tarkwiniusz wskazał twierdzą. – A przy wejściu do portu rozciągnięty jest łańcuch, który można unieść z dna i zablokować ucieczkę na pełne morze.

Romulus poczuł rosnący niepokój.

Haruspik wydawał się spokojny, więc szybko zapomniał o swoich obawach. Możliwość rozejrzenia się w mieście po tak długim czasie spędzonym na morzu była radosną perspektywą.

Wkrótce znaleźli się na wąskich uliczkach, wzdłuż których ciągnęły się prymitywne trzy- i czteropiętrowe domy, wzniesione z cegły z suszonej gliny. Zwykle na parterze takich domów znajdowały się sklepy, podobnie jak w Rzymie. Obok zakładów rzeźników były warsztaty stolarzy, budy fryzjerów, sprzedawców wyrobów metalowych, handlarzy mięsiwem różnego rodzaju, owoców i innych produktów żywnościowych.

Kobiet było niewiele – jeśli nie liczyć skąpo ubranych prostytutek, które zachęcały ich sugestywnie do skorzystania ze swoich usług. Najwięcej było chyba śniadoskórych Arabów, w charakterystycznych białych szatach, ale prawie dorównywali im liczebnie Hindusi w przepaskach biodrowych i turbanach. Od czasu do czasu widzieli jakiegoś mieszkańca Judei lub Fenicjanina, a nawet czarnoskórych mężczyzn, wyróżniających się arystokratycznymi rysami twarzy i wysokimi kośćmi policzkowymi.

Romulus trącił Tarkwiniusza.

– Nie wyglądają tak jak Ahmed.

– Pochodzą z Azanii, krainy leżącej daleko na południu od Egiptu. Mówi się, że ich kobiety są niezwykle piękne.

– Przekonajmy się i znajdziemy jakiś burdel z Azankami – odezwał się Mustafa. – Od tak dawna nie miałem żadnej kurwy!

– Najpierw tawerna – powiedział Romulus, czując coraz większe pragnienie. – Gdzieś na uboczu.

Tarkwiniusz skinął głową i Mustafa nie protestował.

Cała trójka skręciła w boczną uliczkę. Z czasem sklepów było coraz mniej i stały się coraz mniejsze. Za to liczba burdeli stale rosła, aż Mustafie oczy zaczęły wychodzić z orbit. Wszędzie uwijały się urwisy w łachmanach, domagając się monet. Romulus starał się je ignorować, trzymając czujnie rękę na sakiewce. W pewnej chwili z okna domu przed nimi wyleciały jakieś nieczystości, więc Romulus, chcąc nie chcąc, musiał ominąć stos ludzkich ekskrementów.

Tarkwiniusz wybuchnął śmiechem.

– Jak w Rzymie, co?

Romulus skrzywił się z niesmakiem.

– Śmierdzi tak samo. Nieważne, gdzie jesteś.

Chwilę później stanęli przed obskurną, otwartą od ulicy tawerną, która odpowiadała ich oczekiwaniom. W środku obsługa rozsypywała właśnie świeży piasek, który miał wchłaniać rozlany alkohol. Lub krew. Jedynym wyposażeniem tawerny były proste stoły i rachityczne krzesła. Słabe światło pochodziło z kilku lamp oliwnych wiszących pod niską powalą. Większość klientów tego przybytku stanowili Arabowie, chociaż dostrzegli też kilka osób z innych krain. Romulus przedarł się do drewnianego baru po napitki, a Tarkwiniusz i Mustafa zajęli stolik w rogu. Zauważyli, że kilku gości rzuciło w ich stronę ciekawskie spojrzenia, ale nikt nie zamierzał ich zaczepiać, co bardzo odpowiadało Romulusowi. Gdy kilka chwil później usiadł przy stole z dzbankiem i trzema glinianymi kubkami w dłoniach, czuł, że spojrzenia wypalają mu dziury w tunice na plecach. Dyskretnie sięgnął po sztylet i sprawdził, czy łatwo wychodzi z pochwy.

Tarkwiniusz zachowywał się swobodniej. Od razu rzucił się na wino, ale po pierwszym łyku skrzywił się nieprzyjemnie.

– Smakuje jak mocz konia zmieszany z popłuczynami po *acetum*.

– Nic innego nie mieli – tłumaczył się Romulus. – Tanie nie było, więc nie narzekaj. Pij.

Mustafa roześmiał się i opróżnił swój kubek jednym haustem.

– Pójdę jednak poszukać jakiejś kurwy. To będzie lepiej spędzony czas. Zajrzę do okolicznych burdeli – powiedział. – Nie macie nic przeciwko temu, że was na chwilę zostawię?

– Poradzimy sobie – Romulus rozejrzał się po sali i nie dostrzegł żadnego bezpośredniego zagrożenia. – Poczekamy tu na ciebie.

Mustafa skinął głową i zniknął.

Po jakimś czasie wino zaczęło smakować im trochę bardziej. Romulus uniósł kubek w cichym toaście za Brennusa. W ciągu ostatnich miesięcy miał wiele czasu, żeby dobrze zastanowić się nad ostatnim prezentem, jaki ofiarował mu Gal. Podczas długich rejsów jego ból zelżał, ale to nie znaczyło, że zniknął żal. Czuł, że ma wielki dług do spłacenia. Nie siedziałby teraz w tawernie, gdyby jego przyjaciel się dla niego nie poświęcił. Romulus był pewien, że Mitra pochwaliłyby zachowanie Brennusa.

Znów zaczął rozmyślać o tym, jak będzie wyglądał jego powrót do Rzymu. Czuł ciepło, które rozprzestrzeniało się w jego brzuchu. Wyobrażał sobie, jak zareaguje na widok miasta. Fabioli. I Julii! Pracownicy wyszynku poznanej ostatniej, pamiętnej nocy w stolicy.

– Witamy w Kanie – usłyszeli jakiś głos po łacinie.

Romulus prawie zakrzuszył się winem. Poczzerwieniał ze złości i spojrzął na nieproszonego gościa, który stanął przy ich stole.

Mężczyzna był wysoki. Miał wydatną, wydłużoną szczękę i krótko przycięte włosy. Wcześniej siedział przy stole obok. Jego trzej towarzysze, mocno zbudowani mężczyźni uzbrojeni w miecze, nie wstali, ale bacznie przyglądali się całej scenie.

– Czy my się znamy? – zapytał chłodno Tarkwiniusz.

– Nie, przyjacielu – odezwał się nieznajomy, unosząc ręce w geście świadczącym, że jest nastawiony pokojowo. – Nie spotkaliśmy się wcześniej.

– Czego chcesz?

– Zamienić kilka słów w przyjaznej atmosferze. Rzymianie są bardzo rzadkimi gośćmi w Kanie.

Romulusowi udało się odzyskać panowanie nad sobą.

– A kto powiedział, że jesteśmy Rzymianami?

Przybysz wskazał na skórzaną spódnicę Tarkwiniusza i wyblakłą tunikę wojskową Romulusa.

Żaden z przyjaciół nie odezwał się, żeby potwierdzić jego obserwacje.

Jednak mężczyzna łatwo się nie zniechęcił.

– Nazywam się Lucjusz Warus, *optio* i weteran Legionu VII – wyjaśnił. – Jestem tu jednak jako współwłaściciel statku handlowego. Co roku żegluję pomiędzy Egiptem i Arabią, kupując i sprzedając różne towary.

Łatwo można było wynioskować po drogiej tunice i dużym pierścieniu ze

szmaragdem, że Warusowi wiedzie się na wojskowej emeryturze całkiem nieźle.

W Romulusie obudziła się ciekawość.

– Czym handlujesz?

– Przywożę italskie wina, oliwę z oliwek, greckie posągi i miedź. A na *olibanum* i mirrę zawsze znajduję chętnych w Egipcie i w Rzymie. Szylkret i twarde drewno też dobrze się sprzedają.

Rzym... Ten człowiek niedawno był w Rzymie!

– Wy nie jesteście kupcami?

Sonduje nas. Krótka rozmowa chyba nikomu nie zaszkodzi?

– Nie – odpowiedział pewnie Tarkwiniusz. – Wracamy do Italii.

– Wracacie? Ile was nie było?

Romulus skrzywił się na samą myśl o tym, ile lat spędzili z dala od cywilizacji.

– Minęło pięć lat.

– Naprawdę? – Warus nie udawał swojego zdziwienia. – Nawet podróż do Indii zajmuje mniej niż dwanaście miesięcy w jedną stronę.

Romulus i Tarkwiniusz spojrzeli po sobie.

– Walczyliśmy w armii Krassusa – Tarkwiniusz cedził słowa.

– Na jaja Wulkana! – Warus otworzył i zamknął usta ze zdumienia. – Jesteście dezertierami?

– Waż słowa! – warknął Romulus, uderzając pięścią w stół.

– Spokojnie, przyjacielu. Nie chciałem nikogo urazić – powiedział Warus pojednawczym tonem. Jego zaniepokojeni towarzysze unieśli się za stołem, ale Warus szybko uspokoił ich gestem. Potem spojrział wymownie na karczmarza i na ich stole błyskawicznie pojawił się dzbanek z winem. Warus rozlał trunek i jako pierwszy wychylił pół kubka, pokazując, że nie mają się czego obawiać.

– Spróbujcie – namawiał. – Najlepsze falernijskie. Sam je tu sprowadzam.

Tarkwiniusz upił łyk. Po chwili jednak w miejscu podejrzliwego grymasu na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Romulus z nieco większą swobodą sięgnął po wino. Nie żałował sobie, wypełniając go niemal po obrzeże. Minęło wiele lat od czasu, gdy po raz ostatni próbował czegoś, co smakowało lepiej niż ocet.

– Nie wszyscy żołnierze Krassusa zginęli pod Carrhae – wyjaśnił Tarkwiniusz. – Dziesięć tysięcy dostało się do niewoli.

– Tak... do Rzymu dotarły te straszne wieści – zawołał Warus. – Jednak jakoś dziwnie szybko zapomniano o tej hańbie. Co się z wami działo?

– Partowie poprowadzili nas ponad tysiąc pięćset mil na wschód – powiedział gorzkim głosem Romulus. – Do miejsca, które opuścili nawet bogowie.

– Gdzie?

– Do Margiany.

Warus wyglądał na zaintrygowanego.

– Mieliśmy pełnić służbę na granicy – ciągnął Romulus. – Walczyć z wrogami Partów. Sogdyjczykami, Scytami i Hindusami.

– Ciężki los... – mruknął Warus. – Na Jowisza! Zwłaszcza że wielu legionistów Krassusa było doświadczonymi żołnierzami, którzy już zbliżali się do końca służby.

– Pociągnął łyk wina. – Wy dwaj uciekliście, tak?

Romulus skinął głową ze smutkiem, przypominając sobie, jaki był koszt tej ucieczki.

Zmiana nastroju nie uszła uwadze Warusa.

– To musiała być trudna podróż. Nie ma co do tego wątpliwości.

– Tak – Romulus nie zamierzał kontynuować tego tematu. – Ale w końcu dotarliśmy do Barbaricum.

Jak wszyscy kupcy, Warus musiał słyszeć o tym wielkim porcie handlowym.

– A potem?

– Poprosiliśmy o pomoc kupca zmierzającego do Arabii z ładunkiem przypraw i drewna – skłamał Tarkwiniusz gładko. – No i jesteśmy tu. W Kanie.

– Na Jowisza! Przemierzyliście cały świat – odezwał się zadziwiony Warus. – A myślałem, że po prostu paracie się ochroną statków handlowych.

Ciągle rozpamiętujący pożegnanie z Brennusem Romulus wyciągnął swój sztylet i położył go płasko na stole. Na tym dystansie mógłby przebić Warusa, a jego towarzysze nie zdążyliby zareagować.

– Nie lubię być oskarżany o kłamstwo – wycodził.

Tarkwiniusz spojrział twardo na Warusa.

– Musisz zrozumieć, że wiele przeszliśmy.

– Oczywiście – odpowiedział kupiec szybko. – Twoja opowieść jest niezwykła.

– Myśl, co chcesz – powiedział Tarkwiniusz łagodnie. – To prawda. Jesteśmy szczęściarzami. Wciąż żyjemy, a reszta chłopaków gnije w Margianie.

Warus przyjrzał im się uważnie jeszcze raz. Tym razem dostrzegł też ślady świadczące o tym, co przeszli jego rozmówcy. Wojskowa tunika Tarkwiniusza była miejscami poprzecierana, podobnie jak skórzane paski osłaniające uda. Żaden z nich

nie wyglądał jak ktoś wynajęty do ochrony ładunku przypraw.

– Przepraszam – powiedział, wypełniając ich kubki po brzegi. Wzniósł toast. – Za tych, co znajdują się pod opieką bogów.

Romulus schował nóż. Wypili.

Przez jakiś czas nikt się nie odezwał.

– A zatem niewiele wiecie o aktualnej sytuacji w Rzymie, prawda? – zapytał Warus. – A nie jest dobrze.

– Nic nie słyszeliśmy – odezwał się żywo zaciekawiony Romulus.

Również Tarkwiniusz skupił na Warusie całą swoją uwagę.

– Opowiedz nam – poprosił.

– Mniej więcej przez ostatnie cztery lata pogarszały się relacje między Pompejuszem i Cezarem. Zaczęło się po śmierci Julii, żony Pompejusza, a córki Cezara. Słyszeliście o tym?

Romulus skinął głową. Te wieści dotarły do nich, gdy armia Krassusa wylądowała w Azji Mniejszej.

– Potem Krassus zginął i całą równowagę triumwiratu trafił szlag! – Warus zmarszczył brwi. – Jednak Cezar był zbyt zajęty kampanią w Galii, więc Pompejusz miał trochę więcej swobody. Przez jakiś czas obserwował wydarzenia z dystansu. Politycy ze wszystkich siedmiu wzgórz walczyli o posady. Uciekali się do zastraszania, przekupstw, a nawet morderstw. Przystępczość rosła, aż w końcu wybuchły regularne zamieszki. Winę za to trzeba przypisać bojówkom Klodiusza i Milona. Ich gangi walczyły o kontrolę nad miastem. Nawet w środku dnia na ulicach nie było bezpiecznie.

– Brzmi strasznie – odezwał się Romulus, który chłonał każde słowo kupca. Przypomniał sobie obrazy z wizji przy ukrzyżowanym legioniście.

– Było strasznie! Sytuacja wymknęła się spod kontroli, gdy Klodiusz zginął z rąk gladiatorów pracujących dla Milona. To było prawie trzy lata temu.

– Milon od jakiegoś czasu płacił gladiatorom za pomoc. Dobrze mówię? – Romulus pamiętał, że niektórym gladiatorom powierzano specjalne misje na mieście. Chętnie korzystali z okazji.

– To prawda – odrzekł Warus. – Tylko że przesadzili, mordując Klodiusza. Zwolennicy tego ostatniego wpadli w szaf. Na Forum Romanum rozegrała się walna bitwa. Zginęły setki ludzi. Ci skurwiele podpalili nawet budynek senatu!

Romulus zbladł. Jego wizja naprawdę *była* prawdziwa! Spojrzał na Tarkwiniusza,

który przesłał mu ledwo uchwytny, uspokajający uśmiech, ale nie poczuł się lepiej.

Warus nie zauważył tej wymiany spojrzeń. Przejęty kontynuował swoją opowieść.

– Wtedy senat nie miał już wielkiego wyboru. Powierzono Pompejuszowi urząd konsula z dyktatorską władzą. Jeden z jego legionów, dowodzony przez Marcusa Petrejusza, został wprowadzony do Rzymu w celu stłumienia zamieszek – widząc ich niedowierzające spojrzenia, Warus skrzywił się. – Tak, wiem. Żołnierze w stolicy! Ale faktem jest, że udało się zaprowadzić porządek. A po tym, jak Milon został zesłany do Massilii, przez wiele miesięcy był spokój.

Romulus próbował się rozluźnić. Tarkwiniusz twierdził, że Fabiola nie zginęła w zamieszkach na forum, więc miał nadzieję, że jest bezpieczna. *Mitro! Jowiszu! Największy i najlepszy, opiekujcie się moją siostrą.*

– Jednak Katon i jego optymaci wciąż znajdowali się na wojennej ścieżce – kontynuował Warus. – Chcieli sprowadzić Cezara do Rzymu i postawić go przed sądem. Zarzucali mu użycie siły podczas poprzedniej kadencji jako konsula, przekroczenie uprawnień w trakcie kampanii w Galii. Tyle że Cezar nie chciał zrzec się swoich przywilejów i za wszelką cenę utrudniał działania oskarżycieli. Jego kampanie sprawiły, że stał się niewiarygodnie bogaty, więc mógł kupić każdego polityka, który nie miał nic przeciwko przyjęciu jego pieniędzy.

– Sprytnie – stwierdził Tarkwiniusz.

– Zwolennikom Cezara wielokrotnie udawało się uniemożliwić działania optymatów, którzy próbowali osaczyć ich lidera – zgodził się Warus. – W rezultacie obrady senatu często kończyły się impasem.

– A Pompejusz obserwował to z dystansu, nie opowiadając się po żadnej ze stron? – zapytał Romulus.

– Tak. Często wymawiał się chorobą albo po prostu nie brał udziału w istotnych debatach – Warus wzruszył ramionami. – Myślę, że po prostu starał się trzymać z dala od kłopotów.

– Albo dokładnie wiedział, co się stanie – stwierdził Tarkwiniusz.

– Możesz mieć rację – zgodził się Warus z ciężkim westchnieniem. – Ostatecznie Pompejusz dołączył do optymatów i związał się z tymi, którzy chcą głowy Cezara na talerzu. Dziewięć miesięcy temu tylko weto Kuriona, trybuna opłacanego przez Cezara, uniemożliwiło uchwalenie dekretu wzywającego go do Rzymu przed oblicze sprawiedliwości. Podjęto jednak więcej prób. To tylko kwestia czasu, kiedy się uda.

– Chcą zagnać Cezara w kozi róg, tak żeby nie miał żadnej możliwości manewru –

powiedział Romulus. To wszystko zaczynało wyglądać niepokojąco. Tyle zmieniło się od czasu, gdy opuścił stolicę. Na gorsze. Gdyby nawet udało mu się wrócić, to co go czeka w Italii? Co się stanie z Fabiolą? Nagle okazało się, że ma o wiele więcej trosk i nie może myśleć wyłącznie o zemście.

Warus pokiwał głową z rezygnacją.

– Jeśli będą za wszelką cenę dążyć do upokorzenia Cezara, ten na pewno nie podporządkuje się potulnie decyzjom senatu.

– Myślisz, że wybuchnie wojna domowa? – dociekał Romulus.

– Kto to wie? Gdy opuszczałem Rzym, ludzie w łaźniach i na ulicach powtarzali takie plotki.

Romulus nie potrafił wyjaśnić dlaczego, ale z jakiegoś powodu kibicował Cezarowi. Może to z powodu tej okrutnej walki grupowej sponsorowanej przez Pompejusza, w której uczestniczyli z Brennusem? Tego dnia zginęło wielu gladiatorów, którym nietypowo nakazano walczyć na śmierć i życie. Nie, to musiało być coś więcej... W przeciwieństwie do Krassusa Cezar wydawał się wielkim, inspirującym przywódcą – człowiekiem, którego chce się naśladować. A Romulusowi nie podobała się myśl o tym, że jakaś grupa może dążyć do zniszczenia takiego człowieka. Sam był zmuszany do walki o swoje w *ludus* i potem w Margianie, gdy większość legionistów uznała go za niegodnego służenia w Zapomnianym Legionie.

Z kolei Tarkwiniusz w pewnym sensie cieszył się z tego, że Republika pogrążyła się w chaosie. Rzym, który zmiażdżył Etrusków, wyciął w pień jego lud, teraz znajdował się na krawędzi wojny domowej. Po chwili jednak, niepewny, zmarszczył brwi. Choć nienawidził Rzymu, anarchia też nie była najlepszym wyjściem. Jeśli Republika upadnie, to co powstanie na jej miejscu? Usłyszał w głowie mocny jak dzwon głos Olenusa, który ostrzegał: *Cezar musi pamiętać, że jest śmiertelny. Twój syn musi mu o tym przypomnieć.* Poczul dreszcze przebiegające mu po plecach. Zerknął z ukosa na Romulusa. Czy to dlatego Mitra chronił ich przez cały czas przed niebezpieczeństwami?

Doznał olśnienia. Dlaczego nie pomyślał o tym wcześniej? Znów popatrzył na Romulusa, który znaczył dla niego tak wiele... jak syn?

Nagle Tarkwiniusz zeszywniał. Wyczuł grożące im bliskie niebezpieczeństwo.

– Dobrze, że nie służymy teraz w armii. To pewne – powiedział Warus w lepszym nastroju. – Kto chciałby walczyć ze swoimi braćmi?

Przyjaciele nie odpowiedzieli. Romulus znów się rozmarzył, zagubiony we

wspomnieniach z Rzymu. Tymczasem Tarkwiniusz mocno się skoncentrował i spoglądał w przestrzeń niewidzącymi oczyma.

Nagle Warus wyszczerzył zęby.

– Dlaczego nie mielibyście dla mnie pracować? Dobrze zapłacę.

Tarkwiniusz odezwał się sztywno.

– Dziękujemy, ale nie jesteśmy zainteresowani.

Rozczarowany Romulus zauważył nieobecne spojrzenie haruspika, które często zapowiadało prorocstwo. Już miał coś powiedzieć, ale protest nie opuścił jego gardła. Czuł, że coś wisiało w powietrzu.

Tarkwiniusz wychylił kubek i wstał.

– Dziękujemy za wino – powiedział. – Niech twoja podróż przyniesie ci wiele korzyści. Musimy iść.

Skinął głową na Romulusa.

Zostawiając za sobą zdezorientowanego Warusa, przyjaciele czym prędzej opuścili tawernę.

– Co się dzieje?

– Nie jestem pewien. Coś nam grozi.

Uszli zaledwie kilka kroków, gdy usłyszeli stukot sandałów szybko biegnącego człowieka. Już na najbliższym skrzyżowaniu ujrzeli pędzącego Zebulona, Judejczyka, członka załogi ich okrętu. Był jednym z ludzi wybranych przez Ahmeda do pomocy przy zbieraniu prowiantu. Pomachał im energicznie.

– O co chodzi? – zawołał Romulus.

Zebulon zwolnił. Jego klatka piersiowa falowała z wysiłku.

– Wracajcie na *dau*!

– Dlaczego? – dopytywał Tarkwiniusz. – Co się stało?

Zebulon przysunął się bliżej.

– Celnicy – wyszeptał. – Przeszukują wszystkie statki.

Nic więcej nie musiał mówić.

Romulus znów poczuł respekt przed zdolnościami haruspika. Po chwili jednak przypomniał sobie, że nie przyszli tu sami!

– Mustafa! Gdzie on jest?

– W tej uliczce jest co najmniej kilkanaście burdeli – odezwał się Tarkwiniusz. – Nie możesz przeszukiwać wszystkich. Romulus instynktownie uniósł wzrok na wąski wycinek nieba, widoczny pomiędzy budynkami ciągnącymi się wzdłuż ulicy.

Nic. Żadnego znaku podpowiedzi. Sfrustrowany popatrzył na Tarkwiniusza.

– Nie możemy go tak zostawić.

– Nie mamy czasu – mruknął haruspik. – A Mustafa jest panem własnego losu.

Znajdzie miejsce na każdym statku.

Zebulon też nie miał zamiaru szukać załoganta.

Romulus potrząsnął gwałtownie głową. To nie tak jak z Brennusem, którego zostawili na nadbrzeżnej plaży po to, by wypełnił się jego los. A po pięciu latach piekła ostatnią rzeczą, jakiej pragnął Romulus, było skazanie i egzekucja za piractwo. Jednak jeśli celnicy znajdą *olibanum* zrabowane z nadmorskich wiosek, czeka ich właśnie taki los. Wszyscy zostaną skazani na śmierć. Uzmysłowanie sobie tego przez Romulusa sprawiło, że znalazł w sobie nowe źródło energii i wkrótce wyprzedził w biegu zarówno Zebulona, jak i Tarkwiniusza. Przepychając się przez tłum, pędzili co tchu przez labirynt ulic w stronę portu.

Już na nabrzeżu usłyszeli podniesione głosy i krzyki. Zebrał się spory tłum gapiów. Jak wszyscy ludzie na całym świecie, mieszkańcy Kany z przyjemnością zabijali nudę codziennej egzystencji, obserwując, jak komuś dzieje się krzywda.

Gdzieś w połowie nabrzeża Romulus dostrzegł komendanta portu w towarzystwie kilku urzędników i grupy zbrojnych. Jakiś tęgi jegomość gestykułował zawzięcie, rozmawiając z kapitanem dużego statku handlowego, zacumowanego w pobliżu straganów kupców. Na jego sygnał żołnierze nałożyli strzały na cięciwy.

Niezadowolony z perspektywy przeszukania jednostki, kapitan nie ruszał się z miejsca.

Komendant wskazał go ręką, w geście, z którego dało się wyczytać złość. Żołnierze natychmiast unieśli łuki i wycelowali w marynarzy na pokładzie. Tłum zareagował głośnymi jękami. Wreszcie kapitan splunął do morza, godząc się z porażką. Machnął wściekle ręką, pozwalając urzędnikom wejść na swój okręt. Pyszałkowaty komendant pierwszy wstąpił na trap. Po nim natychmiast ruszyło kilku żołnierzy. Inni obserwowali czujnie otoczenie, wciąż mierząc z łuków do załogi.

– Teraz mamy szansę – odezwał się Romulus. – Kiedy są zajęci tamtym.

Powoli, żeby nie zwracać na siebie uwagi, ruszył po nabrzeżu, przebijając się przez tłum gapiów. Tarkwiniusz i Zebulon deptali mu po piętach. Nikt nie poświęcił im spojrzenia. To, co działo się na pokładach, było dla gapiów o wiele bardziej interesujące.

Ahmed krążył już niespokojnie po pokładzie *dau*.

– Widzieliście kogoś z naszych? – zapytał szybko.

Pokręcili głowami przecząco.

– Tylko tych, których już odesłałem – powiedział Zebulon. – No i tych dwóch.

– Bogowie! – Ahmed splunął. – Nadal trzech brakuje.

Załoga nic tu nie zawiniła – pomyślał dotknięty Romulus. Mieli wrócić najpóźniej na godzinę przed zachodem słońca. Zebulon i tak miał szczęście, że odnalazł tyłu ludzi.

Muskularny Nubijczyk przechadzał się po pokładzie od dziobu po rufę, a załoga przygotowywała okręt do wypłynięcia na morze, starając się przy tym nie zwracać na siebie zbytnej uwagi. Gdy żołnierze skończyli sprawdzać pierwszy statek, Ahmed był już bardzo zdenerwowany. Mimo że dzieliły ich od celników jeszcze dwie jednostki, kapitan uznał, że nie może dłużej czekać. Utraty trzech członków nie można było porównywać z perspektywą śmierci w męczarniach całej załogi, gdyby ktoś odkrył, że są piratami.

– Cumy rzuć...

Zaniepokojeni załoganci natychmiast wykonali cichszy niż zazwyczaj rozkaz.

Romulus nie potrafił się opanować.

– A co z Mustafą?

– Głupiec będzie musiał radzić sobie sam – warknął Ahmed. – Podobnie jak pozostali.

Romulus odwrócił wzrok. Nie mógł pozbyć się poczucia winy, że zostawiają długowłosego osiłka w porcie. Szybko zmówił modlitwę, prosząc bogów, aby czuwali nad Mustafą, który przez ponad dwa lata dzielił z nimi niewygody życia na morzu.

Potem popatrzył na rzędy włócznie na blankach murów z nabitymi na nich głowami. Bez oczu, niemal bez kawałka skóry na czaszkach, z wyszczerzonymi zębami przypominały demony podziemi. Kiedyś to byli ludzie. Przestępcy. Kryminaliści. Piraci. Smród rozkładających się ciał dotarł do nozdrzy Romulusa. Żołądek podszedł mu do gardła. Musiał przenieść wzrok na otwarte morze.

Rozdział XXIII

Rubikon



Rawenna, północna Italia, zima 50/49 r. p.n.e.

Fabiola drżała na całym ciele. Przysunęła się bliżej ognia. Grzane wino, grube ubrania, ogrzewanie podłogowe... a mimo to było jej zimno nawet w łóżku. W żaden sposób nie mogła rozgrzać swoich zmarzniętych kości. Na zewnątrz śnieg skrył świat pod grubą pierzyną, a zimny wiatr gwizdał w szparach pomiędzy czerwonymi dachówkami budynku. I tak przez cały tydzień. Fabiola zacisnęła usta. Zaczął się nowy rok, ale pogoda w ogóle się nie poprawiała. Podobnie jak jej nastrój.

Oczywiście zły humor Fabioli nie wynikał tylko z kiepskiej pogody. A przecież było sporo powodów, żeby się cieszyć. Wciąż miała dach nad głową i mieszkała z kimś, kto będzie kształtować przyszłość Rzymu. Mimo to czuła się pusta w środku.

Wróciła myślami do wydarzeń ostatnich dwóch lat po odnalezieniu Brutusa w Galii. Miłe wspomnienia tych chwil, gdy znalazła się w jego ramionach, zawsze będą miały gorzki posmak z powodu tego, co stało się podczas uczty, która odbyła się kilka godzin później. Popełniła głupią gafę i obraziła Cezara. Straciła pewność siebie i rozgniewała swojego kochanka. Brutus był bardzo lojalny wobec generała i musiało minąć wiele miesięcy, żeby naprawić szkody, jakie wyrządziła. Jednak przekonywania, pieszczoty i kuszenie sprawiły, że Brutus w końcu znów uległ jej czarowi. Obiecywała sobie wtedy, że już nigdy więcej nie powtórzy takiego błędu, przez który musiała najeść się wstydu w obecności wielu znajomych i rywali Brutusa. Po tym, jak Cezar pozwolił sobie na ledwo zawołowaną groźbę pod jej adresem, starała się nie zwracać na siebie uwagi i musiała na jakiś czas zapomnieć o jakichkolwiek działaniach, które mogłyby jej pomóc w poznaniu tożsamości ojca. Na kwaterze Brutusa nie musiała martwić się ani o Cezara, ani o Scewolę, ani o kogokolwiek innego. Zdezorientowana i przerażona schowała głowę w piasek.

Przez pewien czas to jej wystarczało.

Jednak świat wokół niej nie stał w miejscu.

Po rozbiciu buntowników pod Alezją cała Galia wpadła w ręce Rzymu. Aby uczcić oszałamiające zwycięstwo Cezara, senat przegłosował dwudziestodniowe święto. Przyznał mu także rzadki przywilej kandydowania na urząd konsula zaocznie, bez typowej w tym przypadku konieczności udania się do stolicy. Uchwalone dzięki działaniom sojuszników Cezara nowe prawo podzieliło senat i bardzo zaniepokoiło Katona oraz optymatów. Jeśli Cezar będzie mógł płynnie zmieniać stanowiska, to znaczy z prokonsula Galii – bo takie stanowisko właśnie zajmował – stać się konsulem Republiki, to nigdy nie stanie się zwykłym obywatelem i nie będzie musiał odpowiadać przed świeckimi sądami. Choć to zagadnienie jakoś w ogóle nie interesowało społeczeństwa rzymskiego, wśród zaciekłych wrogów Cezara urosło do miana herezji. Od czasu niezgodnych z prawem działań Cezara, który podczas pierwszej kadencji jako konsul miał rzekomo dopuszczać się zastraszania i aktów przemocy wobec innego konsula i licznych polityków, ludzie ci czekali na okazję ukarania jego występków. I teraz miało się okazać, że będą musieli poczekać jeszcze dłużej. Sieć intryg i spisków rozrastała się. Pojawiały się różne plotki. Gracze na głównej scenie politycznej dobijali targów, a w senacie wygłaszano płomienne mowy. Jedno było pewne: Katon nie spocznie dopóty, dopóki nie ukarze Cezara. Nawet jeśli ta misja miałaby mu zająć resztę życia, Cezar stanie przed obliczem sprawiedliwości w Rzymie.

Przebywający przez cały czas w Galii Cezar dobrze wiedział, co dzieje się w stolicy. Jednak mimo ogromnej frustracji nie mógł wiele zrobić. Znów wybuchły powstania. Pomimo klęski Wercyngetoryksa pod Alezją niektóre plemiona ciągle odmawiały całkowitego podporządkowania się Rzymowi. Konieczne było jeszcze dwanaście miesięcy kampanii, żeby doprowadzić sprawę do końca i ostatecznie ujarzmić Galię. Towarzysząc w tym czasie Brutusowi i jego generałowi, Fabiola mogła na własne oczy zobaczyć, z jaką wściekłością Cezar przyjmował próby optymatów upokorzenia i ukarania go. W miarę jak Brutus zdradzał jej w łóżu szczegóły zakulisowych rozgrywek, ciekawość Fabioli rosła. Gdy przypomniwała sobie argumenty Brutusa – który, chociaż często skromnie się krygował, jednak naprawdę potrafił zarażać entuzjazmem i przekonywać do swoich racji – w końcu czarne myśli odeszły.

Brutus pytał: Czy senat naprawdę nie wie, jak wiele zrobił Cezar dla Rzymu? Jakie groziło Rzymowi niebezpieczeństwo? Ile chwały przysporzył Rzymowi? Miał

po prostu rzec się dowodzenia i wyruszyć do jaskini lwa, podczas gdy Pompeusz nadal mógł dowodzić wszystkimi swoimi legionami? Nic dziwnego, że odmówił wykonania żądań optymatów. Gdyby sama znalazła się w takiej sytuacji, na pewno nie pozbyłaby się swoich żołnierzy. Wątpiła też, czy byłoby stać na to arcyrywala Cezara, Pompejusza.

Jednak Katon, niczym pies tropiący szczura, nie rezygnował, traktując usidlenie Cezara jak swoją wielką misję. Mijały miesiące, a kolejne sesje senatu nadal wypełnione były niekończącymi się debatami na temat tego, co zrobić z Cezarem. Ile legionów powinien utrzymać? Ilu miał mieć legatów? Kiedy dokładnie ma zrezygnować ze stanowiska? Optymacy rośli w siłę, przekonując kolejnych senatorów, ale góry galijskiego złota przesyłanego przez Cezara swoim sprzymierzeńcom wciąż pozwalały zachować *status quo*. Opłacany przez Cezara Kurion, elokwentny trybun, wetował również wszystkie wnioski o doprowadzenie Cezara przed oblicze senatu. Z zatrwającą nieuchronnością senat zaczął dzielić się na dwie skonfliktowane i nieznajdujące drogi porozumienia grupy. W związku z coraz bardziej bezkompromisowym działaniem optymatów zachowanie neutralności w tym konflikcie stawało się prawie niemożliwe. Jednak ze znanych chyba tylko samemu Pompejuszowi powodów ciągle oficjalnie nie opowiedział się on po żadnej ze stron. A właściwie czasami zgadzał się z optymatami, innym razem stawał po stronie popularów. Jednak Katon i jego sojusznicy pracowali nad nim od dłuższego czasu, przekonując niestrudzenie do słuszności swojej argumentacji. Pompeusz w końcu ustąpił. Jego komentarze na początku były tylko zawołanymi groźbami, ale w ciągu ostatnich miesięcy stawały się coraz bardziej jednoznaczne.

Fabiola przyglądała się płatkom śniegu wirującym w podmuchach wiatru za oknem. Poczowała, że zimno dociera także do jej serca. Wyobrażała sobie ten dzień, ale nigdy tak naprawdę nie myślała, że sprawy obiorą aż tak zły obrót.

Ponad miesiąc wcześniej Kurion tak umiejętnie poprowadził dyskusję w senacie, że politycy podjęli uchwałę o oddaniu przez Pompejusza dowodzenia legionami we Włoszech i w Hiszpanii. Główny konkurent Cezara miał rzec się dowodzenia nie później niż w dniu, w którym uczyni to Cezar. Uchwała ta była przykładem błyskotliwej dyplomacji w obliczu poważnego konfliktu. *Co więcej, takie rozwiązanie byłoby też po prostu uczciwe* – myślała Fabiola. Jednak niezadowoleni ekstremiści w senacie naciskali Pompejusza, zmuszając go do jasnego opowiedzenia się po którejś ze stron. Następnego dnia odwiedził go bowiem jeden z konsulów. Wręczył miecz i poprosił o obronę republikańskich wartości. O stanięcie na czele legionów

i ruszenie przeciwko Cezarowi. Czy Pompejusz zdawał sobie wówczas sprawę ze swoich deklaracji? Tak czy owak, optymaci zgłosili się do jedyne go człowieka, który ze swoją ogromną armią mógł stawić czoła Cezarowi. Pompejusz odpowiedział po chwili wahania: „Zrobię to, jeśli nie znajdzie się inne rozwiązanie”. Ta niefortunna odpowiedź stała się zarzewiem dalszych konfliktów, gdyż natychmiast doszło do mobilizacji oddziałów.

Cezar zareagował w typowy dla siebie sposób. Dwa legiony pomaszerowały z Galii prosto do Rawenny, znajdującej się zaledwie dwadzieścia pięć mil od granicy, wyznaczonej na rzece Rubikon.

Po raz pierwszy od dwóch pokoleń Republika naprawdę stanęła na krawędzi wojny domowej.

Fabiola z przekonaniem opowiadała się za obozem Cezara. Nie było w tym nic dziwnego, była przecież kochanką Brutusa. Jej dawne podejrzenia i całkiem świeży strach przez Cezarem błędy w konfrontacji z podziwem, jaki musiały wzbudzać jego dokonania. Ten człowiek nie był tylko utalentowanym dowódcą, który sprawdził się na wielu polach bitew. Cezar inteligentnie zachowywał się w czasie całej tej burzy politycznej, która szalała od dawna. Nawet teraz, gdy wydawało się, że wszystko stracone, przedłożył przedstawicielom senatu rozwiązania, które mogły zakończyć ten impas. Jednak optymaci byli głusi na jego argumenty. Propozycja Cezara, zakładająca natychmiastowe oddanie władzy w Galii Zaalpejskiej i zrzeczenie się władzy w innych prowincjach w dniu jego wyboru na drugi konsulat, została odrzucona. Potem powrócono do propozycji oddania dowodzenia w tym samym czasie co Pompejusz. Nawet próba negocjacji podjęta przez Cynceroną nie przyniosła żadnych rozwiązań. Trzy dni wcześniej pojawiła się propozycja uchwały nakazującej Cezarowi rozwiązanie swoich legionów do marca bieżącego roku pod groźbą uznania go za zdrajcę Republiki, jednak została ona zawetowana przez Marka Antoniusza i Kasjusza Longinusa, nowych trybunów. Obaj wymienieni senatorowie od dawna zachowywali lojalność wobec Cezara.

Jak powiedział Brutus, Cezar został zapędzony w kozi róg. To nie był najlepszy sposób postępowania z tak utalentowanym generałem.

Fabiola robiła, co mogła. A mogła się tylko modlić. I modliła się codziennie do Mitry, prosząc o ochronę dla siebie i Brutusa. I choć znalazła się w obozie wspierającym Cezara, nie prosiła o pomoc dla niego. Jakaś jej część po prostu nie byłaby w stanie tego zaakceptować. Czy chodziło o ostrzeżenie druida, którego słowa często powracały do niej w snach i na jawie? Nie była pewna. Poza tym Cezar

zachowywał się tak, jakby nie obchodziło go to, co myślą bogowie. Sam wybierał swój los. Czas pokaże, gdzie doprowadzi go ta droga.

Nagle usłyszała stukot podbitych ćwiekami sandałów w korytarzu. Drzwi do pomieszczenia otworzyły się. Omiótł ją podmuch zimnego powietrza. To był Brutus. Zwykle pogodne oczy jej mężczyzny teraz miały gromy.

– Moja miłości! – zawołała Fabiola, wstając, żeby się z nim przywitać. – Co się stało?

– Optymaci znów złożyli ten cholerny wniosek w senacie – odpowiedział zdenerwowany Brutus. – Domagają się od Cezara rozpuszczenia legionów do marca.

Fabiola chwyciła go za ramię.

– Ale przecież Antoniusz i Longinus zawetowali ten wniosek.

Brutus wybuchnął krótkim, sarkastycznym śmiechem.

– Nie było ich!

Zmarszczyła czoło.

– Nie rozumiem...

– Te dranie ostrzegli ich, że lepiej, aby nie uczestniczyli w głosowaniu... lepiej dla ich zdrowia i życia. Zostali zmuszeni do opuszczenia miasta. Razem z Kurionem wymknęli się w przebraniach niewolników! Wniosek przeszedł bez sprzeciwu – Brutus nie posiadał się z oburzenia. – I to oni oskarżają Cezara, że działa nielegalnie!

Wyrwał się z jej uścisku i przechadzał się po pomieszczeniu jak zwierzę w klatce.

Fabiola przyglądała mu się przez chwilę.

– Co teraz zrobi Cezar? – zapytała, chociaż chyba znała odpowiedź.

– A jak myślisz? – warknął Brutus.

Fabiola wzdrygnęła się przestraszona. Nie musiała nawet za bardzo udawać przerażenia.

Brutus od razu złagodniał.

– Przepraszam, kochanie... Cezar został ogłoszony wrogiem Republiki. Nakazano mu oddać się do dyspozycji senatu i ponieść konsekwencje swoich czynów.

– Chyba tego nie zrobi?

Brutus pokręcił przecząco głową.

Fabiola zaczęła z wahaniem.

– To znaczy... ruszamy za Rubikon?

– Tak! – wykrzyknął Brutus. – I to dziś w nocy! Legion XIII znajduje się już nad brzegiem rzeki. Czekają tylko na przybycie Cezara.

– Tak szybko? – zaskoczona Fabiola spojrzała na swojego kochanka. Nie żartował. – Co z siłami Pompejusza?

Jego usta rozciągnęły się w groźnym, wilczym uśmiechu.

– Ten głupiec nie ma żadnego oddziału w okolicy, a garnizony z Ariminum i innych pobliskich miejscowości zostały przekupione.

Fabiola odetchnęła z ulgą. A więc na razie nie czeka ich rozlew krwi.

– Co planuje Cezar?

– Znasz go... – odpowiedział Brutus, puszczając jej oczko. – Nigdy nie będzie zadowolony, jeśli nie dorwie się wrogom do gardeł.

Zbladła.

– A zatem... Rzym?

Uśmiechnął się, potwierdzając jej przypuszczenia.

Fabioli zrobiło się słabo. Tego się chyba nie spodziewała. Legiony Cezara były sprawdzone w boju i stanowiły największą siłę w historii Republiki podległą jednemu człowiekowi. Tyle że nie było ich jeszcze w Rawennie. A po zebraniu wszystkich sił Pompejusz i tak będzie miał przewagę liczebną. Zbliżające się starcie źle wróżyło przyszłości demokracji i praw zwykłych obywateli. Jak do tego doszło?

– A co z nami? – spytała Fabiola.

– W tej chwili Cezar najbardziej potrzebuje naszego wsparcia – Brutus uśmiechnął się pogodnie. – Idziemy z nim.

Fabiola poczuła mocniejsze bicie serca. Bała się. Była przerażona, ale i dziwne podekscytowana. Będzie świadkiem popełnienia przez rzymskiego wodza czynu uważanego za najbardziej zdradziecki z możliwych.

Cezar zamierza przekroczyć Rubikon pod bronią.

Poczuła trwogę. Druid miał rację. *Gdyby tylko powiedział coś jeszcze na temat Romulusa* – pomyślała z udreką.

– Więcej dowiesz się wieczorem – obiecał Brutus.

Fabiola spojrzała na niego pytającym wzrokiem.

– Cezar organizuje ucztę. Jesteśmy zaproszeni.

– Nie spotyka się z tobą i innymi oficerami? – zapytała zmieszana.

– Wręcz przeciwnie. Odrobina przyjemności przed bitwą jest tym, czego nam wszystkim trzeba – Brutus roześmiał się. – Tylko pamiętaj, żeby nie poruszać tematu Gergowii.

Fabiola zaśmiała się cicho, ale szybko spowaźniała.

– Nie martw się, kochanie. Już nigdy więcej cię nie zawiodę, stawiając w tak niekomfortowej sytuacji.

– Wiem... – Brutus przysunął się bliżej i spojrzał jej w oczy. – Mogę na ciebie liczyć bardziej niż na kogokolwiek innego.

Ten komentarz sprawił, że w sercu Fabioli zapanowała wielka radość. To było potwierdzenie, że Brutus jest teraz bardziej jej niż Cezara. Wygrała ważną bitwę.

Dla niej była ona ważniejsza niż wszystkie inne, które przyjdzie jej stoczyć.

Fabiola już dawno przestała denerwować się przed spotkaniami, w których uczestniczyli wysoko urodzeni przedstawiciele Rzymu. Do tej pory już większość towarzyszy Brutusa, jeśli nie wszyscy, znała jej historię. Chociaż Brutus nie miał o tym pojęcia, jeden lub dwóch z nich było nawet niegdyś jej klientami w Lupanarze. Niektórzy Rzymianie całkiem dobrze odnosili się do wyzwolonych niewolników, co sprawiało, że jej życie stało się odrobinę łatwiejsze. Oficerowie ze sztabu Cezara uważali ją po prostu za piękną, inteligentną młodą kobietę, którą Brutus wysoko cenił. Podejrzewała, że wielu z nich było też zwyczajnie zazdrośnych i wolałoby mieć ją dla siebie.

Tego wieczora Fabiola dziękowała bogom za swoje opanowanie nabyte w ciągu wielu lat. Poznała Longinusa, jednego z nowych trybunów. Przed spotkaniem była tak zdenerwowana, że było jej niedobrze, jednak potrafiła się opanować. Longinus przybył do obozu zaledwie kilka godzin wcześniej wraz z Antoniuszem i Kurionem, przynosząc wieści o decyzjach senatu. Ale nie to interesowało Fabiolę najbardziej. Longinus był oficerem, któremu udało się wyprowadzić swój legion z piekła Carrhae, ratując honor rzymskiej armii, a przy okazji także życie wielu żołnierzy. On też dostarczył wieści o straszliwej klęsce do Rzymu. Chociaż rozmowa z nim mogła otworzyć starą, zabliźnioną już ranę, Fabiola czuła przemożną potrzebę wypytania go nie tyle o jego opinię na temat zbliżającej się wojny domowej, ile o szczegóły wydarzeń sprzed wielu lat w Partii. Perspektywa tej rozmowy sprawiła, że jej myśli ponownie zaczęły krążyć wokół losów Romulusa.

– Dlaczego pytasz o to piekło, pani? Ja sam staram się raczej o tym zapomnieć.

Fabiola rzuciła szybkie spojrzenie ponad ramieniem Longinusa. Brutus nie patrzył w jej stronę.

Przybrała maskę bojaźliwości i pozę, która rzadko nie przynosiła spodziewanych efektów w rozmowach z mężczyznami.

– Proszę nie być tak skromnym, generale – wymruczała. – Słyszałam, że gdyby to pan dowodził pod Carrhae, ta bitwa skończyłaby się zupełnie inaczej.

Mile połączony Longinus złagodził.

– Tego nie wiem... – zaprotestował – ... ale Krassus nie słuchał tego dnia moich rad.

Pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Jak tam było?

Longinus skrzywił się.

– Nawet nie jesteś sobie, pani, w stanie tego wyobrazić. Nic, tylko piasek jak okiem sięgnąć. Temperatury wyższe niż te w Hadesie. Problemy z aprowizacją i brak wody – westchnął. – No i cholerni Partowie. Ich wojownicy w większości są stosunkowo niscy, ale jak mało kto radzą sobie z końmi i łukiem. Bogowie! Piesi legioniści po prostu nie mieli szans skrzyżować z nimi mieczy – jego twarz pociemniała. – A z powodu zdrady nabatejańskich sojuszników nie mieliśmy dość przydatnej w takich warunkach jazdy.

– Mówią, że to był największy błąd Krassusa – rzuciła Fabiola. – Brak kawalerii, której można byłoby ufać. – Z przyjemnością zauważyła wyraz szacunku pojawiający się na jego twarzy. Longinus nie wiedział, że Fabiola usłyszała o tym od Brutusa.

– To prawda – zgodził się Longinus. – Gdy nasza galijska jazda została rozbita i poległ Publiusz, syn Krassusa, reszta sojuszników po prostu uciekła. No i musieliśmy stawić czoła wrogiej jeździe. Trzydzieści tysięcy piechoty przeciwko dziesięciu tysiącom konnych, w większości lekko uzbrojonych i szybkich łuczników, którzy mieli do dyspozycji nieograniczoną liczbę strzał. Łatwo było sobie wyobrazić, co musi stać się – zastygł w ponurym milczeniu.

Mimo że Fabiola słyszała wiele niepewnych relacji i plotek na temat bitwy pod Carrhae, Longinus przedstawił jej o wiele bardziej przerażający obraz tego starcia. Ścisnęło ją w gardle na myśl o tym, co musiał przeżyć Romulus. Nie była sobie w stanie tego wyobrazić. Przelknęła ślinę, ciesząc się ze swojej wizji z mitreum. Aby brać udział w bitwie, którą widziała, jej brat musiał jakoś przetrwać klęskę armii Krassusa. *Z pewnością bogowie go chronili* – rozumowała Fabiola. – *I pewnie dalej się nim opiekują.*

– O co chodzi, moja pani?

Fabiola zdała sobie sprawę, że czymś się zdradziła. Już miała coś wymyślić, gdy nagle stwierdziła, że kłamstwo nie ma sensu. Longinus znał jej przeszłość.

– Mój brat walczył pod Carrhae – powiedziała po prostu.

– Rozumiem... Czy on też był... – Longinus przerwał, czując się trochę niekomfortowo.

– Niewolnikiem? Tak. Był. I gladiatorem – odpowiedziała Fabiola bez mrugnięcia okiem. – Myślę, że dołączył do kohorty wojsk pomocniczych jako zwykły żołnierz.

Longinusowi nie udało się ukryć zdziwienia.

– Chyba można powiedzieć, że oddziały pomocnicze nie mają... tak rygorystycznych standardów w porównaniu z legionami. Jednak większość najemników walczyła bardzo mężnie. Podczas bitwy dwudziestu dzielnych najemników zostało otoczonych przez hordy Partów. Ci jednak pozwolili im wrócić do naszych linii. Nie żeby to w ostatecznym rozrachunku uratowało im skóry... Tego dnia Rzym stracił wielu dobrych żołnierzy – spojrzał jej w oczy. – Niewielka grupa z oddziałów nieregularnych wycofała się razem z moim legionem nad Eufrat. Czy twój brat był wśród tych szczęśliwców?

Fabiola pokręciła głową.

– Nie sądzę...

Longinus poklepał ją delikatnie po ramieniu.

– Romulus przeżył jednak tę bitwę – powiedziała stanowczo.

Longinus rzucił jej spojrzenie pełne niedowierzania.

– Jestem tego pewna.

– Rozumiem. Jeśli tak, to... – po jego twarzy przemknął nieautentyczny uśmiech.

– Kto wie? To możliwe.

Fabiola uśmiechnęła się do niego szczerze. Szpakowaty trybun starał się oszczędzić jej brutalnej rzeczywistości, uświadamiając jej los, jaki spotkał większość rzymskich żołnierzy. Ale on nie widział obrazów, jakie zesłał jej Mitra po wypiciu *homa*. Nie słyszał słów umierającego druida. Druid zmarł i nie zdążył powiedzieć jej wszystkiego, ale to znaczyło, że ciągle jeszcze była nadzieja. Los okazał się łaskawy dla niej, musiała więc wierzyć, że i los Romulusa nie był o wiele gorszy. Że bogowie zachowali jakąś równowagę, obdzielając ich łaskami. Mogła tylko tak myśleć albo pogрузić się w otchłani szaleństwa.

– Fabiola? – głos należał do Brutusa. – Cezar prosi nas do siebie.

Longinus kiwnął głową i odsunął się na bok.

Fabiola podziękowała mu cicho i udała się za Brutusem, który wydawał się zachwycony wyróżnieniem Cezara.

– Czego on chce? – zapytała nerwowo. Od czasu Alezji nie byli zapraszani na

takie prywatne rozmowy. Inaczej, jeśli chodzi o spotkania publiczne, w towarzystwie innych ludzi. Ale tak? We troje? Nigdy.

– Skończył naradę z Antoniuszem i kilkoma innymi ważnymi ludźmi – odpowiedział Brutus. – Myślę, że chodzi o prywatny toast w związku z tym, co czeka nas za kilka dni.

Przy wejściu do oddzielnego od głównej sali pomieszczenia stało czterech twardych weteranów w odświętnych tunikach i z pełnym uzbrojeniem. Gdy zbliżyli się do nich, weterani natychmiast wyprostowali się, przyjmując postawę zasadniczą. Najwyższy rangą *optio* uderzył pięścią w osłoniętą kolczugą pierś i zaszalutował.

Brutus odpowiedział na pozdrowienie nieco niedbale. Weszli do środka, do osobistych pomieszczeń Cezara. Wódz był sam. Pochylał się nad szczegółową mapą Italii, rozłożoną na biurku. Nieświadomy ich obecności, dźgnął palcem pergamin i zamruczał pod nosem.

– Rzym...

Brutus rzucił Fabioli porozumiewawcze spojrzenie, uśmiechając się szeroko.

Nie po raz pierwszy Fabiola musiała przyznać, że jest pod wielkim wrażeniem podobieństwa Cezara i Romulusa. Nawet ona miała taką samą jasną karnację, orli nos i przenikliwe spojrzenie. Chociaż ich pozycja społeczna była jakże różna, Fabiola czuła to samo pragnienie osiągnięcia wielkości, które widziała u Cezara. Ten człowiek nie bał się sprzeciwić Republice. Ta sama uparta odwaga tliła się w sercu Romulusa. W jej sercu. I mimo że cele Fabioli były o wiele mniej ambitne niż cele Cezara, nie spocznie, póki nie dowie się, kto zgwałcił jej matkę i nie zemści się na napastniku. *Nawet jeśli tym kimś miałby być wielki Cezar. Jestem to winna matce i Romulusowi. Po chwili jednak znów opadły ją wątpliwości. Tylko czy Cezar naprawdę jest tym, kogo szukam? Jak, na bogów, mam mieć w tej sprawie pewność?*

Po chwili Cezar wyczuł ich obecność. Wyprostował się i obdarzył ich ciepłym uśmiechem.

– Dziękuję za przybycie.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparł Brutus.

– I mojej... – Fabiola skłoniła się nisko.

Zaproponował im *mulsum*.

– Za szybkie zwycięstwo – odezwał się Cezar, unosząc dłoń z pucharem. – Albo za to, żeby senat poszedł po rozum do głowy.

Uśmiechnęli się wszyscy. Wypili.

– To smutny dzień dla Republiki – powiedział Cezar. Jego głos się zmienił. Czuł w nim było gniew. – Ale nie zostawili mi wyboru. Generał, który odniósł tyle zwycięstw, nie powinien być traktowany jak pies.

– Oczywiście... – zgodził się oburzony Brutus. – Pompejusz nie zamierza oddać dowodzenia ani rozwiązać swoich legionów, więc dlaczego miałbyś to robić ty, wodzu?

Fabiola pokiwała głową.

– Pompejusz nie jest zielonym rekrutem. Mam nadzieję, że razem z optymatami zdecyduje się na negocjacje albo... czeka nas długa kampania – ostrzegł Cezar.

– Podporządkowanie Galii zajęło nam siedem lat, dowódco – powiedział Brutus z uśmiechem. – Co znaczy kilka lat więcej?

Cezar odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się na cały głos. Potem spojrzał pewnym wzrokiem na Brutusa.

– Sukces w dużej mierze zawdzięczam takim ludziom jak ty. I nie zapomnę o tym.

– Dziękuję – odpowiedział Brutus.

Fabiola była zachwycona tą demonstracją.

Przez jakiś czas rozmawiali o mało ważnych sprawach. Po chwili Cezar sięgnął do szuflady w biurku.

– Mam małą prośbę... – zaczął konspiracyjnym tonem, zwracając się do Brutusa.

– Nie zajmie ci to długo.

– Jestem na twoje rozkazy, wodzu – Brutus powiedział porywczo.

W rękę Cezara pojawił się zwinięty pergamin.

– To są nowe rozkazy dla oddziałów w Ariminium – dostrzegł zmieszanie Fabioli, więc wyjaśnił. – Wysłałem tam wczoraj kilka oddziałów, nakazując, aby żołnierze przebrali się w cywilne ubrania.

– Mam ruszyć do Ariminium przed głównymi siłami, *domine*? – zapytał lekko zdezorientowany Brutus.

– Nie. Wystarczy, że przekażesz je *optio*, który czeka w obozie, w pobliżu mojego wozu. Wie, co z nimi zrobić.

Brutus chwycił pergamin i pospiesznie opuścił pomieszczenie.

Fabiola, postawiona sam na sam z Cezarem, uśmiechnęła się niepewnie. Czy on to zaplanował? Przez chwilę jej obawy wydawały się nieuzasadnione, ponieważ Cezar pytał z nieudawaną troską o jej sytuację i plany na przyszłość.

– Czy urodzisz mu dzieci? – zapytał zupełnie niespodziewanie.

Fabiola spłoszyła.

– Jeśli bogowie pozwolą, to tak.

Do tej pory unikała zajścia w ciążę, wykorzystując wiedzę o ziołach wyniesioną z Lupanaru. Na razie bardziej zależało jej na uzyskaniu odpowiednich wpływów i pozycji. Oczywiście Brutus nic o tym nie wiedział. Teraz starała się nie zdradzić ze swoim zdenerwowaniem, bawiąc się kolczykiem ze złota i karneolu.

Cezar wydawał się zadowolony z usłyszonej odpowiedzi. Zaprosił ją do innego pomieszczenia, gdzie mógł pokazać swój pozłaczany napierśnik i czerwony płaszcz generała.

– Założę go już niedługo. Nad Rubikonem.

– Będziesz wyglądać wspaniale, panie – odezwała się Fabiola, udając zainteresowanie, podczas gdy w rzeczywistości nasłuchiwała z niepokojem, czy Brutus już nie wrócił. *Czemu Brutusa nie ma tak długo?* – Jak mityczny heros.

– Wiesz, jak zadowolić mężczyznę – powiedział Cezar, pochylając się nad nią. – Brutus może czuć się szczęśliwcem, że ma taką kobietę jak ty.

– Dziękuję, *domine*.

Usłyszała cichy, miękki stukot. Spojrzała w dół. Na dywanie coś błyszczało. Spadł jej kolczyk! Fabiola pochyliła się, aby go podnieść, odsłaniając więcej dekoltu, niż chciała. Gdy się wyprostowała, zauważyła, że Cezar zachłannie pożera ją wzrokiem. Zamarła przerażona.

– Taka młoda... taka doskonała – mruknął.

W jego oczach dostrzegła coś, czego do tej pory jakoś nigdy nie widziała. Drapieżność, która sprawiła, że poczuła się bardzo nieswojo. Cofnęła się o krok, ściskając mocno kolczyk w zaciśniętej dłoni.

Ruszył za nią bez słowa.

Cofała się teraz już naprawdę przerażona. W końcu jednak oparła się plecami o ścianę. Nie miała gdzie uciekać. Starała się nie panikować. *Gdzie jest Brutus?*

Cezar zrobił jeszcze krok do przodu. Poczowała zapach wina.

– Jesteś naprawdę piękna.

Fabiola spuściła wzrok, modląc się, żeby pozwolił jej odejść. Ale on wyciągnął rękę i objął jej pierś. Potem zaczął lizać jej szyję. Przerażona i zniesmaczona nie ośmieliła się zareagować. To był jeden z dwóch najważniejszych ludzi w Republice, a ona była tylko kochanką nobila. Nikim.

Po dłuższej chwili Cezar spojrzał jej w oczy.

– Byłaś niewolnicą...

Skinęła głową.

– To powinnaś być do tego przyzwyczajona – powiedział cicho, podnosząc jej suknię.

Po jej policzkach spływały łzy bezsilnej wściekłości.

Oddychał ciężko. Włożył rękę pod jej suknię i przez chwilę szamotał się z bielizną.

Mitro i Jowiszu! Pomóżcie mi! Żadna boska interwencja się jednak nie zdarzyła. I nie było śladu Brutusa.

Wysiłki Cezara stawały się coraz bardziej gorączkowe, a Fabiola czuła jego erekcję na swoim udzie.

– Nie! – krzyknęła. – Proszę!

Usłyszała śmiech jednego z legionistów. Zaczęła podejrzewać, że Cezar nie po raz pierwszy napastuje w ten sposób kobiety.

Hałas sprawił, że Cezar zamarł na chwilę, nasłuchując.

Serce Fabioli podskoczyło z radości, ale... to była fałszywa nadzieja. Cezar jej nie uwolnił. Trzymał ją mocno za rękę i zmusił, żeby opadła razem z nim na kolana. Jęknęła z przerażenia.

– Bądź cicho albo pożałujesz!

Fabiola nie rozumiała, dlaczego te słowa tak bardzo ją dotknęły, uderzając w jakąś naprężoną strunę. I wtedy już wiedziała. Po prostu wiedziała. To Cezar zgwałcił jej matkę. Był jej ojcem!

– Zdejmij suknię! – rozkazał. – Wezmę cię tu, na podłodze.

Miała w głowie obraz Welwinny. Nagiej. Bezradnej. Opuszczonej. Dwadzieścia jeden lat temu ten człowiek zrobił to samo jej matce. Płomień wściekłości nie pozwolił jej się poddać.

– Nie – warknęła. – Nie ma mowy!

Cezar zamierzył się, żeby ją uderzyć.

Gotowa była walczyć ze wszystkich sił.

– Fabiola? – usłyszała głos Brutusa, który musiał znajdować się blisko.

– Cezar? Gdzie oni są?

Zapadła niezręczna cisza.

– Odpowiedz mi! – krzyknął Brutus.

– W tamtym pomieszczeniu – mruknął niechętnie jeden z wartowników.

– Odsuń się!

Cezar zaklął pod nosem. Wstał, pospiesznie doprowadzając swoje ubranie do ładu.

Fabiola również skoczyła na równe nogi. Brutus nie może niczego podejrzewać. Wiedziała, że jest w gorącej wodzie kąpany. Gotów zmierzyć się z każdym, kto ośmieliłby się zaatakować Fabiolę. Nawet z Cezarem. Konsekwencje trudno byłoby sobie wyobrazić. Dla ich obu. Musiała zachowywać się tak, jakby nic się nie stało. W tej samej chwili wpadł jej do głowy genialny pomysł. Otworzyła pulsującą od bólu prawą dłoń, w której ścisnęła złoty kolczyk z karneolem, teraz zupełnie zniszczony. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że tak mocno zaciskała palce.

Brutus stanął w drzwiach.

– Tu jesteście – powiedział z ulgą. Zmarszczył brwi na widok Cezara i swojej ukochanej stojących tak blisko siebie. – Co się dzieje?

Cezar odchrząknął.

– Nic, kochanie. Generał właśnie pokazywał mi swoją zbroję. Przed chwilą zdałam sobie sprawę, że zgubiłam gdzieś to... – odpowiedziała pewnym głosem Fabiola, wyciągając do niego rękę. Światło lamp oliwnych błysnęło w zniszczonej biżuterii. Modliła się, żeby Brutus nie chciał przyglądać się kolczykowi. – Szukaliśmy go.

– Aha... – odpowiedział Brutus, patrząc na nich podejrzliwie. – *Optio* ruszył już w drogę, generale.

– Dobrze... Czas, żebym pożegnał się z gośćmi – Cezar odezwał się z wigorem. – Wy powinniście zrobić to samo. Musimy dotrzeć nad Rubikon najpóźniej o świcie.

– Oczywiście, generale – odpowiedział Brutus.

– Do następnego razu... – Cezar ukłonił się Fabioli. Arogancki półuśmiech, jaki pojawił się na jego ustach, miał podwójne znaczenie, które rozumieli tylko oni. Jego sekret był u niej bezpieczny. Jako eksniewolnica Fabiola nigdy nie odważyłaby się powiedzieć o tym incydencie Brutusowi. A nawet jeśli by to zrobiła, Cezar sądził, że jego oficer i tak by jej nie uwierzył.

Fabiola skinęła spokojnie głową, ale w jej głowie już kłębiły się myśli o krwawej zemście. Brutus wyprowadził ją na zewnątrz.

– Wyglądasz na zmęczoną, kochanie – powiedział, głaszcząc ją po ramieniu. – Możesz spać w lektyce. Obudzę cię, gdy dotrzemy do brodu.

Fabiola znów skinęła głową. Z trudem przychodziło jej ukrywanie gniewu.

– Przed nami Rzym – zza pleców usłyszeli głos Cezara. – Kości zostały rzucone.

– I niech Fortuna nam sprzyja, żeby wypadły szóstki – odparł Brutus, uśmiechając się szeroko.

Fabiola nie słuchała już tej ostatniej wymiany zdań. *Mało brakowało, a zgwałciłbyś swoją własną córkę, ty brudny sukinsynu!* Godne potępienia zachowanie Cezara sprawiło, że płomień nienawiści zapłonął w niej na nowo, z jeszcze większą energią. Nie spocznie dopóty, dopóki Cezar nie zapłaci za swoje występki. A Brutus – świadom czy nie – będzie jej narzędziem. Fabiola wykorzysta podejrzliwość swojego kochanka. Będzie ją podsycać, aż wybuchnie z całą potęgą zazdrości i nienawiści. Trochę jej to zajmie... ale dobrze wykorzysta swój czas.

Mitro! – modliła się żarliwie. – *Jowiszu! Największy i najlepszy. Pragnę teraz tylko jednego. Śmierci mojego ojca.*

Rozdział XXIV

Morze Erytrejskie



Minęło prawie osiemnaście miesięcy...

Wybrzeża Półwyspu Arabskiego, lato 48 r. p.n.e.

Ahmed i jego piraci żyli, bo przede wszystkim cenili sobie ostrożność. Nubijski kapitan żeglował na przybrzeżnych wodach Półwyspu Arabskiego, które musiały pokonać wszystkie statki zmierzające do Indii i z powrotem. W ciągu dnia szukali potencjalnych ofiar, które nie mogłyby się im oprzeć. Gdy zbliżał się zachód słońca, Ahmed nakazywał przybicie do brzegu lub rzucenie kotwicy w jakiejś spokojnej zatoczce. Po ucieczce z Kany obawiał się, że jego załoga z góry została uznana za piratów, dlatego unikał wszelkich siedzib ludzkich. W cichych zatokach nie mogły osiągnąć ich żadne ciekawskie spojrzenia. Na brzegu znajdowali jakieś płytkie strumienie ze słonawą wodą, płynącą z nieodległych gór, które tworzyły trzon płyty południowej Arabii.

Takie środki ostrożności sprawiały, że przez większość czasu dieta piratów składała się wyłącznie z ryb, które łapali w sieci. Gdy sprzykrzyła im się ta monotonia, Romulus wybierał się z łukiem na polowania i często wracał na pokład z jakąś pustynną antylopą. Towarzysze byli zachwyceni jego umiejętnościami. Jednak Ahmed nie patrzył na niego zbyt łaskawym okiem. Od pierwszego dnia na pokładzie nie potrafili jakoś sobie zaufać, ale miesiące wspólnej żeglugi pozwoliły zbudować z obydwojma mężczyznami relacje opierające się na obustronnych korzyściach: Tarkwiniusz miał przecież *Periplus*, przydatną w żegludze starą mapę,

a Romulus potrafił walczyć za trzech. Ahmed zmierzał na zachód, co sprawiało, że przyjaciele z każdą pokonaną miłą znajdowali się bliżej Egiptu.

Przez cieśninę przepływało wiele statków. O tej porze roku większość z nich kierowała się na zachód. Spora część tej floty powracała z miast leżących daleko na północy, obciążona towarami, ale również z pełną, dobrze uzbrojoną załogą. Nubijczyk starał się trzymać od nich z daleka. Nie chciał niepotrzebnie tracić ludzi. Jednak od czasu do czasu natykali się na mniejsze, słabiej chronione jednostki kupieckie. I wtedy uderzali.

Taktyka piratów była prosta. Gdy tylko zauważali jakąś potencjalną ofiarę, starali się do niej zbliżyć. Udawali, że czynią to nieświadomie, gdyż załoga odgrywała scenki z oporzędzaniem starych sieci rybackich, które specjalnie przygotowywano do tego celu. Ahmed wykorzystywał fakt, że ich *dau* z trójkątnym żaglem przypominała zwykle arabskie i perskie statki rybackie. Oczywiście każdy kapitan wiedział, że na tych morzach było tyle samo piratów co rybaków, i taktyka Ahmeda nie zawsze się sprawdzała. Zwykle obce jednostki nie pozwalały zbliżyć się im za blisko, zmieniając kurs.

Wtedy Ahmed natychmiast wykrzykiwał nowe rozkazy, a ludzie rzucali się do specjalnych wiosł. *Dau* z dziesięcioma wiosłarzami na każdej burcie mogła szybko dogonić cięższe i wolniejsze statki handlowe. Krótkie, lecz niezwykle krwawe potyczki kończyły się zazwyczaj zwycięstwem piratów. Jeśli nie potrzebowali żadnych nowych członków załogi, nie brali jeńców. Romulus i Tarkwiniusz uczestniczyli w abordażach – musieli, nie mieli innego wyjścia – ale zabijanie niewinnych zostawiali innym piratom. Ta powściągliwość długo pozostawała niezauważona z uwagi na krwiożerczą naturę ich towarzyszy.

Po roku mieli na swoim koncie kilkanaście statków, a ich ładownia pękała w szwach od najróżniejszych drogich towarów: głównie indygo, szylkretu i przypraw. To, co teraz znajdowało się pod pokładem, warte było majątek. Ponadto przechwycili również kilka nieszczęsnych niewolnic, które Ahmed zostawił przy życiu z myślą o potrzebach seksualnych piratów. Podczas tak długiej żeglugi należało dbać również o utrzymanie wysokiego morale załogi. Romulus miał sporo trudności z ignorowaniem płaczków gwałconych kobiet, ale niewiele mógł zrobić.

Z czasem Nubijczyk zaczął stawać się coraz bardziej drażliwy, a jego relacje z dwójką przyjaciół pogarszały się. Rejs, który zawiódł ich tak daleko od wybrzeży Indii, był wprawdzie eksperymentem, ale bardzo opłacalnym. Wszystko udawało się dzięki odwadze kapitana i mapie Tarkwiniusza. No i musieli mieć w tym swój udział

również bogowie. Jak większość piratów, Ahmed wierzył jednak, że bogowie bywają kapryśni. Zaczął coraz częściej mówić o powrocie na znane im wody w pobliżu bazy piratów.

To oczywiście bardzo niepokoiło dwójkę przyjaciół. Egipt był tak blisko, a jednocześnie tak daleko.

Wydarzenia kilku ostatnich dni sprawiały, że ich obawy stawały się coraz większe. Liczba małych jednostek przemykających na zachód systematycznie się zmniejszała. Minęły trzy tygodnie bez żadnej okazji. Sfrustrowany kapitan poprowadził ludzi do ataku na dużą *dau* z dwoma sporej wielkości łańciskami żaglami, takimi jak ich własny. Jednak załoga zaatakowanego statku handlowego składała się z doświadczonych Egipcjan. Trzeba przyznać, że walczyli oni z szaleńczą nieustępliwością, która dała im zwycięstwo. Piraci musieli obejść się smakiem i odpłynęli jak niepyszni, z czterema zabitymi i kilkoma rannymi towarzyszami. Tarkwiniusz omal nie stracił w tej potyczce oka. Strzała odbiła się od kości na lewym policzku i wpadła do morza. Chociaż Etrusk śmiał się z tego zdarzenia, Romulus nagle zrozumiał, że i haruspik także jest tylko śmiertelnikiem. Poniesione straty znacznie zmniejszyły potencjał bojowy Ahmeda. Teraz trudno było liczyć, że uda im się przejąć jakikolwiek statek.

Ponadto dzień później odkryto niewielką nieszczelność w luku, przez którą musieli pozbyć się znacznej części *olibanum*. To była kropla, która przelała szalę goryczy.

– Bogowie są na nas źli! – stwierdził Ahmed, który przechadzał się wielkimi krokami po pokładzie, miotając się niczym zwierzę w klatce. – Musimy być wdzięczni, że ten cholerny wiatr wkrótce się zmieni. Czas pożeglować do Indii.

Załoga wydawała się zadowolona. Spędzili już tyle czasu z dala od bazy i naprawdę tęsknili za znanymi kątami. Tylko Romulusowi i Tarkwiniuszowi nie w smak była decyzja kapitana. Jednak wszystkie próby przyjaciół nakłonienia Nubijczyka do jej zmiany nie zdały się na nic.

Już zaczęli poważnie zastanawiać się nad opuszczeniem okrętu przy pierwszej nadarzącej się okazji, gdy Mitra znów się do nich uśmiechnął. Gdy pobierali zapasy w jakiejś malutkiej, zapomnianej przez bogów przystani, Nubijczyk dowiedział się, że znajdujące się po drugiej stronie Morza Erytrejskiego porty Adulis i Ptolemais znane są jako dobre miejsca zakupu kości słoniowej. To właśnie stąd wyruszali Egipcjanie na polowania na słonie i inne dzikie zwierzęta. Ahmed zapalił się do swojego pomysłu. Do chciwego kapitana przemawiała wizja

zakupienia kości słoniowej po niskiej cenie. Mieli jeszcze trochę czasu przed rozpoczęciem pory monsunowej, która oznaczała silne południowo-zachodnie wiatry, więc można było wykorzystać go do powiększenia bogactwa.

Ahmed wydał rozkazy, odbili od nabrzeża i skierowali się na zachód. Dzień później pokonali wąską cieśninę oddzielającą Półwysep Arabski od Afryki. W chłodnym świetle zmierzchu Romulus po raz pierwszy zobaczył etiopskie wybrzeże.

Nigdy nie czuł się bardziej szczęśliwy.

Choć Tarkwiniusz widział radość Romulusa, miał mieszane uczucia. Wkrótce może nadarzyć się okazja zejścia na afrykański ląd. Wrócili do niego obrazy z przeszłości, ale ani razu nie ośmielił się wypowiedzieć na głos słów usłyszanych od Olenusa wiele lat wcześniej. Teraz jednak nieustannie wracał myślami do tamtej chwili.

Egipt. Siedlisko zła.

Te wspomnienia sprawiały, że czuł się nieswojo. Po ponad dwóch dekadach proroctwo Olenusa miało się spełnić.

Nie podzielił się jednak swoimi obawami z Romulusem.

Znajdowali się na spokojnych wodach u południowych wybrzeży Półwyspu Arabskiego. Zdecydowali się nie zmieniać już ciężkiego, dziennego żagla na lżejszy, używany do nocnej żeglugi. Tego wieczoru *dau* również gładko cięła wodę, nie wydając właściwie żadnego głośniejszego dźwięku. Zakosy fali dziobowej fosforyzowały w zapadającym zmierzchu. Ten widok niezmiennie fascynował Romulusa. Nigdy nie miał dość wpatrywania się w to lśnienie. Nawet Tarkwiniusz nie potrafił wyjaśnić tego zjawiska, co sprawiało, że młody żołnierz zastanawiał się, czy aby bogowie nie maczają w tym palców.

Niebo obsypały miriady gwiazd. Ich światło było tak jasne, że sternik miał wyjątkowo łatwe zadanie. Romulus leżał na pokładzie, przykryty szorstkim kocem. Nie mógł zasnąć. Zastanawiał się po raz tysięczny, kto mógł zabić Rufusa Celiusza, nobila, na którego natknęli się przypadkiem przed Lupanarem. Jego śmierć uruchomiła lawinę zdarzeń, w efekcie których znalazł się właśnie w tym miejscu. U afrykańskich brzegów. Po długich analizach Romulus był głęboko przekonany, że to nie on był mordercą. Westchnął. *Jakie mam w ogóle szanse, żeby odkryć prawdziwego winowajcę?* Ta frustrująca niewiedza nie mogła jednak zepsuć dobrego humoru,

którym się cieszył. W tej chwili jego sytuacja była o wiele lepsza niż kiedykolwiek w czasie ostatnich, długich pięciu lat. Po wielu latach w armii, w niewoli, znajdował się coraz bliżej kraju, w którym wpływy Rzymu były większe niż w jakimkolwiek innym miejscu, gdzie zaprowadził go los. To, co jeszcze niedawno wydawało się nierealne, teraz było powodem jego radości. *Jestem wolnym człowiekiem! Nigdy więcej nie będę niewolnikiem. Nikt poza Gemellusem i Memorem nie zna prawdy. Z pomocą Mitry tatuaż wystarczy, aby chronić mnie przed ludźmi takimi jak Nowiusz.*

A przede wszystkim jestem Rzymianinem.

Romulus uśmiechnął się do swoich myśli.

Jakich więcej dowodów trzeba, żeby uwierzyć, iż bogowie patrzyli na niego przychylnym okiem? Wpatrywał się w gwiazdozbiór Perseusza, symbol Mitry, wyobrażając sobie, że ten ściga po niebie gwiazdy z gwiazdozbioru Taurusa. Byka.

– Pozwól nam obu wrócić bezpiecznie do domu, o wielki Mitro – wyszeptał pod nosem. – Nawet jeśli tam trwa wojna domowa.

Tarkwiniusz poruszył się przez sen. Romulus spojrzął na przyjaciela. To właśnie on, z pomocą Brennusa, uczynił go takim, jaki był dzisiaj. Obaj z Brennusem byli mu lojalnymi towarzyszami i traktowali go jak syna. Chronili go i uczyli. Dbali o to, aby być zawsze przy nim i służyć radą w razie potrzeby. W końcu Brennus ofiarował mu coś, co jest najcenniejsze. Własne życie. A Tarkwiniusz? Skryty i tajemniczy Etrusk, który wiedział tak dużo? Czy aby nie za dużo? W głębi serca Romulus cieszył się, że przyszłość często bywa niepewna. Wiedza o tym, co może się zdarzyć, byłaby ogromnym obciążeniem. Myśl, że sam może znów mieć wizje przyszłości, napawała go niepokojem. Często wspominał to, co zobaczył na tle krzyża z ukaranym Rzymianinem w Margianie. Zwłaszcza że słowa Warusa zdawały się potwierdzać prawdziwość jego objawienia.

Romulus był pewien jeszcze jednej rzeczy. Wiedział, że nie chce znać szczegółów dotyczących swojej śmierci. Jego albo Tarkwiniusza. Nagle znów dopadł go niepokój. Czy biała pani przyjdzie po niego niespodziewanie? Za szybko? Skrzywił się. To wiedzą tylko bogowie. W niebezpiecznym świecie, w jakim żyli, śmierć jest nieodłącznym towarzyszem. Może czaić się wszędzie. Nic tego nie zmieni. Każdy ma swoje przeznaczenie. I żaden człowiek nie powinien wpływać świadomie na wybór ścieżki obranej przez innego człowieka.

Tarkwiniusz znów drgnął lekko, mimo że był pogrążony w głębokim śnie.

To niezwykle odwrócenie ról. Zazwyczaj to właśnie haruspik przez wiele godzin nie mógł zasnąć, obserwując mnie. Dorosłem.. Uśmiechnął się.

Obudziło go wschodzące słońce. Jak zawsze. Romulus otworzył oczy i stwierdził, że Tarkwiniusz siedzi ze skrzyżowanymi nogami na pokładzie tuż obok niego i zajął się już śniadaniem.

– Brzeg w zasięgu wzroku.

Romulus przetarł oczy, wstając z mozołem. Na linii horyzontu wyraźnie widać było ląd, wyłaniający się z porannej mgły. Inni członkowie załogi również wpatrywali się w brzeg, opierając się o burtę. Nawet z tej odległości można było dostrzec, że brzeg afrykański jest znacznie bardziej zielony niż wybrzeże Półwyspu Arabskiego.

Spojrzał na haruspika z uśmiechem.

– To niedaleko.

– Nie więcej niż dwie godziny – Tarkwiniuszowi zrobiło się zimno. Co takiego zobaczył Olenus w jagnięcej wątrobie? Nigdy dotąd nie starał się poznać tej części przepowiedni. Mimo że czasami przepowiadał śmierć innych ludzi, Tarkwiniusz nad wyraz ostrożnie podchodził do wizji dotyczących jego samego.

– Poproszę kapitana, żeby pozwolił nam wybrać się dziś wieczorem na polowanie. Moglibyśmy po prostu zniknąć w buszu... – mruknął Romulus. – Nigdy nie znajdu nas po zmroku.

Ukrywając niepokój, Tarkwiniusz przesłał mu zdawkowy uśmiech.

– Dobry pomysł.

Ich okręt z każdą chwilą zbliżał się do brzegu. Słońce wspinało się coraz wyżej, a w przejrzystym powietrzu brzeg Etiopii stawał się wyraźniejszy. Nie zauważyli zbyt wielu drzew, ale na zielonym brzegu na pewno było o wiele więcej oznak życia niż na arabskiej pustyni. Ptaki kołowały w wielkich gromadach, a nieco dalej w głąb lądu stado nietypowo wyglądających antylop pasło się nad strumieniem.

Wykorzystując sprzyjający wiatr, Ahmed nakazał sternikowi zmienić kurs na północny. Zieleń traw wprawiła Nubijczyka w dobry nastrój. Gdzie jest roślinność, tam są zwierzęta, a jak są zwierzęta, to są i ludzie, którzy na nie polują. Miał nadzieję, że na tych wodach natrafią na jakiś statek z ładunkiem kości słoniowej.

Romulus pracował w myślach nad szczegółami planu ucieczki, gdy usłyszał krzyk.

– Okręt przed dziobem!

Rozglądał się spokojnie na wszystkie strony, ale żołądek podszedł mu do gardła.

Około ćwierć mili przed nimi w morze wrzynał się wypukły cypel. I właśnie z za

niego wyłonił się kwadratowy żagiel triremy, o charakterystycznym drapieżnym kształcie. Romulus przetań oczy i spojrzął jeszcze raz. Nie było żadnych wątpliwości. Zakrzywiona rufa, trzy rzędy wiosel i ogromne oko wymalowane na dziobie, które miało przerażać wrogów. Na pokładzie aż roiło się od marynarzy uzbrojonych jak legionieści. Cztery balisty pokładowe właśnie ładowano wielkimi kamiennymi kulami i strzałami.

Tarkwiniusz również patrzył na okręt ze zdumieniem.

– Rzymianie na tych wodach?

– Okręt na wprost! – rozległ się kolejny okrzyk.

Romulus sam nie wiedział, co ma o tym myśleć. Dawniej flota Republiki ograniczała się do obecności na *Mare Internum*. Ta trirema musiała ochraniać cenne szlaki handlowe, na których żerowali piraci. Skrzywił się. Była duża szansa, że *dau* nie zostanie uznana za przyjaźnie nastawioną. A to nie wróży im za dobrze.

Zdenerwowany Ahmed wskazywał jednostkę, która prezentowała się już w pełnej krasie.

– Co to ma być? Na wszystkich bogów!

– Rzymski okręt wojenny – odpowiedział ponurym głosem Tarkwiniusz. – *Triremis*.

– Jest szybka?

– Bardzo – tym razem odpowiedział Romulus równie złowróżbnym tonem.

Rozległ się dźwięk bębna, niesiony nad falami w ich kierunku. Jego szybki rytm wywoływał wspomnienia z podróży do Azji Mniejszej. Zauważyli ich.

Wioślarze zareagowali błyskawicznie. Okręt sprawnie nabierał szybkości. Przed dziobem uniosła się duża fala. Gdy ruszał w ich stronę, zobaczyli brązowy taran na jego dziobie. Nawet ci, którzy nigdy nie widzieli triremy, mogli łatwo wyobrazić sobie, co taka masa metalu może zrobić z wrogą jednostką.

– Zwrot o sto osiemdziesiąt stopni! – krzyknął Ahmed. – Szybko!

Dwaj sternicy nie potrzebowali żadnej zachęty. Naparli z całych sił na ciężkie wiosła sterowe, spowalniając okręt, który wchodził teraz w skręt o szerokim promieniu.

Romulus zacisnął zęby. Za wolno... o wiele za wolno. Wpatrywał się w triremę, w jej niskie burty z niezdrową fascynacją. Usłyszał, że rytm bębnowy stał się jeszcze szybszy. Rzymski okręt rozpoczynał pościg. Próba ucieczki prawdopodobnie przypięczętowała ich los. Nie mieli wielkiej szansy uniknięcia starcia.

Wyraz twarzy Nubijczyka mówił wszystko. On też nie wierzył w powodzenie tej ucieczki.

– Czas się stąd wynosić – Romulus szepnął Tarkwiniuszowi, który pod nosem odmawiał jakąś modlitwę. – Gotowy?

– Oczywiście.

Przyjaciele pospiesznie zajęli się mocowaniem zbroi, zaciskaniem pasów. Chociaż kolczuga Romulusa oraz napierśnik Tarkwiniusza były dość ciężkie, wiedzieli, że w najbliższych dniach mogą ich potrzebować. A od brzegu dzieliło ich jakieś ćwierć mili. Nie musieli się martwić, że tak obciążeni pójdą na dno. Po czterech latach spędzonych na morzu Romulus nauczył się dobrze pływać, a Tarkwiniusz od zawsze czuł się w wodzie jak ryba.

Haruspik chwycił bukłak z wodą i obaj stanęli bliżej burty statku. Nie mogli się ociągać. Trirema poruszała się już znacznie szybciej niż ich *dau*, a będąc tak niedaleko, stanowiła śmiertelne zagrożenie. Stu dwudziestu zdyscyplinowanych wioślarzy, pracujących sprawnie, może w niedługim czasie rozpędzić okręt do szybkości biegnącego człowieka. Jeśli statek piracki nie wyjdzie ze zwrotu wystarczająco szybko, zostanie staranowany i natychmiast pójdzie na dno.

– Tarkwiniusz! Ty pieprzony sukinsynu! Zobacz, co nam zgotowałeś! – krzyknął Ahmed. Obrócił się, złorzecząc. – A teraz jeszcze próbujecie uciec? – zachrypiął, wyciągając miecz. – Zabić ich!

Piraci dopiero teraz zobaczyli, że przyjaciele zamierzają w tej trudnej dla nich chwili opuścić statek. Na ich twarzach pojawiły się grymasy wściekłości.

– Dalej! Szybciej! – krzyknął Romulus, próbując złapać równowagę, wspinając się na burzę.

Nubijczyk ruszył pędem przez pokład, wymachując kordelasem i krzycząc z wściekłości. Zmierzał prosto w stronę haruspika, który nagle potknął się i opadł niezdarnie na jedno kolano.

– Skacz! – krzyknął Tarkwiniusz.

Gdy Romulus odwrócił się, żeby zobaczyć, co dzieje się na pokładzie i pomóc swojemu przyjacielowi, nagle stracił równowagę i runął do tyłu – wprost do morza.



Wschodnia Grecja, lato 48 r. p.n.e.

Brutus poklepał uspokajająco swojego gniadosza, który w upale robił się narowisty. Brzęczące muchy uwijające się wokół jego łba z pewnością mu nie pomagały.

– Spokojnie... – wyszeptał, gładząc szyję rumaka. – Już niedługo... Wkrótce się zacznie.

Dowodził sześcioma kohortami legionistów. Jak wszystkie jednostki Cezara, tak i te oddziały były przetrzebione, ale składały się ze świetnie wyszkolonych, doświadczonych żołnierzy, stanowiących elitę armii. Zajęli pozycję ukośnie do trzeciej linii głównej formacji *triplex acies*, która znamionowała znaczenie ich zadania. Brutus czuł dumę. Ukryci w zaroślach byli tajną bronią Cezara.

Po prawie trzech tygodniach wojny pozycyjnej na równinach Tesalii Pompeusz wreszcie zdecydował się stanąć do bitwy. Jego armia zeszała do podnóża pasma górskiego rozciągającego się na północy. Tego ranka jedenaście legionów Pompejusza ustawiło się w klasycznej formacji trzech linii, którą Cezar natychmiast skopiował ze swoimi dziewięcioma. Chociaż linie Cezara miały taką samą szerokość jak oddziały jego wroga, wystarczył jeden rzut oka na pole bitwy, aby uświadomić sobie dysproporcję sił. Legiony Cezara były osłabione ciężkimi walkami w Galii i rozciągnięto je na większym niż zazwyczaj obszarze. Oddziały Pompejusza zaś uzupełniono rekrutami do pełnych stanów, co oznaczało, że dowódca armii Republiki miał do dyspozycji około czterdzieści pięć tysięcy piechoty, której Cezar mógł przeciwstawić siłę dwudziestu dwóch tysięcy legionistów. Jazda Pompejusza, składająca się z ochotników z całego Wschodu, przeważała nad siłami Cezara w stosunku prawie siedem do jednego. Ta dysproporcja sił robiła spore wrażenie, ale

dowódca Brutusa wcale nie próbował uniknąć konfrontacji. Chociaż jego armia była znacznie mniejsza niż Pompejusza, to w jej skład wchodziły elitarne oddziały, a przeciwnik dysponował świeżo sformowanymi legionami, składającymi się w dużej części z niedoświadczonych żołtodziobów.

Te wszystkie różnice sprawiają, że sytuacja jest... ciekawa. I może skończyć się prawdziwą katastrofą – myślał zdenerwowany Brutus. – *Czy ryzyko podjęte przez Cezara się opłaci? To wiedzą tylko bogowie.* Prosił Mitrę o pomoc, bo miał jeszcze chwilę, by zastanowić się nad tym, co przyniesie najbliższa przyszłość. Niedługo rozpocznie się bitwa. Obie strony były już gotowe. Prawa flanką Pompejusza opierała się na rzece Enipeas, płynącej mniej więcej prosto z zachodu na wschód, a prawie cała jego konnica została skoncentrowana na lewym skrzydle. Dzisiaj nie mogło być mowy o klasycznym manewrze okrążenia sił piechoty przez oddziały jazdy na obu skrzydłach.

Brutus zastanawiał się, jak będzie wyglądać bitwa. Jak każdy rozgarnięty oficer, potrafił przewidzieć jej etapy z dość dużym prawdopodobieństwem.

Ponieważ piechota zajmowała pozycje naprzeciwko siebie, republikańscy jeźdźcy zapewne zaatakują nieliczną kawalerię Cezara, żeby dostać się na tyły jego armii. Jeśli się tam znajdą, wzbudzą powszechną panikę i będą siać spustoszenie, być może decydując o losach bitwy. Chyba że ryzykanctwo Cezara i w tym przypadku zapewni mu zwycięstwo.

Na razie jednak nic się nie działo. Letnie słońce kontynuowało swój marsz po nieboskłonie, zawzięcie wspinając się coraz wyżej. Choć było ciepło, dopiero popołudniowy upał naprawdę da im w kość. Wyglądało na to, że żołnierzom obu armii nie spieszyło się do walki. Legioniści mierzyli się wzrokiem w milczeniu. Gdy padną rozkazy, Rzymianin będzie musiał skrzyżować miecz z Rzymianinem w bratobójczym starciu. Podobnie uzbrojeni i ubrani, zaatakują w takich samych formacjach. Bracia będą padać obok siebie, a sąsiedzi walczyć na śmierć i życie. Wszyscy zdawali sobie sprawę z doniosłości tej chwili.

Jednak wreszcie nadszedł czas konfrontacji – myślał niecierpliwie Brutus. Minęło ponad osiemnaście miesięcy od przekroczenia Rubikonu przez Cezara, a nie doszło do decydującej bitwy. Italię oszczędzono. Zaskoczony śmiałym manewrem, nieprzygotowany na taki rozwój wypadków, Pompejusz uciekł z Rzymu, nierozsądnie pozostawiając w mieście zawartość skarbcza świątyni Saturna. Jego zwolennicy zebrali się w Brundisium, skąd od Grecji dzielił jego armię tylko jeden krótki skok. Świeżo wzbogaconemu Cezarowi w marcu prawie udało się zaskoczyć Pompejusza. Jednak gdy próba blokady portu zakończyła się niepowodzeniem,

Pompejusz, jego armia i grupa jego popleczników, nie niepokojeni przez nikogo, przeprawili się przez wąską cieśninę i stanęli na greckiej ziemi.

Brutus uśmiechnął się. Jak zawsze jego wódz nie potrafił długo usiedzieć w jednym miejscu.

Cezar zajął się teraz zabezpieczeniem tyłów, Pompejusz bowiem zostawił w Hiszpanii siedem swoich legionów. Pomaszerował na północ, a potem na zachód. Oblęł Massilię, gdzie stacjonował republikański garnizon, który twardo stawiał opór, dlatego Cezar zlecił zdobycie go Brutusowi i Kajuszowi Treboniuszowi, a sam ruszył dalej na zachód. Po trwającej cztery miesiące frustrującej kampanii siły Pompejusza w Hiszpanii w końcu pokonano, a jego żołnierzy wcielono do legionów Cezara. Marcus Petrejusz i Lucjusz Afrianusz mogli odejść wolno, po zobowiązaniu się, że się już nigdy nie staną do walki przeciwko Cezarowi.

Brutus skrzywił się z niesmakiem. *Na miejscu Cezara nie byłbym tak miłosierny. Wielki Mitro! Pozwól mi spotkać się dziś z tymi zdrajcami!* To było mało prawdopodobne, biorąc pod uwagę rozpiętość pola bitwy, ale przynajmniej mógł mieć nadzieję. Petrejusz i Afrianusz wrócili oczywiście pod skrzydła Pompejusza. Gdy tylko zostali uwolnieni, zebrali swoich ludzi, wsiedli na okręty i popłynęli do Grecji, żeby dołączyć do swojego dowódcy i patrona. Brutus chętnie by się dziś policzył również z dwoma innymi sprzedawczykami. Kasjuszem Longinusem, trybunem i byłym oficerem armii, oraz Tytusem Labienuszem, niegdyś zaufanym dowódcą jazdy Cezara. Ludzie ci któregoś dnia niespodziewanie zmienili obozy, dołączając do republikanów. I pewnie znajdowali się teraz gdzieś w szeregach wrogów. *Zdrajcy!*

Pompejusz też nie zasypiał gruszek w popiele i gdy w Hiszpanii toczyły się walki, on stworzył w Grecji dziewięć nowych legionów z obywateli Rzymu. Dołączyły do nich dwa legiony weteranów z Syrii oraz liczne oddziały pomocnicze sprzymierzeńców, trzy tysiące łuczników z Krety i ze Sparty, tysiąc dwustu procarzy i mieszane oddziały kawalerii, łącznie siedem tysięcy jeźdźców. Każdy władca miasta-państwa i różni książęta z bliskich i dalekich krain wysyłali kontyngenty wojsk, które powiększały siły republikanów.

Gdy w grudniu Cezar powrócił do Italii, otrzymał wiadomość, że jego przeciwnik oczekuje go w Grecji. Chcąc zapobiec dalszemu rozlewowi krwi, podjął kilka prób negocjacji z Pompejuszem. Wszystkie zakończyły się fiaskiem. Republikanie zdecydowali, że zadowolą się tylko jego całkowitą klęską. Cezar natychmiast zdecydował o przetransportowaniu armii do Grecji.

Brutus roześmiał się na cały głos do swoich wspomnień, czym zwrócił na siebie

uwagę żołnierzy, którzy spoglądali teraz na niego podejrzliwie.

Cezar zignorował rady wszystkich swoich oficerów i wypłynął z Brundisium. Wówczas ten ruch wydawał się czystym szaleństwem: siedem niepełnych legionów zaokrętowano na statki, które wyruszyły pod osłoną nocy w środku zimy przez cieśninę kontrolowaną przez flotę Pompejusza. Jednak i tym razem śmiała taktyka Cezara przyniosła owoce. Następnego dnia jego armia wylądowała spokojnie na zachodnim wybrzeżu Grecji.

Zaskoczony i nieprzygotowany Pompejusz wykazał się wtedy niezwykle przebiegłością. Przez wiele miesięcy unikał walki. Zdawał sobie sprawę, że jego sytuacja zaopatrzeniowa jest o wiele lepsza niż Cezara. Dysponując wielką flotą, która zapewniała mu niemal nieograniczone dostawy żywności i sprzętu, mógł pozwolić sobie na ciągłe manewrowanie, podczas gdy jego przeciwnikowi zaczynało się spieszyć. Choć ta taktyka wydawała się nużąca, Pompejusz wiedział, że żołnierze Cezara nie wyżywią się świeżym powietrzem. Potrzebują zboża i mięsa. To właśnie w tym czasie okrojonych racji żywnościowych Brutus naprawdę poczuł szacunek do przeciwnika. Jeśli wierzyć plotkom, Pompejusz stale musiał radzić sobie z presją ze strony senatorów i polityków, którzy naciskali na jak najszybsze rozprawienie się z Cezarem. Optymacy... Brutus nimi pogardzał. Nie ma wśród nich żadnego prawdziwego żołnierza. *Pewno sami już żałowali powierzenia Pompejuszowi dowództwa nad armią republikańską. Te pasożyty chciały zobaczyć bitwę i szybko zwycięstwo.*

Jednak również sam Cezar nie grzeszył zbytnią wstrzeźliwością, a gdy Pompejusz nie chciał wydać mu bitwy, zmusił go do konfrontacji pod Dyrrachium. Mimo że wtedy siły cezarian zwiększyły się o kolejne cztery legiony, bitwa nie przebiegała tak, jak by sobie tego życzył. Dzisiaj niezbyt chętnie i mile wspominało tamte wydarzenia. Na początku próby powtórzenia taktyki, która dobrze sprawdziła się pod Alezją, przynosiły nawet obiecujące efekty. Ciągące się przez ponad piętnaście mil fortyfikacje odizolowały osaczonego Pompejusza, przypartego do wybrzeża, podczas gdy inżynierowie Cezara budowali tamy, aby zablokować bieg strumieni. Po drugiej stronie armia Pompejusza wzniosła podobne wały, które sprawiały, że bezpośredni atak stawał się bardzo kosztowny. Jednak Pompejusz sam w ten sposób pozbawił się dostępu do wody pitnej dla swoich żołnierzy i paszy dla koni. Na początku lipca ziemia w oblężonej twierdzy pokryła się truchłami setek zwierząt jucznych, które rozkładały się w słońcu, zwiększając ryzyko wybuchu epidemii. Pompejusz zdawał sobie sprawę, że jeśli niczego nie zrobi, jego ludzie zaczną umierać na cholera i dyzenterię. Tymczasem legionieści Cezara, którzy wciąż

cierpieli z powodu problemów z zaopatrzeniem, zaczęli żywić się chlebem przygotowywanym z ciasta przyrządzonego na bazie mleka i jadalnych korzeni lokalnej rośliny, nazywanej *chara* lub *lapsana*. Piekarze zaopatrywali wtedy legiony w bochenki o gorzkawym smaku, a w celu osłabienia morale głodnych ludzi Pompejusza podrzucano je nawet za linie wroga!

Na szczęście dla Pompejusza właśnie wtedy doszło do zdrady dwóch dowódców jazdy galijskiej. Przedostawszy się do twierdzy, ci obłudnicy ujawnili Pompejuszowi, że południowe umocnienia nie zostały jeszcze ukończone. O świcie następnego dnia dowódca armii republikańskiej rozpoczął śmiały atak, osobiście prowadząc do boju sześć legionów. Tym razem Cezar nie chciał pogodzić się z tym, że nic nie uratuje już blokady, i nakazał kontratak, który omal nie zakończył się całkowitą klęską. Zdemoralizowani i pobici legioniści, którzy nie wytrzymali presji przeciwnika, dysponującego tak wielką przewagą liczebną, ulegli panice i uciekli z pola bitwy. Nawet obecność w szeregach ich legendarnego dowódcy nie mogła powstrzymać odwrotu. Pewien *signifer* był tak przerażony, że gdy stanął oko w oko z Cezarem, podobno chwycił insygnia i zamierzył się na dowódcę. Tylko błyskawicznej interwencji Germanina ze straży przybocznej Cezara – który odciął rękę mężczyzny – wódz zawdzięcza to, że nie przypłacił porażki poważnymi obrażeniami, a może nawet życiem. Armia Cezara poniosła straty wynoszące tysiąc legionistów i ponad trzydziestu centurionów. O dziwo, Pompejusz szybko wydał rozkaz przerwania pościgu za uciekającymi cezarianami, pozwalając im ujść z pola bitwy w jako takim łądzie. Cezar sam potem przyznał: „Ci głupcy mogli tego dnia rozstrzygnąć losy wojny! Gdyby tylko był wśród nich generał, który by wiedział, jak ją wygrać”. Brutus przyznawał swojemu wodzowi rację.

Minął miesiąc. Wrogie armie znów stanęły naprzeciwko siebie, ale tym razem na otwartej przestrzeni. Siły Cezara zostały uszczuplone po przegranej bitwie oraz w konsekwencji obsadzania garnizonów miast – liczyły teraz dziewięć legionów, z niepełnym stanem osobowym, podczas gdy Pompejusz wciąż miał do swojej dyspozycji jedenaście pełnych jednostek armii.

Brutus modlił się, aby to, co zdarzyło się pod Dyrrachium, nie powtórzyło się tutaj, pod Farsalos. Chciał przeżyć i zobaczyć Fabiolę. Wraz z siedmioma kohortami oddelegowanymi do ochrony obozu Fabiola i Docilosa w towarzystwie Sekstusa czekały bezpiecznie na rozwój wypadków w obozie Cezara, prawie trzy mile od miejsca starcia. Jeśli bitwa zakończy się porażką cezarian, starszy centurion, zgodnie z rozkazem, wycofa się na południe. Lepiej jednak o tym nie myśleć.

Brutus uśmiechnął się, przypominając sobie o żądaniu Fabioli, która chciała obserwować bitwę. *To prawdziwa lwica* – pomyślał z dumą. Fabiola towarzyszyła mu zawsze od czasu bitwy pod Alezją i teraz wydało mu się wręcz, że jest jego szczęśliwym talizmanem. Odkrycie, że również wyznaje kult Mitry, tylko wzmocniło to przekonanie. Nad ranem w dniu bitwy razem modlili się o zwycięstwo. Na tej płaszczyźnie wszystko układało się dobrze. Prawie wszystko... Westchnął, wspominając dziwną powściągliwość Fabioli w stosunku do Cezara. Mimo to jej relacje z wodzem rzadko stanowiły prawdziwy problem. Wielu innych oficerów wykorzystało argument długotrwałej kampanii i sprowadzało swoje kochanki, dzięki czemu wkrótce Fabiola nie była jedyną kobietą w obozie i jakby... stała się mniej zauważalna w tłumie.

– Dowódco! – krzyknął jeden z centurionów Brutusa. – Zaczęło się. Te głosy...

Brutus wyprostował się w siodle, przykładając prawą dłoń do ucha. Dźwięk początkowo przypominał niski grzmot, ale szybko rósł, aż w końcu czuli wyraźnie, że drży ziemia pod ich stopami. Nie ulegało wątpliwości, że to odgłos kopyt atakującej ich pozycje kawalerii Pompejusza. Na jej spotkanie – na północny zachód – ruszyły galijskie i germańskie oddziały jazdy. Kilka tysięcy doświadczonych jeźdźców z podobną liczbą specjalnie przeszkolonej do współpracy z konnicą lekkiej piechoty. Jednak mieli do wykonania zadanie niewykonalne. Z przeciwka zbliżało się prawie trzy razy więcej żołnierzy i mogli liczyć tylko na spowolnienie wroga. Mieli grać na zwłokę. Brutus poczuł, że adrenalina zwiększa mu tętno. Rozejrzał się, sprawdzając, czy jego ludzie są gotowi. Z dumą stwierdził, że tak. Dwa tysiące najlepszych żołnierzy Cezara, którzy pójdą za nim choćby w ogień.

Rozległ się przesywający dźwięk *bucinae*. Czerwone flagi *vexilla* uniesiono i opuszczono, dla pewności powtarzając rozkazy Cezara również sygnałem, który każdy mógł zobaczyć. Natychmiast do pozostałych hałasów dołączyły rytmiczne kroki żołnierzy maszerujących karnie po twardej ziemi w podkutych ćwiekami *caligae*. Dwie z trzech linii formacji Cezara ruszyły do przodu. Tylko trzecia linia pozostała w miejscu. Brutus uśmiechnął się. Niezrażony szarżą kawalerii Cezar nakazał atak na główne siły Pompejusza.

Brutus i jego ludzie nadal czekali na swoją kolej. Mogli słuchać odgłosów i obserwować pierwsze starcia. Denerwowali się i niecierpliwicki. Żaden z nich nie cieszył się z beczynności, gdy w tym czasie ich towarzysze walczyli i umierali. Jednak mieli wyznaczoną misję. Bardzo ważne zadanie do wykonania.

Najpierw starły się oddziały jazdy. Brutus przyglądał się im z daleka. Promienie

słoneczne odbijały się od wypolerowanych hełmów i ostrzy włóczni. Końskie kopyta wzbijały w powietrze tumany kurzu, a ludzie darli się wniebogłoso. Wiedział, jak to jest. Wiele razy galopował w pierwszej linii szarży. W chwili, gdy pierwszy szereg wpada na przeciwnika, formacja przestaje się liczyć. Walka zamienia się w masę pojedynczych starć. Człowiek przeciwko człowiekowi, pieszy żołnierz przeciwko jeźdźcowi. Cięcie. Klucie. Wypad w siodle. Uspokojenie konia. Wytarcie potu zalewającego oczy. Rozejrzenie się, sprawdzenie pozycji towarzyszy. Odbicie pchnięcia włóczni. Naprzód!

Odwrócił się i spojrzął na zachód, zastanawiając się, dlaczego szeregi piechoty jeszcze się nie zwały. Rzymscy żołnierze atakowali wroga, zachowując całkowite milczenie, ale i tak powinni usłyszeć ogromny huk tysięcy mieczy lądujących na tarczach.

Na tyłach pojawił się goniec od Cezara.

– Pompejusz nie pozwolił swoim ludziom na atak – wysapał. – Oni stoją tam po prostu i czekają.

– Co powiedziałaś? – Brutus nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Żaden generał nigdy nie wstrzymywał swoich ludzi. Posłaniec wyszczerzył zęby i powtórzył, a potem dodał:

– Gdy nasi ludzie zdali sobie sprawę, co się dzieje, zatrzymali się, żeby odpocząć i odtworzyć równy szyk.

Brutus pęczył z dumy. Po tym, jak dwie linie ruszyły do szaleńczego biegu, Cezar nie mógł wydać takiego nietypowego rozkazu. Wykazując zadziwiającą inicjatywę, żołnierze pokazali się z jak najlepszej strony. Przegrupowali się, żeby lepiej przygotować się do walki.

Nagle usłyszeli przeciągły gwizd.

Pila. Salwy z obu stron w odległości dwudziestu lub trzydziestu kroków.

Ciężkie pociski znajdowały swoje cele. Słyszeli coraz więcej wrzasków i krzyków rannych. Kilka uderzeń serca. I po chwili pięćdziesiąt tysięcy ludzi zderzyło się ze szczękiem i chrzęstem, które złączyły się w jeden, potężny grzmot.

– Cezar rozkazuje, żebyście się przygotowali – pojawił się kolejny posłaniec. – Cała nadzieja w was. Ale nie ruszajcie, zanim nie zobaczycie jego sygnału.

– Słyszeliście, chłopcy? – Brutus krzyknął do swoich ludzi. – Cezar ufa nam całkowicie. I odpłacimy się mu za to zaufanie. *Venus Victrix!* Przynosząca wiktoria! – wykrzyczał hasło obowiązujące tego ranka.

Zewsząd słyszał okrzyki aprobaty. Rosnący ryk przemieszczał się wśród

żołnierzy kolejnych kohort.

Brutus rozejrzał się zadowolony. Morale legionistów było wysokie. Jednak nie mógł pozbyć się niepokoju. Nawet jeśli twardzi weterani Cezara z dwóch pierwszych linii przełamią mniej doświadczonych żołnierzy Pompejusza, to jeszcze nie przyniesie im zwycięstwa, bo na tyłach pojawi się jazda nieprzyjaciela, oskrzydłająca prawą flankę. Nie było takiej armii na świecie, która wytrzymałaby szarżę kawalerii na swoje tyły. Wszystko zależało od niego i jego sześciu kohort.

Wielki Mitro! Daj mi odwagę. Obdarz mnie zwycięstwem.

Zeskoczył z konia, którego jego legionista odprowadził na tyły. To zadanie należało do piechurów, a Brutus chciał być wśród nich. Był oficerem, który dowodzi z pierwszej linii. Chwytał *pilum* i zapasową tarczę, po czym zajął miejsce w pierwszym szeregu, kiwając zachęcająco głową do swoich ludzi.

Czekali w milczeniu, czując pieczenie coraz gorętszych promieni słońca.

Brutus niepokoił się, śledząc to, co dzieje się przed linią jego oddziałów.

Galowie i Germanie robili, co mogli, aby osłaniać wycofującą się lekką piechotę Cezara. Bez tej ochrony ci ludzie zostaliby rozbici i wycięci w pień. Brutus z ulgą zauważył, że na szczęście jazda nie panikowała i zachowywała dyscyplinę. Zmieniając kierunek i atakując na zmianę, jeźdźcy rzucali w stronę wytrwale pracującej naprzód fali jazdy republikańskiej ostatnie *pila*. Lekka piechota wiedziała, że ich towarzysze nie będą mogli zbyt długo powstrzymać impetu przeciwnika, dlatego pędzili na złamanie karku w kierunku prawego skrzydła armii Cezara. Mieli przebiec tuż obok oddziałów Brutusa.

Tymczasem republikańscy jeźdźcy ruszyli z wigorem do przodu. Spychali przeciwników do tyłu z jeszcze większym zaangażowaniem. Byli raczej lekko uzbrojeni, we włócznie i miecze. Niewielu miało tarcze lub elementy zbroi. Jazda Pompejusza składała się w głównej mierze z Traków, mieszkańców Kapadocji, Galatów i konnych z tuzina innych krain. Wszyscy walczyli o honor odwrócenia biegu historii przez Pompejusza. Za nimi pędziły tysiące łuczników i proczary.

Brutus zaczął obgryzać paznokcie. Ważyły się losy bitwy.

Galowie i Germanie jeszcze nie dali się złamać, mimo że tracili coraz więcej ludzi. Lekka piechota obiegała kohorty Brutusa i skierowała się na wschód. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, za chwilę przegrupują się i znów staną do walki wraz ze swoimi towarzyszami na koniach. Ponosząca coraz większe straty kawaleria znajdowała się w odległości może trzystu kroków. Wciąż zbyt daleko, żeby piechota mogła uderzyć, licząc na odniesienie sukcesu. *Mitro! Spraw, żeby się zbliżyli...*

– Zewrzeć szyk! – Brutus wydał rozkaz, adresując go do najbliższego centuriona.
– Tarcze w górę. Gotuj *pila*!

Usłuchali natychmiast. *Scuta* zderzyły się z brzękiem, tworząc twardą ścianę. Tym razem mieli inaczej wykorzystać oszczepy, które wystawały ponad mur tarcz. Szeregi poważnych weteranów wpatrywały się w chmurę pyłu przed nimi.

Sto pięćdziesiąt kroków dzieliło resztki jazdy galijskiej i germańskiej od sześciu kohort Brutusa. Słyszeli grzmot kopyt i głośne krzyki rozemocjonowanych republikanów. Ludzie robili się coraz bardziej nerwowi, a oficerowie zerkali na Brutusa, czekając na rozkazy.

Z kolei Brutus spoglądał z niepokojem tam, gdzie stał Cezar ze swoją świtą. Wydało mu się nawet, że dostrzega jego czerwony płaszcz wśród wyższych oficerów i członków straży przybocznej. Ale nie widział żadnego cholernego sygnału! *No już!* – Brutus miał wrażenie, że serce za chwilę wyskoczy mu z piersi. *Gdzie ten rozkaz!*

Mniej niż sto kroków.

Wroga kawaleria była już na tyle blisko, że Brutus widział wyraźnie strugi potu ściekającego ze zmęczonych wierzchowców. Ranni ledwo trzymali się w siodłach. Liczne konie galopowały bez jeźdźców. Z szacunkiem pomyślał o tym, jak wielkie straty ponieśli. Jak wiele poświęcili.

Kohorty, osłaniane przez tyralierę koni i kurz wznoszony ich kopytami, wciąż pozostawały niewidoczne dla wroga. Taki był właśnie cel Cezara.

Siedemdziesiąt kroków.

Pięćdziesiąt.

W ostatniej chwili Galowie i Germanie zmienili kierunek biegu, opływając łagodnie ścianę tarcz.

Teraz! Na Mitrę! To musi być teraz!

Ponownie spojrzął na *vexillum*. Tym razem dostrzegł ruch szkarłatnego proporca. Sygnalista unosił go i opuszczał. Jak zwykle Cezar czekał do ostatniej chwili.

– Biegiem marsz! – rzucił się Brutus, unosząc oszczep. – Do ataku!

Ruszyli do przodu z przeraźliwym wyciem. Legioniści od rekrutów szkoleni są w utrzymaniu muru tarcz podczas biegu. W takiej formacji stanowili przerażający widok dla każdego wroga. Zwłaszcza dla jazdy, która nigdy nie była atakowana przez ciężką piechotę. A przez kilka ostatnich tygodni Brutus ćwiczył z kohortami wykorzystanie *pila* do dźgania jeźdźców po... oczach i twarzach. Legioniści byli zachwyceni nową taktyką. Wszyscy wiedzieli, że kawalerzyści są dandysami, którzy

uważają się za lepszych od piechurów.

Biegli, ile sił, nie żałując gardeł. Wyłonili się z chmury kurzu jak szare, mściwe duchy.

Jazda Pompejusza nie wiedziała nawet do końca, kto ich zaatakował.

Zgodnie z przewidywaniami republikanie rozproszyli kawalerię i lekką piechotę Cezara, zadając tym oddziałom duże straty. Teraz wystarczyło tylko uderzyć na odsłonięte tyły. Należało podzielić się na mniejsze kliny i atakować niezabezpieczoną linię do woli. Niedoświadczone legiony Pompejusza dobrze się trzymały, więc oddziały Cezara mogły znaleźć się między młotem a kowadłem. Niebawem zostaną zgniecione! Wyjąc z radości na myśl o nieodległym zwycięstwie, republikanie parli naprzód.

I nagle pojawiła się przed nimi ściana tarcz, długa na ponad tysiąc sto kroków.

Szarża została niespodziewanie zatrzymana w miejscu.

Ludzie Brutusa uderzyli w nich w pełnym biegu. Setki *pila* trafiały prosto w otwarte ze zdziwienia usta republikanów, wyłupywały oczy i zagłębiały się w nieosłonięte, miękkie ciała. Wiele koni również odniosło rany, które sprawiły, że wierzgały i przerażone zrzucały jeźdźców. Tym razem legionieści atakowali z okrzykami, z myślą o tym, aby przerazić jak najwięcej wierzchowców. Zza osłony tarcz dźgali ostrymi głowicami oszczepów, zagłębiając je w ciałach i wrywając, żeby uderzyć ponownie. I znowu. I jeszcze raz... Kawalerzyści wroga cofnęli się pod naporem tak niespodziewanego, wściekłego ataku. To nie tak miało być!

Mur tarcz sześciu kohort przesunął się krok dalej. Potem jeszcze jeden.

Brutus czuł się jak pies myśliwski, który zwęszył zapach ofiary. Musieli wykorzystać element zaskoczenia i przewagę, jaką im dawał. Było ich znacznie mniej niż jazdy wroga, dlatego wywołanie paniki u przeciwników musiało stać się ich główną bronią.

– Naprzód! – krzyczał na cały głos, aż żyły pęczniały na jego szyi. – Wszyscy do przodu, jeśli tylko się da!

Centurioni i młodszy oficerowie powtarzali jego rozkaz.

Wykorzystując każdą nadarżającą się okazję, legionieści wciskali się w szczeliny między jeźdźcami wroga. Osłaniając się *scuta*, używali *pila* do siania zamętu i wzbudzania strachu w sercach przeciwników. Tu i tam jakiś cios mieczem powalał piechura, ale kohorty Brutusa wciąż miały przewagę impetu natarcia. A kilka chwil później Brutus zaczął dostrzegać zachowania, które znamionowały chwilę przełomu. Głowy obracające się do tyłu. Trwoga rysująca się na twarzach wrogów. Krzyki

przerażenia. *Zawracajcie i uciekajcie, skurwysyny! Teraz!*

To było jak oglądanie stada ptaków, które zmienia kierunek lotu. Pokonani przez strach jeźdźcy z pierwszych rzędów zaczęli zawracać konie, byle dalej od bezlitosnych ciosów oszczepów, niosących śmierć. Spanikowani, krzycząc coś niezrozumiale, zderzyli się z oddziałami, które formowały się już w kliny, przygotowując uderzenie na tyły armii Cezara.

Zdenerwowany Brutus wstrzymał oddech. Jeśli w szeregach wroga są jacyś doświadczeni, zdyscyplinowani oficerowie, to powinni wiedzieć, że właśnie nadeszła odpowiednia chwila na wycofanie się, przegrupowanie i zaatakowanie ich z boków i od tyłu. Jeśli to zrobią, wysiłek żołnierzy z podległych mu kohort nie zda się na nic, a nadzieje rozwieją się niczym mgła. Przegrają bitwę.

Jednak przeciwnicy zareagowali tak, jak zareagowałyby większość ludzi w tych okolicznościach – w obliczu fali wycofujących się przerażonych, rannych towarzyszy. Zawrócili w miejscu i uciekli z podkulonymi ogonami. W jednej chwili atak kawalerii republikańskiej zmienił się w paniczną ucieczkę. Jeźdźcy pogalopowali w dal i zniknęli w chmurze pyłu.

Brutus uniósł w powietrze zakrwawione *pilum* z krzykiem, który przerodził się w wiwat. Jego okrzyk powtórzyły dwa tysiące uradowanych legionistów. Jednak ich zadanie jeszcze się nie zakończyło. Bitwa jeszcze nie była wygrana.

Uciekająca z pola walki wroga jazda zostawiła na łasce przeciwnika tysiące łuczników i procarzy, którzy mieli wspierać jej atak. Gdy żołnierze Pompejusza zorientowali się, że ich osłona podała tyły, rozległy się przerażone krzyki. Przygotowana na taką ewentualność resztką jazdy i lekkiej piechoty Cezara po chwili odpoczynku i przegrupowaniu ruszyła prosto na nich, urządzając krwawą łaźnię rozproszonym i przerażonym, lekko uzbrojonym żołnierzom optymatów, uciekającym przez równinę.

Prawa flanką sił Pompejusza jest teraz całkowicie odsłonięta – myślał zadowolony Brutus. Zobaczył, że jego ludzie również zdawali sobie z tego sprawę. Nadszedł czas, aby teraz oni wymierzili potężny cios, który unicestwi wrogie oddziały.

– Biegiem marsz! – krzyknął Brutus, zbierając się do truchtu. – Pokażmy tym skurwielom, czego potrafią dokonać prawdziwi żołnierze!

Od republikańskich linii dzieliło ich co najmniej pół mili, ale ludzie Brutusa ruszyli biegiem jak psy na polowaniu, które spuszczone ze smyczy. W tym samym czasie Cezar wydał rozkazy także trzeciej linii swojej piechoty, która wsparła dwie pierwsze. Wielki wódz podbijał stawkę, wysyłając teraz do walki rezerwy, które

miały zapewnić świeżą dawkę energii, tak bardzo potrzebną dwóm pierwszym liniom, od dłuższego czasu skutecznie opierającym się liczniejszemu przeciwnikom.

Teraz Brutus martwił się tylko tym, jak Pompejusz zareaguje na ten atak. Podobnie jak Cezar zapewne trzymał swoją trzecią linię w odwodzie, co oznaczało, że przewaga kohort Brutusa nie potrwa długo i szybko zostanie zneutralizowana przez rezerwy republikanów. *Jeszcze jeden powód, by się spieszyć* – myślał Brutus, zmuszając się do szybszego biegu. Hełm ze zdobiącym go poprzecznym grzebieniem, kolczuga i ciężka *scutum* – to wszystko sporo ważyło, zmuszając go do dużego wysiłku. Od świtu słońce mocno prażyło suchą równinę, a teraz zbliżało się już do zenitu. Powietrze było gorące i nieruchome. Trudno było oddychać. Większość żołnierzy nie piła nic od wielu godzin, więc wszystkie gardła drapały i piekły. Jednak nikt się nie zatrzymał.

To właśnie w takich chwilach decydował się los bitwy.

No i przecież Cezar w nich wierzył.

Godzinę później Brutus wiedział już, że jest po wszystkim. Okazało się, że Pompejusz skierował do walki od razu wszystkie trzy linie, mimo że przeciwnik zaangażował tylko dwie. Przypuszczalnie chodziło mu o to, aby jak najlepiej wesprzeć swoich surowych rekrutów. Tyle że ta decyzja sprawiła, iż wódz republikanów nie miał już żadnych rezerw, które mogłyby wykorzystać do przeciwstawienia się oskrzydłającemu atakowi kohort Brutusa. Ponadto jego kawaleria została rozpędzona na cztery wiatry, a oddziały łuczników i proczary zmasakrowane. Brutus ze swoimi kohortami spadł na niczego niepodręczających żołnierzy republikańskich na lewej flance. Byli jak wilki atakujące stado bezsilnych owiec. Rolując skrzydło nieprzyjaciela, patrzyli z zachwytem, jak we wrogich oddziałach rozprzestrzenia się panika.

Gdy kilka chwil później trzecia linia Cezara uderzyła na republikanów, koniec był już bliski. Brutus musiał jednak przyznać, że legionieści Pompejusza bronili się dzielnie. Utrzymywali szyk, walczyli dalej i nie uciekali. Inaczej rzecz się miała z sojusznikami Pompejusza. Gdy ich kawaleria została rozbita, widząc wchodzące do walki świeże oddziały przeciwników, czmychnęły w kierunku obozu. Legiony Cezara ruszyły do przodu z nową energią. Krok po kroku spychały coraz bardziej zdemoralizowanego wroga z pola bitwy.

Na ustach Brutusa pojawił się bezlitosny uśmiech. Strach zawsze rozprzestrzenia się od tyłów. Gdy ludzie, którzy widzą, jak ich towarzysze przegrywają walkę,

zaczynają zerkać przez ramię. Dlatego ostatnich linii pilnowali uzbrojeni w długie laski *optiones* i inni młodszy oficerowie. Dbali o to, aby nikt nie wycofał się wbrew rozkazom. Jednak ze względu na małą liczebność nie mieli szans powstrzymać wszystkich uciekających, gdy panika osiągała masę krytyczną. Nieuchronnie to właśnie ich czekało. Pompejusz był jednym z pierwszych, którzy zrozumieli, że losy bitwy właśnie się rozstrzygnęły. Rozbite legiony poszły w rozsypkę, a potem wzięły przykład ze swojego dowódcy i opuściły pole bitwy już jak niezorganizowany motłoch. Po dotarciu do ufortyfikowanego obozu, który dawał złudne poczucie bezpieczeństwa, republikanie z przerażeniem stwierdzili, że żołnierze Cezara nie zamierzają poprzestać na oblężeniu. Po krótkim, intensywnym starciu bramy zostały rozbite. Pompejusz i jego ludzie znów musieli uciekać.

Prowadzeni teraz przez samego Cezara, wyczerpani legionieści ruszyli w pościg za wrogiem, który miał być pozbawiony odpoczynku, wody i żywności. Zwycięstwo – myślał Brutus – *musi być totalne*. Po raz kolejny Cezar wyrwał zwycięstwo z paszczy porażki, tym razem dzięki nietypowej taktyce – zastosowaniu jednego z najbardziej pomysłowych rozwiązań w historii wojen.

Brutus opróżnił bukłak z resztek letniej wody, po czym wyszczerzył zęby w wilczym uśmiechu.

Wystarczyło teraz tylko pochwycić Pompejusza, a wojna domowa będzie praktycznie skończona.

Nic z tego. Mimo że dwadzieścia cztery tysiące żołnierzy dostało się do niewoli, a wśród nich znalazła się duża liczba wysokich rangą oficerów i senatorów, Pompejusz wraz z wieloma jego poplecznikami wymknął się w nocy z sidła zastawionych przez Cezara. Wśród tych, którym się udało, byli: Petrejusz, Afrianusz i Labienusz, dawny przyjaciel i sojusznik Cezara z czasów kampanii galijskiej.

Wcześnie rano następnego dnia Brutus spoglądał na pole bitwy z pobliskiego wzniesienia. Fabiola stała przy nim. Cicha. Osłupiała. Choć bitwa nie była tak krwawa, jak pod Alezją, liczba ofiar i tu przyprawiała o drżenie. Zginęło ponad sześć tysięcy legionistów armii republikańskiej, a Cezar stracił ponad tysiąc dwustu żołnierzy. Do tego trzeba jeszcze dodać straty wojsk sojuszników Pompejusza. Niezliczone ciała leżały wszędzie dookoła, po śmierci równie bezwartościowe jak za życia. Niebo nad nimi już pociemniało od chmur sępów, orłów i innych drapieżnych ptaków.

– Czy wszystkie ciała tak po prostu tu zgniją? – zapytała Fabiola, buntując się

jakoś wewnętrznie na tę myśl.

– Nie. Patrz tam – odpowiedział Brutus, wyciągając rękę przed siebie. Małe grupy ludzi zajmowały się już zbieraniem i układaniem drewna. – Stosy pogrzebowe.

Fabiola zamknęła oczy, wyobrażając sobie fetor palonych ciał.

– Czy już po wszystkim?

Brutus westchnął ciężko.

– Obawiam się, że nie, moja miłości.

– Ale przecież to... – Fabiola wskazała na pobojuwisko rozciągające się pod nimi. – Czy mało ludzi dziś zginęło?

– Obie strony poniosły duże straty – zgodził się. – Jednak optymaci tak łatwo się nie poddadzą. Podobno chcą ruszyć do Afryki, gdzie Pompejusz ma jeszcze wielu zwolenników.

Fabiola pokiwała głową ze zrozumieniem. Właściwie tylko w Afryce Cezar na razie ponosi same porażki. Rok wcześniej wysłał do tej prowincji Kuriona, byłego trybuna, który okazał się na tyle nierozważny, że dał się wyciągnąć na jałowe tereny z dala od wybrzeża, gdzie jego armia została unicestwiona przez jazdę króla Numidii, republikańskiego sojusznika.

– To znaczy, że szykuje się kolejna kampania, prawda? – Fabiola z całego serca pragnęła, aby rozlew krwi wreszcie się zakończył. Wtedy będzie mogła wrócić do planów zemśczenia się na Cezarze.

– Tak – odpowiedział po prostu Brutus. – Ale w każdej chwili możesz wrócić do Rzymu. Zadbam o to, żebyś miała wystarczającą ochronę.

Zadowolona Fabiola pocałowała go w policzek.

– Zostanę przy tobie, kochanie – nadal bała się Scewoli. – A co z Pompejuszem?

Brutus zmarszczył brwi.

– Zwiadowcy donoszą, że ruszył na wschód, ku wybrzeżom Morza Egejskiego. Nie podróżuje razem z innymi. Myślę, że stamtąd spróbuje dotrzeć do Partii lub Egiptu – zauważył jej pytające spojrzenie. – Ten człowiek tak po prostu nie zrezygnuje. Będzie szukał wsparcia.

– To się nigdy nie skończy! Pompejusz wciąż ma dwóch synów w Hiszpanii. Im też nie można ufać – zawołała zrozpaczona Fabiola. – Afryka, Egipt, Hiszpania. Czy Cezar może prowadzić wojnę na trzech frontach?

– Oczywiście, że tak – Brutus uśmiechnął się. – I zwycięży. Serce mi mówi, że tak właśnie będzie.

Fabiola nie odpowiedziała. Martwiła się. Jeśli Cezar naprawdę pokona tak wielu wrogów, okaże się największym generałem, jakiego widział świat. Jak ma myśleć o zemstce na kimś tak potężnym? Brutus ją kochał. Tego była pewna. Ale wątpiła, by kiedykolwiek mógł zdradzić Cezara. Jakie były szanse, że przekona do swoich racji kogoś innego? Niepocieszona zapatrzyła się w przestrzeń nad równiną, szukając w myślach jakiegoś tropu, za którym mogłaby pójść. Przez długi czas nic nie przychodziło jej do głowy. W pewnym momencie dostrzegła samotnego kruka, który trzymał się na uboczu, z dala od pozostałych ptaków. Szybował na ciepłych prądach powietrza nad nagrzaną ziemią. Długo obserwowała go zafascynowana. I nagle zrozumiała. *Dziękuję, Mitro! My sami jesteśmy swoimi największymi wrogami. Więc Brutus i jego towarzysze są kluczem do rozwikłania także i tej zagadki.*

– Jeśli mu się to uda... – zaczęła Fabiola ostrożnie, z pełnym wyrachowaniem, starannie dobierając słowa – ...już nigdy nie powinieneś mu zaufać. Rzym musi się strzec Cezara.

– O co ci chodzi? – zapytał Brutus, zdezorowany i trochę zły.

– Arogancja człowieka z taką władzą nie zna granic. Cezar obwoła się królem.

– Królem?

Każdy obywatel uważał monarchię za przekleństwo. Prawie pięćset lat temu mieszkańcy Rzymu odważyli się na coś, z czego byli dumni do dziś. Obalili i wygnali z miasta ostatniego króla, uważającego się za władcę absolutnego.

Fabiola знаła jeden istotny szczegół związany z tymi wydarzeniami.

Głównym inicjatorem tych zajęć miał być rzekomo jeden z przodków Brutusa.

Nie posiadała się z radości, obserwując, jak twarz Brutusa robi się biała niczym płótno.

– To nie może się zdarzyć... – wymamrotał.

Rozdział XXVI

Bestiarius



U wybrzeży Etiopii, lato/jesień 48 r. p.n.e.

Romulus uderzył w powierzchnię wody plecami. W ostatniej chwili wstrzymał oddech. Na początku wpadł w panikę, gdy jego ciężka kolczuga natychmiast pociągnęła go na dno. Zdezorientowany miał wrażenie, że jego płuca zaraz eksplodują i musiał mocno starać się, żeby odruchy nie przejęły nad nim kontroli. Nie chciał jednak udusić się wodą morską, wciągając ją do płuc. Wola przetrwania dodała mu sił. Wyprostował się w wodzie i zaczął kopać energicznie nogami. Po chwili udało mu się powstrzymać opadanie. Zmierzał teraz w górę, ku taflowi wody. Z ulgą stwierdził, że wysokie zasolenie zwiększało siłę wyporu. Przebił powierzchnię, wreszcie łapiąc haust powietrza. Nigdy dotąd nie smakowało równie słodko! Wycierał piekące od soli oczy, gorączkowo rozglądając się za przyjacielem.

Piraci rzucali przekleństwami. Wisieli na burcie. Niektórzy tylko machali zaciśniętymi pięściami, ale inni celowali w jego kierunku z łuku lub zamierzali się włóczniami.

– Szybko! – wrzasnął Ahmed. – Głupcy! Dalej! Zabijcie go!

Romulus nie był jeszcze bezpieczny.

Zaklął. Czy miał jakąś szansę wspiąć się z powrotem na pokład? Uratować Tarkwiniusza, zanim trirema zmiażdży *dau* swoim taranem? Czekala go pewna śmierć. Albo zabiją go piraci, albo zginie od ciosów załogi rzymskiej jednostki. Nie mógł jednak tak po prostu odpłynąć.

– Jestem tu! – usłyszał głos za plecami.

Romulus nie posiadał się z radości. Za nim na wodzie unosiła się głowa Tarkwiniusza. Na twarz przyjaciela wypełzył szeroki uśmiech.

– Jakim...?

– Nie mamy czasu. Do brzegu!

Jakby to potwierdzenie jego słów taflę wody między nimi przeorała strzała. Szybko zniknęła pod powierzchnią, nie czyniąc im żadnej szkody, ale za nią ze świstem nadleciała następna. A po niej włócznia.

Romulus nie miał zamiaru się ociągać. Rozejrzył się, żeby ustalić, gdzie znajduje się łąd, po czym zaczął mocno pracować rękami i nogami, pokonując ciepłe fale.

– Kundle! – głos Ahmeda niósł się echem nad wodą. – Przeklinam was. Traficie do piekła!

W pobliżu wylądowało kilka kolejnych strzał, ale na szczęście żaden członek załogi nie potrafił posługiwać się łukiem równie sprawnie jak Romulus. A wściekły Nubijczyk nie mógł pozwolić sobie teraz na ściganie dwójki przyjaciół. Wybrali idealny moment na ucieczkę.

Mimo obciążenia częściami zbroi nie mieli problemu z dotarciem na łąd. Wkrótce leżeli już na opuszczonej plaży, pokrytej kamykami i większymi głazami. W tej samej chwili obaj odwrócili głowy, żeby zobaczyć, co dzieje się z piratami.

Z plaży rozciągał się świetny widok na rozgrywający się na morzu dramat, który właśnie wchodził w decydującą fazę.

Okręt piratów zakończył wykonywanie zwrotu po szerokim łuku i zaczynał nabierać rozpędu dzięki podmuchom wiatru, który wydał żagiel. Ale było już za późno. Słaba zwrotność jednostki stała się przyczyną jej zguby. Piraci nie zdążyli pokonać jakiegoś większego dystansu na drodze ku arabskiemu wybrzeżu, a trirema już pędziła prosto na nich z prędkością taranowania. I nie wyglądało na to, żeby miała zwolnić. Bęben wybijał szybki rytm, szybszy od tętna człowieka, zmuszając wioślarzy do wyczerpującej pracy.

– Nie wysłali żadnego sygnału, żeby nasi się zatrzymali... – stwierdził zdziwiony Romulus.

– I tak ich staranują.

– Biedaki.

Nawet z plaży widzieli lekko uniesiony przy dużej prędkości triremy taran, okuty płytami z brązu. Obserwowali przebieg starcia w bezruchu. Taran wystawał z wody jakieś piętnaście kroków przed dziobem okrętu. Dzięki niemu rzymska jednostka mogła zatopić każdy statek, roztrzaskując jego kadłub na kawałki. Jednak Ahmed i jego załoga nie znali tej formy ataku i nie mieli pojęcia, co ich czeka. Widzieli po prostu pędzącą prosto na nich triremę, której kapitan musiał chyba postradać rozum, bo dążył do czołowego zderzenia.

Znad wody niosły się krzyki zaniepokojonych piratów, mieszające się z piskami przetrzymywanych na okręcie kobiet.

Taran wbił się w burtę *dau* z niemożliwym do opisania hukiem. Mimo że od miejsca zdarzeń dzieliła ich spora odległość, przyjaciele leżący na piasku wyraźnie słyszeli donośny trzask pękającego drewna. Impet triremy sprawił, że mniejszy okręt przesunął się gwałtownie bokiem na wodzie. Kilku piratów wypadło za burtę, zmiecionych wstrząsem uderzenia. Machali teraz rękami, bezradnie obserwując swoich towarzyszy, z których większość leżała na pokładzie zwalona z nóg. Znów słysząc było krzyki pełne przerażenia.

Okręt otrzymał śmiertelny cios.

Aby zakończyć krótkie starcie *trierarch*, kapitan rzymskiej jednostki, zaczął wykrzykiwać rozkazy. Łucznicy unieśli łuki w zsynchronizowanym, wyćwiczonym geście, wycelowali i obsypali *dau* gradem strzał. Na oszołomionych piratów spadł śmiertelny deszcz. Salwa przyniosła katastrofalne skutki. Niezdyscyplinowani, spanikowani marynarze pirackiej jednostki, którym po uderzeniu udało się nie wpaść do wody, umierali tam, gdzie stali lub dopiero co podnosili się z kolan. Nieszczęsne kobiety spotkał taki sam los. Co ciekawe, Ahmed, jako jeden z nielicznych, nie został trafiony. Zachowywał się odważnie i do samego końca wykrzykiwał rozkazy do swoich ludzi. Na próżno.

Trierarch wyrzucił z siebie jeszcze jeden rozkaz. Szczęknięty uwalniane liny katapulty na pokładzie triremy. Kamienne kule poszybowały w powietrzu i opadły na pokład, miażdżąc znajdujących się tam ludzi. Wielki pocisk z balisty przybił Zebulona do masztu. Tylko mała garstka piratów nie była jeszcze ranna. Kapitan triremy nie zamierzał niepotrzebnie ryzykować życiem swoich marynarzy. To była rzymska brutalna efektywność posunięta do granic.

Obserwujący ten spektakl, Romulus poczuł ukłucie żalu. Piraci umierali straszną, bezsensowną śmiercią. Nie dano im nawet szansy skrzyżowania mieczy z wrogiem. Może i byli krwiożerczymi renegatami, ale żyli i walczyli z nimi przez prawie cztery lata. Poczuł, że jednak coś ich łączyło. No i były jeszcze te niewinne kobiety. Odwrócił wzrok. Wydało mu się, że nie może już dłużej na to patrzeć. Chwilę później jednak znów skierował wzrok w stronę umierającego okrętu.

Rzymscy marynarze chwycili teraz w dłonie długie tyczki i odpychali triremę od burty śmiertelnie rannej jednostki, odsłaniając ogromną dziurę w kadłubie. Nie chodziło jednak o to, żeby podziwiać maestrię ataku. Przez dziurę do wnętrza *dau* zaczęła wlewać się woda, niszcząc *olibanum* i przyprawy, które zdobyli piraci. Nic już

nie mogło uchronić pirackiej jednostki od zatonięcia.

Romulus nigdy nie miał okazji widzieć, jak katastrofalne skutki pociąga za sobą przedziurawienie poszycia kadłuba.

Dau zatonęła w okamgnieniu. Wkrótce jedynym śladem jej istnienia były kawałki drewna w wraku, unoszące się na wodzie obok czterech lub pięciu głów ocalałych rozbitków. Wśród nich Romulus rozpoznał Ahmeda. Rzymianie jednak nie zamierzali okazywać litości. W ostatecznym akcie bezwzględności łucznicy oddali kolejną salwę.

Mimo to Nubijczyk wciąż w wodzie żył i wymachiwał szaleńczo rękami.

Romulusowi zdawało się nawet, że słyszy jego głos. Wykrzykiwał przekleństwa. Taki właśnie obraz kapitana piratów na zawsze pozostanie mu w pamięci.

W powietrzu rozległ się świst dziesiątek strzał, który był ostatnim akordem tego spektaklu.

Romulus dopiero teraz zrozumiał, że Mustafa, który został na brzegu w Kanie, powinien dziękować bogom, że nie zdążył na okręt. Przy odrobinie szczęścia czeka go inny los niż towarzyszy z załogi. Jak zawsze Romulus zastanawiał się, czy haruspik wiedział, co się stanie.

– Chodźmy... – odezwał się Tarkwiniusz.

Romulus natychmiast się opamiętał.

– Ruszajmy, zanim *trierarch* nas zobaczy i wyśle tu kilku ludzi.

– Słusznie...

Romulus był tak pochłonięty oglądaniem tego nierównego starcia, że zapomniał, iż Rzymianie równie dobrze mogą zaszkodzić także im. Po tym, co zobaczyli, można było wątpić, że pozwolą im cokolwiek wyjaśnić. Dlatego lepiej nie rzucać się w oczy. Przykucnęli i najpierw na czworakach, chowając się za głazami, ruszyli w głąb lądu. Byle dalej od śmiertelnego zagrożenia. Wspięli się po łagodnym skalistym zboczu, opuszczając plażę. Po minięciu grzbietu wzniesienia znaleźli się już poza zasięgiem wzroku rzymskich marynarzy.

Gorące promienie słońca szybko osuszyły ich ubrania. Poza kolczugą, napierśnikiem Tarkwiniusza i mieczami nie zdążyli zabrać z pokładu prawie nic więcej. Tarkwiniusz jakimś sposobem uratował też swój topór. Słodkiej wody zostało im może z pół bukłaka. Przez jakiś czas musieli obejść się też bez jedzenia. Żaden z nich nie zdążył zabrać łuku, więc polowania będą wyjątkowo trudne.

Żyjemy... – myślał ponuro Romulus. – *Tylko to się liczy.*

– Jak uciekłeś? – zapytał Tarkwiniusza.

– Udało mi się złapać Ahmeda za nogę i obalić go na pokład.

– I nie dałeś się pociąć przy tym na plasterki?

Tarkwiniusz wzruszył wymownie ramionami.

– Taki numer nieźle wyglądałby na arenie – zaśmiał się Romulus, poklepując przyjaciela po ramieniu.

Haruspik skrzywił się.

– Jestem już na to za stary...

Romulus zignorował jego odpowiedź. Wolał nie zastanawiać się nad wiekiem Tarkwiniusza. Mimo że ostatnie lata sprawiły, iż nabrał pewności siebie, nadal bardzo liczył na wsparcie duchowe swojego przyjaciela.

– Afryka! – Tarkwiniusz wyciągnął rękę zamaszystym ruchem. Widok zapierał dech.

Przed nimi na zachodzie i północy aż po horyzont rozpościerała się przesycona zielenią równina. Na południu widzieli niewysokie, falujące trawą wzgórza. Tu i ówdzie rosły małe drzewa i karłowate krzewy. Między nimi wznosiły się kopce termitów o nieregularnym kształcie – niczym grube, czerwone palce, wyłaniające się niespodziewanie z ubitej ziemi. Romulus nigdzie indziej nie widział tak dużo różnych ptaków – morskich, ale i lądowych – miodowodów, wilg, zimorodków i wiele innych. Świat zwierząt również zachwycał różnicowaniem. Widzieli kilka rodzajów antylop, dużych i małych, które spacerowały spokojnie po okolicy, pogryzając to tu, to tam trawę lub liście z krzaków. W pobliżu kręciło się też stado wspaniałych stworzeń podobnych do koni, ale naznaczonych szerokimi czarno-białymi pasami. Machały niespiesznie ogonami, oganiając się od much. Stado słońi zatrzymało się przy wodopoju. Zwierzęta głośno wciągały wodę trąbami, po czym urządzały sobie prysznic. Dostojne białe ptaki spacerowały po ich skórze na grzbiecie, szukając pasożytów. Jeśli odstraszył ich jakiś strumień wody, odlatywały ze skrzekiem, dając wyraz swojemu niezadowoleniu. Poszukają innego osobnika, który doceni ich starania.

Jakże ten sielski obraz różnił się od tego z ostatniej konfrontacji ze słońiami! Romulus nie chciał jednak wracać myślami do trudnych chwil pożegnania z Brennusem.

– Patrz na nie. Co to może być? – wykrzyknął ze zdumieniem, wskazując paskowane zwierzęta.

– Zebry.

Tarkwiniusz nigdy nie przestawał zaskakiwać Romulusa swoją wiedzą.

– Skąd, na Hades, możesz to wiedzieć?

– Widziałem jedną podczas triumfu Pompejusza w Rzymie – odpowiedział Tarkwiniusz.

– A te? – Romulus wskazał trzy dziwne zwierzęta, które właśnie ze spokojem obgryzały liście z gałęzi na wyższych partiach drzew. Ich krótki tułów miał kolor piasku z wieloma łatami, o różnych odcieniach brązu i żółci. Najbardziej interesującą ich cechą były jednak niezwykle długie szyje i nogi. Szyje ozdabiały krótkie, sterczące grzywy, a z głów wystawały im dziwne czułki, przypominające rogi.

– Żyrafy.

– Czy są niebezpieczne?

– Nie bardzo – zaśmiał się haruspik. – Żywią się roślinami.

Romulus zaczerwienił się zakłopotany.

– Tu gdzieś muszą być też lwy.

Widział kiedyś z bliska, co te duże koty mogą zrobić z człowiekiem. Spotkanie choćby z jednym z nich na wolności nie byłoby pewnie zbyt przyjemnym przeżyciem.

– Powinniśmy ich unikać – zgodził się haruspik. – Podobnie jak nosorożców, bawołów i lampartów. Szkoda, że nie mamy włóczni.

– Widziałem już kiedyś lwy i lamparty – powiedział Romulus, otwierając szeroko oczy. – Ale pozostałych, które wymieniłeś, nie.

Te słowa były dla Tarkwiniusza zaproszeniem do rozpoczęcia jednej ze swoich lekcji. Naturalnie haruspik nie ograniczył się do opisu flory i fauny, ale opowiedział Romulusowi trochę o historii Etiopii i Egiptu oraz przekazał kilka kluczowych informacji na temat obcych cywilizacji, żyjących na tych obszarach od wieków ludzi.

Gdy skończył, Romulus poczuł się w tym nowym, obcym kraju niemal jak w domu. Te tereny miały o wiele starszą i bogatszą historię niż Rzym. Jednak stopniowo Rzym odciskał swoje piętno nawet i tu, czego dowodem była obecność triremy na okolicznych wodach.

– Jak daleko jest stąd do Aleksandrii?

– Wiele setek mil.

Powoli zaczęła docierać do niego skala trudności tej wyprawy.

– Czy całą drogę będziemy musieli pokonać na piechotę?

– Być może. Nie mam pewności.

– No to lepiej ruszajmy... – Romulus westchnął.

Kierowali się na północ. Do Egiptu.

Gdy znaleźli się przy wodopoju, słonie już się oddaliły. W płytkim oczku wodnym unosiło się teraz sporo piasku, ale nie mieli wyboru. Ugasili pragnienie i napełnili wodą skórzane bukłaki, po czym ruszyli dalej. Na razie musieli obejść się bez jedzenia. W tych okolicznościach trzeba było pogodzić się z burczeniem w brzuchu. Oddalenie się od wybrzeża i triremy było teraz o wiele ważniejsze niż poszukiwanie pożywienia. Chociaż nic nie wskazywało na to, że kapitan triremy wysłał za nimi pościg, od czasu do czasu z obawą zerkali za plecy, w kierunku, z którego szli.

Kolejny poranek minął bez żadnych wypadków i Romulus zaczął się uspokajać. Starali się poruszać równolegle do brzegu. Pokonali chyba osiem czy dziewięć mil. Uciekli. Lub tak przynajmniej im się wydawało.

Młody żołnierz nie czuł jednak euforii. Dotarcie na piechotę przez Etiopię do Egiptu, bez odpowiedniej broni i samotnie, będzie prawdziwie herkulesowym zadaniem. Mimo że miejsce ostatniej bitwy Zapomnianego Legionu i Barbaricum dzieliła podobna odległość i ją pokonali, tamta podróż była łatwiejsza, ponieważ przez dłuższy czas płynęli łodzią z nurtem Indusu. A droga do Egiptu miała raczej przypominać szlak prowadzący z Carrhae do Margiany.

Tylko że wtedy przynajmniej nie byli sami.

Do wieczora przeszli kolejne dziesięć mil. Postanowili znów skierować się nad morze. Nad brzegiem długo omiatali wzrokiem horyzont. Prawie dwie dekady młodszy Romulus miał lepszy wzrok. Na szczęście nie dostrzegł triremy. Znaleźli jakiś osłonięty fragment wydmy. Wykorzystując kolczaste gałęzie pobliskich drzew, wzniesli mały, wysoki, półokrągły szałas. Był on tak duży, że mogli się w środku położyć i w miarę bezpiecznie spędzić noc. Szałas zapewniał przynajmniej minimalną ochronę.

Nie zaryzykowali rozpalenia ogniska. Wciąż jeszcze było w miarę ciepło, a i tak nie mieli żadnego jedzenia, które wymagałoby przygotowania w ogniu. Ognisko mogłoby za to przyciągnąć niepotrzebnych gości.

Tarkwiniusz zaproponował, że będzie czuwać pierwszy.

Romulus przyjął jego propozycję z wdzięcznością. Natychmiast zasnął. Śnił o Rzymie.

Gdy obudził się przemarznięty do szpiku kości, nie zdziwił się zbyt, widząc, że Tarkwiniusz nie śpi i czuwa. Słaby blask na horyzoncie wskazywał, że niewiele brakuje do świtu. Jego przyjaciel pozwolił mu przespać całą noc. Odezwano się w nim poczucie winy. Już miał się odezwać, gdy coś kazało mu się powstrzymać. Haruspik siedział wpatrzony we wschód słońca. Nie wydawał się świadomy jego obecności. Tkwił bez ruchu ze skrzyżowanymi ramionami niczym idealnie odwzorowany posąg człowieka.

– Wspaniały Tinio wybac mi to, co zrobiłem.

Romulus nastawił uszu, słysząc imię najpotężniejszego z bogów Etrusków, którego Rzymianie nazywali Jowiszem.

Nastąpiła długa przerwa. Tarkwiniusz patrzył na niezliczone gwiazdy, znikające stopniowo z coraz jaśniejszego nieboskłonu. Jego usta poruszały się w cichej modlitwie.

Zafascynowany Romulus leżał nieruchomo, powstrzymując się przed drżeniem z zimna.

– Wielki Mitro, przyjmij moją skruchę – Tarkwiniusz odezwał się cicho. – Wybrałem rozwiązanie, które uznałem za najlepsze. Jeśli popełniłem błąd, pozwól mi ponieść karę, jaką uznasz za stosowną.

Romulus był zaintrygowany. Co takiego uczynił jego przyjaciel? Czy to miało jakiś związek z ich podróżą? Chociaż dotarcie do Afryki zajęło im prawie cztery lata, młody żołnierz nie umiał wyobrazić sobie żadnego innego sposobu dotarcia tu szybciej. Nie mógł winić za nic haruspika, bo bez jego pomocy i nieocenionego *Periplusa* nigdy by się to nie udało. Od lat jego wiedza, wskazówki i przepowiednie miały dla Romulusa wielkie znaczenie. Bez Tarkwiniusza byłby jak okręt bez wiosła sterowego.

A może chodziło o coś zupełnie innego?

Jakaś urwana, nieuchwytna myśl zaświtała mu w głowie. Próbował się skupić. Sięgnął do pamięci. Coś, o czym powinien pamiętać. Po chwili poddał się jednak sfrustrowany. Poczul ogarniający go chłód. Zadrzał.

Tarkwiniusz nagle obudził się ze swojego dziwnego letargu. Natychmiast wrócił jego naturalny spokój.

– Obudziłeś się... – stwierdził po prostu.

– O czym mówiłeś? – Romulus zapytał odważnie.

– Tylko się modliłem – z twarzy haruspika nie dało się nic wyczytać.

– To było coś więcej niż modlitwa.

Tarkwiniusz nie odpowiedział. Nagły strach ścisnął gardło Romulusa.

– Widziałeś coś dotyczącego Fabioli?

– Nie.

– Na pewno?

– Przysięgam.

Pełen podejrzeń Romulus przyglądał się badawczo haruspikowi.

Pierwsze promienie pomarańczowego słońca prześlizgnęły się nad krawędzią najbliższej wydmy. Temperatura wreszcie zaczęła rosnąć, co obaj przyjaciele przyjęli z nieskrywaną ulgą. Spali na gołej ziemi, bez koców, więc nie wypoczęli najlepiej. Jednak już niedługo zrobi się ciepło. Nawet za ciepło. Dziś powinni zapolować i wreszcie coś zjeść. Sama woda nie wystarczy, żeby dać im siłę do marszu w tak ekstremalnie trudnych warunkach.

I wtedy nagle w głowie Romulusa zmaterializowała się myśl, której nie mógł wcześniej zidentyfikować. Młody żołnierz nie wiedział, dlaczego coś przywołało zdawkowe komentarze Tarkwiniusza sprzed prawie siedmiu lat.

– Nie opuściłeś Italii bez powodu – zaczął cicho. – Nie mówiłeś o tym wcześniej. Dlaczego uciekłeś?

W ciemnych oczach Tarkwiniusza pojawiło się zdziwienie pytaniem, którego się nie spodziewał. Romulus wiedział, że trafił w sedno.

– Nie mogę tego wyjaśnić – odpowiedział niechętnie haruspik. – Jeszcze nie.

– Dlaczego nie? Bo nadal czujesz się winny?

Trafna uwaga Romulusa wyraźnie wytrąciła Tarkwiniusza z równowagi.

– Po części, tak... – przyznał. – I to nie jest właściwa chwila na takie rozmowy.

– A czy kiedyś będzie dobry moment? – Romulus zapytał ze złością.

– Wkrótce. Tak.

Ich rozmowę przerwał głośny ryk. Przyjaciele rozejrzeli się zaskoczeni. Dźwięk dochodził z daleka, ale skoczyli na równe nogi, gdyż tego rodzaju odgłos mógł pochodzić tylko z rogów.

Rogów, na których grał człowiek.

Nie mogli uciekać przez pozbawione roślinności wydmy.

W tej sytuacji najlepiej pozostać w ukryciu. Przeczogliwali się na krawędź niecki, w której nocowali. Nic jeszcze nie było widać. Czekali w kompletnej ciszy. Minęło trochę czasu. Słońce zdążyło już całkiem oświetlić okolicę. Hałas narastał od

południa. Krzyki ludzi mieszały się ze zgiełkiem bicia w bębny i dźwiękami rogów. Nie potrafili jeszcze rozróżnić poszczególnych słów.

Zza najbliższego wzgórza wyłoniła się grupa psów myśliwskich w pełnym biegu. Za nimi gnali ludzie, rozciągnięci w szeroką tyralierę. Biegli blisko siebie, uderzając w bębny i grając na różnych instrumentach tak głośno, jak się tylko dało.

– Polowanie... – domyślił się Romulus.

Tarkwiniusz zmrużył oczy.

Oczywiście wszystkie zwierzęta z okolicy uciekały na północ lub na zachód. Na wschodzie było morze. Przyjaciele obserwowali zafascynowani przebieg nagonki. Antylopa, żyrafa, słoń i zebra biegły obok siebie, byle dalej od tych strasznych dźwięków. Dzikie świnie kwiczały ze strachu i uciekały z uniesionymi ogonami. Stado bawołów zerwało się do biegu w tumanie kurzu i teraz ziemia zatrzęsała się pod ich kopytami. Nawet drapieżniki, takie jak lwy i szakale, nie pozostały bierne i ratowały życie, uciekając. Romulus dostrzegł też samotnego, przerażonego leoparda, który zeskokczył z bezpiecznej kryjówki na drzewie i dołączył do tłumu uciekających zwierząt.

Zebry ze stada pasącego się dalej na północy uniosły łby zaniepokojone hałasem. Dostrzegłszy zbliżających się ludzi, zamachały ogonami i ruszyły niespiesznie w przeciwnym kierunku. Instynktownie wszystkie zwierzęta reagowały podobnie. Kilka chwil później zebry pędziły już przez trawy sawanny, wyciągając zgrabne nogi w długich susach.

Ich ciekawość rosła. Niezależnie, czy ci ludzie byli myśliwymi, czy *bestiarri* i przybyli, aby złapać zwierzęta na areny, najpewniej dostali się tu z dalekiej północy. A przecież oni właśnie tam zmierzają. Chwilowo Romulus zapomniał o dziwnym zachowaniu Tarkwiniusza. Ale miał zamiar jeszcze do niego wrócić. Gdy nadarzy się okazja, żeby o tym porozmawiać, nie pozwoli, żeby haruspik czymś się wygwał i nie udzielił odpowiedzi na jego pytania.

W ich relacjach zaszła właśnie ogromna zmiana.

Tarkwiniusz spoglądał w dal.

– Kierują się w stronę wąwozu.

– Będziemy mogli pójść za naganiaczami, gdy już nas miną – zauważył Romulus.

– To nie powinno być trudne.

– Tylko musimy zachować ostrożność – ostrzegł Tarkwiniusz.

– Oczywiście... – odburknął poirytowany Romulus.

Przykucnęli za wydmy i czekali. Romulus oceniał, że psy i myśliwi miną ich w odległości około dwustu kroków. Na szczęście wydmy znajdowały się nieco wyżej niż obszar pomiędzy nimi i naganiaczami. Zarówno dzikie zwierzęta, jak i ich prześladowcy będą przemieszczać się po bardziej płaskim terenie. Przyjaciele nie podnosili się. Ujadanie psów osiągnęło maksimum głośności, po czym zaczęło cichnąć. Po chwili to samo powtórzyło się z hałasem czynionym przez ludzi. Gdy przez dłuższy czas nie docierały do nich żadne odgłosy, odważyli się wyprostować. Daleko przed sobą ujrzeli chmurę kurzawy za uciekającymi zwierzętami.

Setki kopyt zostawiły wyraźny ślad. Romulus i Tarkwiniusz podążali nim dobrą milę. Okolica stopniowo się zmieniała. Po obu stronach pojawiły się niskie wzgórza. Na ich szczytach ustawiono prymitywne drewniane ogrodzenia, które miały uniemożliwić zwierzętom wydostanie się z zasadzki.

– Bardzo sprytnie! – zauważył Tarkwiniusz, wskazując ekrany na wzniesieniach. – Ktokolwiek dowodzi polującymi, dobrze to wszystko zorganizował.

Romulus zrozumiał, o co chodzi jego przyjacielowi. Mimo że nigdy nie widział polowania na dzikie zwierzęta, już jako dziecko słyszał opowieści o *bestiarri*.

– Dzięki temu więcej osób może brać udział w nagonce lub zająć się łapaniem.

– Albo używać włóczni.

– W jakimś wąskim gardle?

Tarkwiniusz skinął głową.

Schodzili ostrożnie ku dnie doliny. Po drodze natknęli się na kilka rannych antylop lub zebra, które leżały bezradnie na ziemi. Spanikowane, ogłuszone hałasem zwierzęta musiały potknąć się i zostały stratowane. Romulus, odczuwając głód, pomyślał, że później staną się łatwym łupem. Zapewnią im dość mięsa, żeby mogli napełnić brzuchy do syta.

Żaden z nich nie miał pojęcia, z kim lub z czym będą mieli do czynienia, gdy dotrą do pułapki. Widok, który przywitał ich chwilę później, wydał się naprawdę imponujący. Dotarli do miejsca, gdzie wąż zwał się, a potem, około stu kroków poniżej miejsca, w którym stali, wychodził na płaską równinę. Zamiast stanowisk myśliwych ujrzeli długie linie sieci przedzielające dolinę na połowę. Nieco dalej znajdowały się głębokie wykopy. Wszędzie, gdzie nie spojrzeli, biegały oszalałe zwierzęta. Niektóre walczyły wściekle, żeby wyrwać się z sieci, inne dały się zapędzić w ziemne pułapki i już tylko ryczały rozpaczliwie. To była scena przedstawiająca chaos w czystej postaci. Pojedyncze zwierzęta opierające się jeszcze łowcom biegały w ślepej panice, nie mogąc znaleźć wyjścia, przez które mogłyby się wyrwać na

wolność. Głośne ryki i wycia mieszały się z okrzykami ludzi.

Grupy łowców pracowały bez wytchnienia. Ludzie biegali z linami od jednego unieruchomionego zwierzęcia do drugiego. Po zdjęciu sieci zwierzętom wiązano kończyny. To zadanie wymagało szybkości i było niebezpieczne. Romulus zauważył już kilku ciężko rannych ludzi leżących na ziemi. Kopani, tratowani i ranieni mężczyźni padali tam, gdzie stali, krwawiąc i krzycząc. Ale nikt nie przychodził im z pomocą. Łowców było tak wielu, że operacja mogła trwać bez przerw. Dowodził nią stojący w centralnym punkcie doliny niski człowiek w ciemnych szatach, uzbrojony w długi kij.

– To nie jest polowanie! – Romulus wykrzyknął. – Muszą łąpać je do cyrków w Rzymie!

– Co oznacza, że może właśnie otwiera się przed nami szansa powrotu do domu – dodał haruspik.

Podekscytowany Romulus zwrócił uwagę na głośniejsze niż inne gniewne ryki. U stóp wzniesienia, z którego schodzili, wielki samiec zebry walczył z całych sił, żeby wyrwać się z sieci. Jego starania przyniosły skutek o tyle, że zdołał uwolnić tylne kończyny. Właśnie otaczali go łowcy, usiłując bez powodzenia skrępować go linami i obalić na ziemię. Rozwścieczone zwierzę kopało i szarpało się, wirując wkoło i gwałtownie rzucając łbem z boku na bok. Jeden z odważniejszych mężczyzn przyskoczył bliżej w nieudanej próbie unieruchomienia tylnej nogi. Znalazł się za blisko. Samiec wyczuł jego obecność i odwrócił się zadem, uderzając go w błyskawicznym wykopie kopytami w głowę. Łowca zakręcił się w powietrzu bezwładnie jak marionetka, której ktoś odciął linki, po czym padł bez życia na ziemię.

– Głupiec... – odezwał się cicho Tarkwiniusz.

Romulus się skrzywił. Żaden człowiek nie przeżyje takiego ciosu. Zwierzę musiało zmiażdżyć czaszkę łowcy. *W przeciwieństwie do mnie, gdy rozdawałem ciosy tamtej nocy w Rzymie – pomyślał z goryczą. – To nie byłem ja! To nie ja zabiłem Celiusza. Ale jeśli nie ja, to kto?*

Żaden z łowców nie chciał podzielić losu towarzysza, dlatego grupa rozstała się przerażona. W końcu zwierzęciu udało się jakimś sposobem uwolnić spod obciążonej ciężarkami sieci. Samiec pogalopował na wolność, przedzierając się przez szczelinę w prowizorycznym płocie.

Romulus nagle poczuł, że ma ochotę wiwatować. Perspektywa wolności była potężnym impulsem.

– Zejdźmy na dół – odezwał się Tarkwiniusz.

Romulus chwilę się wahał. Ale co innego mogli zrobić? Musieli nawiązać kontakt z *bestiarii*. Nie wiedział, jak zareagują na ich przybycie, ale szansa dołączenia do grupy łowców była wystarczająco duża, aby zaryzykować chociaż krótką rozmowę. Dzięki temu znacznie wzrosłoby prawdopodobieństwo dotarcia do Aleksandrii. W tych dzikich ostępach nie było zapewne zbyt wielu wędrowców, a samotne pokonywanie tak długiej drogi wiązałoby się z koniecznością radzenia sobie z wielką liczbą niebezpieczeństw.

Zajęci swoimi sprawami ludzie przez jakiś czas ich nie zauważali. Pochłonęło ich całkiem zadanie złapania i unieruchomienia jak największej liczby zwierząt, zanim zaplączą się one w sieci tak, że nie będą mogły oddychać, zranią się albo – przeciwnie – wyrwą się na wolność, jak ten samiec przed chwilą.

Gdy przyjaciele znaleźli się już bardzo blisko, Tarkwiniusz zapytał po łacinie.

– Czy nie potrzebujecie więcej ludzi?

Najbliżsi łowcy odwrócili się zaskoczeni. Ci ludzie byli niedożywieni, ubrani w brudne tuniki i przeważnie nie mieli nic na nogach. Wyglądali na niewolników. Wszyscy niemal w tej samej chwili otworzyli usta ze zdumienia.

– Gdzie mam szukać waszego właściciela?

Żaden nie odpowiedział.

Romulusa nie dziwiła ta cisza. Jasnobrązowa skóra, czarne włosy i ciemne oczy, w których widział strach, wskazywały, że mieli przed sobą Egipcjan. Ludzi, którzy urodzili się, by służyć.

Nie odezwali się nawet wtedy, gdy Tarkwiniusz zwrócił się do nich po egipsku.

Tymczasem ściągnęli na siebie uwagę grubego, długowłosego mężczyzny, który właśnie skończył wykrzykiwać jakieś polecenia przy grupie Egipcjan unieruchamiających samca bawołu. Jego ubranie przypominało łachy łowców, ale bat i rękajeść sztyletu wystająca zza szerokiego pasa wskazywały, że raczej jest ich nadzorcą. Zauważywszy Tarkwiniusza i Romulusa, zaskoczony *vilicus* nagle zarył w miejscu.

– A wy skąd się tu wzięliście, do cholery? – zapytał podejrzliwie w swoim ojczystym języku.

– Stamtąd... – powiedział Tarkwiniusz, wskazując niedbale na południe.

Vilicus, zbity z pantałyku przez pewność siebie płowowłosego przybysza, popatrzył na nich gniewnie.

– Przedstawicie się?

– Mnie nazywają Tarkwiniusz. A to jest Romulus, mój przyjaciel – odpowiedział cicho Haruspik. – Mieliśmy nadzieję, że znajdziemy tu jakąś pracę.

– To nie jest rynek w Aleksandrii. Ani w Jerozolimie – zadrwił *vilius*. – Nie potrzebujemy więcej ludzi.

Romulus nie rozumiał, co mówi mężczyzna, ale jego agresywny sposób wyrażania się nie wymagał tłumaczenia. *Ten człowiek jest nie tylko głupcem, ale i gburem* – pomyślał młody żołnierz. Ale przecież nie mogą go do siebie zrazić. Nie mieli za wiele możliwości do wyboru. Starał się zachować kamienną twarz, a Tarkwiniusz tylko skrzyżował ramiona. I czekał.

– Grakchus! – ton głosu sprawiał, że nikt nie miał wątpliwości, że oto pojawił się właściwy człowiek. – Co tu się dzieje?

Vilius milczał. Chwilę później ujrzeli niskiego mężczyznę w ciemnobrązowych szatach, którego widzieli już wcześniej. Zaintrygowany zbliżył się do nadzorca niewolników.

– Ci dwaj pojawili się tu znikąd, panie – Grakchus mruknął. – Szukają pracy!

Mocno opalony starszy już mężczyzna miał na głowie grzywę siwych włosów, dziką brodę i brązowe, zdradzające dużą inteligencję oczy. Zakończona metalowym okuciem, sfatygowana laska wyglądała raczej jak broń niż podpora. U jego skózanego pasa wisiał ciężki worek, a palce zdobiły grube złote pierścienie. Bez wątpienia mieli przed sobą zamożnego człowieka.

Czekali cierpliwie.

W końcu nowo przybyły skończył rozmowę z nadzorcą i zwrócił się do nich.

– Jestem Hiero z Fenicji, *bestiarius* – powiedział, posługując się dźwięcznym egipskim. – Kim jesteście?

Haruspik powoli i spokojnie powtórzył ich imiona.

Romulus zachodził w głowę, skąd zna to imię? Słyszał już kiedyś o człowieku zwanym Hiero.

Bestiarius zmarszczył brwi na akcent Tarkwiniusza.

– Jesteś Rzymianinem? – zapytał, przechodząc płynnie na łacinę. Jego ludzie patrzyli na nich, nic nie rozumiejąc.

– Tak – odpowiedział Tarkwiniusz.

– Co, na bogów, robicie w tej dzicy?

– Ochranialiśmy statek handlowy – wyjaśnił Romulus pewnym głosem. – Dwa dni temu na południe stąd zaatakowali nas piraci. Gdy weszli na pokład, nam udało

się uciec. Wskoczyliśmy do wody i dopłynęliśmy do lądu. Inni nie mieli tyle szczęścia.

– Ochroniarze, mówicie? – paciorkowate oczy Hiero błędziły po bliznach na twarzy Tarkwiniusza i zardzewiałej kolczudze Romulusa. – Nie piraci?

– Nie – Romulus zaprzeczył. – Jesteśmy uczciwymi ludźmi.

– Ciekawe... Trirema patrolująca okoliczne wody ledwo wczoraj opuściła przystań w pobliżu naszego obozu. Przed wypłynięciem *trierarch* wspominał, że od dawna nie widział w okolicy żadnych piratów.

Romulus nie chwycił przynęty.

Tarkwiniusz przejął pałeczkę.

– Trirema? Na Morzu Erytrejskim? – udał wielkie zdziwienie. – To niemożliwe. Nie ma tu takich jednostek.

– Od niedawna są, przyjacielu – odrzekł z zadowoleniem Hiero. – Kupcy skarżyli się tak bardzo, że władze rzymskie w Berenice raczyły wysłać na te wody trzy okręty wojenne. Patrolują teraz wody na południe od Adulis i piraci się stąd wynieśli. Dzięki bogom.

– Wspaniale! – zawołał Romulus. – Jeśli Jowisz pozwoli, znajdą tych skurwysynów, którzy przyczynili się do śmierci naszych towarzyszy. I odpowiednio się im odpłaca.

Haruspik mruknął, że się zgadza.

Sceptycznie nastawiony do ich historii Hiero poglądził brodę. Zapadła niepokojąca cisza.

– Czemu zaczepiliście moich ludzi? – zapytał w końcu *bestiarus*. – Potrzebujecie wody? Żywności?

Każdy zauważyłby, że tacy obszarpańcy jak oni potrzebowali pomocy. *Hiero się z nami bawi* – pomyślał gorzko Romulus. – *Chce wiedzieć, czy możemy mu się do czegoś przydać. Ale nie mamy już rubinu, za który Tarkwiniusz kupił jedwab od Izaaka. Nie mamy nic, czym można byłoby zapłacić za pomoc w dotarciu do Aleksandrii.*

– Dziękujemy za uprzejmość – mruknął Tarkwiniusz, pochylając głowę.

Romulus szybko wykonał taki sam gest.

Ze strony Hiero doczekali się tylko nikłego uśmiechu. Nic więcej.

– Tak naprawdę liczyliśmy na możliwość dołączenia do grupy – kontynuował Tarkwiniusz. – Wiadomo, że droga do Aleksandrii jest długa i może okazać się niebezpieczna. Zwłaszcza dla dwóch samotnie podróżujących ludzi.

Hiero zacisnął usta.

– Nie potrzebuję dodatkowych gąb do wyżywienia.

Tarkwiniusz zwiesił głowę. Czekał. Teraz Romulus musiał coś wymyślić.

Bez wątpienia *bestiarius* ma wielu chętnych do udziału w tak świetnie zaplanowanej i dobrze opłacanej wyprawie. Romulus spojrział w niebo. Jego uwagę przyciągnęło stado małych ptaków o jaskrawych barwach. Co chwila szybko zmieniały kierunek i wysokość lotu, a ich pióra co rusz to połyskiwały w słońcu.

Tarkwiniusz popatrzył na niego z ukosa.

Jesteśmy warci znacznie więcej niż zwykły niewolnik – Romulus pomyślał ze złością.

Hiero odwrócił się, by odejść.

– Mój przyjaciel zna się na medycynie – Romulus podjął ostatnią próbę przekonania do siebie bestiariusza. – Wie, jak oczyścić i zszyć rany. Radzi sobie z łataniem ran równie dobrze jak medyk armii. Ja też nie mam dwóch lewych rąk, choć nie jestem aż tak biegły jak on.

Mężczyzna obrócił się nagle rozpromieniony.

– Dlaczego nie mówiliście tak od razu? Ludzie z waszymi umiejętnościami bardzo by się nam przydali. Mamy wiele rannych zwierząt, które zdechną, jeśli nikt się nimi nie zajmie – zaśmiał się. – No i paru rannych niewolników.

Chociaż dzikie zwierzęta były warte ogromne pieniądze, Romulus wzdrygnął się na myśl o tym, że Hiero cenil je bardziej niż zdrowie swoich ludzi.

– Chodźcie! Chodźcie! – Hiero pomachał do nich energicznie i poprowadził z dala od sieci i dołów. Zostawili za plecami podejrzliwego Grakchusa. Przez liczącą pół mili drogę do obozu Hiero opowiadał o perypetiach i przygodach ze swojej podróży. Na miejscu ujrzeli duży zbiór drewnianych zagród i klatek, rozrzuconych po rozległym obszarze. Wszystkie zostały wykonane z ociosanych desek, uzyskanych z rosnących w pobliżu drzew. Najliczniej reprezentowane były chyba różne gatunki antylop – od takich, które robiły wrażenie delikatnych, z białym brzuchem i czarnym paskiem wzdłuż boku, do większych, wdzięcznie kiwających głowami ze wspaniałym, spiralnym porożem. Wszystkie zostały zebrane razem w wielkiej zagrodzie, z której dochodziły pełne łęku beczenia albo co chwilę wzbijały się chmury pyłu. Inne zagrody przeznaczono dla bawołów i zebr. I one chodziły podenerwowane tam i z powrotem, wzbijając tumany piasku i rycząc żałośnie. Pograżały się w cierpieniu niewoli. Jedna zagroda wyróżniała się wyjątkowo wysokim parkanem, umieszczono w niej bowiem parę żyraf.

– Dziwnie wyglądają, prawda? – powiedział Hiero. – Dwie pierwsze żyrafy, jakie

kiedykolwiek udało mi się złapać żywe. Całe i zdrowe. Zwykle łamię sobie nogi w sieci lub w dołach.

– Jak zmusisz je do wejścia na statek? – zapytał z ciekawioną Romulus.

– Jeszcze się nad tym zastanawiam – zaśmiał się cicho Hiero. – Ale świadomość tego, że dostanę za nie w Rzymie dużo pieniędzy mówi mi, że na pewno coś wymyślę!

W umyśle Romulusa pojawiły się nagle obrazy wspomnień. Już wiedział, dlaczego imię Hiero wydało mu się znajome. Niedługo przed tym, jak został sprzedany do szkoły gladiatorów, podsłuchiwał rozmowę Gemellusa z jego rachmistrzem. Rozmawiali o planowanej wyprawie po dzikie zwierzęta za południowe granice Egiptu. Kupiec martwił się, że nie zbierze niezbędnego kapitału. Tą wyprawą miał kierować fenicki *bestiarius*, który nazywał się Hiero! Romulus przyjrzał się uważnie starszemu mężczyźnie. Wydało mu się niesamowite, że ten człowiek mógł prowadzić interesy z Gemellusem. W jego sercu zapłonął gniew, który przez jakiś czas tlił się tylko nieszkodliwie. Obiecał sobie, że dowie się od Hiero czegoś na temat Gemellusa.

Wszystkie myśli w jego głowie nagle rozpierchły się na dźwięk wściekłego ryku, dochodzącego z pobliskiej klatki.

Hiero zauważył jego poruszenie. Wskazał dużą klatkę, która została dodatkowo wzmocniona grubymi balami.

– To właśnie w tej sprawie najbardziej potrzebuję waszej pomocy – wyjaśnił. – W środku jest duży lew, którego złapaliśmy kilka dni temu. Nadział się przednią łapą na drewniany palik, a rana strasznie się paskudzi. Z dnia na dzień jest coraz gorzej.

Dotarli do klatki. Romulus zajrzał do środka. Jego nozdrza natychmiast wypełniła ostra woń moczu. Wewnątrz ujrzał lwa o wspaniałej grzywie, który kuśtykał, odciążając jedną łapę. Gdy zwierzę odwróciło się, Romulus zobaczył ranę, o której wspomniał Hiero. Na lewej kończynie od chrząstki kolanowej po kość barku ciągnęła się poszarpana, głęboka i zainfekowana rana. Jej smród przyciągał liczne muchy, które brzęczały głośno w zamkniętej przestrzeni. Bez przerwy kręciły się w pobliżu rany. Lew machał wściekle ogonem, ale nie udawało mu się na dłużej odgonić owadów. Romulus podszedł bliżej, żeby się lepiej przyjrzeć. Rana wyglądała okropnie. Lew na pewno zdechnie, jeśli nikt się nim nie zajmie. Samiec zauważył przyglądającego mu się człowieka. Ryknął gniewnie, a młody żołnierz odskoczył jak oparzony, mimo że dzieliły go od zwierzęcia mocne ściany klatki. Kły

w paszczy lwa były tak długie, jak ludzkie palce.

– No i co? Dacie radę wyleczyć to zwierzę? Ten lew jest wart fortunę. Żywy.

– Nie jestem pewien – odpowiedział Tarkwiniusz. – Najpierw trzeba by go unieruchomić.

Romulus zajął jeszcze raz do klatki. Stał jak zahipnotyzowany, wpatrując się w głębokie jak studnie, bursztynowe oczy zwierzęcia. Zastanawiał się, czy lew czuje teraz to samo, co on w klatce pod areną przed walką. W potrzasku. Samotny. Zły. Czy ma sens łapanie tych pięknych dzikich zwierząt dla zabawy tłumu? Podobnie jego z tego samego powodu zmuszano do walki i zabijania innych gladiatorów. Takie lwy i niezliczone ilości innych dzikich zwierząt chwyta się i wysyła tysiące mil od ich naturalnego środowiska tylko po to, żeby je zabić na arenie w amfiteatrze, zaspokajając krwawe żądze gawiedzi. Polowanie na lwa na wolności wydawało mu się jeszcze jakoś do przyjęcia. Ale nie to! Romulus poczuł obrzydzenie, jednak miał świadomość, że nie może nic z tym zrobić. Takie było życie.

– A jeśli moim niewolnikom uda się go związać? – Hiero nie rezygnował.

– Przynajmniej ocenimy, jak poważna jest ta rana – odpowiedział haruspik. – Dopiero potem zastanowimy się nad sensem jej oczyszczenia i zszycia.

– Ale może się udać? – dopytywał się *bestiarius*. Na jego twarzy pojawił się grymas, przez który przebijały się żądza pieniędzy i przebiegłość. – Jeśli operacja się nie powiedzie, nie zaoferuję wam niczego ponad posiłek i kilka bukłaków z wodą.

– Jestem pewien, że mój przyjaciel poradzi sobie z tym wyzwaniem – stwierdził Tarkwiniusz.

Romulus poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła. Nigdy nie zajmował się tak poważną raną. *Co on sobie myśli?* Rzucił Tarkwiniuszowi gniewne spojrzenie.

– Doskonale... – podsumował Hiero, teraz patrząc na nich z nadzieją. – Zbiore tuzin ludzi.

Rozdział XXVII

Aleksandria



Minęły trzy miesiące...

Jezioro Mareotis niedaleko Aleksandrii, zima 48 r. p.n.e.

Hiero nie posiadał się z radości. Długa, trudna podróż z Etiopii właśnie dobiegała końca. Pozostał im do pokonania tylko stosunkowo krótki odcinek do Italii, a potem wreszcie będzie mógł sprzedać te wszystkie cholerne zwierzęta. Kończył się kolejny rok ciężkiej pracy i *bestiarius* czuł niemal fizyczną ulgę na myśl o odpoczynku i pełnej sakiewce. Złapane zwierzęta pokonały setki mil w klatkach na pokładzie statku, a także na wozach ciągniętych przez muły. Nie obeszło się bez kłopotów. Przetransportowanie takiej ich liczby bez żadnych strat było po prostu niemożliwe.

Jedna z żyraf złamała tylną nogę, która uwięzła pomiędzy kratami. Musiał się pozbyć rannego zwierzęcia. Zdechło również kilka antylop... w zasadzie bez powodu. Hiero wiedział z doświadczenia, że często prawdopodobną przyczyną śmierci zwierząt bywał zwykły stres związany z niewolą i długą podróżą. Najbardziej dotknęła go jednak strata cennego słonia. Samiec spanikował, gdy ludzie próbowali zapędzić go do jednej z otwartych, płaskodennych łodzi. Wskoczył do wody, przyciągając myśliwych najgorszego rodzaju. Nawet blisko brzegu zawsze kręciło się mnóstwo rekinów – rekinów młotów i innych im podobnych wielkich drapieżników. Hiero przyzwyczał się już do ich stałej obecności w określonych porach roku. Wszyscy z przerażeniem obserwowali, jak najodważniejszy z rekinów rozpoczął atak. Pierwsza rana tylko bardziej przeraziła samca, który zaczął uciekać na głęboką wodę. To był fatalny w skutkach błąd. Wkrótce pojawiły się kolejne drapieżniki, zwabione strugą krwi, ciągnącą się za słoniem. Przybyło ich ponad dwadzieścia, ale i tak zabicie ogromnego samca zajęło im całe wieki. Żałosne dźwięki

wydawane przez słońca zmiękczyły nawet zatwardziałe serce Hiero, który niejedno w życiu widział. W końcu słoń uległ. Została z niego mała, szara wyspa mięsa, która podskakiwała na zabarwionych na czerwono falach, rozszarpywana na kawałki przez rekiny.

Mimo wszystko Hiero wciąż miał wiele powodów do zadowolenia. Dzięki pomocy Romulusa lew ze straszliwą raną łapy został całkiem wyleczony. Na obecności dwójki przyjaciół skorzystało także wiele innych zwierząt, a także kilku rannych niewolników. Prawdę mówiąc, jego ekspedycję można uznać za ogromny sukces. Miał kilkadziesiąt bardziej popularnych zwierząt, takich jak antylopy i bawoły. Poza dużym samcem udało mu się również dowieźć aż tutaj kilka innych lwów, cztery lamparty, żyrafę i trzy słońce. Ale najbardziej cieszył się z wielkiej opancerzonej bestii z rogiem na nosie. O tym zwierzęciu Hiero dotąd tylko słyszał. Nigdy wcześniej go nie widział. Nosorożec miał dziwnie krótkie nogi, ale potrafił biec szybciej niż człowiek. Jego niezwykle gruba skóra przypominała metalowe płyty, czyniąc go prawie niezniszczalnym. Słaby wzrok zwierzęcia równoważył świetny węch. Zanim udało się je spętać i unieruchomić, groźna bestia zabiła dwóch niewolników. Wielu innych poważnie zraniła.

To jednak jakoś w ogóle nie martwiło bestiariusza. Takie drobne straty były uwzględniane w jego kosztach. Jeśli bogowie wciąż będą się do niego uśmiechali, po przybyciu do Aleksandrii stanie się naprawdę bogatym człowiekiem. Jeszcze jedna lub dwie wyprawy takie jak ta i będzie mógł rzucić wszystko i czerpać z owoców swojej pracy do końca życia. Hiero spojrział ukradkiem na Romulusa. Mimo że młody człowiek i jego cichy kompan z twarzą pokrytą bliznami pojawili się w obozie znikąd i zupełnie niespodziewanie, okazali się przydatnym uzupełnieniem jego zespołu. Od tygodni próbował przekonać ich do dalszej pracy dla niego. Mimo że nie dzielili się z nikim swoimi planami, przebiegły Hiero rozumiał, że zależało im przede wszystkim na dotarciu do Italii. Cóż, nie mógł narzekać. Wykonana przez nich praca była warta więcej, niż wynosiły koszty ich żywienia i transportu.

– No i? – odezwał się Hiero, wskazując brzeg. – Co o tym myślisz?

Romulus nie mógł uwierzyć własnym oczom. Wysokie mury na drugim brzegu jeziora ciągnęły się przez długie mile. Stolica Egiptu, założona prawie trzy wieki wcześniej przez Aleksandra Macedońskiego, robiła absolutnie oszałamiające wrażenie.

Już od tak długiego czasu Romulus nie widział dużego miasta! Ostatnie było Barbaricum, a wcześniej Seleucja. Metropolia, która rozciągała się przed nimi od

wschodu do zachodu, przyćmiewała jednak oba te miasta. Nie mógł się z nią równać nawet Rzym, serce potężnej Republiki.

Tarkwiniusz nie znajdował słów, żeby opisać swoją radość. Dla niego dotarcie do Aleksandrii było spełnieniem marzeń i punktem kulminacyjnym życiowych oczekiwań. Przez wszystkie te lata przewidywania Olenusa się sprawdzały. To było niesamowite i przerażające jednocześnie. Tarkwiniusz miał wrażenie, jakby stał teraz oko w oko ze swoim przeznaczeniem.

– Wspaniały widok, co? – zawołał Hiero. – Niemal każda droga w Aleksandrii jest szersza niż najszersza ulica w Rzymie, a budynki wzniesiono z białego marmuru. No i latarnia. Jest dziesięć razy wyższa od latarni, które mogliście widzieć, a przecież wzniesiono ją przed ponad dwustu laty!

– Nie zapomnij o bibliotece – powiedział haruspik. – Jest największa na świecie.

– To akurat... – *bestarius* machnął lekceważąco ręką. – Co mi po tej całej wiedzy tam zgromadzonej?

Tarkwiniusz się roześmiał.

– Ty może się z nią nie zapoznasz, ale inni jak najbardziej. Badacze i uczeni przyjeżdżają do Aleksandrii z daleka, aby studiować zgromadzone księgi. Tu znajdują się tomy traktujące o matematyce, medycynie i geografii, których nigdzie indziej nie znajdziesz.

Zaskoczony Hiero uniósł brwi.

Ten smukły blondyn ciągle stanowił dla niego zagadkę. Obaj z Romulusem posiadali dużą wiedzę o świecie, co sprawiało, że ich towarzystwo w podróży stanowiło przyjemne urozmaicenie. Byli o wiele miłszymi kompanami niż Grakchus czy którykolwiek z jego pracowników. Między innymi dlatego *bestarius* zastanawiał się, jak ich przekonać do pozostania w jego zespole. Spędzili ze sobą wiele dni, dość dobrze się poznali i mieli do siebie spore zaufanie. Hiero czuł się też trochę niepewnie przy Tarkwiniuszu, chociaż nie potrafił odpowiedzieć dlaczego.

– Patrzcie! – wykrzyknął nagle Romulus.

Nad miastem unosił się słup dymu.

– To nie pożar jakiegoś gospodarstwa domowego – *bestarius* wciągnął powietrze. – Może duży stos pogrzebowy?

– Nie – pewnie odpowiedział Tarkwiniusz. – Tam ktoś walczy.

Romulus wpatrywał się wstrząśnięty w słup dymu, który był jakby zupełnie nie na miejscu.

– Skąd to wiesz? – dopytywał Hiero. Wcześniej nie poruszał w rozmowie z Tarkwiniuszem i Romulusem tematu wojny domowej toczony przez Ptolemeusza i jego siostrę Kleopatrę, a jego niewolnicy w ogóle nie interesowali się tymi sprawami.

– Widzę to wyraźnie ze znaków na niebie.

Hiero rzadko brakowało słów, a to była właśnie jedna z takich chwil. Otworzył usta i zamknął je, nie wydając żadnego dźwięku.

Romulus uśmiechnął się dyskretnie pod nosem.

– Jesteś wróżbitą?

Tarkwiniusz kiwnął głową.

Hiero zrobił urażoną minę.

– Nigdy o tym nie wspominałeś.

Tarkwiniusz wbił swoje ciemne oczy w bestiariusza.

– Nie widziałem takiej potrzeby.

Hiero przełknął głośno ślinę.

– Skoro tak mówisz...

– Kto walczy? – zapytał Romulus.

– Ostatnio król i jego siostra za bardzo za sobą nie przepadają – szybko odpowiedział Hiero, który pragnął uchodzić za obytego i dobrze zorientowanego. – To prawdopodobnie tylko zamieszki. Nie ma się czym martwić.

Romulus wpatrywał się w niebo nad miastem. Tam naprawdę działo się coś dziwnego. Wyczuwał zmianę atmosfery? Nie był pewien, ale miał złe przeczucia. Odwrócił wzrok.

– Ale w te walki zaangażowane są obce wojska – powiedział Tarkwiniusz.

– Najemnicy z Grecji lub Judei – Hiero odpowiedział pewnie. – Powszechnie używa się ich w Egipcie.

– Nie.

Złowróżbny ton w głosie haruspika sprawił, że Hiero zamilkł.

– Widzę legionistów. Są ich tysiące.

Rzymianie? Tutaj? Romulusowi chciało się głośno krzyknąć z radości.

– Rzymianie walczą z Egipcjanami?

Tarkwiniusz skinął głową.

– Są w trudnej sytuacji. Wróg ma wielką przewagę liczebną.

Romulus ze zdumieniem odkrył, że czuje silną potrzebę ruszenia im z pomocą.

Wcześniej nie obchodziło go za bardzo, co stanie się z obywatelami rzymskimi lub ich oddziałami. Przecież Rzym nie martwił się losem swoich niewolników. Ale życie go zmieniło. Był już dorosły. Od nikogo nie zależał. To, że przetrwał i wyszedł cało ze wszystkich tych krwawych starć jako gladiator, żołnierz i pirat, dało mu niezachwianą wiarę w siebie.

I dzięki temu zrozumiałem, kim jestem – pomyślał z dumą. – Jestem Rzymianinem. Nie niewolnikiem. Mój ojciec był rzymskim arystokratą.

Tarkwiniusz z uśmiechem obserwował zmiany, jakie zachodziły na twarzy Romulusa.

Młody żołnierz westchnął głośno. Mógł sobie tak myśleć. Ponieważ nie ma żadnego potwierdzenia jego statusu obywatela, zawsze ktoś może zarzucić mu, że jest niewolnikiem. Tatuż na prawym ramieniu nie zakryje całkowicie blizny w miejscu, gdzie znajdował się znak niewolnika. Wtedy wystarczy oskarżenie kogoś takiego jak Nowiusz. Nie ulega wątpliwości, że w oblężonej Aleksandrii będzie wielu podobnych do Nowiusza żołnierzy. Jego pewność siebie sprzed chwili zupełnie zniknęła.

– Co tu robisz? – zapytał.

– Czy to możliwe, że wojna między Pompejuszem i Cezarem przeniosła się na obszar Afryki? – zastanawiał się głośno *bestiarius*, gładząc ręką brodę.

– Być może... – odezwał się haruspik. – Nie ma wiatru, zatem dym unosi się prostym słupem. Nie mogę powiedzieć nic więcej.

Zapadła długa cisza. Zastanawiali się nad tym, co powiedział Tarkwiniusz. Oczywiście Hiero był bardzo zawiedziony. To właśnie on mógł stracić najwięcej na tym, że istnieją przeszkody w zawinięciu do bezpiecznego portu. Jednak obecność żołnierzy rzymskich w Aleksandrii mogła mieć wpływ na wszystkich. Romulus i Tarkwiniusz pragnęli znaleźć okręt, który zabrałyby ich do Italii. Nie chcieli przyciągać niczyjej uwagi.

Hiero zastanawiał się nad wszystkimi konsekwencjami. Pierwszy przerwał ciszę.

– To są ludzie Pompejusza czy Cezara?

Tarkwiniusz zmarszczył brwi.

– Wydaje mi się, że czuję w mieście obecność ich obu. Walka jeszcze się nie skończyła.

– Kogo to obchodzi? – rzekł Romulus ze złością. – Poczekajmy tu, aż wszystko się uspokoi. Mamy jedzenie i wodę. Nie ma potrzeby się spieszyć i dać się zabić. Normalny handel zostanie wznowiony, gdy tylko opadnie bitewny kurz.

Obaj z Tarkwiniuszem nie powinni mieć problemów ze znalezieniem statku, który zabierze ich do domu, bo są doświadczonymi żeglarzami. To, że stanowili część ekspedycji bestiariusza, czyniło z nich jeszcze cenniejszy nabytek dla każdego kapitana, który będzie przewoził dzikie zwierzęta do Italii. Jeśli ukryją broje i broń, łatwo unikną niechcianych ciekawskich spojrzeń.

Jednak Hiero zdenerwował się na jego słowa.

– Nie mogę tu siedzieć jak głupek. Macie pojęcie, ile paszy potrzebują te wszystkie zwierzęta każdego dnia? Jeśli Tarkwiniusz się nie myli, najlepiej będzie pożeglować do innego portu.

– Jest jeszcze inne rozwiązanie – odezwał się Tarkwiniusz.

Mężczyźni popatrzyli na niego z zaciekawieniem.

– Poczekajmy, aż się ściemni, i sprawdzmy, co się tam dzieje.

Romulus poczuł się nieswojo, ale twarz Hiero rozjaśniła się.

– Moglibyśmy rozpoznać sytuację. Porozmawiać z mieszkańcami.

– To mi wygląda na niepotrzebne ryzyko – odezwał się Romulus tonem wyrażającym wątpliwości. Relacje między nim i Tarkwiniuszem od jakiegoś czasu stawały się coraz bardziej napięte, haruspik bowiem nieustannie odmawiał wyjaśnienia mu, dlaczego opuścił Italię.

– Przez siedem lat codziennie stawialiśmy czoła coraz to nowym niebezpieczeństwom – spokojnie odpowiedział Tarkwiniusz. – A mimo to dotarliśmy aż tu.

Romulus zląkł się nieobecnego wzroku Tarkwiniusza.

– Carrhae i Margiana! To się jednak stało! – zawołał. – Musieliśmy radzić sobie z niebezpieczeństwami, na które nie mieliśmy wpływu. Teraz można ich uniknąć.

– Moim przeznaczeniem jest dotarcie do Aleksandrii, Romulusie – powiedział uroczystym tonem Tarkwiniusz. – Nie mogę już po prostu się odwrócić i odejść.

Hiero zerkał z zainteresowaniem to na jednego, to na drugiego.

Romulusowi nie podobała się perspektywa wejścia do nieznanego miasta pogrążonego w chaosie wojny walk ulicznych. A prądy powietrzne, które obserwował nad Aleksandrią, zawierały wiele mrocznych znaków. Wpatrywał się w Tarkwiniusza. Na jego twarzy widział zdecydowanie. Nie było sensu się z nim spierać. Nie chciał spoglądać w stronę nieba nad miastem. Zwiesił głowę. *Mitro! Chroin nas. Jowiszu, nie zapomnij o swoich wiernych sługach.*

Hiero nie był świadomy, jak wielkie emocje przez nich przemawiają.

– Dobrze. Nie znam nikogo lepiej od was nadającego się do tego zadania.

Ani Tarkwiniusz, ani Romulus nie odpowiedzieli. Ten pierwszy pogрузzył się w rozmyślaniach. Drugi próbował oswoić lęk.

Czekała na nich Aleksandria.

Dostali przestronne pokoje. Ich podłogi przykryto grubymi dywanami, wyposażono je meblami z hebanu inkrustowanego srebrem. Długie korytarze, ozdobione kolumnadą i malowidłami ściennymi, prowadziły do podobnych pomieszczeń, znajdujących się gdzieś w płataninie podwórek i ogrodów, w których znajdowało się wiele fontann i rzeźb dziwnych egipskich bogów. Z każdego okna rozciągał się wspaniały widok na latarnię morską na Faros. Nic jednak nie mogło sprawić, by Fabiola polubiła Aleksandrię. Egipt był dla niej obcym miejscem, pełnym osobliwych ludzi i nieznanych jej zwyczajów. Bładoskórzy słudzy, którzy kłaniali się i płaszczli przed nimi, doprowadzali ją do szaleństwa. Tylko luksusowe wyposażenie pałacu sprawiało, że nie czuła klaustrofobii. Jednak po kilku tygodniach uwięzienia w czterech ścianach walczyła już z ogarniającą ją rozpaczą. Nie mogła też wiecznie unikać Cezara.

Fabiola słuchała okrzyków tłumu skandującego pod oknami pałacu. Chociaż te głosy towarzyszyły im już od dłuższego czasu, ciągle sprawiały, że czuła dreszcze.

Sekstus rzucił jej uspokajające spojrzenie.

Brutus również zauważył, że spogląda niespokojnie na osłonięte okiennicami okna.

– Nie martw się, kochanie. Pilnują nas cztery kohorty. Motłoch w żadnym razie do nas nie dotrze.

Coś w środku Fabioli pękło.

– Nie! Ale my nie możemy wyjść! Jesteśmy uwięzieni jak szczury w kanalizacji, bo Cezar odgryzł kawałek większy, niż może połknąć.

– Fabiola... – zaczął Brutus. Na jego twarzy rysowało się napięcie.

– Mam rację, a ty dobrze o tym wiesz. Od czasu, gdy dowiedział się, że Pompejusz nie żyje, rządzi się tutaj tak, jakby Aleksandria należała do niego! Czy można się dziwić, że Egipcjanom się to nie podoba?

Jej ukochany zamilkł. Zazwyczaj taktyka jego generała zakładająca uzyskanie przewagi poprzez szybkie działania, zaskakujące nieprzygotowanych wrogów, prawie zawsze się sprawdzała. Tym razem jednak – Brutus sam musiał to przyznać –

nie wszystko poszło po jego myśli.

Fabiola była coraz bardziej zbulwersowana.

– Kazał *lictos* oczyścić drogę? Czy Cezar jest teraz egipskim królem?

Docilosa wyglądała na zaniepokojoną. Takie słowa nie były bezpieczne.

– Mów ciszej... – odezwał się Brutus. – I uspokój się.

Fabiola zamilkła. Inni wyżsi oficerowie kręcili się w pobliżu i mogli coś usłyszeć. *Nie ma powodów, aby tracić kontrolę.* To strata energii.

Cezar nie zabrał ze sobą do Egiptu całej armii. Podzielił ją na trzy nierówne części i wysłał większe oddziały z powrotem do Italii i Azji Mniejszej, gdzie miały zaprowadzić pokój. Tymczasem sam ruszył w pościg za Pompejuszem. Ta decyzja nie wróżyła dobrze ich pobytowi w Aleksandrii. I najgorsze obawy właśnie się spełniały. Cezar kazał swoim okrętom z trzema tysiącami żołnierzy na pokładach zakotwiczyć bezpiecznie pomiędzy Faros i portem, gdzie chciał poczekać i zobaczyć, jak przyjmą go Egipcjanie. Gdy niedługo potem pojawił się statek z pilotem, jego załoga została zobowiązana do przekazania informacji o przybyciu armii rzymskiej urzędnikom rządzącym Aleksandrią. Ich odpowiedź była szybka. Gdy tylko Cezar postawił stopę na lądzie, powitał go królewski posłaniec, który uroczyście wręczył mu wyjątkowe zawiniątko.

W środku znajdowała się głowa Pompejusza i jego sygnet.

Zasmucony tym widokiem Cezar obiecał, że zemści się na tych, którzy zabili jego byłego przyjaciela i sojusznika. Śmierć Pompejusza była mu na rękę, ale Cezar nie był zimnym mordercą, za jakiego mieli go niektórzy republikanie. Świadczyło o tym choćby łagodne potraktowanie wyższych oficerów, którzy poddali się podczas bitwy pod Farsalos. I jego smutek tym razem był prawdziwy. *Może to właśnie dlatego zdecydował się wykorzystać lictos po przybyciu?* – zastanawiała się Fabiola. Fakt faktem, że ta decyzja została źle przyjęta przez mieszkańców miasta i od tej chwili sytuacja tylko się pogarszała. Choć w Aleksandrii nie było ani Ptolemeusza XIII, ani skłóconej z nim Kleopatry, miasto nie poddało się biernie siłom inwazyjnym. Miejscowa ludność niezbyt dobrze przyjęła obcych żołnierzy, panoszących się na ulicach i zajmujących pałace królewskie. Gdy Cezar nakazał publiczną egzekucję dwóch ministrów odpowiedzialnych za zamordowanie Pompejusza, niechęć wywołana jego arogancją przerodziła się w gniew. Garnizon miasta, wspomagany przez aleksandryjski tłum, zaczął przeprowadzać śmiałe ataki na oddziały legionistów. Zaczęło się od gradu kamieni i kawałków ceramiki, ale wkrótce w stronę żołnierzy poleciały też niosące śmierć pociski. W ciągu kilku ostatnich dni, wykorzystując

swoją dobrą orientację w mieście, Egipcjanie otoczyli i wycięli w pień wiele rzymskich patroli. Niemal z dnia na dzień najbliższa okolica zmieniła się w obszar działań wojennych. Upokorzony Cezar musiał wycofać swoje kohorty do jednego z pałaców królewskich w pobliżu portu. I teraz tkwili tak w miejscu, po zablokowaniu dróg barykadami.

Po dwóch latach ciągłych przemarszów i walk czas spędzony w Aleksandrii miał być okazją do odpoczynku. Zamiast tego zamknięta w czterech ścianach Fabiola spędzała wiele czasu na rozmyślaniu o Cezarze. W jej wyobraźni napaść na tle seksualnym, jaką przeżyła w Rawennie, stała się argumentem przemawiającym za tym, że Cezar jest zdolny do tak haniebnych czynów jak gwałt. I uprawdopodobniającym jej arystokratyczne pochodzenie. To ostatnie przypuszczenie nie przyniosło jej takiej radości, jakiej w innych okolicznościach można by się było spodziewać. Fabiola czuła tylko mroczną, chorą satysfakcję. Po latach poszukiwań wreszcie mogła spełnić jedno ze swoich największych marzeń. Teraz musiała dobrze zaplanować zemstę, bo nie zależało jej po prostu na tym, żeby pewnej nocy Cezar umarł od ostrza wrazonego między żebra. Nie chodziło o to, że Fabiola martwiła się, iż zginie podczas próby zabójstwa. Nie. Bez Romulusa i tak nie miała po co żyć. Jej powściągliwość brała się z tego, że Cezar nie zasługiwał na szybką śmierć. Podobnie jak jej matka w kopalni soli, jej ojciec miał umierać powoli, w cierpieniach. Najlepiej, żeby zginął z rąk tych, którym najbardziej ufał. Jednak Fabiola musiała zachować ostrożność. Od czasu Alezji Cezar jej nie ufał i dbanie o zadowolenie Brutusa, gdy znalazł się w niełasce u swojego generała, nie stanowiło łatwego zadania.

Obecnie jednak najbardziej prawdopodobne było to, że motłoch rozerwie ich wszystkich na kawałki. Dla kogoś, kto chciał zaplanować śmierć człowieka w najdrobniejszych detalach, taka perspektywa była ogromnie frustrująca. Tutaj Fabiola nie miała innego zajęcia niż praca nad Brutusem, a jej niezadowolenie z takiego stanu rzeczy osiągnęło poziom krytyczny.

Codziennie wokół nich toczyły się zacięte walki uliczne. Chociaż Cezarowi udało się w pewnym sensie zachować *status quo*, został jednak odcięty ze swoimi nielicznymi oddziałami od trirem, które dawały szansę ucieczki z tego nieprzychylnego im miasta.

– Ściągamy posiłki z Judei i Pergamonu. Są już w drodze – oznajmił Brutus. – Przybędą tu w ciągu kilku tygodni.

– Naprawdę? – zawałała Fabiola. – To wcale nie jest takie pewne. Bo gdyby tak

było, jaki sens miałyby ten bezsensowny atak na port?

– Musimy dostać się do naszych statków. Jeśli zajmiemy wyspę z latarnią, zyskamy przewagę nad Egipcjanami – odparł. Jego policzki nabrały czerwonej barwy. – Wiesz, że nie mogę nie wykonać jednoznacznego rozkazu.

Stąpaj ostrożnie – myślała Fabiola. – *Chociaż uderzyłaś w czułą strunę pod Farsalos, Brutus wciąż kocha Cezara.*

– Martwię się o ciebie – nie kłamała. Nocne walki na krótkim dystansie były bardzo niebezpieczne, a Rzymianie ponieśli już spore straty. Brutus był jej drogi, ale był jednocześnie także jej sponsorem i opiekunem. Bez niego Fabiola straciłaby wszelkie oparcie. Może znów musiałaby wrócić do prostytucji? Nawet jeśli oddawałaby się innemu, jednemu wpływowemu mężczyźnie, to ciągle nie można byłoby nazwać tego inaczej jak tylko nierządem. Fabiola nie chciała nawet o tym myśleć.

Brutus złagodniał.

– Mars mnie ochroni – powiedział. – Zawsze to robi.

– I Mitra... – odpowiedziała Fabiola.

Skinął głową zadowolony.

– Plan Cezara przewiduje dziś wieczorem nie tylko odzyskanie portu. Wysłał mnie z powrotem do Rzymu, żebym naradził się z Markiem Antoniuszem i wrócił z posiłkami – oznajmił Brutus. Nagle na jego twarzy pojawił się grymas niepewności. – Zasugerował, że powinienem cię tu zostawić. Twierdził, że będziesz mnie rozpraszać i przeszkadzać w wykonywaniu obowiązków.

Fabiola wpatrywała się w niego przez chwilę, przerażona taką możliwością.

– Co odpowiedziałeś?

– Stanowczo się sprzeciwiłem. Przedstawiałem swoje argumenty – odparł Brutus. – Spokojnie... oczywiście.

– I co?

– Nie był zbyt zadowolony – uśmiechnął się – ale jestem jednym z jego najlepszych oficerów, więc w końcu się poddał. Usatysfakcjonowana?

Zaskoczona i zadowolona Fabiola mocno go uścisnęła. Miała już dość tego dusznego, obcego jej miejsca.

A jeśli Cezar przeżyje, będzie na niego czekała. W Rzymie.

Późnym popołudniem rozbili obóz w bezpiecznym miejscu nad jeziorem

Mareotis, którego tafla rozciągała się aż pod mury miasta. Założyli zbroje i sprawdzali broń, gotowi zmierzyć się z każdym zagrożeniem. Gdy parali się piractwem, czasami posługiwali się tandetnymi tarczami i hełmami, ale te zatoneły z *dau* Ahmeda.

– Przypuszczam, że powinniśmy być wdzięczni... – powiedział Romulus, zarzucając na plecy stary wełniany płaszcz. Czułby się nagi, gdyby mieli natknąć się na nieprzyjaciół, nie mając odpowiedniego sprzętu. – Nikt na nas nawet nie spojrzy.

– O to właśnie chodzi – odpowiedział Tarkwiniusz, który zarzucił na ramiona podobnie sfatygowany płaszcz. Wyciągnął na wierzch srebrny łańcuszek, który zawsze chował pod ubraniem. Wisiał na nim mały złoty pierścień z pięknie zdobionym skarabeuszem. Romulus dawno go nie widział.

– Po co ci on?

Tarkwiniusz się uśmiechnął.

– Przyniesie nam dziś szczęście.

– Bardzo go potrzebujemy – powiedział Romulus, spoglądając badawczo na niebo. Teraz, gdy był przygotowany do zinterpretowania wszystkiego, co widzi, jak na złość nie był w stanie odczytać żadnych znaków, a wiedział, że jego przyjaciel nie odpowie na żadne pytania. Po raz kolejny musiał zaufać bogom. Czuł się zupełnie bezradny, ale zacisnął zęby i w milczeniu przygotowywał się do drogi. Nie było innego wyjścia.

Hiero poprosił o błogosławieństwo własne bóstwa, a potem opisał im układ miasta. Ta wiedza bardzo im się przyda.

– Nie róbcie nic głupiego – radził stary *bestiarius*. – Zasięgnijcie języka i wracajcie bezpiecznie.

– Tak będzie – odparł Tarkwiniusz z twarzą bez wyrazu.

Pożegnali się na rzymską modłę, chwytając za przedramiona.

Romulus miał dziwne przeczucie, że może już nigdy nie zobaczyć Hiero. Dlatego uznał, że musi zadać mu kilka ważnych pytań.

– Czy kiedykolwiek miałeś do czynienia z rzymskimi kupcami?

Bestiarius wyglądał na zaskoczonego.

– Oczywiście. Robiłem interesy ze wszystkimi. Nobilami, kupcami, *lanistae*...

– Z kimś o imieniu Gemellus?

Hiero podrapał się w głowę.

– Nie mam już tak dobrej pamięci...

– To ważne – powiedział Romulus, pochylając się lekko w jego stronę.

Mimo że Hiero był ciekaw przyczyn dociekań młodego mężczyzny, nie ośmielił się o nic zapytać. Romulus spoglądał na niego groźnie, a w jego oczach czaiło się ostrzeżenie. Zastanawiał się przez chwilę.

– Gemellus, mówisz...

Romulus czekał.

– Tak. Pamiętam! – *bestarius* odezwał się w końcu. – Z Awentynu?

Romulus poczuł pulsowanie tętnicy szyjnej.

– Tak – wyszeptał. – Podobnie jak ja.

Tarkwiniusz zmarszczył brwi.

– To twój przyjaciel? – dopytywał się Hiero.

– Nie do końca – odpowiedział Romulus, starając się zachować neutralny ton. – Tylko stary znajomy.

Bestarius nie dał po sobie poznać, że mu nie wierzy. Dla niego i tak nie miało to znaczenia.

– Gemellus... no tak. Prawie dziesięć lat temu zainwestował trzecią część w ekspedycję.

– To by się zgadzało – przyznał Romulus, czując ukłucie głębokiego smutku. Fibiola podsłuchiwała Gemellusa, gdy to planował.

– Ta cała wyprawa była przeklęta od początku do końca – Hiero skrzywił się na jej wspomnienie. – Wiele zwierząt jakby wiedziało, gdzie znajdują się pułapki. A te, które złapaliśmy, nie były specjalnie okazałe. Sporo ludzi umarło na jakąś dziwną chorobę, która przynosiła wysoką gorączkę. Potem, gdy już wracaliśmy do Aleksandrii, Nil wylał, więc straciliśmy dwa razy więcej czasu niż zazwyczaj – Hiero przerwał dla lepszego efektu.

Romulus skinął głową, udając, że rozumie i współczuje, chociaż w środku gotował się z wściekłości. Nawet kilka dzikich zwierząt pozwoliłoby kupcowi zarobić w Rzymie fortunę. Nie miał wątpliwości, że Gemellus nadal korzysta z tych pieniędzy.

– To nie wszystko – westchnął *bestarius*. – Często sprzedaję zwierzęta w porcie w Aleksandrii, ale Gemellus napisał, że chce wszystkie sprowadzić do Italii.

Tarkwiniusz wciągnął głośno powietrze, zastanawiając się, jak mógł być tak głupi i nie skojarzyć faktów. Zimowe popołudnie w Rzymie osiem lat temu. Gemellus, kupiec z Awentynu, rozpaczliwie potrzebujący wróżby. Przekazał mu złe

wieści. Okręty pełne dzikich zwierząt na pełnym morzu.

Romulus był tak pochłonięty narracją bestiariusza, że nie zauważył zmiany, jaka zaszła w jego przyjacielu.

– To chyba miało sens? W Rzymie uzyskałby za nie znacznie lepszą cenę.

Hiero skinął głową.

– Z tego też powodu głupio się na to zgodziłem. Dzięki niech będą bogom, że sam wybrałem wtedy lekką *liburnae*, a nie jeden ze statków handlowych.

– Dlaczego?

– Na pełnym morzu złapał nas potężny sztorm – powiedział ponurym głosem *bestiarius*. – Wszystkie transportowce zatonięły, zabierając ze sobą na dno nasze zwierzęta. Straciłem fortunę.

Tarkwiniusz próbował przypomnieć sobie wszystkie szczegóły tamtego spotkania z kupcem, który zaczepił go na schodach świątyni Jowisza na Kapitolu. Poirytowany, gruby i przygnębiony. Gemellus był naprawdę załamany tym, co mu wyróżył. Ostatnia przepowiednia jednak sprawiła, że naprawdę się przeraził. *Któregoś dnia usłyszysz pukanie do drzwi*. Wtedy miał ważniejsze sprawy na głowie i tak naprawdę nie zastanawiał się nad znaczeniem tego, co widzi w tej wróżbie. Nie martwił się obawami nieznanego. Teraz jednak wszystko nabierało nowego znaczenia. Gemellus był właścicielem Romulusa.

Romulus nadal nie zauważał pełnego zrozumienia wzroku Tarkwiniusza. Z trudem ukrywał podekscytowanie.

– A co ze statkami Gemellusa?

Hiero wzruszył ramionami.

– To samo. Zwierzęta, w które zainwestował sto dwadzieścia tysięcy sesterców, poszły na dno *Mare Nostrum*.

– Gemellus jest zrujnowany? – śmiejąc się głośno, Romulus poklepał bestiariusza po plecach. – Od lat nie słyszałem lepszych wieści!

– Dlaczego? – Hiero wyglądał na zmieszanego. – Co masz z nim wspólnego?

Tarkwiniusz czuł się winny, że nie powiązał tych faktów i swojej wizji. I że nie powiedział o tym Romulusowi. Popełnił błąd, że skoncentrował się tylko na pozornie ważniejszych sprawach, podczas gdy te wydające się mniej ważne, takie jak ta wróżba, mogły tak wiele zmienić. Jednak rzadko dzielił się ze swoim protegowanym wiedzą. *Stałem się zbyt skryty* – pomyślał ze smutkiem. – *A przecież kocham go jak syna*. Tarkwiniusz czuł wielki smutek. W głębi duszy haruspik wiedział, że ten

strach dotyczy ujawnienia powodu jego ucieczki z Italii. Tak bardzo skupił się na tym, aby nie wyjawić tej informacji, że nie powiedział Romulusowi o czymś, co mogłoby stanowić dla niego źródło nadziei.

Muszę mu wszystko wyjaśnić. Zanim będzie za późno.

Hiero zmrugał oczy.

– Czy jest ci winien pieniądze?

– Coś w tym rodzaju... – powiedział Romulus wymijająco.

Starzec czekał, aby dowiedzieć się czegoś więcej, ale Romulus nie kontynuował tematu.

Przyjaciele zajęli się przygotowaniami do drogi.

Historia opowiedziana przez Hiero znacznie poprawiła humor Romulusowi. To akurat ucieszyło też Tarkwiniusza. Cokolwiek czeka ich tej nocy, lepiej zaakceptować przeznaczenie w dobrym nastroju. Zły los i niezadowolenie bogów – taka przyszłość często czekała tych, którzy przystępowali do realizacji zadania, obawiając się najgorszego. *Szczęście i przeznaczenie sprzyjają odważnym* – pomyślał harusplik.

Biorąc pod uwagę znaki, jakie odczytał z nieba, mógł pokładać nadzieję tylko w odwadze. Ponad dwadzieścia lat po wróżbie Olenusa Tarkwiniusz wreszcie odczytał swój los. Jeśli zrobił to właściwie, kilka następnych godzin będzie miało kluczowe znaczenie. Pozna swoje przeznaczenie.

I jeszcze tylko musi znaleźć właściwy czas, żeby podzielić się z Romulusem pewnymi ważnymi dla niego informacjami.

Zapadł wieczór. Temperatura spadała. Bezchmurne niebo nad ich głowami przynajmniej obiecywało odrobinę światła gwiazd, dzięki któremu będą mogli poruszać się z większą pewnością po ciemnych uliczkach miasta. Pochodnie na ścianach oświetlały duży, otoczony kolumnadą dziedziniec, na którym do wymarszu przygotowywały się cztery wzmocnione kohorty rzymskich legionistów. Cezar przeznaczył do wykonania zadania blisko połowę wszystkich sił, jakimi dysponował w Aleksandrii. Jak widać, nie zamierzał rezygnować ze swojego upodobania do hazardu.

Owinięta w ciepły płaszcz z kapturem Fabiola spoglądała na srebrnego orła legionu. Rzadko miała okazję widzieć go z tak bliska i musiała przyznać, że czuła się głęboko poruszona. Od czasu wizji wywołanej *homa* dumny ptak stał się dla niej nie

tylko symbolem Rzymu, ale i ostatniej nadziei zobaczenia Romulusa żywego. W kącikach oczu zebrały się jej łzy. Szybko je osuszyła. To był jej prywatny smutek i nie miała zamiaru dzielić go z Brutusem. Na szczęście jej oblubieńca nie było w pobliżu. Rozmawiał z Cezarem i innym oficerem sztabowym.

Wkrótce byli gotowi do wymarszu. Co czwarty legionista niósł pochodnię nasączoną pakiem. Może gdyby maszerowali w całkowitej ciemności, mniej zwracaliby na siebie uwagę, ale żołnierze musieli widzieć wrogów, aby móc ich zabijać. Poza tym możliwość dostrzeżenia twarzy towarzyszy pomagała utrzymać wysokie morale. Cezar miał świadomość, że odniesione w minionych tygodniach porażki podkopały nieco pewność siebie jego legionistów. Wygłosił krótką, ale porywającą przemowę. Wezwał Marsa i Jowisza, przypominając ludziom, że pokonywali już znacznie większe armie niż ta, z którą przyjdzie im się teraz zmierzyć.

Legioniści zaczęli wiwatować, ale centurioni natychmiast ich uciszeli.

Bez zbędnych ceregieli otwarto bramy. Dwie kohorty zajęły się rozbieraniem barykad. Gdy tylko oficer odpowiedzialny za to zadanie dał znać gwizdem, że wszystko zostało uprzątnięte, pojawiła się trzecia kohorta, na której czele szedł *aquilifer* z orłem. Za nim ustawili się: Cezar, Brutus i Fabiola, Docilosa oraz wierny Sekstus, starsi stopniem oficerowie i centuria wybranych weteranów. Ostatnia wyszła czwarta kohorta. Drzwi pałacu zamknęły się za nimi z hukiem.

Fabiola zadrżała ze strachu. Teraz mogli liczyć tylko na siebie.

Oczy idącego obok niej Brutusa lśniły w słabym świetle pochodni. Zauważył, że Fabiola się niepokoi, dlatego szybko pocałował ją uspokajająco w policzek.

– Odwagi, kochanie – szepnęła. – Za godzinę będziemy już na pokładzie okrętu zmierzającego na pełne morze.

Pokiwała głową ze wzrokiem utkwionym w srebrnym orle. Światło latarni zamigotało na jego wypolerowanych skrzydłach. To był potężny talizman i Fabiola czerpała z niego siłę. Ze spojrzeń rzucanych w kierunku insygnium domyślała się, że nie tylko ona. Nawet Docilosa mruzczała cicho jakąś modlitwę wpatrzona w orła.

Kohorty ustawiły się w zwarty szyk marszowy i ruszyły prosto do portu. Dzięki temu, że ulice Aleksandrii były wyjątkowo szerokie, mogli poruszać się w naprawdę szybkim tempie. Mijali wiele imponujących gmachów, świątynie i budynki użyteczności publicznej. Architektura Aleksandrii zadziwiała rozmachem. Budynki były bardziej imponujące niż większość podobnych w Rzymie. Ich portyki zdobiły gęste rzędy kamiennych kolumn, każda wysoka na kilku mężczyzn. Nawet drzwi do

niektórych budynków robiły niesamowite wrażenie swoją wielkością. Ściany od ziemi do sufitu często pokryte były hieroglifami, które opisywały chwalebna przeszłość. Przed wieloma budynkami stały ogromne malowane posągi egipskich bogów – pół ludzi, pół zwierząt. Ich ciemne oczy obserwowały przechodzących żołnierzy. Fontanny cicho szemrały, a palmy delikatnie falowały na lekkim wietrze.

Ulice opustoszały. Wszędzie panowała cisza.

To było zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe.

I nie było.

Gdy tylko pierwsze szeregi legionistów pokonały ostatnie skrzyżowanie i kolumna znalazła się na drodze prowadzącej wprost do nabrzeża, okazało się, że została zablokowana przez uzbrojonych po zęby żołnierzy wroga.

Spora ich część była ubrana niemal identycznie jak ludzie Cezara. Na ten widok Fabiola poczuła się niepewnie. Przyczynę tego stanu rzeczy wkrótce wyjaśnił jej Brutus, doradca i nauczyciel, jeśli chodzi o wszelkie sprawy wojska. Po serii upokarzających klęsk sprzed wieku w Egipcie zrezygnowano z tworzenia lekkiej piechoty na wzór macedońskich hoplitów, skupiając się raczej na powoływaniu pod broń ciężkiej piechoty, szkolonej i wyposażanej podobnie jak legionieści. Ponadto rzymskie legiony, które przybyły do Aleksandrii siedem lat wcześniej, składały się teraz w większości z tutejszych mieszkańców. Oznaczało to, że ostatnie starcia Rzymian z Egipcjanami często nie przynosiły rozstrzygnięcia. W tym wypadku to jednak egipcjscy żołnierze mieli przewagę, ponieważ walczyli, aby pozbyć się najeźdźcy z własnego miasta. Dzisiejszej nocy Egipcjanie zgromadzili naprawdę duże siły. Za liniami piechoty pozycje zajęli procarze, łucznicy i lekkie oddziały nubijskich harcówników. Wszyscy pragnęli tylko jednego – rozbić nieprzyjaciół wpył.

Prowadząca kolumnę kohorta rzymska stanęła niemal w miejscu, zmuszając pozostałe jednostki do zatrzymania się w dość niepraktycznej formacji obronnej.

Uwagę Fabioli natychmiast przyciągnęła wznosząca się nad płaską taflą ciemnej wody latarnia morska. Takich widoków nigdy się nie zapomina. Wzniesiona na wystającej z zatoki skale wyspy Faros ogromna wieża z białego marmuru wyglądała naprawdę imponująco. Jednokondygnacyjna podstawa wieży była kwadratowa. Otaczały ją posągi greckich bogów i mitycznych stworzeń morskich. Do latarni można było dostać się szeroką rampą, wznoszącą się ponad pierwszy poziom kompleksu. Nawet teraz Fabiola widziała muły, które z wysiłkiem wspinały się po niej z ładunkami drewna, które służyło do podsycania ogniska rozpalonego na

szczyt latarni. Liczący wiele pięter kolejny poziom wieży miał kształt ośmiokąta, a ostatnia, najwyższa część latarni była w formie walca. Na szczycie znajdowało się zadaszone miejsce na ogromne, wypolerowane lustro z brązu, osłaniane przez potężne filary. Ich zadaniem było odbijanie światła słonecznego za dnia i światła płomieni w nocy. Latarnię wieńczył wielki posąg Zeusa, największego z greckich bogów.

Fabiola z trudem oderwała wzrok od tego cudu inżynierii. Jej światło rozjaśniało mroki nocy w głównym basenie portu. Na nabrzeżu wznosiły się wielkie budynki administracji i magazyny. W porcie zebrało się wiele jednostek. Ich maszty przypominały gęsty las. Flota egipska składała się w większości z okrętów transportowych, z których po trapach schodziło na nabrzeże coraz więcej żołnierzy. Basen portowy był tak głęboki, że mogły tu cumować najcięższe i największe jednostki o dużym zanurzeniu. Na pokładach okrętów znajdowało się wielu marynarzy, krzyczących i gestykulujących w oczekiwaniu na konfrontację.

Brutus rozglądał się na wszystkie strony. Klął przy tym głośno, na czym stał świat.

Egipcjanie dobrze wybrali miejsce zasadzki. Z powodu wysokiego muru ciągnącego się po prawej stronie Rzymianie mogli rozwinąć co najwyżej dwie kohorty. Pozostali legioniści musieli tłoczyć się w szerokiej arterii, która otwierała się w kierunku przystani. Gdy tylko pierwsze szeregi zatrzymały się, w powietrzu rozległy się głośne okrzyki bojowe Egipcjan. Po chwili do hałasu dołączył znajomy syk strzał, a zaraz po nim krzyki trafionych żołnierzy.

– Dranie musieli ukrywać się w bocznych uliczkach, dowódco – krzyknął Brutus.

– Żeby uniemożliwić nam wycofanie się – powiedział Cezar spokojnie. – Głupcy! Jakbym zamierzał uciekać!

– Jakie rozkazy, Cezarze?

Zanim zdążył odpowiedzieć, usłyszeli gardłowe nawoływania egipskich oficerów. Z nocnego nieba spadł na legionistów grad kamieni, powodując ciężkie straty wśród nieprzygotowanych na ostrzał żołnierzy. Po kamieniach w niebo poszybowały oszczepy. Niewidzialne w mroku, pokonały łagodny łuk, po czym opadły na ziemię potokiem śmierci. Rzymianie ponieśli duże straty, wielu żołnierzy odniosło ciężkie rany. Jakiś żołnierz stracił oko, inni po prostu leżeli na ulicy, powaleni impetem pocisków, z powodu ran lub tylko wstrząsu.

Stojący dziesięć kroków od Fabioli centurion nagle runął jak długi na ziemię. Przez chwilę kopał spazmatycznie nogami, ale szybko znieruchomiał. Patrzyła na

jego ciało z przerażeniem.

A centurion zdjął tylko hełm, ozdobiony grzywą końskiego włosa, żeby otrzeć pot z czoła. Teraz z paskudnej rany na głowie pokrytej krótkimi włosami ciekła mieszanina krwi i jasnego płynu. Oszczęp roztrzaskał mu czaszkę.

– Tarcze w górę! – ryknął Cezar.

Brutus chwycił jakąś *scutum*, porzuconą przez rannego żołnierza, i doskoczył do Fabioli, przyciskając ją mocno do siebie. Osłonięta tarczą miała właśnie po raz pierwszy w życiu z tak bliska obserwować skuteczność rzymskich legionów. Choć ostrzał Egipcjan spowodował duże straty, żołnierze nie spanikowali. Luki w szeregach zostały szybko zamknięte, a kolejna fala kamieni i oszczepów odbiła się z łoskotem od osłon i spłynęła nieszkodliwie na ziemię.

– Nie możemy tak tu czekać nie wiadomo na co – powiedziała Fabiola. – Zmasakrują nas.

– Poczekaj – Brutus się uśmiechnął. – Obserwuj.

– Wy z pochodniami! Przekazać je żołnierzom drugiej kohorty – nakazał Cezar. – Szybko!

Jego rozkaz został wykonany w ciągu kilku chwil.

– Pierwsze szeregi! Gotuj *pila*! Celować daleko, na granicy zasięgu!

Setki mężczyzn odprowadziło do tyłu prawe ręce ze śmiercionośnymi pociskami.

– Rzuć!

Oszczepy pofrunęły wysoko nad egipską piechotą. Deszcz ciężkich *pila*, zakończonych metalowymi ostrzami, spadł na nieosłoniętych zbroją procarzy i harcowników, kładąc ich pokotem na ziemię na wielkiej połaci. Zaniepokojone krzykami towarzyszy z tyłu, przednie szeregi żołnierzy wroga wyraźnie zafalowały niepewnie. Cezar nie dał im żadnej szansy na odzyskanie pewności.

– Pierwsza kohorta! Do ataku! – rozkaz Cezara był głośny i wyraźny. – Rzucać bez rozkazów!

Ludzie ci od lat wykonywali jego komendy. Przeżywali zwycięstwa i porażki. Na całym cywilizowanym świecie, od Galii po Germanię, od Brytanii po Hiszpanię i Grecję. Cezar nigdy ich nie zawiódł.

Gdy pierwsze szeregi rzuciły się na Egipcjan, z gardeł żołnierzy wyrwał się ryk gniewu, który z czasem tylko narastał. Rzucali oszczepami w biegu. Te wbijały się w tarcze wrogów, zmuszając ich do odrzucenia *scuta*, przebijały je i raniły przeciwników.

Cezar nie zamierzał na tym poprzestać.

– Druga kohorta! Przygotować pochodnie.

Fabiola nie rozumiała, co zamierza Cezar, ale na twarzy Brutusa zobaczyła wielki uśmiech.

– Celować w okręty wroga. Podpalcie żagle!

Legioniści Cezara ryknęli na znak zgody.

– Rzuć!

Płonące pochodnie poleciały w stronę statków, kręcąc złote młynki w powietrzu. To był jeden z najpiękniejszych obrazów, jakie Fabiola kiedykolwiek widziała. I najbardziej zabójczych. Z pokładów jednostek pływających wzniosły się w powietrze głośnie krzyki. Wielu marynarzy zostało trafionych. Pochodnie spadały na pokłady z miękkim plaśnięciem. Inne, niestety, z sykiem lądowały w wodzie.

Ale kilka trafiło w ciasno zwinięte żagle na rejach. To wystarczyło. Owiane wiatrem i spalone słońcem ciężkie tkaniny były suche jak pieprz. Pochodnie, które paliły się już od jakiegoś czasu, żarzyły się na czerwono, nawet gdy płomień przygasał. To było idealne połączenie.

Tu i ówdzie pojawiły się pierwsze żółte płomyki liżące płótna. Ogień szybko się rozprzestrzenił, przenosząc się w ciągu kilku chwil na maszty okrętów. Fabiola podziwiała pomysłowość Cezara.

Obserwujący tę scenę egipscy żołnierze jęknęli z przerażenia. Ich flota wkrótce miała nie istnieć.

I wtedy legioniści uderzyli.

Dotarli do bram Aleksandrii bez problemów. Po długim marszu w późnopołudniowym słońcu przyjaciele pojawili się pod murami miasta otaczającymi je od południa. Nie mieli też żadnych kłopotów z dostaniem się za bramę. Wprawdzie pilnowało jej wielu żołnierzy, ale Egipcjanie, ubrani na podobieństwo rzymskich legionistów w kolczugi i hełmy, wyglądali na znudzonych i nie okazali większego zainteresowania parą przykurzonych podróżnych. Romulusa jednak najbardziej martwiło to, że Brama Słońca jest zamykana wraz z zapadnięciem zmroku. Chociaż mieli dowiedzieć się, co dzieje się w mieście, nie ośmielili się pociągnąć za język wartowników przy bramie. Lepiej nie zwracać na siebie uwagi i nie narażać na ewentualne ryzyko, gdyby ktoś zauważył ich zbroje i broń. Będą musieli wypytać zwykłych obywateli.

Jednak ku swojemu zaskoczeniu na ulicach nie było żywej duszy. Właściwie miasto wyglądało na opuszczone. Nawet Argeus, główna ulica, dzieląca Aleksandrię na pół na osi północ-południe, była praktycznie pusta. Kilka osób przemykało tu i tam między obeliskami, fontannami i palmami, ale kramy, na których normalnie sprzedawano żywność, napoje, ceramikę czy wyroby z metalu, stały porzucone. Nawet w ogromnych świątyniach nie było wiernych.

Wyglądało na to, że Tarkwiniusz znów miał rację. W mieście toczyły się walki.

Ich podejrzliwość zwiększył jeszcze widok żołnierzy egipskich, zbierających się przed budynkami, które wyglądały na duże koszary. Przyjaciele zdawali sobie sprawę, że ktoś łatwo mógłby uznać ich za wrogów, dlatego czym prędzej skręcili w jakąś wąską uliczkę, aby zejść z oczu. Jednak na następnej krzyżówce znów natknęli się na uzbrojone oddziały. Korzystając ze wskazówek Hiero i kierując się położeniem słońca, kluczyli przez prostokątną siatkę ulic, zmierzając w stronę centrum. Niepokój Romulusa rósł z każdym pokonywanym skrzyżowaniem i wraz z oddalaniem się od południowej bramy. Nie napotkali jednak żadnego człowieka, z którym można byłoby bezpiecznie zamienić kilka słów. A Tarkwiniusz zachowywał się, jakby coś go opętało. Na jego twarzy rysowała się zawziętość. Szedł coraz szybciej.

Zanim zapadł zmierzch, minęli obrośnięte drzewami *Paneion*, sztuczne wzgórze usypane na cześć bożka Pana, i ogromną świątynię Serapisa, boga otoczonego kultem przez Ptolemeuszy. Romulus był pod wielkim wrażeniem architektury i układu aglomeracji. W przeciwieństwie do Rzymu, w którym tylko dwie ulice były szersze niż szerokość typowego wozu ciągniętego przez woły, Aleksandria została wybudowana z uwzględnieniem potrzeb mieszkańców i z wyobraźnią architekta. Nie było tu odosobnionych, pojedynczych, imponujących świątyń, rozrzuconych to tu, to tam. Ich lokalizacja była bardzo dobrze przemyślana i planowa. Mijali wielkie place, fontanny pełne wody i umiejętnie zaprojektowane ogrody. Argeus zrobił na Romulusie wielkie wrażenie, ale Droga Kanopijska, główna aleja biegnąca przez miasto ze wschodu na zachód, po prostu go oczarowała. Tam, gdzie przecinała się z Argeus, mógł do woli podziwiać geniusz architektów, bo miasto leżało na płaskim terenie. Na skrzyżowaniu dróg znajdował się wspaniały plac z mnóstwem obelisków i ogromną fontanną, ozdobioną pięknymi rzeźbami, przedstawiającymi stworzenia wodne – te prawdziwe, ale i mityczne.

Tymczasem Romulusa zachwycała Sema, ogromny grobowiec, w którym chowano wszystkich Ptolemeuszy. Tu także miał spocząć po śmierci Aleksander Wielki.

Tarkwiniusz twierdził, że ciało wielkiego zdobywcy wciąż wystawione było na widok publiczny w alabastrowym sarkofagu. Bardzo chętnie złożyłby hołd największemu wodzowi, jakiego widział świat. Przecież z Tarkwiniuszem zmierzała jego śladem razem z żołnierzami Zapomnianego Legionu. Niestety, będzie musiał zadowolić się obejrzeniem miejsca ostatniego spoczynku Aleksandra z zewnątrz. Myśl o tym, że jego życie zatoczyło pełne koło, w jakimś sensie nastrajała go optymistycznie. Italia znajdowała się w zasięgu ręki. *Szkoda tylko, że Brennus nie dożył tej chwili* – Romulus pomyślał ze smutkiem. *Nie było mu to jednak pisane.*

Podobnie jak wszystkie inne budynki użyteczności publicznej tego wieczora Sema została zamknięta na cztery spusty. Wysokie drewniane drzwi zatrzaśnięto i zablokowano zasuwami. Ostatnie promienie zachodzącego słońca oblewały biały marmur złowieszczą, krwawą poświatą.

W tym samym czasie jasnożółty blask rozświetlił niebo na północy.

Romulus uniósł głowę i wpatrywał się w to światło z niedowierzaniem.

– Latarnia morska – powiedział Tarkwiniusz. – Na morzu widać ją z odległości trzydziestu mil.

Czegoś takiego na próżno szukać w całej Republice – pomyślał zdumiony Romulus. Widać, że Egipcjanie są uzdolnionymi architektami. Dziś zresztą widział wiele dowodów potwierdzających tę tezę. A teraz rzymskie legiony znów stoją u bram Aleksandrii, myśląc o podbiciu Egiptu tak, jak uczyniły to z wieloma innymi cywilizacjami. Wkrótce jednak Romulus przekona się, że tym razem inwazja nie szła zgodnie z planem.

– Jak daleko jeszcze do portu?

– Kilka przecznic – Tarkwiniusz uśmiechnął się jak mały chłopiec, któremu właśnie obiecano nową zabawkę. – Już niedługo dotrzemy do biblioteki, w której zgromadzono dziesiątki tysięcy woluminów z całego świata. Muszę ją zobaczyć!

Romulus dał się chwilowo porwać entuzjazmowi swojego przyjaciela. Jednak szybko przypomniał sobie o swoich złych przeczuciach, gdy tylko dotarły do nich krzyki i szcęk broni. Dochodziły z miejsca, które musiało znajdować się niedaleko. Gdzieś stamtąd, dokąd zmierzała.

– Wracajmy – powiedział. – Widzieliśmy już dosyć.

Haruspik nie zatrzymał się i w marszu, wyćwiczonym ruchem, zdjął z pleców swój topór bojowy.

– Tarkwiniuszu! To zbyt niebezpieczne!

Żadnej odpowiedzi.

Romulus zaklął i pobiegł za przyjacielem. Tarkwiniusz już tyle razy miał rację. Czy mógł zostawić go samego?

Każdy człowiek sam decyduje o własnym losie.

Szybko znaleźli się przy zachodniej pierzei budynków otaczających główny port Aleksandrii. Tu wciąż jeszcze panował spokój. W tym miejscu przebiegała sztucznie usypana grobla oddzielająca główny port od mniejszego i łącząca ląd z wyspą Faros. Na każdym końcu grobli znajdowała się śluza, która umożliwiała jednostkom przemieszczenie się między portami bez konieczności wychodzenia w morze.

– Heptastadion – wyjaśnił Tarkwiniusz. – Ma prawie milę długości.

Romulus nie mógł oderwać oczu od latarni morskiej, wyższej i wspanialszej niż jakikolwiek znany mu budynek.

– To prawdziwy cud – szeptał pod nosem.

Haruspik przez chwilę patrzył na niego pobłażliwie, ale szybko spowaźniał.

– Patrz tam!

Na małym kotwicowisku po lewej od Heptastadionu cumowało blisko czterdzieści triem. Okręty osłaniała kohorta legionistów.

Gdy chłodne wieczorne powietrze przyniosło znajome dźwięki łaciny, którą posługiwali się żołnierze, Romulusa aż zatkało. Nie mógł mieć żadnych wątpliwości co do tożsamości żołnierzy. Byli Rzymianami.

– Ludzie Cezara – odezwał się Tarkwiniusz.

– Jesteś pewien? – zapytał podekscytowany Romulus.

Tarkwiniusz skinął głową. Wiedział, że tego wieczora wydarzy się coś ważnego, choć nie do końca wiedział co.

Romulus stwierdził, że to, pod czyimi rozkazami służyli legionieści, nie miało dla nich żadnego znaczenia. Podobnie jak to który z rzymskich generałów znajduje się w Aleksandrii.

Usłyszeli dobiegające z prawej odgłosy walki. Spojrzeli w tamtym kierunku. Kilkaset kroków dalej, przy magazynach portowych, drogę do okrętów zablokowała duża grupa egipskich żołnierzy. Oddział składał się z procarzy i łuczników, lekkiej i ciężkiej piechoty, która zajmowała pozycję w pierwszym rzędzie. Żaden z nich nie patrzył w stronę dwójki obcych. Na ich oczach żołnierze wyrzucili w powietrze grad kamieni i oszczepów. Gdy pociski znalazły swoje cele, dobiegły ich głośnie krzyki rannych.

– Legionieści wpadli w zasadzkę! – zawołał Romulus. Głowa podpowiadała, że

powinni uciekać, ale serce chciało rzucić się w wir walki dla ratowania krajanów. *I po co? To nie jest moja sprawa!*

– Już niedługo będziesz musiał opowiedzieć się po którejś ze stron – powiedział Tarkwiniusz.

Zaskoczony Romulus obejrzał się na haruspika.

– Czuję, że między tobą i Cezarem jest jakiś związek. Czy go zaakceptujesz, czy raczej odrzucisz?

Zanim młody żołnierz zdążył odpowiedzieć, usłyszeli wyraźny rozkaz, wybijający się ponad zgiełk bitwy: „Gotuj pila!”. Romulus znów spojrzął na miejsce walk.

Chmura oszczepów Rzymian, które zostały wyrzucone w powietrze w odpowiedzi na atak Egipcjan, powaliła nieprzebrane rzesze niezabezpieczonych zbrojami proczary i harcowników. Legioniści wykorzystali chwilę zamieszania w szeregach wroga, by na nie uderzyć. Mniej więcej w tym samym czasie inni ludzie Cezara użyli płonących pochodni, żeby podpalić statki egipskie zacumowane w porcie. Po około trzydziestu uderzeniach serca niemal wszystkie żagle płonęły żywym ogniem.

Romulus nie mógł nie podziwiać geniuszu taktycznego Cezara. Atak legionistów spowodował panikę w egipskich szeregach. A jakież to związku może być między nimi? Jak zaczarowany wpatrywał się w ogień, który rozprzestrzeniał się w zawrotnym tempie.

– O, nie... – syknął Tarkwiniusz. – Tak być nie może!

– Co się stało?

– Jeśli fala ognia będzie przemieszczać się dalej w tamtym kierunku, one spłoną!

Haruspik wskazał palcem nieodległe magazyny.

Romulus nie zrozumiał.

– To biblioteka! – twarz Tarkwiniusza wykrzywiła się w bólu. – Przechowywane tam starożytne księgi są bezcenne!

Zaniepokojony Romulus znów odwrócił głowę. Tymczasem mniej więcej jedna czwarta okrętów egipskiej floty stała już w ogniu. Płomienie szybko przeskakiwały ze statku na statek. Pożar biblioteki był bardzo prawdopodobny. Ale co mogli zrobić?

Tarkwiniusz przez kilka uderzeń serca wpatrywał się w płomienie. Potem otworzył szeroko oczy, przepełniony smutkiem i trwogą. Miał niewielką nadzieję, że gdy dotrze do Aleksandrii, znajdzie sposób, żeby doprowadzić do odrodzenia

Etrusków. Teraz jednak wiedział już na pewno, że to niemożliwe. Gdy skończy się wojna domowa, Rzym stanie się potęgą. Imperium większym i potężniejszym niż inne. Sąsiedzi będą rozwijać się w jego cieniu. A Cezar odegra ważną rolę w procesie, który właśnie się rozpoczyna. Tarkwiniusz westchnął. Myślał przez chwilę, że nic gorszego nie może go już spotkać. Ale to nie był koniec jego wizji. Musi o wszystkim powiedzieć Romulusowi. Teraz! Zanim będzie za późno.

Romulus czuł ogarniający go coraz większy niepokój. *Trzeba stąd zniknąć!*

– Chodźmy! – zawołał.

– Pytałeś, dlaczego opuściłem Italię w takim pośpiechu... – odezwał się nagle haruspik.

– Bogowie! Najpierw te rewelacje dotyczące Cezara, a teraz to... Dajże spokój. To może poczekać.

– Nie, nie może – odpowiedział Tarkwiniusz, czując jakiś dziwny wymóg pośpiechu. – To ja zabiłem Rufusa Celiusza.

– Coooo? – Romulus odwrócił się, aby spojrzeć na haruspika.

– Tego nobila przed Lupanarem.

Romulusowi nagle wydało się, że cały bitewny zgiełk przycichł. Usiłował zaakceptować coś, co wydawało mu się niemożliwe.

– Ty? Jak to? – głos mu się załamał.

– Tak. Ja. Byłem tam. Siedziałem przy drzwiach. Czekałem na niego.

Romulus wpatrywał się w przyjaciela oczami wielkimi jak spodki. Tam naprawdę była jakaś zakapturzona i okutana w płaszcz postać. Wtedy myślał, że to trędowaty lub żebrak.

– Ale gdy Celiusz wyszedł, wdaliście się z nim w bójkę. Wstrzymywałem się przez chwilę, ale bogowie podpowiedzieli mi, że muszę działać szybko. Więc dźgnąłem go sztyletem.

Romulus nie potrafił wydusić z siebie słowa. Miał dobre przeczucie! Przez cały czas miał nadzieję, że cios, jaki wymierzył Celiuszowi, nie był na tyle silny, żeby go zabić. To Tarkwiniusz odpowiadał za śmierć nobila. W jego umyśle niezrozumienie mieszało się z wściekłością. Romulus aż się zatoczył, nie mogąc pojąć ogromu konsekwencji tego, co usłyszał. On i Brennus wcale nie musieli uciekać z Italii.

– Dlaczego? – krzyknął. – Powiedz mi! Dlaczego to zrobiłeś?

– Celiusz przyczynił się do tego, że zginął człowiek, który nauczył mnie haruspicii. Olenusa, mojego mentora.

Romulus już go nie słuchał.

– Tej nocy zniszczyłeś moje życie! – krzyczał z wściekłością. – A co z Brennusem? Myślałeś kiedyś o tym?

Tarkwiniusz nie odpowiedział. Jego ciemne oczy przepełniał smutek.

– Proroctwa i przepowiadanie przyszłości to jedno – ciągnął z furią Romulus. – Ludzie mają wybór. Mogą wierzyć albo nie wierzyć w to, co mówisz. Ale żeby popełnić morderstwo i pozwolić, żeby wina spadła na niewinnych ludzi? Tak wpływasz na życie innych. Mitro nad nami! Czy masz pojęcie, jakie to miało konsekwencje?

– Oczywiście, że tak – odpowiedział Tarkwiniusz cicho.

– No to dlaczego mimo wszystko to zrobisz? – Romulus nie potrafił się uspokoić. – Mogłem zdobyć *rudis*. Odnalazłbym swoją rodzinę. A Brennus by żył, do ciężkiej cholery!

– Przepraszam... – Tarkwiniusz nie udawał swojego smutku.

– Myślisz, że to wystarczy?!

– Powiniennem powiedzieć wam dawno temu.

– Dlaczego tego nie zrobiłeś? – pytał gorzko Romulus.

– Dlaczego? Czy przyjaźniłbyś się z człowiekiem odpowiedzialnym za wszystkie swoje problemy?

Nie usłyszał odpowiedzi.

A potem bogowie odwrócili się od nich.

Zza pleców dobiegł ciężki tupot maszerujących żołnierzy. Byli bardzo blisko. Przyjaciele błyskawicznie schronili się za rogiem najbliższego budynku. Romulus zaryzykował wyjrzenie z kryjówki. Ulica, którą przyszli, została całkowicie zablokowana przez egipskich żołnierzy. Romulus rzucił przekleństwo. Maszerowali na pomoc towarzyszom lub chcieli zaatakować triremy. Tak czy inaczej, wróg odciął im drogę powrotu.

Mieli dwa wyjścia: przejść przez mostek i ruszyć dalej po grobli na wyspę albo, ryzykując, uciekać po nabrzeżu. Może uda im się znaleźć jakąś alejkę, ukryć się i poczekać na zakończenie walk.

Tarkwiniusz stał bardzo blisko Romulusa.

Młody żołnierz zaciskał szczęki tak mocno, że poczuł ból. Miał ochotę udusić haruspika, ale to nie był najlepszy moment na kontynuowanie sporu.

– Co robić?

– Ruszamy na wyspę – odpowiedział Tarkwiniusz. – Tam poczekamy do świtu.

Zrzucili płaszcze i ruszyli biegiem na Heptastadion, od którego oddzielało ich około dwieście kroków.

Usłyszeli okrzyki rzymskich marynarzy, którzy ich dostrzegli. Choć ich sylwetki rysowały się wyraźnie na tle ognia, Romulus był przekonany, że znajdują się poza zasięgiem rzutu oszczepem z pokładu.

Biegli dalej.

Teraz z kolei ściągnęli na siebie uwagę egipskich żołnierzy, którzy właśnie dotarli do nabrzeża. Romulus spojrzął przez ramię i zobaczył, że wielu Egipcjan pokazuje ich sobie palcami.

– Nie zatrzymuj się! – krzyknął Tarkwiniusz. – Oni mają większe zmartwienia niż my.

Sto kroków.

Romulus zaczął wierzyć, że może im się udać.

Jednak już po krótkiej chwili dostrzegł pikietę rzymskich wartowników: mały oddział, składający się z dziesięciu legionistów pilnujących pierwszej służby na grobli. Na razie tylko przyglądali się bitwie. Romulus znów spojrzął za plecy. Kohorty Cezara przebiły się przez egipskie linie i teraz przemieszczały się w stronę trirem. Wartownicy zaczęli wiwatować.

Mitro i Jowiszu! Pozwólcie nam niezauważenie dotrzeć na miejsce.

Tarkwiniusz uniósł głowę i spojrzął w niebo. Postawił oczy w słup. Dostrzegł w gwiazdach swoją przyszłość.

Pięćdziesiąt kroków.

Pod stopami obutymi w *caligae* skrzypiał żwir.

Trzydzieści.

Jeden z legionistów odwrócił się lekko i mówił coś prosto do ucha swojemu towarzyszowi.

Zobaczył ich.

Dwadzieścia.

Teraz znajdowali się już w zasięgu rzutu oszczepem. Wszystko działo się bardzo szybko. Pierwsze *pilum* zasyczało w powietrzu niemal natychmiast, ale na szczęście wylądowało nieszkodliwie na ziemi. Po nim poleciało pięć kolejnych. Żaden oszczep nie trafił w cel. Potem seria czterech kolejnych. Te już jednak, wyrzucone z większą siłą przez podeksycytowanych żołnierzy, wylądowały za plecami biegnących

mężczyzn.

Para na jednego – myślał gorączkowo Romulus. Zostało im dziesięć oszczepów. O wiele za dużo. Skulił się. Wiedział, że najłatwiej trafić przeciwnika, gdy jest najbliżej. Było mało prawdopodobne, że któryś z nich chybi z tak niewielkiej odległości. A nawet jeśli żaden z legionistów nie użyje drugiego oszczepu, żołnierze chwycą za miecze i zaatakują ich. Nie mieli szans.

Tarkwiniusz też dobrze zdawał sobie sprawę z ich trudnej sytuacji.

– Przeście, głupcy! – krzyknął po łacinie. – Jesteśmy Rzymianami!

Zwolnił, a potem zatrzymał się w miejscu, unosząc ręce w powietrze w obronnym geście.

Romulus szybko zrobił to samo.

Na szczęście legioniści nie zdecydowali się użyć pozostałych oszczepów. Natychmiast stanęli w formacji, osłaniając się tarczami, z mieczami w pogotowiu. Przewodził im *optio* w średnim wieku. Po chwili przyjaciele znaleźli się przed ścianą *scuta*, pomiędzy których wystawały ostre czubki *gladii*. Twardzi, nieogoleni legioniści podejrzliwie przyglądali się dwóm mężczyznom.

– Dezerterzy? – warknął *optio* na widok porzewiałej kolczugi Romulusa i pasa ze skórzanymi frędzlami Tarkwiniusza.

– Gadać mi tu zaraz, kim jesteście. Natychmiast!

– Pracujemy dla bestiariusza – Romulus wyjaśnił. – Właśnie wróciliśmy do Aleksandrii po wielu miesiącach spędzonych daleko na południu.

– Czemu skradacie się jak szpiedzy za naszymi plecami?

– Szef wysłał nas, żebyśmy sprawdzili, jak wygląda sytuacja. Jesteśmy jedynymi ludźmi z jego zespołu dobrze radzącymi sobie z bronią – odpowiedział Romulus, rzucając *optio* znaczące spojrzenie. – Ale przez te walki nie możemy wydostać się z portu.

Optio potarł w zamyśleniu podbródek. Wyjaśnienie Romulusa było wiarygodne.

– A broń? To rzymskie wyposażenie. Z wyjątkiem tego czegoś... – zaciekawiony wskazał należący do Tarkwiniusza topór bojowy o dwóch ostrzach. – Wy tłumaczcie się.

Romulus wpadł w panikę. Nie chciał wzbudzać sensacji – albo stać się obiektem potępienia – przyznając się, że są weteranami z kampanii Krassusa. Ale co mieliby powiedzieć? Milczenie też nie było żadnym rozwiązaniem.

Z opresji wybawił go Tarkwiniusz.

– Zanim zatrudnił nas *bestiarius*, służyliśmy przez pewien czas w armii egipskiej.
– Najemnicy, co? – warknął *optio*. – Walczyliście dla tych drani?
– Nic nie wiedzieliśmy o konflikcie z Cezarem – dodał szybko Romulus. – Jak mówiłem, nie było nas w mieście ponad sześć miesięcy.

– W porządku... – w oczach *optio* pojawił się błysk zadowolenia. Potrafił rozpoznać dobrego żołnierza. Widział, że ta dwójka zna się na rzeczy. – Teraz każdy człowiek z mieczem w dłoni jest na wagę złota.

– Ale... – zaczął niepewnie Romulus, nie wierząc własnym uszom. – Chcemy wrócić do Italii.

– Czy nie wszyscy tego chcemy? – zapytał *optio* przy akompaniamencie śmiechu swoich ludzi.

– Nie służymy w armii – zaprotestował Romulus, walcząc z wrażeniem tonięcia.

– Teraz jesteście żołnierzami. Witamy w Legionie XXVIII.

Jego ludzie zareagowali krótkimi wiwatami.

Romulus spojrział zdezorientowany na Tarkwiniusza, który wrzucił tylko fatalistycznie ramionami. Skrzywił się. *Znów ponosimy konsekwencje działań haruspika. Wszystko przez niego.* Nie mógł znaleźć żadnej okoliczności łagodzącej. Czuł tylko coraz większy gniew.

– Nie próbujcie uciekać – ostrzegł *optio*. – Chłopaki mają prawo zabić każdego uciekiniera na miejscu.

Romulus spojrział na twarze legionistów. Żaden z nich nie okazałby im litości.

– Pamiętajcie, że karą za dezercję jest ukrzyżowanie. Czy to jasne?

– Tak jest – odpowiedzieli obaj niechętnie. Z ociąganiem.

– Głowy do góry! – *optio* uśmiechnął się okrutnie. – Przeżyjecie jakieś sześć lat i będziecie wolni.

Romulus dziwnie się poczuł. Targały nim sprzeczne emocje. Za niedyscyplinowanie w wojsku karano surowo, ale będzie traktowany jak rzymski obywatel, a nie niewolnik. Być może w ten sposób – w legionach – zyska wreszcie szacunek i akceptację. Na własną rękę. Bez Tarkwiniusza.

Coś kazało Romulusowi spojrzeć na nabrzeże.

Oddziały prowadzone przez Cezara przemieszczały się coraz szybciej. Legioniści przebili się przez linię Egipcjan, którzy zaszli ich od zachodu, zmuszając Romulusa i Tarkwiniusza do wycofania się na groblę. Żołnierze z pierwszej kohorty ścigali zdemoralizowanych wrogów uciekających do miasta, reszta maszerowała prosto

w stronę zacumowanych triem. Na czele najbliższego oddziału Romulus zauważył chorążego ze srebrnym orłem legionu. Na ten widok serce młodego żołnierza urosło z dumy. Za nim podążała grupa wyższych oficerów i centurionów, rozpoznawalnych dzięki poprzecznym grzebieniom z końskiego włosia i czerwonym płaszczom.

Jednym z nich może być Cezar – myślał Romulus.

– Tam jest nasz generał! – zawołał *optio*, potwierdzając domysły Romulusa. – Niech wie, że tu jesteśmy, chłopcy.

Jego ludzie zaczęli wiwatować.

Romulus zmarszczył brwi. W zbliżającej się grupie zauważył dwie kobiety. W tej samej chwili poczuł ciepły podmuch na karku i spojrzał na port, żeby sprawdzić, czy na pewno nic im nie grozi.

Większość cumujących egipskich okrętów stała w ogniu. Długie żółte języki zaczęły już zachłannie lizać ściany budynków bibliotecznych, oddzielonych od basenu portowego tylko węższym w tym miejscu nabrzeżem. Płomienie sprawiały, że zrobiło się jasno jak w dzień.

Zaciekawiony Romulus znów skierował wzrok na grupę nowo przybyłych Rzymian, którzy teraz znajdowali się od nich w odległości nie większej niż sto kroków. Kilku oficerów z kobietami właśnie wsiadało na pokład jednej z jednostek. Pozostali mężczyźni w czerwonych płaszczach nie zamierzali iść za nimi. Marynarze już rzucali cumy, przygotowując triemę do opuszczenia portu. Cezar wysłał posłańca po posiłki, a kobietę i jej służkę... pewnie w jakieś bezpieczne miejsce.

I wtedy jedna z nietypowych pasażerek triemy opuściła kaptur płaszcza.

Romulus wciągnął powietrze z sykiem. Minęło dziewięć lat, ale nie miał żadnych wątpliwości! Wprawdzie patrzył na atrakcyjną kobietę, ale to była jego mała siostra bliźniaczka.

– Fabiola! – krzyknęła.

Brak reakcji.

– Fa-bio-la! – ryknął tak głośno, jak tylko potrafił.

Kobieta uniosła głowę, rozglądając się po grobli.

Romulus podbiegł kilka kroków, ale dwaj legioniści zablokowali mu drogę.

– Nigdzie nie pójdziesz, śmieciu – warknął jeden z nich. – Tak długo, jak my tu pełnimy służbę.

– Nie. Nie rozumiecie! – zawołał Romulus. – To moja siostra! Muszę z nią porozmawiać!

Legioniści zaśmiali się szyderczo.

– Naprawdę? Pewnie z Kleopatą też łączą cię więzy krwi?

Bezradny Romulus mógł tylko wykrzykiwać w kółko te same słowa.

– Fabiola! To ja! Romulus!

I wtedy, w całym tym zamęcie i zamieszaniu, Fabiola wreszcie go zobaczyła. Miał długie włosy, brodę i zardzewiałą kolczugę. Z wymachującymi rękami wyglądał jak szalenciec. A jednak od razu go rozpoznała.

– Romulus? – krzyknęła radośnie. – To ty?

– Tak! Jestem w Legionie XXVIII – krzyknął, dając Fabioli jedyną wskazówkę, jaka w tej chwili przyszła mu do głowy.

Jego ostatnie słowa zagłuszyły odgłosy z pokładu.

– Co? Nie słyszę!

Jakiegolwiek próby porozumienia się na odległość nie miały w tych warunkach żadnego sensu. Rozkazy, krzyki marynarzy i oficerów, dudnienie bębna wypełniały powietrze kakofonią dźwięków.

Fabiola pobiegła do oficera na pokładzie i powiedziała mu coś. Chwilę później ten pomachał na trierarchę. Krzyknął.

Kapitan okrętu niechętnie wydał rozkaz, aby wszyscy marynarze przerwali swoje zajęcia. Załoga zamarła w bezruchu.

Romulus miał wrażenie, że z radości serce wyskoczy mu z piersi.

Jednak wtedy z uliczek prowadzących do portu wylały się nowe fale wyjących Egipcjan. Pokonani żołnierze wezwali na pomoc wszystkich, których udało się zebrać – mieszkańców miasta i obszarpańców ze slumsów i ruder. Wszyscy pragnęli tylko jednego. Chcieli wypędzić rzymskich najeźdźców. Legioniści nagle znowu będą musieli stanąć przed trudną próbą.

Na pokładzie triremy Brutus spojrział bezradnie na Fabiołę.

– Nie możemy zawrócić – powiedział ze smutkiem. – Nasza misja jest zbyt ważna.

Odwrocił się do trierarchy i wydał nowe rozkazy.

Fabiola poczuła, że miękną jej kolana. Z najwyższym wysiłkiem trzymała się w pionie, walcząc, żeby nie zemdleć.

Odwagi! Romulus żyje i służy w legionach. Któregoś dnia wróci do Rzymu. Mitra będzie go chronił – uniosła drżącą rękę w geście pożegnania. – Nie żegnamy się na długo.

– Odplywamy. Szybko!

Romulus usłyszał wykrzyczany rozkaz i zrozumiał znaczenie gestu Fabioli. Nie

potrafił znieść perfidii losu. Nie będzie żadnego szczęśliwego spotkania po latach.

Trirema powoli opuszczała port, wypychana z niego przez marynarzy używających długich tyczek. Rozległo się bicie w bębny, sygnalizujące wioślarzom tempo. Pióra wiosel zanurzyły się w wodzie. Trirema ustawiała się na kursie. Trierarcha chodził tam i z powrotem po pokładzie, wykrzykując serie rozkazów. Inni załoganci zdjęli osłony z katapult i przygotowywali je do użycia. Żadna obca jednostka nie blokowała kanału prowadzącego na pełne morze, ale musieli być gotowi na każdą ewentualność.

Ryczący tłum Egipcjan już prawie dopadał nabrzeża. Cezar ustawił swoje kohorty w linii wzdłuż grobli. Za kilka chwil dojdzie do starcia.

– Dołączamy do formacji. Każdy legionista przyda się przeciwko tym skurwysynom – krzyknął *optio*. – Miecze w dłoń!

Tuzin *gladii* wychynęło z sykiem z pochw. Romulus i Tarkwiniusz niemal instynktownie chwycili też za broń.

– Biegiem marsz!

Romulus starał się uspokoić rozszalałe serce. Spotkanie z Fabiolą wyzwoliło w nim wulkan emocji. Spojrzał na haruspika.

– Fabiola odpłynęła...

– Jest bezpieczna w drodze do Italii – Tarkwiniusz zdążył jeszcze przesłać mu delikatny uśmiech. – A twoja droga do domu stała się teraz w moich wizjach o wiele jaśniejsza.

Italia... Romulus przygotowywał się mentalnie do walki, która go czeka.

Moja droga do Rzymu.

Komentarz autora

Jestem świadom tego, że wielu Czytelników zapewne dobrze zna z historii wydarzenia, które doprowadziły do upadku Republiki. Dlatego tam, gdzie to tylko było możliwe, starałem się zachować zgodność fabuły książki z faktami historycznymi. Śmierć Klodiusza, zamieszki w Rzymie – w tym także wykorzystanie gladiatorów oraz spalenie budynku senatu – wszystko to wydarzyło się naprawdę, chociaż regularna bitwa na Forum Romanum jest fikcją literacką. Według mojej wiedzy ani Pompejusz, ani jego stronnicy nie próbowali nigdy prześladować zwolenników Cezara. Pompejusz rzeczywiście przywrócił porządek w Rzymie dzięki wykorzystaniu podległych mu legionów, ale nie wiemy, kto nimi dowodził. Marcus Petrejusz jest jednym ze znanych z historii dowódców, dlatego jego działania po spotkaniu z Fabiolą i marsz na Rzym mogły naprawdę mieć miejsce. Niezwykłe wydarzenia, do jakich doszło pod Alezją, również znane są nam z historii. Zainteresowani Czytelnicy mogą zapoznać się z rekonstrukcją *bicircumvallation* Cezara, które powstało w pobliżu Alise-Sainte-Reine lub w Musée d'Archéologie nationale w Saint-Germain-en-Laye nieopodal Paryża, gdzie zebrano liczne znaleziska z wykopalisk archeologicznych prowadzonych w XIX w.

Gajusz Kasjusz Longinus jest postacią historyczną, chociaż był kwestorem w legionie Krassusa, a nie legatem. Był on też jedynym starszym stopniem oficerem, który przeżył klęskę pod Carrhae. Czy to zbieg okoliczności? Koniec końców jako jedyny arystokrata rzymski mógł przedstawić senatowi przebieg bitwy! Później opowiedział się przeciwko Cezarowi i walczył z nim pod Farsalos. Po przegranej bitwie Cezar potraktował go łagodnie. Wiemy też z historii, że jego brat (lub kuzyn) Kwintus Kasjusz Longinus był w styczniu 49 r. p.n.e. rzymskim trybunem i jednym z tych, którzy dostarczyli przebywającemu w Rawennie Cezarowi wieści dające początek wojnie domowej. Dla uproszczenia fabuły połączyłem te obie postacie w jedną.

Bitwa pod Dyrrachium jest dobrze udokumentowana. Z relacji historycznych wiemy też, że ludzie Cezara rzucali swoim wrogom bochenki chleba przygotowane według receptury wykorzystującej zmielone korzenie lokalnej rośliny i znany jest też incydent ze spanikowanym chorążym z insygnium kohorty lub legionu oraz komentarz Cezara, który miał powiedzieć, że Pompejusz nie wie, jak wygrywać wojny.

Manewr, który przyniósł Cezarowi zwycięstwo pod Farsalos, również jest dobrze udokumentowany. Uważa się go za pierwszy zarejestrowany przypadek tak nietypowego sposobu walki piechoty z jazdą. Uczynienie Brutusa dowódcą legionistów biorących udział w tym ataku jest jednak fikcją literacką.

Cezar naprawdę pojawił się w Egipcie zaledwie kilka tygodni po zakończeniu kampanii w Grecji. Często decydował się na działanie z zaskoczenia. Ale tym razem jego plan spalił na panewce, gdy Egipcjanie niezwykle gwałtownie zareagowali na obecność rzymskich wojsk w Aleksandrii. Cezar zabrał ze sobą do Afryki część Legionu XXVII, a nie Legionu XXVIII, ale powód tej zmiany w książce wyjaśni się w kolejnym tomie cyklu.

Nie wiemy, jak długo służyli w armii żołnierze rzymskich legionów podczas wojny domowej – w tym przypadku historycy różnią się w opiniach, mówiąc o okresie liczącym od sześciu do nawet szesnastu lat.

Wyposażenie legionisty składało się z dwóch oszczepów, jednak niektóre źródła podają, że przed bitwą dowódcy decydowali o wyborze jednego z nich. Uznałem, że słuszna jest teza o pełnym, kompletnym wyposażeniu.

Bitwa w porcie w Aleksandrii odbyła się naprawdę, ale na potrzeby fabuły pozwoliłem sobie odrobinę zmienić jej przebieg. Wbrew powszechnej opinii podczas walk z oddziałami Cezara spłonęła tylko część biblioteki. O wiele gorsze konsekwencje miały zamieszki wywołane przez chrześcijan wiele wieków później. Biblioteka doszczętnie spłonęła! Zdecydowałem się również na późniejsze wprowadzenie na scenę Kleopatry.

Fani *Zapomnianego Legionu* wiedzą już, że Partowie świetnie posługiwali się łukami refleksyjnymi, wykonywanymi z wielu warstw drewna, rogu oraz ścięgien i wyróżniającymi się nieprawdopodobną siłą przebicia i wielką donośnością. Strzały wystrzeliwane z łuków refleksyjnych przebijały rzymskie *scuta* jak papier i to właśnie im Partowie zawdzięczają zwycięstwo odniesione nad legionami Krassusa pod Carrhae. Opisane w książce zastosowanie jedwabnych okładzin na tarczach jest fikcją literacką. Eksperci, z którymi rozmawiałem, twierdzą jednak, że warstwy tkaniny użyte w opisany sposób – zwłaszcza jeśli jedwab zostanie połączony z bawełną – będą zachowywać się jak kamizelka kuloodporna, rozpraszając energię strzały i prawdopodobnie uniemożliwiając jej penetrację tarczy. Dla uproszczenia zdecydowałem się użyć w mojej opowieści tylko jedwabiu. Zamierzam przetestować teorię o wytrzymałości tarcz pokrytych jedwabiem, korzystając z pomocy hobbistów z grup rekonstrukcyjnych, którzy posiadają współczesne egzemplarze łuków

refleksyjnych. Piki przeciwko ciężkiej jeździe były naprawdę używane. Co więcej, z powodzeniem zastosowali je także rzymscy legioniści przeciwko partyjskim katafraktom (choć miało to miejsce już w III w. n.e.).

Legioniści prawdopodobnie po raz pierwszy zetknęli się z mitraizmem w I w. p.n.e., choć religia ta zyskała większe grono wyznawców dopiero kilka dziesięcioleci później. Ponieważ źródeł mitraizmu historycy doszukują się na terenach znajdujących się obecnie w granicach Iranu, jest wysoce prawdopodobne, że Partowie znali kult Mitry, a nawet wyznawali mitraizm. Znamy dwa wyobrażenia przedstawicieli tego kultu, rzekomo zarezerwowanego tylko dla mężczyzn, na których widać również postacie kobiet (zob. również hasło „Mitra” w *Słowniczku*).

Lekarze rzymscy byli prawdziwymi mistrzami w swoim fachu. Z powodzeniem wykonywali operacje, które powtórzą po nich dopiero chirurdzy ponad piętnaście wieków później w dobie oświecenia. Epizod z torakotomią przeprowadzoną przez Tarkwiniusza w celu usunięcia strzały jest czystą fikcją literacką, podobnie jak stosowanie przez niego proszku penicyliny, rzekomo zdobytej w Egipcie! Jest bardzo mało prawdopodobne, że nawet ten antybiotyk mógłby uratować Pakorusa przed efektami działania straszliwej trucizny znanej jako *scythicon* (zob. to hasło w *Słowniczku*). Prawdą jest natomiast to, że Rzymianie dość powszechnie stosowali morfinę.

Nikt nie wie, co naprawdę stało się z ocalałymi żołnierzami armii Krassusa po klęsce pod Carrhae, choć wielu badaczy sugeruje, iż walczyli później jako najemnicy dla Hunów (zob. uwaga na początku *Zapomnianego Legionu*). Gdyby jednak żołnierze, o których mówią chińskie kroniki, naprawdę byli rzymskimi legionistami, musieliby być starszami, wiadomo bowiem, iż Krassus zebrał na potrzeby kampanii weteranów walk z Mitrydatesem w latach 60. p.n.e., a chińskie relacje datuje się na 36 r. p.n.e. Żołnierze Zapomnianego Legionu z pewnością mogli ścierać się z Sogdyjczykami i Scytami. Makabryczne praktyki Scytów, tj. obcinanie głów, skórowanie i skalpowanie wrogów, są dobrze udokumentowane, podobnie jak ich stosunek do wojny, czerwone (prawdopodobnie kasztanowe) konie i strzały z grotami maczanymi w truciźnie. Nie mogłem się oprzeć pomysłowi, aby Zapomniany Legion stoczył ostatnią bitwę nad brzegami rzeki Hydaspes. To właśnie tam Aleksander Macedoński sięgnął po jedno ze swoich najbardziej znanych zwycięstw nad wrogiem, który dysponował znaczną przewagą liczebną i wykorzystywał w walce ponad sto słoni bojowych.

Mimo że nie ma żadnych dowodów potwierdzających stoczenie przez

Zapomniany Legion bitwy opisanej w *Srebrnym orle*, to nic też nie stało na przeszkodzie, by stworzyć taką historię. Mniej więcej w tym właśnie czasie granica Indii z Partią była najeżdżana przez różne plemiona.

Praktyka oblewania świń tłuszczem, podpalania ich i wysyłania w kierunku słoni, żeby je przestraszyć, również jest dobrze znana z przekazów historycznych. Podobnie jak „szał” słoni (powody takiego agresywnego zachowania samców wciąż stanowią w pewnym sensie zagadkę; wiemy jednak, że w tym czasie poziom testosteronu wzrasta prawie sześćdziesięciokrotnie, a po pysku cieknie im substancja zawierająca temporyny) i pojenie ich przed bitwą alkoholem.

Rzymianie wiedzieli o istnieniu Barbaricum i w I w. p.n.e. szlak handlowy do Egiptu oraz dalej, do Italii, był już dobrze znany. Statki kupieckie kursowały w obie strony raz w roku, korzystając ze sprzyjających wiatrów monsunowych.

Chociaż istnieją ślady świadczące o wpływie kultury rzymskiej na miasta nad Morzem Czerwonym (Erytrejskim), nie znam żadnej historycznej relacji opisującej pojawienie się na tych wodach rzymskich triem.

Z powodu wielkiego popytu na dzikie zwierzęta w Rzymie łapano je wszędzie, gdzie się dało, i transportowano morzem do Italii. Etiopia była jednym z ulubionych kierunków wypraw bestiariuszy. Chociaż praca bestiariusza była wyjątkowo niebezpieczna, musiała być intratna. Wiemy, że zwierzęta przewożono na północ na pokładach statków i wozami, ale nasza wiedza na temat przebiegu takich ekspedycji jest szczątkowa. Przedstawiając transport słoni, wykorzystałem fragment z opisu przeprawy Hannibala przez Rodan.

Z powodu znikomej liczby źródeł nasza wiedza na temat świata starożytnego wciąż jest pełna luk. Chociaż pozwoliłem sobie zmienić kilka mniej istotnych szczegółów znanych z historii, starałem się również przedstawiać realia życia w I w. p.n.e. najdokładniej, jak to możliwe. Mam nadzieję, że efekt końcowy zostanie uznany przez Czytelników za interesujący i niezbyt rażący, to znaczy, że nie znajdują oni w treści zbyt wielu błędów merytorycznych. Za te dostrzeżone przez uważnych Czytelników z góry bardzo przepraszam.

Chciałbym przekazać również serdeczne podziękowania wielu autorom, bez których prac powstanie tej książki byłoby niemożliwe. Na pierwszym miejscu listy bezcennych źródeł wymienię *Dzieje Rzymu* autorstwa M. Cary'ego i H.H. Scullarda oraz książki A. Goldsworthy'ego *Armia rzymska na wojnie* i *Cezar. Życie giganta*, a także liczne świetne opracowania ukazujące się nakładem wydawnictwa Osprey Publishing. Dziękuję również użytkownikom serwisu www.romanarmy.com za ich szybkie,

bezpieczne odpowiedzi na moje pytania. Ten serwis jest po prostu jednym z najlepszych zasobów referencyjnych, jakie można sobie wyobrazić. Tak mi przykro, że nie mogłem uczestniczyć w RAT Mainz 2008!

Słowniczek

acetum – kwaśne wino, napój alkoholowy często serwowany rzymskim żołnierzom. Tym samym słowem nazywano ocet powszechnie używany przez rzymskich medyków jako środek do dezynfekcji. Ocet dobrze radzi sobie z eliminacją bakterii i był powszechnie stosowany w zachodniej medycynie aż do końca XIX w.

Aesculapius – Eskulap, syn Apolla, bóg zdrowia i patron lekarzy.

amphora (l. mn. *amphorae*) – duże gliniane naczynie z dwoma uchwytnymi i wąską szyjką, używane do przechowywania wina, oliwy z oliwek i innych produktów. W starożytności służyło także jako standardowa jednostka pojemności, równa ok. 26 l wina.

aquilifer (l. mn. *aquiliferi*) – chorąży opiekujący się *aquila*, czyli orłem legionu. Noszenie insygnium było bardzo odpowiedzialnym zadaniem i wielkim wyróżnieniem. Współczynnik śmiertelności *aquiliferi* był wysoki, ponieważ chorąży z orłem legionowym często znajdował się w miejscach, gdzie toczyły się najcięższe walki, lub wręcz w pierwszej linii. Na zachowanych do naszych czasów źródłach chorąży z orłem legionu nie ma żadnego nakrycia głowy, co sprawia, że można sądzić, iż było tak zawsze. Jednak wydaje się, że podczas bitwy taki brak osłony na głowie byłby bardzo niebezpieczny i możemy zakładać, że *aquilifer*, zachowując się racjonalnie, jednak zakładał hełm. Nie wiemy, czy *aquilifer* nosił skórę zwierzęcą, tak jak *signifer*, zatem jest to tylko moja interpretacja. Zapewne często osłonięty był zbroją łuskową i małą tarczą, która nie wymagała użycia dwóch rąk. W okresie późnej Republiki orzeł legionowy wykonywany był ze srebra i ścisnął w pazurach złoty piorun. Drzewce insygnium było ostro zakończone, tak żeby można je było łatwo wbić w ziemię. Czasami drzewce wyposażano w uchwyty ułatwiające noszenie. Nawet gdy orzeł został uszkodzony, nie wolno go było zniszczyć. Naprawiano go zawsze z wielką dbałością o szczegóły. Jeśli zdarzyło się, że podczas bitwy *aquila* trafiał w ręce wroga, Rzymianie robili, co mogli, aby odzyskać insygnium. Odzyskanie orłów Krassusa przez Augusta w 20 r. p.n.e. zostało uznane za wielki sukces rzymskiej dyplomacji. Orzeł Zapomnianego Legionu w Margianie to oczywiście *licentia poetica*.

as (l. mn. *asses*) – zdawkowa moneta miedziana, pierwotnie o wartości jednej piętnastej sesterca.

atrium – w domach mieszkalnych w starożytnym Rzymie (łac. *domus*) było to duże pomieszczenie, znajdujące się zaraz za komnatą przy wejściu. Najczęściej *atrium* urządzano z przepychem jako centrum społeczne i religijne domu. W dachu *atrium* znajdował się otwór, a jego nieodzownym elementem był basen (łac. *impluvium*), w którym zbierała się deszczówka.

aureus (l. mn. *aurei*) – niewielka złota moneta warta 25 denarów. W czasach Republiki i do czasów wczesnego imperium aureusy wybijano raczej rzadko i nieregularnie.

Azes – wódz plemienia Indo-Scytów. Nie dysponujemy wieloma źródłami opisującymi historię północno-zachodniej części Indii, jednak wiemy, że w II w. p.n.e. spory obszar w tym rejonie – łącznie z Margianą i Baktrią – zajmowały różne plemiona Scytów i azjatyckich nomadów, skonfliktowanych z Partami i władcami niewielkich królestw hellenistycznych, które zostały się w tym regionie po podziale państwa stworzonego przez Aleksandra Macedońskiego. W kolejnym wieku tereny te zostały podbite przez plemiona Indo-Scytów, Azes był właśnie wodzem jednego z nich.

ballista (l. mn. *ballistae*) – rzymskie maszyny miotające, które wyglądały jak wielkie kusze na statywie. Urządzenie to działało jednak na nieco innej zasadzie niż kusza, tj. z wykorzystaniem energii ciasno skręconej liny konopnej, przytrzymującej ramię wyrzucające. *Ballistae* różniły się wielkością – mogły być nie większe niż człowiek (w wersjach mobilnych), mogły też być ogromnymi urządzeniami, wymagającymi wozów i mułów do transportu. Pociskami stosowanymi w *ballistae* były strzały lub kamienie, trafiające w cel z wielką siłą i precyzją. Ulubionym typom tych machin nadawano potoczne nazwy, takie jak: „onager” (tj. dziki osioł azjatycki, znany z uporu i potężnego kopnięcia) czy „skorpion” (pajęczak wyróżniający się śmiertelnie jadowym kłosem).

basilicae – ogromne kryte hale targowe, które budowano na rzymskich forach. W budynkach tych znajdowały się także sale, w których obradowały sądy, ustawiano stoiska handlowe i pracowali urzędnicy miejscy. W *basilicae* zbierały się sądy w czasie publicznych rozpraw, a uczeni w prawie, skrybowie i lichwiarze rozstawiali niewielkie stragany. W nich podawano do wiadomości wiele oficjalnych

komunikatów.

Belenus – galijski bóg światła, był także bogiem opiekującym się bydłem i owcami.

bestiarius (l. mn. *bestiarii*) – łowca dzikich zwierząt, które wykorzystywano na rzymskich arenach. Choć to zajęcie zaliczało się do wyjątkowo niebezpiecznych, było również bardzo lukratywne. Im bardziej egzotyczne udało się złapać zwierzęta – słonie, hipopotamy, żyrafy czy nosorożce – tym więcej można było na nich zarobić. Trudno sobie obecnie wyobrazić, jak wielkich nakładów pracy wymagało takie zajęcie i jakie były związane z nim zagrożenia. Zwierzęta trzeba było złapać i przetransportować w dobrym zdrowiu wiele setek mil z ich naturalnych siedlisk do Rzymu.

bucina (l. mn. *bucinae*) – trąbka wojskowa. Rzymianie używali wielu typów instrumentów muzycznych, takich jak np. *tuba*, *cornu* czy *bucina*. Były one wykorzystywane do różnych celów: budzenia wojska każdego ranka, nakazywania szarży, przekazywania rozkazów zatrzymywania jednostki lub rozpoczęcia odwrotu. Nie mamy pełnej wiedzy na temat tego, jak w praktyce stosowano różne instrumenty muzyczne, np., czy wszystkie razem, czy jeden po drugim. Dla uproszczenia przekazu opisuję użycie tylko jednego z nich – *bucina*.

caduceus – grecki symbol handlu, przejęty później przez Rzymian. Znak miał formę prostej, krótkiej laski, otoczonej wijącymi się węzłami, czasami ozdobionej na czubku skrzydłami. Często pojawia się w ręku Merkurego, posłańca bogów i opiekuna kupców.

caligae – ciężkie skórzane sandały noszone przez rzymskich żołnierzy. Buty wykonane były z trzech warstw: podeszwy, wkładki i części górnej. Przypominały otwarte sandały współczesne. Paski można było regulować, tak żeby ściślej obejmowały stopę. Dziesiątki metalowych ćwieków na podeszwie dawały sandałom dobrą przyczepność, można je było również wymieniać w razie potrzeby. W chłodniejszych strefach klimatycznych (np. na terenach obecnej Wielkiej Brytanii) legionieści używali także specjalnych onuc, przypominających skarpetki.

cella (l. mn. *cellae*) – prostokątna, centralnie położona komnata bez okien w świątyni poświęconej bogu. Zwykle w środku znajdował się posąg odpowiedniego bóstwa i ołtarz.

Cerberus – wielki trzygłowy pies, który strzegł wejścia do Hadesu. Nie zabraniał duchom zmarłych wejścia, ale żadnego nie wypuszczał.

congiaria – rozdawnictwo zboża i pieniędzy dla ubogich.

consul – jeden z dwóch najwyższych rangą urzędników rzymskich wybieranych co roku, powołanych przez obywateli Rzymu i akceptowanych przez senat. W praktyce ludzie na tym stanowisku współrządzili Rzymem przez dwanaście miesięcy, decydując o większości spraw cywilnych i wojskowych. Konsul dowodził także wojskami Republiki podczas wojny. Każdy konsul mógł sprzeciwić się decyzjom podjętym przez drugiego, ale obaj mieli wykonywać wolę senatu. Nikt nie mógł pełnić funkcji konsula więcej niż jeden raz, ale do końca II w. p.n.e. wpływowi arystokraci, tacy jak Mariusz, Cynna i Sulla, w praktyce sprawowali tę funkcję przez wiele lat. Ten zwyczaj niebezpiecznie osłabił rzymską demokrację, a w czasach triumwiratu Cezara, Pompejusza i Krassusa stał się jedną z podstawowych przyczyn upadku Republiki.

contubernium (l. mn. *contubernia*) – grupa ośmiu legionistów, którzy mieszkali w tym samym namiocie lub pomieszczeniu w koszarach, a także wspólnie przygotowywali i spożywali posiłki.

corona muralis – złota lub srebrna nagroda dla pierwszego żołnierza, który wdarł się na mury oblężonego miasta. Wśród innych rzymskich odznaczeń warto wymienić *corona vallaris* (za podobne osiągnięcie, tj. pokonanie palisady ufortyfikowanego obozu wroga) oraz *corona civica* (odznaka wykonana z liści dębu, którą cywil mógł otrzymać za uratowanie życia obywatela).

denarius (l. mn. *denarii*) – podstawowa moneta Republiki, wykonana ze srebra i równa czterem sestercom albo 10 asom (później 16 asom). Rzadziej używany złoty aureus był wart 25 *denarii*.

dolium (l. mn. *dolia*) – wielkie gliniane naczynie, które zakopywano w ziemi i używano do przechowywania płynów, takich jak oliwa z oliwek lub wino, a także zboże lub owoce.

domus – willa zamożnego Rzymianina. Zazwyczaj była skierowana do wewnątrz, tzn. projektowano ją tak, aby na zewnątrz widoczne były tylko okalające ją mury. *Domus*

zbudowany był na planie długiego prostokąta z dwoma źródłami światła słonecznego – z wewnętrznego *atrium* z przodu i otoczonego kolumnami ogrodu w tylnej części domu. Części te rozdzielało duże pomieszczenie zwane *tablinum*. Wokół *atrium* znajdowały się sypialnie, biura, magazyny i kapliczki poświęcone przodkom, a izby wokół ogrodu zwykle służyły do organizowania przyjęć i przyjmowania gości.

equites – ekwici, „jeźdźcy”, klasa średnia rzymskiego społeczeństwa, składająca się pierwotnie z obywateli, którzy mogli sobie pozwolić na kupno konia i wyposażenie kawalerzysty we wczesnej armii rzymskiej. W późnych latach Republiki tytuł ten nie miał już nic wspólnego z rzeczywistością, został przyjęty przez nobili, którzy zajmowali pozycję poniżej klasy senatorów.

Fortuna – bogini szczęścia i pomyślności. Podobnie jak wszystkie bóstwa była kapryśna.

fossa (l. mn. *fossae*) – rowy obronne, które otaczały rzymskie obozy, zarówno tymczasowe, jak i stałe forty. W zależności od typu obozu i poziomu zagrożenia oddziału armii *fossae* różniły się liczbą, szerokością i głębokością.

fugitivarius (l. mn. *fugitivarii*) – osoby zarabiające na życie ściganiem zbiegłych niewolników. Kara, o której mowa w *Srebrnym orle* (tzn. wypalanie na czole złapanego zbiega litery „F”, jak *fugitivus*), nie jest zmyślona, podobnie jak zakładanie niewolnikom stałych łańcuchów z informacją o tym, do kogo należy niewolnik i komu powinien zostać zwrócony.

garum – wyjątkowo popularny w kuchni starożytnego Rzymu sos przyrządzany ze sfermentowanych ryb, solanki i innych składników, takich jak wino, zioła i przyprawy. Wytwórnice *garum* zlokalizowane były w Pompejach. Wiemy też, że zamawiali i spożywali go żołnierze służący na Murze Hadriana. Niektórzy współcześni autorzy porównują *garum* do sosu Worcestershire, który zawiera anchois.

gladius (l. mn. *gladii*) – niewiele wiadomo na temat „hiszpańskiej” wersji miecza używanego przez legionistów armii Republiki, tzw. *gladius hispaniensis* wyróżniającej się przewężeniem ostrza w kształcie liścia. Dlatego w książce odwołuję się do „wzoru pompejańskiego”, którego kształt wydaje się znany większości czytelników. Była to broń krótka, o prostym ostrzu, liczącym 420–500 mm, zakończonym sztychem

w kształcie litery „V”, i szerokości w granicach 42–55 mm. Gladius był bardzo dobrze wyważoną bronią, służącą zarówno do kłucia, jak i cięcia. Rękojeść, wykonana z kości, zabezpieczona była głowicą i drewnianą okładziną. Miecz zwykle noszono po prawej stronie, a tylko centurioni i wyżsi oficerowie mieli prawo nosić go po lewej stronie. Łatwo było wyciągnąć go z pochwy prawą ręką, a prawdopodobnie wisiał na pasie po prawej, aby uniknąć problemów z przeszkadzającą w tej operacji *scutum*.

haruspex (l. mn. *haruspices*) – wróżbita, wieszcz. Człowiek przeszkolony do przepowiadania przyszłości na wiele różnych sposobów: ze zwierzęcych wnętrzności, kształtu chmur i lotu ptaków. Wątroba – uważana w czasach średniowiecznych za narząd produkujący krew, a zatem samo źródło życia – była także podstawowym źródłem wiedzy haruspików. Co więcej, wiele naturalnych zjawisk przyrody – takich jak grzmoty, błyskawice, wiatr – mogło być wykorzystywanych do interpretacji teraźniejszości, przeszłości i przyszłości. Wątroba z brązu, wspomniana w poprzedniej książce cyklu, naprawdę istnieje. Została znaleziona na polu w pobliżu Piacenzy we Włoszech w 1877 r.

homa – święty napój spożywany przez wyznawców wielu wschodnich religii, takich choćby jak dżinizm. W czasach starożytnych podczas różnych obrzędów powszechnie stosowano różne środki halucynogenne. Jako że w mitraizmie również istniały święte rytuały i obrzędy przejścia, można logicznie zakładać, że wyznawcy tego kultu spożywali podobne substancje.

intervallum – szeroka przestrzeń pomiędzy murami lub palisadą a pierwszymi budynkami wewnątrz rzymskiego fortu lub obozu. Miała nie tylko chronić koszary legionistów przed ostrzałem, ale w razie konieczności służyła jako miejsce zbiórki oddziałów.

Iuno – Junona, siostra i żona Jowisza, bogini małżeństwa i kobiet.

Iuppiter – Jowisz, często określany jako *Optimus Maximus* (największy i najlepszy), był najpotężniejszym z bogów rzymskich, rządził pogodą, sprowadzał burze. Był bratem i mężem Junony.

lacerna (l. mn. *lacernae*) – pierwotnie płaszcz wojskowy, zazwyczaj w ciemnym kolorze. Wykonany z barwionej wełny płaszcz z kapturem był lekki i otwarty z obu stron.

lanista (l. mn. *lanistae*) – trener gladiatora, często właściciel *ludus*, szkoły gladiatorów.

latifundium (l. mn. *latifundia*) – latyfundium, duża nieruchomość rolna z gospodarstwem rolnym, zazwyczaj własność rzymskiego arystokraty, w której wykorzystywano do prac licznych niewolników. Latyfundia pojawiły się w II w. p.n.e., kiedy rozległe obszary Italii zostały skonfiskowane przez Rzym kosztem innych podbitych nacji, takich jak Samniti.

legatus (l. mn. *legati*) – dowodzący legionem, którego wybierano z grona senatorów. W czasach późnej Republiki legaci byli wybierani przez generałów, takich jak Cezar, spośród członków ich rodzin, grona przyjaciół lub sojuszników politycznych.

liburnae – okręt szybszy i mniejszy niż trirema. *Liburnae* była zmodyfikowaną przez Rzymian konstrukcją ludu Liburnian z Illyricum (współczesna Chorwacja). Z uwagi na dwa rzędy wiosłó określano ją raczej jako dierę niż triremę. Napędzana była żaglem, wiosłami lub korzystała z obu rozwiązań jednocześnie.

licium – lniana „bielizna” noszona przez rzymskich nobili. Bardzo prawdopodobne, że wszyscy rzymscy obywatele nosili jakieś wersje takiej bielizny, w odróżnieniu bowiem od Greków Rzymianie nie uważali za stosowne pokazywać się publicznie nago.

lictor (l. mn. *lictors*) – straż przyboczna wyższych urzędników rzymskich. Pracę w niej mogli otrzymać tylko dobrze zbudowani i sprawni fizycznie obywatele rzymscy, ponieważ polegała ona zasadniczo na ochranianiu konsulów, pretorów i innych wysokich rangą urzędników. *Lictors* stale towarzyszyli dostojnikom podczas publicznych wystąpień. Liczba strażników różniła się w zależności od funkcji pełnionej przez ochranianego. Każdy *lictor* niósł *fascēs* – symbol sprawiedliwości – wiązki różg z wsuniętym między nie toporem. Do innych obowiązków liktorów należały aresztowania i karanie złoczyńców.

ludus (l. mn. *ludi*) – szkoła gladiatorów.

manica (l. mn. *manicae*) – osłona ręki (tzw. naręczak) wykorzystywana przez gladiatorów. Zazwyczaj wykonana z trwałych materiałów, układanych z kilku lub kilkunastu warstw, takich jak wytrzymałe płótno i skóra lub metal.

mantar – słowo z języka tureckiego oznaczające „pleśń”. Wykorzystałem jego

egzotyczne brzmienie dla nazwania specyfiku, którego Tarkwiniusz użył podczas leczenia Pakorusa.

manumissio – w okresie Republiki uwolnienie niewolnika było w rzeczywistości dość skomplikowane. Wyzwolenia można było dokonać na jeden z trzech sposobów: przez wniosek do pretora, podczas organizowanej co pięć lat ceremonii ofiarowania *lustrum* lub w testamencie, odczytywanym po śmierci właściciela niewolnika. Niewolnik nie mógł zostać wyzwoleniec, zanim nie osiągnął wieku co najmniej 30 lat. Co więcej, nawet po uwolnieniu miał pewne obowiązki wobec swojego byłego właściciela. W czasach imperium akt uwolnienia bardzo uproszczono. Możliwe stało się wyzwolenie niewolnika poprzez ustne oświadczenie podczas uczty, gdy goście mogli zostać świadkami.

Mars – bóg wojny. Wszystkie łupy wojenne konsekrowano dla niego, a żaden rzymski dowódca nie rozpoczynał kampanii bez wcześniejszej wizyty w świątyni Marsa w celu poproszenia o ochronę i błogosławieństwo.

Minerva – bogini wojny, a także patronka mądrości.

mithraeum (l. mn. *mithraea*) – podziemne świątynie wyznawców kultu Mitry. W tej książce opisane zostało wewnątrz świątyni rzeczywiście istniejącej. Świątynie tego typu można znaleźć na całym obszarze opanowanym przez Rzymian, od Rzymu (jedna z nich znajduje się w podziemiach kościoła zaledwie pięć minut drogi od Koloseum) po wał Hadriana (m.in. Carrawburgh).

Mitra – perski bóg, który narodził się w jaskini w czasie zimowego przesilenia. Nosił czapkę frygijską z opadającym czubkiem. Mitrę wiązano z kultem słońca, stąd wzięło się jego imię *Sol Invictus* (niezwyciężone słońce). Jego ofiara z byka (przy współudziale innych zwierząt) – mit stworzenia – stała się początkiem życia na ziemi. Dzielenie się winem i chlebem oraz uściśnięcie rąk prawdopodobnie zostały zapożyczone właśnie z rytuałów mitraizmu. Niestety, nie dysponujemy zbyt wielką ilością źródeł na temat tej religii. Wiemy, że istniały poziomy wtajemniczenia z obrzędami przejścia. Mozaika w mitreum w Ostii zawiera fascynujące wskazówki na temat siedmiu poziomów inicjacji. Z uwagi na uwielbienie takich cech, jak odwaga, siła i honor, mitraizm stał się bardzo popularny wśród żołnierzy, zwłaszcza w czasach imperium. Później jednak ta pełna tajemnic religia była konsekwentnie zwalczana przez wyznawców chrześcijaństwa i w IV w. p.n.e. została niemal

całkowicie wyrugowana.

mulsum – napój alkoholowy będący mieszanką czterech części wina i jednej części miodu. Często pito go przed posiłkami, ale także w czasie posiłków, gdy towarzyszył lekkim daniom.

murmillio (l. mn. *murmillones*) – jedna z najbardziej znanych klas gladiatorów. Wykonany z brązu hełm *murmillio* był bardzo charakterystyczny. Wyróżniał się szerokim rondem, wypukłą płytą czołową z otworami kratownicy w okolicach oczu. Hełm był często zdobiony na grzbiecie piórami lub miał kształt ryby. *Murmillio* osłaniał prawe ramię *manica*, a na lewą nogę zakładał nagolennik. Podobnie jak legionista posługiwał się w walce ciężką prostokątną tarczą i gladiusem. Ubrany był jedynie w *subligaria*, tj. misternie składaną płócienną bieliznę, oraz *balteus*, szeroki pas ochronny. W czasach republikańskich najczęściej jego przeciwnikiem na arenie był *secutor*, a później *retiarius*.

olibanum – kadzidło na bazie aromatycznej żywicy, stosowane jako środek zapachowy, ale także i perfumy. W starożytności *olibanum* było wysoko cenione, a najlepsze podobno sprowadzano z obszaru obecnego Omanu, Jemenu i Somalii.

Optimates – optymaci, historyczne, nieformalne ugrupowanie polityczne w senacie. Jego członkowie opowiadali się za podtrzymaniem szanowanych tradycji i standardów Republiki Rzymskiej, podczas gdy ich główni przeciwnicy – popularzy – opowiadali się za rozwiązaniami populistycznymi. W czasach, w których rozgrywa się akcja *Srebrnego orła*, najbardziej wpływowym członkiem ugrupowania optymatów był Katon, od 59 r. p.n.e. mocno skonfliktowany z Cezarem. Optymaci oskarżyli Cezara o to, że podczas sprawowania urzędu konsula postępował niezgodnie z prawem, stosując przemoc dla osiągnięcia swoich celów. Co więcej, Cezar był również głównym pomysłodawcą triumwiratu, którego wprowadzenie odebrało większość władzy przedstawicielom senatu, powierzając ją zaledwie trzem wpływowym ludziom. Dzięki sukcesom odniesionym w Galii Cezar zgromadził ogromny majątek. Walki prowadzone przez wiele lat pozwoliły mu na stworzenie największej i najbardziej doświadczonej armii, jaka kiedykolwiek służyła Rzymowi. Żołnierze Cezara darzyli go wyjątkową lojalnością i wiernością. Próby sprowadzenia Cezara z Galii przed wygaśnięciem jego mandatu zakończyły się niepowodzeniem, ale sukces procesu o korupcję wytoczonego Gabinuszowi (zob. ostatni rozdział, w którym akcja przenosi się do Aleksandrii), namiestnikowi Syrii, sprawił, że

optymaci poczuli się silni. Jednak bez armii nie mieli wielkich szans na zmuszenie Cezara do porzucenia Galii i oddania się do dyspozycji sędziów. Jednak po powierzeniu Pompejuszowi zadania przywrócenia spokoju w Rzymie w 52 r. p.n.e. optymaci dostrzegli taką możliwość. Przez kilka miesięcy wytrwale zabiegali o pozyskanie przychylności Pompejusza, jedyne go człowieka, który ze swoimi legionami mógł mierzyć się jak równy z równym z Cezarem. Ostatecznie – jednak wbrew woli większości senatorów – zawarli porozumienie z Pompejuszem. Ich działania, a także upór Cezara, który nie godził się na ustępstwa, doprowadziły do wybuchu wojny domowej.

optio (l. mn. *optiones*) – podoficer w stopniu niższym od centuriona; zastępca dowódcy centurii.

Orkus – bóg podziemnego świata, znany także jako Pluton lub Hades. Uważa się go za brata Jowisza. Orkus był jednym z bogów, który wzbudzał strach.

papaverum – morfina. Substancja wytwarzana z makówek maku lekarskiego. Znana jest od co najmniej 1000 r. p.n.e. Rzymscy medycy używali jej w trakcie długich operacji. Wykorzystanie morfiny w roli środka przeciwbólowego w książce jest w pewnym sensie naturalną konsekwencją udokumentowanego zastosowania.

Periplus (z Morza Erytrejskiego) – bezcenny dokument, który powstał około I w. n.e. Jego autor był najpewniej dobrze obeznany z geografiami, gdyż opisuje warunki nawigacyjne i rynek kupiecki na obszarze całego Morza Erytrejskiego, aż po wybrzeża wschodniej Afryki, a nawet daleko na wschód, po tereny obecnych Indii. Autor wymienia bezpieczne, warte odwiedzenia porty, ostrzega przed niebezpiecznymi miejscami i wskazuje najlepsze punkty wymiany handlowej, w których można było nabyć cenne dobra, takie jak żółwie pancerze (szylkret), kość słoniową i przyprawy. Na potrzeby fabuły pozwoliłem sobie zmienić nieco jego pochodzenie i zawartość.

phalera (l. mn. *phalerae*) – rzeźbiona płytką, będąca odpowiednikiem medalu nadawanego za odwagę. Noszona zwykle przez rzymskich żołnierzy na pasie piersiowym na zbroi. *Phalerae* były najczęściej wykonywane z brązu, ale także z metali szlachetnych. Medale i wyróżnienia miały także formy naszyjników, pierścieni i bransoletek.

pilum (l. mn. *pila*) – rzymski oszczep. Składał się z długiego drzewca (ok. 120 cm) i cienkiego żeleźca (ok. 60 cm), zakończonego hartowanym sztychem w kształcie stożka lub piramidki. Oszczep był bronią ciężką i po wyrzucie punkt ciężkości znajdował się za sztychem, co po uderzeniu w cel przekładało się na jego wielką siłę penetrującą. Mógł przebić tarczę i zranić chroniącego się za nią człowieka lub utkwić w niej, czyniąc ją bezużyteczną. Zasięg *pilum* wynosił ok. 30 m, choć skuteczny zasięg był prawdopodobnie mniejszy, ok. 15 m.

Priapus – bóg ogrodów i pól, symbol płodności. Był często przedstawiany z ogromnym penisem we wzwodzie.

primus pilus – starszy centurion legionu i (być może) starszy centurion pierwszej kohorty. Żołnierz sprawujący tę funkcję odgrywał ważną rolę w legionie. Zwykle stanowisko to powierzano weteranowi w wieku ok. 40 lub nawet 50 lat. Po zakończeniu sprawowania tej funkcji *primus pilus* miał prawo starać się o przyjęcie do grona ekwitów.

principia – kwatera główna legionu znajdująca się przy Via Praetoria. Stanowiła centrum życia legionu w obozie marszowym lub w forcie. W *principia* podejmowano wszystkie decyzje administracyjne, tam też przechowywano *aquila* – orła legionowego. Przez masywną bramę kwatery przechodziło się na otoczony kolumnadą i wybrukowany dziedziniec, wokół którego znajdowały się biura. Na tyłach dziedzińca zwykle wznoszono *aedes*, tj. kaplicę z wysokim dachem, w której przechowywano m.in. legionowe insygnia, w niej znajdował się główny skarbiec (łac. *aerarium*) i prawdopodobnie dodatkowe pomieszczenia administracyjne. Bardzo prawdopodobne, że na dziedzińcu organizowano również parady i tu też starsi oficerowie przemawiali do swoich żołnierzy.

proconsul – prokonsul, tytuł nadawany konsulom po zakończeniu kadencji wraz z powierzeniem namiestnictwa w prowincji konsularnej (np. Hiszpanii lub Galii Zaalpejskiej). W innych prowincjach (np. na Sycylii i Sardynii) rządy sprawowali niżsi rangą urzędnicy – pretorzy. Stanowiska te powierzano ludziom, którzy wcześniej pełnili funkcje konsulów lub pretorów w Rzymie.

pugio – krótki sztylet rzymski. Znajdował się w wyposażeniu dodatkowym rzymskich żołnierzy. Przydawał się podczas codziennych czynności (m.in. w czasie posiłku, przy przygotowywaniu jedzenia) oraz w walce w zwarciu.

retarius (l. mn. *retarii*) – sieciarz, gladiator z trójzębem i siecią (nazwa pochodzi od *rete*, czyli sieci), również jedna z łatwo rozpoznawalnych klas gladiatorów. *Retarius* nosił tylko *subligaria*, a jego jedyną ochroną był tzw. *galerus*, metalowy naramiennik, który łączył się z noszonym na lewym ramieniu nareczakiem, zwanym *manica*. Posługiwał się obciążoną ciężarkami siecią, trójzębem i sztyletem. Dzięki temu, że nie obciążała go broń, sieciarz był znacznie bardziej zwinny i mobilny niż wielu innych gladiatorów, a bez hełmu był również łatwo rozpoznawalny. Słabe uzbrojenie mogło wynikać z jego niskiego statusu wśród gladiatorów.

rudis – drewniany gladius, symbol wyzwolenia gladiatora, który spodobał się edytorowi lub który odniósł na arenie wystarczająco dużo zwycięstw, aby zostać uwolnionym. Nie wszyscy gladiatorzy umierali na arenach. Zwykle nikt nie uwalniał jeńców wojennych czy przestępców, ale niewolnicy, którzy popełnili jakieś wykroczenie, mogli otrzymać *rudis*, jeśli przeżyli trzy lata w *ludus*. Po kolejnych dwóch latach mogli liczyć na całkowite wyzwolenie (przestawali być niewolnikami).

sammis – klasa gladiatorów, która nazwę zawdzięcza Samnitom, czyli ludowi, który zajmował tereny w środkowych Apeninach i został pokonany ostatecznie przez Rzymian w III w. p.n.e. W niektórych opisach czytamy o tym, że *sammis* nosili na piersi metalowe dyski, podczas gdy na niektórych wizerunkach ukazani są z nieosłoniętą piersią. Głowę gladiatora tej klasy chronił hełm z zasłoną i pióropuszem lub kitą, brzuch – typowy, szeroki pas, a mężczyzna uzbrojony był w owalną tarczę i zazwyczaj walczył włócznią.

scutum (l. mn. *scuta*) – wydłużona, owalna tarcza rzymskiego legionisty, o wymiarach 120 cm wysokości i 75 cm szerokości. Wykonywana z dwóch warstw drewna, które ustawiano prostopadle do siebie, a potem pokrywano płótnem lub skórą. *Scutum* była ciężką tarczą, o wadze 6–10 kg. W środku tarczy znajdowało się duże, wzmocnione wybrzuszenie zwane *umbo*, chroniące uchwyt znajdujący się po jej drugiej stronie. Na powierzchni tarczy często malowano różne dekoracyjne motywy, a gdy nie była ona używana (np. podczas marszu), chroniono ją skórzaną osłoną.

scythicon – trucizna, którą Scytowie pokrywali groty swoich strzał. Jej skład i przygotowanie znamy dzięki relacjom kronikopisarzy. Była to mieszanina zgniłych ciał małych węży, ludzkiej krwi i ekskrementów, zakopywana w ziemi aż do rozkładu. Owidiusz pisał, że po nałożeniu na zakończony zadziorem grot strzały substancja ta „była gwarancją podwójnej śmierci”.

secutor (l. mn. *secutores*) – „ścigający”, klasa gladiatora. *Secutor* – inna nazwa: *contraretiarius* – walczył zazwyczaj z sieciarzem. Właściwie jedyną różnicą między *secutor* a *murmillo* było używanie hełmu o gładkiej powierzchni, bez wystających krawędzi i tylko z małym grzebieniem, co prawdopodobnie miało utrudniać zadanie sieciarzowi (łac. *retiarius*), rzucającemu siatką. W przeciwieństwie do innych klas gladiatorów jego hełm miał tylko niewielkie otwory na oczy, co dość mocno ograniczało pole widzenia. Możliwe że taki hełm miał też na celu zwiększenie szans w walce słabszego, nie tak dobrze opancerzonego, sieciarza.

sesterc (l. mn. *sestertii*) – za czasów Republiki moneta srebrna o wartości równej czterem asom lub ćwierci denara, lub jednej setnej aureusa. Jej nazwa: „dwie jednostki i pół trzeciej” wywodzi się od pierwotnej wartości, tj. dwóch i pół asa. *Sesterc* stawał się w ostatnich latach Republiki monetą coraz bardziej powszechną.

signifer – chorąży odpowiedzialny za insygnia kohorty lub centurii w randze młodszego oficera. *Signifer* był żołnierzem cieszącym się wielką estymą, jednym dla każdej centurii. Często *signifer* nosił zbroję łuskową i futro jakiegoś dzikiego zwierzęcia okrywające hełm, który czasami wyróżniał się bogato zdobioną osłoną twarzy. Do osłony miał małą, okrągłą tarczę, a nie tradycyjne *scutum*. Jego *signum* (insygnia) składało się z drewnianego drzewca, zakończonego uniesioną, otwartą dłońią lub końcówką włóczni, otoczoną liśćmi palmowymi. Na poprzeczce poniżej wisały metalowe ozdoby lub kawałki kolorowego materiału. Drzewce *signum* ozdabiano *phalerae*, półksiężycami, taranami lub symbolami dokonań i osiągnięć jednostki, które mogły odróżniać jedną centurię od drugiej.

stola – długa, luźna tunika z rękawami lub bez rękawów, noszona przez zamężne kobiety. Niezamężne kobiety nosiły tuniki o innym kształcie, ale dla ułatwienia rezygnują z tego podziału w książce.

strigil – niewielkie, zakrzywione narzędzie wykonane z żelaza, służące do oczyszczania skóry po kąpieli w łaźni. Zanim użytkownik łaźni mógł skorzystać z basenu, najpierw wcierał w ciało mieszankę oliwy z różnymi pachnidłami, którą następnie zeszkrobywano nim, usuwając brud i pot razem z oliwą.

tablinum – izba znajdująca się za *atrium*. *Tablinum* zwykle przechodziło płynnie na zamknięty, otoczony kolumnami ogród.

tesserarius – jeden z młodszych oficerów centurii, do którego obowiązków należało dowodzenie strażą. Nazwa wywodzi się od *tessera* – tabliczki, na której zapisywano hasło obowiązujące w danym dniu.

testudo – (żółw) powszechnie znana formacja w rzymskiej armii, tworzona przez legionistów, którzy unosili tarcze nad głowami towarzyszy, podczas gdy żołnierze znajdujący się na bokach odpowiadali za utworzenie ściany tarcz. *Testudo* używano w celu ochrony żołnierzy przed ostrzałem lub podczas operacji pod murami miast w oblężeniu. Wytrzymałość ściany tarcz była podobno nietypowo testowana w czasie szkolenia wojskowego żołnierzy, którzy musieli utrzymać na tarczach wóz ciągnięty przez muły.

thraex – jak większość innych klas gladiatorów także i ta wywodzi się od wojowników, z którymi niegdyś mierzyła się armia rzymska. Mowa o Trakach, zamieszkujących tereny obecnie należące do Bułgarii. Wojownik, osłonięty małą kwadratową tarczą o wypukłej powierzchni, nosił nagolenniki na obu nogach i od czasu do czasu także *fasciae* – ochraniacze na udach. Prawa ręka *thraex* była osłaniana przez *manica*, a głowa przez hełm typu greckiego, z zakrzywionym grzebieniem, zakończonym ozdobnym gryfem, w którym niekiedy można było umocować długie pióra.

tribunus – trybun, starszy stopniem oficer legionów, a także jedno z dziesięciu stanowisk politycznych w Rzymie, które obejmowali ludzie nazywani trybunami ludowymi, mający bronić praw plebejuszy. Trybunowie mogli zawetować decyzje senatu lub konsulów (jeśli nie były to decyzje podjęte w czasie wojny). Trybun ludowy w okresie swojej rocznej kadencji był święty i nietykalny (*sacrosanctus*), dlatego groźby optymatów wobec Antoniusza i Longinusa w styczniu 49 r. p.n.e. można uznać za prawdziwie niegodne senatorów.

trierach – kapitan triremy. Pierwotnie stopień w greckiej flocie, termin został zapożyczony z łaciny na określenie oficera rzymskiej floty.

triplex acies – standardowy szyk przyjmowany przez legion podczas bitwy, składający się z trzech linii ustawionych w określonych odstępach. Cztery kohorty zajmowały pozycje w pierwszej linii, a w drugiej i trzeciej stały po trzy kohorty. Nie ma pewności, jaki dystans dzielił poszczególne linie, ale zapewne legioniści ćwiczyli różne warianty ustawień i umiejętnie przechodzili z jednej formacji do drugiej,

wykorzystując właśnie ową wolną przestrzeń pomiędzy liniami.

triremis – rzymski okręt wojenny, poruszany siłą pojedynczego żagla i dzięki trzem rzędom wiosł. Każde wiosło obsługiwane było przez jednego mężczyznę, który urodził się wolny (nie był niewolnikiem). Triremy były wyjątkowo zwrotne i mogły osiągać prędkość do ośmiu węzłów pod żaglami lub na krótkich odcinkach podczas wiosłowania. Posiadała taran dziobowy wykonany z brązu, którym można było uszkodzić lub zatopić okręt wroga. Na pokładzie często montowano także katapulty. Każda trirema miała załogę składającą się z maksymalnie 30 marynarzy i 200 wiosłarzy oraz mogła zabierać na pokład do 60 legionistów (zredukowana centuria), co oznaczało, że na okręcie tłok było stosunkowo ciasno (biorąc pod uwagę wielkość jednostki). W efekcie triremy miały raczej niewielki zasięg, a wykorzystywano je do transportu wojsk i obrony wybrzeża. Z czasem, w okresie późnej Republiki, zaczęły pojawiać się jednostki z większą liczbą rzędów wiosłarzy.

velatidinarium – szpital w forcie legionu. Budynek *velatidinarium* miał zwykle kształt prostokąta z centralnym dziedzińcem. W budynku mogło znajdować się do 64 pomieszczeń, każde przypominające te w barakach legionistów dla *contubernium*.

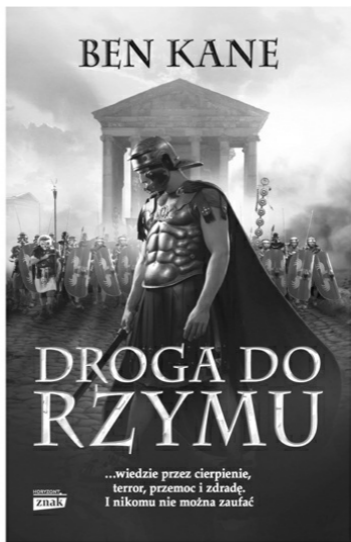
Venus – rzymska bogini macierzyństwa i opiekunka domowego ogniska. Pod Farsalos Cezar wezwał ją, nazywając *Venus Victrix* (przynosząca zwycięstwo), żeby zmotywować swoich żołnierzy do walki.

vestiplicus – specjalnie przeszkolony niewolnik, którego zadaniem było dbanie o togę zamożnego Rzymianina. Togi trzeba było prawidłowo przechowywać, gdy nie były używane. Zakładanie togi było też skomplikowaną czynnością, gdyż każdy fałd musiał być idealnie ułożony. Toga stanowiła bardzo ważny symbol rzymskiej cywilizacji – wdziewał ją człowiek otrzymujący obywatelstwo, gdy zabierał żonę z domu jej ojca, przyjmował klientów czy podczas wykonywania obowiązków sędziego lub namiestnika prowincji. Togi były noszone przez senatorów podczas obchodów triumfu i oczywiście zakładano je zmarłym na ostatnią drogę.

vexillum (l. mn. *vexilla*) – charakterystyczna, zazwyczaj czerwona, flaga, która wskazywała stanowisko dowódcy w obozie lub na polu bitwy. *Vexilla* były również wykorzystywane przez oddziały wydzielone, operujące niezależnie od swoich jednostek macierzystych.

vilicus – nadzorca niewolników lub osoba odpowiedzialna za pracę niewolników w latyfundium. Choć na ogół funkcję tę powierzano niewolnikom, pełnili ją też czasem opłacani wolni ludzie, których zadaniem było dbanie o to, aby gospodarstwo rolne przynosiło jak największe profity. Najczęściej sprowadzało się to do brutalnego zmuszania niewolników do pracy ponad siły.

Zapraszamy do lektury rozdziału z trzeciej części trylogii
Kroniki Zapomnianego Legionu



Rozdział I

Egipt



Aleksandria, zima 48 r. p.n.e.

– Ruszać się, do cholery! – zawołał *optio*, po czym uderzył płazem miecza w plecy najbliższego z legionistów. – Cezar na nas patrzy!

Dziesięciu żołnierzy tworzących jego oddział nie potrzebowało dodatkowej zachęty. Powierzono im zadanie ochrony Heptastadionu, wąskiej, sztucznej grobli, która łączyła nabrzeża portowe z długą, niewielką wyspą i dzieliła port aleksandryjski na dwie części. Ponieważ po obu stronach grobli znajdowały się baseny portowe, świetnie nadawała się do obrony. Tylko że było ich zaledwie kilku! Biorąc pod uwagę to, co właśnie działo się na nabrzeżu, grobla z pewnością nie była najbezpieczniejszym miejscem pod słońcem.

Jasnożółty blask latarni Faros nie robił już na Romulusie takiego wrażenia, jak wcześniej, bo teraz wydawało się, że całe morze stoi w płomieniach. Okręty egipskiej floty, zacumowane jeden obok drugiego przy nabrzeżu, płonęły żywym ogniem. Wywołany przez ludzi Cezara pożar przenosił się z okrętów na pobliskie magazyny i budynki biblioteki. Zrobiło się jasno jak w dzień. Odparci już raz Egipcjanie przegrupowali się i połączyli siły z towarzyszami, którzy czekali cierpliwie w ciemnych uliczkach na swoją kolej. Teraz razem ponownie ruszyli w kierunku linii wycofujących się legionistów. Były ich tysiące! Wszystko to działo się mniej niż sto kroków od grobli, która mimo wszystko zapewniała lepsze warunki obrony przed wrogiem dysponującym przewagą liczebną.

Przyjaciele ruszyli żwawo za legionistami. Jeśli obcy wojownicy z okrzykami bojowymi na ustach przedrą się przez rzymskie linie, to i tak wszyscy zginą. Jednak jeżeli wróg nawet nie przebije się od razu, nie mieli wielkich szans na przeżycie. Przeciwników było po prostu za dużo, a legioniści nie mieli żadnej bezpiecznej

drogi odwrotu. Całe miasto roilo się od nieprzyjaźnie nastawionych do nich mieszkańców Aleksandrii i obcych żołnierzy, a grobla prowadziła na wyspę, z której nie było ucieczki. Mogli wprawdzie przejść na pokłady rzymskich triem, ale z uwagi na wielką liczbę żołnierzy wroga bezpieczne, nieokupione wieloma ofiarami dotarcie do trapów było mało prawdopodobne.

Romulus skrzywił się i rzucił tęskne spojrzenie za oddalającym się okrętem. Trirema właśnie zbliżała się do zachodniego wejścia do portu. Na jej pokładzie znajdowała się Fabiola, jego siostra bliźniaczka. Po dziewięciu latach rozłąki bogowie dali im w swojej łaskawości zaledwie kilka spojrzeń i parę wykrzyczanych na dużą odległość słów. Trirema zmierzała na pełne morze, oddalając się od niebezpieczeństwa i Romulus nie mógł nic z tym zrobić. Co dziwne, nie czuł rozczarowania. Nie załamał się. Wręcz przeciwnie! Wystarczyło mu, że wiedział, iż Fabiola żyje i jest bezpieczna. Ta wiedza sprawiała, że w jego sercu zapanowała radość. Jeśli Mitra pozwolił, usłyszała, że służy w Legionie XXVIII, i któregoś dnia go odnajdzie. Bogowie odpowiedzieli na jego modlitwy o zachowanie w zdrowiu oraz spotkanie (jakkolwiek krótkie) z siostrą, której nie widział tyle lat.

Teraz jednak znów przyjdzie mu walczyć o życie.

Romulusa i Tarkwiniusza zmuszono, aby dołączyli do oddziału legionistów, a teraz stali się częścią wydzielonej grupy bojowej Cezara w Aleksandrii. Małej armii, której właśnie groziło unicestwienie. Mimo niepewnej przyszłości Romulus pocieszał się jednak, że jeśli czeka na niego Elizjum, to odejdzie jako wolny człowiek, a nie niewolnik czy gladiator. Nie jako najemnik ani partyjski jeniec. Wyprostował plecy.

Nie! Jestem rzymskim legionistą. W końcu. Sam decyduję o własnym losie i Tarkwiniusz nie będzie już mi mówić, co mam robić. Nie dalej jak przed godziną jego płowowłosego przyjaciela wyjawiał, że to on odpowiada za śmierć nobila, z powodu której Romulus i Brennus musieli uciekać z Rzymu. Wciąż jeszcze nie do końca docierały do niego konsekwencje tego wyznania Tarkwiniusza. Niedowierzenie, złość i ból mieszały się ze sobą, tworząc w umyśle Romulusa toksyczną mieszankę, która przyprawiała go o zawroty głowy. Odepchnął ból, grzebiąc go głęboko. Nie teraz. Później. Przyjdzie jeszcze pora.

Gdy grupka legionistów znalazła się za plecami żołnierzy z ostatnich rzędów formacji, zdążyli już się zmęczyć. Mężczyźni ciężko dyszeli z wysiłku. Szyk składał się zaledwie z sześciu szeregów. Rozkazy, metaliczny brzęk broni i krzyki rannych wypełniały teraz ich uszy z nową intensywnością. *Optio* z ich grupy i wyglądający na zdenerwowanego najbliższy oficer, *tesserarius*, zamienili kilka słów. *Tesserarius* miał na

głowie hełm z poprzecznym grzebieniem oraz zbroję łuskową, podobną do tej, którą nosił *optio*. O jego pozycji w centurii przypominała długa laska, służąca do wymuszania posłuszeństwa legionistów. On i inni jemu podobni trzymali się ostatnich szeregów, dbając o to, aby żaden z legionistów nie oddał tyłów, a centurioni zwykle zajmowali pozycje bliżej pierwszej linii, tam gdzie toczyły się najcięższe walki. W trudnych chwilach to właśnie na nich – weteranach i zawodowych żołnierzach – spoczywała odpowiedzialność za utrzymanie wysokiego morale.

W końcu *optio* zwrócił się do swoich ludzi.

– Zostajemy w tym miejscu.

– Musimy zaufać Fortunie – mruknął jeden z żołnierzy. – Jesteśmy w samym środku cholernej linii. – *Optio* uśmiechnął się lekko, potwierdzając. Tutaj zginie najwięcej ludzi.

– Macie chwilę na odpoczynek. Możecie być wdzięczni – zażartował *optio*. – Równaj do linii na głębokości dwóch ludzi! Dołączamy do centurii na wprost.

Klnąc cicho, wykonali rozkaz.

Romulus i Tarkwiniusz znaleźli się z czterema innymi legionistami w pierwszym rzędzie małej grupy, która dołączyła do kohorty. Nie protestowali. Jako nowi rekruci niczego innego nie mogli się spodziewać. Romulus był wyższy od pozostałych legionistów i patrzył na zbliżających się wrogów ponad ich głowami, osłoniętymi hełmami z brązu. Tu i ówdzie w liniach wznosiły się insygnia centurii. Dalej, na prawym skrzydle formacji, stał legionista trzymający w dłoniach drzewce ze srebrnym orłem, talizmanem legionu. Romulus poczuł, że na widok najwspanialszego symbolu Rzymu, który tak ukochał, serce zaczyna bić szybciej. Orzeł legionowy odegrał wielką rolę w uświadomieniu Romulusowi, że jest przede wszystkim Rzymianinem. Orzeł – władczy, dumny i zdystansowany – nie dbał o status człowieka. Liczyły się tylko waleczność i męstwo w bitwie.

Później Romulus przeniósł wzrok na morze nieustępliwych twarzy i lśniąca w rękach wrogów broń. Ta potężna fala za chwilę rozbije się o mur twardych jak skała legionistów.

– Oni mają *scuta*! – zawołał zmieszany. – To Rzymianie?

– Kiedyś byli Rzymianami... – splunął legionista po lewej. – Ale teraz te sukinsyny niewiele różnią się od tutejszych ścierw.

– Myślę, że to ludzie Gabiniusza – powiedział trzeźwo Tarkwiniusz. Jego słowa wywołały kilka niechętnych potwierdzających skinieć głowami. Paru legionistów

rzuciło Tarkwiniuszowi zaciekawione spojrzenia – zwłaszcza ci, którzy widzieli lewą stronę jego oszpeconej twarzy. Vahram, *primus pilus* Zapomnianego Legionu, odpowiadał za to, że czerwona blizna w kształcie ostrza noża na policzku Tarkwiniusza nigdy nie pozwoliła mu zapomnieć o torturach, jakie przeszedł.

Dzięki Tarkwiniuszowi Romulus poznał historię Ptolemeusza XII, obalonego ponad dziesięć lat wcześniej ojca obecnie panującego w Egipcie rodzeństwa. Zdesperowany władca zwrócił się do Rzymu, oferując wielkie sumy w złocie za pomoc w odzyskaniu tronu. Ostatecznie misja ta udała się Gabiniuszowi, prokonsulowi Syrii. Działo się to mniej więcej w tym samym czasie, gdy Romulus, Brennus, galijski przyjaciel Romulusa, i Tarkwiniusz służyli w armii Krassusa.

– Słusznie... – mruknął legionista. – Zostali w Egipcie po tym, jak Gabiniusz wrócił w niesławie do Rzymu.

– Ilu ich tu zostało? – zaciekawiał się Romulus.

– Kilka tysięcy. Ale nie są sami. Wspierają ich przede wszystkim nubijscy harcownicy i najemnicy z Judei. Do tego dodaj kreteńskich łuczników i procarzy. Wszyscy są twardymi draniami.

– No i lekka piechota... – odezwał się inny żołnierz. – Zbiegli niewolnicy z naszych prowincji – te słowa zostały powitane pomrukami pełnymi niezadowolenia. Romulus i Tarkwiniusz wymienili znaczące spojrzenia. Muszą zadbać, aby status Romulusa pozostał tajemnicą. Niewolnicy nie mogli służyć w regularnej armii. Gdy niewolnik znalazł się w szeregach legionów – co właśnie się stało, choć przecież Romulus nie miał w tym przypadku wiele do powiedzenia – groziła mu kara śmierci.

– Te zdradzieckie mendy nie mają żadnych szans. Przetrzepiemy im tyłki i wybijemy z głów myśl, że są nam równi.

Autor tej wypowiedzi wyraził stanowisko chyba wszystkich legionistów, bo wokół rozległy się pełne zadowolenia okrzyki, a na twarzach wcześniej nieco przygaszonych mężczyzn pojawiły się uśmiechy.

Romulus ugryzł się w język, powstrzymując się z instynktowną ripostą. Ludzie Spartakusa – bądź co bądź w większości, jeśli nie wszyscy, niewolnicy – wiele razy pokonywali rzymskie legiony. On sam był wart tyle, co trzech zwykłych legionistów. Niewolnik czy człowiek wolny – ten, kto broni swojej ojczyzny i własnego świata przed wrogiem, zawsze gotów jest do wielkich poświęceń. Romulus wiedział jednak, że to nie jest właściwa chwila, żeby uświadamiać innym takie sprawy. *A kiedy przyjdzie ten właściwy czas? Nigdy* – skonstatował gorzko.

Czekali z mieczami w dłoniach, a z każdą chwilą ich sytuacja stawała się coraz bardziej beznadziejna. Linie rzymskie zafalowały pod deszczem oszczepów i kamieni. Na początku ani Romulus, ani Tarkwiniusz nie mieli tarcz, dlatego mogli tylko kulić się i modlić, gdy śmiercionośne pociski gwizdały nad ich głowami. Taki brak jakiegokolwiek osłony naprawdę dawał im się we znaki. Szarpał nerwy. Gdy pojawiły się jednak pierwsze ofiary ostrzału, mogli wykorzystać wyposażenie zabitych. Jakiś krępy żołnierz stojący w pierwszym rzędzie padł na ziemię, ugodzony oszczepem w szyję. Romulus szybko sięgnął po hełm, który należał do wijącego się teraz w przedśmiertnych drgawkach żołnierza. Nie miał wyrzutów sumienia. Żywi są ważniejsi od martwych. Nawet mokra od potu warstwa materiału wyściełająca hełm, którą umieścił na głowie przed jego założeniem, dawała wrażenie szczątkowej ochrony. Tarkwiniusz chwycił *scutum* trafionego legionisty. Romulus nie musiał długo czekać na tarczę, którą przejął po innej ofierze ostrzału.

Optio mruknął z satysfakcją. Ci dwaj obszarpańcy nie tylko dysponowali teraz właściwą bronią, ale też dobrze wiedzieli, jak radzić sobie ze sprzętem i wyposażeniem prawdziwych żołnierzy.

– Tak lepiej... – odezwał się Romulus zza swojej nowej tarczy w kształcie wydłużonego owalu, którą trzymał za poziomy uchwyt. Ostatni raz mieli do swojej dyspozycji pełne wyposażenie podczas bitwy Zapomnianego Legionu cztery lata temu. Skrzywił się. Wciąż jeszcze miał poczucie winy z powodu Brennusa, który poświęcił się, żeby on i Tarkwiniusz mogli uciec.

– Walczyliście wcześniej w legionach?

Zanim Romulus zdążył odpowiedzieć, poczuł na plecach uderzenie metalowego guza tarczy.

– Naprzód! – krzyknął *optio*, który pilnował tylnego rzędu. – Linia przed nami słabnie.

Przesunęli się do przodu, bliżej przeciwników. Żołnierze mocniej chwycili za *gladii*, krótkie, śmiertelnie niebezpieczne rzymskie miecze. Tarcze uniesiono tak, że nad ich krawędziami widać było tylko część twarzy. Wystawały jedynie hełmy z osłonami, spod których błyskały białka oczu. Ruszyli do przodu ramię przy ramieniu. Każdy legionista osłaniany był częściowo przez swoich towarzyszy. Tarkwiniusz znajdował się po prawej stronie Romulusa, a wyjątkowo rozmowny legionista, którego poznali wcześniej, zajmował miejsce po jego lewej stronie. Obaj byli na równi odpowiedzialni za jego bezpieczeństwo, podobnie jak on był odpowiedzialny za nich. Ta cecha wzajemnej osłony była jedną z zalet ściany tarczy.

Mimo że Romulus był wściekły na Tarkwiniusza, nie przeszło mu przez głowę, że haruspik mógłby, zaniedbując obowiązek, świadomie działać na jego niekorzyść.

Wcześniej nie zastanawiał się nad tym, jak słaba jest linia Rzymian. Nagle żołnierz stojący przed nim osunął się na kolana, a zza niego wyskoczył z krzykiem egipski wojownik, zaskakując trochę Romulusa. Przeciwnik miał na głowie tępo zakończony frygijski hełm i zwykłą, zgrzebną tunikę. Nie nosił żadnej zbroi, a osłaniał się owalną tarczą. Jego jedyną bronią była *rhomphaia*, dziwny miecz z długim, zakrzywionym ostrzem. *Skąd się tu wziął tracki peltasta?* Romulus wiedział od razu, z kim przyjdzie mu walczyć, ale nie zmienia to faktu, że dał się zaskoczyć.

Bez namysłu naparł na przeciwnika, próbując roztrzaskać jego twarz metalowym guzem tarczy. Zamiar ten nie powiódł się, bo tracki wojownik błyskawicznie osłonił się swoją tarczą. Przez kilka uderzeń serca wymieniali szybkie ciosy, walcząc zaciekle o przejęcie inicjatywy. Na razie żadnemu nie udało się zdominować przeciwnika, ale Romulus prędko przekonał się, jak niebezpieczny może być zakrzywiony miecz w rękach doświadczonego fechmistrza. Dzięki jego specyficznemu kształtowi przeciwnik mógł wyprowadzać zdradzieckie ciosy nad krawędzią tarczy lub z boków, powodując poważne obrażenia. W ciągu kilkunastu uderzeń serca młody żołnierz omal nie stracił oka, a potem ledwie uniknął przykrej rany lewego bicepsa.

Romulusowi udało się za to zranić Traka w rękę, w której trzymał miecz. Uśmiechnął się pod nosem z satysfakcją. Chociaż rana nie wyłączyła całkowicie przeciwnika z walki, zmniejszyła jego skuteczność. Sączyła się z niej krew, która spływała na rękojeść miecza peltasty. Gdy ponownie zwarli się, wymieniając ciosy, mężczyzna zaklął. Żaden z nich nie przebił osłony tarczy przeciwnika. Wkrótce jednak Romulus zauważył, że peltasta krzywi się wyraźnie za każdym razem, gdy unosi miecz do ciosu. Zrozumiał, że nadarza się niepowtarzalna szansa zakończenia pojedynku. Nie zamierzał jej zmarnować.

Przesunął do przodu osłoniętą *scutum* lewą nogę, po czym wyprowadził potężny, zamaszysty cios gladiusem po łuku, który groził dekapitacją osłabionego przeciwnika. Peltasta musiał go sparować, bo w przeciwnym razie straciłby całą prawą stronę twarzy. Ostrza ich broni spotkały się jeszcze raz, krzesząc iskry. Teraz jednak siła fizyczna młodego żołnierza okazała się decydująca i *rhomphaia* ześlizgnęła się w dół, ku ziemi. Trak jęknął, a Romulus wiedział, że to koniec. Nadszedł czas, aby wyprowadzić ostatni cios, przed którym nie ochroni już peltastę zdrtwiała z bólu ręka. Osłaniając się tarczą, Romulus całym ciężarem rzucił się do

przodu.

Tego było już za wiele dla osłabionego przeciwnika. Mężczyzna stracił równowagę i przewrócił się na plecy, wypuszczając tarczę z ręki. Romulus dopadł do niego w jednej chwili i przykucnął, z prawą ręką gotową do zadania śmiertelnego ciosu. Wymienili najkrótsze z możliwych spojrzeń, gdy kat spogląda na swoją ofiarę, dostrzegając zaledwie jego lekkie rozszerzenie źrenic. Szybkie pchnięcie w dół. Peltasta był martwy.

Wracając do pionu, Romulus z nawyku uniósł *scutum*. Ten wyćwiczony ruch uratował mu życie. Miejsce peltasty w szeregach wroga zajął bowiem natychmiast zarośnięty, długowłosa mężczyzna w rzymskiej tunice wojskowej. Jeden z ludzi Gabiniusza?

– Zdrajca – syknął Romulus. – Walczysz teraz ze swoimi krajanami?

– Walczę dla mojej ojczyzny – warknął żołnierz. Posługiwał się łaciną, więc podejrzenia Romulusa okazały się słuszne.

– Co wy tu w ogóle robicie, do cholery!

Zaskoczony Romulus sam nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Jesteśmy tu dla Cezara – warknął rozmowny legionista walczący u jego boku. – Najlepszego generała na świecie!

Ta uwaga została przyjęta złośliwym prychnięciem. Romulus wykorzystał szansę wynikającą ze zdekongrowania przeciwnika. Pchnął, wbijając ostrze ponad krawędź kolczugi w kark i szyję wroga. Mężczyzna zawył i zniknął z pola widzenia. Przez krótką chwilę Romulus miał możliwość objęcia spojrzeniem całej linii wroga. Chyba wolałby tego nie robić. Egipcscy żołnierze mrowili się na całym nabrzeżu jak okiem sięgnąć. Wszyscy zdecydowanie parli naprzód.

– Ile właściwie mamy kohort? – zapytał na głos Romulus. – Cztery?

– Tak – rozmowny legionista zacieśnił szyk, stając obok niego. Z powodu ciężkich strat znaleźli się już teraz w pierwszym szeregu. Z Tarkwiniuszem i innymi u boku przygotowywali się na odparcie następnej fali napastników – legionistów i lekkobrojnnych Nubijczyków. – Ale wszystkie w niepełnym składzie.

Nowa grupa atakujących składała się z wojowników w samych przepaskach biodrowych. Wielu z nich nosiło we włosach pojedyncze pióra. Czarnoskórzy żołnierze uzbrojeni byli w duże, owalne tarcze i włócznie zakończone szerokimi ostrzami. Niektórzy z nich, może bardziej zamożni, nosili zdobione opaski i złote pierścienie na ramionach. Krótkie miecze wisiały na pasach z tkaniny, a wielu dysponowało łukami o długich łączyskach. Na lewych ramionach mocowali

kończący ze strzałami. Świadomi ograniczeń zasięgu rzymskich oszczepów łucznicy zatrzymali się pięćdziesiąt kroków od pierwszej linii Rzymian i spokojnie zakładali strzały na cięgiwy. Ich towarzysze cierpliwie czekali na rozwój wypadków.

Romulus odetchnął z ulgą, gdy zauważył, że Nubijczycy nie mieli łuków refleksyjnych, takich jak Partowie, których strzały z łatwością przebijały *scuta*. Jednak radość nie trwała długo.

– A właściwie, to jak bardzo są przetrzebione? – Romulus rzucił pytanie w przestrzeń.

– Z piątą kohortą, która pilnuje okrętów, jest nas może z półtora tysiąca – legionista dostrzegł zdziwienie rysujące się na twarzy Romulusa. – A czego się spodziewałeś? Wielu z nas uczestniczy w kampaniach od siedmiu lat. Galia, Brytania, znów Galia...

Romulus spojrzął na Tarkwiniusza ponurym wzrokiem. Ci ludzie byli doświadczonymi, twardymi weteranami, ale przeciwnik dysponował ogromną przewagą liczebną. Haruspik tylko wzruszył ramionami. Romulus zacisnął zęby. Znów wdał się w jakąś aferę, ponieważ Tarkwiniusz nie chciał go słuchać. Uparł się, żeby dotrzeć do portu, bo musiał zobaczyć bibliotekę. No tak, ale dzięki temu przecież widział Fabiolę! Jeśli dziś zginie, to przynajmniej ze świadomością, że jego siostra żyje i ma się dobrze.

W powietrze poszybowała pierwsza fala strzał nubijskich łuczników. Opadały w dół po wdzięcznym łuku. Ze śmiercionośnym sykiem.

– Tarcze w górę! – rozkrzyczeli się oficerowie.

Chwilę później deszcz pocisków zabębnił o uniesione *scuta* znajomym głuchym *staccato*. Ku uldze Romulusa prawie żadna strzała nie przebiła tarczy i tylko kilku żołnierzy zostało rannych. Jednak jego serce zaczęło bić szybciej, zauważył bowiem, że niektóre kamienne i żelazne groty są wysmarowane jakąś gęstą, ciemną masą. Trucizna! Ostatni raz miał z nią do czynienia wówczas, gdy walczyli ze Scytami w Margianie. Nawet małe zadrapanie zadziorem na grocie może skutkować długą agonią i śmiercią. Romulus dziękował bogom, że zaciska dłoń na uchwycie *scutum*, którą może się osłaniać.

Kolejna fala strzał dosięgła ich, gdy lekkobrojni Nubijczycy zaczęli nabierać szybkości przed uderzeniem w linie oddziałów Cezara. Wrogowie nieobciążeni niepotrzebnym wyposażeniem jak legionieści stopniowo przyspieszali. Po chwili pędzili już sprintem, wydając z siebie dzikie okrzyki bojowe. Za nimi gnali gabinianie, którzy mieli zadać miazdzący cios przetrzebionym legionistom.

Romulus znów zacisnął zęby. Jak bardzo żałował, że nie ma z nimi Brennusa! Formacja wroga miała co najmniej dziesięć szeregów, a ich formacja teraz nie składała się nawet z pełnych pięciu linii.

Odezwały się trąbki, jakby sygnaliści rozumieli znaczenie tej trudnej chwili. Ktoś wykrzyczał pewnym głosem krótki rozkaz.

– Wycofać się do okrętów! – głos był spokojny i stonowany, trochę jakby niepasujący do dramatycznej sytuacji i chaosu walki.

– To Cezar! – na ustach legionisty obok pojawił się uśmiech pełen dumy. – Nigdy nie panikuje.

Od razu linie zaczęły się związać do boku i legionieści ruszyli w stronę zachodniej części nabrzeża. Triremy znajdowały się całkiem blisko, ale żołnierze nie mogli pozwolić sobie na zaniechanie ubezpieczenia odwrotu. Na widok ruchu w szeregach przeciwników Nubijczycy zareagowali wściekłymi okrzykami i zwiększyli tempo.

– Nie przerywać marszu – zawołał centurion. – Zatrzymać się dopiero tuż przed uderzeniem. Utrzymamy szyk i odrzucimy ich! Potem znów ruszamy.

Romulus zerknął na triremy. Było ich około dwudziestu. *Miejsca na ich pokładach starczy dla wszystkich. Tylko co dalej?*

Jak zawsze Tarkwiniusz czytał w jego myślach.

– Przetransportują nas na Faros – wskazał latarnię morską. – Tam. W tamtym miejscu grobla ma szerokość zaledwie pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu kroków.

Romulus uśmiechnął się, pokrzepiony na duchu.

– Możemy się tam bronić do końca świata.

Triremy jednak wciąż znajdowały się daleko, a jedno uderzenie serca później Nubijczycy zderzyli się z formacją Rzymian z taką siłą, że przednie szeregi musiały cofnąć się kilka kroków pod ich naporem. Nocne powietrze znów wypełniło się krzykami rannych i umierających, a legionieści ponownie przeklinali swój los i narzekali na nieprzychylność bogów. Romulus zobaczył, jak legionista po jego lewej stronie zostaje trafiony włócznią w łydkę i opada bezwładnie na ziemię. Ku jego przerażeniu kolejny otrzymał cios mieczem w twarz, tak że ostrze przebiło mu oba policzki i wyszło po drugiej stronie. Gdy napastnik cofnął miecz, krew chlusnęła z rany makabryczną fontanną. Śmiertelnie trafiony mężczyzna upuścił *scutum* i miecz, po czym uniósł obie ręce ku zmiążdżonej twarzy, wydając z siebie cieni, przesywający krzyk. Gdy zalała ich fala Nubijczyków, Romulus stracił z oczu obu rannych legionistów. Z wykrzywionych, złych ust napastników sypały się obelgi w obcym języku. Tarcze Nubijczyków uderzały w ich *scuta*, a szerokie

ostrza włóczni migotały w błyskawicznych dźwięciach, szukając miękkiego ciała, w które mogłyby się zanurzyć. Romulus czuł wyraźnie zapach zastałego potu czarnoskórych wojowników. Klasycznym cięciem pod mostkiem szybko uśmiercił pierwszego wojownika w swoim zasięgu. Kolejny również nie okazał się trudnym przeciwnikiem, bo praktycznie sam nadział się na miecz Romulusa. Nubijczyk był martwy, zanim jeszcze zdał sobie z tego sprawę.

Zajmujący pozycję przy prawym ramieniu Romulusa Tarkwiniusz podobnie łatwo poradził sobie z kolejnymi przeciwnikami, ale rozmowny legionista po lewej przeżywał trudne chwile. Osaczony przez dwóch olbrzymich Nubijczyków nie zdążył uchylić się przed ciosem włóczni, która zagłębiła się w jego prawe ramię. Rana utrudniła mu obronę. Po chwili jeden z wrogów podbił tarczę legionisty, a drugi wraził miecz prosto w jego gardło. To była ostatnia ofiara tego Nubijczyka. Romulus potężnym cięciem odrąbał mu prawą rękę – tę, w której trzymał włócznię – a w ruchu powrotnym otworzył go od pachwiny do ramienia. Legionista z drugiego szeregu błyskawicznie przesunął się do przodu, wypełniając lukę w szeregu. Razem pozbyli się drugiego Nubijczyka.

W miejsce niezdolnych do walki natychmiast pojawiali się nowi legionieści.

Potrzebujemy jazdy – przemknęło przez głowę Romulusowi. – *Albo katapult.* Potrzebowali czegokolwiek, co zmieni warunki starcia, bo sytuacja pogarszała się z każdą chwilą. Niewielka część legionistów dotarła już do trirem, ale większość ciągle musiała rozpaczliwie odpierać ataki Egipcjan, tocząc walkę z góry skazaną na porażkę. Morale spadało, a w sercach mężczyzn pojawiły się pierwsze paniczne myśli. Legionieści cofali się instynktownie. Centurioni wykrzykiwali słowa zachęty, ale nie wyglądało to wszystko najlepiej. Znow oddali trochę przestrzeni. Atakujący wyczuli chwilę słabości i podwoili wysiłki.

Nie jest dobrze – myślał Romulus. – *Jeśli szybko nic się nie zmieni...*

– Ruszać się – znow usłyszeli pewny głos dochodzący zza pleców. – Utrzymać szyk. Odwagi, *commilitones*. Cezar jest z wami!

Romulus zaryzykował spojrzenie przez ramię.

Smukły mężczyzna w połączonej zbroi i czerwonym generalskim płaszczu ruszył w stronę rzymskich linii. Jego hełm, z piękną grzywą z końskiego włosia i złotosrebrnym filigranem na napoliczkach, robił piorunujące wrażenie. Cezar w jednej ręce trzymał gladius z bogato zdobioną rękojeścią z kości słoniowej, a w drugiej zwykłe *scutum*. Romulus przyglądał się chwilę wąskiej twarzy z wystającymi kośćmi policzkowymi, orlim nosem i ciemnymi oczyma o przeszywającym spojrzeniu. Cezar

stąpił pewnie, zarażając legionistów swoim spokojem. Jak zwykły centurion gotów był ryzykować życiem w pierwszej linii. A tam, gdzie stał lider taki jak Cezar, żołnierze nie pierzchali.

Tymczasem zdezorientowany i zadziwiony Tarkwiniusz prznosił wzrok z Romulusa na Cezara i z powrotem.

Jego przyjaciel był zupełnie nieświadom podejrzeń, jakie załęgły się w głowie Tarkwiniusza.

Legioniści powtarzali słowa Cezara. Atmosfera od razu uległa zmianie. Panika ustępowała niczym poranna mgła pod wpływem ciepłych promieni słońca. Niezupełnie zgodnie z rozkazami podniesieni na duchu legioniści rzucili się do kontrataku, zaskakując przeciwników. Wkrótce odzyskali teren, z którego wcześniej się wycofali. Wrogowie zawahali się i odступili, dając legionistom chwilę odpoczynku. Pas ziemi niczyjej zasłany był ciałami ofiar, wijącymi się z bólu rannymi i porzuconą bronią. Teraz przeciwnicy przyglądali się sobie nieufnie z większej odległości. Z ust mężczyzn unosiły się obłoki pary, a pot spływał strumieniami po ciałach i z filcowych okładzin hełmów z brązu.

Ta chwila należała do Cezara.

– Pamiętacie, towarzysze, jak potykaliśmy się z *Nervii*? Zadaliśmy im wtedy bobu, prawda?

Legioniści ryknęli na znak potwierdzenia. Ujarmienie dzielnego plemienia Nerwów przyszło im z największym trudem. To chyba były najtrudniejsze momenty w całej galijskiej kampanii.

– A Alezja? Pamiętacie? Galowie oblegli nas niczym chmary much. Ale i tak ich pokonaliśmy!

Kolejne okrzyki.

– Nawet pod Farsalą, gdy nikt nie dawał nam szans, zawróciliśmy z drogi do Hadesu! – Cezar wykonał dramatyczny gest, jakby chciał objąć wszystkich swoich legionistów ramionami. – Wy, *commilitones*, to wy sięgnęliście po te zwycięstwa!

Romulus zobaczył prawdziwą dumę na twarzach otaczających go mężczyzn. Niemal fizycznie poczuł, jak rośnie morale. Cezar był jednym z nich. Żołnierzem. Towarzyszem broni. W oczach Romulusa ten człowiek zasługiwał na wielki szacunek. Był niezwykłym wodzem i liderem.

– Ce-zar! – ryknął szpakowaty weteran.

– Ceee-zaar! – zakrzyknęli legioniści.

Romulus był wśród wiwatujących.

Do chóru głosów dołączył nawet Tarkwiniusz.

Cezar słuchał przez chwilę tych okrzyków, ale potem nakazał im natychmiast wycofać się na pokłady trirem.

A mało brakowało, bo zaskoczeni rzymskim kontratakiem i odważnym zachowaniem Cezara egipscy żołnierze zatrzymali się tylko na dwadzieścia uderzeń serca. Wkrótce krawędź nabrzeża i okręty znalazły się w odległości rzutu kamieniem. Setki legionistów z pomocą załóg statków szybko zajęły miejsca na pokładach. Okręty powoli oddawały cumy i zaczęły przemieszczać się w stronę wyjścia z portu. Ożyły rzędy wiosła, dzięki którym z każdą chwilą przesuwali się dalej i dalej na głębszą wodę. Wreszcie oficerowie wroga – wściekli, że Rzymianie mogą ujść z zastawionej na nich pułapki – obudzili się z chwilowego letargu. Zachęcając swoich ludzi do ataku, ruszyli biegiem, pociągając za sobą błyskającą ostrzami falę żołnierzy, którzy myśleli tylko o jednym. O unicestwieniu najeźdźców.

Tytuł oryginału
The Silver Eagle

Copyright © by Ben Kane 2009, 2010, 2011
First published as THE SILVER EAGLE by Preface

Projekt okładki
Adam Pietrzyk

Ilustracja na okładce
Steve Stone

Opieka redakcyjna
Krzysztof Chaba

Adiustacja
Bogusława Wójcikowska

Korekta
Irena Gubernat

Ilustracje wewnątrz książki
Adam Pietrzyk

Copyright © for the translation by
Społeczny Instytut Wydawniczy Znak Sp. z o.o., 2015

ISBN 978-83-240-3428-4

Znak Horyzont
www.znakhoryzont.pl

The logo for Znak Horyzont, featuring the word "znak" in a bold, lowercase, sans-serif font. The letters are white and set against a solid black rectangular background.

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: czytelniczy@znak.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink
woblink.com